

Walter Scott

# KENILWORTH

## CZEŚĆ I Tajemnica opactwa

### ROZDZIAŁ I

Jestem sobie karczmarzem i znam moje prawo.  
Z interesu nawykłem charaktery badać;  
Goście muszą się trudnić mej roli uprawą,  
Rześka młodzież zasiewać i w stogi układać;  
Inaczej ani myśleć o plonnym omłocie.  
Nowa karczma

Osiemnastego roku panowania królowej Elżbiety wieś Cumnor, o trzy mile odległa od Oksfordu, chlubiła się wyborną gospodą starej daty, jakich teraz nie bywa, a którą zarządzał, a raczej rządził niejaki Gosling, człowiek lat przeszło pięćdziesięciu, zażywny i miłej powierzchowności. W rządach prędko, z gości nie zdierał ostatniej skóry, miał dobrą piwnicę a w niej mocne trunki, miał też dowcip na zawołanie i piękną córkę. Od czasów starego Henryka Baille z Southwark żaden karczmarz nie mógł zrównać się z Gilesem Gosling co do daru podobania się gościom wszelkiego stanu, płci i wieku. Zyskał stąd tak wielki rozgłos, że kto był w Cumnor, a nie wysuszył kufla pod „Czarnym Niedźwiedziem”, dowodził tym samym, że mu całkiem obojętna jest sława wędrowca i że jest podobny do wieśniaka, który będąc w Londynie nie widział królowej. Mieszkańcy Cumnoru pysznili się swoim karczmarzem, a karczmarz pysznił się swym domem, trunkami, córką i sobą samym.

Pewnego wieczoru na dziedzińcu gospody, w której ten mąż znamienity najwyższe sprawował rządy, zatrzymał się podróżny i powierzył parobkowi stajennemu konia, który, jak się zdawało, przejechał szmat drogi. Przybysz przemówił słów kilka, co dało powód do następującej rozmowy między czeladzią spod „Czarnego Niedźwiedzia”.

— Hej, Johnie Podczaszy! Chodź no tu!

— Zaraz, zaraz, Willu Masztalerzu — odpowiedział zarządzający antałami, w rozpiętej kurtce, płóciennych spodniach, zielonym fartuchu, stojąc w pół otwartych drzwiach piwnicy.

— Jest tu jegomość, który chce wiedzieć, czy masz dobre piwo? — kończył parobek.

— Miałbym ja się z pyszna — rzekł piwniczny — kiedy tylko cztery mile stąd do Oksfordu; gdyby moje piwo nie udowodniło dobroci swej w głowach studentów, to by oni mi jego niesmak udowodnili na łbie tą kwartą cynową.

— Czy to nazywasz logiką oksfordzką?—odezwał się podróżny, który zsiadłszy z konia zmierzał ku drzwiom zajazdu, gdzie uprzejmie i zanie przyjmował go sam Giles Gosling.

— Mówicie podobno o logice, panie gościu—rzekł gospodarz—kiedy chcecie, podam wam najlepszy jej przykład:

Gdy, chłopcze, dasz, koniowi obroku i wody,

Postaw zaraz przed jeźdźcem wino dla ochłody.

— Amen, z duszy i serca na to przystaję, mój miły gospodarzu—odpowiedział nieznajomy.—Każ dać kwartę wina kanaryjskiego, tylko najlepszego i pomóż mi ją wypróżnić.

— Musisz być waszeć jeszcze początkującym, kiedy do takiej fraszki wzywasz pomocy gospodarza; gdyby to był garniec, nie mówię, mógłbyś waść zażądać sąsiedzkiej pomocy mojej ręki i jeszcze nazwać się dobrym kompanem. Ale kwarta! .

— Nie bójcie się, mój panie, potrafię ja się znaleźć, jak przystoi na człowieka będącego o cztery mile od Oksfordu; nie przychodzę ja z pól Marsowych, bym miał się zbłąźnić wśród służebników Minerwy.

Gdy to mówił, gospodarz ze szczerą uprzejmością wprowadził go do niskiej, obszernej izby, gdzie grupkami siedziało wiele osób. Jedni pili, drudzy grali w karty, inni zabawiali się gawędą, ci zaś, którym interesy kazały nazajutrz o świcie wyjeżdżać, kończyli wieczerę, wołając na pacholków, aby im słali łózka.

Przybycie nieznajomego ściągnęło nań zwykłą w podobnych okolicznościach, powszechną i obojętną uwagę przygodnych gości, którzy wyciągnęli następujące wnioski: przybysz był człowiekiem o powierzchowności nie budzącej odrazy, miał jednak w twarzy, wymowie i całej postawie coś nieprzyjemnego, co odstręczało od zawierania z nim bliższej znajomości. Zuchwały z wejrzenia, nie będąc śmiałym ani otwartym, chciał, jak się zdawało, od razu wzbudzić dla siebie szacunek, jako rzecz jemu wyłącznie należną, jakby lękając się, że mu go odmówią, jeśli go z miejsca

innym nie narzuci. Miał na sobie płaszcz podróżny, spod którego wyglądał piękny kaftan lamowany złotym galonem i pas z bawolej skóry, a przy nim pałasz i parę pistoletów.

— Jak widzę, nieźleś się waszmość zaopatrzył na drogę — rzekł gospodarz, stawiając zamówione wino na stole i spoglądając na oręż podróżnego.

— Ten oręż nieraz mi bywał pożytecznym w niebezpiecznych czasach, a choć te przeminęły, nie porzucam go wszakże jak dzisiejsi panowie, co to odprawiają służących, skoro ich już nie potrzebują.

— To waszmość musisz zapewne powracać z Low Countries — rzekł Giles Gosling — z kraju pik i muszkietów/1. /1 Low Countries (ang. dosł. niskie drogi) — Niderlandy.

— Byłem, mój przyjacielu, na górze i na dole, daleko i blisko. Lecz piję do waszeci, wypij waść do mnie, a jeżeli trunek nie najwyśmienitszy, to trudna rada! Pij taki, jakiego nawarzyłeś.

— Jak to, nie najwyśmienitszy! — zawołał Gosling wychylając czarę i smakując ustami z niewymowną rozkoszą. — Ja przynajmniej nie znam nic wyśmienitszego, nie dostaniesz, takiego wina pod „Trzema Bocianami” w Vintry, a jeżeli znajdzie się lepsze nawet na wyspach Hijerskich lub Kanaryjskich, to niech nigdy więcej nie tknę dzbana ani pieniędzy. Ponieście no je przed światło, a zobaczycie drobne pyłki wijące się w tym złotym likworze jak kurz w jasnym promieniu słonecznym.

O! Wolałbym częstokroć dziesięciu chłopów niż jednego podróżnego. Cóż? Jak waści smakuje?

— Nieźle, daje się pić przynajmniej, lecz aby mieć wyobrażenie o dobrym winie, trzeba je pić tam, gdzie się ono rodzi. Wierzcie mi, mój gospodarzu, Hiszpan nie w ciemię bity, żeby wam przysłał wino wytłoczone z najlepszych jagód. Co wy tu macie za wielką osobliwość to byłoby wywietrzała lura w Groyne albo w Porcie Św. Marii. Trzeba się puścić w świat, mój dobrodzieju, jeżeli chcesz przeniknąć wszystkie tajemnice beczki i antału!

— Podług mnie trzeba być głupim, żeby włóczyć się po obcych krajach po to tylko, aby się potem brzydzić tym wszystkim co się we własnym domu znajduje. Ręczę

wam, panie gościu, że niejeden w Anglii zna się na dobrym winie, chociaż siedzi za piecem i na krok nie wychylił nosa poza ojczystą ziemię.

— To przesady, to ciasny sposób myślenia, mój gospodarzu — rzekł podróżny. — Ręczę wam, że po miastach inaczej myślą i mówią. Założyłbym się, że macie między sobą znajomych, którzy odbyli podróż do Wirginii, a przynajmniej zwiedzili Niderlandy. Czy macie przyjaciół w obcych stronach, o których radzi byście co słyszeć?

— Nie, na honor, nie mam żadnego, odkąd ten sowizdrzał Robin Drysandford dostał kulą w łeb w czasie oblężenia Brillu. Niech diabli porwą rusznicę, co mu życie odjęła, bo prawdę mówiąc nie mieliśmy dotąd weselszego gościa. Lecz już go nie masz, niech z Bogiem spoczywa, a oprócz niego nie dałbym funta kłaków za żadnego z moich znajomych czy to żołnierza, czy wędrowca.

— No, no, dziwne! Jak to? Gdy tylu walecznych ziomków znajduje się za granicą, jakże być może, ażebyś waszeć, człowiek jak się zdaje dostatni i mający z ludźmi stosunki, nie miał między nimi ani krewnych, ani przyjaciół?

— Jeżeli idzie jeno o krewnych — odpowiedział Gosling — miałem ja jedną taką dziką latorośl w rodzinie—siostrzeńca, który nas opuścił ostatniego roku panowania królowej Marii, lecz tego niecotę wolałbym stracić na zawsze niż kiedy odzyskać.

— Nie mów tak, zacny gospodarzu, jeżeliś jeszcze nic złego o nim nie słyszał w ostatnich czasach. Niejeden niesforny źrebiec wyrósł na dzielnego rumaka. Jakże się nazywa ten wasz siostrzeniec?

— Michał Lamburn — odpowiedział oberżysta spod „Czarnego Niedźwiedzia” — syn mojej rodzonej siostry... Przykro mi wspomnieć o tym nazwisku i pokrewieństwie.

— Michał Lamburn! — zawołał nieznajomy, jakby usiłując przypomnieć sobie. — Czy to przypadkiem nie był ten, co tak pięknie popisał się pod Venloo, że hrabia Maurycy składał mu publiczne dzięki wobec całego wojska? Mówiono wtenczas, że był Anglikiem i nie bardzo wysokiego urodzenia.

— To już chyba nie mój siostrzeniec—odpowiedział. Gosling — bo ten ci umiał napsocić, ale odwagi miał tyle co kura.

— Lecz trzeba przyznać, że w polu niejeden nabiera odwagi.

— Nie przeczę, sądzą jednak, że nasz Michałek straciłby ją tam do reszty.

— Michał Lamburn, którego znałem — mówił dalej podróżny—był to dziarski i wesoły chłopiec, lubił się pięknie ubierać a miał sokole oko na ładne dziewczuchy.

— Nasz Michał patrzył jak pies, gdy mu się rzep do ogona przyczepi, a nosił opończę, w której łata siedziała na łacie.

— Ale w czasie wojny nie trudno o piękną suknię.

— Mój Michałek prędzej by ją porwał z tandetnego sklepu, gdy kramarz się odwróci, a co się tyczy tych oczu sokolich, o których mówicie, zawsze on nimi ścigał moje zabłąkane łyżki. Był ci on pomocnikiem piwniczego w tym błogosławionym domu przez jeden kwartał, ale jak zaczął gospodarować, pić na umór i drugich częstować, tak mi wysuszył beczki i opróżnił kieszenie, że gdybym go potrzymał drugie trzy miesiące, musiałbym niezawodnie zrzucić swój szyld, zamknąć gospodę i diabłu oddać klucze do schowania.

— A jednak zmartwiłbyś się niemało, gdybym ci powiedział, że biedny Michał Lamburn poległ na czele swego oddziału przy zdobyciu szańca niedaleko Maestrichtu.

— O, miałbym się czym martwić! Owszem, gdyby został zabity, cieszyłbym się z tej wiadomości, bo już bym był przynajmniej pewny, że nie zginął na szubienicy. Ale dajmy mu pokój: wątpię ja, ażeby zgon jego mógł przynieść jaką chlubę jego krewnym. Gdyby jednak tak było—dodał nalewając drugi kubek ze dzbana — to powiedziałbym z całego serca: Panie, świeć nad jego duszą!

— Zwolna, zwolna — odparł podróżny. — Nie przesądzajcie sprawy, nie wiadomo, czy was chlubą nie okrył wasz siostrzeniec, zwłaszcza jeżeli to ten sam Michał Lamburn, któremu znał i kochał jak siebie samego. Nie moglibyście przypomnieć sobie jakiego znaku, po którym byśmy przekonali się, że mówimy o jednym i tym samym Michale?

— Nie, nic podobnego nie przychodzi mi naprędce do głowy — odpowiedział Gosling — chyba to, że mój Michałek miał wypiętnowaną szubienicę na lewym ramieniu za to, że ukradł srebrny kubek u pani Snorth z Hogsditch.

— Łzesz jak pies, wujaszku!—zawołał nieznajomy odpinając kaftan i zrzucając z ramion koszulę. Świadcę się Bogiem i ludźmi, że moje ramię jest tak czyste jak twoje.

— Czy to ty, Michałku! — zawołał gospodarz. — Czy to ty, naprawdę? Przeczuwałem to od pół godziny, bo nie znam nikogo, co by z pierwszego wejrzenia połowę tego zainteresowania wzbudził we mnie, co ty. Lecz, Michałku, jeżeli, jak oświadczasz, twoje ramię nie poniosło żadnego szwanku, przyznasz zapewne, że tę grzeczność winieneś katowi Gudmanowi Thong, który przez litość pomacał cię tylko zimnym żelazem.

— Dostyc tych żartów, panie wuju, schowaj je do zaprawy skwaśnialego piwa, zobaczymy, jak podejmiesz tak bliskiego krewnego, który przez lat osiemnaście uwijał się po świecie, widział słońce zachodzące na wschodzie i aż tam zawędrował, gdzie zachód styka się ze wschodem.

— Jak widzę, przyniosłeś z sobą, Michałku, jeden z niepoślednich talentów wędrowca, lecz nie potrzeba ci było jeździć po niego tak daleko, bo przypominam sobie, że między innymi przymiotami, którymi cię obdarzyła natura, był także i ten, żeś nigdy i słowa prawdy nie wyrzekł.

— Otóż niedowiarek boży, moi panowie! — rzekł Michał Lamburn obracając się do tych, którzy byli świadkami dziwnego poznania między wujem i siostrzeńcem, a niektórzy z nich nawet, jako urodzeni w tej samej wiosce, znali dzikie wybryki jego młodości. — Otóż to jakiego tłustego cielca mój wujaszek z Cumnoru zabija na mój powrót przez widoczną życzliwość. Ależ ja, wuju, nie przychodzę tu spomiędzy świń i nie dbam o to, czy mnie dobrze przyjmiesz, czy źle; przynoszę z sobą to, co mi zapewnia dobre przyjęcie wszędzie, gdziekolwiek się obrócę.

To mówiąc wyjął spory mieszek, dobrze nabity złotymi pieniędzmi, co sprawiło widoczne na wszystkich wrażenie. Jedni kiwali głową, drudzy szeptali do siebie po cichu, inni, mniej subtelni, zaczęli się przyznawać do szkolnego koleżeństwa, do ziomkostwa i tak dalej. Tymczasem kilku cichych i poważnych ludzi, wzruszywszy ramionami, wyniosło się z karczmy mówiąc, że jeżeli Giles Gosling nie chce doznać w domu swoim jakiego nieszczęścia, powinien natychmiast wypędzić na cztery wiatry bezbożnego siostrzeńca. I Gosling zdawał się podzielać ich zdanie, bo nawet widok pieniędzy nie zrobił na czcigodnym oberżyscie tego wrażenia, jakie zwykle sprawia na ludziach jego powołania.

— Krewniaku Michale! — rzekł gospodarz. — Schowaj sobie swój woreczek, syn mojej siostry nic nie zapłaci w moim domu ani za nocleg, ani za wieczerzę; mówię — za nocleg, sądzę bowiem, że nie zechcesz dłużej popasać tu, gdzie cię wszyscy za dobrze znają.

— O tym potem, panie wujaszku. Co się tyczy wyboru miejsca na mieszkanie, radzić się w tym będę moich potrzeb i skłonności. Tymczasem chciałbym uczestować wieczerzą i czarką do poduszki poczciwych ziomków, którzy nie są na tyle dumni, by sobie nie przypominali Michała Lamburna, chłopca piwniczego. Jeżeli mi każesz zgotować kilka potraw za moje pieniądze, to zgoda, jeżeli nie, za kilka minut będę pod „Zającem”, a spodziewam się, że nasi sąsiedzi nie zechcą mi odmówić towarzystwa.

— Na to nie zezwolę, Michałku—odpowiedział wuj.—Gdy ci już przybyło lat osiemnaście i gdyś się zapewne trochę ustatkował, spodziewam się, że nie zechcesz opuszczać mojego domu, gdzie będziesz miał wszystko, czego tylko żądasz. Lecz chciałbym wiedzieć, czyli ten worek, którym się tak chelpisz, równie dobrze nabyty, jak nabity.

— Otóż nowa nieufność, nowe niedowiarstwo! — rzekł Lamburn obracając się do słuchaczy. — Mój godny wujaszek chciałby ciągle odwoływać się do głupstw mojej młodości i to po kilkunastu minionych latach. Co się tyczy tego złotka, byłem, moi panowie, tam gdzie ono rośnie i gdzie dosyć się nachylić, by naładować nim kieszenie. Byłem w Nowym Świecie, w Eldorado, moi przyjaciele, gdzie dzieci bawią się diamentami, proste dziewczki zamiast kalinowych naszyjników noszą rubinowe, gdzie wszystkie domy pokryte są złotą dachówką, a miasta brukowane czystym srebrem.

— Na Boga, panie Michale! — odezwał się młody Lawrence Goldthred, pierwszy z abingdońskich kramarzów. — Warto by tam pojechać i sklep założyć. A co by można zarobić na płótnie, bławatach, wstążkach, jedwabiu, tam gdzie tak pełno złota?

— Można by ciągnąć zyski nieobrachowane—odpowiedział Michał. — Osobliwie, gdyby piękny jaki i hoży kupiec, jak ty na przykład, panie Lawrence, sam roznosił po domach towary, bo trzeba ci wiedzieć, że kobiety tamtego kraju, nieco ogorzałe od słonecznego skwaru, zapalają się na widok gładkiej twarzy, jak gąbka przytknięta do ognia.

— Chciałbym tam handlować — rzekł kramarz.



— Nic łatwiejszego, jeśliś tylko zawsze ten sam gracki chłopiec, co mi pomagał kraść jabłka i gruszki z opackiego sadu. Nie trzeba być na to wielkim alchemikiem, żeby przetopić dom i grunta na gotowe pieniądze, gotowe pieniądze na okręt z żaglami, linami, kotwicami i innym potrzebnym sprzętem, potem złożyć na spód wszystkie towary, nająć kilkudziesięciu majtków, mnie dać nad nimi dowództwo i dalej prosto do Nowego Świata!

— Nauczyłeś go dobrego sekretu, krewniaku — odezwał się Gosling. — Jak przetopić (doskonale wyrażenie) czerwone złote na grosze, a płótno na nici. Nie słuchaj, sąsiedzie, głupiej rady, nie puszczaj się na morze, bo ono wszystko pochłania. Zgraj się w karty, zależ w długi po uszy, roztrwoń resztę na kobiety, zawsze jednak zakupione przez ojca towary wystarczą ci na parę lat życia, nim pójdziesz do szpitala; lecz wierz mi, morze ma bezdenny apetyt, pożarłoby od razu wszystkie bogactwa Lombardstreet/\* (\* Ośrodek finansjery londyńskiej) na jedno śniadanie, tak jak ja wypijam jajko na miękko i czarę gorzałki. Czy myślisz, że to prawda, co mój godny siostrzeniec o Eldorado powiada? Miej mnie nie wiem za co, jeżeli on nie znalazł go w kieszeni jakiego dudka podobnego tobie. Lecz dlatego, Michałku, nie bocz się, rozgość się i usiądź, bo już i wieczerza nadchodzi, na którą zapraszam wszystkich tu obecnych, dla uczczenia przybycia mojego siostrzeńca, w tej nadziei, że powrócił całkiem innym człowiekiem. Na sumienie, tak on podobny do mojej siostry jak dwie krople wody.

— Ale nie tyle do starego Benedykta Lamburna, chociaż jej małżonka — rzekł kramarz kiwając głową.

— Pamiętasz, Michałku, coś powiedział naszemu bakałarzowi, gdy cię rozciągnięto na stołku za to, żeś wywrócił kule, na których chodził twój ojciec? „Mądre to dziecko, rzekłeś, które zna swego ojca”. Dr Bricham śmiał się aż do łez i ten śmiech jego ciebie od płaczu wybawił.

— Co się przewlekło, to nie uciekło — rzekł Lamburn. — W kilka dni potem porządnie mi skórę wyłoił. Jakże się ma ten zacny pedagog?

— Umarł nieborak—odpowiedział Gosling—już dosyć dawno.

—Umarł—powtórzył organista.—Siedziałem przy nim, gdy oddawał ducha. Jak żył pobożnie, tak przykładnie umierał. Morior, mortuus sum vel fui mori—były jego ostatnie słowa, po czym dodał: „Skoniugowałem moje ostatnie verbum”.

— Niech z Bogiem spoczywa — rzekł Michał. — Nic mi on nie winien.

— Prawda, że ci nic nie winien — odpowiedział Goldthred—bo za każdym batogiem, co ci przylepił, zwykł był mawiać, że oszczędza pracy katowi.

— I myślałby kto, że mu nic nie zostawił do roboty — odezwał się organista. — A jednak posada Gudmana Thonga wcale nie była synekurą, dopóki tu przebywał nasz przyjaciel,

— Cóż tu, u kroćset diabłów, moi panowie! — zawołał zniecierpliwiony Lamburn porywając ze stołu kapelusz i nasuwając go na oczy, tak że cień padający od szerokich skrzydeł nadał złowrogi wyraz hiszpańskiego sztyletnika jego oczom i rysom, i tak już groźnym z natury.—Wszystko uchodzi między przyjaciółmi, lecz już dosyć pozwoliłem i memu zacnemu wujowi, i wam wszystkim stroić żarciki z kawałów mojej młodości. Pamiętajcie, że mam przy sobie sztylet i pałasz, mych wiernych przyjaciół, i wiem, jak ich użyć w potrzebie. Służąc długo w Hiszpanii nauczyłem się być tklwym na obrazę honoru, nie nadużywajcie mojej cierpliwości, proszę, do tego stopnia, ażebym się w gniewie zapomniał.

— I cóż nam zrobisz?—zapytał organista.

— Cóż nam zrobisz?—powtórzył kramarz przenosząc się na drugi koniec stołu.

— Tobie, panie organisto, poderżnę gardziołko, byś nie mógł beczeć w kościele w uroczyste święta, a ciebie, szanowny bławatniku, zbiję na kwaśne jabłko i zapakuję do skrzyni z towarami.

—Zgoda, zgoda, moi panowie!—rzekł karczmarz jednając zwaśnionych gości.—Po co te kłótnie w moim domu? Ty, panie siostrzeńcze, nie powinienes być tak skory do obrazy, a panowie pamiętajcie, że jeżeli znajdujecie się w karczmie, jesteście w gościnie u karczmarza i powinniście szanować honor jego rodziny. Od tego hałasu dostałem zawrotu głowy i zapomniałem na wieki, że w tamtym kącie siedzi „milczący gość”, jak go zawsze nazywam. Już drugi dzień, jak zajechał do mojej gospody, a jeszcze gęby nie otworzył do nikogo, chyba tylko wtedy, kiedy każe sobie jeść podać lub pyta, co się za to należy, nie zawraca głowy gospodarzowi, siedzi spokojnie jak

prosty wieśniak, a płaci po królewsku, nie wgląda w każdą rzecz z osobna, lecz spojrzy tylko na ogólną sumę i zaraz sypie pieniędzmi, a do tego sam nie wie jeszcze, kiedy stąd odjedzie. To mi brylant wśród gości, a jednak, jakie ze mnie ladaco! Zostawiam go w kącie jak zapowietrzonego i nie proszę ani do wieczerzy, ani do kieliszka. Dobrze by mi zapłacił za moją niegrzeczność, gdyby przed zmierzchem jeszcze przeniósł się pod „Zająca”. — To mówiąc, zarzuciwszy zgrabnie białą serwetę na lewe ramię, zdjął na moment aksamitną czapeczkę i ze srebrną flaszką w prawym ręku zbliżył się do samotnego gościa, na którego zaraz cała zebrana kompania obróciła oczy.

Ten gość samotny, mogący mieć lat około trzydziestu, był wzrostu więcej niż średniego, skromnie, ale porządnie ubrany, a w twarzy i w całej postawie miał jakiś wyraz godności, który zdawał się dowodzić, że strój obecny nie odpowiadał jego rzeczywistemu znaczeniu. Oblicze jego było poważne i zamyślane, włosy miał ciemne, a piwne oczy skutkiem chwilowego wzruszenia świeciły blaskiem wyjątkowym, ale zwykle miały tenże sam wyraz zamyślenia i spokoju, jaki malował się w rysach twarzy. Ciekawi wieśniacy chcieli koniecznie dowiedzieć się, kto to jest, jak się nazywa i po co przyjechał do Cumnor, lecz nic nie odkryli, co by w jakimkolwiek względzie mogło zaspokoić ich ciekawość. Giles Gosling, wójt gminy, gorliwy stronnik królowej Elżbiety i protestanckiej religii, przypuszczał zrazu, że gość jego był jezuitą, a przynajmniej świeckim księdzem, jakich Rzym i Hiszpania niemało przysyłały ku ozdobie angielskich szubienic, lecz nie podobna było żywić tak złego mniemania o gościu, który nie zawracał nikomu głowy, płacił regularnie rachunki i jak się zdawało, zamierzał dłuższy czas zabawić pod „Czarnym Niedźwiedziem”.

„Wszyscy papiści trzymają się za ręce—myślał sobie Gosling. — Gdyby ten jegomość do ich liczby należał, nie zajechałby pewnie do publicznego zajazdu, jak to czynią uczciwi ludzie i dobrzy chrześcijanie, ale zatrzymałby się u bogatego dziedzica w Besselsley albo u starego wielmoży w Wooton, lub w innej jakiej katolickiej spelunce. Przypominam też sobie, że ostatniego piątku zmiatał smacznie wołowinę, chociaż na stole znajdowały się śledzie i marynowany węgorz.”

Zacny Gosling doszedłszy przez podobne rozumowania do wniosku, że gość jego nie był katolikiem, zbliżył się doń z grzecznością, na jaką się tylko mógł zdobyć, prosząc,

by raczył napić się z nim i uświetnić swym towarzystwem wieczerzę, którą wydawał ku uczczeniu przybycia siostrzeńca i jego spodziewanej poprawy. Nieznajomy potrząsnął zrazu głową, jak gdyby chciał się wymówić od zaprosin, lecz gospodarz zaczął go przekonywać, mówiąc o zacności swego domu i domysłach, jakie wzbudzić może w mieszkańcach Cumnoru jego tak nietowarzystwie zachowanie.

— Na sumienie, mości panie, wziętość moja od tego zawisła, ażeby ludzie w moim domu byli weseli, mamy bowiem we wsi złe języki (i gdzież ich nie ma?), lubią one przypiąć łatkę tym, co nasunawszy czapkę na uszy siedzą zasepieni, jak gdyby rozmyślali o przeszłości, zamiast cieszyć się z radosnej pogody słonecznej, jaką Bóg zesłał w słodkim wejrzeniu, królowej Elżbiety, którą niech niebo błogosławi i zachowa w swojej świętej opiece!

— Nie ma w tym żadnej zdrady, panie gospodarzu!—odpowiedział nieznajomy—że ktoś na uboczu bawi się swymi myślami. Jesteś chyba dwukrotnie ode mnie starszy, wiedzieć przeto powinienes, że są pewne myśli, które nas dręczą i którym nie podobna powiedzieć: odczepcie się ode mnie i dajcie mi pokój.

— Jeżeli was dręczą jakie myśli natrętne i nie chcą ustąpić przed prostą angielszczyzną, sprowadzę z Oksfordu jednego z uczniów ojca Bacona, który je wystraszy logiką zaprawioną hebrajskimi słowami. Albo czemu, zacny gościu, nie zatopisz troski na dnie przezroczystego oceanu kanaryjskiego wina? Wybacz, łaskawy panie, moją wielomówność, jestem karczmarzem dawnej daty, lubię czasem ludziom prawdę powiedzieć. Z tą kwaśną miną wcale wam nie do twarzy, źle bardzo odbija ona przy błyszczącym bucie, bobrowym kapeluszu, pięknym odzieniu i niepróżnym worku. Oddaj ją do licha temu, kto słomą nogi okręca, głowę szmatą zawiązuje, potrzasa łachmanami, a w kieszeni nie ma ani jednego miedziaka na odpędzenie troski. Bądź dobrej myśli, panie, albowiem tym trunkiem wyciągniemy cię z krajów smutku i melancholii. Już zasiada do stołu wesoła drużyna chcąc sobie podochocić, nie zzymajmy się na nią jak diabeł na święconą wodę.

— Dobrze mówisz — rzekł nieznajomy ze smutnym uśmiechem, który mimo to rozświetlił mu twarz. — Dobrze mówisz, mój miły przyjacielu, komu frasunek czoło zasepi, jak mnie, ten nie powinien zakłócać uciechy szczęśliwych ludzi; dlatego wolę zasiąść z wami do kielicha, niżeli być uważanym za nieprzyjaciela wesołej biesiady.

To mówiąc powstał z miejsca i przeszedł do grona biesiadników. Byli oni po większej części ludźmi lubiącymi przy okazji najeść się i napić na koszt gospodarza, a do tego zachęceni przykładem Michała Lamburna przekroczyli już granice wstrzemięźliwości. Znać to było po głosie, jakim siostrzeniec gospodarza wypytywał się o dawnych znajomych i po hucznych śmiechach rozlegających się za każdą odpowiedzią. Sam Giles Gosling gorszył się niepomiarowaną wesołością swoich sąsiadów, gdyż mimo woli czuł jakiś szacunek dla nieznanego gościa. Zatrzymał się przeto o kilka kroków od stołu, przy którym siedzieli podchmieleni biesiadnicy i zaczął tłumaczyć ich niewłaściwe zachowanie.

— Słyszając ich rozmowę moglibyście sądzić, że każdy z nich wychowany między zbójcami i rozbija po traktach, ale jutro zobaczycie, że jeden jest pracowitym rzemieślnikiem, drugi uczciwym kupcem, co mierzy sukno łokciem krótszym tylko o dwa cale, trzeci płaci weksle gotową monetą, chociaż trochę lżejszą. Ten na przykład, który nałożył kapelusz na bakier, a z kudłatych włosów trochę do pudła podobny, ten, co siedzi w rozpiętej kurtce i gra rolę wielkiego pijaka, cóż na to powiecie, to pierwszy kupiec w Abingdonie, który gdy ma iść do sklepu, tak się od stóp do głów wymuska, tak pięknie wystroi, że go wziąć można za najbogatszego lorda. Mówi teraz, jak zamki odbijać, jak na drogach czyhać na przejeżdżających; słysząc go z boku można by sądzić, że co nocy uwija się po wielkim gościńcu między Hounslow a Londynem, gdy tymczasem on śpi jak zabity pod pierzyną mając świecę z jednej a Biblię z drugiej strony dla odstraszenia złych duchów.

— A wasz siostrzeniec Michał Lamburn, bohater biesiady, czy to takież sam niby piekielnik jak inni?

— Otoś waszeć zabił klina — odpowiedział gospodarz. — Mój siostrzeniec to jest mój siostrzeniec. Trzeba wiedzieć, że w młodszych latach był to urwis, jakiego nie masz pod słońcem, lecz mój Michałek przeszedłszy przez doświadczenie mógł się poprawić jak wielu innych, nieprawdaż? Nie chciałbym, żebyście wierzyli jak Ewangeli i temu wszystkiemu, com niedawno o nim powiedział. Poznałem od razu tego ptaszka, lecz gdy się zaczął chełpić, chciałem mu piórka przysmalić. Teraz, łaskawy panie, pod jakim nazwiskiem mogę mojego dostojnego gościa przedstawić tym ichmościom?

— Nazywam się Tressilian — odpowiedział nieznanomy.

— Tressilian? Piękne nazwisko i jeżeli się nie mylę, należące do kornwalijskich rodów, bo jak mówi południowe przysłowie :

Gdy na Pol, Tre, Pen imię zaczyna się czyje,

Że on rodem z Kornwalii, daję na to szyję!

Mamże więc powiedzieć: dostojny pan Tressilian z Kornwalii?

— Po co ten dodatek? Powiedz po prostu Tressilian i koniec na tym, a ręczę, że powiesz szczerą prawdę. Można mieć nazwisko od jednej z tych trzech zgłosek, a jednak być urodzonym o sto mil od góry Św. Michała.

Giles Gosling nie posuwając dalej ciekawości przedstawił Tressiliana swemu siostrzeńcowi i jego przyjaciółom, którzy powitawszy nowego towarzysza i wypiwszy jego zdrowie, powrócili do zaczętej rozmowy przyprawiając ją częstymi toastami.

## ROZDZIAŁ II

Czy mówicie o młodym panu Lancelocie?

Kupiec wenecki

Po krótkiej przerwie pan Lawrence, na usilną prośbę gospodarza i wesołe naleganie przyjaciół, zabawił ich następującą piosenką:

Nic mi leśnych ptasząt zgraje!

Ja nad sowę nie znam ptaka,

Sowie pierwsze miejsce daję,

Sowa godłem jest pijaka.

Zaszło słońce, ona właśnie

Rada huknie, rada wrzaśnie.

Więc choć późno, czas deszczowy,

Wypijmy zdrowie przyjaciółki sowy!

Mdły skowronek, nędzny ptaszek,

Prześni wieczór, prześni ranek;

Lecz my, żwawi, już do szklanek,

Aż się zacznie kurzyć z czaszek.

A wtórując, nim zadnieje,

Sowa się nam roześmieje.

Więc choć późno, czas deszczowy,

wypijmy zdrowie przyjaciółki sowy!

— Lubię takie piosenki! — odezwał się Lamburn, gdy kramarz przestał śpiewać.—Z jaką to uprzejmością witacie waszego przyjaciela! Wylicyliście mi niemałą litanie dawnych znajomych, a nie znajduję nazwiska, z którym by nie łączyło się smutne jakieś zdarzenie. Mówicie więc, że Swashing Wilhelm Wallingford rozstał się z tym światem?

— Rozstał się jak tłusty kozioł — rzekł jeden z biesiadników. — Zabity bowiem został przez starego Thatchama, dozorcę kniei książęcej, niedaleko zamku Donnington.

— Bo też lubił zwierzynę—odpowiedział Michał—a i kufle nieźle wysuszały; godzi się przeto wypić po szklaneczce na pamiątkę naszego przyjaciela. Dalej! Za mną, bracia! Gdy już oddano należny hołd godnemu nieboszczykowi, Lamburn zapytał, co się stało z Prancem Padworth.

— Wybrał się w daleką podróż już od lat dziesięciu—odpowiedział kramarz. — Wyruszył z zamku oksfordzkiego w asystencji Gudmana Thong i nie wziął nic z sobą na drogę oprócz stryczka za sześć groszy.

— Szkoda biednego Pranca! Powieszono nieboraka zapewne za to, że często lubił przechadzać się przy świetle księżyca. Do was, koledzy, na pomyślne dokończenie jego podróży! A gdzie obraca się ten, co to chodził z długim piórem — zapomniałem do licha jego nazwiska — co to mieszkał niedaleko Yattenden, zdaje się, na Hal... jeżeli się nie mylę?

— Hal Hempseed ? — podchwycił kramarz. — Przypominasz sobie zapewne, że on już kroił na szlachcica i wtykał swoje trzy grosze do wszystkich spraw publicznych. Otóż lat temu kilka wplątał się w spisek księcia Norfolk, musiał zmykać za granicę i odtąd nic o nim nie słyhać.

— Po tylu klęskach — rzekł Lamburn — zaledwie śmiem pytać o Antoniego Fostera, bo nie podobna, ażeby uchował się wśród takiej powodzi stryczków, strzałów i tym podobnych awantur.

— Kilku jest Antonich Fosterów, nie wiem, o którym z nich mówisz— odezwał się karczmarz.

— Cóż u licha! Jak można nie pamiętać tego, którego nazywano „Podpalaczem Stosu”, bo gdy wiatr zgasił pochodnię Gudmanowi Thong i gdy nikt nie chciał mu dać ognia ani darmo, ani za pieniądze, on przyniósł świecę i zapalił stos, na którym spłonął Latimer z Ridleyem.

— Antoni Foster żyje i dobrze mu się powodzi — odpowiedział gospodarz—lecz przestrzegam, Michałku, nie nazywaj go „Podpalaczem Stosu”, jeżeli nie chcesz dostać od niego po grzbiecie.

— Cóż to? Wstydzi się teraz tego nazwiska, którym dawniej tak się chełpił powtarzając często, że wszystko jedno dla niego, czy widzieć pieczonego heretyka, czy pieczonego wołu?



— To się działo za królowej Marii — odpowiedział karczmarz — kiedy ojciec Antoniego był wójtem w abingdońskim opactwie, lecz po jego śmierci Antek ożenił się z kalwinką i sam został zakutym kalwinem.

— Dodajże jeszcze, że zhardział, że zadziera nosa do góry i nie chce się bratać i dawnymi towarzyszami — odezwał się kramarz.

— Musiał skądś zdobyć grosza — rzekł Lamburn — bo wiadomo, że kto się wybija, ten nie lubi przestawać z tymi, których skarby znajdują się w cudzych kieszeniach.

— Musiał złapać grube pieniądze — rzekł kramarz. — Przypominasz sobie zapewne ów stary dwór cumnorski niedaleko cmentarza ?

— Jakżeby nie? Z tamtego sadu nieraz kradłem gruszki i jabłka. Mieszkał tam zawsze stary opat, ile razy zaraza grasowała w Abingdonie.

— Tak bywało przed laty — rzekł gospodarz — lecz teraz mieszka tam Antoni Foster za pozwoleniem jakiegoś wielkiego pana, któremu korona darowała dobra duchowne, nie dziw przeto, że się nie chce wdawać z ubogimi mieszkańcami Cumnoru, jakby sam był rycerzem.

— Nie koniec na tym — przerwał kramarz. — Wiem, co wbija w pychę Antoniego: ma on tam jakąś piękną kobietkę, której strzeże jak oka w głowie.

— Wszak mówiliście niedawno — rzekł Treesilian, po raz pierwszy wtrącając się do rozmowy—że Foster ożenił się z kalwinką?

— Z zabitą kalwinką, jakich mało na świecie—rzekł kramarz. — Żyła ona z mężem jak pies z kotem, lecz już umarła nieboga (Panie, świeć nad jej duszą!) i zostawiła Antoniemu jedną tylko córeczkę. Ale teraz słyhać, że nasz Antek ma się żenić z tą nieznaną, o której ludzie tyle dziwnych rzeczy powiadają.

— Co takiego powiadają?—zapytał Treesilian.

— Mówią, że piękna jak anioł—odpowiedział gospodarz.— Nikt nie wie, co to za jedna i skąd tu przybyła, a każdy chciałby wiedzieć, dlaczego ją Antoni przed światem zamyka. Ja jej nigdy nie widziałem, lecz podobno wy, panie Lawrence, widzieliście ją kiedyś?

— O, widziałem, widziałem! Powracając raz konno z Abingdonu przejeżdżałem pod oknami starego dworu, w którym znajdują się obrazy świętych i takie, które przedstawiają różne sceny historyczne. Nie była to zwyczajna droga, którą wszyscy

jeżdżą, gdyż ta prowadziła przez park, lecz widząc bramę trochę tylko przymkniętą, pomyślałem sobie, że z racji dawnej zażyłości wolno mi będzie przemknąć się aleją wysadzaną drzewami raz dla ochłodzenia się, gdyż dzień był bardzo gorący, a po wtóre dla uniknięcia kurzawy, bo miałem na sobie brzoskwiniowy kaftan wyszywany złotymi galonami.

— Widzisz go! — rzekł Lamburn. — Chciał się pochwalić przed piękną kobietą. Ach, trzpiocie, trzpiocie! Nigdy, widzę, nie zapomnisz swoich dawnych figłów.

— Nieprawda, nieprawda! — przerwał kramarz z pociesznym uśmiechem. — Czyniłem to jedynie z ciekawości, jedynie przez litość nad biedną istotą, bo też ta nieszczęśliwa dziewczyna nic nie widzi od rana do wieczora, tylko Antoniego Fostera z nawisłymi brwiami, twarzą jak u byka i krzywymi nogami.

— A ty chciałeś jej pokazać kształtną postać w jedwabnym kaftanie, kusą jak u kury nogę w kordobańskim bucie, okrągłą główkę w aksamitnej czapce, na której sterczało tureckie pióro ze złotą sprzączką, i twarz z uprzejmym uśmiechem. Tak, tak, każdy kupiec swój towar chwali, więc i ty chciałeś pochwalić się swoim. Nuże, bracia, niech nie próżnują butelki! Zdrowie długich ostróg, krótkich butów, pełnej kieszeni, pustej głowy!

— Jesteś widzę zazdrosny o mnie, Michałku—rzekł Goldthred—lecz jeśli los obdarzył mnie czymś pięknym, mógł udzielić tych przymiotów równie tobie jak komu innemu.

— Co za bezczelność!—zawołał Lamburn.—Tobie, mazgaju o plackowatej gębie i gburowatym obejściu, równać się z takim jak ja gentlemanem i żołnierzem?

— Pozwól, łaskawco!—rzekł Tressilian.—Niech ten jegomość kończy zaczęłą historię, bo tak piękny podług mnie ma dar opowiadania, że słuchałbym go do samej północy.

— Więcej mi przyznajecie, niżelim zasłużył—odrzekł mu Lawrence — lecz jeżeli miałem szczęście podobać się waszej miłości, opowiem, com widział, nie zważając na przycinki i uszczypliwe żarciki tego walecznego wojaka, który w Niderlandach zdobył więcej sińców niż pieniędzy. Otóż, gdym sobie jechał pod oknami starego dworu położywszy cugle na grzywie mojego kłusaka, po części dla wygody, a po części dlatego, bym łatwiej mógł wszystkiemu się przypatrzeć — słyszę, że ktoś odmyka okno, obracam się— stoi kobieta, bóstwo piękności, a chociaż mogę pochwalić się,

zem już niemało ładnych dziewcząt widywał i znam się na piękności równie jak i drudzy, wyznać jednak muszę, że mi się dotąd nie zdarzyło widzieć tak ślicznej istoty.

— Nie mógłżebyś nam opisać jej wyglądu? — zapytał Tressilian.

— Upewniam was, że była ubrana jak największa pani: najprzód miała na sobie atlasową suknię papuziego koloru, także same rękawy, stanik garnirowany morową kitajką i obłożony dokoła złotym i srebrnym galonem, a łokieć atlasu, żebym nie zełgał, mógł kosztować najmniej trzydzieści szylingów. A jej kapelusz, dalibóg, jeżeli mam prawdę powiedzieć, takiego kapelusza nie widziałem w tutejszych stronach, powleczone był jedwabną materia, przepasany złotymi galonami, jakie przychodzą z Wenecji i obszyty dokolusienką złotą frędzlą. Doprawdy było na co patrzeć i daję słowo, że już nic piękniejszego ani zrobić, ani wymyślić nie można. Jej suknia była...

— Nie pytam was o jej stroje i materie, panie kramarzu — rzekł Tressilian okazując pewną niecierpliwość, gdy kupiec wyliczał te wszystkie szczegóły.—Powiedz nam raczej, jakie jej włosy, jaka twarz...

— Co się tyczy twarzy, nie mogę o tym nic pewnego powiedzieć, wiem tylko, że trzymała w ręku wachlarz z kości słoniowej, misternie wykładany perłową macicą, a co do jej włosów, nie wchodząc w to, czy były jasne, czy ciemne, upewnić was mogę, że miała pod kapeluszem zieloną jedwabną siatkę, przetykaną złotymi nićmi.

—Ten o Pawle, ten o Gawle!—krzyknął Lamburn.—Co za kramarska pamięć, nie pytają cię, bałwanie, o suknie tej pani, lecz o jej cerę i rysy twarzy.

— Mówię ci wyraźnie—rzekł kramarz trochę zmieszany—że nie miałem czasu przypatrzeć się jej z bliska, bo gdy chciałem powiedzieć „dzień dobry” i już składałem usta do uśmiechu...

— Jak mała, kiedy porwie w łapy kasztan — przerwał Lamburn.

— Nie wiedzieć skąd wyskakuje Antoni z ogromnym drągiem...

— I grzmotnął po łbie nieproszonego gościa — przerwał gospodarz.

— Nie tak to łatwo, jak się mówi—rzekł z gniewem kupiec. — Nie przyszło do utarczki, prawda, że już podniósł drąg, pytał, dlaczego nie jechałem publicznym gościńcem, powiedział kilka niegrzecznych wyrazów, przez co do takiego mnie przyprowadził gniewu, żebym pewnie połamał mu wszystkie kości, gdybym się nie lękał, aby piękność nie zemdląła z przestachu.

— Wstydz się, marny człecze! — zawołał Lamburn. — Któryż rycerz lękał się kiedy wrażliwości niewieściej, gdy szło o uwolnienie pięknej dziewczicy z rąk olbrzyma, smoka albo czarnoksiężnika? Lecz po co ci tu gadać o smokach, kiedyś stchórzył przed muchą? Opuściłeś najpiękniejszą sposobność, jaka się nieczęsto nadarza.

— Popisz się lepiej, kiedyś taki tęgi: niedaleko stąd zamek zaczarowany, a w nim piękność strzeżona przez smoka. Ruszaj choć zaraz na złamanie karku!

—Pójdę! Dalibóg, pójdę! I to za kwartę wina. Albo nie, potrzebuję bielizny, połów sztukę holenderskiego płótna, ja postawię pięć czerwonych złotych—zabierz je sobie, jeżeli jutro nie pójdę do dworu i nie przymuszę Antoniego, by mnie sam zaprowadził do swego pięknego więźnia.

—Zgoda—rzekł kupiec.—Daję słowo, że wygram, choćbyś był tak śmiały, jak sam diabeł z piekła. Nasze zakłady damy gospodarzowi, ja także złożę u niego równą ilość pieniędzy, dopóki płótna nie przyślę.

— Nie przyjmuję zakładów na takie głupstwa — odpowiedział gospodarz.—Wypij, Michałku, co masz pod nosem i nie wdawaj się w takie przygody, bo powiadam ci, pan Foster tyle ma teraz znaczenia, że cię zapakować może na kilka lat do zamku oksfordzkiego albo zakuć w dyby.

— Czyż to nowina dla naszego Michałka?—rzekł kramarz. —Czy to raz siedział w kozie albo brząkał kajdanami? Lecz ja nie odstąpię od zakładu, dopóki nie zapłacisz przegranej .

— Kto? Ja przegranej? — zawołał Lamburn. — Śmiej się z tego! Tyle stoję o gniew Fostera, co pies o piątą nogę, zechce czy nie zechce, musi mię koniecznie zaznajomić ze swoją synogarlicą.

— Przystępuję do połowy przegranej—rzekł Tressilian — jeżeli mię weźmiecie z sobą.

— I cóż wam z tego przyjdzie?

—Wiem, że nic, chciałem tylko podziwiać waszą odwagę i roztropne męstwo. Jestem podróżnym, jeżdżę po świecie szukając niepospolitych wypadków, jak dawni błędni rycerze szukali niebezpiecznych przygód i chwalebnych czynów.

— Jeżeli wam tak bardzo zachciało się tych niepospolitych czynów, jutro zobaczycie, jak się popiszę, chociaż mało dbam o to, czy będę miał świadków mojej dzielności,

czy bez świadków wykonam, com sobie zamierzył. A teraz piję za pomyślnie dokonanie mego przedsięwzięcia, a kto mi godnie nie odpowie, ten niewart, że chodzi po świecie i szelmie uszy obetnę przy samym łbie.

Tu łyknął duszkiem ogromny puchar, pewnie dwunasty z rzędu, aż mu się rozum zmaćił. Lżył ostatnimi słowy kramarza, sadził krociami diabłów za to, że ten nie chciał pić za swoją przegraną.

—Będiesz się mi tu mądrzył! —zawołał Lamburn.—Ty trutniu, co tyle masz rozumu w głowie ile ja w piętach. Niech trupem padnę, jeżeli cię nie posiekam na pięćdziesiąt kawałków !

Porywał się już do pałasza w celu wykonania pogroźki, gdy dwaj parobcy karczemni wzięli go pod boki i zaprowadzili do pokoju, aby się trochę wyszumiał i wyspał. Po czym biesiadnicy powstali od stołu, pożegnali gospodarza, chociaż niejeden z nich chciałby jeszcze pozostać i dopóki mógł utrzymać się na nogach, lać w siebie dobry trunek, który nic nie kosztował. Na koniec, radzi nieradzi, musieli wynosić się z gospody, zostawiając w próżnej izbie Goslinga z Tressilianem.

— Nie pojmuję, doprawdy—rzekł Giles—jakie upodobanie znajdują nasi wielcy panowie w trwonieniu majątku na huczne zabawy, w krzątaniu się około gości, od których potem nie mogą wymagać żadnej zapłaty. Takie nadzwyczajne wypadki bardzo rzadko zdarzają się w mym domu; a ile razy pozwolę sobie kogoś darmo podjąć, ledwo mi serce nie pęknie z żalu. Każda z tych butelek, którą wypróżnił mój siostrzeniec z tymi opilcami, przyniosłaby mi najmniej połowę czystego zarobku, który teraz do strat niczym nienagrodzonych dopisać muszę. Na Boga, nie może mi to w głowie się pomieścić, jakie upodobanie mogą mieć ludzie w tych krzykach, burdach, przeklinaniu i bluźnierstwach, gdy zamiast pewnej korzyści, rzucają w błoto gotowy pieniąż. A jednak niejednen pan przesumiał ogromne dobra na takie zbytki, co zazwyczaj powodowało upadek niejednej karczmy: bo pytam, komu się zechce wstąpić pod „Czarnego Niedźwiedzia”, kiedy może darmo najęść się i napić u stołu lorda albo hrabiego?

Poznał Tressilian po zapale, z jakim Giles Gosling pomstował na pijaństwo, że wino zawróciło w trzeźwej głowie samego gospodarza. Unikając celowo nadmiaru trunku chciał skorzystać z chwilowej otwartości karczmarza dla wyciągnięcia dalszych

szczegółów o Antonim Fosterze i pięknej damie, którą kupiec widział we dworze, ale badania jego taki tylko odniosły skutek, że Giles Gosling, wpadłszy na nowy temat, z większym jeszcze uniesieniem zaczął pomstować przeciw podstępom płci pięknej, przyzywając na pomoc całą mądrość Salomona dla poparcia swoich dowodów. Na koniec zaczął łajać chłopaków, którzy zbierali ze stołu i sprząтали izbę, ganił ich niezręczność, a łącząc przykład z prawidłami, gdy chciał pokazać, jak zgrabnie odbywała się usługa pod „Trzema Bocianami”, najślawniejszej podówczas szynkowni w Londynie, stłukł półmisek, kilka szklanek i talerzy. Ten ostatni wypadek tak go zmieszał, że poszedł do łóżka, a wyspawszy się, nazajutrz obudził się całkiem innym człowiekiem.

### ROZDZIAŁ III

Mów co chcesz! — przy zakładzie stoję niezachwiany!  
Mniejsza, że trochę miałem w głowie, gdym go czynił;  
Skoro dłoń raz podałem, nie będziesz mię winił!  
Dotrzymam po trzeźwemu, com obiecał pijany.  
Stół szulerski

— Cóż porabia wasz siostrzeniec?—zapytał Tressilian Goslinga, który pierwszy ukazał się w gościnnej izbie. — Czy zdrow, co myśli o wczorajszym zakładzie?

— Już od dwóch godzin jest na nogach — odpowiedział karczmarz. — Poodwiedzał dawnych znajomych, wytarł wszystkie kąty i właśnie przed chwilą powrócił na śniadanie. Co się tyczy zakładu, życzę wam po przyjacielsku nie mieszać się do tej sprawy, równie jak do wszystkiego, cokolwiek mój Michałek doradzi. Lepiej zrobicie, kiedy ogrzejecie sobie żołądek ciepłym rosołem; po co wam zadawać się z tymi sowizdrzałami? Niech mój siostrzeniec i pan Goldthred prawują się o swój zakład, jak sami zechcą!

— Zdaje mi się, że sam nie wiesz, co sądzić o swoim siostrzeńcu i że go ani chwalić, ani ganić nie możesz bez pewnych wyrzutów sumienia.

— To prawda, mości Tressilianie — odpowiedział Gosling. — Z jednego boku szepce mi do ucha Rodzinne Przywiązanie: Ej, co robisz, Goslingu, po cóż oczerniasz własnego siostrzeńca? Dlaczego zniesławiasz przed ludźmi syna rodzonej siostry? Po co kalasz gniazdo, własną krew hańbisz? Lecz z drugiej strony przemawia Sprawiedliwość: Masz, mówi, w domu swoim znacznego gościa, jaki nie co dzień trafia się pod „Czarnym Niedźwiedziem”, który nie targuje się o cenę napojów i jedzenia — w oczy to wam mówię, panie Tressilianie, żeście tego nigdy nie uczynili (choć Bogiem a prawdą i nie mielibyście powodu) —który nie wie, po co przyjechał i kiedy odjedzie, masz, powiada, u siebie tak drogi klejnot, a będąc sam właścicielem zajazdu, płacąc od lat trzydziestu podatek do skarbu miasta Cumnor i będąc w tych latach wójtem całej gminy zezwolisz na to, aby tak nieocenionego gościa oszukał lub wpłatał w jakie nieszczęście twój godny siostrzeniec, pierwszy łotr pod słońcem, szuler, kuglarz, rozpustnik, mistrz siedmiu szatańskich umiejętności? Jeżeli

Lawrence'a wypędzi w swe sidła, mogę na to patrzeć przez palce, lecz powinienem ostrzec podróżnego, powinienem go wesprzeć zdrową radą, jeżeli jej tylko słuchać zechce.

— Nie odrzucam twej rady, dobry gospodarzu, lecz dawszy raz słowo nie mogę cofnąć się przed zakładem. Mimo to jednak udziel mi proszę niektórych objaśnień. Kto jest ten Foster i dlaczego tak troskliwie ukrywa przed światem jakąś kobietę?

— Bóg świadkiem, że nie mogę wam więcej powiedzieć nad to, coście o nim wczoraj słyszeli. Był to jeden z najgorliwszych papistów za czasów królowej Marii, lecz pod panowaniem Elżbiety został zapalonym protestantem. Był dawniej poddanym abingdońskiego opata, dziś żyje po pańsku w jego dworze, przed laty wreszcie był ubogi, dziś pan całą gębą. Powiadają ludzie, że w tym starym dworze znajdują się pokoje tak pięknie ustrojone, iż w nich mogłaby mieszkać sama królowa, niech Bóg ją błogosławi. Jedni mówią, że wykopał skarby w ogrodzie, drudzy, że duszę diabłu zaprzedał i stąd tak wielkie ma dostatki, inni przebąkują, że wykradł pieniądze i naczynia kościelne, które opat w czasie Reformacji schował w starym domostwie. Jakby nie było, jest bogaty, a Bóg i jego sumienie, a może i diabeł, lepiej wiedzą, jakim sposobem doszedł do tego. Nadto z natury zręczny i unikający towarzystwa, zerwał wszystkie stosunki z mieszkańcami wioski, jak gdyby strzegł jakiejś tajemnicy albo był ulepiony z lepszej od nas gliny. Jeżeli mój Michałek zechce z nim odnowić dawną znajomość, zaręczam, że się pokłóca, a może i do bitki przyjdzie. Żał mi jest, mości Tressilianie, żeście się koniecznie uparli towarzyszyć memu siostrzeńcowi w tej niebezpiecznej wyprawie.

Tressilian odpowiedział, że będzie postępował z największą ostrożnością i że niepotrzebnie obawia się o niego, słowem, zbywał go rozmaitymi zapewnieniami, jakimi zazwyczaj ludzie, gotowi do wykonania śmiałych przedsięwzięć, zbijają rady i przestrogi przyjaciół.

Tymczasem nasz podróżny spożywał ranny posiłek w towarzystwie karczmarza, a gdy już kończyli wyborne śniadanie, które im podała piękna Cecylia, córka gospodarza, wszedł do izby Michał Lamburn, bohater wczorajszej biesiady. Zrzuciwszy stare odzienie, w którym odbywał podróż, wystroił się w cienką, modną szatę, a z



wyszukanych kolorów i starannej troskliwości w ubraniu widać było, że chciał podobać się, a zarazem zadziwić przytomnych wytwornością ubioru.

— Dobrześ nas, wujaszku, wczoraj pokropił, lecz po mokrej nocy nastąpił suchy ranek. Warto odwilżyć gardło; każcie przynieść kilka butelek dobrego wina. Co ja widzę? Moja piękna Cecylia! Zostawiłem ją jeszcze w kołysce, a teraz... Jak wypiękniała, jak jej dobrze w tym aksamitnym gorseciku! Nie ma chyba bardziej gibkiej dziewczyny w całej Anglii! Cecylko, poznaj swego krewnego i przyjaciela, chodź, dziecię moje, niech cię uściskam i pobłogosławię.

— Powoli, powoli, panie siostrzeńcze! Co ci do mojej Cecylii? Daj jej spokój, bo przecież twoja matka była moją rodzoną siostrą i nie uchodzi, ażeby między wami było jakieś inne powinowactwo.

— Cóż to, wujaszku? Masz mię widzę za bisurmana<sup>1</sup>, myślisz, że nie umiem szanować najświętszych związków rodzinnych?

— Nie mówię ja o tym, lecz lubię zawsze mieć się na ostrożności. Prawda, że błyszczysz jak wąż, kiedy zrzuci na wiosnę starą skórę, mimo to jednak nie wśliźniesz się do mego raję!

1/ Bisurman— mahometanin; w przenośni—pogardliwa nazwa człowieka złych obyczajów.

Dobrze ja pilnuję mego dziecka: proszę cię, Michałku, wybij ją sobie z głowy. Aleś się ustroił! Oto mi gracki młodzian! Patrząc na ciebie i na pana Tressiliana, któż by nie powiedział, że ty pan z panów, a on pomocnik piwniczego?

— Chyba taki wieśniak jak wy, panie wujaszku, co się za piecem wychował, a nic nie wie o tym, co się dzieje za domem. Nie wiem, na czym ta sztuka polega, lecz chociaż umiem wejść do karczmy z gęstą miną i posuwistym krokiem, chociaż krzyczę na służbę, łykam duszkiem, czarkę za czarką, umiem kłać i ciskać pieniędzmi jak każdy z tych ichmościów, co to chodzą z długimi ostrogami i białymi piórami, lecz zabij mnie, mospanie, nie mogę przybrać ich wspaniałej postawy, chociaż próbowałem tego ze sto razy. Karczmarz sadowi mię na ostatnim miejscu, a gdy każę sobie coś podać, chłopiec odpowiada: „Zaraz, zaraz, mój przyjacielu”—bez najmniejszego znaku uszanowania. Lecz ja drwię z tego. Wystarczy mi, jeżeli tyle mam szlachetnej

postawy, że potrafię odurzyć Antoniego Podpalacza Stosu, a tego mi właśnie teraz potrzeba!

— Więc nie porzucasz zamiaru odwiedzenia dawnego towarzysza młodości? — zapytał Tressilian.

— Muszę go koniecznie odwiedzić, bo kto raz zakład uczynił, musi wygrać lub przegrać, takie jest prawo, jedno i nieodmienne na całym świecie. Waszeć także, jeżeli się nie mylę (bo wyznać trzeba, że wczoraj trochę byłem podchmielony), obiecałeś dołożyć się do części zakładu.

— I już oddałem ją do rąk naszego gospodarza, pragnę bowiem zostać uczestnikiem zamierzonej wyprawy, jeżeli mi nie odmówisz tej łaski.

— Kiedy już tak bardzo nastajecie na to — rzekł Gosling — ażeby odwiedzić Antoniego Fostera, życzę wam wszelkiej pomyślności, lecz radziłbym napić się na drogę po miarce starego wina, bo zdaje mi się, że doznacie u niego suchego przyjęcia. A jeżeliby od zwady miało przyjść do czego gorszego, nie porywajcie się do oręża, lecz przyślijcie po mnie, Gilesa Goslinga, wójta gminy, a ja mu przytrę tych rogów nie zważając na to, że tak się puszy.

Siostrzeniec posłuszny woli swojego wuja wychylił drugi ogromny puchar i oświadczył, że nigdy nie ma tak żywego i bystrego dowcipu, jak gdy z rana odwilży gardło gojącym balsamem, po czym po społu z Tressilianem wyruszyli do siedziby Antoniego Fostera.

Wieś Cumnor, rozrzucona malowniczo na pochyłości pagórka, przylegała do gęstego parku. Stał tam wiekowy dwór, którego ruiny i dziś może niezupełnie znikły; dawna posiadłość opatów a potem stolica Antoniego Fostera. W parku rosły rozłożyste drzewa, stuletnie dęby, które, rozpościerając olbrzymie konary poza wysokie mury otaczające dokoła posiadłość, nadawały jej ponury wygląd klasztornego odosobnienia. W głąb parku prowadziła szeroka starodawna brama, zaparta z tyłu dębowym drągiem i tak gęsto nabita żelaznymi gwoździami jak bramy ówczesnych miast.

— Trudno przyszłoby zdobyć szturmem tak warowną twierdzę — rzekł Lamburn oglądając mocne zapory — gdyby ten podejrzliwy człowiek nie chciał nas wpuścić dobrowolnie, czego łatwo domyślić się można po szorstkim powitaniu naszego kramarza, które go zapewne nabawiło niepokoju i zrobiło ostrożniejszym w podobnym

wypadku. Lecz nie—rzekł popychając ogromną bramę.—Puszczają zawiasy i już jestem w zakazanym kraju nie natrafiwszy na inne przeszkody, oprócz słabego oporu dębowej bramy, która się obraca na zardzewiałych wrzeciędzach.

Weszli w ciasną aleję ocienioną drzewami rozłożystymi, obrośniętą żywopłotem z cisu i ostrokrzewu, który, nie przecinany od wielu lat, z poziomych krzewów wybujał do znacznej wysokości, krzyżując się nad drogą obwisłymi gałęziami.

— Ciemno tu jak w wilczej paszczy — rzekł Lamburn do Tressiliana idąc wolnym krokiem zapuszczoną drogą i wychodząc przed wzniesiony przez mnichów, okryty bluszczem i pnączami, stary dom, o wąskich oknach i wysokich kominach wykutych z ciężkiego kamienia. — A jednak nie mam tego za złe Fosterowi — ciągnął dalej Lamburn. — Bo jeżeli nie chce przyjmować gości, dobrze zrobił, iż się tak obwarował, że niejednemu odpadnie chęć przestąpienia progu i naruszenia jego spokoju. Lecz gdyby był tym dawnym Antonim, którego znałem przed laty, dawno by już kupcy wywieźli do miasta tę dębinę i stare domisko weselej wyglądałoby o północy niż dziś w południe, a sam Antoni prędko by przepuścił wzięte zań pieniądze po szynkowniach w okolicy White-Friars.

— Więc dawniej był tak rozrzutny ? — spytał Tressilian.

— Był on, jak każdy z nas, ani święty, ani oszczędny. Lecz to mi się najbardziej w nim nie podobało, że ile razy chciał się zabawić, zawsze się krył przed ludźmi, jak pies przed muchami. Nie dałby ci kropli wody, choćbyś omdlewał z pragnienia, ani łyżki strawy, choćbyś puchł z głodu. Widziałem go nieraz spijającego tak ogromne kielichy, żebym do nich nie ważył się przystąpić, nie wezwawszy na pomoc najslawniejszych pijaków z Berhshire. Ta okoliczność, przy tym wrodzona skłonność do zabobonu i inne równie piękne przymioty czyniły go niegodnym towarzystwa dzielnych ludzi. Nie dziw przeto, że się zakopał w tej jamie, każdy chytry lis szuka podobnych zakątków.

— Pozwolisz zapytać, Lamburnie, dlaczego pragniesz odnowić z nim dawną znajomość, gdy wasze usposobienia tak są niezgodne?

— Pozwolisz także zapytać, panie Tressilianie, dlaczego tak bardzo chciałeś towarzyszyć mi w tych odwiedzinach?

—Już powiedziałem, dlaczego, przystępując do waszego zakładu: jedynie powodowany ciekawością...

— Gadaj waszmość zdrów! Jak to miła szlachta chciałaby nas prostych ludzi otumanić! Gdybym odpowiedział na wasze pytanie, że jedynie powodowany ciekawością odwiedzam dawnego towarzysza, taką odpowiedź wzięlibyście za wykręt, za szalbierstwo. Ale teraz muszę otrzymać jakąś sensowną odpowiedź!

— Dlaczegoż by sama ciekawość nie mogła być dostateczną przyczyną?

— Przestań, przestań, mości Tressilianie, nie tak łatwo wyprowadzić mię w pole, jak się wam zdaje, żyłem ja za długo w zgiełku wielkiego świata i umiem rozróżnić ziarno od plew. Widać po chodzie, po ułożeniu, po postawie, żeś szlachcic z dziada, pradziada i żeś odebrał staranne wychowanie; a potwierdził to mój wujaszek. Jednak pobratałeś się ze mną, łajdakiem, jak mnie ludzie nazywają, i wiedząc o tym dobrze, odwiedzasz nieznanomego człowieka, a wszystko dla samej ciekawości. Gdyby tę przyczynę położyć na sprawiedliwej szali, zbrakłoby tam zapewne czegoś do równowagi z prawdą.

— Choćby nawet sprawiedliwe były te podejrzenia — rzekł Tressilian — nie zwierzywszy się przede mną ze swych zamiarów, nie możesz wymagać ode mnie niezasłużonej ufności.

— Jeżeli tylko o to idzie, moje powody jasne jak słońce: dopóki jeszcze mam pieniądze — rzekł wyjmując mieszek z kieszeni, rzucając go w górę i łapiąc w powietrzu—mogę sobie pohulać, lecz gdy już będzie się kończył, trzeba się postarać o więcej. Jeżeli ta tajemnicza pani, którą Antoni troskliwie ukrywa, jest tak piękna, jak powiadają, zdarzyć się może, że przemieni moje złotko na miedziaki, a jeżeli Antoni w istocie taki bogacz, jak krąży o nim pogłoska, może będzie dla mnie filozoficznym kamieniem i miedziaki znowu na złoto przetopi.

— Wyborny projekt, nie wiem tylko, czy się uda.

—Nie dziś ani jutro—odpowiedział Lamburn.—Nie prędzej spodziewam się złapać tego starego lisa, póki nie zastawię doskonale sideł. Dziś rano dowiedziałem się o nim więcej niż wczoraj i tak go ze wszystkich stron zachodzić będę, jak gdybym wiedział o wszystkim. Mówię wam otwarcie, gdybym nie spodziewał się pewnego zysku i przyjemności, noga moja nie postałaby w tym domu; bo jeżeli mam prawdę powiedzieć, wyprawa nasza nie należy do najbezpieczniejszych. Lecz już początek zrobiony, trudno się cofać.

Gdy domawiał tych słów, weszli do obszernego sadu z dwóch stron otaczającego dom, gdzie zdziczałe drzewa, od dawna nie tknięte ręką człowieka, porośnięte mchem i najeżone suchymi gałęziami, mało zdawały się rodzić owoców. Długie szpalery, niegdyś strzyżone pod jedną miarę, dziś zostawione naturalnemu wzrostowi, wyrosły w dziwaczne kształty. Na miejscu kwiecistych klombów, które przed laty zajmowały większą część ogrodu, wyrosły chwasty i kolące ciernie, wyjąwszy kilka grządek skopanych i zasadzonych warzywem. Posągi, zdobiące ogród w czasach jego świetności, leżały potłuczone przy podnóżach, a letni domek z kamiennym fryzem, który przed laty zdobiła rzeźba obrazująca życie i czyny Samsona, równie był spustoszony.

Gdy już przeszli ogród świadczący o próżniactwie właściciela i byli tylko o kilka kroków od dworu, Lamburn uciął rozmowę; okoliczność była nader przyjemna dla Tressiliana, bo uwalniała go od odpowiedzi na szczere wyznanie zamiarów, które go tu sprowadziły. Lamburn śmiało zakłatał do drzwi czyniąc uwagę, że tak mocnych zamków nie widział w żadnym więzieniu. Dopiero po kilkakrotnym pukaniu wyszedł stary sługa o ponurym wejrzeniu, wyjrzał przez małe okienko we drzwiach, zabezpieczone żelaznymi kratami i zapytał, czego potrzebują.

— Pomówić z panem Fosterem w bardzo ważnych interesach państwowych — odpowiedział Lamburn bez zająknięcia.

— Wątpię, czy potrafisz dokonać tego, coś sobie postanowił — rzekł po cichu Tressilian, gdy sługa odszedł w poselstwie do swego pana.

— Co waszmość prawisz?—odpowiedział awanturnik.— Żaden żołnierz kroku naprzód by nie zrobił, gdyby się stale na to oglądał, czy i jakim się sposobem wycofa. Byle nas tylko puszczono, wszystko pójdzie jak z płatka.

Wkrótce powrócił sługa, a odkręciwszy rygiel i odsunąwszy zasuwę otworzył drzwi i wprowadził gości sklepionym korytarzem na czworokątny dziedziniec, ze wszech stron zabudowany. Otworzył potem drugie drzwi i wpuścił ich do obszernej sali z kamienną posadzką, gdzie było kilka staroświeckich i zużytych sprzętów.. Długie i szerokie okna sięgały niemal do sufitu, wyłożonego czarną dębina; wychodzące na dziedziniec i ocienione wysokimi zabudowaniami, a do tego przecięte kamiennymi ramami i zamalowane obrazami na tematy biblijne, okna te, choć ogromne, nie mogły

przepuszczać dostatecznej ilości światła, a to, co się przecisnęło, nabierało od malowanych szkielek ciemnego koloru.

Tressilian i jego towarzysze mieli dość czasu na przypatrzenie się tym szczegółom, bo długo czekać musieli, nim wyszedł gospodarz domu. Choć Tressilian przygotowany był zobaczyć nieprzyjemną i odrażającą postać, jednak szpetność twarzy Antoniego Fostera przechodziła wszystko, cokolwiek najszpetniejszego mógł sobie wyobrazić. Był on miernego wzrostu i mocno zbudowany, lecz tak niekształtny, że zdawało się, jakby był kaleką, wszystkie jego ruchy miały niezgrabność kulawego i zarazem garbatego człowieka. Włosy, ta najprzedniejsza ozdoba głowy, którą ludzie tak w dawnych jak i teraźniejszych czasach troskliwie pielęgnują, nie będąc przystojnie utrefione albo z krótko podcięte do góry, jak widać na dawnych malowidłach i jak dziś jeszcze noszą modne fircyki, spadały na czoło spod baraniej czapy w pozlepianych kudłach, które nigdy nie widziały grzebienia. Żywe czarne, oczy, zapadłe pod szerokimi i nawisłymi brwiami, były w dół spuszczone, jak gdyby wstydziły się swego wyrazu i chciały go ukryć przed ludźmi. Lecz gdy je podniósł z nagłą, chcąc się komu przypatrzeć lub rzucić śmiało spojrzenie na tych, z którymi rozmawiał, wtenczas zdawały się w nich malować gwałtowne namiętności i moc duszy mogąca podług upodobania opanować i zataić to, co się wewnątrz działo. Inne rysy twarzy, równie jak oczy, były nieregularne, lecz tak wyraziste, że kto je raz tylko zobaczył, nigdy mu już nie wyszły z pamięci. Miał na sobie kurtkę z czerwonej skóry, jaką podówczas nosili zamożniejsi chłopcy, opasaną bawolim rzemieniem, za którym z jednej strony był zatknięty długi nóż, z drugiej puginał. Wchodząc do sali rzucił przenikliwe spojrzenie na obu gości, potem spuściwszy w dół oczy, jak gdyby liczył. własne kroki, rzekł niskim głosem, zbliżając się powoli na środek komnaty.

— Powiedźcie, proszę, po coście tu przyszli, moi panowie? I spojrzał na Tressiliana, oczekując od niego odpowiedzi. Jednakże nie Tressilian, ale Michał odpowiedział na to zapytanie ze szczerą poufałością dawnego znajomego, który nie wątpi bynajmniej w serdeczne przyjęcie.

— Witam cię, drogi przyjacielu!—zawołał porywając go za rękę i wstrząsając z taką mocą, że barczysty Antoni aż się zachwiał. — Jakże się miewasz po tylu latach

niewidzenia? Cóż, u licha, czy nie poznajesz twojego przyjaciela, dawnego towarzysza młodości, Michała Lamburna?

— Michała Lamburna?—rzekł Foster spoglądając na niego, potem spuściwszy oczy i bez ceremonii wyrwawszy rękę z przyjacielskiej dłoni zapytał: — Czyś doprawdy Michał Lamburn ?

— Nie inaczej, tak jak ty Antoni Foster.

— Niech i tak będzie — odpowiedział gospodarz. — Czegóż chce ode mnie Michał Lamburn?

— Voto a Dios! Nie spodziewałem się tak oziębłego przyjęcia.

— Ty łgarzu, szubieniczniku, maszże czoło spodziewać się lepszego przyjęcia od tego, który się nie lęka tyburneńskiej/1 załogi. (1/ Tyburn—plac w Londynie, gdzie dawniej tracono złoczyńców.)

— Wszystko być może, przypuszczam nawet, że w istocie jestem taki, jak powiadasz, dowiodę wszakże, że wyśmienicie dotrzymać mogę towarzystwa dawnemu przyjacielowi Antoniemu, Podpalaczowi Stosu, który na razie nie wie, jakim sposobem został panem dworu cumnorskiego.

— Słuchaj, Michale! Grasz doskonale w karty, umiesz obliczyć z góry wszystkie szanse wygranej i przegranej: oblicz więc, czy cię natychmiast nie wyrzucę przez okno?

— Stawiam dwadzieścia przeciw jednemu, że tego nie zrobisz!

— Czemu nie miałbym tego zrobić?—zapytał Foster zagryzając wargi, by opanować wewnętrzne wzburzenie.

— Bo gdybyś mię palcem trącił — odpowiedział Lamburn z najzimniejszą krwią — to bym cię w kawałki rozszarpał. Jestem młodszy i silniejszy od ciebie, a poza tym siedzi we mnie czart, który choć nie ma nic wspólnego z tym chytrym diabłem, co to ryje norę pod ziemią, byle dopiąć swego, co podkłada stryczki pod poduszkę i jak powiadają w teatrze, truje szczury podstawionymi przysmaczkami, jest jednak pioruńsko silny.

Foster spojrzał na niego surowo, odwrócił się, przeszedł się po pokoju wolnym krokiem, potem zbliżywszy się z nagłą, ścisnął go za rękę i rzekł:

— Nie gniewaj się, Michałku, chciałem się tylko przekonać, czyś nie stracił tej szlachetnej otwartości, którą zazdrośnicy i oszczercy nazywali bezczelnością.

— Niech jak chcą nazywają, jest to przymiot koniecznie potrzebny w świecie. Do stu par diabłów! Puszczając się w świat, nie miałem jeszcze tyle zapasu niezachwianej pewności siebie, ile mi było potrzeba, więc ile razy zawiąłem do jakiego portu w podróży życia, brałem po kilka cetnarów tego ładunku, a dla zrobienia miejsca nowemu nabytkowi, wyrzucałem w morze, co mi jeszcze pozostawało z dawnej skromności i skrupułów.

— Co się tyczy skromności i skrupułów, zdaje mi się, żeś bez nich z domu wyjechał. Lecz któż jest ten jegomość, panie Michale?

— Jest to pan Tressilian — rzekł Lamburn przedstawiając swego towarzysza. — Znaj go i szanuj, bo to szlachcic obdarzony wielu pięknymi przymiotami, a choć nie para się moim rzemiosłem, o ile wiem przynajmniej, ma jednak w wielkim szacunku i podziwie mistrzów naszych umiejętności. Z czasem i on nabędzie wprawy, jak się to nierzadko zdarza, lecz, jak widzisz, jest on jeszcze neofita, prozelita<sup>1</sup> i dlatego właśnie szuka znajomości z wytrawnymi mistrzami; bo kto chce dobrze bić się na pałasze, powinien uczęszczać do szkoły fechtunku dla przypatrzenia się, jak doskonali nauczyciele władają orężem.

— Jeżeli takie są jego przymioty, przejdźmy, zacny Michałku, do drugiego pokoju, chcę bowiem z tobą na osobności pomówić. Tymczasem, mości Tressilianie, zostań w tej sali i nie odchodź stąd nigdzie, bo w tym domu są osoby, które by mogły przestraszyć się widokiem nieznanego człowieka.

Tressilian okazał skinieniem głowy, że przystaje na uczynioną propozycję, po czym dwaj godni przyjaciele wyszli z sali, w której został sam jeden czekając ich powrotu.

<sup>1</sup>Prozelita—poganin, który przyjął religię mojżeszową. Dziś oznacza chrześcijanina, który zmienił wyznanie.



## ROZDZIAŁ IV

Nikt dwom panom nie służy — przecież tak się robi,  
Kmieć ten z diabłem się razem do zbrodni sposobi,  
A gdy chwila jej skutku przeminie obrzydła,  
Mówi pacierz i Bogu śle grzeszne kadzidła.  
Dawna komedia

Foster zaprowadził zacnego gościa do drugiego pokoju, który był obszerniejszy od pierwszego i bardziej jeszcze opuszczony. Przy ścianach stały duże szafy dębowe z takimiz półkami, służące niegdyś znacznemu zbiorowi książek, z których jedne poszarpane, drugie odarte z okładek i kosztownych klamer, pokryte kurzem, leżały zwalone na kupę, jak rzeczy nie mające żadnej wartości i wydane na pastwę pierwszego lepszego łupieżcy. Nawet szafy poniosły niemały uszczerbek przez złość tych wrogów wiedzy, co zniszczyli wielką liczbę dzieł, którymi niegdyś były napełnione. Z jednych wyrzucono półki, drugie porąbano lub połamano, a wszystkie okryte były pyłem i powleczone pajęczyną.

— Ci, którzy pisali te książki — rzekł Lamburn — nie wiedzieli zapewne, w czyje się one ręce dostaną.

— Ani jaki ja z nich zrobię użytek—dodał Foster.—Mój kucharz ściera nimi stoły, a chłopiec czyści buty i świece zapala.

— A jednak byłem w miastach—rzekł Lamburn—gdzie takie rzeczy uważano by za zbyt cenne na podobny użytek.

— Jest to prywatna biblioteka tego starego gaduły abingdońskiego opata. Te szpargały od najmniejszego do największego zawierają same brednie papistów i nie mają u mnie żadnej wartości.

— Opamiętaj się, panie Antoni, Podpalaczu Stosu! Co wygadujesz, człowiecze?

Foster spojrział na niego spode łba i rzekł:

— Słuchaj, Michałku, zapomnij o tym przezwisku i okoliczności, do której się odnosi, jeżeli nie chcesz, ażeby nasza odnowiona znajomość nagłą umarła śmiercią.

— A jednak był czas, kiedy chlubiłeś się tym, żeś się przyczynił do śmierci dwóch heretyckich biskupów.

— Wtenczas, mój przyjacielu, byłem pogrążony w morzu goryczy i skrępowany więzami niegodziwości, lecz odkąd Pan powołał mię do swego przybytku i pomieścił w liczbie sług wybranych, wyrzekłem się dawnych błędów i zmieniłem drogę życia. Zacny Melchizedech Maultex porównywał moje przeszłe nieszczęścia z nieszczęściem Pawła Apostoła będącego w służbie u tych, którzy ukamienowali świętego Szczepana. Przez trzy niedziele miewał o tym kazania i objaśniał rzecz przykładem znamienitej osoby z grona słuchaczy, mając mnie na myśli.

— Proszę cię, przestań, Antoni, bo nie wiem dlaczego powstają mi włosy na głowie, ile razy słyszę diabła odwołującego się do Pisma świętego. Lecz jak miałeś sumienie odmieniać starodawną religię jak rękawiczkę, którą podług upodobania zrzucić i naciągnąć można? Pamiętam dobrze, jak co miesiąc chodziłeś do spowiedzi, a gdy cię kapłan rozgrzeszył i wybielił skalane sumienie, tyś je znowu plamił nową niegodziwością, jak dziecko, które biegnie do kałuży, skoro je rodzice ubiorą w niedzielę w białe ubranko.

— Nie troszcz się, proszę, o moje sumienie. Nie możesz znać się na tym, czegoś sam nigdy nie miał. Lecz przystąpmy do rzeczy: powiedz mi krótko, jaki masz do mnie interes i co cię tu przywiodło?

— Nie co innego, tylko nadzieja polepszenia bytu—odpowiedział Lamburn—jak to mówiła pewna staruszka rzucając się w wodę z mostu w Kingston. Widzisz sakiewkę, oto reszta dawnego zapasu, jaki człek chciałby zawsze mieć w kieszeni. Nieźle ci się tutaj powodzi, jak widzę, masz dobre za sobą plecy, jak powiadają ludzie, bo wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi, Nie można tego dostąpić za lada fraszkę, musiałeś położyć niemałe zasługi. Otóż przychodzę ofiarując ci moją pomoc.

— A jeżeli nie potrzebuję twojej pomocy, cóż na to powiesz, Michałku? Zdaje mi się, że twoja skromność nie weźmie mi za złe odrzucenia usług, bez których obejść się mogę?

— Czyli, innymi słowy, wolisz sam dźwigać cały ciężar, ażeby z nikim nie dzielić się zyskiem. Nie bądź tak chciwy, Antolku. Kto nad miarę pcha do wora, ten traci wszystko; bo wór przepchany musi nareszcie pęknąć. Bierz raczej przykład z myśliwego, co jadąc na polowanie zabiera z sobą nie tylko ciężkie ogary do wytropienia i wygonienia zwierza, lecz i lotne charty, które dościgną i zduszą

wypędzonego z kniei jelenia. Otóż ty jesteś gończy, a ja chart; twój pan potrzebuje obydwóch i może nieźle nagrodzić. Ciebie obdarzyła natura głęboką rozważą, niezmordowaną wytrwałością w przeprowadzeniu zaczętych rzeczy i uporczywą złośliwością, na czym mnie zbywa, ale za to jestem śmielszy, sprawniejszy, bardziej pomysłowy i prędszy w wykonaniu ułożonych planów. Oddzielnie nasze przymioty są wręcz doskonałe, lecz gdy je połączymy, ruszymy świat z posad. Cóż ty na to? Czy będziemy razem polowali ?

— Patrz, czego mu się zachciewa—odpowiedział Foster.— Wtrącać się chce w cudze sprawy. Lecz nie dziwię się temu, ty zawsze byłeś natrętny, nawet jako szczeniak.

— Nie będziesz miał powodu tak mówić, jeżeli przystaniesz na moją propozycję. Zresztą czyn, jak ci się podoba, lecz pamiętaj, że gdy odrzucisz moje usługi, zniweczę twoje zamysły. Trzymaj się lepiej z dala ode mnie, gdyż przybyłem tu, by działać wspólnie z tobą albo przeciwko tobie.

— Ponieważ zostawiasz mi wolny wybór, wolę być twoim przyjacielem niżeli wrogiem. Nie omyliłeś się, Michałku, mogę ci nastreczyć służbę u dobrego pana, który potrafi zatrudnić i nagrodzić nas obydwóch i stu nam podobnych, a mówiąc prawdę, dobrze się nadajesz do tej służby. Potrzebuje on śmiałego i sprawnego człowieka. Księgi sądowe świadczą na twoją stronę: potrzebuje takiego, który by nie lękał się wyrzutów sumienia. Któż kiedy posądzał cię o nie? Na koniec, kto chce służyć wielkiemu panu, powinien mieć pewność siebie, a twoje czoło jest hartowne jak mediolańska zbroja. Chciałbym tylko, żebyś się pozbył pewnej wady.

— Jakiej, mój Aniołku? Mów, klnę się na poduszkę siedmiu braci śpiących, że się natychmiast poprawię.

— Otóż i w tych słowach przebija ta przywara—odpowiedział Foster. — Twoja mowa zbyt przypomina dawne czasy, ledwo otworzysz gębę, sadzisz tysiącami przekleństw, które trącają papizmem. Nadto twa powierzchowność jest zbyt wyzywająca! Nie możesz godnie reprezentować pana, któremu idzie o utrzymanie sławy imienia przed całym światem. Trzeba, żebyś nieco spoważniał i poczynił zmiany w ubraniu: powinieneś nosić płaszcz na oba ramiona i kapelusz z szerokimi skrzydłami, zwięzić szerokie spodnie, chodzić do kościoła przynajmniej raz w miesiącu, zaklinać się tylko na wiarę

i sumienie, odmienić ten wzrok zbójecki, na koniec nigdy się nie rwać do oręza, chyba wtenczas, gdy tego wymaga potrzeba konieczna.

—Czyś oszalał, Antoni?—zawołał Lamburn.—Opisałeś raczej odźwiernego starej purytanki niżeli sługę dumnego dworaka. Gdybyś mnie przerobił podług tego wzoru, musiałbym zamiast puginału zatknąć za pas „Żywoty świętych”, a nie wiadomo jeszcze, czybym miał tyle śmiałości, by odprowadzić do kościoła bogatą mieszczańkę i wyklócić się z jej sąsiadem o kawał zajętego gruntu. Trochę inaczej winien się zachowywać ten, kto ma być w orszaku wielkiego pana i towarzyszyć mu na pokoje królewskie.

— Musisz wiedzieć — odpowiedział Foster — że niemałe zmiany zaszły w obyczajach, odkąd opuściłeś Anglię i że teraz wielu jest takich, co z najtrudniejszych opresji wychodzą, chociaż, ani się przechwalają, ani klną.

— Czyli, inaczej mówiąc, ci ichmościowie założyli spółkę handlową z diabłem, chociaż nie wymawiają jego imienia. Mimo wszystko, jeżeli ten nowy świat tak jest wymyślny, wolę się przystosować niż stracić grunt pod nogami. Lecz, Antolku, jak się nazywa ten pan, dla którego mam zostać obłudnikiem?

— Aha, Michałku, już z tej strony zachodzisz? Chciałbyś, widzę, od razu przeniknąć wszystkie moje sprawy? Skąd wiesz, że taka osoba istnieje in rerum natura! \*/ (W rzeczywistości, na świecie.) Może chciałem tylko podrażnić się z tobą?

— Ze mną podrażnić się?—zawołał Lamburn wcale tym nie zaskoczony.—Ty barania głowo! Pamiętaj, że choć jesteś brudny i podły, jednego dnia przejrzę ciebie i twoje domowe interesy.

W tej chwili krzyk, który rozległ się w przyległym pokoju, przerwał ich rozmowę.

— Na święty krzyż Abingdonu! — zawołał Foster zapominając z przestachu o swoim protestantyzmie. — Jestem zgubiony na wieki! — To mówiąc puścił się ze swym gościem do pokoju, z którego głos dał się słyszeć. Lecz aby wiedzieć, co to był za głos, który przerwał ich rozmowę, trzeba trochę cofnąć naszą opowieść.

Powiedzieliśmy już, że Foster wychodząc z Lamburnem do biblioteki, zostawił Tressiliana w staroświeckiej sali. Młodzieniec rzucił za nimi wzrokiem pełnym pogardy. Nie szczędził jej zresztą i sobie za to, że obcować musiał, choćby przez chwilę, z takimi łotrami. — Tacy to są towarzysze — mówił sam do siebie — których

mi przeznaczyła, Amelio, twoja nierozważna płochość i twoja okrutna niesprawiedliwość. Powołany do wyższych przeznaczeń, gardzić muszę sam sobą i ściągać na siebie pogardę drugich zniżając się do takiego upodlenia, a wszystko to z miłości dla ciebie. Lecz nie przestanę cię szukać, ciebie, która byłaś przedmiotem najczystszej uwielbienia, a dziś jesteś powodem żalu i gorzkich łez. Wyrwę cię z rąk tego zdrajcy, ochronię od zguby, którą sama sobie gotujesz, wrócę cię twoim rodzicom i twojemu Bogu! Może nie ujrzę cię więcej, gwiazdo jaśniejąca na niebieskim sklepieniu, skąd dobrowolnie zstąpiłaś, lecz...

Lekki szmer w pokoju przerwał jego marzenia. Obejrzał się i zobaczył piękną kobietę w bogatych szatach, wchodzącą bocznymi drzwiami — była to ta, której szukał. Ulegając pierwszemu odruchowi, zasłonił twarz kołnierzem od płaszcza, chcąc wtenczas dopiero dać się poznać, gdy będzie czas po temu. Lecz młoda niewiasta (nie miała więcej nad osiemnaście lat), nie pozwoliła mu się długo ukrywać. Lekkim krokiem podbiegła do niego i swobodnie pociągając za płaszcz rzekła wesołym głosem:

— Nie zwiedzisz mnie, miły przyjacielu, kazawszy tak długo czekać na siebie, chcesz jeszcze maskować się przede mną? Oskarżony jesteś o zdradę przed trybunałem miłości: musisz stanąć osobiście i tłumaczyć się z odkrytą twarzą. Cóż masz na swoją obronę? Mów, winny jesteś, czy niewinny?

— Niestety, Amelio! — rzekł Tressilian smutnym głosem, odsłaniając oblicze. Brzmienie głosu a bardziej jeszcze jego niespodziewana obecność zmieniły natychmiast swobodną wesołość młodej kobiety. Oskoczyła o kilka kroków, zbladła jak śmierć i zakryła twarz obiema rękami. Przez chwilę Tressilian nie mógł wymówić słowa z powodu wielkiego wzruszenia, lecz chcąc skorzystać z chwili, jaka już mogła nigdy więcej się nie zdarzyć, przemówił cichym głosem: — Nie lękaj się mnie, Amelio.

— Czegóż bym miała się lękać?—rzekła opuszczając ręce i ukazując twarz okrytą jasnym rumieńcem. — Czegóż bym miała lękać się ciebie, panie Tressilianie? Lecz po co przychodzisz do mego mieszkania, nie będąc ani pożądanym, ani o to proszonym ?

— Do twego mieszkania? Więc więzienie nazywasz swoim mieszkaniem? Węzienie strzeżone przez najohydniejszego z ludzi, lecz nie większego niecnotę nad tego zdrajcę, który go na tym miejscu osadził?

— Ten dom należy do mnie! — odpowiedziała Amelia. — Do mnie, ponieważ obrałam go na moje mieszkanie, a jeżeli spodobało mi się żyć na uboczu, któż ma prawo sprzeciwiać się niej woli?

— Twój ojciec, twój strapiony ojciec, który mnie wysłał za tobą i przelał na mnie tę władzę, której sam nie może sprawować. Czytaj ten list! Pisał go błogosławiąc udręczenia ciała, które przytłumiły w nim na chwilę cierpienia duszy.

— Udręczenia ciała? Czy ojciec jest chory? •

— Tak chory, że wątpić należy, czy twój nawet najspieszniejszy powrót zdoła przywrócić mu zdrowie, lecz w jednej chwili wszystko będzie gotowe do twego wyjazdu, skoro tylko nań się zgodzisz.

— Tressilianie, nie mogę, nie powinnam, nie śmiem opuszczać tego miejsca. Powróć do mego ojca i powiedz mu, że otrzymam pozwolenie odwiedzenia go w przeciągu dwunastu godzin. Powiedz, że mi się dobrze powodzi, że jestem szczęśliwa, a byłabym stokroć szczęśliwsza, gdybym mogła wiedzieć, że on jest szczęśliwy. Powiedz, że niezawodnie przybędą i położę koniec wszystkim jego zgryzotom, których bylam przyczyną. Biedna Amelia nie śmie powiedzieć, jakiego dostąpiła honoru! Idź, dobry Tressilianie, z tobą również niesprawiedliwie obeszałam się, lecz wierzaj mi, zdołam zaleczyć rany, które ci zadałam. Pozbawiłam cię dziecinnych, niegodnych ciebie uczuć, mogę jednak wynagrodzić tę stratę wysokimi zaszczytami i najpierwszymi godnościami w kraju.

— I śmiesz jeszcze z tym zwracać się do mnie? Za spokój, który mi wydarłaś, płacić chcesz marnymi błyskotkami wywyższonej próżności? Lecz niech i tak będzie! Nie przyszedłem tu, by czynić ci wyrzuty, lecz by służyć ci i uwolnić cię z więzów; bo nie możesz tego zataić, że jesteś w więzieniu. Gdybyś była wolna, twoje czułe serce, to serce niegdyś tak tkliwe, już od dawna zatęskniłoby do ojca, złożonego śmiertelną chorobą. Chodź, oszukana, nieszczęśliwa dziewczyno! Wszystko będzie ci przebaczone, wszystko zapomniane. Nie lękaj się, bym chciał dochodzić naszych

zrękwini; był to sen tylko, a ja się już przebudziłem. Jedna łza żalu, jedno tklliwe spojrzenie zatrze pamięć przeszłości!

— Czyż ci już nie powiedziałam, że przybędę do ojca i to natychmiast po dopełnieniu równie świętych i ważnych obowiązków? Idź, uprzedź go o tym! Przybędę niezawodnie, jak Bóg na niebie, skoro otrzymam pozwolenie.

— Pozwolenie? Pozwolenie odwiedzenia chorego ojca, który może już leży na łożu śmierci? I od kogóż? Od najpodlejszego z ludzi, który udając przyjaźń nadużył praw gościnności i wykrał cię z domu ojcowskiego?

— Nie oczerniaj go, Tressilianie! Ten, o którym mówisz, nosi pałasz równie ostry a może ostrzejszy od twego. Próżny człowieku! Twoje najlepsze czyny w czasie pokoju i wojny tyle zasługują na wspomnienie obok jego znamienitych czynów, ile twój niski stan może iść w porównanie z wysoką sferą, w której on się obraca. Zostaw mię! Zanieś moje poselstwo do ojca i powiedz mu, że jeżeli zechce jeszcze kogo do mnie wyprawić, niech wybiera miłszego mi posła!

— Amelio!—odpowiedział Tressilian spokojnym głosem.— Nie wzruszysz mię twoimi wyrzutami. Oświeć mię raczej w jednym, bo chciałbym zanieść choć promyk pociechy memu sędziwemu przyjacielowi. Czy ma prawa męża ten, który stanowi, co wolno ci czynić? Czy dzielisz z nim te zaszczyty, którymi tak się chlubisz?

— Pohamuj swój nieopanowany język, nie odpowiadam na pytania uwłaczające mej godności.

— Dostyc już wyjawiałaś, nie chcąc odpowiedzieć na nie. Lecz słuchaj, Amelio! Uzbrojony w całą władzę twojego ojca, nakażę ci posłuszeństwo, oswobodzę z niewoli, uratuję od hańby i grzechu, choćbyś się nawet sama wzbraniała!

— Nie zagrażaj mi w domu moim żadną przemocą! — zawołała cofając się o kilka kroków, przerażona śmiałym wyrazem oczu i całej jego postawy. — Nie zagrażaj mi, bo mam środki odparcia przemocy!

— Lecz nie zechcesz zapewne używać ich w tej sprawie. Gdyby twoja wola była nieprzymuszona, nie obrałabyś tego stanu niewoli i upodlenia. Zostałaś związana jakimiś czarami, uwiedziona podłym podstępem i zatrzymana wymuszonym ślubem, lecz ja zniszczę moc twych czarów, Amelio! W imię twego zacnego i stroskanego ojca rozkazuję ci iść za mną!

To mówiąc zbliżył się i wyciągnął rękę, jak gdyby chciał ją przytrzymać, lecz ona wymknąwszy się uskoczyła na bok i krzyknęła przeraźliwym głosem, który sprowadził do pokoju Fostera i jego przyjaciela Lamburna.

—Do stu piorunów!—zawołał Antoni wpadając do pokoju.—Co się tu dzieje?

Po czym zbliżając się do młodej niewiasty rzekł głosem na wpół rozkazującym, na wpół proszącym:

— Po coś tu przyszła, pani, gdzie ci chodzić nie wolno? Idzie tu o śmierć i życie w tej sprawie. Odejdź stąd, odejdź jak najspieszniej. Ty, przyjacielu, ktokolwiek jesteś, wynoś się z tego domu, póki nie poznasz się z moim sztyletem. Dalej, Michałku! Bij tego zuchwalca!

— Nie, na mą duszę, tego nie zrobię! — odpowiedział Lamburn.—Ten jegomość przyszedł tu ze mną i podług moich zasad może nie lękać się z mej strony niczego, dopóty przynajmniej, dopóki drugi raz nie zejdziemy się z sobą. Wszelako, mój kornwalijski towarzyszu, uchodź żywo, jeżeli nie chcesz być wezwanym przed sędziego z Halgaver, i to pierwej, nim się Dudman z Ramheadem połączy/\*.(\*/ Dwa przyłądki w Kornwalii.)

— Precz, podły gburze!—zawołał Tressilian.—Żegnam cię, pani! Twój ojciec stojący już nad grobem nie przeżyje wieści, którą mu przyniosę.

Gdy już odchodził, młoda niewiasta rzekła głosem omdlewającym:

— Tressilianie, nie bądź tak gwałtowny! Nie mów o mnie źle memu ojcu!

— Pięknych dowiaduję się rzeczy!—rzekł Foster.—Proszę cię, pani, odejdź do swego pokoju i daj nam czas do namysłu, co mamy począć w tym wypadku. Nie ociągaj się, jeszcze raz mówię!

— Nie masz mi nic do rozkazywania.

— Jest to prawda, lecz jednak przebacz, pani, mojej śmiałości, bo na krew i pazury, nie pomogą tu wymówki i grzeczne słówka! Musisz, pani, odejść do swego pokoju. Mój Michałku, jeśli chcesz mieć czysty zarobek, wypędź z mojej posiadłości tego wścibskiego, a ja tymczasem przemówię do rozsądku tej upartej damie. Dobądź miecza i za nim!



— Przepędzę ja go za dziesiątą górę — rzekł Lamburn — lecz żebym miał poturbować człowieka, z którym piłem dziś rano, to się nie zgadza z moim sumieniem.  
— To mówiąc wyszedł z pokoju.

Tymczasem Tressilian udał się szybkim krokiem najbliższą ścieżką, którą spodziewał się wyjść z parku, lecz pośpiech i roztargnienie zmyliły go tak, że zamiast udać się aleją prowadzącą do wsi poszedł inną, która po długich zakrętach przywiodła go do niewielkiej furtki, wykutej w murze i wychodzącej na otwarte pole.

Tressilian zatrzymał się na chwilę. Obojętną mu było rzeczą, jaką drogą wyjdzie z tego miejsca, tak mu teraz przykrego, lecz furtka mogła być zamknięta.

— Muszę jednak spróbować — rzekł sam do siebie. — Jedyne sposobem ocalenia tej nieszczęśliwej, a tak jednak drogiej mi dziewczyny, widzę w odwołaniu się jej ojca do zgwałconych praw krajowych. Muszę więc śpieszyć do niego z tymi smutnymi wieściami.

Tak rozmyślając zbliżył się do furtki i gdy zastanawiał się nad sposobami, jak ją otworzyć, spostrzegł, że ktoś z przeciwnej strony wkłada do zamku klucz. Odskoczył rygiel, odemknęły się drzwiczki i jakiś mężczyzna, owinięty w długi płaszcz podróżny, w kapeluszu z długim piórem na głowie stanął przed nim o kilka kroków. Obaj zawołali równocześnie, pełni gniewu i zdziwienia, jeden: „Varney” — drugi „Tressilian!”

— Co tu robisz?—zapytał Varney z gniewem, gdy przeszła pierwsza chwila osłupienia. — Co ty tu robisz, gdzie twój pobyt nie jest ani oczekiwany, ani pożądaný?  
— Co ty tu robisz, Varneyu?—odpowiedział Tressilian.— Czy przychodzisz drwić z niewinności, którą pierwszy na łup wydałeś, jak sęp albo kruk, co pożera jagnię, któremu pierwój oczy wykłó? A może chcesz odebrać zasłużoną karę z rąk uczciwego człowieka? Do oręża! Broń się, psie!

To mówiąc dobył pałasza, lecz Varney sięgnął tylko do rękojeści. — Mylisz się, Tressilianie! — rzekł do niego. — Prawda, że wszystkie pozory świadczą przeciwko mnie, lecz klnę się na wszystkie świętości, że Amelia Robsart nie cierpi żadnej krzywdy ode mnie. Żał by mi było w tej sprawie podnieść rękę na ciebie, bo wiesz dobrze, że umiem władać orężem.

— Już to nieraz słyszałem, lecz chciałbym, ażebyś dowiódł tego nie słowem, lecz czynem.

— Skoro tak, to służę waszmości, a spodziewam się, że mnie nie zawiedzie moja szabla. — I wyciągając oręż prawą ręką narzucił płaszcz na lewe ramię i natarł na Tressiliana z taką mocą, iż zdawało się zrazu, że będzie miał nad nim przewagę, lecz długo to nie trwało, bo Tressilian z sercem pałającym chęcią zemsty łączył bystre oko i rękę wprawną do boju. Varney czując się osaczonym, chciał wykorzystać swą przeważającą siłę fizyczną i zewrzeć się z przeciwnikiem. W tym celu takie zadawał ciosy, by miecz Tressiliana zaplątał się w płaszcz spadający z jego lewego ramienia, co też się i stało, a nim Tressilian mógł go stamtąd wydobyć, Varney całą siłą natarł na przeciwnika i wzniesionym pałaszem gotował się do zadania mu ostatniego ciosu. Lecz Tressilian miał się na ostrożności: wyciągnawszy drugą ręką sztylet, odbił nim wymierzone pchnięcie, które by zapewne zakończyło walkę. W następnym starciu zręczność jego potwierdziła niejako przypuszczenie, że był rodem z Kornwalii, ponieważ mieszkańcy tej prowincji tak są biegli w szermierce, że gdyby odżyły igrzyska starożytności, mogliby wyzywać w szranki całą Europę. Varney, zajęty swym podstępem, tak gwałtownie rzucony został o ziemię, że pałasz mu z rąk wyleciał i nim zdołał powstać z upadku, już nieprzyjaciel następował mu nogą na gardło.

— Wskaż mi natychmiast środki uwolnienia ofiary twej zdrady — rzekł Tressilian — albo żegnaj się ze słońcem, które ci po raz ostatni świeci.

Gdy Varney z przestachu lub zajadłości nie mogąc słowa przemówić dobywał ostatnich sił, by powstać na nogi, jego przeciwnik podniósł oręż chcąc wykonać swą groźbę, lecz wymierzony cios zatrzymał Michał Lamburn, który usłyszawszy szczeł oręża w sam czas przybył, by ocalić życie Varneyowi.

— Hola, hola, towarzyszu! — zawołał Lamburn. — Dosyć tego na jeden dzień, schowaj swój rozeń i chodź, skądśmy przyszli. „Czarny Niedźwiedź” wzdycha za nami.

— Precz, łotrze! — zawołał Tressilian wydzierając się z rąk Lamburna. — Jak śmiesz stawać między mną a moim nieprzyjacielem?

— Łotrze?—powtórzył Lamburn.—Pomszczę się za to słówko zimnym żelazem, skoro w kwarcie kanaru\*/(\*/ Kanaryjskie wino—z moszczu z Wysp Kanaryjskich,

podobne do Madery) utopię pamięć kufla, któryśmy rano po społu wysuszyli. Tymczasem, waszeć, zmiataj, jest nas dwóch na jednego.

Varney korzystając ze sposobności podniósł wytrącony oręż, a Tressilian przekonał się, że byłoby szaleństwem prowadzić dalej nierówną walkę. Wyjąwszy z kieszeni dwa czerwone złote rzucił je w twarz Lamburnowi mówiąc:—Masz, nędzniku zapłatę za usługę, żebyś nie powiedział, że ci nie zapłacił za przewodnictwo. Bywaj zdrow, Varneyu, spotkamy się kiedyś, gdzie nam nikt nie przeszkodzi. — To mówiąc wyszedł otwartą furtką. Varney zdawał się nie mieć chęci a może i siły do ścigania uchodzącego nieprzyjaciela, gdyż go mocno ogłuszył gwałtowny upadek. Spojrzał tylko za nim i zapytał Lamburna:—Czy jesteś przyjacielem Fostera?

— Przyjacielem do grobowej deski!—odpowiedział Michał.

— Weź ten pieniądz i idź z daleka za tym jegomościem, pamiętaj wypatrzyć dobrze, gdzie pójdzie, gdzie się zatrzyma i donieś mi o wszystkim. Tylko cicho i ostrożnie, jeżeli ci życie miłe.

— Rozumiem — odpowiedział Lamburn. — Umiem iść za tropem jak pies najdoskonalszy.

— Leć prędzej — rzekł Varney wkładając pałasz do pochwy i odwróciwszy się od Michała, poszedł wolnym krokiem ku dworowi.

Michał nachylił się, by podnieść pieniądze, które Tressilian rzucił, a kładąc je do kieszeni wraz z upominkiem Varneya mruczał pod nosem:—Mówiłem wczoraj tym głupcom o Eldorado, na świętego Antoniego, nie masz dla mnie lepszego Eldorado nad starą Anglię, gdzie pieniądze deszczem spadające z nieba błyszczą na trawie jak rosa. Tylko zbieraj, a zbieraj. Jeżeli nie będę miał udziału w tej niebieskiej rosie, niech mój kord stopnieje jak lód.

## ROZDZIAŁ V

Znał świat — nielepiej majtek zna morza i skały!

Interes osobisty — to dlań biegun stały!

Oszust

Antoni Foster prowadził jeszcze dysputę z Amelią, odpowiadającą z pogardą na usilne prośby, którymi ją zaklinał, ażeby odeszła do swego pokoju, gdy dał się słyszeć gwizd w głównych drzwiach domu.

— A tośmy ładnie wpadli—rzekł Foster.—Jest to znak naszego pana! Cóż mu powiedzieć o tym nieporządku, zaszłym w czasie jego nieobecności? A to jakieś лихо przyniosło mi tego niecnotę Lamburna! Urwał się gdzieś z szubienicy i przyszedł tu zgubić mię na wieki.

— Cicho!—rzekła niewiasta.—Idź czym prędzej, otwórz drzwi swemu panu. Milordzie! Kochany milordzie!—wołała biegnąc ku drzwiom pokoju, potem dodała głosem zawiedzionej nadziei: — To tylko Ryszard Varney.

— Tak jest, pani—rzekł wchodząc do pokoju i witając ją z głębokim uszanowaniem, na które odpowiedziała obojętnym ukłonem, wyrażającym oziębłość połączoną z niezadowoleniem.—Jest to tylko Ryszard Varney, lecz miło patrzeć nawet na drobną chmurkę ukazującą się o rannej godzinie, gdy zapowiada przybycie złotego słońca.

— Więc milord dziś na noc przybędzie?—zapytała z radością i wzruszeniem i toż samo pytanie powtórzył Antoni Foster. Varney odpowiedział, że niezawodnie dzisiaj przybędzie i już zabierał się do prawienia układnych oświadczeń i pochlebnych komplementów, gdy młoda niewiasta pobiegła ku drzwiom wołając:—Joasiu! Joasiu! Przygotuj mi gotowalnię! — Potem zapytała Varneya, czy nie miał od milorda jakich do niej poleceń.

— List, łaskawa pani, a przy tym upominek dla tej, która nieograniczenie panuje nad jego sercem. — To mówiąc dobył z zanadru pudełko obwiązane szkarłatnym jedwabiem. Z ciekawością chciała je czym prędzej otworzyć, lecz nie mogąc rozwiązać węzła zawołała znów na Joannę: — Przynieś mi nożyczki, scyzoryk lub coś podobnego dla rozcięcia tego zazdrosnego węzła.

— Czy mój sztylet nie nada się?—rzekł Varney podając niewielki sztylecik misternej roboty, zawieszony u pasa na tureckim rzemieniu.

— Nie, mój panie!—odpowiedziała odrzucając z pogardą ofiarowane narzędzie. — Sztylet nie będzie rozcinał mego węzła miłości.

— Już przecież rozciął niejeden taki — rzekł Foster na stronie spoglądając z boku na Varneya. Tymczasem Joasia, skromnie ubrana, miła dziewczyna, córka Antoniego Fostera, przybiegła na powtórne wołanie pani i rozplatała węzeł swymi zgrabnymi i giętkimi paluszkami; w pudełku znajdował się sznurek wschodnich pereł, wraz z listem skropionym wonnościami. Oddała służącej perły zaledwie spojrzawszy na nie, sama zaś zaczęła czytać, raczej pożerać słowa listu.

— Bez wątpienia—rzekła Joasia oglądając perły—córki Tyru nie nosiły piękniejszych klejnotów, a jaki napis przy tym: „Ku ozdobie wdzięków nie potrzebujących żadnej ozdoby!” Każda perła warta kilka wiosek.

— Każdy wyraz tego drogiego listu wart cały sznurek tych pereł. Lecz przejdźmy, Joasiu, do gotowalni, trzeba mi się trochę przystroić, bo milord dziś na noc przybędzie. Prosi mię, abym was grzecznie przyjęła, panie Varneyu, a każde jego życzenie jest dla mnie rozkazem. Zapraszam was na wieczerzę do mego pokoju i ciebie także, panie Foster. Każ tymczasem poczynić wszystkie przygotowania na przyjęcie milorda.—To mówiąc wyszła z pokoju.

— Już jej, widzę, tytuł w głowie przewrócił—rzekł Varney. — Zdaje jej się, że kogoś zaszczycić i uszczęśliwić może swym towarzystwem, jak gdyby już była uczestniczką wysokiej godności milorda. Mądrze czyni! Dobrze to zawczasu nauczyć się roli, do której odegrania los nas kiedyś powołać może. Młody orzeł musi wpierrw długo w słońce patrzeć, aż sam ośmieli się wylecieć pod obłoki.

— Nie potrzebuje już ona podnosić oczu dla oswojenia się z blaskiem, bo i bez tego dobrze zadziera głowę do góry. Jest to sokół, który niedługo nie da się nawołać na moje świstania. Powiem wam otwarcie, panie Varneyu, że mnie lekceważy i zawsze przemawia do mnie wzgardliwym tonem.

— Sameś sobie winien, łbie zakuty, bo oprócz grubiańskiej przemocy nie masz żadnego sposobu pozyskania dla siebie szacunku i utrzymania jej w karchach posłuszeństwa. Nie mógłbyś na przykład uprzyjemnić jej pobytu muzyką lub

wymyśleniem innej jakiej rozrywki? Albo odstręczyć od wychodzenia z pokoju bajkami o strachach i upiorach? Mieszkasz niedaleko cmentarza, a nie masz tyle rozumu, ażeby obudzić z grobu jakiegoś nieboszczyka, który by utrzymał w karności młodą kobietę powierzoną twemu dozorowi!

— Nie godzi się tak mówić, panie Varneyu, nie lękam się ja żywych, lecz nie chcę żartować z umarłymi sąsiadami. Nie jest ten tchórzem, kto się odważył mieszkać pod cmentarzem. Zacny Holdfordh kaznodzieja u św. Antolina, porządnie się przestraszył idąc ostatnim razem do mnie w gościnę.

— Wstydz się, zabobonny głupcze! — rzekł Varney. — Lecz ponieważ wspomniałeś o odwiedzinach, powiedz, jakim sposobem zastałem Tressiliana przy ogrodowej furtce?

— Jakiego Tressiliana? Nie znam żadnego Tressiliana. Nigdy o nim nie słyszałem.

— Jest to kornwalijski gawron, któremu Hugo Robsart przeznaczył na żonę piękną Amelię. Ginie ze złości, że mu się wymknęła biedna ptaszyna, i przyszedł tu zastawić na nią sidła. Trzeba z nim zrobić jakiś porządek, bo on rozumie, że mu wyrządzono krzywdę, a nie jest z tych ludzi, którzy przebaczą urazy. Szczęściem, że nic nie wie o milordzie, sądzi tylko, że ze mną ma do czynienia. Lecz jakim sposobem, u kroćset diabłów, dostał się tutaj?

— Musiał przyjść z Lamburnem, nie inaczej—odpowiedział Foster.

— A któż jest znowu ten Lamburn? Lepiej wywieś wiechę nad domem, zapraszaj po drodze każdego włóczęgę i pokazuj wszystkim, co przed słońcem winieś ukrywać.

— Otóż dworska nagroda za moje usługi, panie Varneyu! Czyż sam nie kazałeś mi wystarać się o jakiegoś człowieka, który by umiał dobrze się bić i miał niewrażliwe sumienie? Chcąc nie chcąc musiałem przepytawać się o podobnego ptaszka, bo dziękować panu Bogu moje znajomości nie rozciągają się na ten gatunek ludzi. Lecz jak na zawołanie, ten ogromny drab, obdarzony w wysokim stopniu wszystkimi przymiotami, jakich potrzebujesz, sam przyszedł do mnie i przypomniał bezczelnie dawną znajomość. Rad nierad musiałem uznać jego mniemane prawa sądząc, że ci przez to wyświadczę przysługę. A teraz widzisz, jak mi dziękujesz za to, że się zniżył aż do rozmawiania z tą podłą istotą.

— Jakimże sposobem ten Lamburn, podobny do ciebie we wszystkim z wyjątkiem tylko hipokryzji, która powleka twoje niegodziwe serce, jak pozłota rdzą przegryzione żelazo, jakim, mówię, sposobem przyprowadził on ze sobą pobożnego, wzdychającego Tressiliana?

— Zabij mię, panie, tego ci nie powiem, wiem tylko, że przyszli razem i jeśli mam wyznać szczerą prawdę, Tressilian widział się z naszą panią, gdy rozmawiałem z Lamburnem w bibliotece.

— O, ciemiego! O, trutniu bezmózgi! Zginęliśmy obaj. Już ona wzdycha od dawna do ojcowskiego domu, ile razy milord odjedzie, a ją samą zostawi. Jeżeli ten świętoszek prośbą i naleganiami zwabi ją do rodzinnego gniazda, zginęliśmy obaj na wieki!

— Nie lękaj się o to, bądź pewien, że nie da mu się namówić, gdyż ujrawszy go, wrzasnęła tak przeraźliwym głosem, jak gdyby ją gadzina ukąsiła.

— Tym lepiej dla nas. Lecz nie mógłbyś, dobry Fosterku, wybadać twojej córki, jakie były między nimi rozmowy?

— Nie pozwolę na to, aby moja córka wiedziała o naszych tajemnicach albo chodziła naszymi drogami. Co innego ja... Mnie one odpowiadają, bo umiem żałować za grzechy. Lecz nie chcę narazić na niebezpieczeństwo duszy mego dziecka, ani dla twojej, ani dla samego nawet milorda przyjemności. Ja mogę bez żadnej obawy uwijać się między sidłami i pułapkami, bo jestem ostrożny i przezorny, lecz nie puszcę tam niewinnego jagnięcia.

— I ja także nie chcę, aby twoja córka wtrącała się do moich planów albo poszła do piekła za ojcem, lecz może okólną drogą mógłbyś zasięgnąć od niej jakiejś wiadomości.

— I już zasięgnąłem, panie Varneyu — odpowiedział Foster. — Mówiła, że jej pani żałuje swego chorego ojca.

— Dobrze i o tym wiedzieć, potrafimy wykorzystać tę wiadomość. Wpierw jednak trzeba się pozbyć Tressiliana. Nie będę używał nikogo do pomocy, bo go niecierpię jak psa, jego obecność jest dla mnie trucizną. Jużbym go dziś był wyprawił na tamten świat, lecz noga mi się pośliznęła, a prawdę mówiąc, gdyby twój przyjaciel nie przybiegł mi na pomoc i nie przytrzymał go za rękę, wiedziałbym już do tego czasu, dokąd prowadzi ta droga, na której jesteśmy: do piekła, czy do nieba?

— I śmiesz lekkomyślnie mówić o tak świętych rzeczach? Musisz mieć odważne serce! Co do mnie, gdybym nie spodziewał się długo pożyć na świecie i nie wiedział, że dosyć jeszcze będę miał czasu na pokutę, nie szedłbym razem z tobą.

— O, będziesz żył długo jak Matuzalem, nagromadzisz salomonowe bogactwa i będziesz pokutował tak pobożnie i przykładnie, że twoja pokuta stanie się sławniejsza od popełnionych grzechów. Tymczasem trzeba mieć na oku Tressiliana; twój przyjaciel poszedł go tropić. Idzie tu o nasz los, Antosiu!

— Wiem o tym bardzo dobrze — odpowiedział Foster. — Oto co znaczy złączyć się z człowiekiem, który na tyle nawet nie zna Pisma, by wiedzieć, że robotnik powinien otrzymać zapłatę. Na mnie to, widzę, spadnie jak zwykle cały ciężar i całe niebezpieczeństwo.

— Jaki ciężar? Jakie niebezpieczeństwo? Co ci się roi po głowie? Zdarzyć się może, że kiedyś znów ten drab włóczyć się będzie poza węglami; nic prostszego, jak wziąć go za złodzieja, przywitać zimnym żelazem lub gorącym ołowiem. Wszak i pies gryzie i rzuca się, gdy kto zbliży się do jego budy.

— Tak jest, dajecie mi psie zatrudnienia i nagradzacie po psiemu. Sam wybrałeś sobie najpiękniejszą majątność w tej okolicy: opactwo abingdońskie, a mnie dałeś w dzierżawę tylko liche domisko, które odebrać możesz, kiedy ci się podoba.

— Wiem do czego zmierzasz — odpowiedział Varney. — Chciałbyś dzierżawę zamienić na wieczystą własność. Może to nastąpić z czasem, jeżeli położysz znamienitsze usługi. Nie można nabywać praw do tak wielkich korzyści odstąpieniem kilku pokojów tego starego domu na klatkę dla papugi milorda ani zamykaniem drzwi i okien, ażeby z niej nie wyfrunęła. Pamiętaj, że dochód roczny z dziesięcinami tego folwarku, nie licząc w tym lasu, wynosi 79 funtów, 5 szylingów, 5 i pół pensów. Miej przecież sumienie, Antoni i przyznaj, że trzeba wyświadczyć jakąś ważną i tajemną usługę, by stać się godnym tak wielkich korzyści. A teraz każ przyjść swemu służącemu i ściągnąć mi buty. Zapraszam się do ciebie na obiad i szklankę dobrego wina, potem odwiedzę tę piękną i wesołą sikorkę!

Po tej rozmowie rozstali się, a w południe zeszli się znowu na obiad. Varney, wytwornie ubrany, wystąpił jak dworzanin owego czasu, sam nawet Foster nieco



staranniej odziany wyglądał o tyle lepiej, o ile ubiór poprawić może szpetność twarzy i odrażające wejrzenie.

— Czyś uprzątnął i przygotował pokoje we wschodnim skrzydle, aby się mogły podobać naszemu panu? — zapytał Varney wchodzącego Fostera.

— Sam król mógłby w nich odprawiać gody weselne — odpowiedział Foster — ale gdybyś wiedział, jak nasza Amy stąpa po nich nadęta, rzekłbyś, że to królowa Saba.

— Tym lepiej dla nas — rzekł Varney — bo powinniśmy oprzeć nasze przyszłe powodzenie na dogodzeniu jej upodobaniom.

— Jeżeli tak, to stawiamy zamki na lodzie, bo przypuścmy, że kiedyś podzielać będzie na dworze wszystkie zaszczyty swojego męża, czy myślisz, że wtenczas spojrzy na tego, co ją dziś trzyma zamkniętą, jak gąsienicę, która czym prędzej chciałaby zostać malowanym motylkiem i latać swobodnie po dworskich ogrodach?

— Nie lękaj się jej niezadowolenia: przekonam ją, że wszystko coś uczynił miało na celu dobro milorda równie jak jej własne, a gdy wyjdzie ze skorupy i o swojej mocy chodzić pocznie, przyznać będzie musiała, że to my wykluliśmy jej wielkość.

— Ostrożnie, Varneyu, możesz się zawieść! Dziś rano przyjęła cię najozięblej i zdaje się, że jak na mnie tak i na ciebie równie złym spogląda okiem.

— Mylisz się, Fosterze, łączą ją ze mną najściślejsze związki, jako z pośrednikiem miłości i najgłówniejszą sprężyną jej obecnego wyniesienia. Któż wydarł pannę Robsart nieznaną ludziom i światu córkę podupadłego szlachcica, narzeczoną tego głupca Tressiliana jej marnemu przeznaczeniu? Kto jej usłał drogę do najświetniejszych w kraju a może w całej Europie godności? To ja byłem tego przyczyną, ja pierwszy to sprawiłem. Jakem ci już nieraz mówił, doprowadziłem do ich spotkania, stałem na warcie, pod lasem, gdy milord polował na zwierzynę. Mnie po dziś dzień złorzeczy cała jej rodzina, jako towarzyszowi ucieczki i gdybym teraz znajdował się w tamtych stronach, musiałbym nie z holenderskiego płótna nosić koszulę lękając się, ażeby hiszpańskie żelazo nie poznało się z moimi piersiami! Kto nosił listy? Kto zabawiał starego szlachcica i Tressiliana? Kto ułożył plan ucieczki? Jam to wszystko sprawił. Ja zerwałem skromny fiołek kwitnący nieznanymi wdziękami i zatknąłem za najpyszniejszą czapkę w całej Brytanii.

— To prawda — odpowiedział Foster — lecz ona sądzi, że gdyby zależało od ciebie, tak lekko przypiąłbyś ten kwiatusek, że pierwszy powiew zmiennego wiatru namiętności zdmuchnąłby na ziemię biedny fiołek.

— Powinna zważyć—rzekł Varney z uśmiechem—że będąc wiernym sługą milorda nie mogłem zrazu dla ważnych przyczyn doradzać małżeństwa, lecz zmieniłem zdanie, gdym się przekonał, że nie jest spokojna bez tego, co ty, Antoni, nazywasz sakramentem czy ceremonią.

— Ma jeszcze inny powód gniewu przeciw tobie, panie Varneyu; a mówię ci to dlatego, ażebyś miał się na ostrożności. Nie chce ona ukrywać swego przepychu pod tą lichą strzechą, lecz pragnie błyszczeć na dworze, hrabiną między hrabinami.

— I bardzo słusznie. Co mi do tego? Niech sobie błyszczy przez szkło lub przez kryształ, jak się podoba naszemu milordowi, nie mam nic przeciw temu.

— Jej się zdaje, że ty kierujesz tą łódką i podług upodobania popchnąć ją lub zatrzymać możesz. To zamknięcie w tym odludnym kącie przypisuje twoim radom tajemnym, którymi wspierasz milorda i memu ścisłemu dopełnieniu powierzonych mi poleceń: stąd wnoszę, że nas tak obu kocha, Jak skazany na śmierć kocha swego sędziego lub dozorcę więzienia.

— A jednak radziłbym jej, żeby nas lepiej poważała, jeśli chce wyjść prędko z tej ciemnicy. Jeżeli dla ważnych przyczyn radziłem przechowywać ją czas niejaki w tym ustroniu, mogę teraz dla nie mniej ważnych przyczyn radami mymi wynieść ją na najwyższy stopień godności. Lecz zajmując tak bliskie miejsce przy osobie milorda byłbym chyba głupi, gdybym za nią jedno słówko przemówił wiedząc, że jest moją nieprzyjaciółką. Daj jej to do zrozumienia przy sposobności, ja z mojej strony niczego nie zaniedbam, co by ci zapewnić mogło jej przychylność. Pomagajmy sobie nawzajem: ręka rękę myje, noga nogę wspiera, jak mówi przysłowie znane na całym świecie. Niech zna swoich przyjaciół i niech jej wiadomym będzie, że ciż sami mogą zostać jej wrogami. Tymczasem miej na nią pilne baczenie, lecz okazuj całą powierzchowną grzeczność i powolność, na jakie tylko zdobyć się może twoja cierpka natura. Wyborna to rzecz ten wzrok ponury i nieokrzesane obyczaje. Powinieneś dziękować Panu Bogu, że cię obdarzył takimi przymiotami, bo gdy idzie o wykonanie jakiego surowego polecenia, tak je wykonujesz, jak gdyby wypływało z twej

naturalnej srogości, nie zaś było skutkiem tajemnych rozkazów. Tym sposobem sądzi nieboga, że milord o niczym nie wie, co się tu z nią dzieje. Słyszysz? — Ktoś stuka do drzwi. Wyrzyj przez okno i nikogo nie wpuszczaj. Niech nikt teraz nie przerywa naszych rozmów!

— Jest to ten sam, o którym mówiliśmy przed obiadem— rzekł Foster wyglądając przez okno.—Jest to Michał Lamburn.

— Wpuść go, wpuść! Przynosi nam zapewne wiadomość o Tressilianie. Wiele mi na tym zależy, ażebyśmy wiedzieli o jego najmniejszym poruszeniu. Wpuść go, mówię, lecz nie prowadź go tu: przyjdę do was natychmiast, do biblioteki.

Foster wyszedł a dworak, zostawszy sam jeden założył ręce na plecy i w głębokim zamyśleniu przeszedł się kilka razy po pokoju, aż zaczął na koniec wynurzać wezbrane myśli przerywanymi słowy.

— Rzecz nadto jasna!—rzekł zatrzymując się z nagłą i opierając prawą rękę na krześle. — Ten stary głupiec zgłębił powody moich bojaźni, których nie mogłem utaić przed nim. Ona nie kocha mię. Jakże byłem nierozsądny! Przemawiałem do niej w moim własnym imieniu, gdy roztropność nakazywała być tylko wiernym wykonawcą poleceń milorda! Ten błąd fatalny do tego mię przywiódł, że teraz ulegać jej muszę we wszystkim, chociaż każdy rozsądny człowiek o to starać się powinien, aby jak najmniej zależał od kaprysów pięknych córek Ewy. Odkąd moja polityka tak się niebezpiecznie pośliznęła, nie mogę patrzeć na nią bez uczuć bojaźni, nienawiści i przywiązania, tak dziwnie z sobą połączonych, że gdyby wybór ode mnie zależał, nie wiem, czybym ją stracić, czy ocalić wolał. Lecz nie wyjdzie stąd na krok, póki nie upewnię się, jak się układają nasze stosunki. Interes milorda, a zatem mój własny (bo z jego upadkiem i ja upaść muszę) wymaga, by ukrywać przed światem to tajemne małżeństwo. Ja z mojej strony nie będę tak nierozsądny, abym ją własną ręką prowadził na krzesło, z którego może mi nastąpić na gardło! Muszę ją przywiązać do siebie czy to węzłem miłości, czy bojaźni: a kto wie, może jeszcze skosztuję słodkiej zemsty za dawniejszą pogardę. To by było prawdziwym arcydziełem dworskiej sztuki! Trzeba przede wszystkim o to się postarać, aby zostać jej powiernikiem. Niech no raz jeden powierzy mi jaką tajemnicę, choćby tylko szło o wydarcie makolągwiego gniazda, a wtenczas już jest moja, piękna hrabina !

Przeszedł się znów kilka razy nic do siebie nie mówiąc, stanął, nalał puchar wina, wypił, jak gdyby chciał ułagodzić pałace go namiętności, i wyszedł z pokoju mówiąc:  
—A teraz serce zakujmy w żelazo, lecz czoło ukazmy pogodne.

## ROZDZIAŁ VI

Piła ziemia łąy czyste letniego wieczora,  
Tęskny księżyc posrebrzał niebo lazurowe  
I zazieral ciekawie w gmachy Cumnora  
Przez łąki rozłożyste i cichą dąbrowę.  
Micele

Cztery pokoje znajdujące się we wschodnim skrzydle czworobocznego gmachu Cumnor Place były przyozdobione z nadzwyczajnym przepychem na kilka dni przed chwilą, w której rozpoczęliśmy naszą opowieść. Rzemieślnicy przysłani z Londynu, którym nie wolno było wychodzić przed zakończeniem roboty, odnowili opustoszały gmach zakonnej fundacji i całej wschodniej stronie nadali wygląd królewskiego mieszkania. To wszystko wykonano w tajemnicy, robotnicy przychodzili nocą i nocą schodzili z roboty, a prócz tego inne obmyślono środki, mogące odwrócić natrętą ciekawość mieszkańców od śledzenia przyczyn zmian zaszłych w mieszkaniu Antoniego Fostera, niegdyś ubogiego, dziś bogatego sąsiada. Tak dobrze dochowano tajemnicy, iż nic nie dotarło do ludzi oprócz płonnych i niepewnych wieści, których słuchano i które powtarzano, ale nikt nie był pewny, czy były one prawdziwe, czy zmyślane.

Wieczorem, o którym tu mowa, bogato od niedawna przyozdobione pokoje po raz pierwszy oświetlono rześistym światłem, które by można dostrzec z odległości kilku mil, gdyby zakratowane okna, opatrzone dębowymi okiennicami, a od wewnątrz zakryte aksamitnymi zasłonami, przepuścić mogły choć jeden promyk rozlanej tam światłości.

Apartament składał się z czterech pokoiów, połączonych ze sobą wysokimi podwojami. Z obszernej sieni po bardzo szerokich schodach wchodziło się do przedpokoju w kształcie krużganka, w którym przed laty opat zwoływał czasem radę duchowną. Teraz ściany tej komnaty wyłożone były twardym drzewem ciemnego koloru, które, jak mówiono, sprowadzone zostało z Indii Zachodnich, a obrabiane i wygładzane było w Londynie. Ciemny kolor drzewa lśnił się wspaniale w powodzi światel, bijących ze srebrnych świeczników, palących się przy sześciu obrazach

wykonanych ręką najslawniejszych mistrzów owego wieku i oprawnych w bogate ramy. W niższym końcu stał dębowy stół, przeznaczony do gry shovel board, będącej podówczas w powszechnym użyciu, z drugiej strony wznosiła się galeria dla muzyków i minstrelów, gdyby ich wezwano, by dodali większej wspaniałości wieczornej zabawie.

Z przedpokoju wchodziło się do izby jadalnej, niezbyt obszernej, lecz mogącej zaćmić oczy widza blaskiem i przepychem znajdujących się w niej sprzętów. Ściany niedawno gołe i okopcone wybite były błękitnym aksamitem ze srebrnymi szlakami; hebanowe krzesła, ozdobione piękną rzeźbą, miały na sobie poduszki powleczone materia tegoż co i obicie koloru, a zamiast srebrnych lichtarzy oświetlających przedpokój wisiał pośrodku ogromny świecznik z tegoż samego kruszcu. Rozesłany na podłodze hiszpański kobierzec przedstawiał kwiaty i owoce w tak żywych, naturalnych kolorach, że nie śmiałyś stąpić nogą na tak misterną i wytworną robotę. Stół z angielskiej dębiny stał nakryty już najciemniejszym obrusem, na boku widać było ogromny kredens, a w nim ustawione rzędem srebra stołowe i najprzedniejszą porcelanę. Na środku stołu stała srebrna solniczka włoskiej roboty, wysoka na dwie stopy, wyobrażająca olbrzyma Briareja, który za pomocą stu rąk srebrnych rozdawał gościom rozmaite przyprawy dla nadania delikatniejszego smaku potrawom.

Z jadalnej izby otwierały się drzwi do bawialnego pokoju. Tu na ścianach wisiały piękne kobierce wyobrażające upadek Faetona. Kobierców takich dostarczały tkalnie Flandrii, rozmiłowane podówczas w scenach mitologicznych. Główną ozdobę tej komnaty stanowiło krzesło, ustawione na kształt tronu na kilku stopniach a tak szerokie, że dwie osoby wygodnie na nim pomieścić się mogły. Baldachim rozpięty nad krzesłem, boczne zasłony, a nawet stopnie powleczone były karmazynowym aksamitem, przetykanym kosztownymi perłami. Na wierzchołku baldachimu umieszczono dwie korony, jedną lorda, drugą milady. Sofy pokryte aksamitem, poduszki ułożone wschodnią modą ozdobione były wyszywanymi arabeskami i zastępowały krzesła, tu także znajdowały się instrumenty muzyczne, krosienka i inne sprzęty służące do rozrywki kobiet. Oprócz mniejszych świateł oświetlały ten pokój cztery duże pochodnie z białego wosku, podtrzymywane przez cztery kamienne posągi wyobrażające uzbrojonych Murzynów, z których każdy trzymał w lewej ręce srebrny

polerowany puklerz, umieszczony między piersiami rycerza a pochodnią w ten sposób, by odbijał światło jak kryształowe zwierciadło.

Sypialny pokój nie miał tyle przepychu, zawierał jednak, równie jak poprzednie, wiele kosztownych sprzętów. Dwie srebrne lampy, napełnione wonną oliwą, rozsiewały w tym cichym ustroniu przyjemny zapach i blade drżące światło, podobne do wieczornego zmroku. Na podłodze rozrzucone były grube i miękkie kobierce, tłumiące najłżejszy krok, a łóżko wysłane miękkim puchem przykrywała pościel, biała jak wełna jagniąt, z której była utkana. Na firankach z błękitnego aksamitu bramowanych dokoła karmazynowym jedwabiem, przetykanym złotem, wyszyte były dzieje Kupida i Psyche. Na gotowalni stało weneckie zwierciadło w srebrnych ramach, a obok niego złoty kubek z napojem, jakiego podówczas używano na noc. Sztylet i para pistoletów oprawnych w złoto leżały przy wezglowiu łoża, bardziej dla zwyczaju aniżeli z obawy jakiego niebezpieczeństwa. Nie możemy i tego pominąć, co czyni zaszczyt obyczajom tamtego wieku, że w niewielkiej framudze, oświetlonej lampą, stał herbowy ołtarzyk, a przed nim leżały ^wie poduszki powleczone aksamitem tej samej barwy co firanki rozwieszane nad łóżkiem. Było to miejsce, gdzie niegdyś opat odmawiał pacierze, lecz teraz zdjęto z ołtarza krucyfiks, a natomiast położono dwa modlitewniki, bogato oprawne i wykładane srebrem. Z pokojem sypialnym (gdzie nic nie przerywało głębokiej ciszy, chyba czasem szelest wiatru szumiącego w wierzchołkach stuletnich dębów, gdzie sam Morfeusz chciałby kosztować słodkiego spoczynku) łączyły się dwie obieralnie, równie wspaniale przyozdobione jak poprzednie komnaty. Zostaje jeszcze do powiedzenia, że część przyległego skrzydła zajmowała kuchnia i pomieszczenia dworzan wielkiego pana, co kazał poczynić te wszystkie przygotowania. Piękna dama, dla której stworzono ten apartament, była godną poniesionych trudów i kosztów; siedząc w ostatnim pokoju przypatrywała się z radością wspaniałemu przepychowi, który na jej cześć stworzono. Ponieważ jej pobyt w Cumnor Place był główną przyczyną tajemnicy, w jakiej zachowano te przygotowania, starano się więc, by przed zupełnym ich ukończeniem nic nie wiedziała o tym, co działo się w tej części gmachu i by nie mogła spotkać żadnego z rzemieślników pracujących nad odnowieniem wschodniego skrzydła. Dziś dopiero pod wieczór wprowadzono ją do pokoi, jakich nigdy jeszcze nie widziała, a tak różnych od innych części

spustoszonego dworu, że zdały jej się zaczarowanym pałacem. Oglądając wspaniałe komnaty podobna była do wiejskiej dziewczyny, co nie posiada się z radości widząc otaczający ją Przepych, o jakim nigdy nie śmiała nawet marzyć, zarazem Jednak przenikało ją tkliwe uczucie wdzięczności dla tego, który w imię Miłości sprawił te cuda.

Hrabina (bo na taki stopień wyniósł ją tajemny, lecz uroczymy związek małżeński z najznamienitszym i najbogatszym lordem angielskim) biegała z pokoju do pokoju, zachwycając się wytwornym smakiem swego małżonka i tym bardziej unosząc w podziwie oraz dumie, że wszystko, na cokolwiek spojrziała, było dowodem tkliwego przywiązania i gorliwych jej chęci.

— Jak piękne te obicia! Jak naturalne malowidła! Zdają się jak żywe! Jak okazale te srebrne naczynia! Chyba na ich wyrób zebrano wszystkie hiszpańskie galeony/\*. (\* / Galeona — wielki okręt wojenny, używany w Hiszpanii i Portugalii w XV-XVIII w.) Ach, Joasiu! — powtarzała raz po raz do córki Foster, która biegała za mi z równą ciekawością, nie okazując wszakże tyle nieopanowana radości. — Jak miło pomyśleć, że te wszystkie piękne rzeczy zgromadziło jego przywiązanie do mnie i że tego jeszcze wieczora, za kilka chwil, będę mogła podziękować mu bardziej za miłość, która stworzyła ten raj, aniżeli za umieszczone w nim cuda!

— Bogu najpierw podziękować trzeba—rzekła piękna purytanka — że ci dał, pani, dobrego i zanego męża, którego przywiązanie tyle dla ciebie sprawiło. I ja także uczyniłam, co mogłam, lecz jeżeli pani będzie tak ciągle biegać z pokoju do pokoju, loki i trefione warkocze rozlecą się tak prędko, ja rysunki wyciśnięte mrozem na oknie znikają pod pierwszym promieniem słońca.

— Prawdę mówisz, Joasiu! — rzekła piękna hrabina poważniejąc nagle i zatrzymując się przed ogromnym zwierciadłem, jakiego nigdy nie widziała, a które tylko w pałacu królewskim mogło znaleźć sobie równe. — Prawdę mówisz, Joasiu! — powtórzyła spostrzegłszy z godnym przebaczenia zachwytem odbicie swej pięknej postaci. — Wyglądam więcej na prostą mleczarkę aniżeli na hrabinę z tą twarzą zarumienioną spieszonym bieganiem, z tymi ciemnymi warkoczami, nad którymi tak długo pracowałam, a które teraz tak się najeżyły jak pędy winorośli. Kryza mi się przekrzywiła i ukazuje nieskromny dekolt! Chodź, Joasiu! Trzeba nam zawczasu



przywykać do przepychu i wyszukanej troskliwości w ubiorze. Chodź do bawialnego pokoju, tam uporządkujesz mi włosy i poprawisz kryzę.

Przeszły obie do bawialnego pokoju, gdzie hrabina rzuciła się swawolnie na sofę wysłaną poduszkami i na pół siedząc na pół leżąc bawiła się własnymi myślami albo słuchała opowiadań gadatliwej dziewczyny. Na jej twarzy malował się wyraz roztargnienia i niecierpliwości a oblicze to było tak piękne, że darmo byś szukał na ziemi i na morzu równie czarującej istoty. Brylantowy wieniec wpleciony w ciemne włosy nie rzucał tyle blasku, ile czarne oczy spod ciemnych brwi i rzęs. Znużenie wywołane bieganiem po komnatach, radość i niecierpliwość długiego oczekiwania zarumieniły jej policzki często zbyt blade. Perły, które dostała w upominku od męża, nie mogły dorównać w bieli jej zębom i musiałyby również ustąpić pierwszeństwa kolorowi skóry. — Kończ! — rzekła do swej służebnej, która jeszcze poprawiała włosy i szaty.—Kończ, mówię. Przed przybyciem milorda muszę widzieć się z twoim ojcem i panem Ryszardem Varneyem, który u milorda ma tak wysoki szacunek i poważanie, lecz wiem o czymś, przez co pewnie straciłby łaskę u niego!

— Ach, nie mów, pani! — odpowiedziała Joanna. — Zdaj go na wolę Boga, który ukarze złoczyńcę, gdy nadejdzie czas, lecz nie przeciwstawiaj się Varneyowi, którego milord tak słucha, że nikomu jeszcze nie wyszło na dobre krzyżowanie jego planów.

— Któż ci to powiedział, moja Joasiu? Dlaczego znów miałabym nadskakiwać dworzaniowi, ja, żona jego pana i dobroczyńcy?

— Pani wiesz lepiej ode mnie, co czynić przystoi, lecz słyszałam od mego ojca, że wolałby spotkać w drodze zgłodniałego wilka aniżeli sprzeciwić się zamiarom Varneya i często mi przykazywał, bym go unikała.

— Twój ojciec miał słuszość przestrzegając cię przed nim i mogę ci zaręczyć, że czynił to dla twego dobra. Szkoda wielka, że jego twarz i obejście nie odpowiadają szczerym chęciom, bo zdaje się, że jego chęci są szczerze!

— Nie wątp w to, pani! — odpowiedziała Joanna. — I nie wątp w czyste intencje mego ojca, choć on prosty człowiek, a wzrok ponury może zadaje fałsz jego sercu.

— Wierzę temu, a przynajmniej wierzyć będę dlatego, ażeby ciebie nie martwić. Wyznać jednak muszę, że ma twarz na której sam widok człowiek truchleje. Podobno

nawet twoja matka... Joasiu, czy skończysz z tym żelazkiem? Podobno, mówię, twoja matka nie mogła patrzeć na niego bez drżenia,

— Gdyby tak było — odpowiedziała Joanna Foster — to przecież moja matka miała krewnych, którzy by za nią ujęli się i nie pozwolili uczynić jej najmniejszej przykrości. — Lecz cóż w tym dziwnego? Przecież i ty pani zadrżałaś i spłonęłaś żywym rumieńcem, gdy ci Varney oddawał list milorda.

— Jesteś zbyt śmiała, dziewczyno! — rzekła hrabina podnosząc się z poduszek, na których siedziała oparta niedbale na ramieniu Joasi.—Wiedz, że czasem lękamy się i truchlejemy chociaż nie ma się czego obawiać. Lecz wierz mi, dziewczyno—dodała powracając znowu do poprzedniej poufałości i wrodzonej dobroci serca — wierz mi, że będę miała o twoim ojcu najlepsze mniemanie dlatego jedynie, że ty jesteś jego córką. Ach, niestety!—zawołała i nagły smutek zasepił jej piękne lica, a oczy napęłnił łzami. — Czy przystoi mi dzielić uczucia twego tkliwego serca, gdy mój własny ojciec nie wie, co się ze mną dzieje i, jak powiadają, zapadł w ciężką chorobę, dręcząc się losem niegodnej córki!... Lecz wkrótce go zobaczę, pocieszę i rozweselę, a wiadomość o moim szczęściu i zaszczytach uraduje jego smutną starość! O, gdyby jak najprędzej wrócić mu dawną wesołość! Lecz przestańmy płakać! — rzekła ocierając łzy z twarzy.

— Milord nie powinien mię zastać nieczułą na tyle dowodów dobroci, nie powinien zastać zasmuconą, gdy ukradkiem odwiedza swoją pustelnię po tak długiej niebytności! Bądź dobrej myśli, Joasiu! Zmrok już zapada i milord niezadługo przybędzie. Zawołaj do mnie swego ojca i Varneya. Nie jestem zawzięta na żadnego z nich, choć miałabym słuszne przyczyny żalenia się na obu, a jeżeli skarga jaka dojdzie uszu hrabiego, niech w takim razie nie mnie, a siebie winią. Zawołaj ich tu, Joasiu!

Joanna Foster spełniła rozkaz pani i w kilka chwil Varney wszedł do bawialnego pokoju pewnie i śmiało, z pogodną twarzą pewnego siebie dworaka, biegłego — pod zasłoną zewnętrznej grzeczności — w ukrywaniu własnych uczuć i w dociekaniu cudzych tajemnic. Za nim wsunął się Antoni Foster, a jego posępne wejrzenie i ciężka postawa jaskrawo odbijały od wymuszonej uprzejmości, którą starał się pokryć niezadowolone, jakiego doświadczył widząc, że ta, nad którą dawniej przewodził, tak wspaniale była ubrana i otoczona tyloma dowodami mężowskiego przywiązania. Niezdarny ukłon zdradzał naturę źle tłumionych uczuć: tak właśnie kłania się

winowajca przyprowadzony przed sędziego, gdy wyznając zbrodnię błaga o przebaczenie.

Varney z racji szlacheckiego urodzenia wszedł do pokoju przed Antonim Fosterem. Wiedział on lepiej, co powiedzieć w takim razie i przemówił ze swadą.

Hrabina ze swej strony powitała go z pozorną szczerością, która zdawała się zupełnym przebaczeniem jego przeszłych wykroczeń. Powstała z krzesła, zbliżyła się do niego i rzekła podając mu rękę:

— Panie Ryszardzie Varney, przyniosłeś mi dziś rano tak wesołe nowiny, że lękam się, ażeby niespodziewana radość nie uczyniła mię opieszalą w przyjęciu was ze wszelką uprzejmością, stosownie do poleceń mojego męża. Podaję wam rękę na pojednanie!

— Nie jestem godzien dotknąć jej, pani—odpowiedział Varney przyklękając na jedno kolano — Chciałbym wyrazić jej taki szacunek, jaki swej królowej winien poddany!

I zbliżył do ust te drobne i piękne palce, ozdobione rzędem pierścieni i drogich klejnotów, po czym podnosząc się zgrabnie chciał ją wprowadzić na podium.

— Nie, Varneyu!—rzekła hrabina.—Nie zajmę tego krzesła, póki mnie sam milord nie posadzi na nim. Nie jestem jeszcze uznana hrabiną i nie myślę przywłaszczać sobie żadnych praw, póki mnie nie upoważni ten, od którego spływają na mnie wszelkie zaszczyty.

— Pochlebiam sobie, pani—rzekł Foster—że ograniczając twą wolność podług rozkazów milorda nie ściągnąłem na siebie twego gniewu, gdyż pełniłem tylko powinność włożoną na mnie; bo niebo, jak naucza Pismo święte, nadało mężowi władzę i panowanie nad żoną. Jeżeli się nie mylę, tak tam jest napisane.

— Doświadczam w tej chwili tak miłego zdziwienia, że nie mogę pamiętać o surowości, która mnie trzymała z dala od tych pokojów, dopóki nie zostały ozdobione tak wspaniale.

— Tak jest, pani!—rzekł Foster.—Niemal to kosztowało pieniędzy! Zostawiam cię do przybycia milorda z panem Ryszardem Varneyem, który podobno ma ci powierzyć jakieś zlecenia od miłościwego małżonka, ja zaś śpieszyć muszę dla dopatrzania zarządzonych przygotowań. Chodź ze mną, Joasiu!

— Nie, panie Foster—rzekła hrabina.—Twoja córka zostanie ze mną. Usiądziesz na stronie, Joasiu, jeżeli Varney będzie miał co do powiedzenia z polecenia milorda.

Foster wyszedł z niezgrabnym ukłonem, żałując, jak się zdawało, ogromnych sum wyłożonych na przerobienie jego domu, podobnego dawniej do pustej stodoły, na pyszny azjatycki pałac. Gdy odszedł, córka jego wzięła do rąk krosienka i usunęła się w głąb pokoju, a Ryszard Varney wybrawszy najniższe krzesło postawił je z uszanowaniem obok poduszek, na których, siedziała hrabina, usiadł i spuściwszy oczy w dół zachowywał przez niejaki czas głębokie milczenie.

— Zrozumiałam — rzekła hrabina widząc, że Varney nie zaczyna rozmowy — że masz mi, waćpan, coś do powiedzenia od milorda, mego męża i dlatego kazałam odejść mojej służebnej. Jeśli się omyliłam, przywołam ją do siebie, gdyż jej igła, niezupełnie biegła w haftowaniu, potrzebuje mojej rady i pomocy.

— Pani! — rzekł Varney. — Foster nie pojął mego zamiaru, gdyż pragnę mówić tylko z panią o jej dostojnym małżonku, moim dobroczyńcy, a z jego strony nie mam nic do powiedzenia.

— Zawsze to miły dla mnie przedmiot, czy w jego imieniu, czy tylko o nim mówić będziesz. Lecz bądź zwięzły, gdyż wyglądam jego prędkiego przybycia.

— Mówiąc krótko i śmiało, bo mój przedmiot wymaga razem pośpiechu i odwagi, zapytam z góry, czy pani widziała dzisiaj Tressiliana?

— Widziałam, lecz cóż cię to może obchodzić?

— To mnie nic nie obchodzi, lecz sądzisz pani, że i milord słuchać będzie tego doniesienia równie spokojnie?

— A dlaczegóż nie? Dla mnie tylko jednej odwiedziny Tressiliana były przykre i zasmucające, gdyż przyniósł mi wiadomość o chorobie mego ojca.

— O chorobie ojca pani? Musiał więc zachorować nagle, bardzo nagle, bo posłaniec, którego wysłałem z rozkazu milorda, zastał go jak zwykle w kniei szczującego swe ogary wesołymi łowieckimi krzykami. Tressilian zapewne nie chciał o tym pamiętać. Ma on swoje przyczyny, jak pani wiadomo, dla których mąci twoje szczęście.

— Niesłusznie go krzywdzisz, panie Varneyu — odparła żywo hrabina—bardzo niesłusznie! Jest to najszczerzy, najprawdziwszy, najzacniejszy z ludzi. Wyjąwszy

mego dostojnego męża nie znam nikogo, kto by bardziej brzydził się fałszem nad Tressiliana.

— Przebacz, pani — odpowiedział Varney. — O nic złego nie posądzam tego człowieka i nie wiedziałem także, że jego dobra sława tak bardzo cię obchodzi. Można, zdaniem moim, w pewnych okolicznościach zataić prawdę dla pięknych i szlachetnych celów, bo gdybyśmy zawsze prawdę mówili, nie podobna byłoby żyć na tym świecie.

— Masz dworskie sumienie, panie Varneyu; podobne podejście do prawdy nigdy ci nie przeszkodzi w zdobywaniu światowych zaszczytów. Lecz co się tyczy Tressiliana, powinnam ująć się za nim, gdyż wyrządziłam mu wielką krzywdę, jak sam to wiesz najlepiej. Świat, o którym mówisz, nie ma dla niego nic wielkiego ani powabnego, co sprowadzić by go mogło z drogi prawdy i cnoty. Za to kochał go mój ojciec, za to i ja byłabym kochała, gdybym tylko mogła. Nie wiedząc nic o moim zamężciu ani nazwisku męża, sądził, że podając ważne powody zdoła mnie nakłonić do opuszczenia tego miejsca i dlatego zapewne przesadził słabość mojego ojca, ale ja większą przywiązuję wiarę do świeżych doniesień waćpana.

— Ręczę, że są prawdziwe! — odpowiedział Varney. — Nie jestem wprawdzie zagorzałym czcicielem tej nagiej bogini, którą nazywają Prawdą i zgodziłbym się chętnie, ażeby przykryto jej wdzięki choćby tylko dla przyzwoitości. Lecz pani zbyt nisko cenisz głowę i serce człowieka, którego twój mąż nazywa swym przyjacielem, jeżeli sądzisz, że śmiałbym przynosić fałszywe wieści, rychło mogące się sprawdzić, a jeszcze tak blisko łączące się z twym szczęściem.

— Wiem, że cię milord wysoko ceni i uważa za wiernego i biegłego sternika na tym burzliwym morzu, na którym tak śmiało rozwinął żagle. Lecz nie sądz, panie Varneyu, abym biorąc na siebie w słusznej sprawie obronę Tressiliana miała już dlatego źle o tobie mniemać. Wiesz dobrze, że jestem wieśniaczką i przenoszę zwykłą prawdę nad wszystkie dworskie grzeczności, ze zmianą jednak stanu chyba i sposób życia, i zwyczaje przyjdzie mi odmienić.

— To prawda, pani — rzekł Varney z uśmiechem. — A chociaż mówisz to żartem, nie zaszkodziłoby stosować się w dalszym postępowaniu do wyrzeczonego zdania. Dworska dama, weźmy najznamienitszą i najcnotliwszą z tych wszystkich które

otaczają tron królowej, dworska dama, mówię, zapewne wystrzegaliby się mówić prawdę lub to, co poczytuje za prawdę, na pochwałę na przykład odrzuconego zalotnika, przy słudze i powierniku swego dostojnego męża.

— Dlaczegoż — rzekła hrabina zarumieniona z niecierpliwości — nie miałabym przyznać tego, co się Tressilianowi należy wobec przyjaciela mego męża, samego męża i całego świata ?

— Więc z tą samą otwartością dziś jeszcze wyznasz pani przed swoim mężem, że Tressilian odkrył jej schronienie tak troskliwie ukrywane przed światem, że się z nią widział i rozmawiał ?

— Bez wątpienia, zaraz po przywitaniu całą rzecz mu opowiem, powtórzę wszystkie słowa Tressiliana i moje odpowiedzi. Z wielkim wstydem wyznać mi to przyjdzie, bo jego wyrzuty, choć niezupełnie sprawiedliwe, nie są jednak bez uzasadnienia, mimo to przecież opowiem mu wszystko co do słowa.

— Uczynisz pani co ci się będzie podobało, jednak ponieważ nikt nie nastaje na to szczere wyznanie, lepiej by może było oszczędzić sobie wstydu i zmartwienia, milordowi niepokoju, a Tressilianowi (bo o nim w wyznaniu wspomnieć wypadnie) niebezpieczeństwa, które stąd może dla niego wyniknąć.

— Nie widzę żadnego z tych strasznych skutków—odpowiedziała hrabina spokojnym głosem—bo przypuszczać na chwilę te okropne następstwa jest to samo, co przypisywać milordowi niegodne uczucia, jakie nigdy nie powstały w jego szlachetnym sercu.

— Daleki jestem od podobnego przypuszczenia—rzekł Varney, a po chwili milczenia dodał z rzeczywistą lub udaną prostotą, różną zupełnie od gładkiej dworności, jaką się zawsze popisywał.—Zobaczysz pani, że i dworak potrafi prawdę powiedzieć, choćby nawet z własnym niebezpieczeństwem, gdy idzie o dobro tych, których szanuje i poważa.—Po tej przemowie zamilkł, jak gdyby czekał na rozkaz, a przynajmniej pozwolenie dalszego dowodzenia; lecz gdy postrzegł, że hrabina milczała, tak dalej mówił zniżonym głosem, bojąc się niby, ażeby go kto nie podsłuchał:—Spojrzyj pani dokoła na te zapory, którymi to miejsce jest obwarowane, na głęboką tajemnicę, która ukrywa przed światem najpiękniejszy klejnot całej Anglii, pomyśl, z jaką surowością Foster, ten prosty dozorca, ogranicza twoje przechadzki i resztę dozwolonej wolności,

rozważ to wszystko i zapytaj sama siebie, co może być przyczyną takiego postępowania?

— Wola milorda — odpowiedziała hrabina — i to mi wystarczy, bo powinnością moją jest nie szukać innej przyczyny.

—Wiem to dobrze. Wola milorda jest istotnie dostateczną przyczyną, a wola ta wynika z miłości godnej przedmiotu, który wzniecił tę miłość, lecz ten, kto posiada skarb i umie go cenić, często pragnie w miarę przywiązywanej do niego wartości zabezpieczyć go od łakomstwa rąk obcych.

— Po co te uwagi, panie Varneyu? Chciałbyś we mnie wmówić, że milord jest zazdrosny? Choćby i tak było, znam skuteczne lekarstwo na zazdrość.

— Jakie?

— Mówić mu zawsze prawdę, dać poznać swój sposób myślenia, odsłaniać mu najskrytsze tajemnice, tak jak się odbijają obrazy w tym gładkim zwierciadle.

— Nie mam nic przeciwko temu—rzekł Varney—ponieważ jednak nie mam też powodu ubolewać nad losem Tressiliana (który gdyby mógł tylko, rad by mnie zgubić natychmiast), będzie dla mnie obojętną rzeczą, jeśli go spotka jakie nieszczęście, skoro pani wyznasz szczerze przed milordem, że się ośmielił naruszyć jej samotność. Znając lepiej milorda, możesz sądzić, czy potrafi znieść bez zemsty taką zniewagę.

— Gdybym mogła wiedzieć, że wyznaniem moim zaszkodzę w czymkolwiek Tressilianowi, któremu tyle już zadałam udręczeń, chętnie zezwoliłabym na wieczne milczenie. Lecz z drugiej strony na cóż by się przydała tajemnica, gdy go widział, jak mi się zdaje, Foster i ktoś drugi jeszcze. Nie, nie, Varneyu! Nie wymagaj ode mnie niemożliwych rzeczy. Opowiem milordowi wszystko, co się stało, a uniewinniając nierozważność Tressiliana tyle dokażę, że zamiast poszukiwania zemsty, sam go bronić i od napaści zasłaniać będzie.

— Pani wiesz lepiej ode mnie, jak postąpić w takim przypadku. Niekoniecznie zresztą trzeba wbiegać na cienką warstwę lodu, można z brzegu spróbować, czy się nie załamie. Nadmieniając przed milordem o Tressilianie łatwo będzie zobaczyć, jakie to nazwisko robi na nim wrażenie. Co się tyczy Fostera i jego przyjaciela, upewniam, że nie znają Tressiliana ani z nazwiska, ani z widzenia, a oprócz tego mogę łatwo w nich

wmówić, że dla ważnych bardzo i słusznych przyczyn nieznajomy człowiek przybył dziś do naszego mieszkania.

Hrabina pomyślała chwilę. — Jeżeli istotnie — mówiła dalej — Foster nie zna Tressiliana, wyznaję, że nie chciałabym, ażeby wiedział o tym, co do niego nie należy. Już on i bez tego dość szeroko rozpościera swą uciążliwą władzę. Nie życzyłabym sobie czynić go sędzią ani też moim powiernikiem.

— Skądże znowu przyszło temu nieokrzesanemu grubianinowi wtrącać się do spraw hrabiny? Tyle on ma prawa do tego, ile jego pies, co na uwiezi dziedzińca pilnuje. Jeżeli w czymkolwiek naraził się pani, mogę go natychmiast odprawić, a na jego miejsce przyjąć marszałka dworu, który potrafi zasłużyć się jej i przypodobać.

— Panie Varneyu! — rzekła hrabina. — Zmieńmy temat. Jeżeli będę miała słuszne powody żalenia się na sługi, którymi mnie milord otoczył, jemu tylko samemu skarżyć się będę. Cicho! Słyszę tętent konia, to on!—zawołała, radośnie zrywając się z sofy.

— Nie spodziewam się, ażeby mógł przybyć tak prędko, a żaden odgłos nie dochodzi ze dworu przez okna szczerlnie pozamykane.

— Nie zatrzymuj mię, Varneyu, mam lepszy słuch od ciebie: to on niezawodnie!

— Jedno słowo, pani! — zawołał Varney niespokojnym głosem, stając jej na drodze.

—Spodziewam się, że to, com powiedział jako sługa pełniąc swą powinność, nie będzie obrócone na moją zgubę. Mam nadzieję, że moje wierne rady nie wyjdą mi na złe. Błagam cię...

— Uspokój się i puść mię! Skąd ta śmiałość? Uspokój się, nie myślę o tobie!

W tej chwili otworzyły się podwoje i mężczyzna wspaniałej postawy, owinięty w płaszcz podróżny, wszedł do pokoju.



## ROZDZIAŁ VII

Patrz, wiatrem niesiony dworskim w nasze strony zdąża:  
Zna wylew łaski pańskiej, zna odpływ, odmęty,  
Zna każdy szkarp ukryty, a szczęściem nadęty,  
Tamtych w górę wynosi, tych w przepaść pogrąża;  
Uderza blaskiem tęczy w oczy zadumiałe,  
Lecz może i te blaski równie są nietrwale.  
Dawna komedia ;

Sprzeczką z upartym Varneyem zasepiła na chwilę czoło hrabiny gniewem i zamieszaniem, lecz wkrótce zajaśniała na nim radość. Tkliwe przywiązanie odezwało się, gdy rzucając się w ramiona przybyłego i przyciskając go do łona zawołała czułym głosem:—Wreszcie przybywasz!

Varney wyszedł w chwili wejścia swego pana i Joasia to samo miała uczynić, gdy jej pani dała znak, żeby została.

Tymczasem hrabia z najtkliwszym zapalem odpowiedział na czułe uściski małżonki, lecz udawał, że się opiera, gdy chciała zrzucić z niego płaszcz.

— Uchylę tę zasłonę! — rzekła z uśmiechem. — Muszę zobaczyć, czyś mi dotrzymał danego słowa i przyszedł do mnie w ubiorze hrabiego, czy zwyczajem swoim jak zwykły człowiek?

— Jesteś, widzę, taka jak reszta kobiet, Amelio! — rzekł hrabia pozwalając się zwyciężyć w tej miłej walce. — Jedwab, pióra, klejnoty więcej u nich znaczą niż człowiek, któremu tylko służą do ozdoby. Prawda, że zwykłe żelazo piękniejsze jest w bogatej oprawie!

— To nie może stosować się do ciebie — rzekła hrabina, gdy spadający płaszcz ukazał jej małżonka w całej świetności książęcego ubioru — prędzej cię porównać można z hartowną i pięknie wygładzoną stalą, co gardzi zewnętrzną ozdobą. Nie myśl, ażeby cię mogła więcej kochać w tych wspaniałych szatach, niż cię kochałam, gdy okrytemu szarym płaszczem oddawałam serce w lasach Devonu.

— I ty także — rzekł hrabia prowadząc ją uroczyście na paradne krzesło dla nich obojga przygotowane — i ty także, moje życie, masz piękny ubiór, stosowny do twego

stanu, lecz nie mogący nic dodać do twoich wdzięków. Cóż powiesz o naszym mieszkaniu?

Hrabina rzuciła przelotne spojrzenie na ogromne zwierciadło, obok którego przechodzili i rzekła: — Nic nie wiem o tym, bo nie mogę myśleć o sobie, gdy widzę twój obraz w tym szkle odbity. Usiądź tu — dodała zbliżając się do krzesła — jako istota godna odbierać cześć i poszanowanie od ludzi.

— Usiądę, jeżeli przy mnie zajmiesz należne ci miejsce.

— Nie, nie! — odpowiedziała hrabina. — Będę u nóg twoich, abym mogła lepiej napatrzeć się twej świetności i widzieć po raz pierwszy, jak się ubierają książęta. — I z dziecinną ciekawością, którą tłumaczyły jej młode lata i wychowanie na wsi, połączone z tkliwym uczuciem małżeńskiej miłości, zachwycała się wspaniałą postawą i świetnym ubiorem człowieka, który był najpiękniejszą ozdobą dworu królowej, słynącego z mądrych doradców i okazałych dworzan. Hrabia tkliwie spoglądając na swą małżonkę bawił się jej zdziwieniem, a jego szlachetne rysy wyrażały podówczas łagodniejsze uczucia od tych, jakie zazwyczaj malowały się na wyniosłym czole i w przenikliwych czarnych oczach. Uśmiechał się czasem z prostych zapytań, które mu zadawała, o rozmaite ozdoby, wchodzące w skład jego ubioru.

— Ta haftowana tasiemka, jak ją nazywasz, opasująca moje kolano, jest to Order Podwiązki<sup>\*/</sup>, (<sup>\*/</sup> Order ustanowiony przez Edwarda II w r. 1350 na cześć jego kochanki hr. Salisbury.) odznaczenie, o które ubiegają się nawet królowie. Oto gwiazda należąca do niego i diament Jerzy, klejnot orderu. Wiesz zapewne, że król Edward i hrabina Salisbury...

— Znam całe to zdarzenie — przerwała hrabina z rumieńcem.—Wiem, że podwiązka kobiety stała się najwspanialszym godłem angielskiego rycerstwa.

— Ten zaszczytny order otrzymałem wraz z trzema znakomitymi towarzyszami: księciem Norfolk, markizem Northampton i hrabią Rutland. Wtenczas zajmowałem niższe miejsce od każdego z nich, lecz cóż stąd? Kto chce wznieść się wysoko, musi zacząć od najniższych stopni.

— A ten piękny bogaty naszyjnik, na którym widnieje klejnot podobny do owcy? Co znaczy to godło?

— Jest to order Złotego Runa, ustanowiony niegdyś przez książąt domu burgundzkiego. Wielkie przywileje są doń przywiązane, bo nawet król hiszpański, na którego spadły wszystkie dzierżawy i zaszczyty tego domu, nie może sądzić kawalera orderu Złotego Runa bez zezwolenia i obecności wielkiej kapituły tegoż orderu.

— Więc ten order należy do okrutnego króla hiszpańskiego? Ach, mój drogi mężu! Rzuć to odznaczenie, abyś nim nie splamił szlachetnego angielskiego serca! Przypomnij sobie nieszczęśliwe czasy królowej Marii, gdy ten sam Filip panował z nią nad Anglią, przypomnij sobie te stosy, na których palono naszych najmędrszych, najświętszych duchownych! Ty, którego nazywają filarem protestanckiego wyznania, jak możesz nosić order hiszpańskiego króla, duszą i ciałem oddanego rzymskiej stolicy?

— Uspokój się, moja najmilsza!—odpowiedział hrabia.— Nie wiesz jeszcze, że ten, kto rozpusza żagle na wiatr dworskiej łaski, nie zawsze może wywiesić ulubioną banderę ani odrzucić niemilą. Nie jestem dlatego mniej gorliwym protestantem, że dla polityki musiałem przyjąć, zaszczyt, który mi ofiarowała Hiszpania, przyjmując mnie do świetnego grona swego rycerstwa. Właściwie mówiąc ten order należy do Flandrii, a Egmont, książę Oranii i wielu innych wzrastają w dumę widząc go ozdobą piersi angielskich.

—Wiesz dobrze, milordzie, co ci czynić przystoi!—rzekła hrabina. — A ten drugi naszyjnik, ten piękny klejnot do jakiego należy kraju?

— Do bardzo ubogiego! Jest to order Św. Andrzeja odnowiony przez Jakuba, ostatniego króla szkockiego. Dano mi po wtenczas, gdy sądzono, że młoda wdowa, Maria, królowa szkocka, chętnie odda rękę angielskiemu baronowi, lecz godność angielskiego barona więcej znaczy niżeli korona małżeńska, zależna od dziwacznych urojeń kobiety panującej tylko nad bagnami i skałami północy.

Hrabina zamilkła, jak gdyby te ostatnie wyrazy obudziły bolesne wspomnienia, a gdy nie przerywała milczenia, hrabia ciągnął dalej:

— A więc, droga moja, twoje życzenia spełnione zostały. Widziałaś swego wasala w świetnym ubiorze, jaki mógł przybrać na drogę, korony i wspaniałe szaty przeznaczone są tylko na pokoje królewskie.

— Ale zazwyczaj zaspokojone jedno życzenie daje początek drugiemu.

— Czy jest coś takiego, co bym dla ciebie mógł uczynić?

— Najpierw chciałam oglądać mego małżonka odwiedzającego to wiejskie ustronie w całej świetności książęcego stroju, teraz chciałabym widzieć go w szarym płaszczu, jaki miał wtenczas na sobie, gdy pozyskał serce skromnej Amelii Robsart.

— Łatwo zaspokoić mogę twoje żądanie i jutro zaraz szary płaszcz nałożę.

— Czy weźmiesz mnie z sobą do jednego z tych zamków, abym widziała, jak to proste odzienie klócić się będzie z przepychem komnat?

— Amelio!—rzekł hrabia poglądając dokoła.—Te pokoje nie są jeszcze dość wspaniale przyozdobione? Wydałem rozkaz, aby nic nie szcędzono na uprzyjemnienie twego pobytu w tym odludnym ustroniu i zdaje mi się, że dobrze zrozumiano moje życzenie, lecz jeżeli sądzisz, że jeszcze czegoś brakuje, powiedz tylko, a każę natychmiast to sprowadzić.

—Żartujesz sobie, milordzie!—odpowiedziała hrabina.—Przepych jaśniejący w tym mieszkaniu przechodzi wyobrażenie i zasługi moje. Ale czyż nie będzie nigdy twojej żony otaczała świetność nie mająca nic wspólnego ani z pracą rzemieślników, zdobiących mieszkanie, ani z drogimi klejnotami, którymi ją obdarzyła twoja szczodroblliwość, lecz stąd na nią spływająca, że kiedyś będzie mogła zająć miejsce między poważnymi matronami angielskimi jako ślubna żona najpierwszego z lordów?

— Tak jest, mój skarbie! Kiedyś to musi nastąpić i wierzaj mi, że ty sama nie możesz goręcej pragnąć ode mnie jak najrychlejszego nadejścia tej pożądanej chwili. Co by to dla mnie była za radość, gdybym mógł usunąć się na zawsze od spraw krajowych, zaniechać kłopotliwych zabiegów nienasyconej ambicji i pędzić z tobą ciche, niezależne życie: z tobą kochana Amy, najdroższą przyjaciółką i towarzyszką! Lecz to jeszcze nie może nastąpić! A te tajemne schadzki, te drogie chwile są wszystkim, co dać ci mogę, najukochańsza żono!

—Dlaczegoż to nie może nastąpić?—rzekła hrabina.—Dlaczegożbyś nie miał wyjawić publicznie naszego związku?;

Wszak ci to nakazują prawa boskie i ludzkie, wszak tej chwili, jak mówisz, tak gorąco pragniesz. Gdybyś choć trochę tego pragnął, któż by śmiał sprzeciwić się tobie, który masz tyle wpływu i znaczenia na dworze?

Zasępiło się czoło hrabiego.

— Amelio!—rzekł po chwili namysłu. — Mówisz o tym, czego nie rozumiesz. My, żyjący na dworze, podobni jesteśmy do podróżnego chcącego wdrapać się na piaszczystą górę. Nie możemy zatrzymać się ani na chwilę, jeśli nie oprzemy się mocną nogą na sterczącej skale. A jeżeli ustaniemy nie doszedłszy kresu, upadamy pociągnięci własnym ciężarem i stajemy się przedmiotem powszechnego pośmiewiska. Stoję wysoko, to prawda, lecz nie tak bezpiecznie, abym mógł iść za skłonnościami serca. Ogłoszenie światu mojego małżeństwa byłoby dla mnie zgubne. Lecz wierz mi, niezadługo wzniosę się tak wysoko, że bez obawy będę mógł przyznać, co ci się słusznie należy. Tymczasem nie truj szczęścia obecnej chwili wymaganiem tego, co prędko nastąpić nie może. Powiedz mi raczej, czy tu wszystko idzie podług twojej myśli? Jak Foster postępuje z tobą? Zapewne nie uchybia ci w niczym winnego szacunku, jeżeli zaś w czymkolwiek przeciw tobie wykroczył, gorzko tego będzie żałować.

— Przypomina mi czasem o konieczności zachowania tajemnicy—odpowiedziała hrabina z westchnieniem—lecz tym samym przywodzi mi na myśl twoje życzenia i dlatego bardziej to pochwalam, niżeli ganię.

— Mówiłem ci już, jak wiele na tym zależy, aby twoje schronienie zachowane było w tajemnicy. Wiem, że Foster jest nieco cierpki i nieokrzesany, lecz Varney ręczy mi za jego wierność i poczciwość. Wszelako, jeżeli masz jaką skargę na niego, jeżeli cię obraża sposób, jakim odbywa swą powinność, wymów słowo a natychmiast zostanie ukarany.

— Nie będę miała żadnego powodu do uzalania się, dopóki wiernie pełnić będzie włożoną na niego powinność. Zresztą, jego córka Joanna jest najlepszą towarzyszką mej samotności, a jej skromność i prostota robi bardzo miłe wrażenie.

— Czy doprawdy? Kto ci się potrafił podobać, nie zostanie bez nagrody. Zbliź się, Joasiu.

Joasia, która oddaliła się o kilka kroków, by osobą swoją nie przeszkadzać państwu w rozmowie, zbliżyła się teraz z grzecznym ukłonem, a hrabia nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, uderzony sprzecznością, jaką stanowił jej skromny ubiór i wymuszony spokój z żywą twarzą i czarnymi oczyma, które śmiały się na przekór jej wysiłkom, by zachować powagę.

— Masz prawo do mojej wdzięczności, piękna dziewczyno—rzekł hrabia—ponieważ twoja pani jest z ciebie zadowolona. — I zdjawszy z palca kosztowny pierścień, podał go Joannie Foster mówiąc: — Noś go na pamiątkę od nas obojga!

— Cieszę się bardzo—odpowiedziała Joanna z wymuszoną powagą—że moje liche usługi znalazły łaskawe względy u pani, do której ktokolwiek się tylko przybliży, zniewolony jej dobrocią, nie może nie czuć w sobie silnej chęci służenia jej. Lecz my należące do zgromadzenia wielebnego Holdfortha nie mamy zwyczaju nosić złota na palcach, nie ubiegamy się za błyskotkami kobiet światowych ani nie zdobimy szyi drogimi kamieniami, jak to czyniły próżne niewiasty Sydonu i Tyru.

— Więc, piękna Joasiu, należysz do bractwa purytanów, którego twój ojciec także musi być gorliwym członkiem. Dlatego tym bardziej jeszcze was poważam, wiem bowiem, że mi wszyscy sprzyjacie i modlicie się za mnie na waszych zebraniach. Dobrze czynisz, Joasiu, że nie dbasz o ozdoby. I tak masz cienkie, zgrabne palce i szyję białą jak kość słoniowa. Lecz dam ci to, czym nie gardzi purytanin ani protestant czy katolik.

To mówiąc włożył jej w rękę pięć sztuk złota z wizerunkiem Filipa i Marii.

— Nie przyjąłabym nawet tych pieniędzy, nie spodziewając się użyć ich na cel, który nam wszystkim przyniesie błogosławieństwo Boga.

— Użyjesz ich, piękna Joasiu, jak ci się spodoba. Proszę cię tymczasem, każ przyspieszyć wieczerzę.

— Zaprosiłam na nią Ryszarda Varneya i Antoniego Fostera — rzekła hrabina, gdy Joanna wyszła dla dopełnienia rozkazu milorda.—Czy mię nie ganisz za to?

— Wszystko pochwalam, cokolwiek tylko uczynisz, moja Amelio! Cieszę się nawet, żeś im wyświadczyła ten zaszczyt, gdyż Ryszard Varney ma u mnie wielkie zachowanie i jest dopuszczony do mych tajemnic. Co się tyczy Fostera, jego obowiązek wymaga, abym go obdarzał zaufaniem.

— Mam cię prosić jeszcze o jedną łaskę i powierzyć tajemnicę...—rzekła hrabina jękającym się głosem.

—Odłóż to do jutra, moja miła!—rzekł hrabia.—Już otwierają się podwoje do jadalnej komnaty, a ponieważ prędko jechałem i dość daleką odbyłem drogę, nie zaszkodzi mi kieliszek wina.

To rzekłszy poprowadził żonę do przyległego pokoju, gdzie Varney i Foster przyjęli ich z głębokim ukłonem: pierwszy ukłonił się po dworsku, drugi obyczajem swej pobożnej sekty. Hrabia przyjął ich powitanie z obojętnością, jak człowiek przywykły do odbierania podobnych hołdów. Zachowanie się hrabiny wskazywało, że obce jej były dotychczas nadskakiwania dworaków.

Wytworność uczy odpowiadała wspaniałości pokojów, lecz nie widać było żadnego sługi i tylko Joasia sama jedna usługiwała do stołu; ale taka była obfitość wszystkiego, tak dobrze przygotowane potrawy, że można było się obejść bez jej pomocy.

Hrabia z żoną zajął miejsce u wyższego końca stołu, a Varney i Foster usiedli po drugiej stronie solniczki, gdzie zawsze siadywali ludzie niższego stanu. Foster zmieszany obecnością osób, w których towarzystwie nie umiał się znaleźć, nie śmiał ust tworzyć przez całą wieczerzę. Za to Varney podtrzymywał rozmowę z takim taktem i znajomością świata, że nie mogąc być pomówionym o natrętność, nie dopuszczał do przerw w toku konwersacji i rozweselał hrabiego. Hojnie obdarzony od natury wszystkimi przymiotami światowego człowieka, mógł godnie sprostać swemu powołaniu: był bowiem greczny i ostrożny, żywy, dowcipny i płodny w wynajdywaniu conceptów. Sama nawet hrabina, choć z wielu względów źle usposobiona do niego, znajdowała upodobanie w jego rozmowie i była dziś skłonniejsza niż kiedykolwiek chwalić dworaka. Nadeszła wreszcie godzina spoczynku. Hrabia i hrabina odeszli do swego pokoju i wszystko ucichło w zamku na resztę nocy.

Nazajutrz rano Varney zarządził wszystko, co leżało w obowiązkach szambelana i koniuszego, choć tylko ten ostatni obowiązek pełnił na świetnym dworze hrabiego, gdzie szlachta ubiegała się o zaszczyt piastowania różnych urzędów, jak czynią to wielcy panowie na dworach królewskich. Powinności związane ze służbą koniuszego i szambelana nie były obce Varneyowi, który, pochodząc ze starej, lecz zubożałej rodziny, był paziem u hrabiego wówczas jeszcze, gdy ten mało znaczył w świecie. Wierny swemu panu w przeciwnych kolejach losu, umiał i później stać się użytecznym, gdy los postawił hrabiego na najwyższym stopniu godności. Zjednawszy tym sposobem miłość i zaufanie, utwierdzone terażniejszymi i minionymi zasługami,

taki posiadał wpływ, że hrabia niczego nie poczynał bez niego i z nieograniczoną ufnością polegał na jego zdaniu.

— Przyszykuj mi, Varneyu, ubranie do konnej jazdy— rzekł hrabia zdejmując z siebie ranne odzienie, wyszywane w kwiaty i suto bramowane sobolami.—Schowaj te kajdany!—dodał pokazując na łańcuchy i rozmaite ordery leżące na stole. — Wczoraj wieczorem mało mi szyi nie urwały. Sam nie wiem, czy je kłaść na siebie, czy na zawsze zrzucić. Jak ci się zdaje, Varneyu?

— Zdaniem moim — odpowiedział dworzanin — złote kajdany nie są podobne do innych więzów, bo im cięższe, tym przyjemniejsze do dźwigania.

— Mimo to jednak do tego skłaniać się pocynam, aby te łańcuchy nie trzymały mnie dłużej na uwięzi dworu. Co mi dodać mogą łaskawe względy do wysokich zaszczytów i obszernych posiadłości, które już mam zapewnione? Cóż zawiodło na rusztowanie mego ojca, jeżeli nie chciwość sławy nie umiejąca trzymać się w granicach rozsądku? Wiesz, że już nieraz stałem nad przepaścią i tylko zbieg szczęśliwych okoliczności ratował mnie od zguby, dlatego nie chce mi się puszczać więcej na to morze burzliwe. Wolę siedzieć spokojnie na bezpiecznym brzegu.

— I z Kupidyndem zbierać morskie konchy!—rzekł Varney.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Varneyu?—zapytał hrabia żywo.

— Nie gniewaj się, milordzie, na wiernego sługę. Jeżeli towarzystwo kobiety, obdarzonej tyloma rzadkimi przymiotami, tak wiele ma dla ciebie powabu, że dla niej chętnie rozstajesz się z tym wszystkim, co dotychczas było przedmiotem twoich starań i zabiegów, mogą cierpieć na tym ubożsi słudzy, lecz Ryszard Varney, którego twoja szczodroblewość tyloma hojnymi darami obsypała, będzie miał zawsze środki utrzymania się stosowne do wysokiej godności, którą na dworze twoim piastować będzie.

— Jednak zdawało mi się, jakobyś nie pochwalał zamiaru opuszczenia niebezpiecznego stanowiska mogącego nas obydwu o zgubę przyprawić?

— Ja, milordzie? Nie moja rzecz żałować ustronia, do którego schronić się zamyślasz. Wszak to nie Ryszard Varney ściągnie na siebie gniew królowej i pośmiewisko całego dworu, gdy najwspanialsza budowa, jaką kiedykolwiek wzniosła łaska panującego,



zwali się tak prędko jak domek z kart. Chciałbym tylko, milordzie, ażebyś przed postawieniem nieodwołalnego kroku radził się tego, co ci nakazuje sława i szczęście.

— Mów, co masz przeciw temu? Wszak nie zrobiłem jeszcze ostatecznego postanowienia. Słucham, rozważę wszystkie okoliczności.

— Przypuśćmy więc, milordzie, że już zrobiłeś krok decydujący, że minął gniew królowej, śmiech zawistnych i łzy przyjaciół. Już osiadłeś w jednym z najodleglejszych zamków, tak daleko od dworu, że cię nie dojdą ani skargi przyjaciół, ani szyderska radość triumfujących wrogów. Przypuśćmy także, w co bardzo wątpić należy, że twój szczęśliwy rywal poprzestanie tylko na obcięciu gałęzi wiekowego drzewa, które mu przez tak długi czas widok słońca zakrywało i nie będzie chciał wyrwać go z korzeniami. Więc ów dawny ulubieniec angielskiej królowej, który tak długo trzymał ster rządu i trząśł parlamentem, prowadzi żywot wiejskiego barona, poluje po swoich puszczech, łowi ptaki z sokołem, spija z sąsiadami piwo, ćwiczy swych ludzi, na lada rozkaz szeryfa...

— Przestań, Varneyu! — przerwał hrabia z uniesieniem.

— Nie, milordzie! Pozwoliłeś mi zacząć ten obraz, pozwól, niech go dokończę. Sussex rządzi Anglią, zdrowie królowej słabnie, trzeba ustalić następstwo tronu, dla ambicji otwiera się piękniejsza droga, niż kiedykolwiek się mogło przyśnić. Dowiadujesz się o tym wszystkim siedząc przy ciepłym kominie i dopiero wtenczas zaczynasz pojmować, jakie opuściłeś nadzieje, jak dobrowolnie wszystko straciłeś, tylko dlatego, by częściej wpatrywać się w oczy pięknej małżonki.

— Nie mów mi o tym. Wszak powiedziałem, że zamiar, do którego mnie skłania pragnienie szczęścia i wygody, ani będzie przedsięwzięty, ani wykonany pochopnie i bez należnego względu na dobro publiczne. Będiesz mi świadkiem, Varneyu, że nie dlatego tłumię w sobie chęć porzucenia praw publicznych, by słuchać głosu ambicji, lecz by pozostać na miejscu, do chwili, gdy najlepiej służyć będę mojej ojczyźnie, jeżeli zażąda ode mnie pomocy. Każ natychmiast osiodłać konia, przebiorę się jak poprzednio za służącego i przyczepię za siodłem zawiniątko z rzeczami. Ty, Varneyu, będziesz dziś panem. Nie zaniedbuj żadnej ostrożności mogącej uśpić podejrzenie. Nim ludzie obudzą się, będziemy już w drodze. Tylko pożegnaj się z żoną i jestem

gotów. Sobie samemu przyczyniam srogiego cierpienia, a sercu droższemu nad życie zadaję bolesną ranę, lecz miłość małżeńska powinna ustąpić miłości ojczyzny.

Powiedziawszy to smutnym, lecz dobitnym głosem wyszedł z pokoju.

„Rad jestem, żeś poszedł—pomyślał Varney—bo choć znane mi są dobrze wszystkie głupstwa ludzkie, nie mógłbym powstrzymać się dłużej od śmiechu słysząc twoje rozumowanie. Obrzydź sobie choć zaraz tę nową zabawkę, tę malowaną lalkę, nieodrodną córkę zdradliwej Ewy i słowa ci za to nie powiem. Ale co się tyczy ambicji tego dawnego cacka, za którymś się tak długo uganiał, o, ręczę ci, milordzie, że go nie porzucisz tak prędko, bo drapiąc się na górę masz w Ryszardzie Varneyu nieodstępного towarzysza, a on, przewidując dla siebie korzyść z twego wyniesienia, nie pożałuje ani bicza, ani ostróg, byle cię tylko mógł doprowadzić do końca sprawy. A ty, piękna dzierlatko, co koniecznie chcesz grać rolę hrabiny, proszę cię, nie wtrącaj się do moich zamysłów, żebym się z tobą inaczej nie rozmówił i nie przypomniał ci dawnych zaległości. — Będziesz dziś panem! — rzekł do mnie wychodząc. Na honor! Może przekona się kiedy, że większą prawdę powiedział, aniżeli się spodziewał. I tak ten który w mniemaniu tylu światłych i rozsądnych ludzi na równi stoi w polityce z Burleighem i Walsinghamem, a w sztuce wojennej z Sussexem, został uczniem swego służącego, a wszystko dla czarnego oka, rumianej buzi i szyi alabastrowej. Tak upada ambicja! A jednak, jeżeli wdzięki słabej kobiety mogą usprawiedliwić obłąkanie człowieka, wyznać trzeba, że milord ma usprawiedliwienie w pogotowiu. Tymczasem zostawmy rzeczy naturalnemu biegowi: albo on dopomoże mi do wyniesienia, albo ja sam szczęście sobie zapewnię. Jeżeli zaś piękna hrabina nie wyjawiała swego spotkania i rozmowy z Tressilianem, czego zapewne wyjawić nie śmiała, musi wejść ze mną w układy, nagrodzić mnie za dochowanie tajemnicy i pomimo całej pogardy, którą czuje dla mnie, obmyślić nadal środki wzajemnego współzycia. Teraz chodźmy do stajni; trzeba przygotować konie do podróży; przyjdzie jednak może ten czas, że mój własny koniuszy każe mi siodłać konia.”

Tymczasem hrabia wszedł do sypialnego pokoju chcąc czym prędzej pożegnać się z żoną. Zaledwie śmiał jedną chwilę zostawać z nią sam na sam, tak wiele kosztowało go odmówienie prośbie, której nie mógł wypełnić po rozmowie ze swoim koniuszym.

Zastał ją w białym kaftaniku, podszytym futrem, z gołymi nogami obutymi naprędce w ranne pantofle, z rozpuszczonymi włosami, wymykającymi się spod nocnego czepka bez żadnej innej ozdoby oprócz wdzięku podkreślonego raczej niż przyćmionego smutkiem rozstania.

— Bywaj zdrowa, Amelio! Bogu cię polecam, najdroższa, najukochańsza!—rzekł hrabia, z trudem odrywając się od niej i znowu przytulając ją do piersi, odchodząc i znowu wracając, aby ją po raz ostatni uściskać i ucałować. — Już słońce wysoko, nie śmiem tu dłużej zostawać. Przynajmniej o mil dziesięć stąd powinienem znajdować się już o tej porze.

— Więc odjeżdżasz i nie chcesz spełnić mej prośby? Ach, fałszywy rycerzu! Któżaż kobieta boso błagała kiedy łask zalotnego rycerza, i z niczym została odprawiona?

— Wszystkiemu zadośćuczynię, o cokolwiek prosić będziesz, to tylko pomijając, co by nas oboje zgubić mogło.

— Nie żądam tego — odpowiedziała hrabina — aby natychmiast cała Anglia obróciła na mnie zazdrosne oczy. Nie żądam, mówię, aby mię zaraz uznano za żonę najpierwszego z angielskich lordów. O to cię tylko proszę, abyś mi pozwolił podzielić tajemnicę z moim kochanym ojcem i położyć kres zmartwieniom, które cierpi dla mnie ten dobry, zacny starzec! Powiadają, że niebezpiecznie chory...

—Powiadają? Któż przecie?—zapytał milord z pośpiechem. — Czyż Varney nie powiadomił Hugona Robsart o wszystkim, co mu dotychczas mogliśmy donieść? Czyż nie powiedział ci, że posłaniec zastał go w kniei w dobrym zdrowiu i wesoło używającego ulubionej rozrywki? Któż śmiał zasmucić cię innymi myślami?

— Nikt, milordzie, nikt! — rzekła hrabina, nieco zatrwożona głosem, jakim mąż wymówił ostatnie pytanie. — Chciałabym tylko przekonać się na własne oczy, czy mój ojciec jest w dobrym zdrowiu?

— To rzecz niepodobna, Amelio! Nie możesz mieć teraz żadnych stosunków z domem twego ojca. Pięknie byśmy wyszli na tym, gdybyśmy do naszej tajemnicy przypuścili więcej osób, niż tego wymaga konieczność. Wreszcie ten jegomość z Kornwalii, Trewaillan czy Tressilian, mniejsza o nazwisko, przesiaduje w domu twego ojca i wie o najskrytszych jego tajemnicach !

— Mój ojciec, milordzie, znany jest od dawna jako rozsądny i uczciwy człowiek, a co się tyczy Tressiliana, jeżeli sobie przebaczyć możemy wyrządzoną mu krzywdę, założę się o koronę hrabiny, mającą kiedyś jaśnieć na mojej głowie, że on nie jest z tych ludzi, którzy złem za złe odpłacają.

— Nie zaufam mu jednak, Amelio, nie zaufam, na honor! Wolałbym, żeby sam szatan wtrącił się do naszych interesów aniżeli ten Tressilian.

— Dlaczegoż, milordzie?—rzekła hrabina truchlejąc na stanowczy głos męża.—  
Dlaczegoż tak źle o nim myślisz?

— Pani! — odpowiedział hrabia. — Wola moja powinna być dostatecznym wyjaśnieniem, lecz jeżeli chcesz dowiedzieć się więcej, zważ, z kim ten Tressilian jest połączony, jak ceniony jest przez Radcliffa i Sussexa, z którym nie bez trudności przychodzi mi współzawodniczyć w łaskach naszej podejrzliwej monarchini. Jeżeli tylko mój współzawodnik dowie się pierwszej o naszym małżeństwie, nim Elżbieta zostanie należycie przygotowana do przyjęcia tej wiadomości, wówczas postradałbym na zawsze jej łaski, utraciłbym cały majątek, a może, nawet, bo płynie w niej krew jej ojca Henryka, stałbym się ofiarą obrażonej zazdrości.

— Lecz dlaczegoż, milordzie, powziąłeś krzywdzące mniemanie o człowieku, którego znasz tak mało? Co tylko wiesz o Tressilianie, wszystkiego dowiedziałeś się ode mnie, a ja cię upewniam, że on w żadnym wypadku nie zdradzi naszej tajemnicy. Poróżniłam się z nim przez miłość dla ciebie, tym usilniej wymagam teraz, abyś mu przyznał, co mu się słusznie należy, lecz jeżeli samo wspomnienie o nim pobudza cię do gniewu, cóż byś dopiero powiedział, gdybym go samego widziała?

— Gdybyś go widziała? — rzekł hrabia z gniewem. — Radziłbym ci, abyś te odwiedziny, jak grzech wyjawiony na spowiedzi, wiecznym pokryła milczeniem. Nie pragnę niczyjej zguby, lecz biada temu, kto śmie wkraść się w moje sprawy domowe. Nie cierpi odynieć, aby inny zwierz chodził po jego groźnych manowcach.

— Groźnych zaiste!—rzekła hrabina blednąc.

— Co ci to, moje serce?—rzekł hrabia tuląc ją do siebie.— Połóż się, to zbyt wcześnie dla ciebie. Czy masz jeszcze jaką prośbę, która by nie narażała na niebezpieczeństwo mojej sławy, szczęścia i życia?

— O, nic, nic, milordzie! — odpowiedziała słabym głosem. — Chciałam ci jeszcze coś powiedzieć, lecz twój gniew wypędził mi wszystko z pamięci.

— Zachowaj to do pierwszego zobaczenia — rzekł hrabia ściskając ją czule. — Pominąwszy te życzenia, którym nie mogę i nie śmiem zadośćuczynić, wszystkie twoje rozkazy co do litery będą spełnione, chyba że pragnęłabyś czegoś, czego ani Anglia, ani wszystkie jej posiadłości nie będą mogły dostarczyć.

To mówiąc pożegnał się po raz ostatni i wyszedł z pokoju.

Na schodach Varney podał mu swój kapelusz i płaszcz, którym tak szczelnie się owinał, że nikt go poznać nie mógł. Na dziedzińcu stały już osiodłane konie, jeden dla niego, drugi dla Varneya, bowiem służba na tyle tylko dopuszczona była do tajemnicy, iż domyślać się mogła, że ich pan ma w tym dworze jakąś kochankę, do której czasem dojeżdża, i dlatego często zwalnia służbę na noc.

Sam Antoni Foster trzymał konia hrabiego, dość rosnącego i wytrzymałego na trudy długiej podróży, a stary sługa przyprowadził Varneyowi, przebranemu za pana, dzielniejszego i piękniej ustrojonego rumaka.

Gdy hrabia zbliżył się, Varney podskoczył ku niemu, chwycił za cugle i nie pozwolił Fosterowi spełnić służby, którą uważał za swój wyłączny przywilej. Nie po myśli było Fosterowi, że go odsunięto od obowiązku koniuszego, dlatego tylko, jak mu się zdawało, aby niczym nie mógł przysłużyć się swemu panu, lecz nic nie powiedziawszy musiał ustąpić Varneyowi. Tymczasem hrabia, zapominając, że jako sługa powinien był z tyłu pozostać za swoim mniemanym panem, zatopiony w głębokim zamyśleniu, wyruszył naprzód z dziedzińca posyłając ręką ostatnie pożegnanie hrabinie, która z okna powiewała chustką.

Gdy już zapuścili się w ciemną aleję, wychodzącą z dziedzińca, rzekł Varney:—Otóż to mi piękna polityka! Sługa jedzie przed panem!—Potem korzystając ze sposobności zwrócił się do Fostera. — Panie Antoni, nadaśałeś się, widzę, na mnie! Jeżeli cię pozbawił na odjeźdym życzliwego wzroku hrabiego, wyrobiłem u niego to, że ci zostawił nie mniej przyjemną pamiątkę za twoje wierne usługi. Patrz, jaki spory woreczek. Weź go, przelicz pieniądze i pomieszaj z tymi, które dał wczoraj Joannie.

— Jak to! Czy być może? Dał pieniądze Joannie?

— A dlaczegóżby dać nie miał? Wiernie służąc hrabinie niewarta nagrody?

— Nic z tego nie będzie, musi mi oddać wszystko do grosza. O, znam ja milorda, lubi on często odmianę. Jego gusta i upodobania tak są zmienne jak kwadry księżyca.

— Czyś oszalał, Fosterze! Czy możesz przypuszczać, że milord czuje jakąś skłonność do twojej córki? Któż u diabła zechce słuchać skowronka, kiedy słowik śpiewa?

— Czy słowik, czy skowronek, wszystko jedno dla ptasznika; wiem ja, panie Varney, że umiesz doskonale wabić ptaszęta w swoje sidła. Nie pozwolę na to, żebyś mi bałamucił moją dziewczynę. Śmiejesz się? Mówię ci wyraźnie, ocale przynajmniej jedną duszę z mojej rodziny od pazurów szatana i jeszcze raz powtarzam, że z tego nic nie będzie. Musi mi natychmiast oddać pieniądze.

— To jest oddać ci do schowania, co na jedno wychodzi. Lecz ja chciałem o czymś ważniejszym pomówić z tobą. Nasz pan wyjechał w nienajlepszych dla nas zamiarach.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Czy nie znudził się już tą zabawką? Bo sypnął na nią tyle pieniędzy, że króla można by z niewoli wykupić, a teraz zapewne żałuje tak ogromnych nakładów.

— Gdzie tam! Szaleje za nią do upadłego i chce dwór dla niej opuścić. Wtenczas pożegnamy się z naszymi nadziejami, posiadłościami i bezpieczeństwem. Wtenczas odbiorą nam dobra kościelne, i jeszcze powinszujemy sobie, jeżeli nas nie pociągną do zdania rachunku z pobieranych dochodów.

— O, to by była klęska! — zawołał Foster z czołem zachmurzonym bojaźnią.—A wszystko przez jedną kobietę! Nie mówię jeszcze, żeby chodziło o zbawienie jej duszy, to by była rzecz do darowania, ja sam chciałbym oderwać się od tego świata, który się do mnie gwałtem przyczepia i żyć jak najuboższy nędzarz należący do naszego zgromadzenia.

— Nie bój się, doczekasz tego, Aniołku, lecz zdaje mi się, że szatan nie da wiary twemu udanemu ubóstwu, a więc i tu stracisz i tam nic nie zarobisz. Lecz posłuchaj mojej rady, a Cumnor Place będzie twoją własnością. Nie mów nikomu, że tu był Tressilian, dopóki cię o tym nie uwiadomię!

— A to dlaczego?—zapytał Foster podejrzliwym głosem.

— Głupie zwierzę! Nie wiesz tego, że milord i tak już zniechęcony życiem publicznym, gdyby się o tym dowiedział, tym mocniej jeszcze zapragnąłby wiejskiego ustronia? Gdyby, mówię, dowiedział się, że taki upiór odwiedza żonę w czasie jego

niebytności, ręczę, że sam zostałby smokiem, pilnującym swego skarbu, a wtenczas, Antolku, na cóż by się przydały twoje usługi? Mądrej głowie dość dwie słowie! Bywaj zdrów, muszę pośpieszać za panem.

To mówiąc ścisnął konia ostrogami i puścił się w ślad za lordem.

— Leć na złamanie karku, opętańcze!—rzekł Antoni Foster.—Lecz nie ma rady! Muszę go słuchać! Muszę ściśle wykonywać jego rozkazy, bo nasze interesy są wspólne, a on taką jeszcze ma wyższość nade mną, że wodzi za nos dumnego milorda. Zaraz idę do Joasi, odbiorę od niej pieniądze i obrócę na chwałę bożą tym lub innym sposobem. Tymczasem schowam je do mojej skrzyni w osobnej kryjówce, dopóki nie przemyślę stosownego dla nich przeznaczenia, żeby duch zarazy nie owionął mojej Joasi. Musi ona być czysta i niewinna jak anioł! Choćby dlatego jedynie, by modlić się do Boga za ojca. Teraz właśnie najwięcej potrzebuję jej modlitwy i wstawienia się za mną, bom się szkaradnie zaplątał. Dziwne wieści biegną między ludźmi o moim sposobie życia. Cała kongregacja oziębła na mnie spogląda, a gdy na ostatnim kazaniu Holdforth przyrównywał hipokrytów do pobielonych grobów, napełnionych wewnątrz ludzkimi kośćmi, zdawało mi się, że na mnie ciągle miał oczy zwrócone.

Varney tymczasem dopędził swego pana, który czekał na niego przy ogrodowej furcie wychodzącej na otwarte pole.

— Tracisz czas, Varneyu— rzekł hrabia—gdy każda chwila jest droga: nieprędko mogę zrzucić przybrane odzienie, aż po przybyciu do Woodstock, do tego miejsca nie jestem zupełnie bezpieczny w podróży.

— Staniemy tam za dwie godziny—odpowiedział koniuszy—zatrzymałem się tylko dlatego, aby ponowić Fosterowi rozkaz najtroskliwszego dochowywania tajemnicy i by dowiedzieć się od niego o mieszkaniu człowieka, którego chciałbym przyjąć do twego dworu, milordzie, na miejsce odprawionego Trevorsa.

— Czy sądzisz, że będzie zdatny do tej służby?

— Wygląda obiecująco — odpowiedział Varney. — Gdybyś, milordzie, chciał jechać beze mnie, powróciłbym do Cumnor, przyprowadziłbym go do Woodstock i jeszcze byśmy cię w łóżku zastali.

— Nie żałuj więc konia, ruszaj co tchu i przybywaj jutro równo ze świtem.

To mówiąc puścił się spiesznie w dalszą drogę, a Varney zawrócił do Cumnor publicznym gościńcem. Zsiadł z konia przed „Czarnym Niedźwiedziem”, kazał przywołać gospodarza i oświadczył mu, że chciałby pomówić z Michałem Lamburnam. Zaczny siostrzeniec nie dał czekać na siebie nowemu dobrodziejowi, lecz gdy wszedł do izby, zdawało się, że był trochę zafrasowany.

— Zapewne straciłeś ślad swego towarzysza — rzekł Varney.—Poznaję to po twej kwaśnej minie. Gdzież ta twoja sprawność, którą chełpisz się bezwstydnie?

— Niech trupem padnę, jeżeli nie tropił tego lisa jak najlepszy gończy z królewskiej psiarni. Widziałem go, jak się schował do jamy u mego wuja, widziałem, jak jadł wieczerzę, jak się rozbierał i kładł do łóżka, jak ćma wszędzie włóczyłem się za nim: a tymczasem jak z bicza trzasł!—wyjechał stąd do dnia i nikt nie wie, gdzie się podział, nie widział go nawet parobek stajenny.

— Może chcesz mię w pole wyprowadzić? Jeżeli okaże się to prawdą, klnę się duszą i ciałem, że będziesz tego żałował.

— Mój panie! Najlepszy pies może czasem stracić trop. Cóż by mi stąd przyszło, gdybym go puścił na sucho? Spytaj Goslinga, mego wuja, spytaj tych chłopaków, piwniczego, parobka, Cecylki, całego domu wreszcie, a oni ci powiedzą, że przez cały wieczór miałem go na oku. Już ci też do stu katów nie mogłem siedzieć przy jego łóżku jak doktor koło chorego, widząc zwłaszcza że sobie spokojnie zasypia. Przyznasz mi to zapewne!

Varney nie poprzestając na tym zapewnieniu zadał kilka pytań służącym, którzy potwierdziwszy co powiedział Lamburn zgodzili się jednomyślnie, że Tressilian nagle i niespodziewanie wyjechał między północą a świtem.

— Ale też trzeba mu oddać sprawiedliwość!—odezwał się gospodarz—że wyjeżdżając położył na stole pieniądze, które mi się od niego należały, a do tego jeszcze zostawił na piwo służącym, co tym mniej było potrzebne, że, jak się pokazuje, sam sobie konia osiodłał.

Varney przekonany o dobrych chęciach Lamburna, zaczął z nim rozmawiać o planach na przyszłość, oświadczając, iż dowiedział się od Fostera, że chce przyjąć służbę u jakiegoś możnego pana.



— Nie — odpowiedział Lamburn — lecz od lat dziesięciu śniło mi się zawsze raz na tydzień, że kiedyś dostanę się na dwór wielkiego pana i u niego dorobię się chleba.

— Twoja to będzie wina, jeżeli się nie sprawdzi tak piękne marzenie. Czy potrzebujesz pieniędzy?

— Zawsze ich potrzebuje, kto lubi zażywać częstych przyjemności.

— Dostateczna i uczciwa odpowiedź! Czy wiesz, jakie powinien posiadać przymioty, kto chce służyć u wielkiego pana?

— Wyobrażam sobie, że powinien mieć otwarte oczy i uszy, zamkniętą gębę, gotową i śmiałą rękę, ostry dowcip i tępe sumienie.

— A twoje zapewne już od dawna stępiało?

— Nie mogę sobie przypomnieć, czy nawet było kiedy ostre. Gdym był jeszcze wyrostkiem, chciało czasem podnieść głos i odezwać się do mnie, lecz na wojnie zagłuszył je szcęk oręża, a co mi jeszcze pozostało, zatopiłem do reszty w falach Atlantyku.

— Więc służyłeś w Indiach?

— Wschodnich i Zachodnich, na morzu i na lądzie — odpowiedział kandydat do dworskiej służby. — Służyłem Portugalii i Hiszpanii, Francji i Holandii, i na własny rachunek prowadziłem wojnę wraz z tymi, co to na małych statkach uwijają się po morzu i za równikiem, z nikim w zgodzie nie żyjąc.

— Możesz być, widzę, użyteczny milordowi, mnie i sobie samemu — rzekł Varney po niejakiem namyśle — lecz pamiętaj, że znam dobrze ludzi! Powiedz mi otwarcie, czy umiesz być wierny?

— Gdybyś ich nie znał, dałbym ci twierdzącą odpowiedź bez żadnego warunku i zaprzysiągł się na honor, na sumienie, na uczciwość i tak dalej. Lecz ponieważ zdaje mi się, że waszeć bardziej pragniesz uczciwej prawdy aniżeli politycznego fałszu, powiem więc otwarcie, że mogę być wierny do szubienicy, do samego nawet węzła zawiązanego na stryczku, jeżeli, ma się rozumieć, będę dobrze płatny i odpowiednio traktowany. A jeżeli nie, to wybac, łaskawco!

— Do wszystkich twoich cnót — rzekł Varney szyderskim głosem — musisz i ten jeszcze dołączyć przymiot, że w potrzebie potrafisz udąć poważnego i religijnego człowieka.

— Nic by mnie nie kosztowało powiedzieć, że tak jest, lecz krótko mówiąc, nie jestem stworzony do tego. Jeżeli potrzebujesz hipokryty, zwróć się do Antoniego Fostera. On od dzieciństwa goni za marą zwaną religią, co się u niego kończy zwykle czczeniem bogini zwanej Mamoną. Co do mnie, nie jestem do tego zdatny.

— Jeżeli nie jesteś hipokrytą, to masz zapewne konia w stajni?

— I jakiego jeszcze konika! Przesadza rowy i płoty, nie dałby się wyprzedzić najlepszemu biegunowi ze stajni milorda.

— Każ go osiodłać, bo pojedziesz ze mną. Zostaw u gospodarza rzeczy: zaprowadzę cię do wielkiego pana, gdzie jeżeli nie dorobisz się majątku, nie będzie to winą fortuny, lecz twoją własną.

— Natychmiast jestem gotów. Hej, chłopcy! Osiodłajcie mi konia! Tylko w mgnieniu oka, jeżeli wam plecy miłe. Cecylko! Piękna Cecylko! Chodźże do mnie, pożegnaj się, weź te pieniądze na pociechę po moim nagłym odjeździe!

— Obejdzie się ona bez tych pożegnań i upominków!— odezwał się Gosling. — Jedź sobie z Panem Bogiem, mój Michałku i pracuj nad zbawieniem duszy, chociaż pewnie nie znajdziesz go tam, dokąd się wybierasz.

— Pokaż mi swoją Cecylkę, panie gospodarzu—rzekł Varney. — Słyszałem wiele o jej piękności.

— Moja Cecylka jest to zwyczajna prosta karczmareczka, opalona słońcem, wytrzymała na wiatry i ulewy i nie mogłaby podobać się wybrednym kawalerom, jak wy jesteście, panie. Siedzi w swojej izdebce i nie myśli wdawać się z dworskimi ludźmi.

—Niechże siedzi!—rzekł Varney.—Życzę jej wszelkiej pomyślności. Lecz konie czekają na nas. Bywaj zdrów, panie gospodarzu!

— Czy mój siostrzeniec jedzie z wami?

— Taki ma zamiar przynajmniej — odpowiedział Varney.

— Dobrze robisz, Michałku, że się z nami rozstajesz; nic lepszego nie mogłeś uczynić. Masz dobrego konia, strzeż się tylko szubienicy; a jeżeli już koniecznie zachciałoby ci się unieśmiertelnić za pomocą stryczka, proszę cię i zaklinam, wybierz sobie gałąź jak może być najdalej od Cumnor.

Tymczasem koniuszy i jego nowy sługa dopadli koni nie zważając na złowieszcze pożegnanie gospodarza i ruszyli z miejsca tak prędko, że nie mogli skończyć rozmowy dopóty, dopóki nie zaczęli drapać się na wysoką i piaszczystą górę.

—Więc zgadzasz się—rzekł Varney—na przyjęcie służby dworskiej?

— Zgadzam się, łaskawy panie, jeżeli przystaniecie na moje warunki, jak ja na wasze przystałem.

— Jakież są te warunki?

— Najprzód, jeżeli chcecie, abym miał otwarte oczy na interes mego pana, wymagam z mojej strony, aby pan patrzył przez palce na moje ułomności.

— Byle tylko te ułomności nie były przeszkodą w pełnieniu służby.

— Za to ręczę! Po wtóre: jeżeli upoluję jaką zwierzynę, wymawiam sobie odprawę z nóżek i kości.

— Nic słusniejszego, nawet ludzie, którzy trochę więcej znaczą od ciebie, zastrzegają sobie podobny warunek.

— Na koniec: jeżeli kiedy pokłóćę się ze sprawiedliwością, aby mój pan wstawił się za mną i wypłatał z biedy. Ten punkt niezmiernie jest ważny dla mnie!

— I to słuszne żądanie, lecz wtedy tylko dające się zastosować, gdy zatarg wyniknie z obowiązków służby.

— Co się tyczy zapłaty, o tej nic nie wspominam: spodziewam się bowiem żyć z pokątnych i ubocznych dochodów.

— Nie troszcz się o to bynajmniej. Będziesz miał piękne suknie i pieniędzy po uszy. Zaprowadzę cię bowiem do takiego dworu, gdzie — jak mówią — wszystko kapie od złota i od srebra.

— Tego mi właśnie potrzeba: pozostaje tylko wiedzieć, jak się mój przyszły pan nazywa.

— Nazywa się Ryszard Varney.

— Lecz ja chciałbym znać nazwisko pana, u któregoś mi służbę naraił.

— Cóż to znowu, nicponiu! Kimże ty jesteś, żem niegodzien być twoim panem. Bądź sobie zuchwałym dla drugich, lecz ze mną trzeba być trochę skromniejszym.

— Przepraszam uniżenie! — rzekł Lamburn. — Zdawało mi się, żeście byli za pan brat z Antonim Fosterem, a ja także Jestem z nim w przyjaźni.

— Filut widzę z ciebie!—odpowiedział Varney.—Słuchaj, co ci powiem: prawda, że zamyślam umieścić cię w służbie wielkiego pana, lecz nie od niego, ale ode mnie wszystkie rozkazy odbierać i bezpośrednio zależeć będziesz. Jestem koniuszym u niego. Dowiesz się później o jego nazwisku. On trzęsie wszystkim, on włada całym królestwem.

— Smaczny to kęs! Za pomocą takiej różdżki czarodziejskiej dobrze jest znajdować ukryte skarby.

— Można wykopać ogromne bogactwa, lecz trzeba z największą ostrożnością zabierać się do dzieła, żeby nie wywołać diabła, który by cię w kawałki rozszarpał.

— Dosyć mi tego! Nie bój się, nie wykroczę poza granice umiarkowania.

Po skończonej rozmowie nasi podróżni puścili się cwałem i wkrótce przybyli do Woodstock. Ta stara posiadłość korony angielskiej bardzo się teraz różniła od czasów przepychu i świetności, gdy w murach jej mieszkała piękna Rozamunda i gdy pałac był teatrem tajemnych i niecznych miłostek Henryka II; a stan jego dzisiejszy bardziej jeszcze jest niepodobny do tego, czym był wtenczas, kiedy Beenheim-House opisywał zwycięstwa Marlborougha, a Vanbrugh rozwijał sławne, choć niedoceniane przez współczesnych dzieła geniuszu.

Za czasów Elżbiety był to stary, chylący się do upadku dwór, który od dawna nie gościł osoby królewskiej, co przyczyniło się między innymi do zubożenia przyległych włości. Mieszkańcy podawali kilka razy prośbę do królowej, ażeby raczyła wejrzeć na nich łaskawym okiem: i to było pozorną przyczyną, dla której Woodstock odwiedzał lord tak znamienity.

Varney i Lamburn wpadli cwałem na dziedziniec zniszczonego gmachu, gdzie tego poranku panował gwar i hałas, jakiego nie pamiętano od dwóch panowań. Wyżsi urzędnicy hrabiego, służba dworska, pokojowi wchodzili i wychodzili z zuchwałym tupaniem właściwym ich stanowi. Słysząc było rzenie koni i szczekanie psów, bo hrabia, odebrawszy polecenie wejrzenia w obecny stan zamku i dóbr do niego przynależnych, kazał zebrać psiarnię i cały sprzęt myśliwski chcąc użyć rozrywki w kniejach, najstarszych chyba w Anglii, pełnych zwierzyny rozmaitego gatunku, a nie trzebionej od niepamiętnych czasów. Wielka liczba mieszkańców wioski, w nadziei, pomyślnego skutku niespodziewanych odwiedzin, zebrała się na dziedzińcu czekając,

rychło ukaże się wielki człowiek. Spieszne przybycie Varneya zwróciło ich uwagę i wkrótce jeden drugiemu powiadał:—Koniuszy hrabiego, koniuszy hrabiego!—a wszyscy starali się zjednać sobie łaskawe względy pierwszego dworzanina i jego towarzysza odkryciem głowy i chęcią potrzymania konia przy zsiadaniu.

— Na bok, moi panowie! — rzekł Varney głosem wyniosłym.— Nie uprzedzajcie sług w tym, co jest ich powinnością!

Ofuknięci wieśniacy odstąpili o kilka kroków, a Lamburn, małpując wszystkie ruchy, głos i ułożenie swego przełożonego, z większym jeszcze grubiaństwem odpędzał chłopów, ofiarowujących swoje usługi.—Precz, hołoto! Myślicie, że nie mamy kim się posłużyć?

Oddawszy konie stajennym szli do pałacu, mierząc dumnym wzrokiem ubogi tłum stojący po drodze. Ten ton wyższości właściwy był Varneyowi, który długo żyjąc w wielkim świecie nabrał dworskiego ułożenia i miał wysokie mniemanie o zacności swego rodu; lecz Lamburn, chcąc go we wszystkim naśladować, zrobił z siebie istne dziwadło. Tymczasem mieszkańcy Woodstocku szeptali między sobą: — Uchowaj nas Boże od takich dumnych paniczów! Jeżeli taki kram jaki pan, to niech ich razem wszyscy diabli porwą!

— Cicho, cicho!—rzekł wójt.—Trzymajcie język za zębami, z czasem dowiemy się o wszystkim. Nigdy pewnie nie trafią się nam w Woodstock tacy goście, jak świętej pamięci nasz stary Henryk. Chociaż czasem wybatożył kogo własnoręcznie, to potem rzucił mu garść pieniędzy i wszystko poszło w niepamięć.

— Panie świeć nad jego duszą!—odpowiedzieli słuchacze. — Wiele wody upłynie, nim którego z nas uderzy Elżbieta.

— Jeszcze o tym nie można wiedzieć z pewnością! — rzekł wójt. — Miejmy, bracia, cierpliwość i tym się pocieszajmy, że zasłużymy jeszcze na łaskę u Jej Królewskiej Mości.

Tymczasem Varney a tuż za nim jego nowy sługa weszli do hallu, gdzie ludzie wyższego stanu niż ci na podwórzu czekali przybycia hrabiego, który jeszcze nie wychodził ze swego pokoju. Wszyscy ukłonili się Varneyowi z większą lub mniejszą uniżonością, podług stopnia i ważności interesu, który ich sprowadził do jego pana o tak rannej godzinie. Na pytanie:— Kiedy wyjdzie milord, panie Varneyu?—

odpowiedział krótko:—Nie widzicież moich butów? Dopiero co powracam z Oksfordu, nie mogę wiedzieć o tym.—Gdy toż samo pytanie powtórzyła głośniejszym tonem jakaś znamienitsza osoba, odrzekł : — Zapytam o to szambelana Tomasza Copeleya. — Szambelan, wyróżniający się od innych pokojowych srebrnym kluczem, odpowiedział, że hrabia czekał tylko na przybycie Varneya. Varney skromnie się skłonił i wszedł do pokoju swego pana.

Przez kilka chwil słychać było w przedpokoju szmer oczekiwania, lecz wkrótce wszystko ucichło, gdyż otworzyły się podwoje i wyszedł hrabia mając przed sobą szambelana i marszałka dworu a za sobą Ryszarda Varneya. W twarzy hrabiego i wspaniałej postawie nie widać było wcale wyniosłej pychy, wrytej na czole otaczających go dworzan. Stosował wprawdzie swoją uprzejmość do stopnia i powagi osób, z którymi rozmawiał, lecz i ostatniego z gminu nie zaniedbał obdarować łaskawym spojrzeniem. Pytania, które zadawał mieszkańcom, o stan zamku i dóbr należących do niego, o prawa przysługujące koronie i korzyści mogące spłynąć na pobliskie włości z czasowego przebywania królowej w Woodstock, zdawały się dowodzić, że roztrząsał z uwagą wszystkie szczegóły prośby podanej przez mieszkańców i chciał jej zadośćuczynić.

— Niech go Bóg błogosławi!—rzekł wójt po cichu do swego sąsiada. — Patrz, jak blado wygląda. Założyłbym się, że musiał całą noc strawić na czytaniu naszych zażaleń i robieniu z nich wyciągów.

Pan Toughyam, który je przez sześć miesięcy układał, mówił, że przynajmniej cały tydzień przeznaczyć potrzeba na dokładne ich zrozumienie, a milord nie potrzebował na to i dwudziestu czterech godzin.

Hrabia zapewnił ich, że skłoni królowę, aby w czasie podróży po kraju raczyła zaszczycić Woodstock swoją obecnością, by mieszkańcy okolicznych włości doznać mogli tych samych dobrodziejstw, z jakich korzystali za poprzednich panowań. Tymczasem cieszył się niezmiernie, że mógł być wyrazicielem woli łaskawej monarchini, która dla rozwinięcia handlu i przemysłu postanowiła założyć skład wełny w Woodstock.

Ta pomyślna wiadomość przyjęta była radosnymi okrzykami nie tylko przez najdostojniejszych mieszkańców znajdujących się w przedpokoju, lecz i najuboższych kmiotków zgromadzonych na dziedzińcu.

Miejscowi urzędnicy złożyli hrabiemu na kolanach przywileje nadane gminie, dołączając worek z pieniędzmi. Hrabia oddał natychmiast pieniądze Varneyowi, który ze swojej strony udzielił na początek jakąś częśćkę Lamburnowi, jako pierwszą zapłatę za objętą służbę.

Niedługo potem hrabia i jego dworzanie powsiadali na konie i wyjechali z dziedzińca wśród radosnych okrzyków: — Niech żyje królowa Elżbieta! Niech żyje hrabia Leicester! — Ujęci grzecznością hrabiego, zapomnieli rozradowani mieszkańcy o grubiańskim zachowaniu jego służalców i gdy Varney i Lamburn zajmując każdy właściwe sobie miejsce przejeżdżali przez ulice Woodstocku, krzyczeli razem:—Niech żyje hrabia i jego dworzanie!

## ROZDZIAŁ VIII

Mówże, panie Festonie, słucham twojej rady;  
Pójdę za nią we wszystkim bez najmniejszej zwady!

Wesołe kumoszki windsorskie

Wróćmy teraz do szczegółów, które towarzyszyły wyjazdowi Tressiliana z karczmy Cumnor albo które raczej skłoniły go do nagłego opuszczenia „Czarnego Niedźwiedzia”.

To spotkaniu się z Varneyem wrócił do gospody Goslinga, zamknął się w swoim pokoju, kazał sobie przynieść pióro, papier i kałamarz i zapowiedział, że nikogo przez cały dzień widzieć nie będzie. Dopiero nad wieczorem pokazał się w szynku, gdzie Michał Lamburn, wysłany przez Varneya, śledził jego kroki, chciał odnowić z nim znajomość tuszając sobie, że nie ściągnął jego nieprzyjaźni udziałem w rannej utarczce.

Lecz Tressilian osadził go grzecznie, ale dosadnie. — Panie Lamburn! — rzekł do niego. — Spodziewam się, że wynagrodziłem ci, jak sam chciałeś, czas stracony dla mnie. Wiem, że pod powłoką prostactwa tyle masz rozumu, iż możesz pojąć, gdy ci powiem otwarcie, że po osiągnięciu celu naszej tymczasowej znajomości powinny ustać wszelkie między nami stosunki.

— Voto a Dios!—zawołał Lamburn pokręcając jedną ręką węża, drugą chwytając za rękojeść pałasza.—Gdybym wiedział, że chcesz mnie przez to obrazić...

— Zniósłbyś to zapewne spokojnym umysłem, jak znieść powinienes wszelką zniewagę. Wiesz bardzo dobrze, jaki nas dystans dzieli, nie będziesz przeto wymagał ode mnie obszerniejszego tłumaczenia.

To mówiąc odwrócił się od towarzysza rannej wycieczki i zaczął rozmawiać z gospodarzem.

Michał Lamburn poczuł w sobie wielką chętkę wyklócić się z nim zęb za zęb, lecz jego gniew rozpląnął się w kilku przekleństwach, ostatecznie ulec musiał przewadze, jaką wyższe umysły mają nad ludźmi jego stanu i sposobu myślenia. Usiadł zachmurzony w kącie, a do nikogo słowa nie mówiąc zwracał czujną uwagę na wszystkie ruchy swego niedawnego towarzysza, do którego powziął teraz osobistą nienawiść i na którym pragnął się pomścić wykonując polecenia Varneya.



Podano wieczerzę, a z nadejściem chwili odpoczynku Tressilian, podobnie jak inni, udał się do swego pokoju.

Niedługo potem skrzypnęły drzwi i światło wniesione do pokoju przerwało z nagłą smutne rozmyślania trapiące Tressiliana. Zerwał się z łóżka, chwycił za pałasz, lecz nieproszony gość rozbroił go tymi słowy: — Nie rwij się do oręża, panie Tressilianie. To ja jestem, wasz gospodarz, Gosling.

Gdy odsłonił ciemną latarnię, która dotychczas niewyraźne rzuciła światło, zdziwiony Tressilian spostrzegł rzeczywiście dobroduszną twarz gospodarza „Czarnego Niedźwiedzia”.

— Co to za figle, panie gospodarzu? Podochociłeś sobie zapewne, jak przeszłej nocy, i nie trafiłeś do swego pokoju. Może o północy chcesz pokazywać sztuczki w mieszkaniu swych gości?

— Znam, panie Tressilianie, swoje miejsce i obowiązki jak każdy karczmarz w Anglii. Przychodzę was uwiadomić, że mój siostrzeniec czatuje na was jak kot na mysz, a jak mi się zdaje, powadziliście się, a podobno i pobili nawet, nie wiem tylko czy z nim, czy z kim innym. Lękam się, ażeby stąd nie wynikło dla was jakie niebezpieczeństwo.

— Daj mi pokój, gospodarzu!—odpowiedział Tressilian.— Najprzód nie mogę gniewać się na tak podłą istotę jak twój siostrzenice, a po wtóre, kto ci powiedział, że miałem z kimś zajście i bójkę?

— Gdyście powrócili, widziałem na waszej twarzy czerwone plamki będące niezawodnym znakiem zaszłej utarczki, jak niezawodnie Mars połączony z Saturnem przepowiada bliskie nieszczęście, pas rozpięty, włosy potargane, krok prędko i żywo, wszystko, słowem, wskazywało, że wasza ręka bawiła się niedawno pałaszem.

— Jeżeli zmuszony byłem dobyć pałasza, dlaczegóżby ta okoliczność miała cię wywabiać o tej godzinie z ciepłej pościeli? Widzisz, że już niebezpieczeństwo przeminęło.

— O, nie wiem, czy przeminęło. Nie radziłbym wam wchodzić w drogę Antoniemu Fosterowi, bo ma za sobą wielkiego pana posiadającego wiele wpływów i znaczenia na dworze— który go już z niejednej biedy wypłatał. Co się tyczy mego siostrzeńca, już pierwszej powiedziałem, co to za ptaszek. Nie chciałbym, aby ci dwaj towarzysze odnawiali dawną znajomość kosztem zacnego gościa. Ostrzegam was, że Michał

Lamburn wypytywał mego parobka, kiedy wyjedziecie i w którą udacie się stronę. Przypomnijcie sobie, czyście nie obrazili słowem albo uczynkiem tych ichmościów sprzysiężonych na wasza zgubę.

— Jesteś uczciwym człowiekiem, mój gospodarzu! — rzekł Tressilian po chwili namysłu. — Mogę ci, widzę, zaufać. Jeżeli złość ich zwraca się przeciw mnie, czemu bynajmniej nie przeczę, to dlatego, że są oni narzędziem w ręku potężniejszego od nich nikczemnika.

— A jest nim Ryszard Varney, nieprawdaż?

— Tak jest, mój gospodarzu.

— Był on wczoraj w Cumnor Place, a chociaż unikał spotkania z ludźmi i wjechał do dworu boczną furta, spostrzegł go wszakże jeden z moich sąsiadów i powiedział mi o tym. Na miłość Boga, panie Tressilianie, miej się na ostrożności. Ten Varney jest opiekunem i dobroczyńcą Antoniego Fostera, który otrzymał od niego, nie wiem jakim prawem, dwór, park i przyległe grunta. Varneyowi zaś pan jego, hrabia Leicester, nadał wiele dóbr duchownych, a między innymi Cumnor Place, należący niegdyś do abingdońskiego opactwa. Powiadają ludzie, że ma wielki wpływ na hrabiego, chociaż wątpię bardzo, aby ten znamienity pan używał podobnego człowieka do wykonywania swoich zamysłów. Hrabia znowu może wyjednać wszystko u królowej, ma się rozumieć tylko to, co jest słuszne i sprawiedliwe. I tak zważ, panie Tressilianie, jakiego naraziłeś sobie człowieka, czyją ściągnąłeś nieprzyjaźń.

—Już się stało!—odpowiedział Tressilian.—Nie można temu zaradzić.

— Jak to: nie można? Trzeba koniecznie zaradzić. Niebezpieczny to człowiek Ryszard Varney! Wiedząc, że mu wszystko bezkarnie uchodzi, takich dopuszcza się zdzierstw i ucisków na mocy niby dawnych praw służących opatowi, że ludzie boją się wymówić jego nazwisko, cóż dopiero sprzeciwić się jego zamysłom. Możecie sądzić o tym z rozmowy przy wczorajszej biesiadzie. Sąsiedzi nasi nagadali się do woli o Antonim Fosterze, lecz i słowa nie wspomnieli o Ryszardzie Varneyu, chociaż wiedzą wszyscy, że on jest głównym sprawcą ukrywania przed światem tej pięknej dziewczyny. Lecz musicie wiedzieć więcej ode mnie o tej sprawie, bo choć kobiety nie noszą pałaszów, nieraz jednak z ich przyczyny współzawodnicy krwawe boje między sobą staczają.

— Istotnie, więcej wiem od ciebie o tej nieszczęśliwej kobiecie. Opuszczony w tej chwili przez przyjaciół, nie mając u kogo zasięgnąć zdrowej rady, chętnie uczynię cię moim powiernikiem i opowiem całe zdarzenie, a po skończonym opowiadaniu prosić cię będę o jedną łaskę.

— Panie Tressilianie! — odpowiedział gospodarz. — Jestem ubogim karczmarzem, nie mogę radzić takim jak wy panom. Lecz jestem uczciwym człowiekiem, który w odróżnieniu od innych daje dobrą i sprawiedliwą miarę, a jeżeli nie będę mógł wesprzeć was radą lub pomocą, upewniam, że nie zawiodę położonego we mnie zaufania. Odkryj wszystko szczerze i otwarcie jak przed własnym ojcem i bądź pewien, że chociaż jestem ciekawy, jak każdy człowiek mego stanu, umiem jednak dochować powierzonej mi tajemnicy.

— Nie wątpię w to, mój przyjacielu! — odpowiedział Tressilian i gdy słuchacz oczekiwał z niecierpliwością obiecanej historii, mówca namyślał się przez kilka chwil, od czego miał zacząć swoje opowiadanie i tak na koniec się odezwał:—Abyś mógł zrozumieć rzecz całą, muszę sięgnąć do dawniejszych czasów. Słyszałeś zapewne o bitwie stoczonej na równinach Stoke, a może o starym Rogerze Robsart, który w tej bitwie broniąc mężnie sprawy Henryka VII, dziada teraźniejszej królowej, pobił na głowę hrabiego Lincolna, lorda Geraldina na czele dzikich Irlandczyków i Flamandów, których przysłała księżna burgundzka w pomoc Lambertowi Simnel.

— Słyszałem o tym wszystkim! — odpowiedział Gosling. — W mojej karczmie dwanaście razy na tydzień śpiewają o tym zdarzeniu. Roger Robsart, rodem z Devonu, jeżeli się nie mylę, o nim to minstrelowie nucą do dziś:

Kwiat to naszych rycerzów, ległych wśród gonitwy,

Gdzie Marcin Swart na polu pozostał bez duszy,

Bo nigdy niezachwiany, w zgiełku krwawej bitwy

Stał jak dąb, co go z miejsca szturm wichrów nie wzruszy.

Słyszałem także o Marcinie Swart i o walecznych żołnierzach, którymi on w tej bitwie dowodził. Przypominam sobie nawet piosneczkę o tym Marcinie:

Marcin Swart do boju wzywa,

Porywajcie, bracia, broń!

Marcin Swart do boju wzywa!

Do pałasza i na koń!

— Wszystko to bardzo dobrze, mój gospodarzu, lecz jeżeli tak głośno śpiewać będziesz, nazbiera się wielu słuchaczy, którym nie chciałbym powierzyć tego co tobie.

— Przepraszam za nieuwagę—odpowiedział gospodarz— ale trudno nie śpiewać, gdy stara piosenka mimo woli wymyka się na usta. Słucham waszej powieści.

— Mój dziad, równie jak wszyscy Kornwalijscy, ściśle połączony z domem Yorku, stał po stronie Simnela przybierającego tytuł hrabiego Warwick, jak później całe niemal hrabstwo stanęło w obronie praw Perkina Warbeck, który mianował się księciem Yorku. Mój dziad zaciągnął się pod chorągiew Simnela i został wzięty do niewoli, walcząc rozpaczliwie na polach Stoke, gdzie większa część dowódców tego nieszczęśliwego wojska poległa z orężem w ręku. Roger Robsart osłaniał swego jeńca przed nieuchronną zemstą króla i bez okupu puścił na wolność. Lecz pomimo silnego wstawiania się swego obrońcy musiał zapłacić karę pieniężną, wynoszącą ogromną sumę, co go przywiodło do ubóstwa, bo Henryk zawsze używał tego sposobu dla osłabienia swoich nieprzyjaciół. Zacny Roger starał się wszelkimi sposobami osłodzić niedolę mego przodka i tak ściśłą z nim złączył się przyjaźnią, że ojciec i obecny sir Hugo Robsart, jedyny syn Rogera, dziedzic jego cnót i gościnności, choć nierówny mu w dziełach wojennych, odebrali w jego domu jednakowe wychowanie, jak bracia rodzeni.

— Słyszałem nieraz o tym Hugonie — przerwał gospodarz. — Wilhelm Badger, jego łowczy i wierny sługa, przeszło sto razy prawił o nim w tej karczmie. Wesoły to pan, lubiący gościnność i zastawione stoły, nie tak jak terażniejsi panowie, którym wystarcza do szczęścia wyszamerować suknie złotymi galonami. Gdyby spieniężyć te wszystkie błyskotki, byłoby za co karmić i poić przez cały rok dwunastu ludzi, a nawet sprawić im co tydzień wesołą ucztę z niezłym zarobkiem karczmarza.

— Jeżeli znasz starego łowczego, musiałeś dość nasłuchać się o Hugonie Robsart, nie będę przeto powtarzał, co ci już skądinąd wiadomo, dodam tylko, że przez tę gościnność, którą tak wychwalasz, nadszarpnął swój majątek, co może nie jest rzeczą tak bardzo straszną, gdyż ma tylko córkę jedynaczkę, która po nim wszystko dziedziczy. Po śmierci mego ojca, kilka lat temu, poczciwy Hugo chciał koniecznie,

abym został jego nieodstępnym towarzyszem. Był jednak czas, kiedy zdawało mi się, że mój przyjaciel i dobroczyńca zbyt rozmiłowany się w polowaniu odrywał mnie od nauk i innych pożytecznych zatrudnień, lecz zniewolony wdzięcznością i dziedziczną przyjaźnią naszych domów, wkrótce przestałem żałować czasu trawionego na tych wiejskich rozrywkach. Cudowna piękność Amelii Robsart, wyrastającej z dziecka na dojrzałą pannę, nie mogła nie porwać tego, który, związany okolicznościami, ciągle znajdował się w jej towarzystwie. Krótko mówiąc: zakochałem się i o tym dowiedział się jej ojciec.

— I zapewne pomieszał wam szyki, jak to często bywa w podobnych zdarzeniach. Po głębokim westchnieniu, które i teraz jeszcze wyrывa się z waszego serca, sądzę, że musieliście doznać podobnego losu.

— Nie tak było, mój gospodarzu. Wspaniały Hugo Robsart przychylił się do mego żądania, lecz jego córka przyjmowała z zimną obojętnością moje najtkliwsze oświadczenia. Okazywała mi wprawdzie szacunek i, jak mi się zdawało, czyniła nadzieję, iż kiedyś to uczucie rozpalic się może żywszym płomieniem miłości. Wskutek nalegań ojca spisano kontrakt przyszłego małżeństwa, lecz na jej usilne prośby ślub odłożony został do końca roku. Tymczasem zjawił się w tamtych stronach Ryszard Varney i na mocy jakiegoś dalekiego pokrewieństwa z rodziną Robsartów tak długo u nich zamieszkiwał, aż na koniec stał się jakby jednym z domowników.

— Zła to już wróżba dla miejsca, które on nawiedził!— odezwał się Gosling.

— Z nim wkradła się niezgoda i rozpoczęło się pasmo domowych nieszczęść, lecz tak dziwną koleją, że teraz nawet trudno by mi było opisać ich wzrost stopniowy i ostatnią niedolę szczęśliwej niegdyś rodziny. Zrazu Amelia Robsart przyjmowała jego usługi z obojętnością i zwykłą grzecznością, potem nastąpił czas, w którym z niechęcią, a nawet odrazą zdawała się spoglądać na niego, na koniec jakieś nadzwyczajne zbliżenie zaczęło czynić ich znajomość coraz bardziej ścisłą i poufałą. Varney przestał udawać zakochanego i starającego się o rękę, Amelia ze swojej strony nie okazywała mu już tyle złe ukrywanej niechęci, którą dawniej witała jego zabiegi. Nie było mi to po myśli, że się zanosilo pomiędzy nimi na coraz większą poufałość, przypuszczałem nawet, że musieli się widywać sam na sam, by zyskać większą swobodę. Wiele innych okoliczności, które wtenczas lekceważyłem, rozumiejąc, że serce jej jest tak czyste i

otwarte jak jej postać anielska, przyszło mi na myśl poniewczasie i potwierdziło domysły o ich tajemnym porozumieniu. Lecz nie będę ich wyliczał: sam czyn jest dostatecznym dowodem. Znikła z domu ojca, w tymże czasie i Varney nie wiecieć gdzie się podział, a dnia dzisiejszego widziałem ją jako kochankę, pod dozorem Fostera, bezecnego służalca, widziałem Varnera, gdy owinięty w płaszcz podróżny wchodził do jej mieszkania przez tajemne wejście.

— I to jest przyczyną waszej kłótni? Zdaje mi się, panie Tressilianie, że potrzeba było pierwiej upewnić się, czy ta piękna dama potrzebowała albo godną była waszego poświęcenia.

— Nie mogłem o tym myśleć, gdy ojciec mój, Hugo Robsart, bo tak go zawsze nazywać będę, pasuje się w domu z rozpaczą albo w zgiełku łowieckich rozrywek nadaremnie usiłuje stłumić smutne myśli i zapomnieć, że miał kiedyś córkę, wspomnienie której nieustannie wyrywa się z jego serca. Nie mogłem znieść, żeby ojciec pędził życie w niedoli, a córka w niesławie. Umyśliłem odszukać ją w tej nadziei, że ją skłonię do powrócenia na łono rodziny. Znalazłem ją, a gdy osiągnę mój zamiar albo poznam, że go uskutecznić nie podobna, wsiądę na okręt i popłynę do Wirginii.

— Nie bądź tak gwałtowny, panie Tressilianie! — odpowiedział gospodarz. — Nie opuszczaj ojczyzny dlatego tylko, że kobieta jest kobietą i przebiera w kochankach jak we wstążkach, które jej służą do ozdoby. Nim głębiej zastanowimy się nad tym, pozwól zapytać, jakim sposobem trafiłeś do mieszkania tej pani, a właściwie jej więzienia.

— Dowiedziawszy się, że Varneyowi dostały się ogromne dobra należące dawniej do abingdońskiego opata, udałem się w tę stronę sądząc, że ją w tych okolicach przechowywać musi; jakoż istotnie wasze rozmowy przy wczorajszej biesiadzie utwierdziły mię w powziętym podejrzeniu, a odwiedziny twego siostrzeńca przekonały zupełnie o nieomyślności moich domysłów.

— A cóż teraz zamyślacie? Przebacz, łaskawy panie, że śmiem pytać was o to otwarcie.

— Jutro rano myślę odwiedzić ją i pomówić o tym wszystkim, czego nie mogłem objawić w dzisiejszej rozmowie, a jeżeli moje słowa nie zrobią na niej żadnego wrażenia, tedy jej serce musiało znacznie odmienić się od tego, czym było dawniej.

— Z przeproszeniem waszmości! — odpowiedział gospodarz. — Na nic się nie przydadzą te powtórne odwiedziny. Jak zrozumiałem, młoda kobieta odrzuciła wasze pośrednictwo.

— To prawda, nie mogę temu zaprzeczyć.

— Mimo że postępowanie jej ściąga niesławę na nią i na całą rodzinę, jak można jednak sprzeciwiać się jej woli lub sądzić, że ją tym sposobem do swego zdania skłonicie? Jeżeli mię mój sąd nie myli, zdaje się, że nie trudno byłoby jej terażniejszym opiekunom wyprosić was za drzwi, lecz będąc tylko odrzuconym zalotnikiem, narażacie się na gorsze jeszcze przyjęcie. W żadnym sądzie nie znajdziesz na nich sprawiedliwości, a tak, panie Tressilianie, rzucasz się w wodę dla cienia (wybacz mi śmiałość) i jeżeli nie utoniesz, to zmokniesz przynajmniej do nitki.

— Zaniosę skargę do hrabiego Leicestera na niegodziwy postępek jego faworyta. Starając się wszelkimi sposobami zasłużyć na przyjaźń surowej sekty purytanów, nie zechce zapewne odmówić mi sprawiedliwości przez wzgląd na samego siebie, choćby nawet nie miał tych zasad honoru i wspaniałomyślności, które mu powszechnie są przypisywane. Jeżeli mnie z niczym odprawi, odwołam się do samej królowej.

— Gdyby Leicester chciał bronić swego zaufanego, który, jak powiadają, żyje z nim za pan brat i bardzo wiele u niego może, wtenczas odwołaniem się do królowej można nauczyć rozumu i jednego i drugiego, bo słyhać, że królowa bardzo serio bierze te rzeczy i prędzej przebaczy dwunastu dworakom, że się w niej zakochali, aniżeli jednemu, że nad nią przełożył inną kobietę. Jeżeli tedy złożycie prośbę u stóp tronu w imieniu Hugona — z wytłumaczeniem wszystkich okoliczności i wyrządzonej wam krzywdy, hrabia skoczy pierwej na łeb w Tamizę, aniżeli zechce bronić Varneya w sprawie tego rodzaju. Lecz aby mieć jakąkolwiek nadzieję wygranej, trzeba szczerze wziąć się do dzieła i zamiast rąbać się tutaj z koniuszym i nadstawiać piersi na sztylety jego podwładnych, lepiej pośpieszyć do Devonshire, skłonić starego Hugona do napisania prośby i zjednać sobie przyjaciół do popierania sprawy wytoczonej przed tron.

— Prawdę mówisz, mój gospodarzu! Pójdę za twoją radą i jutro skoro świt pożegnam się z tobą.

— To już będzie za późno, dziś jeszcze pożegnajcie się ze mną. Jeżeli mam prawdę powiedzieć, nie wyglądałem nigdy z większym utęsknieniem przybycia nowego gościa, jak teraz pragnę waszego odjazdu. Przeznaczeniem mego siostrzeńca jest skończyć życie na gałęzi — nie chciałbym, aby go powieszono za zabicie was. Lepiej jechać samemu w nocy, mówi przysłowie aniżeli w dzień obok złoczyńcy. Wybieraj się w drogę, panie Tressilianie, przez wzgląd na własne bezpieczeństwo. Już koń osiodłany, już wszystko gotowe, a oto masz maleńki rachuneczek.

— Nie wynosi dukata! — rzekł Tressilian dając mu całkowitą sztukę złota. — Oddaj resztę pięknej Cecylii i sługom.

— Skosztują darów waszej hojności!—odpowiedział gospodarz.—Odebraliście podziękowanie z ust mojej córki, gdyby w tej godzinie mogła towarzyszyć waszemu odjazdowi.

— Nie pozwalaj jej, mój kochany, zawierać bliskiej znajomości z coraz nowymi przybyszami.

— Nie potrzeba mię tego uczyć! — odpowiedział gospodarz.—Lecz nie dziwię się, że jesteście tak ostrożni. Powiedzcie, proszę, jak was przyjęła wczoraj ta wasza panienka?

— Bardzo oziębłe. Zrazu widać było na niej pomieszenie, potem gniew i zaciekły upór, skąd wnoszę, że jeszcze nie pozbyła się nieszczęsnego obłąkania.

— Nie pojmuję, dlaczego chcecie koniecznie rąbać się za kobietę, która o was nie stoi i narażać się na gniew faworyta, co ma za sobą faworyta jeszcze możniejszego. Varney to potwór, jakiego nawet dawni rycerze z legend nie spotykali.

— Nie zrozumiałeś mię, panie Gosling, całkiem nie zrozumiałeś. Nie żądam, ażeby Amelia skłoniła do mnie niechętnie serce, pragnę tylko powrócić ją ojcu, a gdy tego dokażę, spełni się wszystko, co w Europie a może w świecie całym uczynić miałem.

— Lepiej byłoby wypić szklanekę wina i zapomnieć o niej na zawsze. Lecz innymi oczyma patrzy na ten przedmiot ten, co ma lat dwadzieścia pięć, innymi ten, co ma ich pięćdziesiąt—osobliwie gdy jedne z nich znajdują się w głowie młodego panicza,



drugie w mózgowicy starego karczmarza. Lituję się nad wami, panie Tressilianie, i nie wiem, czym bym mógł się przysłużyć.

— Wyświadczysz mi ważną nader usługę, jeżeli będziesz baczył na to, co się dzieje we dworze. Nie wpadniesz w podejrzenie u nikogo, bo zazwyczaj wszystkie nowiny zbiegają się same do karczmy. Napisz mi o wszystkim przez posłańca, który ci odda na znak ten pierścień. Przypatrz się mu, dość jest kosztowny, zachowasz go sobie na pamiątkę.

— Nie, mój panie! Nie wymagam żadnej nagrody, bo zdaje mi się, że nie byłoby roztropnie z mojej strony, gdybym, będąc karczmarzem, wplątał się do sprawy takiej natury i wtrącał się do tego, co do mnie wcale nie należy.

— Należy to do ciebie równie jak do każdego ojca, który chciałby sprowadzić swą córkę na drogę prawdy i cnoty z manowców grzechu i nieszczęścia. Jakiż w świecie obowiązek może być ważniejszy dla ojca?

— Prawda i to! — rzekł gospodarz. — Przemówiłeś mi do serca. Lituję się nad tym poczciwym panem, który nadwreżył majątku utrzymując otwarty dom dla podtrzymania tradycji, a któremu teraz Varney, ten jastrząb drapieżny, porwał sprzed oczu córkę, podpórę i pociechę jego starości. Chociaż zawsze przedsięwzięcie może skończyć się nie najpomyślniej, chętnie jednak ofiaruję moją pomoc w odzyskaniu córki nieszczęśliwego starca, bo—jak powiadają—włazłszy między wrony trzeba krakać jak i ony. Zapowiadam przy tym, że moje usługi ograniczać się tylko będą do wiernego donoszenia tutejszych wiadomości. Możecie więc polegać na moim słowie, lecz żądam, abyście ze swojej strony dochowali ścisłej tajemnicy, bo kuso byłoby koło „Czarnego Niedźwiadka”, gdyby dowiedziano się, że jego pan wścibia nos w nieswoje sprawy. Varney, dobrze żyjący z panami urzędnikami, mógłby zrzucić mój szyld ze drzwi, odebrać przywilej na wyszynk trunków i zagrabić moją lichą chudobę.

— Potrafię dochować tajemnicy i wywdzięczyc się dozgonną przyjaźnią za twoje usługi, podjęte dla mnie trudy i niebezpieczeństwa. Pamiętaj o pierścieniu, a teraz bywaj mi zdrów: korzystając z twojej rady, w mgnieniu oka przygotuję się do podróży.

Skoro Tressilian wybrał się w drogę, Gosling wzięwszy ciemną latarnię zaprowadził go na wewnętrzny dziedziniec, a stamtąd do osobnej stajenki, gdzie jego konia na noc

postawił. Pomógł mu przywiązać do siodła niewielki tłumoczek, odemknął furtkę i ścisnąwszy go za rękę ponowił zapewnienie przesyłania nieomylnych wiadomości o tym, co się będzie działo w Cumnor Place, i pożegnał gościa, który puścił się w samotną podróż.

## ROZDZIAŁ IX

W głębi lasów, co kryją tajemnice zdradne,  
Znalazł i ukrył swoje mieszkanie osobne;  
Tu, nim kur zapieje, podkowę wykuwa;  
Już się z czeluści kuźni dymny kłęb wysuwa  
Podniósł młot silną dłonią, uderzył w kowadło,  
Pryśła stal, krocie iskier migotliwych padło.

Gay: Trivia

Gosling osądziwszy za właściwą rzecz, ażeby Tressiliana nie spotkał zaden z mieszkańców Cumnoru, co przypadkiem mógł wyjść z domu przed świtem, pokazał mu wąską drożynę, po wielu zakrętach i rozwidleniach wychodzącą na wielki gościniec Marlborough.

Lecz jak w wielu innych okolicznościach tak i w tym wypadku łatwiej było poradzić, niżeli daną radę wykonać. Oprócz tego ciasna i w rozmaitych kierunkach powikłana drożyna, ciemność nocy, nieświadomość położenia, czarne i melancholijne myśli tak pochłoneły podróżnego, że jutrzienka zastała go jeszcze w dolinie Whitehorse, sławnej z pogromu Duńczyków w dawnych czasach.

Tu spostrzegł, że jego koń zgubił przednią podkowę i znacznie opóźniłby podróż, gdyby niepodkuty zakulał na nogę. Spotkawszy gromadę wieśniaków idących do roboty zapytał o mieszkanie kowala, lecz ci, nie chcąc albo nie umiejąc zadośćuczynić jego żądaniu, zbyli go krótką i obojętną odpowiedzią. Troskliwy o zdrowie zwierzęcia zsiadł z jego grzbietu i prowadząc go za uzdę dążył do niewielkiej wioski, gdzie spodziewał się znaleźć, a przynajmniej dowiedzieć się o rzemieślniku, którego potrzebował.

Przebywszy głęboki i błotnisty wąwóz, zbliżył się na koniec do wioski, złożonej z kilku nędznych lepianek, przed którymi ubogie chłopstwo zabierało się do codziennej roboty.

Wśród tych zabudowań stała jedna chatka, porządniejsza z pozoru, a baba, zamiatająca sień, nie zdawała się być tak odrażająca, jak reszta mieszkańców. Tressilian zbliżywszy się do niej ponowił tyle razy powtórzone zapytanie o kowala,

— Kowal! — zawołała stara poglądając na niego ze szczególniejszym w twarzy wyrazem.—Jest tu wprawdzie kowal, lecz czegoż chcesz od niego?

— Żeby mi konia podkuł!—odpowiedział Tressilian. — Widzisz, że zgubił przednią podkowę.

— Panie Holiday! — zawołała staruszka nie odpowiadając wprost na pytanie. — Panie Erazmie Holiday! — Chodź no i rozmów się z tym jegomością, jeżeli ci się podoba.

— Favete linguds!—odezwał się ktoś ze środka lepianki.

— Zajęty będąc czytaniem ważnego bardzo dzieła nie mogę przerywać porannych rozmyślań.

— Ale chodźcie no, panie Holiday! Jest tu jakiś podróżny, który pyta się o mieszkanie Waylanda Smitha, a ja nie myślę pokazywać mu drogi do diabła. Jego koń zgubił podkowę.

— Quid mihi cum caballo! — odezwał się ten sam głos. — To dopiero! Jeden tylko człowiek uczony znajduje się na całą wioskę, a oni i konia podkuć bez niego nie mogą!

Tu wyszedł z acny bakałarz, bo takim zdradzało go odzienie, Na długim, suchym i pochyłym tułowiu sterczała głowa czarnym włosem okryta i gdzieniegdzie przyprószona siwizną. Z twarzy przebijała powaga właściwa jego zajęciu, jaką zdaje się Dionizjusz przeniósł z tronu na szkolną ławę i przekazał w spuściźnie wszystkim swoim następcom. Miał na sobie kubrak z czarnego barakanu, podpasany pośrodku pasem rzemiennym, na którym zamiast pałasza wisiał ogromny kałamarz. Z drugiej strony potężna dyscyplina dyndała na kształt arlekińskiego miecza w ręku trzymał podartą księgę, w której rozczytywał się z taką uwagą. Umiejąc trafniej sądzić ludzi aniżeli cała wiejska gromada, na widok Tressiliana, którego powierzchowność nie oznaczała bynajmniej pospolitego człowieka, zdjął czapkę i powitał tymi słowy: *Salve domine! Intelligisne linguam latinam?*

Tressilian zdobył się na następującą odpowiedź: *Linguae latinae haud penitus ignarus: venia tua, domine eruditissime vernaculam libentius loquor.*

Łacińska odpowiedź zrobiła takie na bakałarzu wrażenie, jakie czynią znaki masońskie na współbraciach kielni. Powziął od razu szacunek i przywiązanie do uczonego

wędrowca, słuchał z uwagą historii o znużonym koniu i zgubionej podkowie, na koniec odpowiedział uroczystym głosem:

— Zdawałoby się rzeczą nader prostą powiedzieć wam, szanowny panie, że o milę od tego tugurium mieszka najlepszy faber ferrarius, jaki kiedykolwiek zakładał koniowi podkowę. Słyszając taką odpowiedź rozumiałbyś, że jesteś compos voti, czyli, jak mówi pospólstwo, że dostąpiłeś, czegoś tak bardzo pragnął.

— Przynajmniej miałbym prostą odpowiedź na moje pytanie, o co, jak widzę, nie tak łatwo w tych stronach.

— Dobrze ci powiedział! — odezwała się staruszka. — Bo to wszystko jedno: czy posłać grzeszną duszę do piekła, czy pokazać komu drogę do kuźni Waylanda Smitha.

— Pani Gammer Sludge! Po co wtrącasz swoje trzy grosze? Pauca verba, garnków wam pilnować, curetur jentaculum: ten jegomość nie pasał z wami gęsi!—Potem zwracając się do Tressiliana zakończył zaczęłą przemowę równie wyniosłym głosem:

—Tak, mości panie! Rozumiałbyś, że jesteś bis, terque felix, gdybym ci pokazał mieszkanie tego kowala!

— Miałbym przynajmniej to, czego potrzebuję w tym wypadku, miałbym podkutego konia, a tym samym mógłbym skończyć zaczęłą podróż i nie słuchać twojej przekłętej erudycji! —rzekł Tressilian cichszym głosem.

— O, coeca mens mortalium! — zawołał uczony. — Dobrze powiedział Juvenalis: numinibus vota exaudita malignis!

— Twoja erudycja, uczony mężu, tak dalece przechodzi moje umysłowe zdolności, iż zechcesz przebaczyć, gdy udam się do kogo innego zasięgnąć potrzebnych mi wiadomości.

— Jaka to ludzka ślepotą! Nie lubią przestawać z tymi, którzy by ich nauczyć i oświecić mogli. Sprawiedliwie powiedział Kwintylian...

— Proszę cię, łaskawco, daj pokój Kwintylianowi, powiedz raczej, czy twoja uczoność raczy zniżyć się nieco z wysokiego stanowiska i czy znajduje się w bliskości karczma, w której mógłbym popaść konia, dopóki kowal nie dorobi nowej podkowy.

— O to u nas nie trudno! — odpowiedział mędrzec. — Nie masz wprawdzie porządnego hospitium w naszej ubogiej wiosce (nostra paupera regna), tłumacząc się słowy mego imiennika Erazma, zważając jednak na to, że jesteś człowiekiem

uczonym, a przynajmniej, że ci nie są obce sztuki wyzwolone, wstawię się do gospodyni domu, ażeby ci zgotowała kaszy z mlekiem. Wyborna to potrawa, chociaż nie mogłem doczytać się o niej w żadnym z łacińskich autorów. Postawimy konia w oborze, damy mu kilka wiązek siana, którego u pani Sludge tak wielki jest dostatek, iż powiedzieć można, że jej krowa habet foenum in cornu. Jeżeli zechcesz zjeść ze mną śniadanie, nie zapłacisz za to ne semissem quidem, bo Gammer Sludge jest mi wielce obowiązana za trudy podjęte około sposobienia jej pełnego nadziei następcy, Ryszarda, do żeglugi po niebezpiecznych żywiołach łacińskiej mowy.

— Niech ci Bóg za to stokrotnie nagrodzi! — odpowiedziała gospodyni, domu. — Co się tyczy tego jegomościa, jeżeli zechce posilić się u nas, w mgnieniu oka sporządzę śniadanie, a nie jestem tak chciwa na pieniądze, ażebym wymagała zapłaty za strawę dla gościa lub obrok dla konia.

Tressilian, zaproszony z jednej strony przez bakałarza, który przy tej okazji sadził się na najgórniesze wyrażenia, z drugiej przez gościnną gospodynię, która uprzejmie ponowiła prośbę, przez wzgląd na podbitego konia przyjął ofiarowane śniadanie spodziewając się, że mąż uczony, wyczerpawszy wszystkie źródła erudycji, raczy na koniec powiedzieć kilka słów o mieszkaniu kowala. Wszedł przeto do chaty, usiadł do stołu z Erazmem Holiday, słuchał przez dobre pół godziny uczonej rozprawy obejmującej krótki rys jego życia, ale nie mógł naprowadzić rozmowy na pożądany przedmiot.

Urodził się w Hogsorton, gdzie, jak niesie pospolite przysłowie, wieprze umieją grać na organach, lecz on stosował to przysłowie alegoryczne do trzody Epikura, do której sam Horacy lubił się zaliczać. Szukając rodowodu swego imienia doszedł do wniosku, iż dlatego dano mu takie imię, że jego ojciec był synem sławnej praczki, która mu prała w czasie jego bytności w Oksfordzie, co nie było rzeczą bardzo łatwą, bo nieborak miał tylko dwie koszule, z których jedna, iż użyjemy wyrażenia praczek, czekała, aż ją druga wypierze. — Lecz zdawało mu się, że dla jakiejś ważniejszej i szlachetniejszej przyczyny dano mu na chrzcie imię Erazma, a gdy się nad tym głębiej zastanawiać począł, doszedł do wniosku, że matka musiała dostrzec jeszcze w niemowlęciu iskrę geniuszu, mającego kiedyś zrównać go ze sławnym nauczycielem amsterdamskiej szkoły. Jego nazwisko wprowadziło go na równie obszerne pole

erudycji, jak imię otrzymane przy chrzcie świętym. Mniemał zrazu, że nazwisko Holiday, (Holiday — w ang. języku oznacza dzień wolny od zatrudnienia, także dzień świąteczny.) quasi lucus a non lucendo, stąd pochodziło, że w swojej szkółce mało wyznaczał dni wolnych od zatrudnień i dlatego, powiadał, autorowie klasyczni nazywają nauczyciela ludi magister, ponieważ nie pozwalał dzieciom trawić czasu na figle. Lecz nie przestając na jednym przypuszczeniu podkładał drugie jeszcze tłumaczenie stosując nazwisko do niepospolitych swoich zdolności w urządzaniu igrzysk, tańców, turniejów i innych widowisk, dawanych w dniach uroczystych, do czego wszystkiego taki miał geniusz wynalazczy, jak sam oświadczał Tressilianowi, że go z tego znają najpierwsze w kraju osoby, a mianowicie sam hrabia Leicester.

— A chociaż zdaje się, że w natłoku spraw publicznych zapomniał o mnie — tymi słowy kończył uczoną życia historię — pewny jednak jestem, że gdyby miał sprawić ucztę na przyjęcie królowej, niejeden goniec odwiedziłby skromne poddasze Erazma Holiday. Tymczasem parvo contentus słucham lekcji moich uczniów i przepędzam czas z muzami. Trzeba i o tym wiedzieć, że mając stosunki z ludźmi uczonymi w kraju j za granicą podpisuje się zawsze na listach: Erasmus ab di fausto i już odebrałem od miłośników starożytności dowód szacunku winny ludziom uczonym, gdyż erudyta Diderichus Buckerschockius przypisał mi pod tym nazwiskiem swój traktat o literze greckiej tau. Z tym wszystkim byłem szczęśliwy i szanowany przez ludzi.

— Oby ci płynęło to szczęście nieprzebranym źródłem! — powiedział podróżny. — Lecz pozwól zapytać swoim uczonym językiem: quid hoc ad Iphycli boves? Co za związek ma to wszystko, coś mi tu nagadał, z podkową końską?

— Festina lente, przyjdziemy z kolei i do tej materii. Wiedzieć najprzód powinienes, że przed dwoma lub trzema laty zjawił się w tych stronach niejaki Doboobius, który przyznawał sobie stopień doktora, chociaż może nigdy nie był magister artium, ale jeżeli miał jakiś stopień, to chyba z łaski diabła, bo, jak powiadało pospólstwo, był biegłym czarnoksiężnikiem, doskonałym wróżbitą, znał się na wszystkich ziołach, krzewach itp. Postrzegam, mości panie, że nie z wielkim upodobaniem słuchasz mojej powieści; lecz jeżeli nie będę opowiadał moim sposobem, skąd masz tę pewność, że potrafię opowiadać na twoją modłę.

— Opowiadaj, jak sam chcesz, tylko jak najkrócej, bo nie mam czasu.

— Owo zgoła—mówił dalej Holiday z nieporuszoną wytrwałością — nie będę utrzymywał, ażeby ten Demetriusz, gdyż takie przybierał nazwisko w obcych krajach, był zupełnym czarnoksiężnikiem, lecz to jest rzeczą pewną, że należał do tajemnego Bractwa Różokrzyżowców. Leczył rany obwiązując żelazo, które je zadało, przepowiadał przyszłe rzeczy na zasadach chiromancji, odkrywał przedmioty skradzione za pomocą sita i nożyczek, zbierał nasiona paproci, mające własność odbierania wzroku ludziom, obiecywał sobie wynaleźć cudowny eliksir i umiał z dobrego ołowiu wyciągnąć pierwiastek podłego srebra.

— Czyli, innymi słowy, był to oszust i kuglarz, lecz w czymże to tyczy mego konia i zgubionej podkowy?

— Trzeba mieć cierpliwość, a wszystkiego dowiesz się z czasem. — odpowiedział uczony gaduła. — Otóż tedy cierpliwość, patientia, który to wyraz nasz Marcus Tullius Cicero wyklada następującym sposobem: jest to, powiada on, difficilimn rerum diurna perpessio. Ale przystępuję do rzeczy. Ten Demetriusz Doboobius odurzywszy pospólstwo zaczął słynać inter magnates, między pierwszymi w kraju osobami i byłby bardziej jeszcze wsławił się, gdyby podług powszechnego mniemania (powtarzam rzeczy zasłyszane) nie porwał go diabeł w czasie ciemnej nocy i nie wtrącił w przepaść tak, iż dotąd nic o nim nie słyhać. Teraz następuje ipsa medulla, sama istota mojej powieści. Ten doktor Doboobius miał sługę, chudego pachółka, którego używał do palenia w piecu, tłuczenia korzeni, rozcierania proszków, bawienia pacjentów, et sic de caeteris. Gdy przeto ów doktor znikł spośród ludzi tak dziwnym sposobem, zatrwającą całą okolicę, jego sługa rzekł do siebie słowy Marona:— Uno avulso non deficit alter, a jako kupczyk zakłada sklep po śmierci pana, lub gdy ten przestanie bawić się handlem, tak Wayland, po wymazaniu swego nauczyciela z grona żyjących odziedziczył po nim niebezpieczne rzemiosło. Lecz chociaż ludzie skłonni są zawsze do słuchania bredni tych półmędrków, którzy przywłaszczając sobie tytuł i umiejętność doktorów medycyny nie są czym innym jak tylko saltim banqui et charlatani, mimo to jednak biedny Wayland nie mógł nikomu oczu zamydlić, a nawet prosty chłopiek stosował do niego te dwa wiersze Persjusza:

Diluis Helleborum, certo compescere puneto

Nescius examen? vetat hoc naturo medendi.



które tak wyłożyć można:

Jeżeli masz rozpuścić ciemierzycę, a nie wiesz, ile położyć gram na szalce, to możesz naruszyć prawidła sztuki lekarskiej.

Oprócz tego osławione imię pana, jego dziwny i wątpliwy kopiec albo raczej nagłe zniknięcie sprawiły, że chyba ci tylko udawali się o pomoc do sługi, którzy nie bali się niczego w tym ani w przyszłym życiu, co go do takiej przywiodło nędzy, że mało z głodu nie umarł. Lecz diabeł, będący na jego usługach od śmierci, czyli porwania Demetriusza, zarządził złemu następczeniem nowego sposobu do życia. Bądź z natchnienia szatańskiego, bądź z dawniejszego usposobienia ten Wayland kuje konie tak dobrze, jak żaden kowal w Anglii, a tak, zarzuciwszy leczenie dwunożnych istot, to jest zwierząt chodzących na dwóch nogach i nie porosłych pierzem, które pospolicie ludźmi nazywają, poświęcił się całkiem podkładaniu nowych podków pod kopyta końskie.

— Czy doprawdy?—zawołał Tressilian.—Czy dobrze kuje konie? Gdzież mieszka? Pokaż mi natychmiast jego mieszkanie !

— O caeca mens hominum! Już raz użyłem tej cytaty, lecz nie przestanę jej powtarzać, póki nie znajdę w autorach klasycznych mocniejszego wyrażenia na powstrzymanie człowieka, co biegnie dobrowolnie na oczywistą zgubę. Nim wejdiesz z tym kowalem w niebezpieczną ugodę, posłuchaj pierwej, jakie nakłada warunki.

— Nie bierze pieniędzy za robotę — odezwała się staruszka, która słuchając z zachwytem erudycji wymownego bakałarza nie mogła nadziwić się jego głębokiej wiedzy. Lecz uczoney Holiday, zniecierpliwiony częstym przerywaniem systematycznego opowiadania, sfukał babę gorzkimi słowami.

— Po co wam wtrącać się w nie swoje rzeczy? Pilnujcie tego, co macie przed nosem. Sufflamina Gammer Sludge, ja sam wyłożę całą rzecz naszemu szanownemu gościowi. — Potem obracając się do Tressiliana dodał łagodniejszym tonem: — Prawdę mówi staruszka, ten faber ferrarius, czyli kowal, nie bierze od nikogo pieniędzy.

— I to jest pewnym znakiem, że ma z diabłem sprawę, bo dobry chrześcijanin nigdy nie odrzuca zapłaty za pracę.

— Trafnie rozumuje nasza gosposia!—rzekł pedagog. — Rem acute tetigit. W rzeczy samej ten Wayland nie bierze pieniędzy i nie pokazuje się nikomu.

— Jakże być może — rzekł podróżny — ażeby ten szaleniec, ponieważ go mam za takiego, wykonał dobrze kowalską robotę?

— W tym potrzeba sprawiedliwie oddać diabłu, co jest diabelskiego. Sam Mulcyber ze swoimi cyklopami nie znalazłby nic do poprawienia w jego robocie, lecz byłoby zaiste nierozsądnie zasięgać rady lub pomocy tego, który widocznie zostaje w porozumieniu ze sprawcą wszystkiego złego na świecie.

— Niech będzie co chce, muszę koniecznie poznać się z tym kowalem — rzekł Tressilian powstając z miejsca. — Dziękuję wam za gościnne przyjęcie i proszę, abyście pokazali drogę do jego kuźni, bo nie mogę odkładać zaczętej podróży.

— Do manus! — rzekł bakałarz. — Ulegam na koniec usilnym prośbom, lecz świadczę się Bogiem i ludźmi, że cię odwodziłem od nierozmyślnego zamiaru, że starałem się ocalić niewinną duszę, którą zgubisz na wieki, jeżeli wpadniesz w ręce szatańskie. Lecz nie poprowadzę cię sam do jego mieszkania. Dam ci za przewodnika mego ucznia, małego Ryszarda. Riccarde! Adsis nebulo!

— Z przeproszeniem waszmości! — rzekła gospodyni. — Nie będzie nic z tego! Jeżeli wam podoba się, możecie choć zaraz duszę diabłem opętać, lecz upewniam was, że nie pozwolę memu Ryszardowi prowadzić nikogo do szatańskiej jaskini. Dziwię się także niemało, domine doctor, jak możesz dawać niedorostkowi takie zlecenie!

—Czekajże końca, moja pani!—rzekł nauczyciel.—Ryszard odprowadzi tylko na pagórek tego podróżnego i stamtąd pokaże mu mieszkanie Waylanda Smitha. Wierzaj mi, że mu się nic złego nie stanie, bo dziś rano przeczytał na czczo jeden rozdział z Septuaginty i wyuczył się na pamięć kilkanaście wierszy z Nowego Testamentu w greckim języku. Nieraz on biega ze swawoli do tego czarnoksiężnika, jak domyślam się przynajmniej, może więc i teraz zbliżyć się do jego mieszkania dla usłużenia cudzoziemcowi nieświadomemu drogi. Ergo heus, Riccarde, adsis quaeso, mi didascale!

Uczeń na tak tkliwe wołanie wszedł na koniec do izby. Z powodu niskiego wzrostu wyglądał ledwie na lat dwanaście lub trzynaście, chociaż zapewne musiał być starszy o lat kilka. Rude włosy spadające w nieładzie na twarz ogorzała od słońca, nos zadarty

i splaszczony, długi podbródek, siwe oczy, które, choć niezupełnie zezowate patrzyły jednak krzywo, na koniec sam układ twarzy i cała postać wzbudzały śmiech w patrzących, wtenczas zwłaszcza, gdy stara, przytulając Ryszarda do łona, nazywała go perłą piękności, a on wykorzystując jej przywiązanie przedrzeźniał ją z boku i wrywał się co miał siły z czułych uścisków.

— Riccarde! — zawołał nauczyciel. — Ruszaj natychmiast, id cał protinus, na wierzchołek pagórka i pokaż temu podróżnemu kuźnię Waylanda Smitha!

—W piękne mnie wysyłacie miejsce—odpowiedział żak w lepszych wyrazach, niżeli spodziewał się Tressilian. — A kto wie, czy powrócę? Kto wie, czy mię diabeł nie porwie?

— Słyszysz, domine Holiday, co mówi to dziecko. A wam to nie mogło przyjść do głowy, że w tym poselstwie taki koniec czeka mego miłego Ryszardka. Pięknie mi wywdzięczasz się za to, że cię karmię i odziewam!

— Nugae!—zawołał bakałarz.—Daję wam gardło, że mu włos z głowy nie spadnie, bo Ryszardek umie Pater noster jak stary i może zakląć diabła łacińskimi słowy: Eumenides Styglumque nefas.

— Zaszyłam mu w kołnierz jesionowe liście, a z tym on pewniejszy niżeli z całą waszą łaciną, nie potrzeba jednak szukać umyślnie diabła lub jego współników.

— Mój chłopcze!—rzekł Tressilian, poznając z szyderskiego uśmiechu żaka, że działać będzie bardziej podług swojej woli aniżeli rozkazu starszych.—Dam srebrny grosz, jeżeli mię zaprowadzisz do kowala.

Chłopiec mrugnął dając znać, że się zgadza na uczynioną propozycję, lecz w tejże chwili tymi odezwał się słowy: — Ja mam was prowadzić do Waylanda Smitha? Alboż wam nie powiedziałem, że mnie diabeł może porwać tak łatwo jak ten jastrząb, co dusi pisklę mojej babuni?—dodał wyglądając przez okno.

— Jastrząb! jastrząb!—zawołała staruszka i zapominając o wszystkim z przestachu pobiegła na pomoc kurczęciu, ile miała sił w zgrzybiałych nogach.

— A teraz wybieraj się w drogę, panie podróżny! — rzekł żak do Tressiliana. — Weź kapelusz, wyprowadź konia i przygotuj ten srebrny grosz, któryś mi obiecał.

—Poczekaj, coś ci powiem!—rzekł nauczyciel.—Sufflamina Riccarde!

— Nie mam czasu — odpowiedział uczeń. — Zobaczymy się później, lepiej zastanów się nad tym, co masz powiedzieć mojej babuni, gdy wróci.

Bakałarz przewidując cały ciężar odpowiedzialności, spadający na niego, zakreślił się koło chłopca chcąc go przytrzymać i zamknąć w komorze, lecz zwinny Ryszard wymknął mu się z rąk, wyskoczył z chaty i wybiegł lekkim krokiem na wierzchołek bliskiego pagórka. Tymczasem bakałarz wiedząc dobrze z kilkakrotnego doświadczenia, że zawsze z tyłu pozostać musiał, ile razy przyszło mu zmierzyć się z uczniem w gonitwie, zaczął go prosić i zaklinać, ażeby powrócił do domu, używając najtkliwszych wyrażań, jakich tylko mógł mu dostarczyć łaciński słownik. Lecz ani mi anime, ani corculum meum, ani inne klasyczne przymilenia nie zdołały przywołać krnąbrnego żaka, który, podskakując po pagórku, jak widmo przy świetle księżyca, czynił porozumiewawcze znaki do Tressiliana.

Nasz podróżny chcąc czym prędzej połączyć się ze swoim przewodnikiem wyprowadził konia, podziękował bakałarzowi za gościnne przyjęcie i prawie siłą zmusił do przyjęcia nagrody, która zdawała się w części uwalniać go od strachu przed obelżywymi wyrzutami starej gospodyni.

Rzeczywiście, w chwilę po wyjeździe Tressiliana dały się słyszeć przeraźliwe wrzaski kobiece, pomieszane z klasycznymi wyrzekaniami uczonego Erazma Holiday, lecz Ryszard Sludge, równie głuchy na głos macierzyńskiej miłości jak nauczycielskiej powagi, wybiegł naprzód, tę tylko czyniąc uwagę, że jeżeli dostaną chryпки od krzyku, mogą wylizać garnek, z którego on wczoraj wszystko miód wyjadł.

## ROZDZIAŁ X

Jakby w turmach podziemnych styrał życie całe!  
Kości sterczą w policzkach — oczy krwią zawrzałe!  
I tak pracą złamany wybladły i suchy,  
Iżbyś w szkielet chodzący lub uwierzył w duchy.  
Królowa duchów

— Daleko jeszcze do tego kowala, miły chłopcze?—zapytał Tressilian młodego przewodnika.

— Jak mnie nazywacie?—odpowiedział chłopak spoglądając na niego z ukosa siwymi oczyma, przenikliwymi i pełnymi życia.

— Nazywam cię miłym chłopcem, czy cię to obraża?

— Bynajmniej, lecz gdybyście byli z moją babunią i panem Holiday, moglibyście zaśpiewać razem starą piosenkę:

Nic głupszego na tym świecie

Jak ja i ty, i to trzecie.

— Dlaczegoż tak, moje dziecko?

— Ponieważ tylko wy jedni nazywacie mnie miłym. Moja babka, bo nie może dojrzeć dla podeszłego wieku, a zbyt uczucie przywiązanie do reszty ją zaślepia, pan Holiday, bo chce jej się przypodobać i zapewnić sobie pełny talerz stawy i ciepły kącik przy kominku. Co się zaś tyczy wielmożnego pana, sam musisz najlepiej znać swe powody.

— Jeżeli nie jesteś miły, przynajmniej nie można powiedzieć, żebyś nie był dowcipny. Lecz jakże cię nazywają twoi współtowarzysze ?

— Chochlikiem—odpowiedział chłopak bez namysłu.—Ale ja już wolę moją szpetną twarz aniżeli ich głupie głowy.

— Więc nie boisz się tego kowala, do którego mnie prowadzisz ?

— Ja miałbym się go obawiać! Choćby naprawdę był diabłem, jak powiadają ludzie, nie lękałbym się go bynajmniej, ale chociaż z powierzchowności zakrawa trochę na szatana, takim jednak jest on szatanem jak ja lub wy, o czym nie mówię nikomu, tylko wam.

— Dlaczegoż tylko mnie?

— Ponieważ innym jesteście człowiekiem od tych, jakich tu co dzień widzimy, a i ja, choć jestem szkaradny jak grzech śmiertelny, nie chciałbym jednak, byście mnie mieli za osła, ile że kiedyś błagać was będę o jedną łaskę.

— O jakąż to łaskę, mój Ryszardku, którego nie mogę nazywać miłym chłopcem?

— O, nie powiem teraz, bo gdybym zaraz prosił, to by mnie wielmożny pan z niczym odprawił, lecz zobaczymy się na dworze.

— Na dworze, Ryszardzie! Więc masz nadzieję znaleźć się na dworze?

— Jest pan wielmożą, widzę, jak wszyscy inni! Ręczę ci, że sobie myślisz: co taki brzydal, taki obszarpaniec będzie robił na dworze, lecz nie żartuj sobie z Ryszarda Sludge, zobaczysz, on szpetność twarzy potrafi zastąpić bystrością dowcipu.

— Cóż na to powie twoja babunia? Co nauczyciel, pan Erazm Holiday?

— Co się im podoba. Babunia liczyć sobie będzie swoje kurczęta, a pan nauczyciel trzepać w skórę nieposłusznych żaków. Już bym ich dawno pożegnał i porzucił tę lichą wioszczynę, gdyby pan Holiday nie obiecał mi wyznaczyć roli w pierwszym widowisku, które będzie urządzać, a powiadają, że wkrótce ma być dane jakieś wspaniałe widowisko.

— Gdzie, mój przyjacielu?

— W jakimś zamku na północy, o, daleko bardzo od Berkshire. Nasz Holiday utrzymuje, że się tam bez niego nie obejdzie, być może, że i prawda, bo już urządzał niejedno świetne widowisko. Nie jest on w połowie tak głupi, jak się wydaje, osobliwie gdy robi to, na czym zna się dobrze: i tak potrafi ci sypać wierszami jak najlepszy aktor, lecz gdyby mu kazano wykraść jaja spod kury, kto wie, czyby się od niej obronił.

— Więc masz wyznaczoną rolę w widowisku, które niezadługo ma nastąpić?—zapytał Tressilian coraz mocniej przekonując się do chłopaka, którego mowa okazywała, że mu nie zbywało ani na śmiałości charakteru, ani na trafności w sądzeniu o ludziach.

— Nie inaczej! — odpowiedział Ryszard. — Tak mi przynajmniej obiecał, a jeżeli dotrzyma słowa, tym gorzej dla niego, bo gdyby mu przyszło do głowy okiełznać mię i zawrócić do wioski, tak bym z nim bryknął, że nieborak pewnie by nie wytrzymał. Ale to byłoby niegodziwe z mojej strony, nie zrobię mu tej przykrości, bo chociaż porządnie nudny, niemało jednak zadawał sobie pracy, chcąc mnie wyuczyć

wszystkiego, co tylko sam umie. Lecz dosyć o nim — jesteśmy już przed kuźnią Waylanda Smitha.

— Żartujesz chyba, widzę tylko wrzosowisko i pagórek pokryty kamieniami, w pośrodku których leży ogromny głaz, podobny do grobowców znajdujących się w Kornwalii.

— Otóż ten wielki płaski kamień pośrodku, który leży na szczycie—rzekł chłopiec— jest kantorem Waylanda Smitha, na nim musicie dokonać zapłaty za jego robotę.

— Cóż chcesz powiedzieć przez ten nedorzeczny żart? — rzekł podróżny do chłopca, który, jak się zdawało, chciał jego kosztem sprawić sobie zabawę.

— Co chcę powiedzieć? Zaraz wytłumaczę—odpowiedział wykrzywiając twarz. — Przywiąż waćpan konia do tego kamienia, gdzie widzisz przyczepione żelazne kółko, świśnij trzy razy i połóż srebrny grosz na środkowym kamieniu, po czym wystąpisz z koła i schowasz się w krzaki, a pamiętaj nie oglądać się ani na prawo, ani na lewo, dopóki słyszeć będziesz uderzenia młota. Gdy już przestanie dźwięczeć kowadło, zmówisz trzy Ojciec nasz, trzy Zdrowaś albo odliczysz raz, dwa, trzy aż do stu, potem wejdiesz w koło i zobaczysz, że pieniądze zostały zabrane a koń podkutty.

— Zabrane pieniądze! O tym nie wątpię, lecz co się z koniem stanie? Słuchaj, chłopaku, nie jestem twoim nauczycielem, lecz jeżeli mi splatasz jakiego figla, potrafię godnie zastąpić go i wymierzyć ci zasłużoną karę!

— Jeżeli mnie waćpan tylko dogonisz — rzekł chłopiec i w tej samej chwili tak szybko pomknął przez zarośla, że Tressilian, mający na nogach ciężkie buty, żadną miarą dopędzić go nie mógł, choć chłopak nie uciekał jeszcze tak prędko, jak ucieka przelęknięty albo ratujący się ucieczką z niebezpieczeństwa.

Owszem, chcąc nieco podrażnić się ze swym towarzyszem, zatrzymywał się w pewnej odległości, aby go zachęcić do dalszej gonitwy, a gdy Tressilian go doganiał, puszczał się pędem, krążąc około miejsca, skąd zaczęła się zabawa.

Na koniec Tressilian, znużony bieganiem, zatrzymał się klnąc z całego serca na niegodziwego urwisa, co go przywiódł do takiego zmęczenia.

Tymczasem Ryszard stanąwszy znów na wierzchołku pagórka zaczął klaskać w ręce i pokazywać coś na migi, a wykrzywiając się i szczerząc zęby śmiał się tak przeraźliwie, że Tressilian zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście nie ma do

czynienia z prawdziwym chochlikiem. Rozjątrzony do żywego, czując jednak niepohamowaną chęć do śmiechu z dziwacznych wykrzywień i przedrzeźniań chłopca, siadł na konia sądząc, że go tym sposobem łatwiej doścignąć zdoła.

Spostrzegłszy to Ryszard zawołał donośnym głosem:

— Poczekaj! Poczekaj, na co ma się kaleczyć twój Białonogi? Wolę sam przyjść do ciebie, pod tym jednak warunkiem, żebyś trzymał ręce przy sobie.

— Nie myślę wchodzić z tobą w żadne układy, niegodziwy trzpiocie! Wkrótce będę cię miał w swoim ręku.

— Oho! Zobaczymy, zobaczymy, panie podróżny! Jest tu o kilka kroków bagno mogące pochłonąć całą jazdę królowej. Wpadnę na nie, a wtenczas zobaczymy, czy się odważysz pójść za mną!

Tressilian, sądząc z niższego położenia gruntu po drugiej stronie pagórka, że istotnie może to być prawdą, postanowił zawrzeć pokój ze zwinnym i przekornym nieprzyjacielem.

— Chodź do mnie — rzekł — ty pustaku! Porzuć te figle i zejdź do mnie: nie zrobię ci nic złego, jakem szlachcic!

Chłopak, polegając z całą ufnością na takim zaręczeniu, zbiegł w lekkich skokach z pagórka nie spuszczając wszakże oka ze swego towarzysza.

Tressilian zsiadł z konia znużony i zadyszany po bezskutecznej gonitwie, chociaż ani kropla potu nie wystąpiła na czoło żaka, którego twarz podobna była do trupiej głowy powleczonej suchym i białym pergaminem.

— Powiedz mi teraz, niegodziwy hultaju, dlaczego tak postępujesz ze mną albo co miałeś za powód prawić mi duby smalone o tym kowalu i dlaczego chciałeś przekonać o tym, w co wierzyć nie podobna? Pokaż mi raczej jego kuźnię, a dam ci tyle pieniędzy, że będziesz mógł nakupić sobie jabłek na całą zimę.

— Choćbyś mi dał jabłek z całego sadu, nie potrafiłbym zaprowadzić cię do innej kuźni. Połóż pieniądze na tym kamieniu, świśnij trzy razy i skryj się za tym krzakiem. Ja usiądę przy tobie i pozwalam kark sobie skrócić, jeżeli w kilka chwil nie usłyszysz brzęku młota.



— Jeżeli mi wyrządzisz jaką psotę dla swojej zabawki, pamiętaj, że korzystać będę z danego pozwolenia. Doświadczę wreszcie twoich czarów. Otóż przywiązałem konia i położyłem pieniądze na kamieniu.

— Świśnij że, panie, głośniej niż piskłę kosa — rzekł chłopak, gdy Tressilian położywszy pieniądze świsnął trzy razy od niechcenia, wstydząc się sam przed sobą, że się dał na to namówić. — Trzeba głośniej gwizdnąć, bo kto wie, gdzie ten kowal obraca się teraz? Może się znajduje w stajniach króla francuskiego?

— Przecież powiedziałeś, że nie jest on diabłem.

— Czy diabeł, czy nie diabeł, widzę, że cię wyręczyć muszę — odpowiedział Ryszard i świsnął trzy razy tak ostro i przeraźliwie, że Tressilian musiał zatkać sobie uszy. — Otóż to nazywam dopiero porządnym świstaniem — dodał. — A teraz skryjmy się, skryjmy się czym prędzej, bo inaczej Białonogi nie będzie dzisiaj podkuty.

Tressilian ciekawy, czym się skończy to kuglarstwo, a zarazem spodziewając się jakiegoś ważnego wypadku po ufności, z jaką Ryszard oddawał się w jego ręce, pozwolił się zaprowadzić w krzaki odległe od stosu kamieni i usiadł z nim czekając końca, lecz gdy mu przyszło na myśl, że to wszystko mogło być tylko figlem zmyślonym dla skradzenia mu konia, ujął chłopaka za kołnierz w zakład za swego rumaka.

—Cyt!—rzekł Ryszard po cichu.—Wkrótce usłyszysz brzęk młota, ale ten młot nie jest z ziemskiego żelaza—jest on wykuty z kamienia wyrzuconego z księżyca.

I rzeczywiście, Tressilian usłyszał wkrótce uderzenie młota takie właśnie, jakie daje się słyszeć w kuźni kowala. Nadzwyczajność takiego odgłosu w miejscu na pozór odludnym ogarnęła go mimowolnym przestachem, lecz widząc ze złośliwego uśmiechu, że chłopak cieszy się w duszy z jego zmieszania, przyszedł do przekonania, że to była rzecz umówiona i postanowił dowiedzieć się przez kogo i w jakim celu.

Siedział więc spokojnie dopóki słyhać było odgłos młota, co właśnie tyle zabrało czasu, ile dobry kowal potrzebuje na okucie konia. Lecz gdy ustało stukanie porwał się z pałaszem w rękę, obiegł krzak dokoła i ujrzał człowieka w kowalskim fartuchu, w niedźwiedziej skórze, wywróconej włosem do góry i spadającej z ramion po same kolana i w czapce futrzanej, która zakrywała całą niemal twarz zakopconą dymem i sadzą.

— Wróc się! Wróc się! — wołał chłopak do Tressiliana. — Bo on cię w kawałki rozszarpie. On samym wzrokiem zabija człowieka!

I rzeczywiście—tajemniczy kowal, teraz zupełnie widoczny, podniósł młot i zdawał się gotować do stoczenia bitwy, lecz chłopak spostrzegłszy, że ani jego prośby, ani pogróżki cyklopa nie potrafią zawrócić Tressiliana i że już z pałaszem w ręku naciera na podniesiony młot, zaczął wołać na podziemnego mieszkańca: Waylandzie! Nie porywaj się na niego bo ci to nie ujdzie na sucho! Jest to szlachcic z prawdziwej szlachty—nie ulęknie się ciebie!

— Więc zdradziłeś mnie, Flibbertigibbet!/\* (\*/ Flibbertigibbet-chochlik, diablik.) — zawołał kowal.

— Ktokolwiek jesteś — rzekł Tressilian — zaręczam ci zupełne bezpieczeństwo z mojej strony, powiedz tylko, co znaczy takie postępowanie i dlaczego wykonujesz swoje rzemiosło w tak tajemniczy sposób!

Kowal obróciwszy się do Tressiliana rzekł groźnym tonem: — Jakiż to śmiałek waży się pytać o to Stróża Kryształowego Zamku Światła, Pana Zielonego Lwa, Jeźdźca na Czerwonym Smoku? Precz stąd! Precz! Bo jeżeli mi z oczu nie zejdziesz, wywołam Talpaka z ognistą włócznią, który cię w proch i popiół obróci!

Te słowa wymówił gwałtownie, wywijając dokoła ogromnym młotem.

— Przestań, podły kuglarzu! — zawołał Tressilian. — Sądysz, że mię zastraszysz tą niezrozumiałą mową! Pójdiesz ze mną przed sąd albo cię na miejscu trupem położę!

—Daj pokój, Waylandzie!—odezwał się chłopak.—Nie pomogą tu, wierzaj mi, zatrwajające słowa; musicie pogodzić się ze sobą i grzecznie rozmówić.

— Zdaje mi się, szanowny panie—rzekł Stróż Kryształowego Zamku spuszczał młot i zniżając wyniosły ton groźby do łagodnego głosu uległości — że wolno biednemu człowiekowi zarabiać tym lub innym sposobem, byle tylko dobrze wykonał robotę, której się podejmuje. Zapłaciłeś już za podkucie konia, cóż ci teraz pozostaje, jeżeli nie wsiąść na swego rumaka i udać się w dalszą drogę?

— Nie, mój przyjacielu, mylisz się. Każdy uczciwy człowiek ma prawo zedrzyć maskę z twarzy kuglarza i oszusta, a twój sposób życia wzbudza we mnie podejrzenie, że jesteś jednym i drugim.

— Jeżeli taki jest wasz zamiar, będę zmuszony chwycić się ostatecznych środków obrony, których nie chciałbym używać przeciwko tobie, panie Tressilianie, nie dlatego, żebym miał obawiać się twego pałasza, lecz że wiem, iż jesteś wspaniałomyślnym, litościwym panem i że wolałbyś raczej dopomóc, aniżeli zaszkodzić biednemu człowiekowi znajdującemu się w trudnych okolicznościach.

— Dobrze mówisz, Waylandzie — odezwał się chłopiec, który oczekiwał z niecierpliwością końca ich rozmowy. — Lecz zaprowadź nas do swej jaskini, bo wiesz, że otwarte powietrze szkodzi twemu zdrowiu.

— Prawda! — odpowiedział kowal i zbliżywszy się do najbliższych zarośli odsłonił małe drzwiczki, zamykające poziomo otwór wydrążony w ziemi, zakryty starannie gałęziami, a podniósłszy je spuścił się w jamę i zniknął im z oczu.

Tressilian mimo całej ciekawości wahał się nieco z wejściem do jaskini mogącej być schronieniem zbójców, zwłaszcza gdy usłyszał głos kowala wychodzący spod ziemi:

—Pamiętaj, Flibbertigibbet, ażebyś wszedł ostatni i zamknął dobrze za sobą!

— Czy wystarczy ci to, coś dotąd widział? — zapytał chłopiec Tressiliana z szyderczym uśmiechem, jak gdyby spostrzegł wahanie swego towarzysza.

—Niezupełnie!—odpowiedział Tressilian obojętnym głosem i pozbywszy się chwilowej bojaźni spuścił się po schodach w głąb jaskini. Za nim wskoczył Ryszard Sludge i gdy zamknął za sobą drzwiczki, ciemność zaległa podziemną pieczarę nie mającą innego otworu do przepuszczenia światła.

Niezbyt długie schody wychodziły na wąski korytarz, w głębi którego migotało czerwone światełko. Tressilian doszedłszy do tego miejsca z dobytym pałaszem znalazł zakręt po lewej ręce, wszedł pod niewielkie sklepienie, gdzie była kuźnia napełniona rozżarzonymi węglami, z których wychodzący czad mógłby udusić człowieka, gdyby sklepienie za pomocą sztucznego wydrążenia nie łączyło się ze świeżym powietrzem. Blask wydobywający się z rozpalonych węgli i lampy, zawieszanej pośrodku na żelaznym łańcuchu, oświetlał oprócz kowadła, młotów, miecha, obcęgow, gotowych podków końskich i innych narzędzi kowalskiego kunsztu znajdujące się tu tygle, alembiki, wanienki, fiole, retorty i inne naczynia chemiczne. Dziwaczna postawa kowala i szkaradna ale dowcipna fizjonomia chłopaka oblane słabym światełkiem dogorywającej lampy, odpowiadały wybornie tym tajemniczym

przygotowaniom i w owym wieku zabobonu mogłyby zachwiać odwagę niejednego człowieka.

Ale natura obdarzyła Tressiliana mocnymi nerwami, a wychowanie rozwinięte w nim ten dar uczyniło go obojętnym na urojone strachy. Obejrząwszy się dokoła zapytał kowala, co on za jeden i jakim sposobem wiedział o jego imieniu.

— Przypominasz sobie zapewne, czcigodny panie, że przed trzema laty, w dzień świętego Lucjana, przybył do pewnego zamku w Devonshire wędrujący kuglarz i pokazywał co umiał przed hrabią i zgromadzonymi u niego gośćmi. Chociaż tu ciemno, widzę jednak z waszej twarzy, że mnie pamięć moja nie omyliła.

— Dosyć powiedziałeś! — rzekł Tressilian odwracając się dla ukrycia niemiłego przypomnienia, które w nim mimo woli obudził kowal.

— Kuglarz — mówił dalej przyjaciel Ryszarda — tak zgrabnie popisywał się swoją umiejętnością, że chłopstwo i wiejska szlachta zaczęły powątpiewać, aby mógł tego wszystkiego dokazać bez pomocy czarodziejskiej sztuki. Była tam, między innymi, piętnastoletnia panienka, której pobladły różane lica i pociemniały oczy na widok sprawionych cudów.

— Nie mów dalej! Rozkazuję ci! — zawołał Tressilian.

— Nie myślałem was przez to urazić, nie sądzicie jednak, abym zapomniał, że dla uspokojenia młodej dziewicy wytłumaczyliście jej sposób, w jaki robi się podobne sztuczki i zbiliście z tropu kuglarza wyjawieniem jego tajemnic tak jasno i dokładnie, jakbyście sami należeli do jednego z nim bractwa. Była ona tak piękna, że dla pozyskania jednego jej uśmiechu, jednego spojrzenia...

— Ani słowa o niej, zaklinam cię! — przerwał Tressilian. — pamiętam dobrze ten wieczór! Należy on do małej liczby chwil najszcześniejszych w moim życiu.

— Więc umarła? — rzekł kowal w odpowiedzi na głębokie westchnienie Tressiliana przy wymówieniu tych ostatnich wyrazów. — Umarła, tak młoda, tak piękna, tak kochana przez wszystkich! Lecz proszę mi wybaczyć, szanowny panie! Powinienem był zacząć od czego innego. Widzę, że przez nieostrożność przyczyniłem panu bólu.

Te wyrazy wymówione tklwym głosem żalu i politowania płynącego ze szczerego serca przekonały Tressiliana do biednego rzemieślnika, o którym pierwiej nienajlepsze

miał wyobrazenie, bo nic bardziej nie jedna serca nieszczęśliwego człowieka nad prawdziwe albo udane współczucie w jego nieszczęściu.

— Zdaje mi się — rzekł Tressilian po chwili milczenia — że byłeś wówczas weselszy, że umiałeś zabawić towarzystwo nie tylko sztukami, lecz także śpiewaniem i opowiadaniem rozmaitych opowieści. Dlaczegoż wykonujesz teraz to ciężkie i pracowite rzemiosło, a do tego jeszcze wśród tak dziwnych i nadzwyczajnych okoliczności?

— Moja historia nie jest długa! — odpowiedział artysta.— Opowiem ją wam, jeżeli usiąść i posłuchać zechcecie. — To mówiąc przysunął do ognia trójnożny stółek i wziął drugi dla siebie — Ryszard Sludge usiadł w nogach i wpatrywał się weń oczyma, które rozjaśnione światłem ogniska, zdawały się pałać wyteżoną ciekawością. — I ty także — rzekł sztukmistrz do niego— poznasz historię mego życia — wszak wyświadczysz mi tyle usług godzien jesteś mego zaufania, chociaż prawdę mówiąc, wszystko by na jedno wyszło, czy ci co powiedzieć, czy dać do odgadnięcia, bo nigdy natura nie ukryła bystrzejszego umysłu w mniej powabnym ciele. Jeżeli tedy, łaskawy panie, dzieje nieszczęśliwego człowieka sprawić ci mogą przyjemność, gotów jestem na twoje rozkazy. Lecz może wypijesz kieliszek wina? Chociaż liche moje mieszkanie, mam jednak pewien zapasik!

— Dziękuję ci uprzejmie!—odpowiedział Tressilian. — Przystąp do swojej opowieści, bo nie mogę długo tu bawić.

— Nie będziecie żałowali straconego czasu, koń wasz podje sobie tymczasem i będzie silniejszy do dalszej podróży.

To mówiąc wyszedł z kuźni i powrócił po niedługiej chwili.

## ROZDZIAŁ XI

Pan mój, uczony człowiek, w sztukach zawołany!

Zechce: — przewróci ziemię, złączy oceany.

Drogi do Canterbury, czarodziejskim zwrotem,

W jednym mgnieniu uściele srebrem albo złotem.

Opowieści canterburyjskie

Kowal tak zaczął swoje opowiadanie:

— Wyuczyłem się kowalstwa w młodości i byłem tak biegły w moim rzemiośle, jak najlepszy majster, co wdziewa fartuch, a twarz i ręce ma okopcone dymem i sadzą. Lecz sprzykrzywszy sobie ciągle walenie młotem w żelazne szyny puściłem się w świat, gdzie zawarłem znajomość ze sławnym kuglarzem, który poznawszy na starość, że jego ręce dla braku potrzebnej giętkości nie potrafią już pokazywać trudniejszych sztuczek, przyjął mię za pomocnika i powierzył niektóre tajemnice. Sześć lat u niego przebywając wydoskonalilem się w kuglarskim rzemiośle. Odwołuję się do twego światłego zdania i pytam: czy nie dałem znakomitych dowodów mojej umiejętności?

— Znakomicie! — odpowiedział Tressilian. — Lecz skracaj swą opowieść.

— Niewiele upłynęło czasu od owego dnia, w którym w waszej obecności zadziwiałem moją zręcznością Hugona Robsarta i zgromadzonych u niego gości, gdy zmierziwszy sobie i ten sposób życia udałem się do teatru i występowałem w niejednej sztuce jak najbieglejszy aktor. Nie wiem jednak jakim sposobem tak obficie onego roku obrodziły sady, że publiczność zebrana na galerii raz tylko ukąsiwszy jabłko ciskała resztę na występującego aktora. To mnie odstręczyło od teatru. Zrzekłem się mego udziału i pożegnałem nowych towarzyszków.

— Czym się potem zajmowałeś?

— Przysłałem niby to za sługę, niby za spółnika do człowieka posiadającego wiele wiedzy ale mało pieniędzy, trudniącego się sztuką lekarską.

— Czyli inaczej—zawiązaliście towarzystwo szalbierzów?

— Coś uczciwszego, panie Tressilianie, a jednak mówiąc prawdę nasza praktyka była dziwnego nabożeństwa, bo wiadomości nabyte zrazu dla użytku koni, przyszło mi nieraz w późniejszym czasie stosować do uzdrawiania ludzi. Lecz przyczyny wszystkich chorób są jedne i te same, a jeżeli terpentyna, łój i smoła, zmieszane z

żywicą i główką czosnku, mogą wyleczyć ztratowanego konia, dla czegożby ta sama mieszanina nie mogła uzdrowić człowieka przeszytego żelazem? Ale umiejętność mojego pana wyżej sięgała i rozciągała się na inne jeszcze gałęzie. Był on nie tylko śmiałym wykonawcą przepisów sztuki lekarskiej lecz oprócz tego adeptem astrologii. Czytał i wykladał z gwiazd przeznaczenia rodu ludzkiego za pomocą genetiologii, jak ją nazywał i innych umiejętności. Był uczonym destylatorem pierwiastków i doświadczonym chemikiem, badał wiele sposobów zamrożenia żywego srebra i zdawało mu się, że już uczynił przygotowania do odkrycia kamienia filozoficznego. Mam jeszcze jego wiersze o tym przedmiocie, a jeżeli je zrozumiecie, powiem, żeście mędrsi nie tylko od tych, co je czytali, ale i od tego, który je ułożył i napisał.

To mówiąc dał Tressilianowi świstek pergaminu, zamalowany u dołu, u góry i po bokach znakami siedmiu planet, między którymi pomieszane były greckie i hebrajskie kabalistyczne znaki. W środku było kilka wierszy jakiegoś kabalisty, lecz tak wyraźnie wypisanych, że chociaż ciemno było w tej podziemnej jaskini, Tressilian przecież mógł odczytać następujące wyrazy:

Si fixum solvas, faciasque volare solutum,  
Et volucrum figas, facient te vivere tutum,  
Si parias ventum; valet auri pondera centum,  
Ventus ubi vult spirat, capiat, qui capere potest!

— Oświadczam ci, że tylko to pojąć mogłem z całej niezrozumiałej pisaniny — rzekł Tressilian — że ostatnie wyrazy zdają się mieć takie znaczenie: „Niech każdy chwytą to, co może schwytać.”

— Mój zacny pan i przyjaciel, doktor Doboobius, działał zawsze na tej zasadzie — mówił znowu kowal — aż na koniec, odurzony własną imaginacją, zawróciwszy sobie do reszty głowę chemicznymi doświadczeniami, oszukując siebie samego roztrwoniał majątek zebrany z oszukiwania drugich. Nie mogłem nigdy dowiedzieć się, czy kazał umyślnie wykopać, czy też natrafił przypadkiem na tę tajemną pracownię, w której zwykł się był zamykać tak przed chorymi jak też przed uczniami, którzy domyślali się zapewne, iż dlatego tak często i na tak długi czas wyjeżdżał z miasta Farringdon, swego miejsca pobytu, że gdzieś doskonalić się musiał w tajemniczych umiejętnościach i utrzymywał związki z niewidzialnym światem. Chciał on i mnie

oszukać, a choć udawałem oszukanego, poznał jednak, że przeniknąwszy wiele tajemnic, które troskliwie ukrywał, nie mogłem być nadal dla niego bezpieczny. Tymczasem rozślawiło się jego imię i wielu sądziło, że był czarnoksiężnikiem. Mniemana biegłość w tajemniczych umiejętnościach sprowadziła do nas po kryjomu wielu przedniejszych panów, których dla wielkiego znaczenia w kraju nie umiem wymienić. Ale pospólstwo zaczęło mu grozić i złorzeczyć, mnie, niewinnego pomocnika jego naukowych doświadczeń, nazwało szatańskim posłańcem, a ile razy pokazałem się w jakiej wiosce, obrzucano mnie gradem kamieni. Na koniec mój pan zniknął nagle z tego świata, mnie zaś powiedział, że się wybiera pracować w tej podziemnej jaskini i przykazał, abym go dopiero po dwóch dniach odwiedził. Po upływie tego czasu przyszedłem tu i znalazłem zgaszony ogień, porozrzucone naczynia chemiczne i pismo, w którym uczony Doboobius, jak się zawsze mianował, zawiadamiał mnie, że już się nigdy nie zobaczymy i zapisywał w spuściźnie chemiczne sprzęty i ten pergamin, który dopiero mieliście w ręku, radząc usilnie, ażebym wykonywał zawarte w nim przepisy, co nieomylnie miało mnie doprowadzić do odkrycia ważnej i od dawna poszukiwanej tajemnicy.

— Posłuchałeś tej mądrej rady? — zapytał Tressilian.

— Nie, panie! Ponieważ wiedziałem, z kim miałem do czynienia, kazała mi roztropność przejrzeć wszystkie kąty przed zapaleniem światła. Po długim na koniec szukaniu wyszperałem baryłkę prochu ukrytą starannie w tym celu zapewne, ażeby wybuch zamienił tę jaskinię w stos gruzów, w których zabierając się do wielkiego dzieła przetapiania metali znalazłbym i śmierć i grób zarazem. To zdarzenie wybiło mi z głowy alchemię. Rad byłem powrócić do uczciwego zarobku z młota i kowadła, lecz któż szatańskiemu słudze zechce przyprowadzić konia do podkucia? Tymczasem pokazawszy kilka sztuk, jakie mogą podobać się dziecięcemu wiekowi, zaprzyjaźniłem się z poczciwym Flibbertigibbetem, który wtenczas ze swoim nauczycielem był w Farringdon. Po długich z nim naradach na tym stanęło, że trzeba będzie wykorzystać łatwowierność zabobonnych wieśniaków, ponieważ zwyczajnym sposobem nie mogłem spodziewać się żadnego zarobku i dzięki zacnemu Flibbertigibbetowi, który rozgłosił moje imię w okolicy, nie zbywało mi dotąd na robocie. Ale uważam, że wdałem się w rzecz nie bardzo bezpieczną i boję się, by mię



na koniec nie wzięto za prawdziwego czarownika. Z tej przyczyny szukam tylko sposobności opuszczenia tej pieczary, co wtenczas dopiero zdarzyć się może, gdy pozyskam względy jakiegoś możnego pana, co by mię potrafił zasłonić od wściekłości pospółstwa, w wypadku gdybym był poznany.

— Czy znasz drogi w tym kraju?—zapytał Tressilian.

— Tak dobrze w nocy jak i we dnie!—odpowiedział Wayland.

— Ale nie masz konia?

— Owszem, zapomniałem powiedzieć o tym, jest to najlepsza część spadku wziętego po doktorze prócz dwóch lub trzech lekarskich tajemnic, które sobie przyswoiłem bez jego wiedzy i woli.

— Umyj się i ostrzyż brodę! — rzekł Tressilian. — Zrzuć tę śmieszłą skórę i ubierz się jak najprzyzwoiciej, a jeżeli będziesz mi wierny i potrafisz dochować powierzonej ci tajemnicy, będziesz mógł przez pewien czas towarzyszyć mi w podróży, póki nie zapomną w tych stronach o twoich przeszłych zabawach. Spodziewam się, że jesteś sprawny i odważny, a w terażniejszym położeniu potrzebuję człowieka posiadającego obie te zalety.

Wayland chętnie przystał na to zaręczając wierność i przywiązanie nowemu panu i w kilka chwil wzięwszy nowe odzienie, zgoliwszy brodę i podciąwszy włosy, wystąpił w tak odmiennej postaci, iż Tressilian, uderzony nagłą przemianą, powiedział mu, że już teraz niekoniecznie potrzebuje obrońcy, gdyż żaden z dawnych znajomych nie mógłby go poznać w nowym odzieniu.

— Moi dłużnicy nie chcieliby oddać mi tego co winni — odpowiedział Wayland — lecz wierzycieli nie tak łatwo zaślepić. Nie widzę ja dla siebie bezpieczeństwa, jeno pod opieką tak możnego i uczciwego pana, do jakiego się teraz dostałem.

To mówiąc poszedł przodem, pokazując gościom wyjście z jaskini. Za nim szedł Tressilian, a w kilka chwil Ryszard wyniósł z jamy całą uprzęż. Wayland zamknął za nim drzwiczki mówiąc:

— Kto wie, może kiedy znowu będę potrzebował tego schronienia, wreszcie naczynia i sprzęty warte są zawsze kilka groszy.

Gwizdnął — i koń pasący się na pobliskiej łące przybiegł na znak, do którego był przyuczony. Gdy kładł nań siodło wyniesione z pieczary, Tressilian tymczasem podpiął swemu popręgi i w kilka chwil gotowi byli do podróży.

— Więc mnie opuszczasz?—rzekł chłopak do Waylanda.— Więc już ustaną nasze zabawy? Nie będę śmiał się z tych lękliwych gburów, których tu sprowadzałem i co drżeli od strachu, gdy im diabeł, czyli jego pomocnik, konie podkuwał?

— Tak się zawsze dzieje—odpowiedział Wayland.—Najlepsi przyjaciele prędzej czy później muszą się rozłączyć, lecz wierz mi, Flibbertigibbecie, że ciebie tylko jednego żałuję w dolinie Whitehorse.

— O, ja się z tobą nie żegnam! Będiesz zapewne na tych widowiskach, które wkrótce mają nastąpić, a i ja tam przybędę, bo przysięgam na to światło słoneczne, co nigdy nie oświecało twej kuźni, że sam pójdę, jeżeli mnie Holiday nie weźmie z sobą.

— I cóż ci z tego przyjdzie? Lepiej byś w domu siedział— odpowiedział Wayland.

— Chciałbyś, widzę, robić ze mnie dziecko i wmówić we mnie, że niebezpiecznie jest chodzić bez paska, lecz nim ujedziecie stąd milę, przekonam cię, że nie darmo nazwano mię chochlikiem. Zobaczysz, że wszystko zrobiłem dla twego dobra, byłś tylko umiał z tego korzystać.

— Cóż to ma znaczyć?—zapytał Wayland.

Lecz Flibbertigibbet nie odpowiadając na to pytanie wykrzywił gębę, dał susa i poradziwszy podróżnym, aby czym prędzej ruszali z miejsca, puścił się do domu szybkim biegiem, jakiego próbe już pierwej pokazał Tressilianowi.

— Na próżno byłoby pędzić za nim — rzekł Wayland. — Trudno go złapać jak skowronka w powietrzu. Lepiej skorzystać z jego rady i wyjeżdżać stąd co żywiej.

Gdy Tressilian opowiedział przewodnikowi, dokąd i którądy zyczył sobie jechać, siedli na konie i ruszyli dobrym kłusem.

Skoro ujechali blisko milę, Tressilian zauważył, że koń jego nabrał ognia i śmieiej stąpa aniżeli z rana.

— A co? Nie mówiłem ?—rzekł Wayland uśmiechając się. — Jest to skutek mego sekretu. Przez sześć godzin przynajmniej nie będziecie potrzebowali ostróg. Sądzicie może, że na próżno uczyłem się farmacji?

— Spodziewam się, że twoje lekarstwa nie zaszkodzą memu koniowi.

— Tyle mu zaszkodzą, ile mleko, którym go klacz wykarmiła—odpowiedział konował i już chciał wychwalać skuteczność swego lekarstwa, gdy mu przerwał mowę tak głośny i straszny wybuch, jaki się daje słyszeć, gdy podłożone miny wysadzają w powietrze mury oblężonego miasta. Wzdrygnęły się konie i zdumieli się jeźdźcy. Obejrzeni się i zobaczyli za sobą gęste kłęby czarnego dymu wznoszące się ogromnym słupem w błękit nieba.

— To już pewno po moim mieszkaniu!—zawołał Smith domyślając się od razu przyczyny wybuchu. — Głupstwo zrobiłem, że gadałem przed tym trzpiotem o zamiarach doktora względem mej jaskini. Powiniennem był przewidzieć, że go korcić będzie wykonanie tej wesołej myśli. Lecz pośpieszajmy, bo na ten odgłos zbiegnie się chłopstwo z pobliskich wiosek.

To mówiąc ściągnął konia ostrogami, Tressilian też samo uczynił i wkrótce jadąc prędkim cwałem znacznie się oddalili.

— Widzisz, co znaczy dobrodziejstwo, które ci obiecał żegnając się z nami! — odezwał się Tressilian. — Pięknie by się nam przysłużył, gdybyśmy zabawili dłużej.

— Ręczę, żeby nas był przestrzegł—odparł kowal.—Widziałem, jak kilka razy oglądał się za nami chcąc widzieć zapewne, czyśmy już odjechali. Jest to istny szatan do płatania figli, ale nie złośliwy. Długo musiałbym rozwodzić się, gdybym chciał powiedzieć, jakim sposobem z nim się poznałem i ile mi narobił psot, lecz z drugiej strony nie mało mi wyświadczył dobrego dostarczając roboty, a tym samym sposobu do życia. Bardzo lubił sprowadziwszy z końmi zabobonnych chłopów patrzeć na nich drżących za krzakiem, skoro dało się słyszeć pierwsze uderzenie mego młota. Zdaje się, że natura dlatego umieściła podwójną ilość mózgu w jego niekształtnym czerepie, aby mógł śmiać się z głupoty tych, którzy śmieją się z jego szpetoty.

— Być może — odpowiedział Tressilian. — Ci, których natura odmówiwszy im przymiotów ciała oddaliła niejako od społeczności ludzkiej, jeżeli nie nabiorą ku niej nienawiści, skłonni są śmiać się z głupoty, a nawet cieszyć się z nieszczęść innych.

— Lecz Flibbertigibbet ma inne przymioty i można mu dla nich wybaczyć jego złośliwą wesołość, bo jeżeli wyrządza psoty, jeżeli robi na złość osobom nieznanym, wierny jest tym, do których się przywiąże, tego sam miałem dowody.

Tressilian nie podtrzymał tej rozmowy. Przejechawszy wielką część hrabstwa Devon, stanęli na koniec gospodą w mieście Marlborough, sławnym w późniejszych czasach stąd, że od niego wziął nazwisko największy z wodzów wielkiej Brytanii. Tu nasi podróżni sprawdzili na sobie dwa stare przysłowia: jedno, że niepomyślne wieści prędko się rozchodzą, drugie, że kto podsłuchuje, nieraz posłyszysz o sobie, czego by słyszeć nie chciał.

Gdy zsiadli z koni, na podwórzu karczmy panowało takie zamieszanie, że ledwo mogli dowołać się sługi dla oddania koni, w karczmie pełno było hałasu z powodu wieści podawanych z ust do ust, lecz zrazu trudno im było dopytać się prawdy. Na koniec dowiedzieli się, że to były wieści dotyczące ich samych.

— O co tu idzie? — zamiast odpowiedzi powtórzył parobek na kilkakrotne zapytanie Tressiliana. — Dalibóg, nie wiem. Był tu podróżny, który powiadał, że diabeł porwał dziś rano jakiegoś kowala, który mieszkał gdzieś tam w dolinie Whitehorse i że z wielkim trzaskiem i łoskotem zakręcił go w tuman dymu i ognia i wysadził w powietrze ów pagórek, obłożony kamieniami, gdzie było jego mieszkanie.

— Szkoda! — odezwał się stary farmer. — Bo też Wayland Smith (nie wchodząc w to czy znał się z diabłem, czy nie) wybornie leczył konie, a kto wie, ile teraz nosacizna sprawi klęski w kraju, jeżeli szatan nie pozwolił mu przypadkiem przekazać komuś sekretu.

— To prawda! — odpowiedział parobek. — Ja sam przyprowadzałem do niego konia, bo nad niego nie było lepszego konowala w całej okolicy.

— Czy widziałeś go kiedy?—zapytała Alison Crane, samowładna pani w karczmie pod znakiem bociana, chociaż jej właścicielem nazywała swego męża, którego długa szyja, długi zwieszony nos i nogi sążniste upodobniły do tego ptaka, który był ozdobą i godłem jego karczmy. Przy tej okazji powtórzył karczmarz zapytanie małżonki:

— Widziałeś diabła, Janku?

— A choćbym go i widział?—odpowiedział parobek, bo przykład pani nie wzbudzał w sługach wielkiego uszanowania dla pana.

— Pytam tylko, czyś widział diabła, chciałbym wiedzieć, jak on wygląda?

— Po co ta ciekawość?—krzyknęła pani Grane.—Sam go wkrótce zobaczysz, jeżeli nie będziesz pilnował swego, a tylko wtrącał się do tego, co do ciebie nie należy. Ale, mój Janku i ja chciałabym wiedzieć, jak ten Wayland wyglądał?

— Nie mogę wam tego powiedzieć — odpowiedział parobek z większym uszanowaniem — bom go sam nigdy nie widział.

— Jeżeliś go nie widział — odezwał się Gaffer Grimesby—jakoż mogłeś mu opowiedzieć o słabości twego koniak

— Jak mogłem opowiedzieć? Kazałem tutejszemu bakałarzowi opisać stan jego zdrowia, a miałem za przewodnika tak śmiesznego chłopaka, jakiegom jeszcze w życiu nie widział.

— Cóż poradził? I czy wyleczył konia? — zapytali razem wszyscy zebrani.

— Nie wiem, co to było za lekarstwo, wiem tylko, że je powąchał i wziąłem do ust na koniec szpilki. Ze smaku i zapachu podobne było do jeleniego rogu, rozpuszczonego w occie z jałowcem, co zaś do skutku, żadne lekarstwo nie pomogło prędzej koniowi. Lecz teraz, kiedy diabeł porwał Waylanda, niemało koni wyzdycha nam.

Duma z posiadanej sztuki tyle miała mocy nad Waylandem Smith, że pomimo niebezpieczeństwa, jakie mu groziło, gdyby został poznany, mrugnął ukradkiem na Tressiliana z tajemniczym uśmiechem chlubiąc się, że tak jednogłośnie przyznawano mu niepospolitą biegłość w konowalskiej umiejętności.— Tymczasem rozmowa toczyła się dalej.

— Moim zdaniem — rzekł poważny staruszek w czarnym odzieniu, towarzysz Gaffera Grimesby — lepiej ginąć od nieszczęścia, które Bóg zsyła, niż zwracać się o pomoc do diabła.

— I ja tak mówię — rzekła pani Grane. — I dziwię się niemało, dlaczego Janek dla jednej szkapy narażał duszę na niebezpieczeństwo.

— Bardzo dobrze—odpowiedział Janek.—Lecz zapytajmy wpierw, czyja to była ta szkapa? Mojego pana. Oj, gdyby waszą była, nie wiem, co byście na to powiedzieli, gdybym lękając się diabła nie chciał jej zaprowadzić do konowała? A zresztą to sprawa księży.

— Tak, tak, rację ma Janek i prawi jak dobry chrześcijanin i sługa, który dla swego pana nie szczędził ani ciała, ani duszy.

— Ale też w sam czas porwał diabeł kowala—mówiła dalej pani Grane—bo dziś rano przyjechał tu konstabl do starego Pinniewinksa, który już niejedną wynalazł czarownicę i miał go wziąć z sobą do doliny Whitehorse, dla sprawdzenia, czy Wayland Smith był czarownikiem. Sama pomagałam mu ostrzyć kleszcze i szczypce. Widziałam nawet rozkaz uwięzienia z podpisem sędziego Blindas.

— No i cóż z tego?—odezwała się stara pani Grane, matka gospodarza, katoliczka według wyznania, praczka z powołania.—I cóż mu zrobią? Rada bym wiedzieć. Diabeł jak zechce, to pokaże figę i wójtowi, i sędziemu, i poszukiwaczowi czarownic, a ciało Waylanda Smitha tak lęka się kleszczy i szczypców jak moje batysty gorącego żelazka. Lecz powiedzcie mi, poczciwi ludzie, czy diabli porywali wam kiedy kowalów za czasów abingdońskich opatów? Oj, nie! Z pewnością! Mieli oni gromnicę, święconą wodę i relikwie, dobrze też umieli wystraszać nieczyste siły. Niechże wasi heretycy tego dokażą! Ale są na to za wygodni ci wasi księżulkowie.

— Słusznie, pani Grane — powiedział stajenny. — Tak też mi mówił Simpkins z Simonburn, gdy pastor wycałował się z jego żoną.

— Cicho bądź, głupi robaku! — zawołała karczmarka. — Czyż się godzi mówić tak pochlebnie o katolikach dobremu protestantowi ?

— Z pewnością nie, pani, a ponieważ nie jesteś teraz papistką, jak to było za twej młodości, myślę, że lepiej przerwać tę rozmowę.

Na to szyderstwo wszczął się hałas w karczmie, a Tressilian z Waylandem korzystając z zamieszania wynieśli się do osobnej izby, dokąd ich sam gospodarz raczył zaprowadzić, a gdy wyszedł po wino i jedzenie, Wayland Smith utwierdzony w wysokim o sobie mniemaniu zaczął się chlubić ze swej biegłości w konowalskim zawodzie.

— I cóż, panie? Czy zełgałem powiadając wam, że nie tylko umiem kuć dobrze konie, lecz znam się doskonale na lekarstwach? Widzi pan, że nie co innego, tylko głos potwarzy i ręka przemocy strąciły mię z równie użytecznego jak zaszczytnego stanowiska.

— Prawda, mój przyjacielu, lecz innym razem powiesz mi o tym wszystkim. Chyba uważasz, że tego ci tylko brakuje do zupełnej sławy, abyś spłonął w ogniu jak twoje mieszkanie, sam bowiem widzisz, że najlepsi twoi przyjaciele mają cię za czarownika.

— Opuść im Panie, że nauki od czarów nie umieją odróżnić. Zdaje mi się, że niekoniecznie potrzeba zwać się diabłem, ażeby być dobrym konowalem.

— I mnie się tak zdaje — odpowiedział Tressilian. — Lecz cicho, bo gospodarz nadchodzi.

Wszyscy w karczmie nie wyłączając samej pani Crane tak byli zajęci porwaniem Waylanda i rozmaitymi a często rozbieżnymi pogłoskami, które zewsząd dochodziły, że gospodarz, pomimo najszczerzych chęci, nie mógł nikogo zapędzić do usłużenia nowo przybyłym gościom oprócz dwunastoletniego chłopaka imieniem Samson.

— Chciałbym—rzekł gospodarz zwracając się do gości i stawiając na stole butelkę— chciałbym, ażeby diabeł zamiast Waylanda porwał był moją żonę i rodzinę, bo ten Wayland, jak widzę, nie tyle zasługiwał co oni na tak znamienitą łaskę pana szatana.

— I ja tak sędzę, panie gospodarzu—odpowiedział Wayland—i wskutek tego życzenia, piję do waszeczki.

— Nie dlatego to mówię, ażebym chciał uniewinniać tego, co kuma się z diabłem — mówił dalej karczmarz wychylając ogromną czarę — lecz że... czy piliście kiedy lepsze wino, mości panowie?... lecz że wolałbym mieć do czynienia z tuzinem takich hultajów jak Wayland aniżeli z jednym diabłem wcielonym, z którym dzielić trzeba dom i majątek, łóżko i strawę.

Gdy tak nieborak rozwodził swe żale, przerwał mu mowę chrapliwy głos lubej małżonki. Na ten znak skoczył jak oparzony i przepaszając gości pobiegł na zawołanie.

Skoro wyszedł, Wayland zaczął najbardziej obelżywymi wyrazami, jakie tylko znał, wyjawiać pogardę dla tego niewieściucha, którego żona trzymała pod pantoflem; nadmienił nawet, że gdyby konie nie potrzebowały wytchnienia, radziłby Tressilianowi ujechać jeszcze kilka mil na popas, ażeby i grosza nie dać utargować temu wyrodkowi męskiego plemienia.

Tymczasem pojawienie się sporej pieczeni szpikowanej słoniną ułagodziło nieco zajadłość artysty, która znikła zupełnie, gdy zawitał na stół ogromny kapłon tak

smacznie upieczony, że masło, jak powiadał Wayland, spływało po nim jak krople majowej rosy po kielichach rozkwitłej lilii i odtąd oboje gospodarze byli w oczach jego ludźmi poczciwymi, uprzejmymi i godnymi szacunku.

Stosownie do obyczajów ówczesnego wieku pan i sługa siedli do jednego stołu, a Wayland zrobił uwagę, że Tressilian z niezbyt wielkim zapalem zabierał się do jedzenia. Przypomniawszy sobie jednak, jak go zasmucił wspominając o młodej dziewczynie, z którą go po raz pierwszy zobaczył, a bojąc się urazić w bolesne miejsce wolał innej przyczynie przypisać brak apetytu.

— Te potrawy są może dla was zbyt prostackie?—rzekł kowal, gdy z powodu jego żarłoczności kapłon szybko zniknął. — Lecz gdybyście pomieszkali tak długo w tym więzieniu, gdzie zaledwie śmiałem uwarzyć sobie jaką strawę bojąc się, aby mnie dym nie wydał, powiedzielibyście dopiero, że kapłon to wyborny przysmaczek.

— Zajadaj zdrowo—odpowiedział Tressilian. — Jednak śpiesz się jak możesz, bo miejsce to nie bardzo bezpieczne dla ciebie, a moje sprawy wymagają pośpiechu.

Dawszy przeto wytchnąć koniom tyle tylko, ile koniecznie było potrzeba, wyjechali z popasu i stanęli na noc w Bradford.

Żeby nie nudzić czytelnika niepotrzebnymi szczegółami ich podróży, powiem tylko, że bez żadnego przypadku przejechali hrabstwo Wiltshire i Somerset, a trzeciego dnia po wyjeździe Tressiliana z Cumnor stanęli w południe w zamku Hugona Robsart, zwanym Lidcote Hall, na granicy Devonshire.



## ROZDZIAŁ XII

Niestety! kwiat w mym domu strzeżony troskliwie;  
Porwany skrzydłem wiatru, zwiądnął na obcej niwie!

Joanna Baillie: Legenda rodzinna

Starożytny zamek Lidcote Hall leżał niedaleko wioski tej samej nazwy wśród ponurych i rozległych borów Eksmoor, obfitujących w zwierzynę. Dawne przywileje rodziny Robsartów nadawały Hugonowi prawo polowania tutaj, co było jego ulubioną rozrywką. Stare domostwo było niskie, zajmowało jednak znaczną przestrzeń i było otoczone głębokim rowem. Zwodzony most oraz ośmiokątna wieża ceglana tak porosła bluszczem i innymi pnączami, iż trudno było rozeznaczyć, z jakiego materiału była zbudowana, broniła dostępu do warowni. Naroża tej baszty dekorowały mniejsze wieżyczki rozmaitego kształtu i wielkości, nie mające nic wspólnego z symetrią pseudo-gotyckiej architektury współczesnej. W jednej z nich, zbudowanej w czworobok, umieszczony był zegar. Lecz Tressilian zdziwił się mocno, spostrzegłszy zatrzymane wskazówki: bowiem stary rycerz, wśród wielu niewinnych rozrywek bawił się codziennie ścisłą kontrolą czasu, zajęciem właściwym tym wszystkim, którzy mając go wiele do zbycia zapełniają błahostkami leniwo płynące godziny, jak kupiec, który wtenczas najtroskliwiej spisuje swe towary, gdy nie ma na nie zbytu.

Na dziedziniec zamkowy wchodziło się sklepioną bramą, nad którą wznosiła się wspomniana wieża; most był spuszczone; a jedno skrzydło nabitej gwoździami bramy, uchylone. Tressilian spieszenie przebywszy most wjechał na dziedziniec i zaczął głośno wołać na sługi. Zrazu odpowiadało mu tylko szczekanie i skomlenie psów zamkniętych nie opodal zamku, w psiarni. Na koniec wyszedł Wilhelm Badger, stary i ulubiony sługa Robsarta, sprawujący zarazem obowiązki łowczego i pierwszego dworzanina. Wysoki, ogorzały od słońca myśliwiec nie posiadał się z radości na widok Tressiliana.

— Pan Bóg z wami! — zawołał. — Czy to ty, panie Edmundzie? Czy mnie oczy nie zwodzą? Więc jeszcze pozostaje jakaś nadzieja dla naszego pana, bo nikt nie wie, jak go ratować: to jest, ani ja, ani pleban, ani pan Mumblazen.

— Więc pogorszył się stan jego zdrowia w czasie mej nieobecności ?

— Nie, nie pogorszył się, owszem, zdrowszy jest na ciele, ale cierpi na jakieś obłąkanie umysłu. Je i pije jak zazwyczaj, lecz nie sypia po nocach, ani nie budzi się, gdyż znajduje się w jakimś stanie oszołomienia, niepodobnym ani do snu, ani do jawy. Pani Swineford myślała, że to rodzaj paraliżu, lecz nie, to serce chore!

— Nie możecie go czym rozerwać, zająć?

— Stracił chęć do wszystkiego. Zapomniał o warcabach, o shovel board i ani razu nie spojrział na ogromny herbarz pana Mumblazena. Przyszło mi na myśl zatrzymać zegar, spodziewałem się, że to zrobi na nim jakieś wrażenie, gdy nie będzie słyszał bicia godzin, lecz ani słowa o tym nie wspomniał — i tak trzeba będzie puścić znowu zatrzymaną wagę. Ośmieliłem się raz nastąpić na ogon Bungajowi, aby go rozgniewać, wiesz co by mię za to dawniej czekało — teraz tyle go obeszło skowyczenie biednego Bungaja, ile wrzask puszczyka na dachu. Słowem, w głowę zachodzę!

— Opowiesz mi resztę w zamku, Wilhelmie. Każ tymczasem zaprowadzić tego człowieka do oficyny i zapewnić mu wszelkie wygody—jest to sztukmistrz.

— Niech sobie będzie mistrz czarnej lub białej magii, byle tylko pomógł memu biednemu panu. Hej, Tomaszu!—zawołał na szafarza wyglądającego przez okno.— Weź tego artystę do siebie i miej o nim staranie, lecz nie zapomnij — dodał cichszym głosem — sprzątnąć srebrnych łyżek, bo znałem niejednego sztukmistrza, który nie gardził takimi rzeczami.

Po czym zaprowadził Tressiliana do dolnej sali i stosownie do jego żądania poszedł dowiedzieć się o zdrowie pana, w obawie, czy nagły powrót ukochanego wychowanka i spodziewanego zięcia nie zrobi na nim zbyt mocnego wrażenia. Powrócił po niedługiej chwili i powiedział, że Hugo Robsart drzemie w krześle i że Mumblazen da znać, gdy się przebudzi.

— Wielkie to będzie szczęście, panie Edmundzie, jeżeli cię pozna—dodał łowczy—bo już pozapominał imion psów swej sfory. Kilka dni temu sądziłem, że się trochę rozerwie. „Jutro rano osiodłajcie mi starego Sorrela! —rzekł niespodzianie po zażyciu na noc swego zwykłego napoju.—I zabierzecie psy na Hazelhurst”.—Ucieszyliśmy się wszyscy; nazajutrz do dnia wyjechał na polowanie to tylko mówiąc, że wiatr był z południa i że psy zbiją się z tropu. Lecz zaledwie puściliśmy ogary, zaczął się oglądać,

jak gdyby z nagła ocknął się ze snu, zawrócił konia i pojechał do zamku zostawiwszy nas samych w kniei.

— Smutne to nowiny, Wilhelmie! — odpowiedział Tressilian. — Chyba Bóg nam dopomoże, bo pomoc ludzka na nic tu się nie przyda.

— Więc nie przynosisz nam żadnej wiadomości o naszej panience? Lecz po cóż pytać o to? Dostyc już mówi wasze posepne czoło. Zawsze miałem nadzieję, że jeżeli ją tylko znaleźć można, to ty, panie Edmundzie, to uczynisz. Lecz już teraz po wszystkim... wszystko stracone. O! Jeżeli spotkam kiedy tego Varneya na strzał rusznicy, przysięgam na chleb i wodę, że go poczęstuję ołowiem!

Wtem odemknęły się drzwi i wszedł pan Mumblazen. Cienki i wyschły staruszek miał twarz podobną do jabłka zwarzonego mrozem a na głowie kapelusz w kształcie stożka, albo raczej tych koszyków, jakie w Londynie przekupnie owoców wieszają przed oknami. Lakonicznie, nie marnując bez potrzeby słów na proste powitania wyraził kiwnięciem głowy i uściskiem ręki uczucie radości, jakiego doświadczał na widok Tressiliana, po czym — nadal nic nie mówiąc — pokazał mu na migi, aby szedł za nim do pokoju Hugona.

Badger chcąc widzieć, czy przybycie pana Edmunda nie wyprowadzi chorego ze stanu odretwienia, poszedł także za nimi.

W długiej niskiej sali, gdzie pełno było sprzętów myśliwskich i łowieckich trofeów, Hugo Robsart, dziedzic Lidcote, siedział przed ogromnym kominem, nad którym wisiał pałasz i różne, nieco rdzą okryte zbroje. Był to człowiek podeszłego wieku i dość znacznej tuszy, którą tylko ruch używany w kniei w pewnej mierze utrzymywać potrafił. Zdawało się Tressilianowi, że ociężałość, na którą jego przyjaciel chorował, dodała mu więcej ciała przez tych kilka niedziel jego nieobecności, a przynajmniej zgasiła żywość oka, które najprzód obróciło się na wchodzącego Mumblazena idącego wolnym krokiem do dębowego stołu, gdzie leżała gruba księga, potem zatrzymało się na nowym przybyszu, niepewne, czy był to nieznajomy, czy należał do grona domowników.

Pleban, sędziwy staruszek prześladowany za czasów królowej Marii, siedział z książką w ręku w drugim kącie pokoju. I on także niemym spojrzeniem powitał Tressiliana i

położył książkę na stole, ciekaw, jakie wrażenie sprawi jego przybycie na strapionym starcu.

W miarę jak Tressilian ze łzami w oczach zbliżał się do ojca swojej ukochanej, zdawało się, że władze duszy Hugona budziły się z uśpienia. Westchnął ciężko, jak obudzony z letargu — na twarzy jego odbiło się lekkie wzruszenie — nie mówiąc słowa otworzył ręce, a gdy Tressilian rzucił się w objęcia, przycisnął go mocno do serca.

— Więc nie wszystko jeszcze straciłem!—zawołał nieszczęsny starzec i gdy to mówił, obfite łzy spłynęły po jego śniadej twarzy i długiej białej brodzie.

— Nie spodziewałem się nigdy, ażebym kiedy dziękował Bogu za łzy mego pana! — rzekł Wilhelm Badger. — Lecz teraz dziękuję, chociaż i sam płakać z nim muszę.

— Nie będę się o nią pytał! — rzekł stary rycerz. — O nic, o nic, Edmundzie!... Tyś jej nie znalazł albo w takim znalazłeś stanie, że lepiej byłoby stracić ją na zawsze.

Tressilian zamiast odpowiedzi zasłonił twarz swą rękoma.

— Dostyc mi tego, dostyc. Lecz nie płacz po niej, Edmundzie. To ja mam powód po niej płakać, bo ona była córką moją, lecz ty cieszyć się powinieneś, że nie została twą żoną. Wielki Boże! Ty wiesz lepiej, co jest dla nas dobre... Modliłem się po nocach, abym mógł widzieć moją Amelię żoną Edmunda... Gdyby ta prośba była wysłuchana, nowa żółć przybyłaby do terazniejszej mej goryczy.

— Uspokój się, przyjacielu!—rzekł pleban do Hugona.— Nie może być, ażeby twoja córka, przedmiot wszystkich naszych uczuć i nadziei, tak dalece się poniżyła, jak sobie wyobrażasz.

—O nie!—odpowiedział Hugo z niecierpliwością.—Myliłbym się, gdybym ją tak nazywał, jak zasługuje. Wymyślono zapewne jakąś dworską nazwę na oznaczenie tej sromoty. Czyż nie dostyc zaszczytu dla córki starego szlachcica z Devonshire zostać żoną gładkiego dworaka?—A do tego jeszcze Varneya? Varneya, którego dziada przyjął do swego domu mój ojciec, gdy mu zabrano majątek po bitwie pod... po bitwie pod... gdzie poległ Ryszard... do licha! Jakaż moja pamięć... i nikt mi z was nie przypomni?

— Pod Bosworth! — podchwycił Mumblazen. — Stoczonej między Ryszardem Garbatym a Henrykiem Tudorem, dziadem królowej dziś nam szczęśliwie panującej, anno primo Henrici Septimi, a 1485 post Christum natum.

— Tak jest!—odpowiedział stary rycerz.—Każde dziecko wie o tym... tylko moja biedna głowa zapomina, o czym by pamiętać, a pamięta, o czym na zawsze zapomnieć powinna. Po twoim odjeździe, Tressilianie, cierpiałem jakiś zawrót głowy i teraz jeszcze nie mogę przyjść do siebie.

— Przejdź, panie, do swego pokoju i spróbuj, czy choć na chwilę nie zaśniesz — odezwał się duchowny. — Doktor przygotował lekarstwo na sen, a nasz Wielki Lekarz kazał nam zażywać ziemskich lekarstw, abyśmy nabrali sił do zniesienia nieszczęść, którymi nas doświadczają.

— Prawda, prawda, mój przyjacielu! Starać się będziemy znosić je mężnie. Wszak tylko straciliśmy kobietę... Patrz, Tressilianie! —rzekł wyjmując z zanadru długi warkocz pięknych włosów.—Patrz, to jej włosy! Tego samego wieczora, kiedy stąd zniknęła, przyszła zwyczajem swoim powiedzieć mi dobranoc i tuląc się do mnie pieściła się czulej niż kiedykolwiek, a ja stary dziad jak zagorzały kochanek póty trzymałem ją za włosy, póki ich nie obciąła i nie oddała mi do rąk—i to jest wszystko, co mi zostało po niej!

Tressilian nie mógł nic odpowiedzieć. Wiedział on dobrze, jakie uczucia rozdzierały w tej okrutnej chwili serce nieszczęśliwego ojca. Pleban chciał coś powiedzieć, lecz go Hugo uprzedził.

— Wiem, co chcesz powiedzieć: że to tylko warkocz kobiety, a przez kobietę wstyd, grzech i śmierć przyszły na niewinny świat. A uczony Mumblazen potrafi wykazać ich niższość wieloma dowodami wyjętymi z ksiązek.

— C'est l'homme qui se bat et qui conseille! — rzekł doń Mumblazen.

— Starajmy się więc tak postępować, jak przystoi na ludzi obdarzonych rozumem i odwagą. Tressilianie! Zawsze mi jesteś miły, tak jak gdybyś przyniósł najpomyślniejsze wieści. Ależ nagadaliśmy się, aż w ustach sucho!... Amelio, naley dwa puchary, jeden dla mnie, drugi dla Edmunda!

Potem, przypomniawszy sobie, że mówił do tej, która go słyszeć nie mogła, wstrząsnął głową i rzekł do plebana:

— Ten smutek tym jest dla mego obłąkanego umysłu, czym kościół w Lidcote dla mego parku, można w nim zabłąkać się na chwilę, lecz z każdej drożyny widać starą dzwonnice i grób moich przodków. Chciałbym bodaj od jutra zająć w nim swe miejsce!

Tressilian z plebanem prośbą i naleganiem skłonili na koniec chorego do udania się na spoczynek. Tressilian siedział przy nim, póki sen nie opadł na znużone oczy starca, po czym powrócił do plebana dla naradzenia się z nim, co mieli dalej począć w takim nieszczęściu.

Nie mogli wyłączyć od tej rady pana Michała Mumblazena, owszem, przyjęli go tym chętniej, że wiele spodziewali się po jego doświadczeniu i wiedzieli, iż jest tak wielkim milczkiem, że można mu bez obawy powierzyć najważniejszą tajemnicę. Był to stary kawaler z dobrego rodu, lecz szczupłego majątku. Dalekim pokrewieństwem złączony z domem Robsartów, przez lat przeszło dwadzieścia zaszczycał Lidcote Hall swą obecnością. Hugo Robsart znajdował wielkie upodobanie w jego towarzystwie i głębokiej wiedzy, która choć ograniczała się tylko do heraldyki, genealogii i odrobiny historii, we wszystkich okazjach czyniła zadość potrzebom i życzeniom starego Hugona, bo gdy go pamięć zawiodła, jak się nieraz zdarzało, albo okazała się niewierną, gdy szło o przytoczenie dat i nazwisk, wtenczas Michał Mumblazen zastępował swoją uczonością brak tych szczegółów i przytaczał je równie zwięzłe jak dokładnie. W rzeczach zaś dotyczących się spraw codziennego życia wyrażał się stylem zagadkowym, ozdobnym w pojęcia heraldyki, i w ten sposób dawał najzbawienniejsze rady i przestrogi, czyli, mówiąc językiem Badgera, wypędzał zwierza na pole, gdy inni darli się po krzakach.

— Nie uwierzysz, panie Edmundzie — rzekł pleban — cośmy wycierpieli z dobrym naszym rycerzem. Nigdy jeszcze nie doznał tyle zgryzoty, odkąd mię oderwano od mojej kochanej trzody i kazano wydać ją na pożarcie żarłocznym wilkom.

—In anno tertio panowania Marii—dodał Mumblazen.

— W imię nieba — mówił dalej pleban — powiedz nam, Edmundzie, jaki skutek twej podróży? Czy zasięgnąłeś wiadomości o tej nieszczęśliwej dziewczynie, która będąc przez lat kilkanaście szczęściem i radością tego domu, stała się teraz przyczyną największego nieszczęścia? Czy nie dowiedziałeś się przynajmniej, gdzie mieszka?

—Dowiedziałem się—odpowiedział Tressilian.—Znacie Cumnor Place niedaleko Oksfordu?

—Znam!—rzekł pleban.—Było to wiejskie mieszkanie abingdońskich opatów.

— Widziałem ich herby—dodał Mumblazen—na kominie w wielkiej sali krzyż, nad nim mitra między czterema ptakami.

— Tam nieszczęśliwa Amelia mieszka z tym złoczyńcą Varneyem, którego byłbym już ukarał za wszystkie zbrodnie i pomścił się wszystkim krzywd naszym, gdyby niespodziewany przypadek nie ocalił mu życia.

— Dziękuj Bogu, młodzieńcze, że powstrzymał twą rękę od rozlewu krwi. Zemsta do mnie należy, mówi Pan, i sam ją wykonam. Trzeba było raczej próbować innych sposobów uwolnienia jej z więzów niesławy, którymi ją ten zbrodniarz kępuje.

—A które nazywają *laqueae amoris*, więzami miłości— rzekł Mumblazen heraldycznymi słowami.

— Chciałem zasięgnąć pierwiej waszej rady, przyjaciele. Postanowiłem pociągnąć przed tron zbrodniarza i oskarżyć go o zdradę, uwiedzenie i złamanie praw gościnności. Królowa nie odrzuci mej skargi, chociaż stoi po jej prawicy hrabia Leicester, obrońca zbrodniarza.

— Jej Królewska Mość — rzekł pleban — dała już swoim poddanym przykłady sprawiedliwości i nie omieszka zapewne ukarać tego złoczyńcę. Lecz czy nie byłoby lepiej odwołać się najpierw do hrabiego Leicester? Jeżeli ci nie odmówi słuszności, nie narazisz się na gniew straszego nieprzyjaciela, a narazić się musisz, jeżeli pominąwszy go zaniesiesz skargę do królowej na jego koniuszego i zaufanego.

— Odrzucam tę radę!—rzekł Tressilian.—Nie mogę znieść, abym miał zebrać sprawiedliwości w sprawie mego dobroczyńcy, w sprawie nieszczęśliwej Amelii, u kogo innego, a nie u mojej królowej i pani! Powiecie, że Leicester stoi na wysokim szczeblu—zgoda! Lecz jest na równi ze mną poddanym, dlatego nie myślę skarżyć się przed nim, jeżeli wyżej poskarżyć się mogę. Proszę was przeto, abyście skłonili Hugona do wydania mi pełnomocnictwa w tej sprawie, ponieważ w jego, a nie w moim imieniu mówić mi przyjdzie. Gdy już poniżyła się do zaprzysiężenia miłości temu podłemu i rozpustnemu dworakowi, niechże złączy się z nią węzłem małżeńskim, niech tym przynajmniej sposobem wróci jej wydartą sławę.

—Lepiej byłoby—zawołał Mumblazen z niezwykłym sobie zapalem — ażeby umarła caelebs et sine prole, anizeli by miała łączyć szlachetny herb Robsartów z herbem tego oszusta!

— Jeżeli chcesz tylko—rzekł pleban—o czym bynajmniej nie wątpię, ocalić honor tej nieszczęsnej kobiety, powtarzam raz jeszcze, udaj się do hrabiego Leicester. Jest on samowładnym panem swego domu, jak kraju królowa, a jeżeli wyda wyrok przychylny Varneyowi, wtenczas przynajmniej błąd popełniony przez Amelię nie stanie się tak głośny.

— Dobrze mówisz... dobrze mówisz! — zawołał Tressilian. — Dziękuję ci, żeś mi wskazał to, czego w natłoku myśli dostrzec nie mogłem. Nie spodziewałem się nigdy błagać łaski u Leicesterera, lecz chętnie ugnę kolano przed dumnym Dudleyem, jeżeli przez to choć w setnej części zmniejszyć potrafię plamę Amelii. Dopomóżecie mi otrzymać od Hugona potrzebne pełnomocnictwo ?

Pleban zapewnił go ze swej strony, a Mumblazen skinieniem głowy okazał swą gotowość.

— Potrzeba także, ażebyście byli gotowi zaświadczyć, gdy was wzywać będą, z jak szczerą gościnnością Hugo Robsart przyjął tego zdrajcę do swego domu, a on jak niegodziwymi sposobami uwiódł jego nieszczęśliwą córkę.

— Zrazu — rzekł pleban — zdawała się nie bardzo lubić jego towarzystwo, lecz później często widywałem ich razem.

— Siadywali oboje w sali, chodzili po ogrodzie!—dodał Mumblazen.

—Raz wieczorem spotkałem ich w lasku—dodał ksiądz.— Varney był owinięty w ciemny płaszcz, tak że jego twarzy widzieć nie mogłem, rozeszli się spieszenie, skoro usłyszeli szelest liści, a ja spostrzegłem, że obróciła się i długo za nim patrzyła.

— Obróciła głowę en regard! — rzekł Michał heraldycznym terminem.—W dzień jej ucieczki, na Świętego Antoniego, pamiętam jak dzisiaj, widziałem sługę Varneya trzymającego dwa osiodłane konie za murami cmentarza.

— A teraz — rzekł Tressilian — widziałem ją zamkniętą w tajemnym mieszkaniu i schwytałem łotra, kiedy się do niej skradał. Żałuję, że się nie wypierał swej zbrodni, bobym mu wbił kłamstwo w jego zdradzieckie gardło. Lecz muszę gotować się do



drogi, a wy, przyjaciele, nakłońcie tymczasem Hugona do przelania na mnie władzy działania w jego imieniu.

To mówiąc wyszedł z pokoju.

— Jakież z niego gwałtownik!—rzekł pleban.—Prosić będę Boga, aby mu dał cierpliwość potrzebną do rozprawienia się z Varneyem!

— Cierpliwość i Varney — rzekł Mumblazen — są to dwie rzeczy tak z sobą niezgodne, jak na herbie kruszec na kruszcu. Jest on bardziej fałszywy od syreny, drapieżnie jazy od gryfa, jadowitszy od żmii, okrutniejszy od lwa!

— Bardzo wątpię — rzekł proboszcz — czy w obecnym stanie umysłu mamy prawo wymagać od sir Hugona Robsarta, ażeby swe ojcowskie prawa względem miss Amy przelewał na kogobądź...

— Co do tego wasza wielebność nie powinien mieć żadnych skrupułów — odezwał się Will Badger, który wszedłszy włączył się do rozmowy — bo dam gardło, że gdy nasz pan obudzi się, nie będzie podobny do tego, czym był przez tych ostatnich trzydzieści dni.

— Pokładasz więc tak wielką ufność w lekarstwie doktora Didleum?—rzekł proboszcz.

— Bynajmniej — odpowiedział Will — bo pan nie tknął kropli tego lekarstwa, widziałem, jak wylała je służąca. Ale ten człowiek, co przyjechał z panem Edmundem, dał naszemu Panu napój, który wart jest dwadzieścia tamtych. Mówiłem z nim dość długo i mogę zaręczyć, że nie widziałem jeszcze doskonalszego kowala ani takiego człowieka, który by lepiej znał się na końskich i psich chorobach, taki człowiek nie zechce zaszkodzić chrześcijaninowi.

— Szaleńcze! Jak śmiałeś dawać lekarstwo kowala? — zawołał pleban z gniewem i zdziwieniem. — Czy on ma za sobą powagę? Kto zaręczy za niego?

— Co się tyczy powagi — odpowiedział łowczy — wasza wielebność pozwoli, ale ma moją, a jeżeli idzie o rękojmię, zdaje mi się, że będąc lat dwadzieścia pięć w tym dworze mam prawo ręczyć za lekarstwo dla ludzi i koni. Ja, co nieraz sam krew puszczałem, stawiałem bańki, przykładałem wizykatorię, rozcinałem wrzody!

Doradcy Robsarta osądzili za konieczne uwiadomić o tym natychmiast Tressiliana, który zaraz kazał przywołać do siebie Waylanda Smitha i zapytał go na osobności, jakim prawem ważył się dawać lekarstwo Hugonowi Robsart.

— Wszak, zdaje mi się, mówiłem wam — odpowiedział artysta — że więcej zdołałem przeniknąć tajemnic mego dawnego pana, chcę mówić — uczonego doktora Doboobiusa, aniżeli sobie życzył, a część naszej kłótni stąd poszła, że naprzód przywłaszczyłem sobie niektóre jego sekrety, a po wtóre, wiele światłych ludzi, a mianowicie jedna młoda wdówka z Abingdonu wołała udawać się do mnie niż do niego po lekarstwa.

— Nie czas tu żartować! — zawołał z gniewem Tressilian. — Jeżeli twe lekarstwo zaszkodzi Hugonowi, przysięgam, że tu i śmierć, i pogrzeb znajdziesz!

— Nie znam ja wprawdzie wielkiego arcanum przetapiania podłych kruszców na złoto, lecz nie lękaj się, panie, poznałem chorobę pana Robsarta z opowiadania Badgera i mam nadzieję, że przygotowane przeze mnie lekarstwo da mu łagodny sen i uspokoi rozgorączkowany umysł.

— Nie spodziewam się żadnej zdrady z twojej strony!

— Skutek to okaże!—odpowiedział artysta.—Na cóż by mi się przydało szkodzić biednemu starcowi, do którego tak jesteście przywiązani? Wam to winienem, że Gaffer Pinniewinks nie szarpie mię teraz swymi kleszczami, nie wyłamuje stawów dla wyśledzenia czarnoksiężkich znamion... Chciałbym zostać waszym wiernym sługą i tego tylko pragnę, ażebyście sądzili o moich zamiarach po skutku, jaki me lekarstwo sprawi.

Wayland Smith nie omylił się w swych przypuszczeniach. Łagodny napój przygotowany przez niego, a dany choremu przez Badgera, sprawił najlepsze skutki. Starzec ocknął się po długim i spokojnym śnie; cierpiał jeszcze mocny zawrót głowy, serce miał ściśnięte żalem, lecz mógł już rozpoznać osoby i zrozumieć co mówiły, co dawniej przychodziło mu z wielką trudnością. Nie chciał zrazu przystać na projekt swoich przyjaciół, ażeby Tressilian jechał na dwór w celu odzyskania jego córki i domagania się nagrody za krzywdy, jeżeli je tylko mógł kto wynagrodzić.

— Zdajmy się na wolę Bożą! — rzekł smutnie. — Jest to sokół, który uleciał z wiatrem i niewart, aby przywoływać go gwizdaniem.

Lecz chociaż przez pewien czas upierał się przy swoim, usłuchał na koniec głosu serca i pozwolił Tresailianowi próbować wszystkich sposobów, jakie tylko pozostały dla odzyskania straconej córki. Podpisał nawet pełnomocnictwo ułożone przez plebana, bo w owych czasach duchowni byli nie tylko nauczycielami moralności, lecz pierwszymi doradcami prawa.

W dwadzieścia cztery godziny po powrocie Tressiliana do Lidcote Hall wszystko było gotowe do jego powtórnego wyjazdu, lecz zapomniano o jednej ważnej okoliczności, na którą pierwszy Mumblazen zwrócił uwagę Tressiliana.

— Wybierasz się na dwór, panie Tressilianie! — rzekł do niego. — Pamiętajże wziąć za godło herbu or et argent, bo tam nie popłacają inne odznaczenia.

Ta uwaga była równie słuszna jak zatrważająca, bo trzeba wiedzieć, że dla poparcia sprawy na dworze trzeba było pieniędzy tak w złotym wieku Elżbiety jak i w następnych czasach, a o ten towar nie łatwo było wśród mieszkańców Lidcote Hall. Tressilian był ubogi, Hugo Robsart, prowadząc dom otwarty, wydawał roczne dochody, tracąc nawet i więcej, w nadziei spodziewanych korzyści, słowem, do tego doszło, że ten musiał rozwiązać trudności, kto na nie pierwszy wskazał.

Tak więc pan Michał Mumblazen przyniósł skórzany woreczek zawierający blisko trzysta funtów szterlingów w złocie i srebrze w różnych monetach — owoc oszczędności dwudziestu lat—i słowa nie mówiąc ofiarował go na użytek tego, co przyjmując go do swego domu dał mu sposobność zebrania małego zapasu.

Tressilian przyjął bez namysłu ofiarowane pieniądze i tylko uściskiem ręki wyrazili sobie radość wzajemną, którą czuł pierwszy, poświęcając wszystko, co miał, na cel tak chwalebny, drugi, że niespodziewanym sposobem widział usuniętą tak ważną przeszkodę swej podróży.

Gdy nazajutrz rano Tressilian gotował się do drogi, przystąpił doń Wayland Smith.

Upewniwszy się, że zapewne nie żywi gniewu za skutek lekarstwa danego Robsartowi, oświadczył chęć towarzyszenia mu do stolicy. Tressilian myślał już o tym kilka razy, bo sprawność okazana przez niego w czasie podróży, przytomność umysłu i pomysłowość budziły nadzieję, że jego towarzystwo nie będzie bez korzyści, lecz Wayland był ścigany przez prawo, wspomniał mu o tym Tressilian, nadmienił także o

kleszczach pana Pinniewinksa i o rozkazie uwięzienia sędziego Blindasa. Wayland zaśmiał się na to wszystko.

— Widzisz, panie, że z kowala przemieniłem się w pacholka, a jeżeli i to nie dosyć, patrz na moje wąsy! Teraz wiszą do dołu, pokręcę je tylko do góry i poczernię maścią, na którą znam sekret, a wtenczas i sam diabeł mię nie pozna.

Słowa te poparł czynem, wyszedł z pokoju i w kilka chwil najeżywszy wąsy i podczesawszy włosy do góry wszedł niepodobny całkiem do dawnego Waylanda. Tressilian jednak wahał się jeszcze, czy go wziąć z sobą. Lecz artysta nie przestawał nalegać coraz usilniejszymi prośbami.

— Tobie, panie, winienem życie, tobie choć z części tego długu tym chętniej wypłacić się pragnę, gdyż Badger powiadał mi, iż twoja podróż nie jest jedną z najbezpieczniejszych. Nie jestem ja wprawdzie z liczby tych świszczypałów junakami zwanych, co to do śmierci rąbią się i sieką w sprawie swoich panów, należę owszem do rzędu tych, co wolą widzieć koniec biesiady niżeli początek kłótni. Wiem jednak dobrze, iż mogę wyświadczyć wam ważniejszą usługę niżeli tamci ichmościowie, co tylko umieją wywijać pałaszem i wykręcać sztyletem, bo moja głowa za ich sto rąk stanie!

Tressilian wahał się jeszcze. Nie znał on dobrze tego dziwnego człowieka i nie wiedział, jak dalece można mu zaufać, i więc czy na wiele będzie przydatny w obecnych okolicznościach. Nim jednak zadecydował, na dziedzińcu rozległ się tętent konia i Wilhelm Badger z Mumblazenem prawie razem weszli do pokoju Tressiliana.

— Przyjechał tu jakiś posłaniec—rzekł majordomus—na siwej klaczy tak pięknej, jakiej jeszcze nigdy nie widziałem.

— Ze srebrną blaszką na rękawie—dodał drugi—na której wyrażony jest smok pod koroną hrabiego, a oto list zapieczętowany takim samym herbem!

Tressilian wziął list z adresem:

„Do Miłościwego Pana Edmunda Tressiliana naszego kochanego brata," a u dołu:

„Pilne, p i l n e, p i l n e".

Otworzył go i czytał co następuje:

„Panie Tressilianie, nasz dobry Przyjacielu i Bracie!

Jesteśmy teraz tak chorzy i tyle mamy innych zmartwień, że chcielibyśmy zgromadzić koło siebie naszych przyjaciół, tych zwłaszcza, w których największą pokładamy ufność, a między nimi Was, panie Tressilianie, na pierwszym kładziemy miejscu, tak dla przyjaźni, jaką macie dla nas, jak dla innych dobrych przymiotów. Prosimy was przeto, ażebyście przybyli jak najspieszniej do naszego zamku Say's Court, niedaleko Deptford, gdzie pomówimy z Wami o tym, czego nie sądziliśmy za właściwe powierzać pismu. Zasyłając Wam nasze przyjacielskie pozdrowienie zostajemy Waszym przywiązany bratem

Radcliff hrabia Sussex".

— Zawołaj, Wilhelmie, tego posłańca!—rzekł Tressilian, a gdy przywołany wszedł, zawołał: To ty, Stevens? Jak się ma milord?

— Źle, panie, bardzo źle i dlatego potrzebuje w tym czasie pomocy dobrych przyjaciół!

— Jakaż to słabość? Nie słyszałem, żeby milord był chory!

— Nie umiem wam tego powiedzieć, wiem tylko, że bardzo chory. Doktorzy go odstąpili, a wielu z domowników domyśla się, że to muszą być czary, uroki albo może co gorszego.

— Jakież oznaki tej choroby?—zapytał Wayland — występując na środek.

— Co mówisz?—rzekł posłaniec nie rozumiejąc pytania.

— Na co się skarży? Gdzie ma siedlisko choroba?—dodał lekarz.

Posłaniec spojrział na Tressiliana, jak gdyby go pytał, czyli ma odpowiedzieć na pytanie nieznanego człowieka, a gdy Tressilian zezwolił skinieniem głowy, Stevens wyliczył pokrótce oznaki choroby swego pana: powolne ubywanie sił, mocne poty, brak apetytu, ociężałość itd.

— A oprócz tego — dodał Wayland — bóle w żołądku i zimnica, nieprawda?

— Tak jest!—odpowiedział posłaniec nieco zdziwiony

— Znam tę chorobę i jej przyczynę. Twój pan musiał zjeść mannę świętego Mikołaja. Znam na to lekarstwo!

— Rozważ, co mówisz! — zawołał z gniewem Tressilian. — Jest tu mowa o jednym z największych panów angielskich. Pamiętaj, iż naraziłbyś życie!

— Uchowaj Boże! — rzekł Wayland. — Mówię tylko, że znam tę chorobę i potrafię ją wyleczyć. Zapomnieliście, że pomogłem Robsartowi?

— Natychmiast wyjeżdżamy!—rzekł Tressilian.—Bóg nas powołuje!

I zaraz opowiedziawszy Hugonowi nowe powody nagłego wyjazdu, nie wspominając wszakże o obawach Stevensa i zapewnieniach Waylanda, pożegnał się najczulej z sir Hugonem oraz z domownikami Lidcote Hall, których modlitwy i błogosławieństwa towarzyszyły rozstaniu i wyjechał do Londynu w towarzystwie artysty i posłańca hrabiego Sussexu.

## ROZDZIAŁ XIII

Masz arszenik, wiotriol, amoniak, sodę,  
Ogień, ziemię, powietrze i do tego wodę:  
Wiesz o wszystkim — jegomość tęgi alchemista;  
Kto wie? Może nauka tak na nim skorzysta,  
Że albo w wynalazkach przedrze mgłę omamień.  
Albo filozoficzny wynajdzie nam kamień.

Alchemik

Przed wyjazdem zapytał Tressilian kowala, czyby nie wolał minąć Berkshire, gdzie się wślawił tyloma znamienitymi czynami, lecz Wayland odpowiedział, że się niczego nie lęka i że tyle nad sobą pracował w czasie krótkiego pobytu w Lidcote Hall, że się przekształcił w innego człowieka. Z gęstej i kudłatej brody zostały mu tylko na górnej wardze małe wąsiki po żołniersku w górę zakręcone, a krawiec miejscowy rozwijając swe talenta pod okiem samego Waylanda tak odmienił jego powierzchowność, że mu ubyło jakich lat dwadzieścia. Dawniej zasmolony węglem i sadzą, zarośnięty, schylony przez swe zajęcie, odziany w straszny i dziwaczny ubiór, zdawał się mieć lat pięćdziesiąt, teraz — wymuskany, przyodziany w piękną liberię Tressiliana, z pałaszem u boku i tarczą na ramieniu nie wyglądał na więcej jak na lat trzydzieści, co jest ledwo połową życia ludzkiego. W jego wzroku i zbójckiej postawie, złagodzonych zmianą powierzchowności, zachowała się część dawnej bezczelności. Dodawało mu to tylko śmiałego i przenikliwego wejrzenia. Zapytany przez Tressiliana o przyczynę tak osobliwej przemiany, zamiast odpowiedzi zaśpiewał tylko dwa wiersze z komedii nowej jeszcze podówczas, a z której sędziowie pochlebne powzięli zdanie o geniuszu jej autora. Miło nam je tu przytoczyć:

Chwałę za to Kalibana:

Nowy pan — nowa sukmana \*( W. Szekspir — Burza.)

Chociaż Tressilian nie pamiętał tych wierszy, przypomniał jednak sobie, że Wayland był aktorem. Była to okoliczność tłumacząca, dlaczego tak łatwo przychodziło mu przybierać na siebie rozmaite postaci. Sam artysta, przekonany, że go ubiór zupełnie odmienił, czyli poprawniej mówiąc, że on swój ubiór odmienił, żałował bardzo, iż nie wypada im droga koło jego dawnego mieszkania.

— Tak jak teraz jestem ubrany i z takim jak wy panem odważyłbym się stanąć przed sędzią Blindasem. Chciałbym także wiedzieć, co się stało z Flibbertigibbetem, który wyrabiać będzie dziwy po świecie, jeżeli urwie się z paska i drapnie od babuni i pana bakałarza. A moja kuźnia? Chciałbym wiedzieć, jakie szkody sprawił ten wybuch w retortach i fiolach doktora Demetriusza Doboobiusa. Założę się, że moja sława żyć będzie długo po mej śmierci w dolinie Whitehorse i że niejeden kmieć przywiąże swoją szkapę do kamienia, położy pieniądze i świstać będzie na Waylanda jak majtek w czasie pogodnego nieba; lecz pierwej koń się ochwaci, nim Wayland odpowie na jego wołanie!

W tym przewidywaniu Wayland Smith nie był fałszywym prorokiem, bo bajki tak łatwo rosną i rozchodzą się pomiędzy ludźmi, że gminna powieść o jego nadzwyczajnej biegłości w konowalskiej sztuce dotrwała aż do dni naszych, równie jak dochowały się podania o zwycięstwie Alfreda i powiastki sławnego Pusey Horna. Pośpiech naszych podróżnych nie pozwalał im dłużej zatrzymywać się w drodze, chyba tyle tylko, ile było trzeba dla popasu koni, a ponieważ wiele miejsc, przez które przejeżdżali, znajdowało się pod bezpośrednim wpływem hrabiego Leicestera albo ludzi zależących od niego, roztropność radziła im ukrywać swe nazwiska i cel podróży.

W takich okolicznościach przysłużył się bardzo dobrze spryt Waylanda; zdawał się on mieć upodobanie w tumanieniu pytających nieprawdziwymi odpowiedziami i zbijaniu z tropu ciekawych karczmarzy.

W ciągu krótkiej podróży puścił trzy rozmaite a niezgodne z sobą pogłoski. W jednym miejscu Tressilian był lordem wicekrólem Irlandii, jadącym do królowej dla zapytania o jej wolę co do sławnego buntownika Rory Oge Carthy Mac Mahona. W drugim był agentem następcy tronu francuskiego, wyprawionym do Anglii z prośbą o rękę Elżbiety. Gdzie indziej tenże sam Tressilian pod nazwiskiem księcia de Medina jechał godzić spory między Filipem a królową.

Gniewał się na to Tressilian i wymawiał kilka razy Waylandowi, że te łgarstwa mogą pociągnąć za sobą szkodliwe skutki, że mianowicie po rozpuszczeniu tych wieści wszyscy mają na niego oczy zwrócone, ale Wayland; uspokoił go i przekonał dowodami, którym mało kto oprzeć by się zdołał, przekonywał go bowiem, iż tak



wyróżnia się jego postawa i cała powierzchowność, że koniecznie trzeba wymyślić jakąś nadzwyczajną okoliczność jako przyczynę ich pośpiechu i tajności podróży.

W miarę jak zbliżali się do stolicy, zmniejszała się natrętna ciekawość z powodu wielkiego tłumu podróżnych tam i z powrotem jadących. Przybyli wreszcie do Londynu. Zamiarem Tressiliana było jechać wprost do hrabiego Sussexa, który mieszkał w Say's Court, niedaleko Deptford, aby być bliżej dworu znajdującego się wtenczas w Greenwich, ulubionej siedzibie Elżbiety i miejscu jej urodzenia. Wypadło jednak zatrzymać się na chwilę w Londynie i przedłużyć popas na usilne prośby Waylanda, który chciał się przejść po mieście.

— Weźże pałasz i tarczę!—rzekł Tressilian.—Pójdziemy razem.

Mówił to i uczynił dlatego, że nie będąc jeszcze przekonany" o wierności Waylanda, nie chciał spuszczać go z oka, wiedząc zwłaszcza, że na dworze Elżbiety nie brak mu wrogów.

Wayland Smith chętnie przystał na tę propozycję, której przyczynę zapewne zgadywał, zawarował sobie tylko, aby mu wolno było wstąpić do kilku sklepów i aptek na Fleet-Street i porobić w nich sprawunki.

Tressilian nie mając nic przeciw temu, na dany znak sługi wchodził do sklepów i widział, że Wayland w każdym z nich brał jakieś ziele lub proszek. Niektóre lekarstwa, o które pytał, natychmiast były mu dostarczone, lecz inne nie tak łatwo mógł dostać. Widział i to także, że Wayland ku niemałemu zdziwieniu kramarzy odrzucał dane mu zioła lub korzonki i albo kazał sobie lepsze podawać, albo wchodził po nie do innego sklepu. Zdawało się, że rzeczą niepodobną będzie znalezienie jednego medykamentu. Niektórzy aptekarze mówili otwarcie, że go jeszcze nigdy nie widzieli, drudzy utrzymywali, że nie masz w całym świecie takiego środka, chyba tylko w zagorzalej imaginacji alchemików. Wielu na miejsce żądanego chcieli podsunąć inny środek, mający, jak powiadali, te same własności, ale w wyższym stopniu. Wszyscy prawie ciekawi byli dowiedzieć się, na co on potrzebował takiego leku. Pewien stary, wyschły alchemik, przez artystę o toż samo zapytany, w słowach, których Tressilian nawet nie zrozumiał, oświadczył wręcz, że takiego lekarstwa nie znajdzie już w całym Londynie, jeżeli przypadkiem nie dostanie u Żyda Yoglana.

— Spodziewałem się tego! — rzekł Wayland do Tressiliana wychodząc ze sklepu. — Przepraszam pana, lecz żaden medyk nic nie zrobi nie mając potrzebnych leków. Muszę koniecznie pójść do Yoglana, a jeżeli to zatrzyma was dłużej w podróży, ręczę, że skutek lekarstwa wynagrodzi stokrotnie tę małą stratę czasu!

Tressilian idąc za nim przekonał się, że jego przewodnik musiał znać bardzo dobrze tę część miasta, gdyż nie zatrzymując się nigdzie, przemykał się spieszenie przez najciaśniejsze uliczki i najwęższe przecznice. Stał wreszcie na środku ciasnego zaułka, skąd widać było brzeg Tamizy, a na niej dwa statki czekające odpływu. Sklep, przed którym zatrzymał się, nie miał, tak jak terażniejsze, drzwi i okien szklanych, lecz tylko płócienne nakrycie, takie właśnie, jakim i dziś jeszcze przekupnie ryb zasłaniają swoje stragany. Niewielki staruszek, nie wyglądający wcale na żyda, bo nie miał ani brody, ani pejsów, wyszedł i zapytał, czego potrzebuje. Skoro Wayland wymienił nazwę lekarstwa, Żyd spojrzął na niego i stanął jak wryty ze zdumienia.

— A co waćpan będziesz robił z tym proszkiem, którego jeszcze przez czterdzieści lat nikt nie potrzebował ode mnie, jak długo jestem aptekarzem na tej ulicy?

— Nie myślę odpowiadać na to pytanie, chcę tylko wiedzieć, czy masz, czego potrzebuję i czy mi zechcesz sprzedać?

— No, mein Gott! Na co mam mówić, że nie mam, kiedy mam, albo czemu bym nie chciał sprzedać, kiedy jestem na to aptekarzem?

To mówiąc pokazał jakiś proszek.

— Ale to bardzo drogie, ile zaważyło, tyle dałem czystego złota. Ziółko to rośnie na górze Synaj, gdzie nam nadano nasz święty Zakon i tylko raz na sto lat kwitnie!

— Co mi po tym, gdzie ono rośnie i ile razy kwitnie! — rzekł Wayland spojrzawszy z pogardą na proszek.—Wiem tylko, że to, co mi pokazujesz, zamiast tego, czego potrzebuję, wala się pod nogami około Aleppo!

— No i cóż będzie? Nie mam lepszego, a choćbym i miał, nie sprzedałbym wam, nie mając recepty od doktora, a przynajmniej nie wiedząc, na co go waćpan użyjesz!

Wayland odpowiedział w krótkich wyrazach, z których Tressilian nie zrozumiał ani słowa. Żyd, jeszcze bardziej zdziwiony, wytrzeszczył oczy na Waylanda, jak gdyby poznał wielkiego bohatera lub potężnego mocarza.

— Eliaszu proroku! —zawołał przyszedłszy do siebie z wielkiego zdumienia.

Potem porzuciwszy swoje podejrzenia i niegrzeczny sposób bycia przybrał postawę najgłębszej uniżoności, skłoniwszy się artyście prosił go, aby raczył uszczęśliwić jego liche mieszkanie przestąpieniem niskiego progu.

— Nie racycie wypić szklaneczki wina z biednym Zachariaszem Yoglan? Może tokaju? Może Lacrimae!

— Obrażasz mię swymi propozycjami! — rzekł Wayland. — Daj, czego potrzebuję i koniec na tym!

Ofuknięty Izraelita wziął pęk kluczy, obejrzał się na wszystkie strony, odemknął szafę, która zdawała się być staranniej zamknięta nad inne, gdzie stały słoje i puszki z lekarskami i wysunął z niej szufladę, w której było kilka szczypt czarnego proszku.

Gdy go dawał Waylandowi, malowała się na jego twarzy gotowa uczynność nie mogąca niczego odmówić, a razem skąpstwo żałujące najdrobniejszego ziarnka, mającego przejść do rąk nowego właściciela i zdawało się, że te dwa uczucia w twarzy jego walczyły o lepsze z sobą.

— Masz szalki? — zapytał Wayland.

Żyd pokazał te, których używał w sklepie, lecz z taką obawą i nieśmiałością, że wahanie jego nie uszło uwagi artysty.

— Musisz mieć inne! — rzekł z gniewem. — Czy nie wiesz, że święte rzeczy tracą swe przymioty, gdy są ważone na fałszywej szali?

Żyd spuścił głowę i wyjął ze skrzynki szalki pięknie osadzone.

— Są to szalki, których używam do moich chemicznych doświadczeń — rzekł podając je Waylandowi. — Jeden włos z brody wielkiego kapłana zerwałby ich równowagę!

— Dosyć tych pochwał! — odpowiedział artysta i odważył sobie dwie drachmy czarnego proszku, które obwinął starannie i schował do kieszeni wraz z innymi lekarskami.

Potem spytał Żyda o cenę, lecz ten zamiast odpowiedzi potrząsnął głową i uklonił się nisko.

— Ani grosza—ani grosza nie wezmę od takiego jak wy człowieka! Lecz odwiedźcie kiedy biednego Żyda? Zajrzyjcie kiedy do jego laboratorium, gdzie wysechł nad pracą jak bania Jonasza proroka. Zlitujcie się kiedy nad nim i naprowadźcie go na nieomylną drogę do odkrycia wielkiej tajemnicy!

1 Drahma — jednostka wagi równa 3,732 grama.

— Cicho! — rzekł Wayland kładąc palec na ustach z tajemniczą miną. — Być może, że się zobaczymy kiedy. Masz już Schah maim, jak nazywają wasi rabini, czyli powszechne stworzenie, proś więc i czuwaj, bo musisz dojść pierwszej do poznania eliksiru Alhahest Sameh, jeżeli chcesz, abym o tych rzeczach rozmawiał z tobą!

Potem kiwnięciem głowy pożegnawszy Żyda, kłaniającego się z unizoną pokorą, wyszedł ze sklepu z buńczuczną miną wraz z panem swoim, który tylko tę uwagę nad całą sceną uczynił, że potrzeba było zapłacić za wzięte lekarstwo, jakakolwiek mogła być jego cena.

— Płacić temu oszustowi? — zawołał artysta. — A diabli by mu chyba płacili! Gdybym nie lękał się was rozgniewać, dostałbym jeszcze od niego dwie lub trzy uncje złota za taką samą ilość proszku utartego z cegły!

— Radzę ci, abyś nie ważył się takiego szalbierstwa, dopóki w służbie u mnie będziesz zostawać!

— Alboż nie powiedziałem, że tylko bojaźń waszego gniewu wstrzymała mnie od tego? I nazywacie to szalbierstwem. Ten wyschły szkielet ma tyle złota, że mógłby samymi talarami wybrukować całą ulicę, gdzie mieszka, a jednak suszy sobie głowę nad wynalazkiem filozoficznego kamienia. A zresztą, czy nie chciał on oszukać biednego sługi, sądząc, że natrafił na nieuka? Czy nie chciał on sprzedać mi na wagę złota proszku, który niewart i grosza? Trafił swój na swego, mówił diabeł do węglarza, a jeżeli jego sfalszowane lekarstwo warte było moich pieniędzy, dlaczegożby mój proszek z cegły niewart był jego złota?

— Może to rozumowanie uchodzi z Żydami i aptekarzami, lecz pamiętaj, że nie pozwolę na takie żarty temu, co przystał do mnie na służbę. Spodziewam się, że już zrobiłeś wszystkie sprawunki?

— Tak jest, panie i dziś jeszcze spreparuję prawdziwą driakiew, tak rzadką w Europie dla braku proszku, który dostałem u Yoglana.

\*/ Driakiew — środek odurzająco-uśmierający.

— Ale czemuż nie kupowałeś tego wszystkiego w jednym miejscu? Straciliśmy blisko godzinę czasu włączając się od jednego sklepu do drugiego.

— Powiem dlaczego: oto nie chcę nikogo nauczyć mego sekretu, który już nie byłby moim, gdybym wszystkie ingrediencje/\* w jednym sklepie kupował.

Tak rozmawiając powrócili do gospody (sławnej Beli Savage), a gdy sługa Sussexa siadł konia do drogi, Wayland tymczasem dostawszy móździerza od kucharza zamknął się w osobnej izdebce, gdzie roztarł, powążył i pomieszał kupione proszki, biorąc każdego tyle, ile było potrzeba. W tym wszystkim rozwinął niezwykłą wprawę i zręczność, dając poznać swą niepospolitą biegłość w robotach farmaceutycznych.

Skoro Wayland przyrządził swoje lekarstwo, a pacholek posiadł konie, wyjechali z popasu i w godzinę stanęli w starożytnym zamku Say's Court, który należał dawniej do rodu tegoż samego nazwiska, lecz od lat stu blisko przeszedł w posiadanie starożytnej i szanownej rodziny Eyelynów.

Potomek tego domu, złączony ścisłą przyjaźnią z hrabią Sussexem, chętnie przyjął go teraz do siebie i liczny dwór jego w swoim domu pomieścił. Say's Court był później mieszkaniem sławnego Evelyny, którego Silvo, dotąd jeszcze służy za podręcznik brytyjskim ogrodnikom, a na którego obyczajach, zasadach i sposobie życia, przedstawianych w jego pamiętnikach, każdy szlachcic angielski wzorować się powinien.

\* Ingrediencja—składniki, przyprawy.

## ROZDZIAŁ XIV

Dziwne, mój towarzyszu, nowiny powziąłem!  
W zielonej się dolinie wół potyka z wołem  
O piękną jałowicę. — Jeśli jeden zginie,  
Dolina spokojniejsza będzie, a w dolinie  
Trzoda, dla której wodzów obojętna zwada,  
Bezpiecznie paść się będzie.

Dawna komedia

Naokoło Say's Court stały rozstawione strażę, jak w oblężonej twierdzy; w owym czasie tak dalece wzmożyły się podejrzenia, że zbliżającego się Tressiliana jezdni i piesi żołnierze stojący na warcie zatrzymywali i wypytywali po kilkakroć. Przywiązywano bowiem wielką wagę do bezpieczeństwa Sussexa zarówno z uwagi na wysokie względy, jakie miał u królowej Elżbiety, jak i jego znaną nieprzyjaźń z hrabią Leicester, gdyż w czasie, o którym mowa, nie wiadano jeszcze, który z dwóch współzawodników przechyli ostatecznie na swą stronę łaskawe względy królowej.

Elżbieta, jak wiele innych kobiet, lubiła rządzić przez stronnictwa i o to się najwięcej starała, aby równoważąc dwa przeciwne interesy, mieć zawsze w swojej mocy nadanie przewagi jednej lub drugiej partii, podług tego, czego wymagało dobro kraju albo może jej własne dziwactwa, od których i ona nawet wolna nie była. Intryga i stawianie jednego interesu przeciw drugiemu, utrzymywanie tego, który sądził, że pozyskał jej szacunek, w ciągłej obawie, aby inny nie dostąpił równego zaufania a może nawet miłości — oto były zasady, których przestrzegała przez cały ciąg swego panowania i które, choć nieraz osłabiały sprężystość władzy opanowanej przez faworytów, wszelako dawały jej sposobność odwrócenia złych następstw mogących stąd spłynąć na kraj i rząd.

Dwaj możni panowie, którzy teraz walczyli z sobą o jej łaski, rościli sobie różne prawa, lecz w ogólności powiedzieć można, że Sussex więcej położył zasług dla królowej, Leicester był miłszym w oczach kobiety.

Sussex był wojownikiem, walczył pomyślnie w Szkocji i Irlandii, a mianowicie w roku 1569, w czasie owego wielkiego buntu na północy, który w znacznej mierze stłumiony został dzięki jego wojskowym talentom. Miał więc wielu przyjaciół i

stronników pomiędzy tymi, którzy pragnęli dostąpić znaczenia drogą oręża. Nadto jeszcze hrabia Sussex pochodził z bardziej starożytnego i znamienitego rodu, łącząc w swej osobie zaszczyty dwóch domów Fitz Walterów i Radcliffów, gdy tymczasem herb Leicesterera splamiony był upodleniem jego dziada, który ciemnizył lud będąc ministrem Henryka VIII, a tej plamy nie zmył jego ojciec, nieszczęśliwy Dudley, książę Northumberland, stracony w Tower Hill dnia 22 sierpnia 1553 roku.

Ale uroda, wdzięczna i ujmująca postawa, oręż tak straszny na dworze kobiety, zapewniały Leicesterowi przywileje mogące zrównać, a może nawet przeważać wojenne zasługi, wysokie urodzenie, szczerzy i otwarty charakter Sussexa i dla tej to przyczyny Leicester w oczach dworu i całego królestwa miał większą łaskę u Elżbiety, choć skutkiem jej polityki nie tak wyraźnie zaznaczoną, by go na zawsze mogła zabezpieczyć przed roszczeniami jego współzawodnika. Z tego względu słabość Sussexa była zdarzeniem pomyślnym dla Leicesterera i dawała ludziom okazję do dziwnych domysłów: przyjaciele jednego przejęci byli głębokim niepokojem, stronnicy drugiego cieszyli się nadzieją pomyślniej przyszłości. Tymczasem — ponieważ pamiętano stale w owych dawnych czasach, że wszelkie kłótnie mogą być rozstrzygnięte orężem — przyjaciele obydwóch gromadzili się przy nich tłumnie, dobrze uzbrojeni pokazywali się w sąsiedztwie dworu, zakłócając spokój królowej częstymi i niepokojącymi rozprawami, toczącymi się nawet wewnątrz jej pałacu.

Tressilian przybywając do Say's Court zastał dziedziniec zamkowy napełniony sługami hrabiego i szlachtą, która zjechała się dla odwiedzenia go w chorobie. Oręż był w ręku wszystkich, a na twarzach dzika posepność, jak gdyby lękano się bliskiej zaczepki z przeciwnej strony.

W przedpokoju jednak, dokąd wprowadził go jeden ze sług hrabiego, gdy drugi poszedł donieść panu o jego przybyciu, dwóch tylko zastał dworzan.—W ich ubiorach, sposobie bycia i całej powierzchowności dawała się dostrzec widoczna sprzeczność. Starszy, ubrany po żołniersku, w samym kwiecie wieku, zdawał się być osobą znaczną, a jego postawa i twarz były tego rodzaju, że wyrażając pospolity zdrowy rozsądek nie objawiały najmniejszej iskiejki dowcipu, ani wyobraźni. Młodszy, przeciwnie, nie przekraczał lat dwudziestu, miał na sobie świetny ubiór, jaki nosiły podówczas osoby pierwszego rzędu, to jest długą suknię z karmazynowego aksamitu,

szytą dokoła złotym galonem i czapkę z tej samej materii, wkoło której owijał się trzy razy złoty łańcuch, przymocowany złotym medalem. Włosy nosił podczesane do góry, tak jak młodzież dzisiejsza, w uszach miał srebrne kolczyki, a w każdym z nich oprawną perłę znacznej wielkości. Młodzieniec był nie tylko urodziwy i przystojny, oblicze jego świadczyło o stałości, ale i żywości charakteru, o bystrości umysłu i energii.

Obydwaj siedzieli obok siebie na jednej ławie, lecz każdy zajęty własnymi myślami, nie odzywając się do towarzysza, miał oczy wlepione w przeciwległą ścianę. Wzrok pierwszego zdradzał, iż patrząc na ścianę widzi tylko pałasze, skóry zwierząt, tarcze, berdysze, halabardy i inne sprzęty, jakimi zazwyczaj zdobiono wówczas komnaty. Młodszy miał wzrok żywy i bystry. Zatopiony był w głębokich rozmyślaniach i zdawało się, jakoby próżne miejsce między nim a ścianą było sceną, na którą wyobraźnia jego wyprowadzała stworzone przez siebie postacie, zupełnie różne od rzeczywistych.

Gdy wszedł Tressilian, zerwali się obaj i przywitani go uprzejmie, szczególnie młodszy okazał wielką radość i uniesienie.

— Witaj nam, Tressilianie! — zawołał. — Twoja filozofia zabrała cię nam, gdy ten dom miał do rozdania mamiące ambicję błyskotki, lecz uczciwą jest ta filozofia, bo oto cię wraca, kiedy dzielić potrzeba same tylko niebezpieczeństwa.

— Więc milord tak niebezpiecznie chory?—zapytał Tressilian.

— Obawiamy się czegoś bardzo złego — odpowiedział starszy—a kto wie, czy nie zdrada...

— Ani myśleć o tym! — zawołał Tressilian. — Leicester brzydzi się zdradą.

— Lecz dlaczegoż otoczył się taką zgrają łotrów?—rzekł młodszy.—Człowiek wzywający pomocy diabła może być najuczciwszym, lecz nie przestaje być odpowiedzialnym za wszystko złe przez szatana sprawione.

— Więc wy tylko, przyjaciele, nie odstępujecie milorda w nieszczęściu? A oprócz was nie ma nikogo?

—Owszem, owszem!—odpowiedział starszy. — Znajduje się tu Tracy, Markham i wielu innych, lecz po dwóch odbywamy służbę, inni, znużeni bezsennością, wysypiają się po długim czuwaniu w tym krużganku.



—A niektórzy—dodał młodszy—pojechali do Deptford, żeby upatrzeć jaki statek, który by mogli nabyć połączywszy razem nadszarpnięte fortuny. Bo gdy już będzie po wszystkim, to pochowamy naszego milorda, gwizdniemy na tych, co go wtrącili do grobu i popłyniemy do Indii z ciężkim sercem i lekką kieszenią.

— I ja to samo uczynię — rzekł Tressilian — skoro załatwię niektóre sprawy na dworze.

— Ty, sprawy na dworze? — zawołali obaj razem. — Ty z nami do Indii?

— Jak to, Tressilianie?—rzekł młodszy.—Nie jesteście już prawie żonaty i zasłonięty od tych pocisków fortuny, które pędzą człeka na morze, gdy jego łódka chciałaby w porcie wypocząć? Cóż się stało z twoją lubą Indamirą, która miała być równa Amorecie we wdziękach i wierności?

— Nie mów mi o niej! — zawołał Tressilian odwracając twarz.

— Czy tak, mój przyjacielu?—rzekł młodszy z uczuciem biorąc go za rękę. — Nie lękaj się, abym drugi raz uraził cię w tak bolesną ranę. Dziwne i smutne nowiny! Czyż żaden z naszych przyjaciół nie wyniesie na brzeg swego majątku i szczęścia z okrętu skołatanego tą okropną burzą? Spodziewałem się, że ty przynajmniej, kochany Edmundzie, pozostaniesz w porcie. Lecz dobrze powiedział mój przyjaciel a twój imiennik:

Któż, zmiany losu ustawiczny świadek,  
Nie doznał w życiu, nie pomyślał smutnie,  
Że władza jego z ludźmi igrając okrutnie  
Na to wznosi, by w głębszy pogrążyć upadek.

Gdy deklamował z zapalem te wiersze, starszy tymczasem podniósł się z ławy, przeszedł się po pokoju z niecierpliwością, potem usiadł i zawiąawszy się w płaszcz rzekł:

— Dziwię się tobie, Tressilianie, że utrzymujesz tego młodzika w nedorzecznym urojeniach. Wybacz mi, powiem otwarcie: jeżeli co ściągnąć może naganę na szlachetny dwór milorda, to zapewne te dzieciństwa, te piosenki, te wierszyki, które zawitały do nas z panem Walterem Wittypate i jemu podobnymi, co podciągając język pod niekształtne i niezrozumiałe formy dręczą i kaleczą Nielitościwie naszą prostą angielszczyznę, którą nam Bóg przeznaczył do wyrażenia naszych myśli.

— Blount rozumie — rzekł jego towarzysz uśmiechając się — że diabeł zalecał się do Ewy wiązaną mową i że cała alegoria o drzewie wiadomości dobrego i złego opiera się tylko na kleceniach rymów i układaniu heksametrów.

Wtem wszedł pokojowy hrabiego i powiedział Tressilianowi, że jego pan chce się z nim widzieć.

Zastał lorda Sussexa leżącego w ubraniu na łóżku i uderzony został zmianą, jaką w nim choroba sprawiła. Hrabia przyjął go z przyjacielską szczerością i pytał, jak się mu powodziło w jego miłości. Lecz Tressilian zbywając to pytanie inną odpowiedzią naprowadził rozmowę na stan zdrowia hrabiego i zdziwił się niemało usłyszawszy, że objawy jego choroby zgadzały się zupełnie z tymi, jakie Wayland przepowiedział. Nie wahał się przeto opowiedzieć mu całej historii swego sługi, i dodał, z jaką to pewnością siebie obiecywał uzdrowić chorego.

Hrabia słuchał z niedowierzaniem, póki nie posłyszał nazwiska Demetriusza, po czym zawołał na sekretarza, aby mu przyniósł szkatułkę, w której znajdowały się ważne papiery.

— Wyjm stamtąd — rzekł do niego — zeznanie tego niegodziwego kucharza, którego teraz pod sąd oddaliśmy i zobacz, czy nie znajduje się w nim jaka wzmianka o Demetriuszu? Sekretarz wyjął żądany papier i czytał z niego:

„Wyżej pomieniony zeznający, mając sobie podane to zapytanie, oświadczył, że przypomina sobie, iż zrobił podlewę do ryby, po zjedzeniu której hrabia nagle zachorował, a do tej podlewy używał następujących ingrediencji...”

— Opuść te brednie — rzekł hrabia — i zobacz, czy nie dostał tych materiałów od niejakiego Demetriusza.

— Tak jest — odpowiedział sekretarz — i dodaje w swoim zeznaniu, że odtąd nigdy go już nie widział.

— To wszystko zgadza się z historią twego artysty — mówił hrabia. — Zawołajcie go! Wayland Smith, zawołany, by się stawić przed hrabią, powtórzył swą historię, jak ją pierwemu Tressilianowi opowiedział, śmiało i z pewnością siebie.

— Być może — rzekł hrabia — że ci, którzy zaczęli dzieło, przysłali cię tu dla dokończenia go, ale biada tobie, jeżeli mi twoje lekarstwo zaszkodzi.

— Srogi to warunek—rzekł Wayland—gdyż skutek lekarstwa i życie chorego są w ręku Boga, lecz ja z mojej strony przyjmuję odpowiedzialność. Nie po to żyłem tak długo pod ziemią, abym miał się lękać grobu.

— Jeżeli taką masz ufność w sobie, spróbuję twego lekarstwa, gdyż uczeni doktorowie już mię odstępili. Jakże go zażywać ?

— Zaraz opowiem, lecz ponieważ przyjmuję na siebie odpowiedzialność, niechże mi wolno będzie zawarować sobie, aby żaden lekarz nie wtrącał się do mojej kuracji.

— Słuszne żądanie — odpowiedział hrabia — a teraz daj mi lekarstwo.

Gdy Wayland przygotowywał napój, słudzy tymczasem rozebrali hrabiego i położyli do łóżka.

— Ostrzegam was—rzekł medyk—że pierwszym jego skutkiem będzie sen twardy, w czasie którego potrzeba, ażeby jak największa trwała spokojność, bo inaczej bardzo złe następstwa wyniknąć by mogły. Ja sam siedzieć będę koło hrabiego z kilkoma tutejszymi panami.

— Niech wszyscy wyjdą oprócz Stanleya!—rzekł Sussex.

— I ja także zostanę—rzekł Tressilian—gdyż mocno mię obchodzi skutek tego napoju.

— Zostań! — rzekł hrabia. — Teraz przystąpmy do dzieła, ale wprzód zawołajcie mi sekretarza i szambelana.

— Wzywam was, moi panowie — rzekł, gdy weszli — ażebyście zaświadczyli, jeżeli tego potrzeba będzie, że Tressilian nie jest w żadnym względzie odpowiedzialny za skutek, jaki sprawi to lekarstwo, które biorę z własnej woli, jako środek zesłany nam od Boga do poratowania zdrowia. Pamiętajcie polecić mię mojej pani i królowej i powiedzieć, że jak żyłem, tak umieram jej wiernym poddanym i że pragnę, aby ci, co jej tron otaczać będą, z prostotą mego serca i dobrą wolą służenia jej łączyli wyższe zdolności niżeli biedny Tomasz Radcliff.

Potem skrzyżowawszy ręce na piersi, zdawał się przez chwilę zbierać myśli i rachować się z sumieniem. Następnie wziął napój w rękę i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Waylanda tym wzrokiem, co zdawał się przenikać skrytość jego duszy. Lecz twarz artysty nie drgnęła.

— Nie mam się czego lękać! — rzekł Sussex do Tressiliana i wypił lekarstwo bez dalszego namysłu.

— Proszę was teraz — rzekł Wayland — abyście się ułożyli do spoczynku, jak być może najwygodniej, a wy, panowie, siedźcie tak cicho, jak gdybyście czuwali przy łożu umierającej matki.

Po czym szambelan z sekretarzem wyszli, kazali pozamykać drzwi w całym domu i nie robić najmniejszego szelestu.

Niektórzy dworzanie pozostali w przedpokoju, a koło chorego znajdował się tylko Wayland, Stanley i Tressilian.

Wkrótce sprawdziły się przepowiednie Waylanda. Hrabia zasnął snem tak mocnym, że ci, co go doglądali, zaczęli się lękać, czy w tym osłabieniu nie usnął na zawsze. Sam Wayland zdawał się być nieco niespokojny i kilka razy dotykał zwolna skroni hrabiego zwracając szczególnie uwagę na oddech, który był pełny i głęboki, ale spokojny.

## ROZDZIAŁ XV

Służba, lotry! Gdzież ten gawron, któregom tu posłał?

Poskromienie złośnicy

Nigdy ludzie nie wyglądają gorzej ani nie czują większego osłabienia, jak gdy pierwszy promień wschodzącego słońca zastanie ich jeszcze bez snu. Nawet największa piękność mądrze robi, jeżeli po trudach balu przerwaniem, skryje się przed wzrokiem swych najzapaleńszych wielbicieli.

W takiej to chwili słabe promienie rannego słońca, pomieszane z czerwonożółtawym blaskiem wydobywającym się z dogorywających lamp i pochodni, zaczęły oświecać tych co przepędzili noc nieprzespaną w przedpokoju hrabiego Sussexa. Młodzieniec, o którym nadmieniliśmy w poprzednim rozdziale, wyszedł na kilka chwil dla zobaczenia kto stukał do drzwi, a po powrocie przerażony zmęczeniem i bladością swych towarzyszy zawołał ze zdumieniem: — Ach, moi panowie! Jakżeście podobni do sów! Zdaje mi się, że gdy się słońce trochę podniesie, zobaczę was odlatujących z zaćmionymi oczyma do próżnych dziupli albo do starego zamczyska.

— Milcz, trzpiocie! — rzekł Blount. — Jak śmiesz żartować, kiedy w tej chwili może za tą ścianą zaszczyt i chluba Anglii oddaje ducha?

— Kłamiesz! — odpowiedział młodzieniec.

— Kto kłamie?—zawołał Blount zrywając się.—I do mnie śmiesz to mówić?

— Do ciebie! Kłamiesz, jeszcze raz ci powiem. Bo chociaż szanuję i kocham z całego serca naszego lorda, jeżeli jednak podoba się niebu powołać go do siebie, nie powiem przecie, ażeby z nim zaginać miała sława i ozdoba angielskiego narodu.

— Ty zapewne nie pozwolisz jej zaginać!

— Żebyś wiedział, wszyscy, jak tu jesteśmy, na to nie pozwolimy i wspólnymi siłami pomagać sobie będziemy. Lecz ja z was wszystkich użyję udzielonego mi od natury talentu!

— A to jakim sposobem? Powiedz nam, proszę!

— Zaraz wam wytłumaczę. Wy jesteście jak te pola, co nic nie rodzą, gdy na nie rolnik nie nawozi mierzwy, ja przeciwnie, mam w sobie wzniosłego ducha, który ustokrotni moje zdolności. Ambicja moja zapłodni władze rozumu i wyda, obfite plony.

— Proszę tylko Boga—rzekł Blount—żeby cię ona do szaleństwa nie przywiodła. Co do mnie, skoro utracimy naszego lorda, pożegnam się na zawsze z dworem i obozem. Mam w hrabstwie Norfolk pięćset morgów gruntu, tam osiadę i przekuję pancierz na radło.

— Podła przemiana! — zawołał młodzieniec. — Lecz ty, przyjacielu, i na dworze jesteś wieśniakiem! Zgiąłeś się we dwoje, jak gdybyś chodził za pługiem i rolę trąciszył na milę, zamiast wonnościami, jak przystoi na gładkiego dworaka. Dalibóg! Myślałby kto, żeś dopiero wylazł ze stogu siana! To jedno w oczach moich usprawiedliwić cię może, jeżeli mi przysięgniesz, żeś zoczył piękną córkę u swego dzierżawcy.

— Dość tych żartów, Walterze! — odezwał się Tracy.—Ani czas, ani miejsce po temu! Powiedz nam raczej, kto stukał do bramy?

— Masters, nadworny doktor królowej, przysłany umyślnie przez nią dla dowiedzenia się o zdrowie milorda.

— Czy być może?—zawołał Tracy.—Niemalby to dowód szczególnej łaski Jej Królewskiej Mości. Jeżeli milord wyjdzie z tej choroby, potrafi jeszcze zmierzyć się z Leicesterem. Doktor zapewne musi być teraz u milorda?

— Gdzie tam u milorda! — odpowiedział Walter. — Może już do tego czasu w połowie drogi do Greenwich.

— Jak to! — rzekł Tracy. — Spodziewam się, żeś nie zabronił mu wejścia?

— Nie byłeś zapewne tak szalony! — dodał Blount.

— Tak go pięknie odprawiłem jak ty, Blount, odprawiasz ślepego żebraka, a ty, Tracy, natrętnego wierzyciela.

— Ach, dlaczegóż, w imię złego ducha, pozwoliłeś mu wyjść za drzwi! — rzekł Blount.

— Przysłało to lepiej jego wiekowi niż memu, lecz ten półgłówek zgubi nas wszystkich na wieki. Milord, czy będzie żył, czy nie, straci już łaskę u dworu. Już królowa nie skłoni ku niemu życzliwego wzroku.

— Lecz to najgorzej, że milord nie będzie miał sposobności polepszyć losu swych stronników! — rzekł Walter ze wzgardliwym uśmiechem.—To właśnie słabe miejsce, którego dotykać się nie godzi. Moi panowie! Nie rozwodziłem ja tak głośnych żalów nad słabością milorda, jak niektórzy z was, ale gdzie idzie o usłużenie mu, tam

żadnemu z was nie ustąpię. Gdybym był puścił tego uczonego doktora, cóż by stąd wynikło? Oto hałas i kłótnia między nim a doktorem sprowadzonym przez Tressiliana, mogące obudzić nie tylko śpiącego, lecz i umarłych w grobie. Czyż nie wiem, co za wrzawę wszczynają doktorowie sprowadzeni do chorego?

— Ale któż przyjmie na siebie winę za sprzeciwienie się rozkazom królowej? — rzekł Tracy. — Zapewne Masters był tu z jej wyraźnego zlecenia?

— Ja winę i karę na siebie przyjmuję! — odpowiedział Walter.

— W cóż się tedy obróca owe piękne marzenia o zaszczytach czekających na dworze? — rzekł Blount.—Z wiatrem zapewne uleca! Szkoda cię, chłopcze! Pomimo stałej twojej ambicji i pychy będziesz musiał powędrować do swego Devonshire, gdzie posadzą cię na końcu stołu, jako młodszego w rodzie, a całym twoim zatrudnieniem będzie rozbierać kapłony i krajać mięsiwa z księdzem kapelanem, doglądać, aby psy były nakarmione i podciągać strzemiona dla pana jadącego na polowanie.

— Nic z tego nie będzie!—rzekł młodzieniec z zapałem.— Póki będzie wojna w Irlandii i Niderlandach, póty i drogi po morzu, niezbadane dotychczas przez człowieka, prowadzić będą do niebezpieczeństw i sławy. Ma bogaty Zachód kraje, o których się jeszcze nikomu nie śniło, a do odkrycia ich nie zbywa w Anglii śmiałych i przedsiębiorczych ludzi. Żegnam was na chwilę, moi panowie! Zobaczę, czy warty są na swoich miejscach.

— Ten chłopak ma żywe srebro w żyłach! — rzekł Blount spoglądając na Markhama.

— Ma on coś takiego — dodał Markham — i w żyłach, i w głowie, co go albo wyniesie nad ludzi, albo w przepaść wtrąci. Lecz zamykając drzwi przed Mastersem oddał ważną przysługę, bo towarzysz Tressiliana ostrzegwał kilka razy, że chwila nagłego przebudzenia byłaby godziną śmierci hrabiego, a Masters zbudziłby nawet siedmiu braci śpiących, gdyby spostrzegł, że śpią nie podług formalnych przepisów sztuki lekarskiej.

Już słońce wysoko się podniosło, gdy Tressilian, znużony długim czuwaniem, przyniósł do przedpokoju pomyślną wiadomość, że hrabia sam się przebudził, że nie skarżył się na wewnętrzne bóle, że mówił i rozglądał się wesoło, co wszystko było dowodem polepszenia stanu zdrowia. Wezwał także, aby jeden z nich powiadomił hrabiego, co tej nocy w zamku lub poza zamkiem przytrafić się mogło.

Hrabia Sussex uśmiechał się zrazu, gdy się dowiedział o poselstwie królowej i przyjęciu, jakie spotkało doktora, lecz po niedługiej chwili, przypominając sobie skutki mogące stąd wyniknąć, kazał Blountowi, swemu koniuszemu, wsiąść natychmiast na statek i popłynąć rzeką z Walterem i Tracy'm do pałacu Greenwich, celem złożenia podziękowań królowej za łaskawą pamięć i wyłuszczenia powodów, dla których nie mógł korzystać z mądrych rad uczonego Mastersa.

— Niech to piorun trzaśnie! — rzekł Blount wchodząc do przedpokoju. — Gdyby posłał przeze mnie bilet wyzywający na pojedynek Leicestera, spodziewam się, że nieźle sprawiłbym się z tego poselstwa. Lecz stanąć przed naszą królową i mówić do niej miodopłynnymi słówkami, to przechodzi moje umysłowe zdolności! Chodź, Tracy, chodź i ty, Walterze, coś na nas całą biedę sprowadził! Zobaczymy, czy twa głowa tak jest mądra do porady jak celna w dowcipy i czy potrafisz uratować prostego człowieka z grożącego mu niebezpieczeństwa?

— Nie bój się, nie bój! Wyprowadzę cię z tego nieszczęścia. Zaczekajcie tu na mnie, pójdę po płaszcz.

— Po jaki płaszcz? Alboż nie masz go na sobie?—rzekł Blount. — Ten chłopiec oszalał!

— Chcesz, żebym stanął przed królową w tym starym płaszczysku? Wtenczas dopiero popłynę z tobą do dworu, kiedy tak się wystroję, jak przystoi na prawdziwego szlachcica!

— Myślisz, że nowe suknie ściągną na ciebie czyją uwagę? Przed odźwiernym chyba i pachółkami popisywać się będziesz twymi świętecznymi sukniemi.

— Mniejsza o to! Postanowiłem jednak wziąć płaszcz nowy i przybrać się trochę!

— Co tu zachodu koło jednego płaszcza!—rzekł Blount.— Proszę cię, Walterze, śpiesz się, na miłość Boga!

Wkrótce wypłynęli na środek szerokiej Tamizy, nad którą świeciło słońce w pełnym blasku.

— Są dwie rzeczy — rzekł Walter — nie mające równych sobie na całym świecie: słońce na niebie, a Tamiza na ziemi.



— Pierwszego promienie przyświecać nam będą w drodze do Greenwich — dodał Blount — druga daleko prędzej zaniósłaby nas do kresu naszej podróży, gdybyśmy byli wypłynęli w godzinę przyływu.

— I to wszystko, o czym myślisz, o co się troszczysz? Sądzisz, że na taki tylko użytek przeznaczony król żywiołów i królowa rzek, aby trzem nędznym istotom jak ja, ty i Tracy, przewodniczyć w podróży, której celem jest czcza etykieta dworska ?

— Nie bardzo też starałem się o to poselstwo!—odpowiedział Blount. — I nie naprzykrzałbym się ani słońcu, ani Tamizie, żeby mnie tam prowadzili, dokąd nie miałem najmniejszej chęci jechać i gdzie w nagrodę moich trudów spodziewam się psiego przyjęcia. Lecz na honor—rzekł wyglądając naprzód — zdaje mi się, że niczym skończy się nasze poselstwo, bo patrzcie, statek królowej stoi przy schodach ogrodowych, jak gdyby Jej Królewska Mość chciała zażyć wodnej przejażdżki.

W rzeczy samej, statek królowej, na którym już wywieszono narodową banderę, czekał u schodów ogrodowych z przewoźnikami wystrojonymi w bogate szaty. Za nim stały dwa mniejsze statki mające zabrać dworzan, którzy z powodu niższego stopnia nie mogli się znajdować w towarzystwie królowej. Straż przyboczna, złożona z najdorodniejszych ludzi w całej Anglii, stała uszykowana po obu stronach drogi prowadzącej od bramy zamkowej do brzegu rzeki i zdawało się, że wszyscy czekali tylko na przybycie królowej.

— Na honor, to wróży coś niedobrego! — rzekł Blount. — Musi mieć królowa bardzo ważne przyczyny, kiedy tak rano wybiera się w podróż. Moja rada wrócić z powrotem do Say's Court i opowiedzieć hrabiemu, cośmy widzieli.

— Cośmy widzieli ? — powtórzył Walter. — I cóżemy widzieli ? — Statek, wioślarzy i kilku żołnierzy w szkarłatnych ubiorach z halabardami; wywiążmy się pierwiej z poruczonego nam poselstwa, a potem opowiemy hrabiemu, jakim sercem przyjęła królowa jego podziękowania i usprawiedliwienia.

To powiedziawszy kazał przewoźnikom przybić do brzegu nie opodal głównego stanowiska, do którego uszanowanie nie pozwalało zbliżyć się w tej chwili. Wyskoczył lekko na ziemię i toż samo, choć niechętnie, uczynił jego ostrożny i bojaźliwy towarzysz. Gdy się zbliżyli do bramy zamkowej, jeden z odźwiernych powiedział im, że teraz wejść nie mogą, ponieważ królowa wybiera się w drogę.

Oświadczyli mu, że są przysłani od hrabiego Sussexa, lecz i to nie zrobiło żadnego wrażenia na odźwiernym, który w niczym nie chciał odstąpić od danych mu rozkazów.

— A co! Nie mówiłem, że tak będzie?—rzekł Blount.—

Chodź, kochany Walterze! Wsiądziemy na statek i powrócimy do Say's Court.

— Nie powrócimy, dopóki nie zobaczę królowej! — odpowiedział stanowczym głosem.

— Co się dzieje, Walterze? Czy odchodzisz od rozumu?

— Jestem przy pełnym rozumie, tylko ty oszalałeś z bojaźni. Widziałem cię, jak śmiało zazierałeś w oczy dwunastu kudłatym Irlandczykom, a teraz lękasz się, aby jedna kobieta nie spojrzała na ciebie zagniewanym wzrokiem!

Wtem odemknęła się brama i poczęli wychodzić żołnierze straży nadwornej, za nimi dworzanie rozmaitego stopnia i stanowiska. Potem szła królowa, otoczona świetnym orszakiem niewiast i przedniejszej szlachty w taki sposób, że wszystkich widzieć i przez wszystkich widzianą być mogła. W samym kwiecie wieku, jaśniała wdziękami, które w królowej pięknnością, a w kobiecie najniższego nawet stanu można by nazwać urodą. Wspierała się na ramieniu lorda Hunsdon, który spowinowacony z nią przez matkę wyróżniany był często tym zaszczytem.

Niespokojny młodzieniec, który może nigdy jeszcze nie miał sposobności znajdować się tak blisko królowej, chcąc się jej dobrze przypatrzeć przecisnął się aż do szeregu żołnierzy po bokach drogi stojących. Tymczasem lękliwy towarzysz przeklinając jego nierozwagę przytrzymał go z tyłu i wtenczas dopiero go puścił, gdy Walter wyrывая się zrzucił niedbale bogaty płaszcz z jednego ramienia, co właśnie odkryło jego piękną postać. W tejże chwili zdejmując kapelusz wlepił w królowę chciwy wzrok, w którym malowała się ciekawość pełna uszanowania, połączona ze skromnością i podziwem. Żołnierze, uderzeni jego wspaniałą postawą i bogatym strojem, rozstąpili się nieco i dali mu miejsce przed sobą, czego nigdy nie czynili dla pospolitych widzów.

Takim sposobem Walter Wittypate wystąpił w całej okazałości przed królową, której oko nigdy nie było obojętne ani na podziw, który tak słusznie wzbudzała w swych poddanych, ani na powierzchowność jej dworaków. Zbliżając się do miejsca, gdzie

stał nasz młodzieniec, rzuciła nań przelotne spojrzenie, w którym widać było zdziwienie z powodu jego śmiałości, ale bez najmniejszego znaku urazy.

Tymczasem następane zdarzenie bardziej jeszcze zwróciło nań jej uwagę. Deszcz padał przez całą noc i tam właśnie, gdzie stał Walter, mała kałuża udaremniła przejście królowej. Widząc to młody dworak w mgnieniu oka odwinął płaszcz z ramion i rzucił go na ziemię, by Elżbieta mogła po nim przejść suchą nogą, a po dokonaniu tego czynu, uklonił się głęboko i mocno zarumienił.

Królowa nieco zmieszana zarumieniła się także, podziękowała mu skinieniem głowy, przeszła spieszenie i słowa nie mówiąc wsiadła na statek.

— A co, panie sowizdrzale? Teraz dopiero twój ładny płaszczyk potrzebować będzie szczotki!—rzekł Blount do Waltera. — Jeżeli go miałeś obracać na kobierzec pod nogi, nie trzeba było zrzucać burki Tracy'ego, która się ani deszczu, ani słońca nie lęka.

— Ten płaszcz—odpowiedział młodzieniec zwijając go w trąbkę — nie będzie nigdy czyszczony, póki będzie moją własnością!

Wtem jeden z dworzan królowej przerwał ich rozmowę.

— Przysłany jestem—rzekł wpatrując się w nich z uwagą — po tego, który jest bez płaszcza albo ma płaszcz błotem zawalany. Zdaje mi się, że waszmość podobno jesteście tym, którego szukam — dodał obracając się do Waltera. — Zechciej z łaski swojej udać się za mną!

— On tu ze mną przybył, a ja jestem najstarszym koniuszym hrabiego Sussexa! — odezwał się Blount.

— Być może! — odpowiedział posłaniec. — Lecz ja przychodzę z rozkazem od samej królowej, który stosuje się tylko do tego pana.

I odszedł w towarzystwie Waltera, gdy tymczasem oczy Blounta mało mu z głowy nie wyskoczyły ze zdziwienia.

— Proszę uniżenie!—zawołał poglądając za nimi.—Kto by to się spodziewał, że tego trzpiota spotka kiedy takie szczęście?

A wynurzywszy tym sposobem swe uczucia potrząsnął głową z tajemniczą miną, wsiadł na statek i powrócił do Say's Court.

Dworzanin tymczasem prowadził młodego Waltera na brzeg Tamizy nie uchybiając mu w niczym uszanowania, co w podobnym zdarzeniu było dla niego nieomylną wróżbą pomyślnej przyszłości. Wnet zaprosił go do łodzi mającej towarzyszyć królewskiemu statkowi, który już wypłynął na środek rzeki, niesiony przyplływem, na którego brak tak bardzo narzekał przed swymi towarzyszami Blount w podróży do Greenwich.

Dwaj wiosłarze na dany przez dworzanina znak tak mocno robili wiosłami, że po niedługiej chwili zrównali się ze statkiem, gdzie pod rozpiętym baldachimem siedziała królowa z kilkoma damami i wieloma urzędnikami dworu. Spoglądała kilka razy na łódkę zbliżającą się z pięknym młodzieńcem, mówiła coś do otaczających ją osób i zdawała się uśmiechać. Na koniec jeden z dworzan dawszy znak wiosłarzom, aby się zbliżyli, kazał Walterowi przesiąść się na statek królowej, co on równie szybko jak zgrabnie wykonał. Wytrzymał pierwsze spojrzenie królowej z tą śmiałością, która nie mając w sobie nic zuchwałego tym była wdzięczniejsza, że ją miarkowało lekkie zakłopotanie. Płaszcz błotem zwalany, który miał na ramionach, dostarczył królowej tematu do rozpoczęcia rozmowy.

— Zepsułeś dziś piękną suknię dla naszej usługi. Dziękuję ci za tę ofiarę, chociaż sposób ofiarowania był nieco śmiały.

— Śmiałość—odpowiedział młodzieniec—jest powinnością każdego poddanego, gdy idzie o usłużenie królowej!

—Dobrze odpowiedział, milordzie!—rzekła obracając się do poważnej osoby obok niej siedzącej.—Twoja grzeczność, młodzieńcze, nie zostanie bez nagrody. Pójdiesz do naszego szatnego, on ci wyda płaszcz najnowszego kroju w zamian za splamiony w naszej usłudze.

— Nie jest rzeczą sługi rozprawiać o darach pańskich, lecz gdyby godziło się wybierać...

— Chcesz zapewne pieniędzy?—przerwała królowa. — Wstydz się, młodzieńcze! Zgroza wspomnieć, że w naszej stolicy znajduje się tyle sposobności trwonienia pieniędzy na fraszki i zepsucie, iż dawać je młodym jest jedno, co lać oliwę na ogień, co szalonemu miecz w rękę podawać. Jeżeli mi Pan Bóg przedłuży życia i panowania, położę koniec tym zdrożnościom. Lecz może jesteś ubogi, może masz ubogich

rodziców—każę ci wyliczyć pieniędzy, byłeś tylko zdał mi sprawę, na jaki je użytek obrócisz?

Walter czekał cierpliwie, póki królowa nie skończy. Po czym zachowując skromną postawę upewnił ją, że mniej jeszcze potrzebuje pieniędzy aniżeli sukien.

— Ani sukien, ani pieniędzy? Czegóż chcesz przecież?

— Jeżeliby to nie było zbyt śmiałym życzeniem, prosiłbym Najjaśniejsza Pani o pozwolenie noszenia tego płaszcza, który mi dał sposobność wyświadczenia tej małej przysługi.

— Jak to? Pozwolenie noszenia własnego płaszcza? Zastanów się co mówisz.

— Nie jest już moim. Godny książęcia, odkąd dotknęła go stopa królowej — zbyt już stał się drogi dla swego właściciela!

Królowa zarumieniła się znowu i starała się pokryć uśmiechem lekkie pomieszanie i zdziwienie, które nie zdawały się sprawiać jej przykrości.

— Słyszeliście coś podobnego, moi panowie? Czytanie romansów zawróciło mu w głowie. Muszę dowiedzieć się, kto on jest i odesłać go do rodziców! Kto jesteś, młodzieńcze?

— Dworzanin hrabiego Sussexa, wyprawiony przez niego wraz z pierwszym koniuszym w poselstwie do Waszej Królewskiej Mości.

Skoro wyrzekł to nazwisko, miła uprzejmość ustępując przed dumą i surowością znikła z twarzy królowej.

— Lord Sussex — rzekła rozgniewana — lekceważąc nasze poselstwo nauczył nas, jak mamy jego przyjmować. Dowiedziawszy się, że zapadł na niebezpieczną chorobę, wysłaliśmy do niego naszego nadwornego doktora. Nie masz na żadnym dworze europejskim tak uczonego ani tak biegłego w swej sztuce mistrza; ten znamienity człowiek szedł z rozkazu naszego odwiedzić złożonego chorobą jednego z naszych poddanych. I cóż zastał u niego?—Zatoczone działa i żołnierzy uzbrojonych w rusznice, jak gdyby hrabia Sussex mieszkał na pograniczu Szkocji, nie zaś w bliskości naszego dworu. Gdy w imieniu naszym prosił, aby go wpuszczono, otrzymał odmowną odpowiedź. Za takowe odrzucenie przychylności naszej, może zbyt wielkiej, nie przyjmuję żadnego usprawiedliwienia, bo zdaje mi się, że ten jest przedmiot waszego poselstwa.

Te wyrazy takim wymówiła głosem, taką w mówieniu przybrała postawę, że aż zdrżeli przyjaciele Sussexa, lecz ten, do którego były mówione, nie uląkł się bynajmniej. Skoro przeminął pierwszy zapęd gniewu, rzekł z wielką pokorą i uszanowaniem.

— Niech mi się godzi powiedzieć, Najjaśniejsza Pani, że hrabia Sussex nie polecił mi swojej obrony.

— Cóż ci polecił?—zapytała Elżbieta z popędlivością, która wśród wielu szlachetnych przymiotów należała jednak do jej charakteru. — Może cię przysłał z usprawiedliwieniem, a może — o, to by było za wiele! — chce mi dać poznać, że o mój gniew nie stoi?

— Zna lord Sussex, Najjaśniejsza Pani, całą wielkość zbrodni i dlatego o niczym tak bardzo nie myślał, jak ażeby upewniwszy się co do winowajcy, zdać go na łaskę Waszej Królewskiej Mości. Gdy przybył doktor Masters, hrabia spał jeszcze snem twardym po napoju, jaki mu na ten cel przepisał jeden z jego lekarzy, i dopiero dziś rano, gdy się przebudził, dowiedział się o niegrzecznym przyjęciu szanownego posłańca.

— Któż ze sług jego ośmielił się odprawić doktora, co z rozkazu naszego przychodził odwiedzić jego pana w chorobie?— zapytała królowa z jeszcze większym zdziwieniem.

— Winowajca, Najjaśniejsza Pani, stoi przed tobą!— odpowiedział Walter z niskim ukłonem. — Na mnie spada cały ciężar winy i hrabia posłał mię tu umyślnie, abym odpokutował za przestępstwo, o które tak go obwiniać nie można, jak trudno pociągać do odpowiedzialności śpiącego zamiast czuwającego człowieka.

— Ty, młodziku? Więc to ty wypędziłeś z Say's Court mego doktora? Cóż mogło być powodem do takiej śmiałości temu, co zdaje się tak być gotowy na usługi swej królowej?

— Miłościwa Pani! — rzekł Walter, który pomimo surowości dostrzegł coś w twarzy królowej, co nie było wcale podobne do nieprzeblaganego gniewu. — Powiadają w naszym kraju, że doktor jest do pewnego czasu samowładnym panem chorego. Owóż mój pan poddał się pod władzę swego lekarza, który dawszy mu na sen zapowiedział, że z przebudzenia mogłyby wynikać skutki grożące utratą życia.

— Twój pan powierzył się jakiemuś empirykowi?/\* (\* / Wyraz ten pojawił się w medycynie w V w. p. n. e., określa tych, którzy leczą opierając się na doświadczeniu.)

— Nie umiem nic o tym powiedzieć, wiem tylko, że po tym skutecznym napoju ocknął się dziś rano daleko zdrowszy niżeli przed kilku dniami.

Przedniejsi dworzanie spozierali jedni na drugich, lecz nie tyle dla udzielenia sobie spostrzeżeń nad tą wiadomością, jak raczej dla wyrozumienia, jakie wrażenie sprawi na niektórych wieść o wyzdrowieniu hrabiego. Królowa nie ukrywając swego zadowolenia rzekła wesołym głosem:

— Miło nam słyszeć o poprawie zdrowia hrabiego. Lecz ty, młodzieńcze, dałeś dowód zuchwałej śmiałości zamykając drzwi przed naszym doktorem. Czy nie wiesz, że Pismo święte mówi: w mnóstwie rad znajduje się bezpieczeństwo?

— Tak jest—rzekł Walter—lecz słyszałem od uczonych, że bezpieczeństwo, o którym tam mowa, tyczy się bardziej doktorów aniżeli chorego.

— Na honor, nie mam na to odpowiedzi, bo nasza hebrajszczyzna nie zawsze gotowa jest na zawołanie. Jakież twe zdanie, milordzie Lincoln? Czy ten młodzieniec dobrze przytoczył tłumaczenie tekstu?

— Wyraz bezpieczeństwo, Najjaśniejsza Pani — rzekł biskup Lincolnu — bo tak wyłożono, chociaż może nie bardzo trafnie hebrajskie słowo...

— Mówiłam—przerwała królowa—żeśmy zapomnieli hebrajskiego języka.—Lecz wracając do rzeczy, powiedz nam, młodzieńcze, jak się nazywasz i skąd jesteś rodem?

— Nazywam się Raleigh, jestem najmłodszy z całego rodzeństwa, pochodzę z licznej i szlacheckiej rodziny osiadłej w Devonshire.

— Raleigh?—rzekła Elżbieta po chwili namysłu.—Zdaje mi się, że słyszała o zasługach Raleigha w Irlandii.

— Miałem szczęście dokonać tam pewnych skromnych czynów, lecz nie tak wielkich, aby mogły dojść uszu Waszej Królewskiej Mości.

— Słyszają one dalej, niż ci się zdaje—odpowiedziała królowa z wdzięcznym uśmiechem.—Słyszały one o pewnym młodzieńcu, który broniąc w hrabstwie Shannon przed zbuntowanymi Irlandczykami przejścia przez rzekę, zaczerwienił wodę krwią nieprzyjacielską, przelewając przy tym własną.

— Jeżeli przelałem nieco krwi — odpowiedział młodzieniec spuszczać oczy— dopełniłem tylko części powinności, bo wszystka krew w żyłach moich płynie na usługi Waszej Królewskiej Mości.

Królowa zastanowiła się nieco, a potem rzekła:

— Tak walczyć i tak mówić jest nad twoje lata. Lecz dlatego nie wyprosisz się od pokuty za zamknięcie drzwi przed Mastersem — nieborak zaziębił się, bo nasz rozkaz wtenczas go właśnie doszedł, gdy powrócił z Londynu od swoich znajomych i miał sobie za świętą powinność udać się natychmiast do Say's Court. Pamiętajże, panie Raleigh, nie zdejmować tego płaszcza na znak pokuty, póki nie zarządzymy inaczej. A to będziesz nosił na szyi!—rzekła dając mu kosztowny klejnot.

Raleigh, którego natura nauczyła, jak gdyby instynktem, zgadywać sztuki dworskie, które drudzy za ledwie dopiero po długim nabywają doświadczeniu, ukląkł i odbierając upominek ucałował rękę królowej. Wiedział on może lepiej od wszystkich otaczających ją dworaków, jak połączyć uszanowanie winne królowej, z zalotnością należną wdziękowi kobiety i w tej pierwszej próbie tak mu się dobrze udało, że czyniąc zadość próżności, nie ubliżył w niczym dumie monarszej.

Hrabia Sussex odniósł zupełną korzyść z tej rozmowy, w której królowa tyle znalazła upodobania.

— Mości panowie i panie!—rzekła spozierając dokoła na otaczających ją dworzan. — Ponieważ już jesteśmy na wodzie, zdaje mi się, że równie dobrze będzie odłożyć na inny czas naszą podróż do Londynu i zjechać niespodziewanie do hrabiego Sussex. Jest on chory, a może obawa naszego gniewu przyczynia się do jego słabości. Nie byłoby dziełem chrześcijańskiej miłości, gdyby królowa przez wdzięczność za jego wierne usługi sama go pocieszyła w nieszczęściu?

Łatwo domyślić się można, że nikt z obecnych nie śmiał sprzeciwiać się jej woli.

— Wasza Królewska Mość — rzekł biskup Lincolnu—jesteś powietrzem, którym oddychamy.

Wojskowi oświadczyli, że oblicze królowej było kamieniem zaostającym pałasze żołnierzy. Statyści byli zdania, że królowa jest pochodnią oświecającą ścieżki swych doradców. A wszystkie kobiety na to się jednomyślnie zgodziły, że żaden z lordów angielskich nie zasługiwał na jej łaskawsze względy niż hrabia Sussex, nie



umniejszając wszakże zasług Leicestera—dodawali bieglejsi politycy. Kazano zatem zawinąć do Deptford w miejscu najbliższym Say's Court, aby królowa mogła zaspokoić swoją macierzyńską troskliwość o zdrowie hrabiego.

Raleigh, którego bystry dowcip przewidywał ważne skutki z najdrobniejszych przyczyn, prosił królowę, aby mu wolno było się na łódkę i uwiadomić hrabiego o odwiedzinach królewskich, a to dlatego, aby go nie osłabiła niespodziewana radość, tak właśnie jak najzdrowszy i najsmakowitszy napój szkodzi częstokroć znużonemu długim pragnieniem.

Lecz czy to nie podobała się królowej zbyt duża zarozumiałość młodego, który odzywał się ze swoim zdaniem nie będąc o to pytany, czy to własnymi oczami przekonać się chciała, czy istotnie (jak jej to tyle razy mówiono) hrabia otoczył się zbrojnymi żołnierzami, odpowiedziała na propozycję Raleigha dość cierpko, ażeby milczał ze swoją radą, póki go o nią pytać nie będą i ponowiła rozkaz wylądowania w Deptford.

— Zobaczymy przecie, jak lord Sussex gospodaruje w swym domu.

„Boże! Wejrzyj na nich okiem litości!—pomyślał. Raleigh. — Ma hrabia dosyć dobrych serc koło siebie, lecz trudniej tam o dobrą głowę. Jakbym widział, jak ich zastanie. Blount będzie jadł na śniadanie śledzie i piwem popijał, Tracy zajadać będzie swój pudding i ciągnąć reńskie wino, zaś Tomasz Ryce i Evan Evans siedzieć będą nad gruszcanką i smażoną bryndzą—a ona, jak mówią, nie może znieść ostrych zapachów. Żeby przynajmniej domyślili się wykadzić sale rozmarynem. Lecz dziej się wola boża! Trzeba zdać wszystko na ślepe przeznaczenie! Fortuna dziś rano dość miło uśmiechnęła się do mnie! O, gdyby i memu hrabiemu okazała się równie sprzyjająca!" Królowa wysiadłszy w Deptford wśród okrzyków pospólstwa, jakie zawsze jej obecność powodowała, otoczona licznym orszakiem dworzan, szła pod rozpiętym baldachimem do Say's Court, gdzie znowu radosne wiwaty ludu zaniósł do zamku pierwszą wiadomość o jej przybyciu.

Właśnie wtenczas Sussex naradzał się z Tressilianem nad sposobami odzyskania łaski królowej, gdy się dowiedział o jej niespodziewanym przybyciu. Zmieszała go ta wiadomość nie dlatego, aby nie wiedział, że królowa miała zwyczaj odwiedzać przedniejszą szlachtę, lecz że krótkość czasu nie pozwalała mu poczynić przygotowań,

jakie chętnie przyjmowała próżność Elżbiety, a nadto szczęk oręża i zamieszanie panujące w zamku pośród tłumu żołnierstwa czyniły go miejscem wcale niestosownym do przyjęcia królowej. Przeklinając w duchu te wysokie i niespodziewane odwiedziny gotował się zejść na dół z Tressilianem, który mu opowiadał interesującą historię o nieszczęśliwej Amelii.

— Mój przyjacielu! — rzekł do niego. — Możesz być pewny, że ile mi sił stanie, popierać będę twe oskarżenie przeciw Varneyowi, tak ze względu na słusność sprawy jak i z przychylności ku tobie. Okaże się zapewne przy tym zdarzeniu, ile mogę jeszcze u królowej i czy przemawiając za tobą, zamiast polepszenia twej sprawy, jeszcze jej bardziej nie pogorszę.

To mówiąc włożył na siebie obszerną suknię podbitą sobolami szykując się do godnego wystąpienia przed swą monarchinią. Lecz największa staranność w ubiorze nie mogła zatrzeć śladów długiej choroby człowieka, którego natura obdarzyła bardziej mocnym wyrazem twarzy aniżeli urodą. Krępy, barczysty, zdolny podejmować trudy i znoje wojenne, nie należał do tych, na których kobiety zwracają chętnie oko; właśnie dla braku owych przymiotów hrabia Sussex, choć w wielkim zachowaniu u królowej, musiał jednak ustąpić pierwszeństwa Leicesterowi, który układnością obyczajów i niezwykłą urodą wszystkich dworzan przechodził.

Hrabia, pomimo całego pośpiechu, spotkał już królowę w drzwiach przedpokoju i spostrzegł od razu zachmurzone czoło. Widziała ona zbrojne rotty leżące obozem naokoło zamku, widziała dworzan i szlachtę pod bronią i zaraz na wstępie wyraziła swe niezadowolenie.

— Zdawało nam się, milordzie, że jesteśmy w oblężonej twierdzy albo że minąwszy Say's Court wylądowaliśmy w naszej wieży londyńskiej!

Sussex chciał coś powiedzieć na swoją obronę.

— Nie masz potrzeby — rzekła królowa. — Mamy zamiar załatwić jak najspieszniej nieporozumienie zachodzące między tobą, milordzie, a drugim wielkim urzędnikiem naszego dworu, a razem poskromić nadużycia, jakich się dopuszczacie otaczając się zbrojnym ludem i najemnym żołnierstwem, jak gdybyście w bliskości naszej stolicy, ba, nawet pod okiem naszym, sposobili się do wojny domowej. Cieszymy się mocno, żeś przyszedł do zdrowia, chociaż bez pomocy naszego doktora. Nie usprawiedliwaj

się, milordzie — wiemy, jak się to stało i już upomnieliśmy winowajcę. Postanowiliśmy, milordzie, odebrać ci tego sługę i umieścić go na naszym dworze. Ma on przymioty, które zasługując na troskliwsze pielęgnowanie nie mogą rozwinąć się pośród szczęku oręza.

Na takie oświadczenie hrabia uklonił się nisko, chociaż nie wiedział jeszcze, dlaczego królowa interesowała się tak bardzo losem Waltera. Prosił ją potem, aby została na śniadaniu, lecz nie otrzymał łaskawego zezwolenia. Na koniec po kilku zdawkowych oświadczeniach grzeczności, zbyt zimnych w porównaniu ze szczególniejszą łaską spływającą z osobistych odwiedzin, królowa opuściła Say's Court przyniósłszy z sobą zamieszanie i trwogę, a zostawiwszy wątpliwość, obawę i niepokój.

## ROZDZIAŁ XVI

Niech tu staną! Jak ogień gniew Ich niestłumiony.  
Jak otchłań oceanu wściekłość ich głęboka!  
Niech się stawi skarżący, stawi oskarżony,  
Gniewne oko mściwego niech poszuka oka,  
Niech tu staną! Obydwaj będą wysłuchani.

Ryszard II

— Kazano mi stawić się jutro na dworze — mówił Leicester do Varneya — gdzie, jak wnoszę, mam spotkać się z lordem Sussexem. Królowa chce nas pogodzić. Jest to skutek jej podróży do Say's Court, którą, nie wiem dlaczego, tak sobie lekceważysz.

— Bo z tej podróży nic ważnego wyniknąć nie może! — odpowiedział Varney. — Owszem, wiem od pewnej osoby, która słyszała znaczną część ich rozmowy, że Sussex więcej stracił, niżeli zyskał na tych odwiedzinach. Królowa siadając na statek powiedzieć miała, że Say's Court wygląda na obóz albo na szpital wojskowy. „Albo na karczmę w Ram's Alley!” — rzekła hrabina Rutland, która jest zawsze życzliwą waszą przyjaciółką. A biskup Lincolnu chcąc niby uniewinnić Sussexa powiedział, że ponieważ hrabia nie jest jeszcze żonaty, można mu wybaczyć, jeżeli po staroświecku dom swój urządził.

— Cóż na to królowa?

— Od razu go ofukała. Zapytała najprzód, czemu lord Sussex nie mógłby obejść się bez żony i dlaczego lord biskup odzywa się w taki sposób. Potem dodała: „Jeżeli małżeństwo jest dozwolone, nie wyczytałam nigdzie, ażeby było nakazane”.

— Nie lubi ona, żeby duchowni żenili się albo rozprawiali o małżeństwie! — rzekł Leicester.

— A tym bardziej dworzanie — dodał Varney.

Lecz spostrzegłszy nagłą odmianę na twarzy swego pana, dodał zręcznie, że wszystkie kobiety towarzyszące królowej wyśmiały jednogłośnie obozowe porządki zaprowadzone w mieszkaniu Sussexa i wniosły przez porównanie, że hrabia Leicester zupełnie inaczej przyjąłby swą królowę.

— Nazbierałeś wiele ciekawych szczegółów, lecz o jednym bardzo ważnym albo zapomniałeś, albo umyślnie mówić nie chcesz! Przybrała podobno jeszcze jednego do

licznej gromady tych niewieścich satelitów, których lubi utrzymywać wokoło siebie w obrocie.

1— Wasza lordowska mość chce mówić zapewne o tym młodziku z Devonshire, którego teraz na dworze nazywają powszechnie Kawalerem Zamulonego Płaszczka?

— Będzie on niezadługo Kawalerem Podwiązki — odpowiedział Leicester—bo spiesznym postępuje krokiem. -Już deklamują razem wiersze i robią podobne głupstwa. Dziś jeszcze wyrzekłbym się na zawsze jej względów, byle tylko z własnej woli, ale nie dopuszczę nigdy, aby mię miał wytrącić Sus-sex, ten drag nieociosany; albo nowy jakiś kochanek fortuny. Słyszałem także, że Tressilian, który podobno żyje w przyjaźni z Sussexem, przybył teraz do Say's Court. Nie chciałbym mu szkodzić przez wzgląd na... lecz sam się nastęcza, sam szuka swej zguby — a Su,ssex pono wyzdrowiał i tak czerstwo wygląda, jak gdyby nigdy nie chorował.

— Są przeszkody, milordzie, na na j równiejsze j drodze, osobliwie gdy ta prowadzi na wysoką górę. Słabość Sussexa była dla nas darem z nieba zesłanym, w którym wielkie pokładałem nadzieje. Wyszedł on wprawdzie z tego nieszczęścia, lecz dlatego nie jest straszniejszy, bo nim jeszcze zapadł w chorobę, już kilka razy leżał pod nogami silniejszego od siebie współzawodnika. Nie upadaj na duchu, milordzie, a wszystko pójdzie dobrze!

— Nie zbywało mi nigdy na odwadze.

— Wiem o tym, milordzie, ale ona zdradzała cię czasem. Kto chce wleźć na drzewo, nie za kwiat, lecz za gałęzie chwycić powinien.

— Dobrze, dobrze! — zawołał Leicester z niecierpliwością. — Wiem co chcesz przez to powiedzieć. Uzbroję się w męstwo i nie dam się uwieść sercu. Każ przygotować wszystko do wyjazdu, każ mym dworzanom wystąpić tak świetnie i wspaniale, ażeby zaćmili nie tylko żołnierską hałastrę Radcliffa, lecz i dworską służbę najprzedniejszych panów. Niechaj wszyscy uzbroją się należycie, lecz nie dlatego, by mieli przechwalać się lub szukać zaczepki, ale raczej stosownie do zwyczaju. Ty zaś masz się znajdować przy mnie, może cię potrzebować będę.

Hrabia Sussex i jego stronnicy nie mniej spiesźnie czynili przygotowania.

— Twoje oskarżenie przeciw Varneyowi — mówił Sussex do Tressiliana — już dostało się zapewne do rąk królowej; podałem je przez pewne ręce. Zdaje mi się, że

wygrasz sprawę, bo jest oparta na sprawiedliwości i honorze, a Elżbieta tak w jednym jak i drugim może być wzorem. Lecz wyznać potrzeba, że ten cygan (tak zwykł był nazywać swego współzawodnika) ma o czym rozmawiać z nią w tych błogich czasach pokoju. Gdyby zawrzała wojna, może i ja byłbym jej faworytem, ale żołnierz, jak pałasz i tarcza, wychodzi z mody w czasie pokoju, a wtedy zazwyczaj biorą górę atlasowe mankiety i złote obrączki. Jednak gdy taka jest moda, cóż robić? Trzeba się do niej stosować. Hej, Blount! Czy dopilnowałeś, aby mój orszak wystroił się w suknie nowego kroju? Lecz znasz się tyle, podobno, co i ja na tych fraszkach, prędzej potrafiłbyś czaty rozstawić.

— Raleigh — odpowiedział Blount — zajął się tym wszystkim. Twój orszak, milordzie, będzie tak jasny jak pogodny poranek w maju. Co się zaś tyczy kosztów, to oddzielne pytanie. Ubranie dziesięciu pachołków tyle kosztuje, ile założenie szpitala dla tyluż wysłużonych żołnierzy.

— Nie należy myśleć dziś o kosztach — odpowiedział Sussex. — Wdzięczny jestem Walterowi za jego troskliwość, lecz strojąc moich pachołków będzie zapewne pamiętał o tym, że jestem stary żołnierz i że tyle tylko do mody stosować mi się wypada, ile wymaga konieczna potrzeba.

— Nie znam się na tym wcale, milordzie, lecz już zjeżdżają się wasi przyjaciele i krewni dla towarzyszenia wam do dworu, gdzie, jak mam nadzieję, nie złękniemy się spojrzeć w oczy Leicesterowi i jego stronnikom.

— Przykazać ludziom, aby jak najspokojniej sprawowali się wobec przeciwnej strony, aby nie dawali przyczyny i nie rwali się do oręża, chyba w gwałtownej potrzebie. Wiem, że się znajdują między nimi zapalone głowy, nie chciałbym jednak, aby Leicester przez ich nieroztropność otrzymał nade mną przewagę.

Tressilian widząc hrabiego mocno zajętego rozmaitymi rozporządzeniami zaledwie mógł upatrzeć chwilę, w której oświadczył mu, iż nie spodziewał się nigdy, aby w tak krótkim czasie sprawa Hugona tak się posunęła i aby prośba jego dostała się tak prędko do rąk królowej.

— Zdaniem przyjaciół tego nieszczęśliwego ojca—mówił do niego — potrzeba było odwołać się pierwaj do sprawiedliwości Leicesterera, ponieważ przestępstwo popełnione zostało przez jednego ze sług jego i o tym właśnie już nadmienilem.

— Jeżeli tak, można było zrobić to beze mnie — odpowiedział Sussex z wyniosłością.

— Nie u mnie było zasięgać rady, kiedy szło tylko o poniżające odwołanie się do Leicesterera. Nie mogę wyjść ze zdziwienia, aby Tressilian, mój przyjaciel, człowiek niesplamiony żadną podłością, mógł zniżyć się do tak nikczemnego kroku! Jeżeliś mi o tym nadmieniał, nie zrozumiałem cię, gdyż nie mogłem spodziewać się od ciebie takiego wniosku.

— Nie mój to wniosek, milordzie, ja w tej sprawie jestem twego zdania, lecz przyjaciele nieszczęśliwego ojca...

— Ci przyjaciele niech spuszcza się na nas i nam niech pozwolą kierować tą sprawą. Teraz właśnie czas zgromadzić skargi przeciw Leicesterowi i jego zaufanemu, a twoje zażalenie będzie w oczach królowej jednym z najważniejszych. Już poniewczasie, nie można cofnąć zrobionego kroku, bo już ma przed sobą całą tę sprawę.

Tressilian nie mógł przytłumić w sobie podejrzenia, że Sussex chcąc wzmocnić się przeciwko swemu nieprzyjacielowi w tym tylko celu zamyślał popierać przed tronem sprawę Hugona, aby okryć hańbą Leicesterera, nie zważając, czy taki środek sprawi pożądaną w losie Amelii skuteczną. Lecz co się stało, odstać się nie mogło, a hrabia, chcąc uniknąć dalszego roztrząsania tej kwestii, pożegnał swych domowników mówiąc:

— Niech wszystko będzie gotowe na jedenastą godzinę, w południe muszę już być na pokojach!

Gdy dwaj dostojni współzawodnicy, gotowali się z takim niepokojem do bliskiego spotkania, sama Elżbieta lękała się skutków mogących wyniknąć ze starcia się dwóch nieprzyjaciół równie dumnych i równie w gniewie zaciętych, którzy prowadzili ze sobą zbrojne rotę i albo tajemnie, albo otwarcie dzielili między siebie nadzieje i życzenia większej części jej dworzan. Kazano przeto uzbroić się strażę, a nawet sprowadzono Tamizą część załogi londyńskiej. Wydano rozkazy w imieniu królowej, aby nikt pod najsurowszą karą nie ważył się zbliżyć do pałacu z ludźmi zbrojnymi w broń palną i długi oręż, przebąkiwano nawet, że wielki szeryf Kentu odebrał tajemne rozkazy, aby na każde zawołanie miał w pogotowiu część żołnierzy.

Nadeszła na koniec owa straszna godzina, której obie strony z taką wyglądały niespokojnością. Obaj nieprzyjaźni hrabiowie w otoczeniu świetnych pocztów swoich

dworzan i przyjaciół wjechali w południe na dziedziniec królewskiego pałacu w Greenwich.

Czy to za milczącym między sobą układem, czy też, że taka była wola królowej, Sussex ze swoim orszakiem przybył do pałacu wodą, a Leicester łądem. Ta okoliczność, jakkolwiek mało znacząca, nadała ostatniemu przewagę w oczach ludu, bo liczny hufiec sług i domowników Leicestera, hasających na dzielnych rumakach, zaćmił od razu blaskiem okazałości skromny orszak Sussexa, złożony naturalnie z samej tylko piechoty.

Nieprzyjaźni panowie otarli się o siebie nie podawszy dłoni, nie kiwnąwszy głową, a chociaż obaj spoglądali na siebie, żaden jednak nie chciał być pierwszym do powitania i każdy czekał, kiedy go drugi uprzedzi.

Niemal w chwili ich przybycia wybiła dwunasta na zamkowym zegarze. Otwarły się podwoje i obaj lordowie weszli do pałacu w towarzystwie tych tylko dworzan, którym wolno było znajdować się na pokojach królewskich. Inni pozostali na dziedzińcu, gdzie przeciwne stronnictwa obrawszy sobie stanowiska spoglądały na siebie wzrokiem pogardliwym i nienawistnym, zdając się czekać tylko przyczyny do boju albo usprawiedliwienia wzajemnej napaści. Lecz rozkazy dowódców, a bardziej jeszcze obecność liczniejszej daleko straży nadwornej stojącej pod bronią, trzymały ich w ryzach.

Tymczasem znamienitsze osoby z obydwu partii szły jednym szeregiem do wysokich komnat i obszernych przedpokojów królewskiego pałacu jak dwie rzeki, które wpędzone w jedno łożysko zdają się stronić od siebie. Uszykowali się na koniec, jak gdyby wiedzeni instynktem, po przeciwnych stronach przedpokoju i zdawało się, że chcieli się przedzielić granicą nie do przebycia, którą tylko dla ciasnego wejścia naruszyć musieli. Po niedługiej chwili odemknęły się podwoje u końca galerii i oznajmiono, że królowa czeka w izbie posłuchań. Obaj hrabiowie ruszyli razem z miejsca wolnym i wspaniałym krokiem: Sussex prowadził za sobą Tressiliana, Blounta i Raleigha, a Leicester jednego tylko Varneya. Duma Leicestera musiała ulec dworskim przepisom. Z poważnym i ceremonialnym uchyleniem głowy czekał, nim przejdzie Sussex, starszy od niego, ponieważ dawniej mianowany był parem. Sussex odkłonił się z tąż samą ceremonialną grzecznością i wszedł do izby posłuchań.



Tressilian i Blount chcieli wejść za nim, lecz zatrzymał ich odźwierny, tym się tłumacząc, że dzisiaj kazano puszczać tylko wymienione osoby. Raleigh widząc co spotkało towarzyszy cofnął się o kilka kroków, lecz odźwierny rzekł do niego:

— Waćpan możesz wejść. Raleigh wszedł.

— Chodź za mną, Varneyu—rzekł Leicester do swego spoufalonego sługi i zbliżywszy się do drzwi miał już wejść do pokoju, gdy Varney, tuż za nim idący, zatrzymany został przez odźwiernego.

— Cóż to ma znaczyć, panie Bowyer?—rzekł Leicester.— Wiesz, kto jestem i to, że idę z moim dworzaninem i przyjacielem.

— Daruje mi wasza lordowska mość—odparł odźwierny — lecz ściśle otrzymałem rozkazy i ściśle je muszę wykonywać.

— Stronniczy jesteś w pełnieniu swych obowiązków! — rzekł Leicester poruszony gniewem. — Jak śmiesz czynić mi tę obelgę, kiedy przed chwilą wpuściłeś dworzanina hrabiego Sussexa?

— Milordzie; — odpowiedział Bowyer. — Raleigh należy do dworu królowej, jego nie tyczą zakazy.

— Nędzny! Niewdzięczny! — zawołał Leicester. — Pamiętaj, że ten kto cię na tym miejscu postawił, ten potrafi z niego wysadzić i nie pozwoli ci się tu panoszyć!

Pomimo właściwej sobie godności i umiarkowania wymówił tę pogrózkę cierpkim głosem, wszedł do izby i powitał królowę, która w bogatszych niż zazwyczaj szatach, otoczona świetnym gronem wojowników i polityków, których odwaga i mądrość unieśmiertelniały jej panowanie, czekała na przyjęcie hołdu od swych poddanych. Mile przyjęła powitanie ulubionego lorda i spoglądała to na niego, to na Sussexa, jakby gotując się do zaczęcia przemowy, gdy tymczasem Bowyer, nie mogąc przenieść poniżającej obelgi, jaka go spotkała od Leicesterera wobec tylu świadków i w miejscu urzędowania, zbliżył się do tronu z czarną pałeczką i rzucił się do nóg królowej.

— Cóż to znowu?—rzekła Elżbieta.—Zdaje mi się, Bowyer, że nie przystoją w tym czasie podobne grzeczności.

— Najjaśniejsza pani!—rzekł, gdy wszyscy obecni zdziwili się jego śmiałości. — Przychodzę zapytać, czy w pełnieniu mej powinności stosować się mam do rozkazów

Waszej Królewskiej Mości, czyli raczej słuchać hrabiego Leicestera, który w najobelżywszych wyrazach zastraszył mnie publicznie swym gniewem za to, że podług wyraźnych poleceń Waszej Królewskiej Mości nie wpuściłem za nim jego dworzanina?

Ocknął się natychmiast w córce duch Henryka VIII. Przyjąwszy groźną postawę obróciła się do Leicestera z surowym spojrzeniem, na które struchleli hrabia i jego stronnicy.

— Na rany Boga!—zawołała (bo takie było jej ulubione wyrażenie, gdy się mocno uniosła gniewem).—Co to ma znaczyć, milordzie? Mieliśmy dobre o tobie mniemanie i zbliżyliśmy cię do naszej osoby, lecz nie dlatego, abyś zakrywał słońce, które jednakowoś świeci dla wszystkich naszych wiernych poddanych. Kto ci pozwolił sprzeciwiać się naszym rozkazom lub karcie naszych urzędników? Jedną tylko jest pani w tym dworze i całym królestwie i nie potrzebuje współnika władzy. Miej to na uwadze, ażeby Bowyer nie cierpiał na tym, że pełnił wiernie swą powinność, bo inaczej odpowiesz mi srodze, jak jestem chrześcijanką i królową. Idź, Bowyer! Postąpiłeś jak uczciwy człowiek i wierny poddany. Nie ścierpię tego, aby mi kto panował w moim pałacu.

Bowyer ucałował rękę królowej i odszedł na miejsce zdziwiony, że mu się powiodło w tak śmiałym przedsięwzięciu. Uśmiech triumfu rozradował oblicze stronników Sussexa, smutek i pomieszanie ogarnęło leicesterowskich. Sam zaś ulubieniec przybrawszy postawę uniozonej pokory spuścił oczy i ani słowa nie wyrzekł na swoją obronę.

Mądrze to było z jego strony, ponieważ Elżbieta, trzymając się zawsze konsekwentnie polityki, chciała go tylko upokorzyć, nie zaś potępić na zawsze: dlatego roztropnie postąpił, że nie sprzeciwiając się żadną odpowiedzią, pozwolił jej okazać nieograniczoną władzę. Królowa dopełniła, czego od niej wymagała obrażona godność, lecz kobieta wkrótce zaczęła litować się nad ulubieńcem, którego zmartwiła. Wkrótce jej bystre oko spostrzegło tajemne spojrzenia, którymi przyjaciele Sussexa wieszowali sobie odniesionego triumfu, więc i ich także upokorzyć chciała, gdyż nie zgadzało się z jej polityką nadanie jednemu stronnictwu zupełnej nad drugim przewagi.

— Com powiedziała lordowi Leicester — rzekła po chwili zastanowienia — to samo, Sussexie, stosuje się do ciebie, bo i ty także stojąc na czele zbrojnych przyjaciół chcesz staczać walki na dworze angielskim.

— Najjaśniejsza Pani! — odpowiedział Sussex. — Moi przyjaciele staczali walki w Szkocji i Irlandii przeciwko północnym buntownikom, lecz nie wiem dlaczego...

— Cóż to, milordzie, chcesz kłócić się ze mną? — przerwała królowa. — Możesz brać przykład z Leicesterera, jak być skromnym i milczeć, gdy cię gani królowa. Mądre ustawy mego dziada i ojca zabroniły możnym panom przejażdżek po tym cywilizowanym kraju z kupami zbrojnych. Sądzicie, że ich berło przemieniło się w mój rękaw na kądziel, dlatego że noszę czepiec na głowie? Powiadam wam, żaden z monarchów chrześcijańskich nie potrafi lepiej zasłonić od ucisku podwładnych, powściągnąć dumy możnowładztwa i całemu królestwu trwałej zapewnić pomyślności nad tę, co do was obecnie przemawia. Milordzie Leicester i milordzie Sussex, nakazuję wam, ażebyście się pogodzili, bo klnę się na tę koronę, którą noszę, że obaj znajdziecie we mnie strasznego nieprzyjaciela.

— Pani!—odpowiedział Leicester.—Ty, co jesteś źródłem wszelkiego honoru, wiesz dobrze, czego mój honor od innych wymaga. Składam go w ręce twoje i to tylko powiem, że zajścia między mną a hrabią Sussexem nie nastąpiły z mojej przyczyny i że nie pierwiej mógł mnie nazwać swym nieprzyjacielem, aż gdy mię śmiertelnie obraził.

— Co do mnie—rzekł Sussex—wola twoja, pani, jest dla mnie prawem, lecz rad bym, aby lord Leicester powiedział mi czym go tak śmiertelnie obraziłem, nigdy bowiem z ust moich nic nie wyszło, czego bym nie był gotów dowieść z orężem w ręku.

—I ja także—odpowiedział Leicester—szanując zawsze wolę mojej królowej gotów jestem usprawiedliwić orężem moje twierdzenia równie jak każdy, kto się kiedykolwiek pisał Radcliff.

— Milordowie — rzekła królowa. — Takie słowa nie uchodzą w mojej obecności, a jeżeli nie zaniechacie tych kłótni, znajdę środki utrzymania was w karności i posłuszeństwie. Złóżcie więc z serca zawziętość i podajcie sobie prawicę.

Obaj współzawodnicy spoglądali na siebie ze wstrętem, a żaden nie chciał uczynić pierwszego kroku w dopełnieniu woli królowej.

— Sussexie! — rzekła Elżbieta. — Proszę cię, Leicesterze, rozkazuję ci. — Te atoli wyrazy tak wymówiła, że prośba zbliżała się do rozkazu, a rozkaz zdawał się prośbą. Mimo to jednak obaj współzawodnicy trwali jeszcze w zaciętym uporze. Wtenczas królowa obróciwszy się do jednego z urzędników rzekła podniesionym głosem, wyrażającym niecierpliwość i samowładną wolę. — Odstawić kilku żołnierzy z nadwornej straży i przygotować statek na Tamizie. Raz jeszcze ostatni rozkazuję wam puścić w niepamięć dawne urazy, bo—na rany Boga—kto tym rozkazem pogardzi, skosztuje mego chleba w wieży londyńskiej, nim ujrzy kiedyś moje oblicze. Upokorzę ja wasze wyniosłe serca, daję na to słowo królewskie.

— Łatwo znieść można więzienie — rzekł Leicester — lecz nie oglądać oblicza Waszej Królewskiej Mości byłoby stracić życie razem ze światłością niebieską. Sussexie, daję ci rękę!

— I ja daję—rzekł Sussex—na znak pojednania, lecz...

— Bez żadnych warunków, Sussexie! — przerwała królowa.—Teraz właśnie tak jest, jak być powinno—rzekła obrzucając obydwu życzliwym spojrzeniem. — Gdy się pogodzą pasterze, nierównie lepiej dzieje się trzodzie, nad którą dozór jest im powierzony. Mówię wam otwarcie: wasze zatargi otwierały pole do dziwnych nadużyć waszym przyjaciołom i sługom. Milordzie Leicester, masz w swoim domu dworzanina nazwiskiem Varney?

— Tak jest, Najjaśniejsza Pani! Wasza Królewska Mość przypuściłaś go do ucałowania ręki w czasie ostatniej podróży do Nonsuch.

— Przypominam sobie! Dosyć on przystojny, lecz nie zdaje mi się tak piękny, aby panna szlachetnego rodu chciała frymarczyć swą sławą za jego tkliwe spojrzenia. A jednak tak się stało! Ten wasz służalec uwiódł córkę Hugona Robsart z Devonshire i wprowadził ją z ojczystego domu. Cóż to, milordzie? Czyś chory, że tak pobladłeś?

— Nie, Łaskawa Pani! — odpowiedział Leicester i zaledwie mógł zdobyć się na tych kilka wyrazów przy użyciu całej silnej woli.

— Tyś chory?—rzekła Elżbieta zbliżając się do niego z macierzyńską prawdziwie troskliwością. — Zawołajcie Mastersa, zawołajcie nadwornego chirurga, gdzież są ci panowie? Przez ich opieszałość tracimy chlubę i ozdobę naszego dworu. Czyż to być może, Leicesterze — mówiła do niego ze słodkim spojrzeniem — aby bojaźń naszego

gniewu tak cię mocno obeszła? Nie sądź na chwilę, Dudleyu, ażeby chciano strofować cię za uchybienia twych dworzan, wiemy bowiem, że masz co innego na swojej głowie. Kto chce wydrzeć gniazdo orle, nie zważa na tych, którzy łapią makolągwy nad brzegiem przepaści.

— Słyszysz?—szepnął Sussex do Raleigha.—Musi mieć diabła do pomocy. Co by drugiego pograżyło na sto sążni w przepaść morską, posłużyło mu jeszcze do bezpieczniejszej żeglugi. Gdyby tak zrobił który z moich...

— Cicho, milordzie — rzekł Raleigh — na miłość Boga, cicho! Zmieni się niezadługo stan morza, czekajmy, co stąd wyniknie.

Trafne było to spostrzeżenie Raleigha, gdyż Leicester tak się zmieszał, tak załamał pod okropną niepewnością, że Elżbieta spojrzawszy na niego ze zdziwieniem i nie odebrawszy podziękowania za nadzwyczajną łaskę, którą mu okazała, przebiegła jednym rzutem oka cały orszak dworzan, a czytając z ich twarzy coś takiego, co potwierdzało jej obudzone podejrzenia, rzekła porywczo:

— Albo w tej sprawie kryje się coś większego, albo chcesz, milordzie, zataić prawdę przed nami. Gdzież jest ten Varney?

Zawołać go natychmiast. Jest także wzmianka w tej prośbie o jakimś Tressilianie — niech tu obaj staną.

Varney i Tressilian weszli po społu. Varney spojrzął najpierw na Leicesterę, potem na królowę. Na jej czole spostrzegł zbierającą się chmurę, wróżbę bliskiej burzy, a w smętnej twarzy i spuszczonego oku swego pana nie wyczytał żadnej przestrogi, jak ma kierować okrętem, aby nie wpaść na skałę. Z drugiej strony obecność Tressiliana odkryła mu całe niebezpieczeństwo. Lecz Varney równie bezczelny jak pełen forteli równie chytry jak nieuczciwy, a przy tym biegły sternik w czasie nawałnicy, wiedział dobrze o wszystkich korzyściach, jakie go czekały za wyplątanie swego pana z niebezpieczeństwa i uratowanie go od przepaści przed nim otwartej, gdyby to mu się nie udało.

— Czy prawda — rzekła królowa patrząc groźnym wzrokiem, pod którym mało kto nie drżał—żeś uwiódł córkę Hugona Robsart z Lidcote Hall, dobrze urodzoną i wychowaną panienkę?

Varney ukląkł i odpowiedział w postawie pełnej skruchy, że były pewne związki między nim a Amelią Robsart.

Oburzył się Leicester na te wyrazy i na chwilę poczuł w sobie odwagę, by wyrzec się łask dworskich, wystąpić na środek i wyznać tajemnicę swego małżeństwa, lecz spojrzał na Sussexa i sama myśl o triumfującym uśmiechu, który by rozradował jego oblicze w czasie tego wyznania, zawarła mu usta. „Nie teraz przynajmniej — pomyślał. — Nie teraz jeszcze odniesie nade mną tak zupełne zwycięstwo!" I zacisnąwszy usta stanął nieporuszony, pilnie uważając na każde słowo Varneya, postanowiwszy milczeć do ostatniej chwili o tajemnicy, od której zawisło jego szczęście na dworze. Tymczasem królowa pytała dalej Varneya:

— Związki, powiadasz. Jakież to były te związki? Jeżeli ją kochał uczciwą miłością, czemu nie prosiłeś ojca o rękę?

— Nie śmiałem z tym się odezwać — odpowiedział Varney wciąż klęcząc—bo ojciec obiecał ją pewnemu zacnemu młodzieńcowi (muszę oddać tę sprawiedliwość, chociaż wiem, że jest moim wrogiem), którego teraz widzę przed Waszą Królewską Mością!

— Jakże śmiałeś łudzić niewinną dziewczynę i namawiać do sprzeciwienia się woli ojcowskiej?

— Najjaśniejsza Pani! Jak nadaremnie stawać w sprawie ułomności ludzkiej przed sędzią, któremu nieznajoma jej natura, tak na próżno byłoby uniewinniać wykroczenia miłości przed osobą, która jest wyższa nad tę namiętność, a która ją zapala we wszystkich! — dodał po chwili przestanku cichszym głosem.

Elżbieta chciała zmarszczyć czoło, lecz uśmiechnęła się mimo woli i rzekła:

— Co za bezczelność w tym człowieku! Czy zaślubiłeś tę dziewczynę?

Leicester zadrżał znowu i w tej chwili tak dręczące uczucia targaly jego sercem, że zdawało mu się, jakoby jego życie zależało od odpowiedzi Varneya, który rzekł po chwili widocznego namysłu.

— Tak jest, Najjaśniejsza Pani!

— Nikczemniku! — zawołał hrabia wpadając w gniew, lecz oburzenie i osoba królowej nie pozwoliły mu wynurzyć wezbranych myśli.

— Za pozwoleniem, milordzie, ja sama wysłucham obwinionego. Jeszcze nie skończyłam moich zapytań. Twój pan czy wiedział o tym postępku? Mów prawdę,

rozkazuję i przyrzekam zasłonić cię przed następstwami, na jakie by to wyznanie narazić cię mogło.

—Najjaśniejsza Pani!—odpowiedział Varney.—Mówiąc szczerą prawdę, milord był pierwszym do złego powodem.

— Co wyrzekłeś, zbrodniarzu?—zawołał Leicester. Zaiskrzyło się oko i zapłonilo oblicze królowej.

— Kończ, Varneyu — rzekła z pośpiechem — i moich tylko słuchaj rozkazów.

— Te są wszechwładne! — odpowiedział Varney. — Nie masz tajemnicy, której bym nie wyjawiał przed Waszą Królewską Mością, lecz nie chciałbym mówić o rzeczach dotyczących się mojego pana w obecności tylu słuchaczy.

— Oddalcie się na chwilę! — rzekła królowa do otaczających ją dworzan.—A ty mów dalej! Jakimże tedy sposobem hrabia stał się współnikiem tej ohydnej intrygi ? Mów, lecz niech cię Bóg wstrzyma od kłamstwa albo potwarzy!

— Nigdy myśl podobna nie powstała w moim sercu — odpowiedział Varney. — Muszę jednak wyznać, że od niejakiego czasu jakieś dotkliwe a tajemne uczucie dręczy mego pana, odrywa od spraw domowych i nie pozwala mu dawać baczenia na postęпки swych dworzan, których dawniej krótko trzymał. My tymczasem, nie czując nad sobą zwierzchności, dopuszczamy się czynów niekiedy mniej chwalebnych, które, jak w tym przypadku, spadają w części na naszego pana. Gdyby nie to, nie mógłbym dopuścić się uchybienia ściągającego na mnie jego niełaskę, nad którą nie znam cięższej kary oprócz gniewu Waszej Królewskiej Mości!

— I tyle tylko twój pan wpływał na twe wykroczenie?

— Tyle tylko! — odpowiedział Varney. — Lecz, jakem powiedział, jakieś zdarzenie odmieniło go z gruntu od pewnego czasu. Spójrzysz na niego, Najjaśniejsza Pani! Jak błady, jaki drży cały, jak niepodobny do tego, czym był dawniej! Gdzie dawna powaga? Gdzie wspaniałość całej postawy? Czemu miał się lękać mego wyznania? Ach! Najjaśniejsza Pani! Odkąd odebrał ten fatalny pakiecik...

— Jaki pakiecik? Od kogo?—zapytała królowa z żywością.

— Nie wiem od kogo, wiem tylko, że odtąd nosi zawsze na szyi plecionkę z włosów, do której przyłączone jest złote serce, przemawia do niej będąc na osobności, z nią dni i noce przepędza. Żaden poganin nie czcił z takim zapałem swego bożyszczka.

— Musisz być bardzo poufałym, kiedy pozwalasz sobie wypatrywać najdrobniejsze czynności swego pana, a zarazem wielkim gadułą, kiedy śmiesz wydawać przede mną jego najskrytsze tajemnice—rzekła królowa z rumieńcem, ale bez gniewu.—Jakież kolor tych włosów?

— Poeta nazwałby je nićmi ze złotego płótna utkanego ręką Minerwy, lecz moim zdaniem były one jaśniejsze od najczystszej złota, a podobniejsze bardziej do ostatniego promienia zachodzącego słońca w najpiękniejszy wieczór majowy!

— Sam jesteś poetą, panie Varney—rzekła królową z uśmiechem. — Lecz ja nie mam tak żywej imaginacji, abym mogła zrozumieć twoje wyszukane przerośnięcie. Przypatrz się tym damom, czyli nie znajduje się jaka — przy tych słowach zastanowiła się nieco, usiłując przybrać największą obojętność — czy nie znajduje się, mówię, jaka, której by włosy przypominały ci ową plecionkę? Nie wchodząc w miłosne tajemnice twego pana rada bym wiedzieć, jakie włosy podobne być mogą do nici z płótna Minerwy albo—jakżeś tam powiedział—do ostatniego promienia majowego słońca?

Varney oprowadził wzrok po wszystkich niewiastach znajdujących się w komnacie, na koniec z najgłębszym uszanowaniem zatrzymał go na samej królowej.

—Nie znajduję tu—rzekł—żadnych włosów zasługujących na podobne porównanie oprócz tych, na które spojrzeć jest zuchwałością!

— Cóż to ma znaczyć, śmiałku?

— Nic, Najjaśniejsza Pani! — odpowiedział Varney zakrywając twarz obiema rękami.

— Promień majowego słońca zaćmił moje mdłe oczy!

— Oddal się... oddal! — rzekła królowa. — Musisz być doprawdy pozbawiony rozumu! — I odwróciwszy się od niego zbliżyła się do Leicestera.

W czasie tej rozmowy wyteżona ciekawość, połączona z nadzieją, bojaźnią i rozmaitymi namiętnościami poruszającymi dworskie stronnictwa, napełniała serca zebranych. Każdy stał jak wryty, sam nawet oddech chętnie by zatamował, gdyby natura pozwoliła zawiesić na chwilę swe prawa.

Leicester widząc jak pośród tych, co go otaczali, jedni lękając się jego upadku pragnęli jego wyniesienia, drudzy, lękając się wyniesienia, pragnęli jego upadku, zapomniał o tkliwych uczuciach zaprzysiężonej miłości i o niczym więcej nie myślał jak tylko o łasce albo gniewie Elżbiety, zależących od jednego jej skinienia i wierności Varneya.



Zebrał więc naprędce roztargnione myśli i już gotował się do odegrania roli w mającej nastąpić scenie, gdy wyrozumiał ze spojrzeń, które mu królowa posłała, że jakkolwiek mógł być przedmiot jej rozmowy z Varneyem, ostatni jej obrót był dla niego pomyślny. Elżbieta nie utrzymywała go dłużej w wątpliwości, a, granicząca z serdecznym wylaniem miła uprzejmość, z jaką królowa zbliżała się do niego, ogłosiła jego triumf wobec rywala i całego dworu.

— Milordzie! Masz sługę wielkiego gadułę! — rzekła do niego. — Dobrze, że mu nie powierzasz tajemnic mogących zaszkodzić ci u mnie, bo ręczę, żeby mi wszystko wygadał.

— Byłbym winien obrazy Majestatu — odpowiedział Leicester przyklękając na jedno kolano—gdybym co ukrywał przed Waszą Królewską Mością! Chciałbym, pani, otworzyć przed tobą serce moje, abys w nim czytać mogła bez pomocy sług moich!

— Więc nie znajduje się w nim ani jeden kącik, na który chciałbyś rzucić zasłonę? Widzę, że cię miesza to pytanie, lecz wie dobrze twoja królowa, że jej nie wypada zgłębiać pobudek skłaniających jej wiernych poddanych do pełnienia powinności, aby czasem nie odkryła czegoś, co by jej mogło a przynajmniej powinno się nie podobać.

Pokrzepiony tymi ostatnimi słowy Leicester wyraził z zapalem uczucia przywiązania i wdzięczności bez granic, które w tym momencie nie były może zmyślane. Po dręczącej obawie odżyła w nim odwaga i mocna decyzja utrzymania się w łasce królowej. Nigdy nie wydawał się Elżbiecie wymowniejszy, piękniejszy i tkliwszy, jak gdy błagał ją na kolanach, aby mu odjęła wszystkie zaszczyty a zostawiła tylko miano wiernego sługi.

— Odbierz od biednego Dudleya wszystko, coś mu dała ze swej szczodroblowości! Każ mu zostać prostym szlachcicem, jakim był wówczas, gdy po raz pierwszy twoja łaska zaświeciła nad nim! Zostaw mu tylko płaszcz i pałasz, lecz pozwól chlubić się, że posiada życzliwość swej pani i królowej!

— Nie, Dudleyu! — rzekła Elżbieta podnosząc go jedną ręką, a drugą dając do ucałowania. — Nie zapomniała Elżbieta, że wtenczas, kiedy byłeś ubogim szlachcicem, pozbawionym dziedzicznej godności, ona była nie mniej ubogą królową i że w jej sprawie poświęciłeś wszystko, co ci przemoc zostawiła: honor i życie. Powstań, milordzie, powstań i bądź czym byłeś zawsze: podporą i ozdobą naszego

tronu! Twoja królowa może być czasem zmuszona wymówić ci niektóre uchybienia, lecz zawsze oddaje ona sprawiedliwość twym zasługom. Świadczę się wami wszystkimi — rzekła obracając się do dworzan — że hrabia Leicester jest wiernym sługą moim, jakim nie może poszczycić się żaden z monarchów.

Na te słowa powstał między zwolennikami Leicestera zgodny szmer potwierdzenia, któremu stronnicy Sussexa nie śmieli się sprzeciwić. Ze spuszczonej ku ziemi oczyma stali pomieszani, a zarazem zmartwieni publicznym i zupełnym triumfem swych nieprzyjaciół.

Leicester powróciwszy do łaski chciał przede wszystkim zapytać o wolę królowej względem oskarżonego Varneya.

— Choć zasłużył na mój gniew — rzekł do niej — gdyby jednak wolno mi było wstawić się...

— W samej istocie, zapomniałam już o tej sprawie; to wcale niepięknie dla królowej, która winna równy wymiar sprawiedliwości wszystkim bez różnicy poddanym. Dziękujemy ci, milordzie, żeś nam pierwszy przypomniał ten obowiązek. Gdzież jest oskarżyciel? Przywołajcie go.

Tressilian wystąpił z tłumu i skłonił się nisko. Jego wspaniała i szlachetna postawa nie mogła ukryć się przed okiem Elżbiety. Spoglądała nań z uwagą, gdy stał przed nią, niezmiśnany wprawdzie, ale zdjęty smutkiem i żalem głębokim.

— Lituję się nad nim! — rzekła królowa do Leicestera. — Dziś rano dowiedziałam się od tych, co go znają, że to światły człowiek i dobry żołnierz, starczy spojrzeć na niego, aby się o tym przekonać. Jak to my kobiety jesteśmy kapryśne, a czasem nawet dziwaczne w wyborze. Sądząc z powierzchowności powiedziałabym, że twój sługa w niczym z nim porównać się nie może, lecz Varney ma słodziuchne słowa, a kto wie, czy miłość do serca kobiety nie wkrada się przez uszy. Panie Tressilianie! Niczym jest strata jednej strzały, można dlatego strzelać z łuku tak dobrze jak pierwej. Twoja miłość, jak sądzę, prawdziwa, źle odplacona została, lecz jesteś uczonym i wiesz zapewne, że od wojny trojańskiej aż do naszych czasów niejedna była fałszywa Kressyda. Zapomnij o swej kochance i bądź w przyszłości roztropniejszy w wyborze. Mówimy to wam polegając bardziej na zdaniu uczonych pisarzy niżeli na własnym doświadczeniu, bo na stanowisku naszym nieznajome nam są wybryki płochej

namiętności. Co się tyczy ojca uwiedzionej panny, osłodziemy jego strapienie wynosząc jego zięcia do godności, która mu zapewni przyzwoite utrzymanie żony. Nie zapomnimy i o tobie, Tressilianie. Zostań na naszym dworze, a zobaczysz, że wierny Trolus będzie miał prawo do naszej łaski. Przypomnij sobie, co mówi Szekspir o podobnym zdarzeniu; jego fraszki przychodzą mi do głowy, kiedy powinnabym myśleć zupełnie o czym innym. Jakże on tam powiedział? Przypominam sobie:

Wyrok nieba Kressydę oddawał ci w porę,  
Sama węzeł zerwała, któż cię odmówi?  
Lub czemu byś zazdrościć miał Diomedowi,  
Gdy mu tylko złamaną zaprzysięgła wiare.

— Uśmiechasz się, lordzie Southampton? Może moja omylna pamięć skaleczyła wiersze twego ulubionego poety? Lecz dosyć tego, dajmy pokój tym dzieciństwom!

Tressilian stał ciągle przed nią w postawie człowieka, który chciałby być wysłuchany, lecz któremu uszanowanie odzywać się nie pozwalało.

— I czegoś chcesz jeszcze?—zapytała królowa z pewną niecierpliwością. — Panna uczyniła wybór może nienajlepszy, lecz już uczyniła i jest ślubną żoną Varneya.

— Gdyby tak było istotnie—odpowiedział Tressilian— upadłaby tym samym moja sprawa i nadzieja zemsty, lecz chciałbym mieć lepszy dowód niżeli słowo Varneya.

— Gdybyś mi to gdzie indziej powiedział — rzekł Varney—mój pałasz...

— Twój pałasz! — przerwał Tressilian ze wzgardliwym spojrzeniem. — Gdyby mię nie powstrzymywała obecność królowej, pokazałbym ci...

— Stójcie, śmiałkowie!—zawołała Elżbieta.—Zapominacie, gdzie jesteście? Otóż skutek, waszych niezgód, milordowie!— dodała spojierając na Leicestera i Sussexa.— Wasi przyjaciele i słudzy zapatrzwszy się na was swarzą się na mym dworze, a nawet w mojej obecności... Mości panowie: kto mówi o dobytciu pałasza w sprawie nie dotyczącej się mego dobra lub sławy królestwa, będzie nosił żelazne obrączki na rękach i nogach! Ręczę słowem królowej!

Po czym zamilkła na chwilę i zaczęła znowu łagodniejszym tonem.

— Muszę jednak wejrzeć w przyczynę kłótni tych zuchwalców i wymierzyć im sprawiedliwość. Milordzie Leicester, ręczysz mi słowem honoru, że o ile wiedzieć możesz, twój sługa mówi prawdę twierdząc, że pojął za żonę pannę Robsart?

Był to cios śmiertelny dla Leicestera. Posunąwszy się już tak daleko, nie mógł żadną miarą się cofnąć i odpowiedział po chwili namysłu.

— O ile wiem, a wiem z pewnością — Amelia Robsart jest zamężna.

— Najjaśniejsza Pani! — rzekł Tressilian.—Wolnoż mi zapytać, gdzie i kiedy to mniemane małżeństwo...

—Mniemane? Słowo dostojnego hrabiego nie jestże dla ciebie dostateczną rękojmią? Lecz jesteś stroną pokrzywdzoną, a przynajmniej za taką się uważasz, godzien więc jesteś naszego pobłażania, przy wolniejszej chwili rozpoznamy tę rzecz dokładnie. Nie zapomniałeś zapewne, milordzie, że mieliśmy zamiar odwiedzić cię przyszłego tygodnia w twoim zamku Kenilworth. Życzeniem naszym jest, ażebyś także zaprosił do siebie hrabiego Sussexa, naszego dobrego i zacnego przyjaciela.

— Jeżeli dostojny hrabia—rzekł Leicester kłaniając się swemu współzawodnikowi z uprzejmą dwornością — raczy odwiedzić moje mieszkanie, będę to uważał za zaszczyt dla mnie i za dowód szacunku i życzliwości, którymi nas chce pogodzić najwyższa łaska Jej Królewskiej Mości.

Sussex wahał się nieco w odpowiedzi, na koniec rzekł po chwili namysłu:

— Wyszedłszy niedawno z ciężkiej choroby byłbym tylko zawadą w swobodnych rozrywkach.

— Więc tak mocno byłeś chory?—rzekła Elżbieta wpatrując się w niego. — Znacznieś się odmienił i z niemałym zmartwieniem widzę w tobie tę zmianę. Lecz bądź wesołej myśli, sami mieć będziemy staranie o zdrowiu nieoszacowanego sługi, któremu tyle winniśmy. Masters przepisze ci dietę, lecz musisz pojechać z nami do Kenilworth, abyśmy sami dopilnować mogli ścisłego jej dopełnienia.

Te wyrazy tak łagodnym a zarazem zniewalającym wymówiła głosem, że choć Sussex nie chciał jechać w gościnę do swego nieprzyjaciela, musiał jednak skłonić się królowej na znak zezwolenia i oświadczyć Leicesterowi z niechętną uprzejmością, że przyjmuje jego zaprosiny i na dzień naznaczony przybędzie.

Gdy hrabiowie wymieniali wzajemne grzeczności, królowa tymczasem mówiła do swego podskarbiego:

— Zdaje mi się, milordzie, że fizjonomie tych dwóch panów podobne są do dwóch rzek klasycznych, z których jedna jest mętna i ponura, druga przejrzysta i wspaniała.

Mój stary nauczyciel Asham już by gderał na mnie, żem zapomniała nazwiska autora, który o nich wspomina, pewno to będzie Cezar. Patrz, jaka wspaniała cisza osiadła na pogodnym czole Leicestera, gdy tymczasem Sussex zda się dlatego tylko grzecznie do niego przemawiać, aby woli naszej dopełnić.

— Może wątpliwość o względach Waszej Królewskiej Mości—odpowiedział podskarbi—jest przyczyną tej różnicy, która nie uszła jej uwagi, równie bacznej na najważniejsze jak na najdrobniejsze okoliczności!

— Podobne powątpiewanie ubliżałoby naszej sprawiedliwości — odpowiedziała królowa. — Zarówno my szanujemy obydwóch i z najściślejszą bezstronnością podamy obydwom sposobność poświęcenia swych zdolności dla dobra i sławy królestwa, lecz już dosyć chyba sobie powiedzieli. Milordowie, mamy jeszcze do was słowo: pamiętajcie, aby Tressilian i Varney znajdowali się w Kenilworth w czasie naszej bytności, a mając na każde zawołanie Parysa i Menelaja chcemy także widzieć piękną Helenę, której niestałość jest przyczyną ich kłótni. Varneyu, żona twoja powinna być w Kenilworth i stawić się na mój rozkaz. Milordzie Leicester, będziesz czuwał nad dopełnieniem tego.

Hrabia i jego dworzanie skłonili się nisko i spuścili oczy nie śmiejąc spojrzeć na królowę, ani popatrzeć na siebie, gdyż czuli obaj, że zbliżała się chwila, w której sidła i sieci zastawione na drugich ich samych ułowić wkrótce miały. Ale królowa nie spostrzegła ich pomieszania i mówiła dalej.

— Dostojni hrabiowie! Prosimy was, byście wzięli udział w tajnej radzie, gdzie będą roztrząsane rzeczy wielkiej wagi. Potem przejedziemy się dla rozrywki po Tamizie, a wy, milordowie, towarzyszyć nam będziecie. To nam przypomina jedną okoliczność. Panie Kawalerze Zamulonego Płaszczu—rzekła do Raleigha z uśmiechem—pamiętaj, że i do ciebie stosuje się ten rozkaz, ale wprzód każ sobie z naszej szatni wydać nową suknię!

Tak skończyło się owo sławne posłuchanie, w którym Elżbieta, podobnie jak przez całe życie, pogodziła chwilowe kaprysy swojej płci z zimnym rozsądkiem i zdrową polityką, w czym nikt ze współczesnych i później żyjących dorównać jej nie mógł.

## ROZDZIAŁ XVII

Już się stalo! Do podróży!  
Rozpuść żagiel, wznies kotwicę;  
Choć się żywił gniewem burzy,  
Piorun goni błyskawicę,  
Kieruj sterem, pędź po fali,  
Będziem cali! Będziem cali!

Rozbicie okrętu

W krótkiej przerwie między zakończeniem posłuchania i zwołaniem tajnej rady Leicester miał dosyć czasu przekonać się, że dziś rano dopełnił miary swego przeznaczenia.

— Przyświadczywszy uroczyście chociaż w niejasnych wyrazach—mówił sam do siebie—zeznaniom Varneya, nie podobna już wypierać się albo odwoływać raz wyrzeczone słowo bez narażenia się nie tylko na utratę dworskiego faworu, lecz na największą niełaskę królowej, wzgardliwe wyśmiewania mego nieprzyjaciela i całego dworu.

Zatrwożyło go to przekonanie, połączone z trudnością dochowania tajemnicy, od której honor jego i bezpieczeństwo zdawały się zależeć. Podobny był wówczas do człowieka idącego po lodzie załamującym się dokoła i który ratować się tylko może spiesznym i śmiałym do brzegu dążeniem. Musiał teraz przede wszystkim zapewnić sobie wszelkimi sposobami łaskę królowej, której dostąpieniu i utrzymaniu tyle już ze swej strony poświęcił; była to jedyna deska, na której w tak niebezpiecznej burzy mógł dopłynąć do brzegu z rozbitego okrętu. Potrzeba mu było mocniej jeszcze utwierdzić się w łasce Elżbiety i albo pozostać nadal jej ulubieńcem, albo stracić na zawsze majątek i dobre imię. Usunąwszy więc na stronę wszystkie inne względy oddalał od siebie natrętne myśli, które mu przywodziły obraz Amelii i w tym strapieniu tym się tylko pocieszał, że będzie jeszcze dosyć czasu do wywikłania się z tego labiryntu i że sternik widząc przed sobą Scyllę nie powinien myśleć o odleglejszych niebezpieczeństwach Charybdy.

Tak rozmyślając hrabia Leicester zasiadł na tajnej radzie Elżbiety i towarzyszył jej w żegludze po Tamizie, nigdy z większą ostrożnością nie rozwijając swoich talentów jako wytrawny dworak i polityk pierwszego rzędu.

Zdarzyło się, że w owym dniu roztrząsano w radzie sprawę nieszczęśliwej Marii, królowej szkockiej, która wtenczas spędzała w Anglii siódmy rok oplakanej niewoli. Sussex z kilkoma innymi panami, opierając się na prawie narodów i zgwałconej gościnności, obstawał z wielkim zapalem za niewinnością nieszczęśliwej królowej, a mowa jego, choć łagodzona umiarkowaniem, nie mogła podobać się Elżbiecie.

Leicester, broniąc przeciwnego zdania, przekonywał bardzo wymownie, że trzeba było koniecznie trzymać w więzieniu królową szkocką dla dobra kraju, a mianowicie dla bezpieczeństwa świętej osoby Elżbiety, której najmniejszy włos z głowy, jak się wyrażał, powinien być w większej cenie niżeli życie jej współzawodniczki, co, wystąpiwszy już dawniej z błahymi i niesłusznymi pretensjami do korony angielskiej, dotąd jeszcze, nawet za murami więzienia, nie przestaje być przedmiotem nadziei i oczekiwań tak domowych jak i zewnętrznych nieprzyjaciół. Zakończył swoją przemowę prosząc o przebaczenie, jeżeli kogo w ferworze mowy uraził, oświadczając, że bezpieczeństwo królowej było zawsze przedmiotem, który go wyprowadzał z granic umiarkowania.

Elżbieta zganiała go, chociaż nie bardzo ostrymi słowami, że przywiązywał tak wielką wagę do jej osobistego bezpieczeństwa, wyznała jednak, że ponieważ podobało się niebu połączyć jej interes z ogólnym dobrem narodu, uważa przeto za swą powinność obmyślić środki tego bezpieczeństwa, zwłaszcza w obecnych okolicznościach. Jeżeli tedy rada była tego zdania, aby przedłużyć niewolę jej nieszczęśliwej siostry, pochlebiała sobie, że jej nie weźmie za złe, gdy prosić będzie hrabinę Shrewsbury o złagodzenie jej cierpień, tak jednak, aby to w niczym nie sprzeciwiało się rygorowi więziennemu i w ten sposób wyjawiwszy swą wolę, rozpuściła zgromadzenie.

Nigdy ani tak prędko, ani z większą uniżonością nie rozstępowano się przed Leicesterem, gdy wyszedłszy z izby obrad przechodził przez pokoje królewskie wśród licznych orszaku dworzan, nigdy głośniejsze nie krzyczyli odzwierni: „Z drogi, z drogi! Ustąp przed hrabią!” Nigdy z większą gotowością, z uszanowaniem nie słuchano tych rozkazów, nigdy większa liczba dworzan nie zwracała na niego tęsknych oczu dla

ściągnięcia na siebie jego życzliwszego spojrzenia albo przynajmniej przekonania się, że ich rozpoznał wśród tłumu, gdy tymczasem serca pokorniejszych sług drżały między chęcią winszowania, a bojaźnią natrętnego przypominania się tak wielkiemu panu. Cały dwór widział w wypadku dzisiejszego posłuchania, oczekiwanego z taką obawą i wątpliwością, zupełny triumf Leicesterera i uważał za rzecz pewną, że jego współzawodnik, jeżeli nawet nie zostanie całkowicie zaćmiony blaskiem szczęśliwszego satelity, to w każdym razie pozostanie w sferze ciemniejszej i odleglejszej od słońca. Tak myśleli dworzanie od największego do najmniejszego i stosownie do tego postępowali.

Z drugiej strony Leicester nigdy nie był przystępniejszy ani z większą dwornością nie odpowiadał na powitania i powszechnie ukłony, nigdy—jak oświadczył jeden z bliżej koło niego stojących—nie ułowił więcej serc na złotą wędkę.

Miał dla każdego osobny ukłon, uśmiech przynajmniej, a czasem i grzeczne słówko; uszczęśliwił wtedy nimi wielu dworaków, których imiona uniósł od dawna potok niepamięci.

— Witam, panie Poynings! — rzekł przechodząc wśród rozstępujących się dworzan.— Jak się ma żona i piękna córka? Czemuż nie wzięłaś ich z sobą? Jak się masz, Adams? Nic nie wskórałaś swą prośbą. Królowa nie chce już nadawać monopolów, lecz starać się będę usłużyć ci w czym innym. Aldermanie Aylford, ile tylko zdołam moim lichym wpływem, popierać będę sprawę twego miasta.

Lecz przemawiał także i do osób, którym sprawiedliwa potomność przeznaczyła zasłużony wieniec chwały, chociaż je lekceważyli współcześni, dla powołania nie będącego podówczas w wielkim poważaniu.

— Edmundzie Spencer, chciałbym jako przyjaciel muz dopomóc ci w twej prośbie, aleś w swoich pismach przyciął szkaradnie lordowi podskarbiemu.

— Milordzie! — odpowiedział poeta. — Jeżeli mi wolno wytłumaczyć się...

— Odwiedź mię, Edmundzie, nie jutro, nie pojutrze, lecz jak możesz najprędzej. Ach! William Szekspir! Jak się masz? Bodaj cię, mój Willu! Zawróciłaś głowę memu siostrzeńcowi twoją Wenerą i Adonidem, nie może zasnąć bez nich. Każę cię ogłosić za największego czarownika w Europie. Ale, ale! Nie zapomniałem także o twojej sprawie z niedźwiednikami.



Aktor skłonił się, a hrabia schylił głowę i poszedł swoją drogą. Tak mówiono w owym wieku o tym zdarzeniu — dziś powiedziano by, że nieśmiertelny oddał pokłon człowiekowi.

— Cóż, panie Bowyer?—rzekł do odzwiernego.—Dlaczegoż to w kącie się zaszłyś? Czy sądzisz, że się gniewam na ciebie? Uczyniłeś dziś rano, co ci kazała powinność; jeżeli pamiętać będę o naszej zwadzie, to jedynie dla twego dobra.

Potem zbliżyła się do niego wśród licznych ukłonów pocieszna figura mająca na sobie płaszcz z czarnego aksamitu, wyszywany w kwiaty i obszyty karmazynowym atłasem. Pióro kogucie u aksamitnej czapki, którą trzymał w ręku, bufiaste kryzy sztywnie ułożone podług dziwaczного gustu owego wieku, uśmiech przymilny i biegające oczki zdawały się wskazywać człowieka pełnego próżności i niespełna rozumu, gdy znowu pałeczka w ręku i ceremonialne napuszenie zapowiadały, że była to jakaś urzędowa osoba z niemałym dla siebie uznaniem. Wieczny rumieniec, umieszczony nie tyle na chudej twarzy ile na ostrym nosie, był raczej znakiem korzystania z darów życia niż skromności, a sposób w jaki zbliżył się i przemówił do hrabiego przekonał dostatecznie o prawdziwości tego domysłu.

— Dobry wieczór, mości Robercie Laneham! — rzekł Leicester pragnąc odejść i uniknąć dalszej z nim rozmowy. — Czegóż chcesz ode mnie, stróżu drzwi sali obrad?

— Sekretarzu, zapewne chciałeś rzec, milordzie — odezwał się mości Robert Laneham z emfazą.

— Oznaczaj swój obowiązek, jak chcesz, mój łaskawco!— odrzekł lord.—Cóż więc chcesz ode mnie?

— Abyś, milordzie, zachował mię, jak dotąd, w swojej łasce i pozwolił mi przybyć do swego wspaniałego zamku, kiedy królowa znajdować się w nim będzie.

— A to w jakim celu, mości Lanehamie?—zapytał hrabia.—Czy myślisz, że goście moi chcą być koniecznie w licznym towarzystwie?

— Niekoniecznie — odrzekł nalegający — ale myślę, że wasza dostojność chętnie swemu staremu słudze udzieli miejsca i posiłku. Racz rozważyć, milordzie, że w przypadku zwołania rady mógłbym tam być potrzebny z moją pałeczką do odpędzania owych ciekawskich panów, co to zaglądną przez dziurkę od klucza i przykładają uszy

do najmniejszej szczeliny, aby coś zobaczyć lub posłyszeć. Moja pałeczka tak jest potrzebna radzie jak rzeźnikowi klapka na muchy.

— Zdaje mi się, że w umyśle swym szanowną radę porównałeś do muszego gniazda, mości Lanehamie — rzekł lord — lecz nie chcesz go usprawiedliwiać. Jeżeli ci się podoba, możesz przybyć do Kenilworth, będzie tam dosyć błaznów, nie znudzisz się.

— O! Jeżeli będą błazny—rzekł Laneham z wielką wesołością—to ręczę, że się wielce między nimi ubawię, bo żaden chart nie lubi tak igrać z zającem, jak ja uganiać się za głupcem i brać go w obroty. Lecz chcę jeszcze prosić o jedną szczególną łaskę!

— Mów i puszczaj mnie — rzekł Leicester. — Zdaje mi się, że nadchodzi królowa.

— Chciałbym wziąć ze sobą moją małżonkę...

— Co mówisz, łotrze?—zawołał Leicester.

— Przepraszam, milordzie, żądanie moje jest kanonicznie prawne — odpowiedział bez zarumienienia albo raczej wiecznie zarumieniony błazen. — Żona moja ciekawa jest, tak samo jak jej prababka, która zjadła jabłko. Otóż zabierać jej ze sobą nie mogę otwarcie, gdyż królowa zakazuje wyraźnie urzędnikom dworskim włóczyć się z rodziną po kraju, prosiłbym przeto łaski pańskiej, aby jej kazał naznaczyć jaką rolę w balecie lub w maskowych widowiskach, tak żeby po przebranej nikt nie poznał, że jest moją żoną.

—Idźcie oboje do diabła!—zawołał hrabia dotknięty ostatnimi słowy, wzbudzającymi niemile mu przypomnienie.— Po co zastępujesz mi drogę z takimi głupstwami?

Laneham, przerażony tak gwałtownym wybuchem gniewu, wypuścił z rąk ceremonialną laseczkę i patrzył na rozjątrzonego hrabiego okiem głupawego zdziwienia i bojaźni, co wkrótce ułagodziło Leicesterera.

— Chciałem tylko doświadczyć — rzekł do niego — czyli masz śmiałość potrzebną twemu urzędowaniu. Przyjedź do Kenilworth i przywieź z sobą swoją połowicę!

— Moja żona grała już rolę diabła w pewnej sztuce za królowej Marii, lecz brakuje nam małej rzeczy, to jest całego ubioru.

— Masz na ubiór—rzekł Leicester kładąc mu w rękę pieniądze — a odczep się ode mnie.

Gdy odszedł, Robert Laneham dziwił się jeszcze, jakim sposobem mógł go przywieść do takiej złości, potem nachylając się po opuszczone godło urzędu mówił sam do siebie:

— Hrabia Leicester w osobliwym jest dzisiaj humorze, lecz ci, co dają pieniądze, mają prawo wymagać od nas, dowcipniejszych ludzi, abyśmy patrzyli przez szpary na ich dziwactwa, bo, na honor, gdyby pobłażania nie kupowali, dalibyśmy się im we znaki.

Tymczasem Leicester szedł spiesznie przez pokoje królewskie, lecz już bez ukłonów i grzecznych słówek, którymi dotąd tak hojnie szafował i minawszy komnaty napełnione mnogim ludem skrył się w osobnym pokoju, chcąc na ustroniu odetchnąć po tylu trudach.

— Cóż się ze mną stało — mówił sam do siebie — kiedy byle brednie jednego głupca, jednej nędznej istoty, taką mię trwogą przejmują? O, sumienie! Podobne jesteś do czujnego wyżła, którego budzi zarówno szelest myszy jak ryczenie lwa. Nie można by śmiałym jakim postanowieniem wyrwać się z tak ohydneho i przykrego stanu? Cóż? Gdybym rzucił się do nóg Elżbiety, wyznał jej wszystko i błagał o litość?

Gdy tak rozmyślał, odemknęły się drzwi i wpadł Varney wołając:

— Dzięki Bogu, milordzie, że cię znalazłem!

— Podziękuj raczej diabłu, którego jesteś podręcznym.

— Podziękuję, komu zechcesz, milordzie, lecz nie traćmy czasu. Królowa już na statku i pyta się o ciebie.

— Idź! Powiedz, żem zachorował nagle, bo, przysięgam, moja głowa nie potrafi znieść tego wszystkiego.

— Najlepiej pozostać—rzekł Varney z gorzkim uśmiechem—bo już nie masz dla nas miejsca na statku królewskim, właśnie gdy biegłem po was do pałacu, słyszałem, jak wołano Waltera Raleigha, nowego ulubieńca i Tressiliana, naszego dawnego znajomego, żeby zajęli miejsca dla nas przeznaczone.

— Jesteś prawdziwą pokusą! Poddaję się twoim namowom i idę za tobą.

Varney nie odpowiedział słowa. Wyszedłszy naprzód z pałacu szedł nad rzekę, a pan jego jakby machinalnie postępował za nim; potem obejrzawszy się rzekł do niego nakazującym, poufałym tonem:

— Cóż to znaczy, milordzie? Płaszcz spuszczone z ramion, porozpinane suknie, pozwól, niech...

— Co ci do tego? Wtenczas będziesz poprawiał, kiedy ci każe, teraz nie potrzebuję twej pomocy. To mówiąc przybrał znowu władczą postawę, zapanował nad sobą, rozrzucił odzież jeszcze nieporządnie, przeszedł mimo Varneya krokiem zwierzchnika i pana i poszedł drogą ku brzegowi rzeki.

Już miał odpływać statek królowej i już miejsca przeznaczone dla Leicestera z tyłu, a dla jego koniuszego na przedzie przez kogo innego zostały zajęte. Lecz widząc zbliżającego się Leicestera, wioślarze, już odbijając od brzegu, wstrzymali się chwilę, jakby przewidując zmianę mającą nastąpić w starszeństwie miejsc.

Gniewny rumieniec oblał twarz królowej, gdy zimnym tonem, jakim zazwyczaj pan przemawia do podwładnego, kiedy chce ukryć przed nim wewnętrzne poruszenie ubliżające jego godności, wyrzekła te obojętne wyrazy:

— Czekaliśmy na was, milordzie!

— Najjaśniejsza Pani, ty, co umiesz przebaczać ułomnościom, których nie zna twe serce, zechcesz zapewne mieć litość nad uczuciami dręczącymi duszę i ciało. Dziś rano stanąłem przed tobą w postaci oskarżonego, twoja dobroć raczyła uchylić zasłonę potwarzy i wróciła mi honor, a co jest droższym nierównie — łaskawe względy. Nie dziwna więc rzecz, choć dla mnie bardzo niepomysłna, że mój koniuszy zastał mię w takim stanie, iż zaledwie mogłem przywlec się tutaj, gdzie jedno spojrzenie Waszej Królewskiej Mości, choć, niestety, gniewne, zaradziło temu, czemu sam Hipokrat z całą swą umiejętnością nie potrafiłby zaradzić.

— Jak to!—rzekła Elżbieta spozierając na Varneya. — Czy milord był chory?

— Gwałtowne mdłości uderzyły na niego — odpowiedział przebiegły Varney—widać to jeszcze po nieładzie w ubiorze, którego milord nie dał mi poprawić śpiesząc się na zawołanie Waszej Królewskiej Mości.

— Nic nie szkodzi! — rzekła Elżbieta patrząc na Leicestera, któremu natłok miotających nim przed chwilą uczuć gwałtownych więcej jeszcze wdzięków dodawał.

— Zróbcie miejsce dla milorda! Ty, Varneyu, przejdiesz na inny statek, bo już kto inny siadł na twoim miejscu.

Varney skłonił się i wyszedł.

— I ty także, młody Kawalerze Zamulonego Płaszczu — rzekła do Waltera — musisz przesiać się do naszych dam dworskich płynących na innym statku, co się zaś tyczy Tressiliana, nie będziemy go martwili odmianą naszych rozporządzeń, gdyż on dosyć już ucierpiał wskutek dziwactw kobiecych.

Leicester usiadł blisko królowej, Raleigh podniósł się i chciał już odejść, a Tressilian nie przewidując skutków niewczesnej grzeczności już by ustąpił był swego miejsca przyjacielowi, gdyby bystry wzrok Waltera, który, jak się zdawało, dostał się teraz do swego naturalnego żywiołu, nie przestrzegł go, że tak obojętne przyjęcie okazanej mu łaski mogło obrazić królowę. Nic przeto nie mówiąc został na swoim miejscu, gdy Raleigh z głębokim ukłonem i pokornym wzrokiem zabierał się do opuszczenia dostojnego towarzystwa.

Młody dworak, lord Willoughby, wyczytywał z twarzy królowej, jak mu się zdawało, że lituje się nad prawdziwym lub udanym zmartwieniem Waltera.

— Nie przystoi nam, dawniejszym sługom—rzekł uprzejmie — zasłaniać przed młodszymi dobroczynnych promieni słońca. Jeżeli mi pozwolisz, Wasza Królewska Mość, postradam na chwilę to, co jej poddani mają najdroższego, to jest rozkosz oglądania oblicza Najjaśniejszej Pani i odejdę martwić się w świetle gwiazd po chwilowej stracie wspaniałego blasku Diany. Przejdę do dam dworskich płynących na osobnym statku i ustąpię temu młodzieńcowi godzinę szczęścia.

Królowa odpowiedziała tonem na pół poważnym, na pół żartobliwym:

— Jeżeli tak szczerze zachciało ci się nas opuścić, nie możemy temu zaradzić, lecz chociaż powiadasz, że jesteś starym dworakiem, nie powierzemy ci jednak naszych młodych dam dworskich. Twój wiek sędziwy—mówiła dalej z uszczypliwym uśmiechem—zgodzi się lepiej z poważnymi laty naszego podskarbiego, który płynie na trzecim statku i będzie mógł korzystać ze zdrowych rad i przestróg lorda Willoughby.

Takie oświadczenie poszło nie w smak młodemu lordowi, pokrył jednak wesołym uśmiechem swoje niezadowolenie, zaśmiał się, skłonił i przeszedł na statek lorda Burleigh.

Leicester tymczasem, chcąc oderwać umysł od wewnętrznych rozmyślań przez zwrócenie uwagi na to, co się koło niego działo, przysłuchiwał się pilnie całej

rozmowie, ale skoro wioślarze odbili od brzegu, skoro zabrzmiała muzyka z drugiego statku, gdy się dały słyszeć okrzyki mnogiego ludu zebranego na obu brzegach Tamizy, gdy wszystko przypominało mu położenie, w jakim się znajdował, wtenczas przymuszając się do wesołości odwrócił uwagę od otaczających przedmiotów i o niczym innym już nie myślał, tylko o konieczności utrzymania się w łasce królowej, a tak umiejętnie rozwinął swe talenty i wrodzony dar podobania się, że Elżbieta, to znajdując rozkosz w jego dowcipnych odpowiedziach i przyjemnym opowiadaniu, to znowu lękając się o jego zdrowie kazała mu zamilknąć na chwilę, aby go nie osłabiło znowu zbyt silne nateżenie umysłu.

— Milordowie!—rzekła.—Wydawszy wyrok milczenia na naszego hrabiego Leicestera chcemy teraz zasięgnąć waszego zdania w bardzo zabawnym przedmiocie, o którym należy radzić raczej wśród wesołości i odgłosów muzyki niżeli w nastroju powagi naszych zwyczajnych posiedzeń. Któż z was wie o prośbie Orsona Pinnit, dozorca, jak się podpisuje, naszych królewskich niedźwiedzi? Kto staje w jego sprawie?

— Jeżeli mi przemówić wolno — rzekł Sussex — ja stanę w jego obronie. Orson Pinnit był dzielnym żołnierzem, ale pałasze irlandzkiego klanu Mac Donough uczyniły go niezdolnym do boju. Tuszę sobie, że Wasza Królewska Mość będzie, jak zawsze, dobrą panią dla dobrych i wiernych sług swoich.

— Jest to naszym zamiarem, specjalnie dla biednych żołnierzy, którzy za niewielki żołd przelewają krew w obronie ojczyzny. Wolelibyśmy oddać ten pałac królewski na szpital dla nich, aniżeli zasłużyć na nazwisko niewdzięcznej pani, lecz nie o to tu idzie —dodała zmieniając wyniosły ton, obudzony uczuciem patriotyzmu i miłości bliźniego, na łagodny głos żartobliwej rozmowy. — Prośba Orsona nierównie dalej sięga. Skarzy się on, że dla wielkiego upodobania publiczności w widowiskach, a mianowicie dla zapалу, z jakim pospólstwo ciśnie się na sztuki Williama Szekspira (o którym zapewne musieliście cokolwiek słyszeć), walka niedźwiedzi wychodzi powoli z użycia i coraz mniej się podoba, bo ludzie wolą tam się cisnąć, gdzie komedianci zabijają się żartem, niżeli widzieć, jak psy i niedźwiedzie królewskie kaleczą się i zagryzają na śmierć. Cóż mówisz na to, Sussexie?

— Nie spodziewaj się, Najjaśniejsza Pani, aby stary żołnierz chwalił udane utarczki, gdy idzie o porównanie ich z rzetelnymi bitwami, mówiąc to jednak, nie chcę bynajmniej szkodzić Williamowi Szekspirowi. Jest to dzielny mężczyzna, chociaż, jak słyszałem, trochę kulawy. Mówiono mi także, iż porządnie zgromił gajowych Tomasza Lucy Charlecot, gdy wpadł do jego zwierzyńca i pocałował córkę leśniczego.

—Przepraszam, milordzie!—przerwała królowa.—Omawiano w radzie całą tę sprawę, lecz o tym szczególe nie było wzmianki. Ale cóż mówisz o jego sztukach, o jego teatrze, o tym teraz mowa, nie zaś o wejściu do zwierzyńca i pocałowaniu córki leśniczego.

— Nie życzę nic złego temu trefnisiowi. Słyszałem kilka jego wierszy i zdawało mi się, że miały w sobie coś żołnierskiego, lecz zresztą są to same brednie, grubiańskie żarty, nieobyczajne przezwiska, nic poważnego, jak już to sama Wasza Królewska Mość rzekła. Bo czymże jest udana bajka, odegrana przez kilku nicponiów, uzbrojonych w zardzewiałe pałasze, w porównaniu ze wspaniałą walką niedźwiedzi, którą nieraz zaszczyłi swą obecnością Wasza Królewska Mość i jej dostojni przodkowie w tym królestwie, sławnym na cały świat chrześcijański. Obawiać się zaiste należy, aby nie zniknął ten gatunek zwierząt, co jest możliwe, jeżeli ludzie cisnąć się będą do teatru dla słuchania owych sztukmistrzów, co plotą ni w pięć, ni w dziewięć, a przestaną zachęcać do popierania walki niedźwiedzi, która w czasie pokoju jest najbardziej podobna do wojny. Można tam zobaczyć, jak niedźwiedź z maleńkimi oczkami pilnie baczy na wszystkie ruchy brytana, niby biegły wódz, który, przygotowany do obrony, czeka, aż nieprzyjaciel uderzy. A oto występuje Mastiff\*, godny współzawodnik i chwyta wroga za gardło, ale Bruin nauczy go, jak niebezpiecznie wśród szалу zapamiętałej odwagi zapominać o wojennych fortelach, bo po niedługiej chwili porywa go przednimi łapami i tak mocno przyciska do piersi, że mu żebra pękają z trzaskiem podobnym do wystrzału z pistoletu. Lecz nagle wyskakuje drugi brytan, równie śmiały jak pierwszy, ale mądrzejszy, chwyta Bruina za dolną wargę i czepia się jej, a Bruin tymczasem ze strasznym rykiem toczy z pyska pianę, wylewa z siebie potoki krwi i nadaremnie usiłuje pozbyć się wroga. Potem...

\*/ Mastiff — pospolite imię, oznaczające w jęz. ang. gatunek dużych psów, wzięte tu jest za nazwę psa, jak niżej niedźwiedziowi nadana jest nazwa Bruin.

— Na honor! — przerwała królowa z uśmiechem. — Tak doskonale, milordzie, odmalowałeś całą tę utarczkę, że miałam przed oczyma całą walkę niedźwiedzi, choćbym nie była na tym widowisku, na którym tyle razy bywałam i jeszcze będę, jeżeli mi Pan Bóg pozwoli. Lecz któż drugi odezwie się w tej samej sprawie? Cóż powie o tym milord Leicester?

— Czy już mi wolno przemówić?

— Tak jest!—odpowiedziała królowa.— Jeżeli tylko czujesz się na siłach. Gdy jednak wspomnę, że na twym herbie znajduje się niedźwiedź z kijem, zdaje mi się, że wypadaloby dać głos bezstronnemu sędziemu.

— Chociaż, Najjaśniejsza Pani, bratu memu Ambrożemu Warwick i mnie służy za herb godło, o którym wspomnieć raczyłaś, nie jesteśmy jednak dlatego nieprzyjaciółmi bezstronności. Co się tyczy komediantów, powiem na ich obronę, że są to ludzie dowcipni, którzy, bawiąc pospólstwo żartami i baśniami, nie pozwalają mu wtrącać się do spraw publicznych i nadstawiać ucha na buntownicze podszepty, płonne posłuchy i niegodziwe poduszczenia. Kiedy ludzie zbiorą się w teatrze, ciekawi jak Marlow albo Szekspir rozwiążą swoje intrygi, można wówczas być pewnym, że nie będą krytykować poczynań władców.

— Lecz nie chcę ukrywać przed narodem swych postępków, bo im głębiej będą one rozważane, tym uczciwszymi okażą się moje zamiary.

— Słyszałem jednak, Najjaśniejsza Pani — odezwał się dziekan St. Asaph, zapalony purytanin — że ci komedianci nie tylko używają w swych sztukach nieprzyzwoitych i gorszących wyrazów, lecz nawet pozwalają sobie na uwagi dotyczące rządu, jego pochodzenia oraz zadań, co szerzy niezadowolenie wśród poddanych, a nawet podważa zasady ładu społecznego. Z przeproszeniem Waszej Królewskiej Mości, zdaje mi się, że nie godziłoby się pozwalać tym hultajom wyśmiewać pobożnych ludzi, bluźnić, miotać obelgi na starszych i tym sposobem natrzasać się z praw ludzkich i boskich.

— Gdyby to było prawdą — odpowiedziała królowa — nie omieszkalibyśmy ukarać ich przykładnie. Lecz zły to sposób rozumować o jakiejś rzeczy ze względu na same tylko jej wady. Co się tyczy tego Szekspira, sądzimy, że w jego sztukach wiele jest miejsc więcej nierównie znaczących niż dwadzieścia kilka utarczek psów z



niedźwiedziami, a jego Kroniki, jak je nazywa, dostarczyć mogą szlachetnej rozrywki z pożyteczną nauką nie tylko naszym poddanym, lecz i przyszłym pokoleniom.

— Panowanie Waszej Królewskiej Mości — odezwał się hrabia Leicester — i bez tej słabej pomocy zaszczytnie wspominać będzie przez potomnych. A jednak Szekspir ujął w swych sztukach rozmaite zdarzenia szczęśliwego panowania Waszej Królewskiej Mości i pięknym ich wystawieniem osławił i obalił wszystkie zarzuty wielebnego St. Asapha. I tak na przykład jest tam kilka wierszy, chciałbym, żeby tu był teraz mój siostrzeniec Filip Sidney, któremu nigdy one z ust nie schodzą. Jest to rodzaj czarodziejskiej poezji, jest tam mowa o miłości, o strzałach, kołczanach, o... Lecz chociaż są dziwnie piękne, nie mogą jednak opisać godnie przedmiotu, który zbyt zuchwale opiewają. Mój Filip i przez sen je nawet powtarza,

— Zaostrzasz naszą ciekawość, milordzie — rzekła królowa.—Wiemy, że Filip Sidney jest kochankiem muz i to nas bardzo cieszy. Nigdy męstwo piękniejszym nie jaśnieje blaskiem, jak gdy połączone jest ze smakiem i upodobaniem w naukach. Lecz zapewne znajduje się taki między naszymi młodymi dworzanami, który sobie przypomni to, co ważniejsze sprawy wybiły ci z pamięci, milordzie. Panie Tressilianie! Mówiono mi, że jesteś czcicielem Minerwy — czy nie przypominasz sobie tych wierszy?

Tressilian, mając serce ściśnięte boleścią i przyszłość zasepioną czarnymi chmurami, nie mógł żadną miarą skorzystać z nadarzającej się sposobności zwrócenia na siebie uwagi królowej i postanowił ustąpić tych korzyści swemu młodemu przyjacielowi o wysokich ambicjach. Wymówiwszy się przeto słabą pamięcią dodał, iż spodziewa się, że Walter Raleigh umie piękne wiersze, o których napomknął hrabia Leicester.

Na rozkaz królowej Raleigh powstał z miejsca i deklamował sławne widzenie Oberona przyjemnym głosem, dodającym wierszowi wdzięku, i delikatności uczuć.

Widziałem, gdy na niebie lśnił księżyc spokojny,

W blasku jego nad ziemią leciał Kupid zbrojny.

Zatrzymał się, łuk napiął i gotów do walki

Wziął na cel czyste serce królewskiej westalki.

Świsnęła strzała ostrym hartowna żelazem,

Jakby serce sto tysięcy miała przebić razem,

Lecz upadła bez siły przy nogach Diany!  
Płonąc wstydem odleciał Kupid zagniewany,  
A patrząc nań z uśmiechem królewska dziewica  
Unosi wolność serca i spokojne lica!

Raleigh wymówił drżącym głosem dwa ostatnie wiersze, jak gdyby nie był pewny, czy zawarta w nich pochwała będzie mogła podobać się królowej. Jeżeli ta obawa była udana, trafiała do celu, jeżeli prawdziwa, nie miała uzasadnienia. Wiersze te nie były zapewne obce królowej: kiedyż bowiem pochwała ukryć się może długo przed monarchinią, dla której była napisana? Lecz te pochlebne wyrazy tym przyjemniejsze były dla królowej, że przechodziły przez usta Waltera. Równe przeto znajdując upodobanie tak w wierszach, w ich wysłowieniu jak i wdzięcznej, ujmującej postawie deklamującego, Elżbieta wybijała takt ręką przy każdym opadnięciu głosu. Gdy skończył, powtórzyła, jak gdyby przez roztargnienie, ostatnie wiersze:

Unosi wolność serca i spokojne lica!...

i mówiąc te słowa upuściła w Tamizę prośbę Orsona Pinnit, dozorczy królewskich niedźwiedzi, aby znalazła lepsze przyjęcie w Sheernes albo tam, gdzie ją woda zanieśie.

Ubodło Leicestera szczęśliwe wystąpienie młodego dworaka i pobudziło do współzawodnictwa: podobnie stary rumak wyteżę wszystkie siły, gdy go na wyścigach zostawi za sobą młody źrebiec.

Naprowadził tedy rozmowę na widowiska, uczty, uroczystości i osoby, które wtenczas bywały na nich. Mieszał dowcipne spostrzeżenia z lekką ironią, lecz tak umiarkowanie, że jego zdania były równie dalekie od złośliwej potwarzy jak i pochlebstwa. Raz słowem i gestem przedrzeźniał osoby przesadne, to znowu przybierał na siebie postać nieokrzesanego prostaka, a wracając do naturalnego głosu i właściwej sobie układności obyczajów nadawał im tym samym podwójną wartość. Mówił o obcych krajach, ich zwyczajach, dworach, etykietce, modzie, a nawet ubiorze kobiet, a wszystko to mieszał zręcznie z wyrazami uznania dla królowej-dziewicy, jej dworu i rządu. Tak toczyła się rozmowa w czasie małej przejażdżki po Tamizie, którą młodzi dworacy ożywiali wesołymi opowiadaniem, uczeni urozmaicali uwagami nad starożytnymi i nowożytnymi pisarzami, politycy wzbogacali maksymami o sztuce

rządzenia i czystej moralności, łącząc powagę mądrości z lżejszym tonem dworu rządzonego przez kobietę.

Elżbieta powracając do pałacu przyjęła albo raczej wybrała ramię Leicestera i wsparta na nim szła od schodów prowadzących na brzeg Tamizy aż do wielkiej bramy zamkowej. Zdawało mu się nawet (może tylko przez płochę złudzenie imaginacji), że królowa w czasie tej krótkiej przechadzki opierała się mocniej na nim, niżeli wymagała tego niedługa droga.

Zresztą słowa i uczynki Elżbiety okazywały mu jej wysokie względy, o jakich dotąd w najpiękniejszych snach nawet marzyć nie śmiał. Prawda, że i jego współzawodnika uszczęśliwiała czasem grzecznym słowem czy życzliwym spojrzeniem, lecz to wszystko nie zdawało się wynikać ze szczerzej chęci, było raczej wymuszonym przyznaniem jego znamienitych zasług. W opinii wytrawniejszych dworaków te łaskawe względy osłabiło i z gruntu obaliło słówko, które królowa szepnęła do ucha lady Derby, że nie spodziewała się nigdy, aby choroba była tak doskonałym alchemikiem, zmieniając miedziany nos Sussexa na złoty.

Żart ten rozszedł się między dworzanami i hrabia Leicester weselił się z odniesionego triumfu, jak człowiek, dla którego dworski fawor był pierwszym i jedynym celem życia, a odurzony chwilowym szczęściem zapomniał o przykrościach i niebezpieczeństwach własnego położenia. Zaiste rzecz dziwna, że w owym czasie nie tyle myślał o okropnych skutkach, mogących wyniknąć z odkrycia zawartego potajemnie małżeństwa, a raczej o oczywistych dowodach przychylności, które Elżbieta okazywała niekiedy młodemu Walterowi. Były one wprawdzie przemijające, ale okazywane młodzieńcowi, który z urodą łączył zdolności, odwagę i znajomość ojczyściej literatury. Jeden szczególnie wypadek tego wieczoru zwrócił na niego uwagę Leicestera.

Panowie i dworzanie, którzy towarzyszyli królowej w tej przyjemnej wycieczce, zostali zaproszeni na wspaniałą ucztę. Nie zaszczycała jej wprawdzie obecnością sama królowa, bo Elżbieta zawsze dbała o zachowanie skromnych obyczajów, odpowiednich jej wysokiej godności i zwykła była w takich razach jadać sama albo tylko z jedną lub dwiema damami. Po pewnym czasie cały dwór zgromadził się znowu

w pysznych ogrodach pałacu i w czasie przechadzki królowa zapytała obok idącej damy, co się stało z młodym Kawalerem Zamulonego Płaszczka?

— Widziałam go przed chwilą—odpowiedziała lady Paget — przy oknie ogrodowego domku, które wychodzi na Tamizę, piszącego po szkle diamentowym pierścieniem.

— Pierścień ten ma ode mnie w nagrodę za płaszcz, który sobie splamił dziś rano z mojej przyczyny. Chodźmy, Paget, zobaczymy, co tam napisał! Im go lepiej poznaję, tym bardziej podoba mi się jego bystry dowcip i przytomność umysłu.

Poszły obie do domku, za którym ukrył się młody Walter widząc wszystko, a sam nie będąc widzianym, jak ptasznik, który czatuje przy zastawionych siódlach. Królowa zbliżyła się do okna, na którym Raleigh odebrany z jej rąk upominkiem napisał następujący wiersz:

Chciałbym wylecieć w górę, lecz upaść się boję.

Królowa roześmiała się przeczytawszy go dwa razy, raz głośno dla lady Paget, drugi raz cicho dla siebie.

— Dobry początek—rzekła po chwili.—Lecz zdawałoby się, że muza opuściła młodego poetę zaraz na wstępie do zawodu wierszoklety. Będzie to miłosierny uczynek, jeżeli za niego dokończymy wiersza! Nieprawda, lady Paget? Spróbuj, czy nie dobierzesz rymu?

Lady Paget, pisząca tylko prozą i od dzieciństwa tak lubiąca prozę jak żadna dworka przed nią i po niej żyjąca, wymówiła się zupełną niemożnością usłużenia młodemu poecie.

— Więc, jak widzę, na nas kolej zrobić tę ofiarę muzom! — rzekła Elżbieta.

— Czyjeż kadzidło może być dla nich przyjemniejsze? — odpowiedziała Paget.— Wasza Królewska Mość zrobisz wielki zaszczyt bóstwom Parnasu...

— Cicho, cicho, Paget! Bluźnisz przeciwko dziewięciu nieśmiertelnym dziewicom, lecz bóstwa dziewicze, może nie będą nieubłagane dla królowej dziewicy. Przeczytajmy raz jeszcze:

Chciałbym wylecieć w górę, lecz upaść się boję!..

Czy nie dobra byłaby taka rada:

Nie wzlatuj, jeśliś słaby — takie zdanie moje.

Dama dworska krzyknęła z radości i zdziwienia na tak szczęśliwy rym i miała słuszną, bo i gorsze wiersze bywają nieraz chwalone, choć są dziełem mniej dostojnych poetów.

Królowa zachęcona tą pochwałą zdjęła z palca diamentowy pierścień i mówiąc: — Zdziwi się nasz poeta, gdy zobaczy, że go ktoś wyręczył w dobraniu myśli i rymu — napisała pod spodem wiersz dorobiony.

Potem odeszła od okna, a idąc zwolna i oglądając się często spostrzegła młodego Waltera, pędzącego lotem ptaka na to samo miejsce. Stała na chwilę dlatego tylko, jak sama mówiła, aby widzieć skutek swego dowcipu i śmiejąc się z tego zdarzenia udała się wolnym krokiem do pałacu, zalecając pani Paget, aby nie mówiła nikomu o przysłudze uczynionej młodemu wierszoklecie. Lady Paget obiecała dotrzymać tej tajemnicy, lecz łatwo domyślić się można, że zrobiła zaraz w myśli wyjątek dla Leicesterera, któremu opowiedziała natychmiast całe zdarzenie, chociaż nie mogło mu sprawić wielkiej przyjemności,

Tymczasem Raleigh, przeczytawszy z uniesieniem wyrazy skreślone ręką królowej, zachęcające go do nieustawiania w zaczętych zawodzie, upojony szczęściem, zaspokojoną dumą i nadzieją przyszłego wyniesienia, przyłączył się do orszaku hrabiego Sussexa, który już zabierał się do Say's Court.

Uszanowanie należne hrabiemu nie dozwalało dworzanom zapytywać go o przyjęcie, jakiego doznał na dworze, w niepewności wylądowali w Say's Court i rozeszli się na noc po swoich pokojach. Hrabia, także osłabiony jeszcze po ostatniej chorobie i znużony całodziennymi trudami, udał się na spoczynek kazawszy przywołać do siebie Waylanda, który go tak prędko przyprowadził do zdrowia. Ale Wayland nie wiedzieć gdzie się zapodział i gdy jedni szukali go z żołnierską niecierpliwością, przeklinając jego nieobecność, drudzy tymczasem obstąpili młodego Waltera i winszowali mu pięknych widoków otwierających się przed nim na przyszłość.

Sam rozsądek nie pozwalał mu wspominać o wierszu dorobionym przez królowę, lecz inne okoliczności, o których już rozeszła się wieść między jego towarzyszami, naprowadziły ich na myśl, że uczynił już dobry wstęp do pozyskania łaski królowej. Wszyscy spieszyli się ze złożeniem mu powinszowania tak pięknych początków i życzeń najpomyślniejszej przyszłości, jedni ze szczerego serca, drudzy powodowani

nadzieją polepszenia własnego bytu za jego przyczyną, inni na koniec dla obu pobudek i przeświadczenia, że życzliwość okazana jednemu z domowników Sussexa była triumfem dla wszystkich.

Raleigh dziękował uprzejmie, czyniąc tę skromną uwagę, że jak jedna jaskółka nie stanowi lata, tak względy pozyskane w dniu jednym nie mogą być zaręczeniem trwałego szczęścia. Widząc atoli, że Blount nie łączył swoich życzeń z powinszowaniem innych towarzyszy, dotknięty jego oziębłością, zapytał otwarcie o przyczynę milczenia.

Blount odpowiedział z równą szczerością:

— Mój kochany Walterze! Życzę ci wszelkich pomyślności w nowo zaczęтым zawodzie, równie jak ci szczebiotliwi ichmościowie, którzy dlatego tylko nadskakują ci ze swymi życzeniami, że słońce pięknie zabłysło nad tobą. Lecz boję się o ciebie, mój Walterze!—rzekł ocierając oczy.—Boję się o ciebie. Wszak ci nietajno, że chęć podobania się pięknej kobiecie niejednego wyzuła z majątku i niejedną głowę nachyliła pod ostry topór.

To mówiąc wyszedł z pokoju. Raleigh powiódł za nim oczyma, w których malujący się smutek zasępił żywą jego wesołość.

Wtem nadszedł Stanley i rzekł do Tressiliana:

— Milord potrzebuje Waylanda, a Wayland dopiero co przybył i nie chce się z nim widzieć, póki nie pomówi z wami. Coś tak wygląda, jak gdyby od rozumu odszedł, czy nie chcecie go zobaczyć?

Tressilian przeszedł natychmiast do osobnego pokoju, gdzie kazał przyprowadzić Waylanda, a po przybyciu tegoż zdziwił się niezmiernie, widząc wzruszenie malujące się na jego twarzy.

— Cóż to, Waylandzie?—rzekł do niego.—Czyś zobaczył diabła?

— Oj, gorzej jeszcze, mój panie! Sto razy gorzej — widziałem bazyliżka! Dzięki Bogu, że go pierwaj zobaczył i tak nie widząc mnie, nie mógł mi nic złego uczynić.

— W imię nieba! Wytlumacz się jaśniej, nie rozumiem cię wcale!

— Widziałem mego dawnego pana. Mój nowy przyjaciel, z którym tu zawarłem znajomość, zaprowadził mię dziś wieczorem na zegar zamkowy, sądząc, że będę

ciekawo obejrzeć takie dzieło. Otóż niedaleko tego zegara ujrzałem w oknie mego dawnego pana!

— Możesz się omylić, może kogo innego widziałeś?

— Gdziebym tam, u licha, omylił się! Kto raz tylko widział tego człowieka, poznałby go między tysiącami. Prawda, że zakapturzył się dziwnie, lecz choćby przebrał się jak sam diabeł z piekła, nie mógłby ukryć się przede mną, tak jak ja przed nim ukryć bym się nie mógł. Nie chcę jednak nawijać mu się na oczy. Jutro zaraz zemknę stąd przed świtem, bo tak pięknie rozstaliśmy się z sobą, że śmierci chyba jednej mógłbym spodziewać się, gdybym dłużej oddychał tym samym co on powietrzem.

— Lecz hrabia Sussex...

— Już mu się nic złego nie stanie, byle tylko zażywał co dzień na czczo sporządzoną przeze mnie driakiew, oprócz tego wystrzegać się ma recydywy.

— Jakże się jej ustrzec?

— Tak jak pokusy szatańskiej! Niech najprzód takie tylko jada potrawy, które zgotuje jego własny kucharz, a ten niech nabywa korzenie i rozmaite przyprawy tylko u ludzi znanych i pewnych. Niech po wtóre sam marszałek przynosi na stół wszystkie potrawy i sam je pierwej kosztuje wraz z kucharzem i ludźmi usługującymi do stołu. Niech po trzecie nie używa żadnych pachnideł, żadnych olejków, nie jada nigdy ani pije z nieznanymi ludźmi. Niech na koniec i nade wszystko ma się na ostrożności, gdy pojedzie do Kenilworth. Gdyby go tam zapytywano o tak dziwny sposób życia, może zasłonić się chorobą i odpowiedzieć, że mu doktorowie zakazali niektórych potraw.

— A ty, Waylandzie, cóż z sobą zamyślasz?

— Sam nie wiem, w którą zwrócić się stronę. Udam się do Francji, Hiszpanii, Indii Wschodnich albo Zachodnich, byle tylko nie sąsiadować z panem Demetriuszem Doboobiusem czy jak się tam nazywa, bo może podobało mu się teraz przybrać inne nazwisko.

— Tego mi właśnie potrzeba! — odpowiedział Tressilian.— Miałem cię posłać do Berkshire, ale nie w to miejsce, gdzie jesteś znany i uczyniłem to postanowienie wprzód jeszcze nim odkryłeś przyczynę spieszego odjazdu.

Wayland oświadczył, że gotów jest podjąć się tego zlecenia, a Tressilian, wiedząc, że artysta znał po części interes, który sprowadził go do dworu, wyłożył mu całą rzecz,

odkrył umowę zawartą między nim a Goslingiem i opowiedział, co dzisiaj przy królowej zeznał Varney a potwierdził Leicester.

— Widzisz — rzekł w końcu do niego — że okoliczności, w których się teraz znajduję, wymagają, abym miał pilne oko na wszystkie czynności tego łotra Varneya i jego zaufanych Fostera i Lamburna, niemniej jak i na samego Leicestera, który, jak uważam, bardziej oszukuje niż jest oszukiwany w całej tej sprawie. Oto masz pierścień, po którym Gosling pozna, że jesteś przysłany ode mnie, oto masz pieniądze. Dam ci trzy razy tyle, jeżeli tylko będziesz mi wiernie służyć. Ruszaj więc do Cumnor, uważaj, co tam dzieć się będzie i donieś mi o wszystkim.

— Z podwójną rozkoszą dopełnię poleconych mi rozkazów: raz, że służę panu, od którego tyle już zaznałem dobrodziejstw, drugi raz, że mam sposobność wymknąć się od mego dawnego nauczyciela, który jeżeli nie jest diabłem w ludzkiej postaci, to obdarzony jest w mowie, myśli i uczynku wszystkimi diabelskimi przymiotami, jakie kiedykolwiek hańbiły rodzaj człowieczy. A jednak radziłbym mu, żeby nie żartował ze mną, bo teraz ja pierwszy uciekam od niego, ale jeżeli mię ciągle napastować i na oczy nawijać się będzie, być może, że się odwrócę do niego na kształt szkockiego wołu i z rozpaczy złościę zakłuję. Kaźcie mi osiodłać konia, ja tymczasem pójdę do hrabiego i powiem, w jakiej ilości i ile razy na dzień ma zażywać moje lekarstwo. Po czym jego zdrowie zależeć będzie od troskliwości jego przyjaciół i domowników. Już minęło złe, niech teraz będzie ostrożniejszy na przyszłość.

Wayland Smith, przepisawszy hrabiemu sposób zażywania lekarstwa i opowiedziawszy jak się miał, nadal zachowywać, pożegnał się z nim i opuścił Say's Court nie czekając rana.



## ROZDZIAŁ XVIII

Zbliżyła się chwila,  
Gdy z życia swego musisz zdać rachunek ścisły;  
Dobłą wróżbą przyjazne planety zabłyśły.  
Gwiazdy w zwycięskim związku gorejąc na niebie:  
„Teraz masz czas, korzystaj!” — wołają na ciebie.

Schiller, Wallenstein

Leicester powrócił do swego pokoju po ciężkich trudach tego pamiętnego dnia, w którym doświadczywszy wielu przeciwności zawinął na koniec do portu z rozpuszczonymi żaglami: wtedy uczuł znużenie, jakiego doznaje sternik po niebezpiecznej nawałnicy. Nie powiedział ani słowa, gdy szambelan zdejmował z niego bogate szaty i kładł suknię podszytą futrem, a gdy mu powiedział, że Varney chciał z nim pomówić, skinął od niechcienia głową.

Varney wszedł jednak, biorąc to za znak zezwolenia, a szambelan wyszedł do przedpokoju.

Zatopiony w głębokim zamyśleniu i prawie nieruchomo siedział hrabia w krześle ze schyloną głową i łokciem opartym na stole, zdawał się nie widzieć, że jego zaufany wszedł i stał przed nim. Varney, chcąc znowu poznać, jaki był stan człowieka, który w jednym dniu doświadczył tylu gwałtownych wzruszeń, czekał póki sam hrabia nie zacznie rozmowy; lecz daremne było jego oczekiwanie, bo Leicester nie przerywał milczenia, więc Varney musiał przemówić.

— Czy mogę — rzekł — wieszować Waszej Miłości słusznie należnego triumfu, jaki w tym dniu odniosłeś nad swoim najgroźniejszym współzawodnikiem?

Leicester podniósł głowę i rzekł smutnie, ale bez gniewu:

— Varneyu! Ty, co przewrotnością swoją uwikłałeś mnie w sieci podłych i niebezpiecznych kłamstw, wiesz lepiej, czy można wieszować mi tego triumfu.

— Masz mi to za złe, milordzie, że przy pierwszej sposobności nie wyjawiałem tajemnicy, od której twój los zależy i której dochowanie tak często i tak usilnie mi polecałeś? Byłeś, milordzie, obecny, mogłeś zadać mi fałsz i zgubić się wyznaniem prawdy, lecz nie przystało słudze zdradzać pana bez jego wyraźnych rozkazów.

— Nie mogę temu zaprzeczyć, Varneyu — rzekł hrabia podnosząc się i przechodząc po pokoju.—Ambicja zdradziła miłość.

— Powiedz raczej, milordzie, że miłość zdradziła twoją wielkość i zagroziła ci drogę do potęgi i sławy, jaką świat tobie tylko jednemu przeznaczył. Żeby uczynić hrabiną moją dostojną panią, opuściłeś sam sposobność zostania...

Wstrzymał się na te słowa i zdawał się nie chcieć dokończyć zaczętego zdania.

—Zostania czym?—zapytał Leicester.—Wy tłumacz się z tego, Varneyu.

— Królem, a do tego królem angielskim! Mowa taka nie będzie zdradą przeciw królowej, gdyby chciała wybrać dla siebie, czego jej życzą wszyscy poddani, mądrego, wspaniałego i szlachetnego małżonka.

— Zglupiałeś, Varneyu! — odpowiedział Leicester. — Alboż mało mamy przykładów w naszym nawet wieku mogących obrzydzić człowiekowi koronę wziętą z rąk kobiety? Wiadomo każdemu, jaki los spotkał Darnleya w Szkocji.

— Darnleya! Dobrze tak temu osłowi, temu głupcowi, co pozwolił wysadzić się w powietrze, jak rakietę wypuszczoną w dniu świątecznym. Maria dostałaby zupełnie innego męża, gdyby oddała swą rękę szanownemu hrabiemu, przeznaczonemu niegdyś do dzielenia jej tronu, a jej mąż znalazłby w niej żonę godną kochania i uległą we wszystkim jego woli.

— Mogło to wszystko nastąpić, Varneyu — rzekł Leicester i przelotny uśmiech zaspokojonej miłości własnej błysnął na jego smutnej twarzy.—Henryk Darnley nie znał kobiet.! Z Marią nie trudno byłoby człowiekowi znającemu doskonale jej charakter zachować własną godność. Ale co innego z Elżbietą, zdaje się, że Bóg, dając jej serce kobiety, obdarował ją głową mężczyzny dla prostowania błędów niewieścich. Nie, nie, Varneyu, znam dobrze Elżbietę! Przyjmuje ona oświadczenia miłości, nagradza podobnymi swych wielbicieli, rozplywa się w słodkich wierszykach składanych ku jej czci, nawet odpowiada na nie i zalotność aż do wzajemności posuwa, ale przy tym wszystkim, co by dalej mogło nastąpić, śmiałą ręką nil ultra zakreśla. Nie oddałaby ona ani krzty swojej najwyższej władzy za cały alfabet Kupidyna z Hymenem.

— Tym lepiej dla ciebie, milordzie, to znaczy, wtedy jest lepiej, gdy założymy, że takie są jej zamiary; ponieważ sądzisz, że nie podobna ci zostać jej mężem, jesteś i

możesz być nadal jej ulubieńcom, jeżeli tylko nie będziesz światu pokazywał pani cumnorskiego zamku.

— Biedna Amelia! — rzekł Leicester z głębokim westchnieniem. — Ona pragnie tak mocno być uznaną przed Bogiem i ludźmi!

— Ale, milordzie, czy słuszne jest to jej życzenie? Religijnym jej skrupułom stało się już zadość; jest ślubną żoną, kochaną przez męża, który śpieszy umilić jej samotność, ile razy może uwolnić się od ważniejszych obowiązków. I czegoż chce więcej? Pewny jednak jestem, że tak tkliwa, tak czuła kobieta zgodzić się woli na przepędzenie życia w ustroniu cichym, ale o ile miłszym od Lidcote Hall, w którym całą młodość spędziła, aniżeli przedwczesną chęcią dzielenia zaszczytów i wielkości swego męża przyczynić się w najmniejszym stopniu do ich zmniejszenia.

— Jest w tym trochę prawdy — odpowiedział Leicester. — Jej przybycie do zamku, w którym znajdować się będzie królowa, mogłoby pociągnąć za sobą okropne skutki, trzeba jednak sprowadzić ją do Kenilworth, gdyż Elżbieta nie zapomni swoich rozkazów.

— Ja się o to nie troszczę bynajmniej — odpowiedział Varner — bez tego bowiem nie mógłbym wykonać ułożonego już planu, który, jak się spodziewam, zaspokoi królowę i spodoba się mojej dostojnej pani, a przy tym tę fatalną tajemnicę pozostawi zagrzebaną w wiecznej niepamięci. Masz jeszcze co do rozkazania, milordzie?

— Postaw na stole moją szkatułkę i zostaw mnie samego. Bądź na zawołanie.

Po odejściu Varneya hrabia otworzył okno i smutnym wzrokiem błędził długo po gwiazdach jaśniejących na niebieskim sklepieniu, w końcu jakby mimowolnie wymknęły mu się te słowa: — Ach! Nigdy jeszcze bardziej nie potrzebowałem, by niebieskie ciała przyjaznym zajaśniały dla mnie blaskiem, bo ścieżki, którymi chodzę po ziemi, są ciemne i pełne niebezpieczeństw.

Jak wiadomo, wiek ówczesny darzył całkowitym zaufaniem przepowiednie astrologów, a Leicester, choć wolny od wielu innych przesądów, nie różnił się jednak pod tym względem od ludzi swego wieku; owszem, zachęcał i wspierał mistrzów tej mniemanej wiedzy. Zaiste żądza przewidywania przyszłości, wspólna całemu rodzajowi ludzkiemu, między tymi najbardziej jest widoczna, którzy chcą przeniknąć tajemnicę państwa i pędzą życie wśród intryg dworskich. Leicester chcąc przekonać

się, czy kto nie otwierał jego szkatułki i czy zamek nie był naruszony, obejrzał ją starannie ze wszystkich stron, potem otworzył i wyjął najprzód kilka sztuk złota, które rzucił do jedwabnej sakiewki, następnie wziął pergamin pokryty znakami planet, liniami i liczbami używanymi przy układaniu horoskopów, na koniec ogromny klucz, którym, odchyliwszy zasłonę, otworzył drzwi prowadzące na schody ukryte w wewnętrznym wydrążeniu ściany.

— Alasco!—rzekł hrabia głosem podniesionym, ale tyle tylko, aby mógł posłyszeć mieszkaniac małej wieżyczki, do której prowadziły tajemne schody.—Alasco, zejź, proszę!

— Idę, milordzie! — odezwał się ktoś z góry i wkrótce dało się słyszeć stąpanie starego człowieka, schodzącego wolnym krokiem po wąskich schodach. Wszedł wreszcie do pokoju hrabiego.

Był to astrolog; człowiek niskiego wzrostu i w podeszłym już wieku, miał bowiem długą, białą, aż do pasa spadającą brodę i równie siwą głowę. Tylko oczy miał błyszczące, ocienione dużymi, czarnymi, jakby obwisłymi nieco brwiami, które nadawały jego twarzy wyraz pewnej dzikości. Prostacka czerstwość malowała się na policzkach astrologa, a oczy, o których już wspomnieliśmy, błyskały czasem jak oczy szczura bystrym i złośliwym spojrzeniem. Zachowanie się mędrca było nacechowane powagą; tłumacz gwiazd, przybrał nawet ton wyższości, rozmawiając z pierwszym ulubieńcem Elżbiety.

— Nie sprawdziły się, Alasco, twoje przepowiednie—rzekł hrabia, gdy się powitali nawzajem. — On przychodzi do zdrowia!

— Synu mój — odpowiedział astrolog — pozwól sobie przypomnieć, że nie ręczyłem za jego śmierć, musisz wiedzieć, że nie ma przepowiedni dających się odkryć z obrotu ciał niebieskich lub aspektu/\* konstelacji i ich połączenia, których by wola niebios odmienić nie mogła. *Astra regunt homines, sed regit astra Deus.*(Ludźmi rządzą gwiazdy, a gwiazdami Bóg).

\*/ Aspekt — względne położenie planet, Słońca i Księżyca, z którego astrologowie wróżyli przyszłość.

— Jakież więc pożytek z waszych tajemnych umiejętności?

— Wielki, mój synu, bo nam pokazują bieg wypadków naturalny i zbliżony do prawdy, choć zostający zawsze pod wpływem wyższej natury. I tak na przykład: wasza dostojność widzieć może w horoskopie, który raczyłeś podać pod moje rozeznanie, że Saturn, będąc w Szóstym Domu i grożąc Marsowi usuwającemu się do Domu życia, nic innego nie wróży jak długą chorobę, której koniec samej tylko Opatrzności jest wiadomy, chociaż godzi się wnosić z wielkim podobieństwem do prawdy, że i śmierć z niej wyniknąć może. Lecz gdybym wiedział nazwisko tego, o którym mowa, ułożyłbym inny horoskop.

— Jego nazwisko jest tajemnicą. Powiniennem jednak wyznać, że w pewnym względzie ziściła się twoja przepowiednia. Był chory, niebezpiecznie chory, ale nie śmiertelnie. Ułożyłeś mój horoskop wedle wskazówek udzielonych ci przez Varneya? Czy możesz objawić mi, co gwiazdy mówią o moim przyszłym losie?

— Sztuka moja czeka na twe rozkazy. Oto masz, synu, kartę twych przeznaczeń, jaśniejącą równie wspaniałym blaskiem jak te ciała niebieskie, co stanowią o naszych losach, są jednakże wytknięte na niej trudności, przeszkody i niebezpieczeństwa.

— Gdyby inaczej być mogło, nie należałbym do rzędu śmiertelnych. Mów, ojcze i bądź przekonany, że widzisz przed sobą człowieka, który przygotował się na wszystko, co mu gotuje przeznaczenie, a postanowił działać i cierpieć, jak przystoi na szlachetnie urodzonego Anglika.

— Nie dosyć działać i cierpieć, trzeba jeszcze sięgnąć po coś wyższego, bo gwiazdy zdają się przepowiadać dla ciebie okazalszy tytuł i wyższą godność. Do ciebie należy odgadnąć znaczenie tej przepowiedni, tłumaczyć ją nie jest moją rzeczą.

— Wytłumacz ją, zaklinam cię! Wytłumacz ją, rozkazuję ci!—rzekł hrabia, a oczy jego zapałały żywym blaskiem.

— Nie mogę, nie chcę — odpowiedział starzec. — Gniew możnych jest na kształt wściekłości lwa okrutnego. Ale zważ i sądz sam! Oto Wenus wstępuje do Domu Życia i w połączeniu ze Słońcem rozlewając szeroko potoki srebrnej światłości, pomieszanej ze złotym blaskiem, wróży potęgę, bogactwa, dostojęństwa, wszystko, czego tylko pożądać może dumne serce człowieka. Cokolwiek w starożytnym i potężnym Rzymie młody Cezar mógł słyszeć z ust wieszczbiarza wróżącego mu najpomyślniejsze losy,

jest tylko słabym cieniem w porównaniu z tą świetną przyszłością, jaką z tak wspaniałego tekstu mógłbym odsłonić memu ukochanemu synowi.

— Ojczy! Ty żartujesz ze mnie! — rzekł hrabia zdziwiony uniesieniem, z jakim starzec ogłaszał swoje przepowiednie.

— Czyż przystałoby mi żartować? Mnie, który oczyma wpatruję się w niebo, a nogą grobu dotykam? — odpowiedział starzec uroczystym głosem.

Hrabia przeszedł się kilka razy nerwowo po pokoju, jakby gonił za widmem, prowadzącym do sławnych czynów. Gdy się z nagłą obrócił, dojrzał oczy astrologa wlepione w niebo i spod czarnych, nawisłych brwi rzucające złośliwe spojrzenie. Podejrzliwy i wyniosły Leicester wybuchnął gniewem. Z końca obszernego pokoju rzucił się na starca i wtenczas dopiero przystanął, gdy ręką dotknął niemal piersi astrologa.

— Nikczemniku!—zawołał.—Jeżeliś się odważył podejść mię chytrym podstępem, każę cię obedrzeć ze skóry! Wyznaj, że cię przekupiono, abyś mię zdradził i oszukał, żeś oszust, a jam twoją łatwowierną ofiarą!

Zadrzał mędrzec na tę zapalczywość i zmieszał się jak niewinność posądzona o zbrodnię.

— Co znaczy ta gwałtowność, milordzie? Czym mogłem ściągnąć na siebie twój popędliwy gniew?

— Przekonaj mię — rzekł hrabia porywczo — że nie jesteś w zмовie z moimi nieprzyjaciółmi.

— Na okazanie mojej niewinności — odpowiedział starzec z godnością — nie mogę mieć, panie, lepszego dowodu nad ten, jaki sam wybrałeś. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny przesiedziałem w tej wieży pod kluczem będącym u ciebie w schowaniu, w nocy przyglądałem się tymi zbolałymi oczyma obrotowi ciał niebieskich, we dnie suszyłem sobie mózg, wiekiem i pracą sterany, nad ułożeniem rachunków wypadających z ich połączenia. Nie brałem w usta ziemskiego pokarmu, nie słyshałem ludzkiego głosu. Wiedząc dobrze, że inaczej być nie mogło, dlaczegóż posądzasz mię o zмовę z twymi nieprzyjaciółmi? Powiadam ci jednak, ja, który spędziłem dwadzieścia cztery godziny w samotności i rozmyślaniu, że w przeciągu tego czasu twoja gwiazda górowała na horyzoncie i albo nie można dać wiary jasnej księdze

niebios, albo jakaś ważna i stanowcza zmiana zaszła w przeznaczeniach twoich na ziemi. Jeżeli w tym czasie nie zdarzyło się nic takiego, co by posłużyć mogło ku ustaleniu twej władzy albo ku przyczynieniu nowych łask do dawnych względów, tedy jestem oszustem, a ta boska sztuka, co objawiła się ongi na równinach Chaldei, musi być tylko ohydny kuglarstwem.

— Prawda, że byłeś zamknięty, i to także prawda, że w losie moim nastąpiła zmiana, którą, jak mówisz, wyczytałeś z mego horoskopu.

— Skądże ta nieufność, mój synu? — rzekł Alasco przybierając ton napomnienia. — Niebieskie jestestwa brzydzą się niedowiarstwem nawet swoich ulubieńców.

— Uspokój się, mój ojczy! Wyznaję, że się zbłądziłem i nad to wyznanie Dudley nie doda nic więcej na swoją obronę, ani przed śmiertelnym człowiekiem, ani przed niebieskimi władzami, chyba tylko przed Najwyższą Istotą, przed którą wszystko korzy się i upada. Ale wróćmy do naszego przedmiotu. Powiedziałeś, że pośród świetnych widoków pomyślnej przyszłości, jakaś posępna konstelacja jest dla mnie niebezpieczna. Czy twoja sztuka może objawić mi, skąd i za czyją przyczyną mogę być zagrożony?

— Powiem ci, panie, co tylko sztuka moja dozwala mi powiedzieć. Niestety, poparte nieprzyjaznym układem konstelacji, jest dziełem jakiegoś młodzieńca, jak mi się zdaje, rywala, ale czy ten rywal stoi ci na przeszkodzie w miłości, czy w osiągnięciu względów u dworu, tego nie umiem powiedzieć i o tym tylko zapewnić mogę, że zachodnie kraje są jego ojczyzną.

— Zachodnie kraje! Ha! Wystarczy! W tamtych właśnie stronach zbiera się ta niebezpieczna burza! Kornwalia i Devon, Raleigh i Tressilian, jeden z dwóch jest tu wskazany, jednego i drugiego wystrzegać się będę. Ojczy, jeżeli cię obraził, pozwól przynajmniej, abym cię godnie nagroził.

I ze szkatułki stojącej przed nim wyjął sakiewkę napełnioną złotem.

— Oto masz dwa razy tyle, ile ci obiecał Varney. Bądź wiernym, dochowaj powierzonej ci tajemnicy, czyn, co ci każe mój koniuszy i nie żałuj dla mnie wolnych chwil, a zobaczysz, że za to wszystko hojnie i wspaniale zostaniesz wynagrodzony. Hej! Varneyu! Odprowadź tego czcigodnego starca do jego mieszkania, pilnuj, aby mu

na niczym nie zbywało, ale zarazem doglądaj, aby z nikim nie rozmawiał ani się nie widywał.

Varney skłonił się, a astrolog na pożegnanie ucałował rękę hrabiego i wyszedł z koniuszym do drugiego pokoju, gdzie już było przygotowane dla niego wino i posiłek. Astrolog zasiadł do jedzenia, a Varney zamknął drzwi z wielką ostrożnością. Lękając się zaś, aby kto nie ukrył się dla podsłuchania ich rozmowy, sprawdził obicia, po czym usiadł naprzeciw mędrca i zaczął go pytać.

— Czy widziałeś znak, jaki ci dałem pod oknem?

— Widziałem — odpowiedział Alasco, bo takie wówczas przybrał nazwisko — i podług niego sporządziłem mój horoskop.

— I milord zapewne uwierzył bez trudności?

— Nie bez trudności, ale uwierzył. Nadmieniałem także, jak to ułożyliśmy między sobą, o niebezpieczeństwie mogącym wyniknąć albo ze strony wyjawionej tajemnicy, albo młodzieńca z zachodnich krajów.

— Że uwierzy jednej i drugiej przepowiedni, za to nam ręczą jego obawy i jego sumienie. Nie wiem zaiste, czy się znajdzie ktoś drugi, co by stając w takie zawody zachował nierozumne skrupuły. Lubię oszukiwać go dla jego własnego dobra. Ale co się tyczy ciebie, mądry tłumaczu gwiazd, mogę ci więcej powiedzieć o twoim przyszłym losie aniżeli wszystkie astrologiczne rachunki, plany i figury. Zmykaj stąd co żywiej!

— Tego nie zrobię! — odpowiedział Alasco zrzędliwie. — Namęczyciście mię tutaj, wsadziliście do tej przeklętej wieży na cały dzień i noc. Muszę sobie teraz odpocząć, nim zacznę znowu swoje dociekania, ważniejsze trochę od losu jakichś tam dworaków, co wznoszą się i pękają jak bańki na wodzie.

— Jak ci się podoba! — rzekł Varney z tym sardonicznym uśmiechem, który stał się tak charakterystyczny dla jego twarzy i jakim zwykle malarze obdarzają czarta obok innych znamion piekła. — Jak ci się podoba! — powtórzył. — Możesz sobie wypocząć, możesz nawet wziąć się do pracy i czekać, rychło który ze zbirów Sussexa pomaca cię pod żebro sztyletem. Sądzisz, że Sussex nie obiecał sówitej nagrody temu, kto schwyta i przyprowadzi mu tego łotra handlującego truciznami, tego Demetriusza, co to sprzedał jego kucharzowi jakieś drogie przyprawy. A co? Bledniesz? Czy Hali



spozrzedza jakieś nieszczęście w Domu Życia? Słuchaj, co ci powiem: oto wyprawimy cię na wieś, do starego dworu będącego moją własnością, tam sobie żyć będziesz z pewnym prostakiem i przetapiać jego miedziaki na złoto, bo nie wiem, czyby mogła przydać się do czego innego twoja alchemia.

— Kłamiesz, ohydny oszczerco! — rzekł Alasco unosząc się bezsilnym gniewem.— Wiadomo wszystkim, że zbliżyłem się więcej niż którykolwiek z żyjących mędrców do wydobycia złotego pierwiastka. Może nie masz w całym świecie i sześciu alchemików, którzy by poczynili skuteczniejsze przygotowania do odkrycia wielkiej tajemnicy.

— Dajże pokój! Dajże pokój! — rzekł Varney. — Zastanów się, co wygadujesz, człowieku! Czyż nie znamy się obydwoj? Wiem, że tak jesteś biegły w szalbierskiej sztuce, iż oszukawszy połowę rodu ludzkiego, okłamałeś na koniec samego siebie i nie przestając ludzi innych stałeś się igraszką własnej imaginacji. Nie wstydz się, mędrcze, jesteś uczonym, pociesz się tym klasycznym zdaniem: Ne quisquam Ajacem possit superare, nisi Ajax. Tym samym tylko mogłeś oszukać siebie, oszukałeś także całe Bractwo Różokrzyżowców, nikt nie przeniknął lepiej wielkiej tajemnicy, ale nastaw ucha i słuchaj! Gdyby ta podlewa, którąś przyprawił jedzenie Sussexowi, pewniejszy miała skutek, miałbym lepsze wyobrażenie o twojej chemii, którą tak wychwalasz.

— Co za bezczelność, Varneyu! Wielu, co śmie popełnić czyn podobny, nie śmie o nim mówić.

— A wielu znowu, co śmie mówić o nim, nie śmie go popełnić i... ale nie gniewaj się. Nie chcę ja kłócić się z tobą.

Powiedz raczej, jakim u licha sposobem stać się mogło, że ci nie dopisała twoja sztuka w tak ważnej potrzebie.

— Horoskop hrabiego Sussexa — odpowiedział astrolog — zwiastuje mi, że znak wstępnej konstelacji będąc w płomieniach...

— Nie bałamuć, proszę, mój staruszk! Porzuć tę czczą gadaninę! Sądziś może, że masz do czynienia z milordem?

— Przepraszam — i przysięgam, że znam tylko jedno lekarstwo, które mogło wybawić od śmierci Sussexa, a ponieważ nikt w Anglii nie wie o tym lekarstwie, a

części w skład jego wchodzące, osobliwie jedna, tak jest rzadka, że trudno bardzo, a może nie podobna wcale jej dostać, godzi się przeto wnosić, że hrabia winien swe ocalenie mocnemu składowi płuc, że inne żywotne organa tak są w nim mocno zbudowane jak może w żadnym człeku ulepionym z gliny.

— Mówiono, że go kurował jakiś szarlatan — rzekł Varney po chwili namysłu. — Czy jesteś pewny, że nikt w Anglii nie posiada tego ważnego sekretu?

— Za jednego nie ręczę. Miałem sługę niezmiernie ciekawego, kto wie? Może ukradł mi ten sekret. Lecz nie sądz, panie Varneyu, że zdolny jestem ścierpieć natręta, który się wtrąca do mego rzemiosła. Ręczę, że już nie będzie zaglądał więcej do cudzych tajemnic, mocno bowiem przekonany jestem, że został porwany do nieba na skrzydłach ognistego smoka. Niech w Bogu spoczywa! Ale powiedz mi, czy będę miał laboratorium w tym schronieniu, które dla mnie przeznaczasz?

— Nie tylko laboratorium, ale cały magazyn sprzętów, naczyń i innych chemicznych ruchomości, bo wielbny ojciec opat, co przed dwudziestu laty musiał wynieść się z klasztoru, miał całą aparaturę, którą, choć niechętnie, zostawił w spadku swoim następcom. Otóż będziesz tam dmuchał, topił, przetapiał, aż póki zielony smok nie przemieni się w złotą... gęś, ale wasze bractwo ma już jakiś nowszy termin na oznaczenie tej metamorfozy?

— Słusznie mówisz, Varneyu! — rzekł alchemik zaciskając zęby i zgrzytając ze złości. — Słusznie mówisz, wtenczas nawet, kiedy natrząsas się ze wszystkiego, co jest słuszne i sprawiedliwe, bo coś żartem powiedział, może ziścić się, nim się zobaczymy. Jeżeli to jest prawdą, co wyrzekli starożytni mędracy, jeżeli najslawniejsi dziś żyjący uczeni potwierdzili odkrycia, jak potwierdzić należało, jeżeli w Niemczech, Polsce, we Włoszech, w głębi Tartarii, (\*/ Tartaria — Tataria, w wiekach średnich nazwa Azji Środkowej.) wszędzie, gdziekolwiek zawędrowałem w mojej pielgrzymce, byłem przyjmowany jako człowiek, któremu natura odsłoniła swoje najciemniejsze tajniki, jeżeli z żydowskiej kabały wy dobyłem najważniejsze znaki i godła i udoskonałem do tego stopnia, że najbielsza broda synagogi nie powstydziałaby się przed mymi stopami zamieść schody prowadzące do świątyni prawdy, jeżeli tak się rzeczy mają i jeżeli jeden tylko krok, jedno stąpienie przedziela moje długie, zawile i głębokie mozoly od tego źródła niewyczerpanego światła, które mi ukażą naturę

czuwającą nad kolebką swych najdroższych, najszlachetniejszych płodów, jeżeli jeden tylko krok od zależności do najwyższej władzy, od nędzy i ubóstwa do takich bogactw i skarbów, że na zebranie ich nie wystarczyłyby wszystkie kopalnie starego i nowo odkrytego świata — jeżeli, mówię, taki jest zbieg okoliczności — dlaczego nie miałbym poświęcić ostatnich moich dni temu ważnemu odkryciu pewnym będąc, że już niezbyt daleka ta pożądana chwila, kiedy w nagrodę cierpliwej wytrwałości i tylu ciężkich trudów wzniosę się na koniec nad tych pysznych dworaków i ich zauszników, którzy teraz wprzęgli mię w jarzmo niewoli.

— Wybornie, wyśmienicie! — zawołał Varney z właściwą sobie uszczypliwością i gorzkim uśmiechem. — Wszelako całe to zbliżenie się do filozoficznego kamienia nie wywabi jednego szeląga z kieszeni lorda Leicestera, a tym mniej Ryszarda Varneya. Nam potrzeba ziemskich, widocznych usług, co nam do tego, że kogoś tam ułowisz swoją filozoficzną szarlatanerią.

— Varneyu, synu mój! — rzekł alchemik. — Niedowiarstwo zebrane koło ciebie na kształt gęstej mgły przytępiło twoją ostrą przenikliwość na wszystko, co jest kamieniem probierczym dla mędrca, a co jednak dla człowieka szukającego z pokorą środków oświecenia się tak jasną rozwinąć może naukę, że chyba trzeba być ślepym, aby jej nie pojąć. Może ci się zdaje, że sztuka nie ma sposobów uzupełnienia niedokładnego dzieła natury przez utworzenie drogich metalów, tak właśnie jak za pomocą sztucznych środków wydoskonalamy inkubację, krystalizację, destylację i tyle innych pospolitych procesów, przez które budzimy życie w martwym jajku, wysączamy z mętnych drożdży najczystszy i najżywotniejszy pierwiastek i pobudzamy do ruchu skrzeplą substancję płynów.

— Mój panie, nie nowiną dla mnie te piękne rozumowania! — odpowiedział koniuszy, — Pozwól sobie powiedzieć, że nie wyprowadzisz mię w pole, bo serce, moje uzbroiło się w niedowiarstwo przeciw tym przekonywającym dowodom, odkąd wyliczyłem dwadzieścia sztuk dobrego złota (niech go lichy weźmie, dowcip mój był wtedy jeszcze w powijakach), odkąd, mówię, wyliczyłem tych dwadzieścia sztuk dla wydoskonalenia wielkiego dzieła, które, Bogu dzięki, od razu z dymem poszło. Od tego czasu pewny jestem, że gdyby alchemia, astrologia i wszystkie razem wzięte tajemnicze umiejętności, choćby nawet były tak skryte i ciemne jak piekielne

otchłanie, zgromadziły przeciw mnie swoje siły, nie zdołałyby jednak rozwiązać jednego sznurka u mego worka. Nie ręczę wszakże za jedną tylko mannę świętego Mikołaja ani bez niej obejść się mogę. Skoro osiądziesz w mojej wiosce, musisz przede wszystkim wydobyć dla mnie kilka gramów tej mанны, a potem będziesz mógł wyrabiać sobie tyle złota, ile ci się podoba.

— Nic z tego nie będzie — odpowiedział alchemik stanowczym głosem:

— Jeżeli nic z tego nie będzie — rzekł koniuszy — każę cię powiesić za to, żeś jej już tyle wydobył, a tak owa wielka tajemnica byłaby stracona na zawsze dla świata. Nie czyni tej krzywdy ludzkości, mój dobry ojczy, ale poddaj się swemu przeznaczeniu i zmieszaj dla nas jedną albo dwie uncje tej nieoszacowanej przyprawy, która skracając dni jednej tylko albo dwom osobom przedłuży tobie życie, a tym samym postawi cię w możności wynalezienia powszechnego lekarstwa, co uśmierzy od razu wszystkie słabości. Ale bądź dobrej myśli, najczcigodniejszy, najuczeńszy i najposepniejszy ze wszystkich głupców tego świata! Alboż nie powiedziałeś mi, że umiarkowane zażycie tego kordiału sprawia najłagodniejsze skutki nieszkodliwe wcale dla ludzkiej natury, że tylko rodzi omdłałość, ekliwość, ból głowy, niechęć poruszania się i że człowiek po wzięciu pewnej części onego leku podobny jest do ptaka, co nie chce wylecieć z klatki, chociaż mu odemkniemy drzwiczki?

— Tak jest! Powiedziałem i to jest prawda! — rzekł alchemik. — W skutku okaże się coś podobnego, jeśli ptak go zażyje w pewnej proporcji, siedzieć będzie przez całe lato na swej żerdzi, nadęty i ze zwieszoną głową i ani pomyśli o błękitnym sklepieniu albo zielonym gaju, choćby wschodzące słońce jasno świeciło i po lasach rozlegał się wesoły śpiew ptactwa.

— I to wszystko bez narażenia życia? — zapytał Varney z pewną obawą.

— Bez najmniejszego niebezpieczeństwa, byle tylko nie przesadzić miary i byle osoba znająca doskonale własności mанны i jej skutki czuwała z bliska nad symptomami i w razie potrzeby zaradziła podaniem stosownego antidotum.

— Do ciebie to należeć będzie zajęcie się tym wszystkim. Odbierzesz sowitą nagrodę, jeżeli tak dobrze utrafisz ilość i pogodzisz wszystkie okoliczności, iżby zdrowie jej nie poniosło najmniejszego szwanku; w przeciwnym wypadku czeka cię surowa i przykładna kara.

— Jej zdrowie? Więc kobieta będzie przedmiotem naszych kunsztownych zabiegów ?

— Nie kobieta, głupcze, ale ptaszek — odpowiedział Varney. — Wszakżem ci powiedział, że jest to oswojona czeczotka, której rozkoszne ćwierkanie zmiękczyłoby serce samego nawet jastrzębia. Czegoś się tak nastroszył? Czego tak zaiskrzyły ci się oczy? Wiem ja, że twoja broda nie jest tak biała, jak ją uczyniła sztuka, tę jedną przynajmniej potrafiłeś zamienić na srebro. Ale pamiętaj, żebyś nie zalecał się do tej ptaszyny. Ma już ona takiego, co się do niej zaleca i nie ścierpi współnika. Twoją rzeczą będzie mieć nade wszystko staranie o jej zdrowie. Zdarzyć się także może, według wszelkiego prawdopodobieństwa, że ją zaproszą na zabawy do Kenilworth, tymczasem jednak lepiej byłoby, żeby się na nich nie znajdowała. Obejdzie się też bez tego, żeby wiedziała o tym, cośmy tu uradzili i dla jakich przyczyn, gdyż należy się spodziewać, że będzie miała powody, dla których nie zechce pozostać w domu.

— Nic prostszego! — odpowiedział alchemik z dziwnym uśmiechem, bardziej ludzkim niż dotychczasowe roztargnione spojrzenie, które oderwane od wszystkiego co ziemskie zdawało się zagłębiać w poznawaniu rzeczy przechodzących ludzkie pojęcie.

— Prawda! — rzekł Varney. — Dobrze znasz kobiety, chociaż może od dawna nie miałeś z nimi żadnych stosunków. Otóż zgoła nie potrzeba jej sprzeciwiać się, ale też nie należy zezwalać na wszystko, co jej przyjść może do głowy. Powtarzam ci raz jeszcze: obowiązkiem twoim będzie sprawić lekką słabość, mogącą odjąć wszelką chęć do podróży, a zarazem skłonić musisz członków swego uczonego bractwa, którzy mogą być wezwani, żeby zalecili chorej na krok z domu nie wychodzić. Oto wszystko, czego od ciebie wymagamy i za co w swoim czasie odbierzesz sowitą nagrodę.

— Więc nie każecie mi nadwierać Domu Życia?

— Niech Bóg broni i zachowa od tego, bo to pachnie szubienicą!

— Powiedz mi, proszę, czy będę miał ułatwione wszelkie sposoby ucieczki, w przypadku, gdyby odkryto nasze zamysły?

— Wszystko co do jednego, ty niedowiarku boży, co w nic nie wierzysz, tylko jedynie w alchemiczne niepodobieństwa. Za kogóż ty mnie masz, stary kuglarzu?

Alasco powstał z miejsca i wzięwszy świecę ze stołu, udał się ku drzwiom prowadzącym do maleńkiej izdebki, w której miał przepędzić noc. Przy drzwiach obrócił się i powtórzył pytanie Varneya.

— Za kogo cię mam, panie Ryszardzie Varneyu? Za gorszego jeszcze ode mnie szatana. Lecz osiodłałeś mnie, muszę ci być posłuszny, póki nie spełni się chwila mego przeznaczenia.

— Dobrze, dobrze! — odpowiedział Varney z niecierpliwością.—Pamiętaj wstać jutro ze świtem. Może jeszcze nie będziemy potrzebowali twego lekarstwa. Nie czyń nic beze mnie. Michał Lamburn zaprowadzi cię na miejsce twego przeznaczenia.

Varney posłyszawszy, że alchemik zamknął się od środka na rygiel, zbliżył się do drzwi i z równą troskliwością zamknął go z tej strony na kilka spustów, a wyjmując klucz mruczał pod nosem:

— Gorszy od ciebie, wcielony diable, kuglarzu, czarnoksiężniku, fabrykancie trucizn, jeżeli nie zaprzedałeś duszy czartowi, to dlatego jedynie, że czarci brzydzą się takimi sprzymierzeńcami. Jestem śmiertelnym człowiekiem i ludzkimi sposobami staram się dogodzić mym namiętnościom i przeprowadzić moje zamiary. Ty zaś jesteś niewolnikiem piekła. Hej! Lamburn! Chodź no tu! — krzyknął. Wkrótce wszedł Michał zataczając się, twarz miał zaczerwienioną.

—Tyś pijany, łotrze—rzekł doń Varney.

— Bez wątpienia, łaskawy panie!—odpowiedział nie przestraszony Michał. — Obchodziliśmy przez cały wieczór świetność dnia dzisiejszego, piliśmy zdrowie szlachetnego lorda Leicestera i jego czcigodnego koniuszego. Pijany! Na pałasze i puginały! Kto by wzbraniał się wychylić dwadzieścia kielichów przy takiej okoliczności, byłby podłym niedowiarkiem, niegodnym chodzić po świecie. Taki zuchwalec musiałby połknąć sześć cali mego sztyletu!

— Słuchaj, niecnoto! Rozkazuję ci wytrzeźwieć natychmiast. Wiem, że ci to łatwo przychodzi. Jeżeli nie wytrzeźwiejesz mi natychmiast, gorzko będziesz tego żałować! Lamburn spuścił głowę, wyszedł z pokoju i w kilka chwil powrócił z odświeżoną twarzą, uczesanymi włosami, zapiętą szatą i z tak odmienną powierzchownością, jakby przekształcił się w zupełnie innego człowieka.

— Czyś już trzeźwy i czy możesz mnie zrozumieć?—zapytał Varney.

Lamburn kiwnął głową na znak potwierdzenia.

— Wkrótce masz odjechać do Cumnor Place z szanownym doktorem, który śpi w tej tu izdebce. Oto masz klucz od niej, żebyś go mógł obudzić, gdy nadejdzie czas. Weź ze sobą drugiego jeszcze pachołka, któremu by można zaufać. Postępuj z nim grzecznie w czasie podróży, lecz uważaj, żeby ci się nie wymknął. Gdyby chciał uciekać, pal mu w łeb, a ja za ciebie odpowiadam. Dam ci list do Fostera. Umieście doktora na dole, we wschodnim skrzydle. Wolno mu będzie pracować w starym laboratorium i używać wszelkich naczyń w nim się znajdujących. Nie pozwólcie mu widywać się z panią ani mieć żadnych z nią stosunków oprócz tych, na jakie ja sam zezwolę; będzie mógł jednak popisać się czasem przed nią swymi filozoficznymi kuglarstwami. Oczekiwać będziesz w Cumnor Place na moje dalsze rozkazy, ale jeśli ci życie miłe, nie zachodź do karczmy i powstrzymuj się od brzydkiego nałogu pijaństwa. Niech głęboka tajemnica pokrywa wszystkie wasze czynności. Powietrze nawet, którym oddychać będziecie, odgrodzić należy od tego, którym oddychać będą wasi sąsiedzi.

— Rozumiem, rozumiem, czcigodny panie. Skoro świt będę na koniu. Dałeś mi waszmość niezłą naukę i wypuściłeś na wolność. Starać się będę tak postępować, iżbym i pierwszemu zadość uczynił i nie nadużył drugiego.

— Czyń swoją powinność i zasługuj na moją ufność i względy. Poczekaj! Nim odejdiesz, nalej mi kielich wina.—A gdy Lamburn brał do rąk napoczętą flaszkę, którą Alasco zostawił, Varney rzekł:—Nie z tej, przynieś mi świeżego!

Gdy przyniesiono wino, Varney wychylił cały kielich i rzekł idąc do sypialnego pokoju:—Rzecz dziwna! Jeżeli kogo, to mnie najmniej mógł odurzyć swymi szaleństwami, a jednak ile razy spotkam się z tym przeklętym alchemikiem, zawsze mi się zdaje, jakoby do płuc moich zaleciał proszek ulotnionego arszeniku — pah!

To mówiąc wyszedł z pokoju. Lamburn został jeszcze dla pokosztowania nowo zaczętej butelki.

— Na Boga! Z góry świętego Jana!—rzekł przypatrując się i wachając. — Pachnie jak fiołek, lecz nie będę dziś przebierał miarki, żebym później mógł pić ile wlezie. — Wychylił ogromny puchar wody dla ugaszenia pragnienia wznieconego reńskim winem, po czym zbliżył się powoli ku drzwiom, stanął, ale nie mogąc żadną miarą

opanować pokusy zawrócił spiesznie i przytknąwszy do ust butelkę ugasił pragnienie nie używając szklanki ani kieliszka.

— Gdyby nie ten przeklęty nałóg—rzekł wychodząc— mógłbym wynieść się tak wysoko jak sam Varney, ale jak może ten wynieść się, z kim pokój tak tańczy wkoło jak bąk zakrecony na sznurku? Chciałbym, żeby większa była odległość między ręką a gębą lub żeby droga do niej nie była tak równa! Lecz jutro nie będę nic pił oprócz wody—nic oprócz czystej wody!

KONIEC CZĘŚCI I



WALTER SCOTT

KENILWORTH

Część II

NA ZAMKU

ROZDZIAŁ I

PISTOL: Przynoszę ci wesołe i pomyślne nowiny. i ważne nader wiadomości.

FALSTAFF: Proszę cię, udziel nam ich, jako ludziom tego świata!

PISTOL: Diabła wasz ten świat i ludzie na nim! Mówię o Afryce i jej bogactwach.

Szekspir Henryk IV

Sławna karczma pod „Czarnym Niedźwiedziem” w Cumnor, dokąd przenosimy się teraz z naszą opowieścią, mogła pochlubić się tego popołudnia niepospolitym gronem gości, którzy zjechali się do niej, wracając z pobliskiego jarmarku. Liczna grupa osób, znanych już po części naszym czytelnikom, a wśród których kramarz abingdoński poczesne zajmował miejsce, obsiadła ciepły kominek i rozprawiała o nowinach dnia.

Najwięcej zaś zwracał na siebie uwagę gości i przyczyniał się do uprzyjemnienia tego wieczoru jakiś wesoły i krotochwilny człowiek, którego tłumoczek i gruba dębowa laska, opatrzona miedzianymi kolcami, świadczyły, że trudnił się handlem i włóczył się po świecie z kramikiem. Trzeba pamiętać, że kramarze ówczesni byli ludźmi o daleko większym znaczeniu niż znikczemni kramarze naszych czasów. Dzięki tym wędrującym filozofom odbywał się cały handel wiejski, a szczególnie handel cienkimi tkaninami dla kobiet. Jeśli zaś który z tych kupców był tak bogaty, że się zdobył na konia i konno swe towary rozwoził, stawał się wtedy osobą tak wielkiej wagi, że nawet mógł zasiąść do jednego stołu z bogatym szlachcicem lub dzierżawcą, jeśli mu się zdarzyło ich kiedy napotkać.

Kramarz, o którym mowa, przyczyniał się do rozweselenia towarzyszków; jego dowcipnym opowiadaniom i żartobliwym przycinkom wtórowały nieprzerwane wybuchy śmiechu. Umiał dyskretnie uśmiechnąć się do młodej i pięknej Cecylii, śmiać się całą gębą z gospodarzem, drwić z wykwintnego Goldthreda, który, choć nie

czuł w sobie najmniejszej chęci zostania igraszką drugich, był przez cały wieczór przedmiotem powszechnych żartów. Kramarz wdał się z nim w rozprawę o wyższości, jaką miały pończochy hiszpańskie nad czarną gaskońską tkaniną, a gospodarz usłyszawszy tętent koni na podwórzu mrugnął do swych gości, jakby im chciał powiedzieć: — Otóż teraz dopiero będziemy mieli śmiać się z czego, moi panowie! — Tymczasem dały się słyszeć z dworu kilkakrotne wołania na stajennego, przeplatane dosadnymi przekleństwami, jakich wówczas powszechnie używano. Wskoczyli natychmiast Wilhelm stajenny, piwniczny Jacek i inni z czeladzi „Czarnego Niedźwiedzia”, którzy zebrani w szynkowni przysłuchiwali się wesołym śmiechom biesiadników i żartobliwym opowieściom kramarza. Sam nawet gospodarz wybiegł na dziedziniec dla przywitania nowoprzybyłych i po niedługiej chwili przywiódł ze sobą godnego siostrzeńca Michała Lamburna, pod dobrą, jak powiadają, datą, oraz jego przyjaciela, astrologa.

Alasco, chociaż mały i stary, przez zmianę sukni, ostrzyżenie brody i gęstych brwi, ujął sobie jakich lat ze dwadzieścia i mógł uchodzić za czerstwego starca lat sześćdziesięciu albo niewiele więcej. Wydawał się bardzo niespokojny i mocno nastawał na Lamburna, aby nie wstępując do karczmy udał się natychmiast do ich izby. Ale Lamburn nie dał się przekonać.

— Na Raka i Koziorożca! — zawołał. — I na wszystkie konstelacje niebieskie, nie licząc w to gwiazd, które widziałem na południowym niebie i przy których te blade gwiazdy północy wydają się jak świece, ja miałbym dla czyjegoś widzi mi się wyrzekać się związków pokrewieństwa? O! nie zrobię tego! Muszę tu zatrzymać się dla pozdrowienia mego godnego wujaszka. Bo czyż podobna, żeby prawdziwi przyjaciele tak prędko zapominali o sobie? Daj kilka butelek najlepszego wina, mój wuju! Spełnimy zdrowie szlachetnego hrabiego Leicestera! Cóż u diabła? Nie wypijemy razem dla odgrzania naszej dawnej przyjaźni? Nie wypijemy, pytam się was?

— Z całego serca, mój Michałku! — rzekł gospodarz, który widocznie chciał się go pozbyć. — Ale czy podejmujesz się zapłacić za to dobre wino?

Podobne pytanie odstraszyłoby niejednego nieprzyjaciela smutku, ale nie zmieniło postanowienia Lamburna.

— Czy powątpiewasz o środkach płacenia, najukochańszy wujaszku? — rzekł pokazując pełną garść złotych i srebrnych pieniędzy. — Co? Wątpisz w Meksyk i Peru? Wątpisz w skarby królowej? Niech Bóg błogosławi Najjaśniejszą Panią, ona jest łaskawą panią mego dobrego pana!

— Bardzo dobrze, mój siostrzeńcze! — rzekł karczmarz. — Moim rzemiosłem jest sprzedawać wino tym wszystkim, co mogą za nie zapłacić. Janie! Daj wina! Ale chciałbym wiedzieć, jakim sposobem, u licha, przyjść można, do grosza tak łatwo i tak prędko, jak ty, Michale?

— Powierzę ci, mój wuju, tę tajemnicę. Widzisz tego małego i suchego dziadka? Otóż, między nami mówiąc, wujaszku, on ma miny Potosu/1 w głowie. Na śmierć i krew! Jemu łatwiej robić dukaty, aniżeli mnie łać i przeklinać.

1/ Potosi — miasto w Boliwii, dawniej obfite w kopalnie srebra, obecnie porzucone.

— Nie przyjmę od niego ani grosza — rzekł karczmarz. — Wiem ja dobrze, co czeka fałszerzy królewskich pieniędzy.

— Jesteś osioł, mój wujaszku! A do tego jeszcze z tych starych osłów! Nie ciągnij mię za płaszcz, mój doktorze, i tyś także nielepszyszy. A tak, ponieważ obydwaj jesteście osły... ale niech to was nie gniewa, gdyż użyłem tego wyrazu tylko jako metafory.

— Czyś oszalał? — rzekł Alasco. — Czyś opętany? Patrz, oczy wszystkich obróciłeś na mnie!

— Mylisz się! — odpowiedział Lamburn. — Nikt na ciebie nie patrzy i nikt patrzeć nie będzie, jeśli ja nie pozwolę. Hej! Mości panowie! Przysięgam na niebo, który z was spojrzy na tego poczciwego starca, temu wykolę oczy moim pugiuałem! Usiądź tu, staruszkusku, i bądź wesołej myśli! Wszyscy ci panowie są mymi przyjaciółmi i nikogo nie zdradzą.

— Czy nielepiej byś zrobił, mój Michale — rzekł Gosling — gdybyś sobie poszedł do osobnej izby. Pleciesz jak na mękach, a wszędzie są tacy, którzy słuchają.

— Ja nie dbam o nich! — rzekł wspaniałomyślnie Lamburn. — Służę u szlachetnego hrabiego Leicestera. Otóż i wino! Nalewaj kolejno, panie podczaszy! Niech żyje kwiat Anglii, szlachetny hrabia Leicester! Mówię — szlachetny hrabia Leicester! Kto nie spełni tego zdrowia, ten jest wieprzem ze stada Sussexa, tego ja, przed tym pucharem

oto rzucę na kolana, choćby mi przyszło uciąć mu łydki i spalić je w fajce zamiast tytoniu.

Nikt nie odmówił toastu wzniesionego pod tak straszną groźbą, a Michał, który nie otrzeźwiał bynajmniej przez tę nową libację, odnawiał w ten szalony sposób dawne związki przyjaźni ze znajomymi, którzy teraz zaczęli stronić od niego i okazywać mu jakiś rodzaj uszanowania połączonego z bojaźnią. Mieli słuszną przyczynę, gdyż podówczas lękano się i szanowano najlichszego pachółka hrabiego Leicestera, cóż dopiero takiego człowieka, jakim był Michał Lamburn.

Alasco, widząc podobne usposobienie swego towarzysza, przestał go powstrzymywać, a usiadłszy w najciemniejszym kątku kazał sobie podać wina i zdawał się nad nim zasypiać starając się ile możliwości odwrócić od siebie oczy obecnych i nie przypominać swej osoby towarzyszowi podróży. Tymczasem Lamburn prowadził żywą rozmowę ze swoim dawnym znajomym, abingdońskim kramarzem.

— Niech stracę wiarę na zawsze, kochany Michale — rzekł kramarz — jeżeli obecność twoja nie sprawia mi większej radości niż pieniądze targujących u mnie. Wiem, że możesz teraz wprowadzić swego przyjaciela na bal lub maskaradę; wiem także, że możesz szepnąć milordowi, kiedy jego godna osoba zawita w te strony i kiedy potrzebować będzie hiszpańskiej materii albo czegoś podobnego, możesz mu szepnąć, mówię: jest tu jeden mój dawny przyjaciel, Lawrence Goldthred, abingdoński kupiec, co ma piękny wybór cienkiego płótna, batystu, gazy itd., który oprócz tego jest tak walnym chłopcem, jakiego nie masz w całym Berkshire, który biłby się z całego serca za jaśnie wielmożnego pana, nawet z podobnym jemu człowiekiem. Możesz jeszcze dodać...

— Mogę dodać tysiąc kłamstw podobnych, nieprawda, mój kupcze? — odpowiedział Lamburn. — Ale dla dobrego przyjaciela nie żal i zełgać czasem!

— Twoje zdrowie, Michałku, żyj długie lata! — rzekł kramarz. — Ale możesz jeszcze powiedzieć milordowi jedną prawdę o terażniejszych modach. Był tu przed chwilą jakiś wędrowny kramarz, który przekładał staroświeckie pończochy hiszpańskie nad gaskońskie. Jednak przypatrz no się, jak zgrabna wydaje się moja noga we francuskiej pończosze, obwiązanej wstążką z piękną kokardą!

— Wybornie, wybornie! — zawołał Lamburn. — Twoje piszczele wyglądają w tych bufiastych pończochach jak przęślice owinięte do połowy wysmykaną kądzielą.

— A widzisz! Musisz mi to przyznać! — krzyknął Lawrence, którego słabą głowę odurzył mocny trunek. — Gdzież u licha ten kramarz? Zdaje mi się, że tu był przed chwilą. Gospodarzu! Gdzież u kroćset diabłów podział się ten kramarz? Dajcie mi tego kramarza!

— Jest on tam, gdzie ludzie rozsądni znajdować się powinni, panie Goldthred — odpowiedział Gosling. — Zamknięty w swojej izdebce oblicza zyski dnia dzisiejszego i obmyśla nowe na jutro.

— Niech go piorun trzaśnie! — zawołał kupiec. — Byłby to miłosierny uczynek, gdyby kto zlitował się nad nim i ulżył mu ciężaru, który dźwiga na sobie. Ci hultaje włóczą się po świecie i odbierają chleb osiadłym kupcom! O, jest jeszcze wielu, dzielnych chłopaków w Berkshire, mój gospodarzu, którzy go potrafią obkoczyć na równinie Maiden Castle!

— Prawda — rzekł gospodarz — ale trafi swój na swego! Nie życzyłbym tym ichmościom zachodzić mu drogę, bo to krępe i silne chłopisko.

— Doprawdy?—rzekł Goldthred.

— Nie inaczej! — odpowiedział karczmarz. — Na to śmiało przysiąc mogę. Wygląda on na takiego kramarza, co tak porządnie obciął Robin Hooda, jak opiewa dawna piosenka:

Robin za miecz

Pochwycił, lecz

Nie przeciął kupca maczugi;

A ten mu wnet

Tak zmłócił grzbiet,

Iż padł na ziemię jak długi.

— Niechże sobie rusza z Panem Bogiem!—rzekł kramarz. — Nie ma co żartować z takim człowiekiem. A teraz powiedz mi, mój Michałku, jak ci posłużyło to holenderskie płótno, któreś wygrał ode mnie?

— Wyśmienicie! Nie można lepiej! Muszę ci postawić jeszcze butelkę wina przez wdzięczność. Hej, Janku, podaj wina I

— Ale zdaje mi się, Michałku, że już nie wygrasz podobnego zakładu, ponieważ Antoni Foster lży cię ostatnimi słowy i przysięga, że noga twoja nie postanie więcej w jego domu, bo, jak powiada, twoje przekleństwa mogą wysadzić w powietrze mieszkanie pobożnego chrześcijanina.

— Czy tak powiada ten bezczelny obłudnik, ten skąpiec obmierzły! — krzyknął Lamburn. — Niech sobie co chce wygaduje, a ja powiadam, że on tu stawić się musi na moje rozkazy! Tu — do domu mego wujaszka, tego jeszcze wieczora, tej samej godziny. Już mu tu sprawię taką gorącą łaźnię, że ile razy glos mój usłyszysz, zdawać mu się będzie, że go diabeł ciągnie za połę.

— Odłóż to na jutro, Michałku — odezwał się kupiec — bo, jak widzę, już ci się język płacze. Co? Antoni Foster miałby tu przyjść na twoje zawołanie? Nie wierzę temu! Połóż się spać, Michałku, połóż się, jeśli mi dobrze życzysz!

— Słuchaj ty, bezmózgi trutniu! — zawołał Lamburn, oburzony tą radą. — Stawiam pięćdziesiąt talarów, ty postaw pięć pierwszych półek ze wszystkimi towarami od dołu do góry. O co ci chodzi? Wygrasz zakład, jeżeli Antoni Foster nie przyjdzie tu do tej karczmy, nim flaszka obejdzie trzecią kolej.

— Nie chcę tak wielkich zakładów! — rzekł kupiec trochę przestraszony, poznając, że Lamburn znał dokładnie urządzenie jego sklepu. — Nie trzymam tego zakładu, ale założę się o pięć talarów, że Antoni Foster na krok nie ruszy się z domu po pacierzach i nie przyjdzie do karczmy ani na twoje zawołanie, ani na czyjekolwiek.

— Zgoda! Zakład stoi. Weź, kochany wuju, pieniądze i każ któremu z chłopaków pobiec natychmiast do Cumnor Place, oddać ten list panu Fosterowi i powiedzieć mu, że jego przyjaciel, Michał Lamburn, czeka na niego w zamku swego wuja i pragnie pomówić z nim o rzeczach wielkiej wagi. Pośpieszaj, chłopaku, pośpieszaj, bo już zachód słońca, a ten sknera kładzie się spać za dnia, żeby świecy nie palić.

Niedługi przeciąg czasu między wysłaniem służącego a jego powrotem zbiegł na śmiechach i hulance. Wkrótce posłaniec wrócił i przyniósł odpowiedź, że pan Foster wnet przybędzie.

— Wygrałem! wygrałem! — zawołał Lamburn sięgając po pieniądze.

— Nie tak żwawo! — rzekł kupiec. — Nie weźmiesz, póki nie przyjdzie!

— Czego mam czekać, do licha, kiedy on już na progu? Chłopcze, cóż ci powiedział?

— Gdy usłyszał, że ktoś idzie, wysunął głowę przez okno, trzymając w ręku odwiedziony pistolet, a kiedy spełnił z drzeniem moje poselstwo, powiedział, że waszmość możesz sobie pójść do podziemnych krain.

— To jest, inaczej mówiąc, do piekła!—rzekł Lamburn. — On tam wszystkich wysyła, którzy nie należą do jego bractwa.

— Taka właśnie była jego odpowiedź — rzekł posłaniec — ale użyłem tamtego wyrażenia jako poetyczniejszego.

— Rozumny jesteś, chłopcze!—rzekł Lamburn.—Wypij dla zaostrenia poetyckiej weny. Cóż ci więcej mówił?

— Przywołał mię znowu i kazał mi powiedzieć, że taka droga waszeci do niego, jak jemu do waszeci.

— I nic więcej?

— Przeczytał potem list, zmieszał się okropnie i zapytał, czy waszec już pod dobrą datą? A ja powiedziałem mu, że ponieważ waszmość byłeś na Wyspach Kanaryjskich, przeto zaczynasz już trochę bełkotać po hiszpańsku.

— Co! Hultaju! Tyś niewart, widzę, połowy tej szklanki, ale cóż dalej?

— Mruczał coś pod nosem i powiedział, że gdyby tu nie przyszedł, waszec mógłbyś wypuścić, co należy trzymać w zamknięciu, wziął potem swoją starą czapkę i jak mówiłem, zaraz tu przybędzie.

— To, co powiedział, jest prawdą!—rzekł Lamburn jakby do siebie. — Mój mózg wyplatał mi dziś psiego figła. Ale śmiało, Michale, niech przyjdzie! Zbyt długo żyję na świecie, abym miał lękać się Antoniego Fostera po pijanemu czy po trzeźwemu. Trzeba jednak ochrzcić to przekłete wino. Janie, przynieś zimnej wody.

Gdy Lamburn gotował się do przyjęcia Fostera i gdy wiadomość o jego rychłym przybyciu zdawała się go nieco otrzeźwiać, Gosling wysunął się nieznacznie z towarzystwa i udał się do wędrownego kramarza, którego zastał przechadzającego się po izbie prędkim i niespokojnym krokiem.

— Jakżeś nam prędko umknął! — rzekł karczmarz do swego gościa.

— Cóż miałem robić, kiedy diabeł przypętał się do nas!

— Niegrzecznie jest nazywać tak mego siostrzeńca, a jednak, mówiąc prawdę, można uważać mego Michałka za potomka czartowskiego plemienia.

— Ja nie mówię o tym pijaku, ale o tym drugim, który, jak wiem... Skądże oni przyjechali? Kiedy wyjadą?

— Doprawdy! — rzekł gospodarz — są to pytania, na które nie umiem odpowiedzieć. Patrz, przyjacielu! Przyniosłeś mi piękny gościniec od pana Tressiliana: jest to bardzo drogi diament.

Wyjął pierścień, obejrzał go ze wszystkich stron i dodał chowając do worka, że ta nagroda przewyższa wszystko, cokolwiek mógł dla niego uczynić.

— Jestem — mówił — osobą publiczną, nie wypada mi wtrącać się w cudze czynności. Staram się jednak mieć jak najpewniejsze wiadomości o kobiecie, którą Foster trzyma w swym zamku. Ale pomimo najusilniejszych starań tyle tylko dowiedzieć się mogłem, że mieszka zawsze w Cumnor Place, a ci, co ją przypadkiem widzieli, powiadają, że jest smutna i że przykrzy jej się w pustelni. Lecz jeżeli chcesz przysłużyć się swemu panu, masz teraz najlepszą porę. Ma tu przyjść niezadługo Antoni Foster, a jeżeli postawię drugą butelkę przed moim godnym siostrzeńcem, możesz być pewny, że i rozkazy samej królowej nie wyciągną go z karczmy. Kto wie, może tu posiedzą godzinę, może dwie lub więcej. Korzystaj więc z zyskanego czasu. Weź tłumoczek na plecy, usunie on wszelkie podejrzenia i posłuży za najlepszą wymówkę, a gdy dostaniesz się do dworu, staraj się uprosić albo przekupić starą kucharkę, żeby ci pozwoliła utargować cokolwiek u swojej pani. Ona cię puści zapewne, wiedząc, że nie ma pana w domu, i wtedy będziesz mógł więcej dowiedzieć się o niej, niżeli ja powiedzieć ci mogę.

— Wyborna myśl! — zawołał Wayland. — Ale zdaje mi się cokolwiek niebezpieczna, bo cóż robić w takim dajmy na to wypadku, gdyby Foster prędzej powrócił?

— To jest bardzo możliwe.

— Albo gdyby ona źle przyjęła moje usługi?

— I to także być może.

— Dziwię się panu Tressilianowi, że czyni tyle zabiegów o kobietę, która o niego nie dba—perswadował Wayland.— W obu tych wypadkach widzę — dodał — że źle przyjętym będę i dlatego, dobrze tę rzecz rozważywszy, wyznać muszę, że twoja rada nie bardzo mi się podoba.



— Przebóg, co mówisz najlepszego, panie słuگو. Wszak tu nie idzie o mnie, ale o twego pana. Wiesz zapewne lepiej ode mnie, na jakie niebezpieczeństwo natrafić możesz i czy potrafisz je pokonać, ale nie spodziewaj się, aby drudzy narażali się za ciebie, gdy sam narazić się nie chcesz.

— Z przeproszeniem waszmości — rzekł Wayland — ja nie o tym mówię. Powiedz mi, czy ten starzec, który tu przybył tego wieczora, ma także udać się do Cumnor Place?

— Nie inaczej — odpowiedział karczmarz. — Mówił mi ich słuگو, że kazali mu zawieźć tam rzeczy, ale, jak uważam, piwo ma nad nim tyle mocy, ile wino kanaryjskie nad moim Michałkiem.

— Dosyć mi tego! — rzekł Wayland stanowczym głosem.— Pomieszam ja plany tego złoczyńcy. Nienawiść zaczyna brać górę nad bojaźnią, jaką mnie przejął jego piekielny wzrok. Pomóż mi włożyć tłumoczek, dobry gospodarzu! Strzeż się, stary Albumazarze, bo nieprzyjazna konstelacja Wielkiej Niedźwiedzicy zły wpływ wywiera na twój horoskop!

I włożywszy tłumok na plecy wyszedł bocznymi drzwiami i udał się do Cumnor Place drogą najmniej uczęszczaną.

## ROZDZIAŁ n

CLOWN: Są tacy kramarze, moja siostrze, którzy zajmują się zupełnie czym innym, niżeli ci się wydaje.

Szekspir Opowieść zimowa

Antoni Foster, troskliwy o dopełnienie wielokrotnych poleceń hrabiego, wkładających nań obowiązek jak najściślejszego dochowania tajemnicy, a także powodowany swoim sknerstwem i upodobaniem do odludnego życia, starał się ile możliwości tak dom swój urządzić, by mógł uniknąć oczu ludzkich i ukryć się przed natrętną ciekawością. Zamiast tedy trzymania liczego dworu, którego powinnością byłoby czuwać nad bezpieczeństwem drogiego skarbu i bronić domu od obcej napaści, zmniejszył liczbę służących spodziewając się, że to uwolni go od ciekawych badań i sprawi, że o jego bytności w Cumnor nikt wiedzieć nie będzie. I tak jeżeli nie przybył kto z orszaku hrabiego albo sług Varneya, tylko dwie stare kobiety i jeden dziad stanowili cały dwór Fostera.

Jedna z tych staruszek posłyszawszy kołatanie Waylanda wyszła do niego, a gdy ją prosił, by mu pozwoliła pokazać towary paniom tego domu, zaczęła go łajać i przeklinać, co wtenczas było w powszechnym zwyczaju. Kramarz potrafił ją udobruchać wsunawszy jej w rękę srebrny pieniądz i do reszty gniew jej uśmierzył, gdy jej obiecał kawał materii na czepek, jeśli uda mu się sprzedać co korzystnie w tym domu.

— Niech cię Bóg błogosławi! Dziękuję ci za to, bo też moja suknia już cała w dziurach! Wejdz tymi drzwiami do ogrodu, ona się tam przechadzała.

Wprowadziła go do ogrodu i pokazała opuszczoną altanę.

— Widzisz ją, z drugą tam przechadza się i zakupią cały kramik u ciebie, jeżeli twe towary przypadną jej do gustu.

— Zamyka mnie! — pomyślał Wayland usłyszawszy, że ogrodowe drzwiczki stuknęły za nim. — Zdaje się jednak, że mnie tu nie zabiją za tak małe przestępstwo. Już się stało! Idźmy naprzód. Wszak dobry wódz nie cofa się, chyba pobity na głowę. Widzę dwie kobiety w tej starej altanie, ale jakże do nich przystąpić? Spróbujmy! Williamie Szekspirze, bądź moim wybawcą w tak niebezpiecznym położeniu. Trzeba się popisać

jakimś śpiewem kramarskim — i zanucił śmiałym donośnym głosem tę gminną piosenkę:

Rąbki białe jak śnieg z gór!

Krepy blasku kruczych piór!

Siatki tkane w różny wzór!

Wszystko to mam,

Wszystko to wam

Za przystępną cenę dam!

— Joanno, kogóż to nam Bóg przysyła?—rzekła Amelia.

— Jak widzę, jeden z tych kupców pełnych próżności, kramarzami nazywanych, co śpiewaniem różnych piosenek starają się zachęcić do kupowania u siebie światowych mamideł, tutaj się znalazł. Dziwię się, że stara Dorcas wpuściła go do ogrodu.

— Bardzo miłe wydarzenie, moja Joasiu!—rzekła hrabina. — Tak nudne prowadzimy tu życie, że kilka chwil rozrywki będzie dla nas prawdziwym szczęściem.

— Prawda, niestety, moja łaskawa pani, ale mój ojciec...

— Ale twój ojciec nie jest moim ojcem ani moim panem> tak mi się przynajmniej zdaje. Zawołaj tego człeka, potrzebuję niektórych drobnostek.

— Jeśli pani czego potrzeba, poproś o to milorda w pierwszym liście, a on ci wszystko przyśle, co tylko znajduje się w Anglii. Coś mi niedobrego wróżą kramarskie odwiedziny. Proszę cię i zaklinam, kochana pani, pozwól mi, ażebym mu kazała odejść.

— Ja chcę, żebyś mu przyjść kazała, albo nie — sama go zawołam, żeby cię za to nie łajano.

— Ach, najdroższa pani, byłoby wielkim szczęściem, gdyby tylko skończyło się na tym! — mówiła smutnie Joanna, kiedy hrabina wołała na Waylanda:

— Kramarzu, kramarzu! Chodź no ze swoim tłumoczkiem, rozpakuj go, jeżeli masz dobre towary, uczynisz mi przysługę i dosyć utargujesz u mnie!

— Czym mam służyć pani?—rzekł Wayland rozkładając tłumoczek z taką zręcznością, jak gdyby urodził się kramarzem.

Trudnił się on już tym zajęciem w swoim tułaczym życiu i nabywszy w nim pewnej wprawy zaczął teraz wychwalać swoje towary z wymownością właściwą kramarzom pokazując wielką biegłość w ocenianiu rzeczy.

— Czym masz mi służyć?—powtórzyła hrabina.—Gdy już upływa szósty miesiąc, jak nie kupiłam sobie podług mego gustu ani łokcia materii, ani nawet najmniejszej fraszki; najlepszą dam ci odpowiedź, kiedy zapytam, co masz do sprzedania? Odłóż dla mnie te batystowe rękawiczki, tę złotą falbanę obszytą krepą i ten szkarłatny płaszczyk ze złotymi guzikami — czyż nie jest gustowny, Joasiu ?

— Jeśli pani chcesz wiedzieć, powiem otwarcie, że będąc nadto bogaty nie może być piękny.

— Nie znasz się na tym, moje dziecko, ale kiedy tak surowo sądzisz, będziesz musiała sama nosić go za pokutę, a złote guziki pocieszą twego ojca i pogodzą go ze szkarłatnym kolorem. Tylko pamiętaj, Joasiu, żeby ci ich nie poodrzynał i nie schował do kufra, gdzie zamyka swoje skarby.

— Czy wolno prosić panią o oszczędzenie mojego biednego ojca ?

— Czy można oszczędzać tego, kto z przyrodzenia dąży do oszczędności? Ale wróćmy do naszych sprawunków: biorę dla siebie ten czepek i tę srebrną szpilkę wysadzaną perłami, a ty, Joasiu, weź te dwie suknie z grubej materii dla Dorcas i Alison, aby biedne staruszki mogły się ciepło odziać w czasie zimy. Powiedz mi także, czy masz wonno...ści, kadzidła, olejki i najmodniejsze flakoniki?

„Gdybym był prawdziwym kramarzem, mógłbym tu wyjść na porządnego kupca — pomyślał Wayland, odpowiadając na pytania, którymi go zarzucała hrabina z całą żywością młodej dziewczyny, pozbawionej od dawna tak przyjemnej rozrywki. — Ach, jak przystąpić do czegoś ważniejszego?" Potem, pokazując co miał najlepszego z pachnidła i olejków, napomknął zgrabnie, że te rzeczy podrożały w dwójnasób od czasu wspaniałych przygotowań czynionych przez hrabiego Leicestera na przyjęcie królowej z całym dworem w książęcym zamku Kenilworth.

— A widzisz, Joasia — rzekła hrabina z żywością — że te wieści nie są fałszywe!

— Najprawdziwsze — odpowiedział Wayland. — Dziwno mi, że teraz dopiero dochodzą do uszu pani. Królowa angielska w czasie tegorocznej swej podróży po

kraju przepędzi cały tydzień w zamku hrabiego. Wielu mówi, że kraj nasz dostanie króla, a Elżbieta, niech ją Bóg błogosławi, męża, i to jeszcze przed jesienią.

— Bezczelnie kłamią! — zawołała hrabina z niecierpliwością.

— Na miłość Boga, uspokój się pani! — rzekła Joanna cała drżąca. — Czy można wierzyć nowinom jednego kramarza?

— Dobrze zrobiłaś, Joasiu, żeś mię ostrzegła. Takie wiadomości, uwłaczające sławie najdostojniejszego z angielskich parów, mogą znaleźć wiarę tylko wśród ludzi pozbawionych rozumu.

— Wolno zapytać, łaskawa pani — rzekł Wayland Smith, widząc, że jej gniew miał już obrócić się przeciw niemu — w czym przewiniłem tak dalece, że pani rozgniewałaś się na, mnie, choć na to nie zasłużyłem wcale? Powiedziałem tylko to, o czym wielu mówi.

Hrabina tymczasem odzyskawszy spokój starała się pokryć wesołą miną nurtujące ją niezadowolenie i okazać, że ją nie obchodzi bynajmniej to, co kramarz powiedział.

— Nie spodziewam się — rzekła — mój przyjacielu, żeby królowa chciała odmienić swój stan paniński, tak drogi wszystkim jej poddanym. Bądź pewny, że to nie dojdzie do skutku.

Później, chcąc zwrócić uwagę na inny temat, dodała przeglądając skrzynkę z wonnościami:

— Cóż to znowu tak troskliwie obwinęte w tej srebrnej puszcze?

— Jest to lekarstwo przeciw chorobie, na którą, jestem pewny, że pani nigdy skarżyć się nie będziesz. Szczypta wielkości tureckiego grochu, brana co dzień przez tydzień, umacnia serce przeciwko czarnym i melancholicznym myślom, rodzącym się z samotności, smutku, nieszczęśliwej miłości i zawiedzionej nadziei.

— Czyś oszalał? — rzekła porywczo hrabina. — Albo czy sądzisz, że mię namówisz na kupienie tego wszystkiego, o czym ci przyjdzie do głowy powiedzieć, dlatego iż zakupiłam tyle towarów za cenę, jaką podobało ci się naznaczyć? Któż słyszał kiedy, żeby połykane lekarstwa uśmierzyć mogły boleści serca?

— Pozwoli pani powiedzieć — rzekł Wayland — że jestem uczciwy człowiek i sprzedałem swoje towary za umiarkowaną cenę. Co się zaś tyczy tego lekarstwa, wychwalając jego własności nie prosiłem pani, żebyś je koniecznie kupiła. Nie

mówiłem wcale, by mogło uleczyć zadawnione choroby serca, które Bóg tylko jeden i czas uleczyć zdoła. Powiadam tylko, że ten balsam rozpędza czarne myśli pochodzące ze smutku ciężącego na duszy. Mój Boże! Wielem to ja osób wyprowadził z tej choroby tak po dworach jak i po miastach, a ostatnim razem między innymi niejakiego Edmunda Tressiliana, szlachcica z Kornwalii, którego choroba już prawie śmiertelna pochodziła, jak mówiono, z cierpienia zadanego przez kobietę, którą kochał nad życie. Przestał mówić, a hrabina zapytała po chwili milczenia usiłując na próżno przybrać ton obojętny i okazać, że nie była zmieszana.

— Tenże szlachcic, o którym mówisz, czy już zupełnie wyzdrowiał?

— Ma się trochę lepiej — odpowiedział Wayland — nie skarży się przynajmniej na cierpienia fizyczne!

— Spróbuję tego lekarstwa, Joasiu — rzekła hrabina — gdyż i ja także cierpię czasami czarną melancholię.

— Nie dam tego pani uczynić! — rzekła Joanna. — Kto wie, czy on nie sprzedaje lekarstw sfalszowanych?

— Sam ręczę za moją uczciwość — rzekł Wayland i biorąc znaczną szczyptę lekarstwa, połknął je w ich oczach. Hrabina zakupiła resztę i tym mocniej upierała się przy swym pierwszym postanowieniu, im coraz nowe Joasia przeciw niemu wynajdowała zarzuty. Nawet w jej oczach zażyła pierwszą dozę i choć utrzymywała, że się poczuła weselszą i tak swobodną, jak gdyby zdjęto z jej serca ogromny ciężar, skutek według wszelkiego prawdopodobieństwa nastąpił tylko w jej wyobraźni. Po czym zebrawszy wszystkie sprawunki dała pieniądze Joasi, kazała jej zliczyć, ile się za wszystko należy i zapłacić kramarzowi, sama zaś, jakby znużona tą rozmową, w której zrazu tyle znalazła upodobania, życzyła mu dobrej nocy i odeszła pozbawiając tym sposobem Waylanda wszelkiej nadziei pomówienia z nią na osobności. Pragnął więc porozumieć się czym prędzej z Joanną.

— Młoda dziewczyno — rzekł do niej — poznaję z twojej twarzy, że kochasz swoją panią. Potrzebuje ona twojej wierności!

— I warta jest tego, żebym jej wiernie służyła, lecz co ci do tego?

— Dziewczyno! Nie jestem ja tym, kim się być wydaję! — rzekł Wayland cichszym głosem.

— Podwójny dowód, że nie jesteś pocziwym człowiekiem.

— Podwójny dowód, że jestem, bo nie jestem kramarzem.

— Wynos się stąd czym prędzej, albo zawołam ludzi. Mój ojciec musiał już powrócić.

— Nie bądź tak prędka, dziewczyno, bo później gorzko tego żałować będziesz. Jestem jednym z przyjaciół twej pani. Wtenczas kiedy ona najwięcej potrzebuje pomocy prawdziwych przyjaciół, ty byś miała zgubę im gotować?

— Jakąż mogę mieć pewność?

— Spójrz na mnie, a wyczytasz na mym czole, że jestem uczciwy człowiek.

I choć Wayland nie mógł uchodzić za pięknego, miał jednak w rysach twarzy jakiś wyraz bystrej inteligencji i uczciwości, co połączone z żywymi oczami, kształtnymi ustami i dowcipnym uśmiechem, dodawało wdzięku i ozdoby jego rubasznej fizjonomii.

Joasia rzuciła nań figlarne spojrzenie właściwe jej płci i rzekła:

— Chociaż, przyjacielu, chlubisz się tak bardzo swą pocziwością, chociaż nie umiem poznawać z twarzy ludzkich charakterów, zdaje mi się jednak, że w twojej przebija się coś kramarskiego, coś szarlatańskiego!

— Jednak w bardzo małej ilości — rzekł Wayland z uśmiechem. — Ale posłuchaj mnie, moja panienko. Dziś wieczorem albo jutro rano przyjdzie tu pewien starzec z twoim ojcem. Ma on lekki i zdradliwy krok kota, złośliwe oko szczura, podle pochlebstwo pudła, okrutną naturę brytana. Strzeż się go, dziewczyno, jeżeli kochasz swoją panią i siebie. Strzeż się go, piękna Joanno! Ukrywa on jad gadziny pod pozorną niewinnością gołębia. Nie wiem dokładnie, jaki rodzaj występku zamyśla tu dokonać, to tylko wiem z pewnością, że gdzie się obróci, tam zawitać muszą śmierć, choroba i inne tysiączne nieszczęścia. Nie mów nic o tym twojej pani, bo moje wiadomości uczą mnie, że w jej stanie obawa złego może być równie niebezpieczna, jak samo zło. Czuwaj nad tym, żeby używała mego lekarstwa, bo — zniżając głos rzekł cicho, ale wyraźnie — jest to antidotum przeciw truciźnie. Słuchaj, oto już wchodzą do ogrodu. Koło bramy słyhać było już odgłos wesołej i żywej rozmowy, czym przestraszony Wayland ukrył się w głębi gęstych zarośli, a Joanna pobiegła do altany sprzątnąć rozrzucone sprawunki.

Tymczasem jej ojciec, sługa hrabiego i astrolog weszli razem do ogrodu z wielkim krzykiem i hałasem, usiłując nadaremnie uspokoić Lamburna, któremu wino zamąciło zupełnie umysł. Był on z liczby tych ludzi, którzy podchmieliwszy sobie nie idą spać, jak czynią pospolici pijacy, ale długo dziwaczą i dokazują, aż na koniec, przebrawszy miarkę, wpadają w rodzaj niepohamowanego szaleństwa. Jak wielu innych pijaków tak i Lamburn nie odchodził od zmysłów ani tracił władzy w nogach, ale przeciwnie, wysławiał się płynnie i dobitnie i wyjawiał to wszystko, co w trzeźwym stanie pragnąłby zachować w największej tajemnicy.

— Jak to! — wrzeszczał z całej siły. — Nie poczęstujesz mię w swoim domu, nie wyprawisz mi hulanki za to, że ci sprowadził szczęście pod postacią krewnego i sprzymierzeńca szatana, który kawałki cegieł zamienić może na dobre plastry hiszpańskie? Przybliź się, Antośku, Podpalaczu Stosu, papisto, purytaninie, obłudniku, sknero, libertynie, diable złożony ze wszystkich grzechów ludzkich! Przybliź się i ukaż przed tym, który sprowadził mamonę do twego domu, przedmiot twojej czci i poszanowania.

— W imię Boga! Zaklinam cię! — rzekł Foster. — Nie krzycz i wejdź do domu, a będziesz miał wino i wszystko, co zechcesz.

— Nie! Stary gburze, daj je tu! — krzyczał z całej siły pijak. — Tutaj, al fresco, jak mówią Włosi. Nie, ja nie będę pił w zamknięciu z tym czartem, któremu tak łatwo otruć człowieka, jak mnie muchę zabić!... Ja miałbym pić z nim razem, żebym się udusił od wyziewów arszeniku albo żywego srebra? Nauczył mnie Varney, jak go się wystrzegać.

— Daj mu wina — rzekł alchemik — do wszystkich diabłów.

— Aha! A ty mi go zaprawisz po swojemu, nieprawda, stary szatanie? Będzie tam grynszpan, blekot, witriol, aquafortis, ciemierzycyca i wiele innych szatańskich przypraw, co tak kurzyć się będą w mojej biednej głowie jak czary, które czarownica warzy w kociołku dla wywołania złych duchów. Daj mi sam flaszę, stary Antoni, Podpalaczu Stosu! A wino niech będzie chłodne, bo nie chcę, żeby było grzane na stosach spalonych biskupów... Albo poczekaj! Niech Leicester będzie królem, jeżeli zechce... Dobrze!... a Varney, ten zbrodniarz Varney, wielkim wezyrem. Dalibóg wybornie!... A ja czym będę? Cesarzem... Doskonale, cesarz Lamburn!... Zobaczę



teraz tę piękność, którą tu uwięzili dla swych tajemnych rozkoszy. Musi ona tego jeszcze wieczora podać mi puchar i włożyć na głowę nocny czepek... Ale cóż człowiek może zrobić z dwiema żonami, chociażby dwadzieścia razy był hrabią? Odpowiedz na to, Antośku, mój chłopcze, psia wiaro, hipokryto, wyrodku, którego Bóg wymazał z księgi żywota, a który mu ciągle dokucza, żeby go wpisać na powrót, stary fanatyku, bluźnierco, podpalaczu biskupich stosów, odpowiedz mi na to!

— Wbiję mu sztylet aż po rękojeść w serce!—rzekł Foster cicho, ale trzęsąc się cały ze złości.

— Jeżeli ci Bóg miły — rzekł astrolog — nie szukaj z nim zwady, bo to go jeszcze gorszym uczyni. Słuchaj, mój zacny Lamburnie! Czy chcesz wypić ze mną zdrowie hrabiego Leicestera i Ryszarda Varneya?

— Wypiję, mój stary Albumazarze, wypiję, mój kramarzu handlujący trucizną na szczury. Uściskałbym cię, mój poczciwy gwałcicielu legis publicae (jak mówią w Leydzie), gdybyś nie śmierdział cały tą przebrzydłą siarką i innymi piekielnymi przyprawami. Spróbujemy: jestem gotów! Niech żyje Varney i Leicester!... Kto nie spełni tego zdrowia, poczuje mój sztylet w sercu. Dalej, za mną, przyjaciele!

To mówiąc wypił, co mu podał astrolog. Nie było to wino, ale jakiś destylowany napój. Zaczął rzucać okropne przekleństwa, ale nie mógł już dokończyć; upuścił próżny kufel, porwał się do pałasza, a nie mogąc go wyrwać z pochwy, zatoczył się i upadł bez zmysłów na ręce służących, którzy go złożyli w osobnej izbie na łożku.

W tym powszechnym zamieszaniu Joasia, nie postrzeżona przez nikogo i drżąca z bojaźni jak listek, wróciła do pokoju swej pani z zamiarem utajenia okropnych podejrzeń, które wzbudziły w niej wyrzekania pijanego Lamburna. Jej domysły, choć nie oparte na niczym pewnym, zgadzały się zupełnie z przestrogi kramarza. Umyśliła przeto dołożyć starań, aby jej pani zażywała lekarstwo kupione od Waylanda, czego by zapewne jej nigdy nie doradzała, gdyby nie wyżej przytoczone okoliczności.

Wayland nie opuścił żadnego słowa wymówionego przez Lamburna i wiedział lepiej od Joasi, jak je należało tłumaczyć. Litował się nad losem tak miłej i godnej kochania kobiety, jaką była hrabina, szczęśliwej niegdyś w ciszy rodzinnego domu, a teraz będącej przedmiotem intryg zgrai zbrodniarzy. Głos jego dawnego pana, którego

równie nienawidził jak się lękał, zapalił go gniewem i utwierdził w zamiarze zniweczenia jego niegodziwych zamysłów. Pokładał on wielką ufność w swej sztuce i postanowił tego jeszcze wieczora zgłębić całą tajemnicę i jeśli nie było za późno, ratować nieszczęśliwą Amelię, chociażby z narażeniem się na największe niebezpieczeństwo. Z kilku słów, które wymknęły się Michałowi rozmarzonemu trunkiem, Wayland zaczął powątpiewać, czyli Varney działał zupełnie w swoim imieniu i wpadał na domysł, że ten dworak był tylko narzędziem cudzej miłości.

Szeptano między ludźmi, że Ryszard Varney służył swemu panu w wielu tajemnych miłostkach, z czego Wayland domyślił się, że sam Leicester mógł być osobą głównie działającą w całej tej tajemnicy. Nie przypuszczał wprawdzie, aby córka Robsarta była jego żoną, ale wiedział dobrze, że samo odkrycie miłostek z niewiastą podobnego stanu mogło być niebezpieczne dla wpływowego stanowiska, jakie uzyskał na dworze Elżbiety jej ulubieniec.

„Chociażby nawet Leicester — myślał Wayland — wahał się użyć gwałtownych środków dla przytłumienia tych wieści, otoczony on jest ludźmi, którzy bez jego woli gotowi są wyświadczyć mu tę przysługę. Jeżeli już mam wtrącić się do tej sprawy, potrzeba, abym tak ostrożnie postępował jak mój dawny pan, który kładł zawsze maskę, ile razy zabierał się do preparowania swojej szatańskiej manny. Jutro więc zaraz pożegnam się z Goslingiem i tak często odmieniać będę norę, jak szczwany lis. Chciałbym jeszcze widzieć tę młodą purytankę, nadto jest ona piękna i dowcipna na córkę nikczemnego podpalacza stosów.”

Gosling pożegnał się z Waylandem z większą radością niż smutkiem. Poczciwy kramarz widział tak wielkie niebezpieczeństwo w krzyżowaniu zamysłów lorda Leicesterera, że cała jego cnota zaledwie mogła wystarczyć na dotrzymanie raz danego słowa i choć mocno pragnął umyć ręce od wszystkiego, jak sam się wyrażał, przyrzekł z całego serca wspierać w razie potrzeby zamiary pana Tressiliana lub jego posłańca, o ile tylko licować to będzie z jego stanowiskiem.

### ROZDZIAŁ III

Wzniosła ambicja, co się pnie wyżej; nad siły,  
chybia celu i upada poza kres swych życzeń.

Szekspir Makbet

Przepych czynionych przygotowań na zbliżające się przybycie królowej do Kenilworth był przedmiotem rozmów w całej Anglii. Sprowadzano z kraju albo z zagranicy wszystko, co mogło przyczynić się do uświetnienia i uprzyjemnienia pobytu królowej w zamku jej najulubieńszego faworyta. Tymczasem Leicester z każdym dniem zdawał się coraz więcej zaskarbiać sobie łaski Elżbiety. Zawsze przy jej boku brał udział w posiedzeniach rady, chętnie słuchano go w chwilach poświęconych dworskim zabawom; dopuszczony nawet do poufałości, Leicester był nadzieją wszystkich starających się o łaskę u tronu. Wszyscy posłowie zagraniczni czynili mu w imieniu swych panów najpochlebniejsze zapewnienia szacunku, był on na koniec, jak się zdawało, alter ego dumnej Elżbiety, która, jak wnoszono powszechnie, czekała tylko stosownej chwili do wyniesienia go na najwyższy stopień godności przez oddanie mu swej ręki.

Wśród tych zaszczytów kochanek losu i królowej był człowiekiem najniezwyklejszym z całego królestwa, które zdawało się być posłuszne na jego każde skinienie. Miał on nad swymi przyjaciółmi i nad tymi, którzy mu winni byli swoje wyniesienie, wyższość, jaką król geniuszów ma nad podrzędnymi duchami i widział wiele takich rzeczy, których tamci dostrzec nie mogli. Dokładna znajomość dziwactw Elżbiety, równie jak jej zalet, połączona z przymiotami umysłu i urodą, wyniosła go na najwyższy szczebel znaczenia, jednak i ta sama gruntowna znajomość charakteru królowej kazała mu lękać się na każdym kroku, by nie popaść w niespodziewaną niełaskę. W takim położeniu Leicester podobny był do sternika, który, patrząc na mapę z wytyczonym szlakiem żeglugi i widząc na nim wielką liczbę ukrytych raf, mielizn i cyplów, doszedł do przekonania, że chyba tylko cudem będzie mógł ratować się od zguby.

Charakter Elżbiety był istotnie dziwnym połączeniem męskiego hartu z ułomnościami właściwymi jej płci. Poddani odnosili zawsze zupełną korzyść z jej cnót, które brały

górze nad przywarami, ale dworzanie i faworyci często znosić musieli jej kaprysy i doświadczać gwałtownych wybuchów usposobienia z natury zazdrosnego i despotycznego.

Była dobrą matką dla poddanych, ale była też prawdziwą córką Henryka VIII i choć nieszczęścia doznane za młodych lat i wychowanie przytłumiły i umiarkowały cokolwiek jej wrodzoną gwałtowność, nie mogły jednak wykorzenić zupełnie dziedzicznego temperamentu.

„Umysł Elżbiety — mówi jej dowcipny syn chrzestny, sir John Harrington, który kolejno albo odbierał od niej uśmiechy, albo znosił niełaski — jej umysł — mówi on — był lekki, jak wietrzyk zachodni, co powiewa w czasie letniego poranku, miły i chłodzący dla tych, którzy ją otaczali. Jej mowa ujmowała serca słuchaczy, ale kiedy widziała nieposłuszeństwo albo brak dla siebie szacunku, tak się wyrażała, iż nikt nie wątpił, czyją była córką. Jej uśmiechy rozweselały wszystkich jak jasne promienie słońca, ale z nagłą zasepiało się pogodne niebo, zbierały się czarne chmury, następowała okropna burza i pioruny padały na wszystkich bez różnicy.”

Wiedział dobrze Leicester, że ta niestałość charakteru Elżbiety była szczególnie niebezpieczna dla jej ulubieńców, zależnych bardziej od jej osobistych względów niżeli od zasług położonych w radzie albo na polu bitwy. Burleigh i Walsingham mieli także łaskę u dworu, skromną i nie podkreślaną, lecz za to ugruntowaną nie na stronniczym usposobieniu kobiety, ale na zdrowym rozsądku królowej — dlatego pozycja ich wolna była od niestałości grożącej tym, co po większej części wielkość swą i znaczenie opierali na modzie i zmiennych gustach młodej kobiety. Elżbieta szanowała tych mądrych ministrów dla ich szerokich horyzontów i mocnych argumentów, jakimi w radzie popierali swoje światłe zdanie. Tymczasem szczęścia Leicesterza zależało od nastrojów i dziwacznych urojeń, co raz rozczulają, drugi raz jątrzą serce kochanki, a zwłaszcza takiej jak Elżbieta, która lękała się nieustannie, by czyniąc zadość tkliwym uczuciom serca, nie zapomniała o swej godności albo nie umniejszała w czymkolwiek powagi majestatu. Wiedział doskonale Leicester o wszystkich niebezpieczeństwach otaczających jego wielkość, która tak się rozrosła, że nie mógł jej opanować ani się wyrzec. Szukając sposobów utrzymania się na tym wysokim, ale chwiejnym szczyblu znaczenia, albo też zastanawiając się nad środkami

zejścia zeń bez upadku, słabą widział tylko nadzieję wyjścia z sytuacji bez większych kłopotów. Wtedy myśl jego zwracała się ku tajemnemu małżeństwu i skutkom wyniknąć mogącym z niego, czynił sobie gorzkie wyrzuty, że przez ten związek zagroził drogę do utrwalenia zdobytej już wielkości i przewidywał, że ta nierozważna miłość, jak ją teraz nazywał, będzie przyczyną jego bliskiego upadku.

„Mówią powszechnie — tak myślał w tych chwilach smutku i żalu — że mogę zaślubić Elżbietę i zostać królem angielskim. Wszystko zdaje się wróżyć tę zmianę moich losów. Małżeństwo to już jest sławione w pieśniach, a na samo o nim wspomnienie lud wyrzuca czapki do góry. Mówi się o tym w szkołach, szepczą już i na pokojach królewskich. Kaznodzieje głoszą je z ambon. W kraju wspominali o nim nasi ministrowie na posiedzeniu rady; nie wzięto im za złe tych śmiałych napomknień, nie zganiono, nie gniewano się. Elżbieta ledwo odpowiedziała na nie swoim zwyczajem, że chce żyć i umrzeć w panińskim stanie. Słyszy ona te wieści, a jej słowa są bardziej ujmujące niż zazwyczaj, jej postępowanie łaskawsze, jej spojrzenia słodsze. Zdaje się, że aby zostać królem angielskim i obwarować się na zawsze przeciw niestałości dworskiej łaski, wystarczy, żebym sięgnął ręką po koronę, która jest chwałą całego świata! Ale właśnie wtenczas, kiedy mógłbym śmiało to zrobić, krępuje mnie tajemny i nierozwikłany węzeł... A tu mam listy od Amelii — dodał wyjmując je niechętnie. — Prześladuje mnie i ciągle nalega, abym ją publicznie uznał za żonę, abym uczynił dla siebie i dla niej, czego mój honor a jej dobre imię wymaga. Myśli; że Elżbieta mogłaby przyjąć te wieści z rozkoszą matki dowiadującej się o szczęśliwym ożenku syna. Ona, córka Henryka, który nie oszczędzał żadnego mężczyzny w swym gniewie, żadnej niewiasty w swych żądzach? Elżbieta, której sercem o władnęła namiętność aż do tego stopnia, że wyznała miłość swemu poddanemu, ucieszy się zapewne, gdy się dowie, że czyniono z niej igraszkę, jak z wiejskiej dziewczyny. Dopiero wtedy zobaczymy, co może kobieta w szaleństwie.”

Pohamował się na te słowa i zawołał Varneya, którego rady zasięgał wówczas częściej niż zazwyczaj, mając dobrze w pamięci, że jego koniuszy sprzeciwiał się zawsze temu małżeństwu. Omawianie, czy i w jaki sposób hrabina ma się pokazać w Kenilworth, zwykle kończyło ich narady. Nie mogąc jednak nic stanowczego przedsięwziąć,

umyślili zrazu odkładać z dnia na dzień przyjazd królowej, ale w końcu powzięcie ostatecznej decyzji stało się koniecznością.

— Elżbieta nie będzie spokojna — rzekł hrabia — póki jej nie zobaczy. Nie wiem, czy nie powzięła jakichś podejrzeń, jak mi to moja bojaźń podsuwa, albo czy sama, lub który z moich nieprzyjaciół nie przypomina jej ciągle prośby Tressiliana. To tylko wiem, że coraz bardziej wzmagają się moje obawy, bo pośród najczulszych wyrazów dobroci, jakimi do mnie przemawia, zawsze prawie przypomina mi historię Amelii Robsart. Ta Amelia Robsart, w moim pojęciu, jest jakby niewolnikiem przykutym w nieszczęsnej godzinie do mego triumfalnego wozu dla pomieszenia i zniweczenia najokazalszego triumfu. Varneyu, podaj mi jaki sposób rozwiązania tej trudności. Wynajdywałem rozmaite przeszkody celem odwleczenia tych przeklętych odwiedzin, czyniłem, co tylko mogło znaleźć wytłumaczenie, ale dzisiejsza z nią rozmowa pomieszała wszystkie moje szyki. Elżbieta powiedziała mi głosem słodkim, ale rozkazującym: — W sobotę 9 lipca będziemy n was w Kenilworth. Prosimy cię, żebyś nie zapomniał o żadnym z gości, których żądaliśmy widzieć, a mianowicie o tym pięknym trzpiocie, Amelii Robsart. Chcemy widzieć kobietę, która przeniosła nad poetę Tressiliana twego sługę, Ryszarda Varneya.— A teraz, Varneyu, bierz się na sposoby, które w tylu razach były nam użyteczne, bo jak nazywam się Dudley, tak rzecz niezawodna, że niebezpieczeństwa, przepowiedziane w moim horoskopie, sprawdzać się zaczynają.

— Czy nie można by nakłonić milady, żeby grała tę poniżającą rolę; jaką jej wyznaczają okoliczności?—zapytał Varney po chwili zastanowienia.

— Jak to, nędzniku? Hrabina miałaby uchodzić za twoją żonę? To nie zgadza się ani z moim, ani z jej honorem.

— Niestety, milordzie! A jednakże w tym tylko charakterze zna ją królowa. Wywieść ją z tego błędu, znaczy odkryć wszystko.

— Myśl nad innym sposobem, Varneyu — rzekł hrabia niezmiernie poruszony — ten nie może dojść do skutku, bo choćbym się zgodził, wiem na pewno, że ona nigdy na to nie przystanie. Powiadam ci, Varneyu, Elżbieta na tronie nie ma tyle dumy, co ta córka prostego szlachcica z Devonshire. Jest ona łagodna i łatwo daje się powodować w

pospolitych sprawach życia, ale tam, gdzie sądzi, że idzie o jej sławę, tam jej charakter staje się straszny i prędko jak błyskawica.

— Jużemy ją nieźle poznali, milordzie, bez jej uporu zupełnie inaczej potoczyłyby się wypadki. Sam nie wiem, jakiego chwycić się fortelu, ale zdaje się, że ten, kto jest przyczyną niebezpieczeństwa, powinien także przyłożyć się ze swej strony do odwrócenia go.

— Nie ma żadnej władzy ani prośby, mogącej ją nakłonić do przyjęcia twego nazwiska choć na jedną chwilę.

— Trudno, nie ma co mówić! — rzekł Varney z przekąsem i nie zatrzymując się dłużej nad tym tematem dodał: — Czy by nie można było podstawić inną osobę na jej miejsce? Rzeczy takie już nieraz się zdarzały i to na dworach monarchów równie przenikliwych jak Elżbieta.

— Szaleństwo! — odpowiedział hrabia. — Rzekoma Amelia zetknie się z Tressilianem, a wtenczas nastąpi niechybne odkrycie fałszu.

— Tressiliana będzie można oddalić z dworu — rzekł nie wahając się Varney.

— A to jakim sposobem?

— Wiele jest takich, milordzie, za pomocą których człowiek twego znaczenia może uprzątnąć natręta wglądającego w jego tajemnice i grożącego udaremnieniem wszystkich jego zamysłów.

— Nie mów mi o podobnym postępowaniu, Varneyu, które, oprócz tego że jest niegodziwe, na nic by się nie przydało w tych okolicznościach. Może znajdować się na dworze niemało osób znających osobiście lub z widzenia Amelię Robsart, a w nieobecności Tressiliana nie trudno sprowadzić jej ojca albo kogokolwiek z przyjaciół! Szukaj innego sposobu w twojej płodnej głowie.

— Nie mogę znaleźć innego, ale gdybym był, milordzie, na twoim miejscu, pojechałbym do Cumnor Place i zmusił moją żonę do użycia środków, jakich wymaga wspólne bezpieczeństwo.

— Nie, Varneyu! Nie podobna mi niewolić ją do tego, czym brzydzi się jej szlachetna dusza. Wciągać ją do tego szalbierstwa, to znaczy płacić podłą niewdzięcznością za miłość, którą dla mnie cała oddycha.

— Wiem, milordzie, że jesteś mądrym i zacnym panem i że twoje czułe serce pełne jest tych romantycznych skrupułów rozpowszechnionych może w jednej tylko Arkadii, jak pisze twój siostrzeniec Filip Sidney. Jestem twoim wiernym sługą, człowiekiem tego świata i za szczęśliwego się poczytuję, że raczyłeś czasem posłużyć się moimi wiadomościami i nie odrzuciłeś korzyści dających się z nich wyciągnąć. Chciałbym teraz wiedzieć, czy w tym szczęśliwym związku zobowiązanie znajduje się z twojej strony, czy ze strony hrabiny? I kto z was dwojga ma więcej powodów okazywania drugiemu posłuszeństwa w unikaniu wszystkiego, przez co by druga strona na niebezpieczeństwo narażoną być mogła?

— Powtarzam ci, Varneyu, jej piękność i cnoty nie tylko zasługują, ale tysiąc razy przechodzą to wszystko, co uczynić dla niej było w mojej mocy: nigdy bowiem bogactwa nie stały się udziałem osoby, umiejącej nadać im więcej nowego blasku i chwały.

— Winszuję ci, milordzie, takiego szczęścia!—rzekł Varney z uszczypliwym uśmiechem, którego nawet uszanowanie należne panu od sługi nie zawsze przytłumić mogło. — Cieszę się mocno, że jesteś szczęśliwy ze swego stanu. Będziesz miał dość czasu na rozplýwanie się nad przymiotami tak pięknej i miłej istoty, skoro posiedzisz sobie w wieży londyńskiej przez okres stosowny zapewne do przestępstwa, jakim było oszukanie miłości Elżbiety Tudor. Lżejszej kary, o ile mi się zdaje, spodziewać się nie możesz.

— Złośliwy czarcie! Jak śmiesz natrząsać się z mego nieszczęścia? Niech będzie, jak chcesz!

— Jeżeli to prawda, co mówisz, trzeba, żebyś jak najprędzej pośpieszył do Cumnor Place.

— Sam tam pośpiesz, wszak szatan dał ci tę umiejętność skutecznego przekonywania w złej sprawie. Moja twarz zdradziłaby podłość duszy, gdyby mi przyszło namawiać kogo na takie oszukaństwo. Precz, mówię, z tymi radami! Mam cię prosić jeszcze o moją ostateczną hańbę?

— Nie, milordzie — rzekł Varney — ale jeżeli doprawdy chcesz mi powierzyć wykonanie tego koniecznego posunięcia, dajże mi list do hrabiny i pozwól użyć wszystkiego, co będzie w mej mocy, na poparcie zawartego w nim życzenia. A takie



wysokie mniemanie mam o miłości hrabiny ku tobie i jej gotowości w dopełnieniu twej woli, iż nie wątpię bynajmniej, iż raczy przybrać na kilka dni nazwisko pospolitego człowieka, które przecież co do starożytności nie ustępuje jej panieńskiemu.

Leicester siadł do stolika i zaczynał trzy lub cztery listy do żony, ale nie dokończywszy żadnego, podarł wszystkie w kawałki. Skleił na koniec kilka wierszy bez związku, w których zaklinał ją, aby dla tajemnych przyczyn, ściśle związanych z jego honorem i życiem, chciała nazywać się przez kilka dni żoną Varneya w czasie pobytu królowej w Kenilworth. Dodał także, iż Varney wyłoży jej wszystkie pobudki, dla których ta ostrożność stawała się konieczna. Podpisawszy i zapieczętowawszy list rzucił go przez stół Varneyowi, dając znak, aby natychmiast z nim odjechał, co też doradca nie omieszkał prędko wykonać.

Leicester stał w miejscu jak skamieniały, póki nie usłyszał, że ktoś wyjechał z dziedzińca, gdyż Varney nie zmieniając ubioru siadł na konia i z jednym tylko służącym puścił się w drogę. Hrabia rzucił się do okna z chwilową chęcią odwołania niegodziwego poselstwa, powierzonego człowiekowi, w którym, jak często powiadał, nie znał innej cnoty jak tylko przywiązanie do swego pana.

Ale już Varney nie mógł posłyszeć wołania a niebieskie sklepienie utkane gwiazdami, które ówczesny wiek uważał za księgę przeznaczeń, rozpościerające się przed wzrokiem Leicesterera, oderwało jego uwagę od ważniejszych przedmiotów.

— Jak się one toczą cichym, ale potężnym obrotem! — mówił sam do siebie spoglądając w górę. — Nie mają głosu dla ucha, ale wywierają silny wpływ na mieszkańców tej lichej planety. Jeśli nie bają astrologowie, teraz właśnie waży się szala mego przeznaczenia! Zbliża się godzina, której kazano mi się lękać, ale też mówiono, że ta sama chwila ma być dopełnieniem mojej wielkości. Mówił, że zostanę królem. Gdzież korona? A, korona małżeńska! Kiedy tak słaba nadzieja — mniejsza o to! Bogate Niderlandy wzywały mnie jako wielkorządcę i ofiarowywały swoją koronę, gdyby Elżbieta zgodziła się na to. Nie mam prawa do niej nawet w tym królestwie? Wszak prawa domu Yorku spadły za pośrednictwem Jerzego of Clarence na ród Huntingdonów; a gdyby Elżbiety zabrakło, czy ja sam nie jestem z Huntingdonów? Ale nie chcę dociekać głębiej tych ważnych i strasznych tajemnic. Trzeba przez niejaki

czas chodzić ciemnymi i krętymi ścieżkami, jak rzeka podziemna, nim przyjdzie czas, kiedy będę mógł wypłynąć w całej mojej mocy i porwać za sobą wszystko, co ośmieli sprzeciwić się memu biegowi.

Gdy Leicester tak przytłumiał głos sumienia składając winę na konieczność polityczną i kiedy błądził wśród dzikich marzeń ambicji, jego sługa był już daleko od zamku śpiesząc co tchu do przeznaczonego miejsca.

Varney żywił także wielkie nadzieje. Przywiódł Leicesterera do tego, że mu powierzał najskrytsze tajemnice swego serca i używał za pośrednika w najbardziej poufalech zleceniach dla swej żony. Przewidywał Varney, że trudno już będzie jego panu obejść się bez niego albo nie uczynić zadość choćby najniesłuszniejszym jego żądaniom. A gdyby ta harda niewiasta, jak nazywał hrabinę, przystała na życzenie Leicesterera, wówczas Varney, jej mąż mniemany, znalazłby się w takim względem niej położeniu, że nie przewidywał nawet granic swojej śmiałości.... chyba aż w zupełnym triumfie, będącym przedmiotem jego piekielnych uczuć, między którymi zemsta za doznane od niej wzgardy pierwsze zajmowała miejsce. Przychodziło mu na myśl, że jednak hrabina nie da się może nakłonić do grania roli, jaką dla niej przeznaczał w kenilworthskim dramacie.

— Wtenczas — pomyślał — Alasco pokaże, co umie. Słabość podamy jako przyczynę, dla której milady Varney nie mogła złożyć hołdu królowej. Tak jest! Będzie to długa i niebezpieczna choroba, jeżeli tylko Elżbieta nie przestanie poglądać na Leicesterera życzliwym okiem. Trafia się piękna okazja zostania faworytem królewskim, nie opuszczę jej dla braku stanowczych i nieodwołalnych decyzji. Dalej, koniu! dalej!.... Ambicja i nadzieja władzy, rozkoszy i zemsty tak głęboko zapuszczają swe korzenie w me serce, jak ja ostrogi między twoje żebra. Pośpieszaj, koniu, pośpieszaj! Zły duch gna obu nas naprzód!

## ROZDZIAŁ IV

Każesz mi piękność przed światem ukrywać,  
Grożąc, iż zgaśnie wśród dworskich pań grona;  
Okrutny! na cóż ją było wyrywać  
Z miejsc, gdzie wprzód kwitła wolna i wielbiona?  
Już nie pośpieszasz w samotnym ukryciu  
Pocieszyć tęskniącą, kochaną zobaczyć;  
Wieść o mej śmierci lub wzgardzonym życiu  
Mało dla ciebie może będzie znaczyć

Juliusz Mickle Cumnor Hall

Wytworne kobiety wszystkich czasów na pewno zgodziłyby się z tym, że młoda i zachwycająca hrabina Leicester, oprócz tego że była młoda i piękna, posiadała jeszcze inne przymioty nadające jej prawo do zajęcia miejsca między niewiastami pierwszego rzędu. Rozwinęła ona, jak to widzieliśmy przy spotkaniu z kramarzem, talent robienia niepotrzebnych sprawunków dlatego jedynie, że lubiła nieużyteczne, ale piękne fatałaszki, które zaraz po nabyciu przestają bawić i podobać się. Umiała także spędzić znaczną część dnia przy gotowalni, choć jej bogate szaty mogły tylko wywołać na pół uszczypliwe pochwały skromnej Joanny albo potakujące wejrzenie własnych pięknych oczu, jedynych świadków blasku odbitego w jasnym zwierciadle.

Można było wprawdzie przebaczyć Amelii jej płochość i dziecinne rozrywki, wychowanie bowiem, jakie wówczas dawano, bardzo mało albo nic zgoła nie przyczyniało się do wykształcenia umysłu z natury żywego i nie dającego się nagiąć do żadnej pracy. Gdyby nie lubiła zbierać błyskotek i stroić się, mogłaby zapewne tkać kobierce czy też wyszywać na płótnie i zdobić swymi robotami ściany zamku Lidcote Hall, mogłaby czasem bawić się czytaniem, czasem rozerwać się poważniejszym zajęciem przygotowując ogromny pudding dla ojca wracającego z polowania, ale Amelia z natury nie miała ochoty ani do gospodarstwa, ani do igły, ani do książki.

W dziecinnym jeszcze wieku straciła matkę, ojciec dogadzał jej we wszystkim, a Tressilian, który z otaczających ją osób jeden tylko mógł i chciał rozwinąć jej umysł, zraził ją do siebie tym, że z początku zbyt gorliwie wziął się do nauczycielskiego

powołania; z tej to przyczyny ta młoda i próżna dziewczyna, której chęciom nigdy nikt sprzeciwić się nie śmiał, zawsze spoglądała na niego z jakąś bojaźnią i uszanowaniem, ale nigdy nie czuła do niego tego przywiązania, które chciał w niej widzieć.

Dlatego szlachetna uroda hrabiego Leicestera, jego słodkie i ujmujące spojrzenia, jego gładkie pochlebstwa tyle miały mocy, że Amelia Robsart swe serce i wszystkie myśli ku niemu obróciła, nim poznała w nim ulubieńca fortuny opływającego w dostatki, zajmującego tak wysokie stanowisko.

Leicester, wpadając często do Cumnor Place w początkach jeszcze ich małżeństwa przyzwyczał ją nieco do samotności, na którą była skazana; ale odkąd jego odwiedziny stawały się coraz rzadsze, a przerwy między nimi zapełniały tylko listy z usprawiedliwieniem, nie zawsze namiętne, a najczęściej zwężłe, krótkie, od tego czasu podejrzenie i tęsknota zaczęły wkradać się do wspaniałych pokoiów, które miłość poświęciła piękności.

W odpowiedziach swoich hrabina może zbyt bezpośrednio wynurzała te uczucia Leicesterowi prosząc go i zaklinając, aby ją wydobył czym prędzej z tego kąta i uroczyście uznał za żonę; a składając swe dowody z całą umiejętnością, na jaką tylko zdobyć się mogła, pochlebiała sobie, że jej gorące prośby będą najlepszym argumentem i przyspieszą pożądane zakończenie. Często nawet mieszała do nich wyrzuty, na które nieraz żalił się Leicester przed swym sługą.

— Uczyniłem ją hrabiną — mawiał do Varnera — zdaje mi się, że powinna wstrzymać się cokolwiek z włożeniem korony, póki to zgadzać się nie będzie z moim życzeniem.

Ale Amelia brała te rzeczy całkiem z innego punktu widzenia.

— Co mi po tych dostojnościach, po tych zaszczytach, Joasiu — mawiała do swej panny służebnej — jeżeli mam tu żyć jak niewolnica, nieznana ludziom i światu, bez żadnego towarzystwa i ciągle wystawiana na obmowne języki, szarpiące moją dobrą sławę. Nie dbam, Joasiu, o te kosztowne perły, które mi wplatasz we włosy, powiadam ci, że gdybym w Lidcote Hall zatknęła różę za warkocze, mój ojciec przywołałby mnie dla przypatrzenia się jej z bliska; pleban, poczciwy staruszek, uśmiechnąłby się, a Mumblazen powiedziałby coś o róży w czerwonym polu; a teraz jestem tu jak posąg

ozdobiony złotem i drogimi klejnotami, a nikt nie widzi mego przepychu oprócz ciebie, Joasiu! Był tu, prawda, biedny Tressilian, ale niepotrzebnie o nim wspominam. — Naprawdę niepotrzebnie — odpowiedziała jej roztropna towarzyszka — nadto często wspominamy o nim.

— Na nic mi twoje przestrogi, Joasiu! Urodziłam się wolna, chociaż teraz zamurowana jestem w tym więzieniu jak piękna zagraniczna niewolnica, nie zaś jak żona angielskiego lorda. Znosiłam to wszystko z rozkoszą, póki byłam pewna, że mnie kocha, ale teraz moje serce oswobodzi się z więzów, usta przerwą długie milczenie — wyjawię najskrytsze uczucia, chociażby tysiąc razy zacieśnić mieli moje okowy! Powtarzam ci, Joasiu, kocham mego męża, kochać go będę aż do ostatniego tchu i nie mogę przestać go kochać, choćbym nawet chciała... i gdyby on sam (Boże! czyż to może nastąpić) przestał mnie kochać! Ale powiadam szczerze, byłabym szczęśliwa w Lidcote Hall, chociażbym nawet musiała zostać żoną biednego Tressiliana z melancholijnym wejrzeniem i głową pełną nauki, którą dawniej lekce sobie ważyłam. Mawiał mi nieraz, że gdybym chciała czytać jego ulubione książki, przyszedłby czas, gdy byłabym wdzięczna za jego rady — i zdaje mi się, że teraz właśnie nadeszła ta chwila.

— Kupiłam ci, pani, kilka książek — rzekła Joanna — od jakiegoś chromego księgarza, który je sprzedawał na rynku.

— Byle tylko nie purytańskie. Pokaż je tu, Joasiu! Zobaczę, coś mi kupiła: „Para szczypców do złotego świecznika”, „Garstka mirry i hizopu na oczyszczenie skalanej duszy”, „Szlanka wody z równiny Baka”, „Losy i pochodnie Samsona”. Cóż mi po tej zbieraninie, moja Joasiu?

— Niestety, pani, pierwszym moim obowiązkiem było pokazać ci drogę do zbawienia, ale jeżeli ją opuszczasz, oto masz, jak mi się zdaje, sztuki dramatyczne i poezje.

Hrabina zaczęła przeglądać niedbale książki, teraz tak rzadkie, że mogłyby wzbogacić dwudziestu księgarzy. Były tam: Książka kucharska drukowana u Ryszarda Lant; Dzieła Skeltona, Rozrywki ludu; Zamek wiadomości itd., ale i ten rodzaj literatury nie przypadł do smaku Amelii.

Wtem dał się słyszeć na podwórzu tętent koni. Hrabina skoczyła z radości, rzuciła nudną zabawę wertowania starych książek i rzucając je na posadzkę podbiegła do okna, wołając;

— To Leicester! To mój kochany hrabia! Mój Dudley! Każdy krok jego konia odzywa się w mym sercu jak odgłos najprzyjemniejszej muzyki.

W domu zrobił się ruch. Po kilku chwilach wszedł do pokoju Antoni Foster ze zwyczajną sobie pochmurną miną i wilczym spojrzeniem, oznajmiając hrabinie, że pan Ryszard Varney przybył z rozkazu milorda, że jechał dzień i noc i życzy sobie mówić z nią natychmiast.

— Varney? I chce ze mną mówić? Zapewne przynosi mi nowiny o Leicesterze, niech wejdzie!

Varney wszedł do pokoju, gdzie Amelia siedziała w rannym stroju, a jej wrodzony wdzięk i uroda podkreślone były zabiegami Joanny. Najpiękniejszą jej ozdobą były ciemne włosy spadające w gęstych lokach na szyję, mogącą zaćmić białość łabędziego pióra i na piersi wzruszone niespokojnym oczekiwaniem, które okrasiało jej lica żywym rumieńcem.

Varney jak był ubrany towarzysząc panu na pokojach królewskich, tak wszedł do hrabiny, a świetność jego ubioru stanowiła dziwną sprzeczność z nieładem spowodowanym śpieszną jazdą wśród ciemnej nocy i po złych drogach. Na jego twarzy malował się niepokój i zmieszanie właściwe człowiekowi mającemu wypełnić poselstwo, o którym wątpi, że będzie dobrze przyjęte, ale zarazem wywiązanie się zeń uważa za swój obowiązek.

Hrabina spojrzawszy nań zawołała z lękiem:

— Varneyu! Jakie wieści mi przynosisz? Wielki Boże! On chory?

— Nie, Bogu dzięki — odpowiedział Varney — ale uspokój się pani i pozwól mi odetchnąć, jeżeli chcesz, żebym ci wszystko powiedział.

— Nie pozwolę; mój panie! Mogłeś tu przybyć i nie padłeś bez życia, możesz przeto bez wytchnienia powiedzieć mi przynajmniej krótko, po coś tu przyjechał.

— Pani — rzekł Varney — nie jesteśmy sami, a poselstwo milorda jej się tylko tyczy.

— Zostawcie nas, Joasiu i panie Foster, ale zostańcie w drugim pokoju, abyście mogli słyszeć moje wołanie.

Foster i jego córka stosownie do rozkazu hrabiny oddalili się i usłyszeli, że drzwi do sypialnego pokoju zostały zamknięte z przeciwnej strony. Oboje niecierpliwie oczekiwali końca rozmowy.

Ojciec spoglądał dokoła zachmurzonym i podejrzliwym wzrokiem, córka załamywała ręce i do góry oczy wznosiła. Malowała się w nich troskliwość o los jej pani i gorące modły do Boga, aby się jej nic złego nie stało.

Miało się wrażenie, że sam Antoni Foster zdawał sobie sprawę z tego, co się działo w duszy jego córki, gdyż przeszedłszy się raz i drugi po pokoju, rzekł do niej biorąc ją za rękę:

— Dobrze robisz, módl się, Joasiu, módl się, dziecko moje;

Potrzebujemy wszyscy pacierzy, a niektórzy z nas więcej niż drudzy. Módl się, Joasiu, i ja bym się modlił, gdybym nie musiał uważać, co tam gadają w pokoju. Warzy się jakieś nieszczęście, Joasiu, jakieś nieszczęście wisi nad nami. Boże, odpuść nam nasze winy!... To nagłe przybycie Varneya wróży coś niedobrego.

Joanna nie słyszała jeszcze nigdy, aby ją ojciec zachęcał albo nawet pozwalał wglądać w tajemnice, których był wiernym i surowym stróżem. Pierwszy raz zdarzyło się, że jej dał cokolwiek do zrozumienia, a jego głos brzmiał w uszach, sama nie wiedziała dlaczego, jak krzyk puszczyka wróżącego nieszczęście i żałobę. Z bojaźnią obróciła oczy ku drzwiom, jakby spodziewała się jakiegoś krzyku przerażającego albo okropnego widoku.

Jednak cicho tam było jak w grobie i rozmowa w przyległym pokoju toczyła się tak przytłumionym głosem, że jednego słowa nie można było dosłyszeć. Ale wkrótce zaczęli żywo rozprawiać, potem coraz głośniejsze, na koniec hrabina krzyknęła wzburzona nagłym gniewem:

— Otwórz drzwi, Foster! Rozkazuję ci! Otwórz! Nie słucham żadnego tłumaczenia — mówiła dalej tłumiąc swym krzykiem cichszy głos Varneya, dający się niekiedy słyszeć. — Wejdźcie, powiadam wam! Joanno, wołaj na ratunek!... Foster, wysadź drzwi!... Ten zdrajca mnie tu zatrzymuje... Panie Foster, użyj siekiery i drąga, ja za to odpowiem!

— Obejdzie się bez tego wszystkiego — rzekł na koniec Varney tak, żeby być przez nich słyszany. — Nie będę ci się sprzeciwiał, jeżeli chcesz wyjawić przed wszystkimi ważną tajemnicę milorda, której dochowanie i ciebie również obchodzić powinno.

Drzwi zostały otwarte na rozcież. Joanna i jej ojciec wpadli do pokoju dla zbadania przyczyny powtórnego wołania.

Gdy weszli, Varney był przy drzwiach, zgrzytając zębami i piniąc się ze złości, wstydu i bojaźni. Hrabina stała na środku pokoju wzburzona strasznym gniewem. Drobnie żyłki posiniały na jej czole od natężenia i przeraźliwego krzyku, twarz i szyja okryły się jasnym szkarłatem; oczy iskrzyły się jak wzrok uwiezionego orła rzucającego błyskawice na nieprzyjaciela, którego nie może dosięgnąć szponami. Gdyby która z Gracji mogła być opętana przez Furie, Amelia byłaby jej żywym obrazem, bo na jej pięknej twarzy malowała się nienawiść, pogarda i duma połączona z oburzeniem. Jej ruchy i cała powierzchowność wyrażały to samo co mowa i wzrok, czyniąc straszne, ale zarazem zachwycające wrażenie, bowiem potęga wzburzonych namiętności nadała hrabinie tyle wzniosłej i nakazującej powagi, że jej naturalne wdzięki zajaśniały jeszcze w żywszych kolorach. Gdy tylko drzwi odemknęły się, Joanna pobiegła do swej pani, a Foster powolnym krokiem, ale prędzej niż zazwyczaj, zbliżył się do Varneya.

— Na Boga! Pani! Cóż ci się stało? — zawołała Joanna.

— Do stu par diabłów; Cóżżeś ty jej zrobił? — rzekł Foster do swego przyjaciela.

— Kto, ja? Nic! — odpowiedział Varney ze zwieszoną głową i posepnym spojrzeniem. — Oświadczyłem jej tylko wolę milorda, a jeżeli milady nie chce być posłuszna, potrafi lepiej ode mnie odpowiedzieć na twoje pytanie.

— Świadczę się Bogiem, Joanno, że ten zdrajca kłamie podle. Kłamie, powiadam ci, bo mówił mi o rzeczach hańbiących mego szlachetnego męża, podwójnie kłamie, bo chce dopiąć podstępnie celu, który sobie od dawna zamierzył, a który jest tak potworny, że nigdy nie uda mu się go dopiąć.

— Nie zrozumiałaś mnie, pani — rzekł Varney uniżenie. — Zostawmy tę rzecz, póki nie ochłoniesz z gniewu. Gdy przeminie pierwszy zapęd, wyjaśnię ci wszystko.

— Niedoczekanie twoje! — zawołała hrabina. — Patrz na niego, Joasiu. Jak pięknie ubrany. Każdy by powiedział sądząc o nim z powierzchowności, że to zacny człowiek.



A jednak ten zacny człowiek przyszedł wmówić we mnie, że jest wolą mego pana, nawet rozkazem mego prawego małżonka, żebym jechała z nim do Kenilworth i tam w obecności królowej i panów, wobec mego ślubnego męża uznała go, tego samego, który tu stoi przede mną, co czyści suknie i buty, co jest pacholkiem milorda — żebym go, mówię, uznała za mego pana i prawego męża! żebym, wielki Boże; własny oręż obróciła przeciw sobie wtenczas, kiedy upominam się o moje prawa i znaczenie! Żebym zniweczyła moje najśluszniesze żądania! Żebym splamiła honor dostojnej niewiasty mającej kiedyś zająć pierwsze miejsce między angielskimi matronami!

— Słyszysz, Fosterze. słyszysz i ty, dziewczyno, co wygaduje twoja pani? — rzekł Varney korzystając z chwili przerwy, jaką uczyniła hrabina, nie z braku tematu do mówienia, lecz że jej tchu nie stało, — Słyszeliście, za co mię potępia, za co się na mnie oburza. Oto, że zgodziłem się na użycie środka, jaki nasz dobry pan dla utajenia pewnej okoliczności podaje w tym liście będącym jeszcze w jej ręku.

Foster wdał się w ten spór z powagą w twarzy, stosowną, jak mu się zdawało, do ważności poruczonego pośrednictwa

— Muszę ci, pani, powiedzieć szczerze, że jesteś zbyt gwałtowna. Nie można potępiać ani odrzucać zupełnie tego podstępu, wymyślonego dla osiągnięcia chwalebego celu. Wszak Abraham, patriarcha, idąc do Egiptu uczynił coś podobnego, gdy rzekł do Sary, swojej żony: „Mów przeto, proszę cię, że jesteś siostrą moją”.

— Ale Pan Bóg zganił to kłamstwo samemu nawet ojcu wybranego ludu przez usta pogańskiego Faraona. Wstydzicie się, że czytając Pismo Święte takie tylko wybieracie miejsca, które wam są podane za przestrożę, nie zaś jako przykład do naśladowania.

— Ale niech mi wolno będzie powiedzieć — rzekł Foster — że Sara nie sprzeciwiała się woli swego męża, tylko wedle rozkazu Abrahamowego nazywała się jego siostrą, aby mężowi było dobrze za jej przyczyną i aby dusza jego żyła dla jej piękności.

— Opuść mi, Panie Boże, mój gniew nieużyteczny! — odpowiedziała hrabina. — Jesteś, widzę, Fosterze, równie zuchwałym hipokrytą jak ten jegomość bezczelnym oszustem. Nie uwierzę nigdy, aby Dudley mógł myśleć o tak podłym i haniebnym planie, na dowód tego drę to obelżywe pismo, aby nie było najmniejszego śladu tej ohydnej sromoty.

To mówiąc podarła list Leicestera i zdeptała nogami z taką złością, jakby chciała zniszczyć jego najdrobniejsze kawałki.

— Będziecie świadkami — rzekł Varney przychodząc do siebie — że podarła list milorda w tym celu, aby potem mogła powiedzieć, że plan ułożony przez niego jest moim dziełem, a chociaż ten jej zamiar grozi mi niebezpieczeństwem i nabawić może kłopotu, chciałaby jednak zwalić na mnie całą winę i potępić człowieka, który w tym wszystkim nie widzi dla siebie żadnej korzyści.

— Kłamiesz, obrzydły oszuście! — rzekła hrabina pomimo usiłowań Joanny, która chciała ją uspokoić przewidując ze smutkiem, że jej obrona posłuży tylko za oręż przeciw niej samej.—Kłamiesz! — mówiła dalej. — Puść mię, Joanno. Chociażby to było moje ostatnie słowo, kłamiesz, powiadam ci raz jeszcze. Ma on swoje szkaradne cele, chciałby je osiągnąć i szerzej zapewne omówić, gdyby mój gniew pozwolił mi zachowywać milczenie, które z początku ośmieliło go do wyjawienia zdradzieckich zamiarów.

— Pani — rzekł Varney zmieszany pomimo całej swej bezczelności — proszę cię, racz uwierzyć, że jesteś w błędzie.

— Prędzej bym uwierzyła, że dzień jest nocą! Sądysz może, iż zapomniałam o wszystkim? Że nie pamiętam twoich dawniejszych wykroczeń, które gdyby doszły do wiadomości Leicestera, pierwaj byś poszedł na śmierć, niż zaszczycony został jego zaufaniem. O, czemuż nie jestem mężczyzną choć na pięć minut! Dość czasu na zmuszenie takiego jak ty tchórza do wyznania uknutej zdrady. Ale zejdz mi z oczu, idz precz i powiedz swemu panu, że jeżeli już mam zgodzić się na tę niesławę, do jakiej doprowadzić musi podłe zamierzenie, któreś mi polecił w jego imieniu, powiedz mu, że mu dam rywala godniejszego nazwiska. Nie zastąpi go z pewnością podły słuzaiec, który poczytuje sobie za największe szczęście, gdy dostanie od swego pana nie donoszone suknie. Idz precz! powiadam, bo taką czuję ku tobie wzgardę, że wstydzę się nawet swego gniewu na ciebie.

Varney wyszedł z pokoju, zdjęty niemą wściekłością, a za nim Foster, przestraszony nagłym wybuchem wezbranego gniewu i okropnych złorzeczeń, których nigdy jeszcze nie słyszał z ust kobiety tak do tej pory dobrej i łagodnej, iż zdawało się, że żadna myśl zawzięta nie mogła powstać w jej sercu.

Foster szedł za Varneyem z izby do izby, zarzucając go pytaniami, na które przybyły dopiero wtenczas począł odpowiadać, gdy dostali się do starej biblioteki, z którą już zapoznaliśmy naszych czytelników. Tam dopiero obrócił się do swego towarzysza i ozwał się do niego głosem zupełnie spokojnym, bo człowiekowi przywykłemu do panowania nad sobą i rozkazywania swoim wzruszeniom dosyć było kilku chwil na powiązanie wezbranych myśli i odzyskanie zupełnego spokoju.

— Antosiu! — rzekł z właściwym sobie szyderczym uśmiechem. — Muszę ci wyznać szczerze, że kobieta i szatan, co zwiedli mężczyznę na początku świata, odnieśli dziś triumf nade mną. Twoja jęzda z taką pokusą spoglądała na mnie, tak umiała zachować naturalną postawę, gdy ją przekazywałem moje poselstwo, że myślałem, na honor, iż zjawiała się sposobna chwila pomówienia z nią cokolwiek o sobie. Jej się zdaje, że ma moją głowę na misie, ale się myli. Gdzie jest doktor Alasco ?

— W swoim laboratorium — odpowiedział Foster — ale o tej godzinie nie można z nim się wcale widzieć; trzeba poczekać, póki słońce nie zejdzie z południa, inaczej bowiem przerwiemy jego ważne... co mówię? jego boskie dociekania.

— Tak jest! Szuka bóstwa piekielnego, ale kiedy go potrzebuję, to mi wszystko jedno, czy dziś, czy jutro, rano czy w południe. Prowadź mię do jego pandemonium/\* — (\* Pandemonium — państwo szatana.) Rzekłszy to, śpiesznym krokiem udał się za Fosterem.

Ten prowadził go przez tajemnicze korytarze zawałone gruzami do przeciwnego skrzydła czworobocznego gmachu, gdzie w podziemnym lochu, zajęтым teraz przez alchemika Alasco, jeden z abingdońskich opatów, któremu tajemna wiedza zawróciła w głowie, założył laboratorium i w nim obyczajem tylu głupców swego wieku tracił wiele drogiego czasu i niemało pieniędzy dociekając wielkiej tajemnicy.

Antoni Foster zatrzymał się przed drzwiami, które były starannie zamknięte od środka i okazał znowu niechęć, by przerwać pracę mędrca. Ale Varney, mniej delikatny, póty stukał i hałasował, póki gospodarz nie ruszył się, powoli wprowadził go i z wielkim ociąganiem, do odsunięcia wewnętrznych zapor.

Alchemik nareszcie wyszedł. Miał okropne wejrzenie, jego oczy pały od rozżarzonych węgli i pary uchodzącej z tyglów i alembików, nad którymi ślęczał. W środku jego podziemnej izdebki można było dostrzec dziwną zbieraninę różnych i

nadzwyczajnych narzędzi potrzebnych do alchemicznych doświadczeń. Starzec zniecierpliwiony długim kołataniem zamruczał z przekąsem wyszedłszy ze swojej pracowni:

— Czy zawsze mię odrywać będziecie od niebieskich zatrudnień, a powoływać do ziemskich spraw?

— Do piekielnych raczej — odpowiedział Varney — bo to jest twój żywioł właściwy. Nie odchodź, Foster, będziesz nam potrzebny.

Foster wszedł powoli do izby. Varney zamknął za nim drzwi, po czym zasiedli we trzech do tajemnej rady.

Tymczasem hrabina przechadzała się po swoim pokoju, a na jej pięknej twarzy oburzenie walczyło ze wstydem wynikłym z doznanej obelgi.

— Ten zbrodniarz — mówiła do swej służebnej — z najzimniejszą krwią układa i wykonuje swoje niegodziwe zamysły. Alem zdarła z niego, Joasiu, maskę obłudy. Zmusiłam tego chytrego węża, by rozwinął przede mną wszystkie fortele i czołgał się u nóg moich w całej swej szpetocie. Chociaż trudno mi było pohamować gniew, póty go jednak tłumiałam w sobie, póki ta poczwara nie odkryła mi najskrytszych tajników swego serca, czarniejszych od piekielnych przepaści. Leicesterze! Czy może to być prawdą, abyś kazał mi zrzec się choć na chwilę tych praw, jakie mi ślubny związek nadaje? Albo żebyś miał ich ustąpić komuś innemu? Ale to niepodobna! Ten zdrajca skłamał bezczelnie, Joasiu. Nie myślę bawić tu dłużej... lękam się Varneya, lękam się twego ojca... z żalem ci to mówię, Joasiu, lękam się twego ojca, a nade wszystko tego obmierzłego Varneya. Ucieknę z Cumnor.

— Niestety, pani! Dokąd i jakim sposobem uciekniesz z tych murów?

— Tego nie wiem — rzekła nieszczęśliwa Amelia wznosząc oczy ku niebu i załamując ręce. — Nie wiem, dokąd i jakim sposobem stąd ucieknę, ale jestem pewna, że Bóg, któremu służę, nie opuści mię w tym okropnym przesileniu mych nieszczęść, bo jestem w rękach złych ludzi.

— Nie sądź tak pani o moim ojcu; surowy, prawda, jego obyczaj, ściśle i ostro wypełnia poruczone mu zlecenia, ale przy tym wszystkim...

Nagle wszedł Antoni Foster niosąc w ręku szklany kubek i niewielką flaszeczkę. Jego zachowanie się było dziwne. Dawniej, ile razy zbliżał się do hrabiny z uszanowaniem

należnym jej stanowi, nie chciał albo raczej nie mógł ukryć szorstkości swego charakteru, która w ludziach takich jak on daje się zazwyczaj odczuć tym wszystkim, nad którymi okoliczności nadały im prawo rządzenia. Lecz teraz swoją ponurą surowość ukrył pod płaszczykiem niezgrabnej grzeczności i źle udanego uszanowania, podobnie jak zbójca, który pod łachmanami ukrywa pałkę i pistolety.

A jednak widać było, że jego uśmiech pochodził raczej z bojaźni niżeli dworności i zdawało się, że prosząc hrabinę, aby skosztowała drogiego napoju, mającego, jak oświadczał, wzmocnić jej umysł i serce po niedawnym przestraszeniu, knuł w duszy jakąś zdradę.

Gdy drżącą ręką podawał kubek i zachrypłym głosem zachęcał do wypicia go, cała postawa Fostera miała w sobie coś tak podejrzanego, że Joanna długo i z wielkim zdziwieniem wpatrując się w ojca zdawała się gotować do wykonania śmiałego postanowienia.

Podniosła głowę, wyprostowała się i ze zdecydowaną miną, wskazującą na powzięcie niezachwianej decyzji, podeszła do ojca, wzięła kubek z jego rąk i rzekła cichym, ale dobitnym głosem:

— Ojcze! Wypiję za moją panią, jeżeli taka będzie jej wola.

— Nie, moje dziecko! — odpowiedział Foster z pośpiechem i bojaźnią. — Nie, moje dziecko, to nie twoja sprawa.

— Czemu nie moja? Jeżeli ten napój może wypić moja pani, dlaczegożbym ja nie mogła go wypić?

— Dlaczego? Dlaczego? — rzekł podczaszy jękając się i wpadając w złość, co było najłatwiejszym sposobem zastąpienia brakujących powodów. — Dlaczego? Co to za pytanie? Ja tak chcę i koniec na tym. Idź mi zaraz na nieszpory.

— Ja pragnę bardzo być na nabożeństwie, ale szczerze powiadam, że nie pójdę dziś na nieszpory, póki nie będę pewna bezpieczeństwa mojej pani. Daj mi, ojcze, ten kubek — i pomimo oporu wzięła kubek z ręki Fostera, który go oddał, jakby tknęło go sumienie.

— Co miało pomóc mojej pani — mówiła dalej — nie zaszkodzi zapewne twojej córce. Ojcze! Piję do ciebie.

Foster, nie mówiąc słowa, rzucił się do córki, wydarł jej kubek, lecz zmieszany tym, co uczynił i nie wiedząc, co dalej począć, stanął jak wryty z kubkiem w rękę spoglądając na córkę oczyma, w których malowała się wściekłość i bojaźń.

— Dziwna rzecz, mój ojczy! — rzekła Joasia spoglądając na niego wzrokiem, jakim ci, którym powierzony jest dozór nad wariatami, straszą swych nieszczęśliwych pacjentów. — Nie pozwalasz mi usłużyć mojej pani ani wypić jej zdrowia?

W czasie tej okropnej sceny odwaga nie opuściła hrabiny. Zachowała nawet zwykłą sobie obojętność, choć zbladła pod wpływem przestachu, twarz jej wyrażała jednak wewnętrzny spokój, niemal pogardę wobec grożącego jej niebezpieczeństwa.

— Nie chcecież, panie Foster, skosztować tego skutecznego napoju? Wypijcie sami za nasze zdrowie, kiedy nie pozwalacie, by Joasia uczyniła nam tę grzeczność. Wypijcie, proszę.

— Nie chcę! — odpowiedział Foster.

— A więc dla kogóż przeznaczony ten napój?

— Dla czarta, który go zgotował! — odpowiedział Foster i wykręciwszy się na pięcie wyszedł z pokoju.

Joanna patrzyła na swoją panią ze wstydem, smutkiem i boleścią.

— Nie płacz nade mną, Joasiu! — rzekła hrabina z dobrocią.

— Nie, pani! — odpowiedziała służąca głosem przerywanym łkaniem. — Nie nad tobą płaczę, ale nad sobą samą... nad tym nieszczęśliwym człowiekiem. Ci, którzy wstydzą się ludzi, potępieni przez Boga, ci mają przyczynę płakać i smucić się. Niewinnym cieszyć się i weselić! żegnam cię, pani! — rzekła biorąc śpiesznie płaszczyk, w którym zwykle wychodziła z domu.

— Opuszczasz mię, Joasiu? Porzucasz mię w tak okropnej chwili?

— Ciebie, pani, opuszczać? — zawołała Joasia i wróciwszy do niej całowała jej rękę.

— Ja bym cię mogła odstąpić w nieszczęściu? Niech mnie opuści nadzieja zbawienia, jeżeli to uczynię. Nie, pani! Dobrześ powiedziała, że Bóg, któremu służysz, wybawi cię z tej niewoli. Znajdzie się sposób ucieczki. Modliłam się dzień i noc i prosiłam Boga, aby mnie oświecił i nauczył, komu mam być posłuszna, czy tobie, czy temu nieszczęśliwemu, co wyszedł niedawno. Ten straszny, ten okropny wypadek oświecił

mię teraz. Nie powinnam zamykać bramy uwolnienia, którą ci Pan Bóg otwiera. Nie pytaj mnie więcej, zaraz powrócę.

To mówiąc owinęła się w płaszczyk i wyszła z domu powiedziawszy staruszce w przedpokoju, że idzie na nieszpory.

Tymczasem jej ojciec powrócił do laboratorium, gdzie zastał wspólników zamierzonej zbrodni. — A co, napiła się ptaszyna? — zapytał Varney z uśmiechem, a astrolog słowa nie mówiąc powtórzył oczyma to samo pytanie.

— Nie napiła się! — odpowiedział Foster. — I nie napije się z moich rąk. Czyż chcecie, żebym popełnił zabójstwo przy mojej córce?

— Nie mówiono ci, tchórze, że tu nikt nie myśli o zabójstwie? — rzekł Varney z gorzkim przekąsem. — Widzisz go, jak się zląkł, jak mu oczy osowiały! Nie mówiono ci, ośle, że z tego wszystkiego wyniknie tylko maleńka słabość, jaką lubią zmyślać kobiety, by zamiast trudnić się domowym gospodarstwem chodzić do południa z owiazaną głową i wylegiwać się po całych dniach w łóżku? Ten oto mędrzec gotów ci to zaprzysiąc na klucz od zamku mądrości.

— Przysięgam — rzekł Alasco — że eliksir, który trzymasz w ręku, nie ma własności odbierania życia. Przysięgam na odwieczny i nieśmiertelny pierwiastek złota napełniający wszystkie twory przyrodzenia, chociaż jego utajone obecność ten tylko odkryć może, komu Trismegistos powierzył klucz od kabalistycznych umiejętności.

— Oto masz przysięgę nad przysięgami! — rzekł Varney.— Trzeba być gorszym, Fosterze, od samego poganina, żeby nie wierzyć takiemu zaklęciu. Co do mnie, nie przysięgam inaczej, tylko na słowo honoru, ale wierz mi, mój Antoni, że jeżeli nie wykonasz tego, cośmy ci polecili, zniknie dla ciebie nadzieja, ba, nawet najmniejszy promyk nadziei zamienienia dzierzawy na wieczystą własność. Alasco przestanie wydobywać z twojej cyny pierwiastki czystego złota, a ty, poczciwy Antośku, jak byłeś, tak będziesz moim włodarzem.

— Nie wiem, moi panowie, jakie wasze zamiary, to wam tylko powiadam, że niech się co chce stanie, muszę mieć kogoś przy sobie, kto by się modlił za mnie, a tym kimś jest moja córka. Źle żyłem na świecie i ziemia dłużej nosić mię nie zechce, a ona jest tak niewinna, jak gdyby będąc jeszcze dzieckiem igrała na łonie matki, ona

przynajmniej dostanie się do tego szczęśliwego miasta, którego mury są z czystego złota a fundamenty z drogich kamieni.

— To by dopiero był prawdziwy raj dla ciebie! — rzekł Varney. — Porozmawiaj z nim o tym, panie doktorze, ja za kilka chwil powrócę do was. — I wzięwszy flaszkę ze stołu wyszedł z izdebki.

— Mój synu! — rzekł Alasco do Fostera po odejściu Varneya. — Chociaż ten wyuzdany szyderca naśmiewa się z wysokiej umiejętności, w której przy pomocy niebios tak daleko postąpiłem, że najmędrszego nawet z żyjących dziś uczonych nie chciałbym uznać moim nauczycielem, choć, jak mówię, ten potępieniec natrząsa się z rzeczy, które dla swej świetności nie mogą być pojęte przez ludzi cielesnych i bezbożnych, upewniam cię jednak, że miasto ujrane przez świętego Jana niczym innym nie jest, tylko odkryciem wielkiej tajemnicy, za pomocą której najdroższe i najdoskonalsze twory przyrodzenia zostaną wydobyte z najsurowszych i najpodlejszych płodów, tak właśnie jak lekki i piękny motylek, najpiękniejsze dziecko letniego zefiru, wylega się z obrzydliwej gąsienicy.

— Wielebny Holdforth nic mi o tym nie mówił — rzekł Foster z powątpiewaniem — a nadto powiedziane jest w Piśmie Świętym, że złoto i klejnoty rajy nie dla tych, co gotują zgubę i żyją w kłamstwie.

— Dobrze, mój synu, ale jakież z tego wnioszek?

— Taki, że kto warzy trucizny i sprzedaje je ukradkiem, nie będzie miał udziału w radościach przyszłego życia.

— Zapominasz jednak — odparł alchemik — że trzeba odróżniać to, co jest zawsze złe w swych skutkach i ostatecznym wyniku, od tego, co choć z natury swej jest złe, spowodować może również dobro. Jeśli przez śmierć jednej ludzkiej istoty zostanie do nas przybliżony okres szczęśliwości i wszystko zło tego świata zniweczone, jeżeli choroba, cierpienie, ból staną się dzięki temu pokornymi sługami ludzkiej mądrości, a sztuka leczenia częścią potężnej wszechwiedzy medycznej, gdy mędrcy będą władcami ziemi, na których skinienie śmierć uchodzić będzie w popłochu, gdy wszelkie bogactwa staną się udziałem pokornych sług wiedzy, jeśli błogosławione dopełnienie tego wszystkiego nastąpi rychlej przez mało ważny przypadek, że mdłe ciało, które i tak skazane na zagładę znajdzie się w grobie nieco szybciej, niżby się to



stało za sprawą natury — to czyż nie warto jest złożyć tę drobną ofiarę na ołtarzu świętego Millenium!

— Milienium oznacza panowanie świętych—mruknął Foster zbity z tropu.

— Oznacza ono, synu mój, panowanie mędrców, a właściwie samej Mądrości.

— Roztrząsałem to pytanie z wielebnym Holdforthem — rzekł Foster. — Utrzymuje on, że nauka twoja jest kacerską, a tłumaczenie fałszywe i diabelskie.

— Synu mój! On jest skrepowany więzami niewiedzy—odpowiedział Alasco. — Zaledwie mógłby palić cegły w Egipcie albo błąkać się po jałowych puszczech Synaj, źleś zrobił, żeś rozmawiał z nim o takich rzeczach. Zobaczysz, że wyzwę wkrótce tego teologa lubiącego zbijać wszystko; wyzwę go, mówię, chociażby miał walczyć ze mną jak czarnoksiężnicy walczyli z Mojżeszem w obecności Faraona. Postawię mu zarzut przy tobie, a oczy twoje, mój synu, będą świadkami prawdy.

— Nie daj się, nie daj, uczony człeczko!—rzekł Varney nadchodząc w tej chwili.

— Varney!—rzekł chemik.—Już tak prędko z powrotem? Czyś...

— Czym spełnił zlecenie, chciałeś zapytać? Tak jest, spełniłem, ale ty czyś pewny, żeś nie przesadził miary?

— Tak jest!—odpowiedział Alasco. — Ile tylko można być pewnym w tak delikatnych mieszaninach, bo rozmaite są ludzkie natury.

— Oj, jeżeli tak, to jestem zupełnie spokojny; wiem bowiem, że tyle tylko bratasz się z diabłem, ile cię zniewala wzięta za to nagroda. Opłacony zostałeś za sprawienie choroby, byłoby więc nieroztropną z twojej strony hojnością popełniać zabójstwa za tę samą cenę. Chodźmy spać! Zobaczymy, co jutro będzie.

— Czymże u licha mogłeś ją skłonić do wypicia tego lekarstwa ? — zapytał Foster ze drżeniem.

— Spojrzałem na nią wzrokiem, jakim się poskramia obłąkanych, kobiety i dzieci. Powiadano mi w szpitalu świętego Łukasza, że mam właśnie wzrok do poskramiania nieposłusznych wariatów. Dozorcy szpitala winszowali mi tego spojrzenia. Widzisz więc, że straciwszy łaskę u dworu, miałbym już pewny zarobek.

— Nie obawiasz się — przerwał Foster — aby ilość ta nie była przesadzona albo niedostateczna?

— A choćby i tak było!—odpowiedział Varney.—Mocniej by sobie usnęła i na tym koniec. A nawet obawa czegoś gorszego nie przerywałaby pewnie mego spoczynku. Bądźcie zdrowi, przyjaciele!

Antoni Foster westchnął głęboko, wznosząc oczy i ręce ku niebu. Alchemik oświadczył, iż zamierza przepędzić większą część nocy nad ważnym nader doświadczeniem. Foster zaś i Varney poszli spać, każdy do swego pokoju.

## ROZDZIAŁ V

Boże! Ty bądź pomocą, strażę nieszczęśliwej!  
Nadzieja wsparcia ludzi zgasła mi, niestety!  
Któż by chciał dojrzeć losu ufnej, dobrej, tkliwej,  
Kochającej, statecznej, wzgardzonej kobiety?  
Szczęście jest jej niewolą chwała upokarza,  
A dobroć liczby tylko niewdzięcznych przysparza.

Pielgrzymka miłości

Dzień już się miał ku schyłkowi, gdy Joasia, obawiając się, by długą nieobecnością nie obudzić podejrzeń w nieufnych mieszkańcach Cumnor Place, wracała śpiesznie do pokoju, w którym zostawiła hrabinę. Zastała ją z głową zwieszoną i rękami opartymi na stole. Mimo jej przybycia hrabina nie poruszyła się, ani nie podniosła oczu.

Wierna sługa podbiegła szybko do swojej pani i podnosząc ją z lekka prosiła usilnie, by spojrzała na nią i raczyła powiedzieć, co było przyczyną zmartwienia. Nieszczęśliwa Amelia podniosła głowę, zwracając ku niej dzikie spojrzenie i twarz bladą jak kreda:

— Joasiu! — rzekła. — Zażyłam ten napój.

— Napój ten nie może ci zaszkodzić — odpowiedziała Joasia. — Wstań, pani, otrząśnij się z tego uśpienia i oddal rozpacz twej duszy.

— Joasiu, nie przeszkadzaj mi, zostaw mnie samą, dozwól, niech spokojnie zakończę życie. Jestem otruta.

— Nie jesteś, nie jesteś! — rzekła z uniesieniem młoda dziewczyna. — Coś wypila, zaszkodzić ci nie może; przybyłam tu śpiesznie uwiadomić cię, że wszelkie środki ucieczki są w twojej mocy.

— Ucieczki! — zawołała nieszczęśliwa hrabina podnosząc się z miejsca ze wzrokiem odzyskującym dawny blask i twarzą ożywioną. — Niestety! Joasiu, już za późno.

— Nie, droga pani! Wstań, oprzyj się na mnie i przejdź się po pokoju. Nie pozwalaj, aby wyobraźnia twoja przyśpieszała skutek trucizny. Czy nie czujesz, żeś odzyskała zupełną władzę?

— Odretwienie moje zmniejsza się — rzekła hrabina przechadzając się po pokoju wsparta na ramieniu Joasi. — Ale czy na pewno to, co wypiałam, nie jest trucizną? Był tu Varney w czasie twej nieobecności, patrząc na mnie wzrokiem, w którym czytałam moje przeznaczenie, kazał mi wypić fatalny napój. Ach! Joasiu, on musi być okropny, bo czyż mogło niewinne lekarstwo pochodzić z rąk takiego człowieka?

— Uspokój się, pani. Bóg zniweczy zamiary złych ludzi. Wierzaj mi, przysięgam ci na świętą Ewangelię, że życie twoje jest zabezpieczone od tej trucizny. Ale czemuż się nie oparła?

— W domu było cicho, tyś odeszła, on sam jeden tylko znajdował się ze mną... On, który gotów jest do wszelkiej zbrodni. Zawarowałam sobie tylko, aby mię uwolnił od swojej nieznośnej obecności i wypiałam, co mi podał. Ale, Joasiu, wspomniałaś mi o ucieczce, czy mogę dostąpić tego szczęścia?

— Masz pani dość sił, by usłyszeć tę nowinę i szukać ucieczki?

— Wystarczy sił! — przerwała hrabina. — Spytaj łani, którą psy już schwycić mają, czy ona ma dosyć siły do przeskoczenia przepaści? Czuję, że mi nie zabraknie męstwa potrzebnego do wydobywania się z tego więzienia.

— Racz mię tedy posłuchać. Człowiek, o którym sędzę, że ci jest przychylny, ukazywał mi się pod różnymi postaciami, starając się zawsze wejść ze mną w rozmowę. Lecz do dzisiejszego wieczora będąc zawsze w niepewności, nie chciałam go słuchać. Jest to ten kupczyk, który przynosił towary, ten antykwariusz, u którego książki kupiłam. Ilekroć wychodziłam, zawsze byłam pewna, że się z nim spotkam. Wypadki dzisiejsze skłoniły mię do pomówienia z nim. Czeka on teraz przy tylnej furcie parku, opatrzony w to wszystko, co może ułatwić ucieczkę. Ale czujeszże w sobie dosyć siły, masz dosyć męstwa, by wykonać ten zamiar?

— Nie zbędzie temu na siłach, kto ucieka przed śmiercią, a temu, co chce ująć zniewagi i wstydu, nie zabraknie męstwa. Sama nadzieja wydarcia się z rąk złoczyńcy, czyhającego na me życie i honor, dodałaby mi sił do podniesienia się nawet ze śmiertelnej pościeli.

— A więc, milady, muszę cię pożegnać i poruczyć świętej Opatrzności.

— Jak to, Joasiu? Nie chcesz ze mną uciekać?—rzekła zatroskana hrabina. — Mam cię już utracić? Takie to dajesz mi dowody swojej wierności?

— Chętnie bym poleciała za tobą, droga pani, jak ptak, co się wymknie z klatki, ale tym sposobem wszystko by się natychmiast odkryło i dało powód do niezwłocznego ścigania. Zostać muszę dla ukrycia prawdy przez pewien czas. Oby niebo przebaczyło mi kłamstwo dla jego niezbędnej konieczności.

— Będę więc musiała sama jedna puścić się w drogę z nieznanym człowiekiem? Zważ, Joasiu, czy nie jest to jakiś czarny podstęp, uknowany w tym celu, aby mnie oddzielić od ciebie, jedynej mej przyjaciółki?

— Nie, pani, nie dopuszczaj tej myśli. Uczciwy ten młodzieniec jest przyjacielem Tressiliana i od niego został tu przysłany.

— Jeśli jest przyjacielem Tressiliana — rzekła hrabina — oddam się jego opiece, jak aniołowi zesłanemu z nieba, gdyż nikt nad Tressiliana nie może być wolniejszy od zarzutu fałszu i osobistych korzyści. Zapomina o sobie, byle mógł tylko drugim usłużyć. Niestety! Jakże za to wynagrodzony został?

Zebrały śpiesznie rzeczy, które hrabina miała wziąć z sobą. Joasia związała je w węzełek, dodawszy klejnoty i inne ozdoby, mające wysoką wartość, sądząc roztropnie, że tak drogie rzeczy przydadzą się jej pani w czasie ucieczki. Hrabina Leicester zmieniła swe suknie na podróżną odzież Joasi, lękając się, by wytwornym strojem nie zwrócić na siebie uwagi. Nim wszystko przygotowane zostało, księżyc podniósł się już wysoko na niebieskim sklepieniu, a mieszkańcy zamku pogrążeni byli we śnie lub przynajmniej zamknięci w swych komnatach. Nie było więc żadnej przeszkody do ucieczki, gdyż nikt już nie czuwał.

Antoni Foster, dręczony wyrzutami sumienia, jak każdy grzesznik, przywykł był uważać swoją córkę za Anioła Stróża, co nie przestaje czuwać nad nim mimo licznych jego zbrodni. Jakoż pokładał w niej ufność bez granic. Joasia mogła czynić w domu, co chciała, miała klucz od tylnej furty; wolno jej było chodzić do wsi o każdej porze bądź po zakupy dla gospodarstwa, poruczonego jej staraniom, bądź dla dopełnienia nabożnych obowiązków swej sekty.

Wprawdzie córka Fostera używała tej wolności pod tym uroczystym zaręczeniem, iż nic nie uczyni, co by nie było zgodne z bezpieczeństwem jej pani; odkąd bowiem hrabina zaczęła się zniechęcać i niecierpliwie ścisłym dozorem, obawiano się, aby Joasia nie ułatwiła jej ucieczki. Ale okropne wypadki dzisiejszego wieczora zniewoliły

ja wreszcie do złamania danego słowa i nadużycia ojcowskiego zaufania. Joasia, naoczny świadek tylu niegodziwości, widziała w nich nie tylko usprawiedliwienie swego postępku, ale zarazem i powinność nakazującą jej wyraźnie, by bezpieczeństwo swej pani uczyniła głównym przedmiotem swych starań z uchyleniem wszelkich innych względów.

Hrabina ze swoją przewodniczką szła śpiesznym krokiem nierówną i na pół zarosłą ścieżką, którą zacieniały zupełnie gałęzie drzew rozłożystych, krzyżujące się nad ich głowami. Gdzieniedzie tylko przezierало przez nie słabe i błędne światło księżyca, przenikając przez poręby wycięte w czarnym lesie. Przejście ich tamowały obalone drzewa i stopy gałęzi przeznaczonych na opał. Znużenie doznane w tej drodze, pośpiech, a nade wszystko osłabiające uczucia, nadziei i bojaźni tak wycieńczyły hrabinę, że Joasia musiała nakłonić ją do odpoczynku. Usiadły obie na obalonym dębie, zwrócone w stronę starego zamczyska, którego krużganki, liczne kominy i wieże zegarowe, wzniesione wysoko, nad dachy, rysowały się wyraźnie na tle granatowego nieba pomimo ciemności i znacznej odległości. Migalo tylko jedno słabe światełko w ponurym i wielkim gmachu, ale tak nisko, że raczej z lochów zamkowych aniżeli z okien zdawało się świecić. Przestraszony ogarnął hrabinę.

— Gonia nas! — rzekła wskazując Joasi światło będące przyczyną jej bojaźni.

Joasia, mniej przerażona od Amelii, dostrzegła, że światło było nieruchome i zapewniła hrabinę, że pochodziło z podziemia, gdzie alchemik przeprowadzał swe tajemnicze doświadczenia.

— Należy — dodała — do tych osób, co nie śpią po całych nocach, knując zdrady i rozmaite niegodziwości. Jakieś nieszczęście sprowadziło nam tego człowieka, który w rozmowach swoich, malując nadzieję zdobycia skarbów ziemskich przy pomocy nadprzyrodzonej sztuki, posiada wszystko, co tylko złudzić może biednego ojca. Słusznie mawiał dobry pan Holdforth i zdaje mi się, że to da się zastosować do naszych domowników: — Są ludzie — mawiał nieraz — i niemała jest ich liczba, co na wzór niegodziwego Achaba/\* wolą nakłaniać ucho na namowy fałszywego proroka Zedechiasza, aniżeli słuchać tego, przez którego usta Pan wolę swoją objawia. I dodawał: — Niestety, bracia moi, jest między nami wielu Zedechiaszów, co wam obiecują światło doczesnej nauki, bylebyście tylko wyrzekli się światła niebieskiej

mądrości. W czymże są lepsi tacy nauczyciele od tyrana Naasa, co domagał się prawego ucha od wszystkich swoich poddanych?

\*/ Achab - król izraelski, zwycięzca w walkach z Aramejczykami: zwalczał proroków, popierając religię fenicką.

Nie wiadomo, jak długo pamięć pięknej purytanki zdołałaby powtarzać kazanie Holdfortha, gdyby hrabina nie przerwała jej, zapewniając, że na tyle już odzyskała siły, iż będzie mogła bez odpoczynku dojść do ogrodowej furtki.

Powstały zatem z miejsca i puściły się w dalszą drogę z większą ostrożnością niż w pierwszej części podróży, kiedy pośpiech i lęk pozbawiały je przytomności umysłu. Po chwili Joasia odważyła się po raz pierwszy zapytać swoją panią, w którą stronę zamierza się udać. Ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi, ponieważ hrabina w natłoku myśli nie miała dosyć czasu do zastanowienia się nad tym. Potem Joasia dodała: — Zapewne do domu ojca, gdzie znajdziesz opiekę i będziesz bezpieczna?

— Nie, Joasiu! — odpowiedziała hrabina. — Gdym opuszczała Lidcote Hall, serce moje było swobodne i zacność imienia nie skalana cieniem zniewagi. Wtedy dopiero odwiedzę rodzinne strony, gdy otrzymam pozwolenie mego męża i gdy publiczne uznanie naszego związku wróci mi wszelkie zaszczyty i dostojęstwa, jakie zeń na mnie spływają.

— Dokąd więc udasz się, pani?

— Do Kenilworth, moje dziecko! — odpowiedziała śmiało hrabina. — Chcę widzieć te wspaniałe uroczystości, te uczyty, te świetne przygotowania, o których wieści krążą po całym kraju. Gdy królowa angielska biesiaduje w zamku jej męża, sądzę, że hrabina Leicester nie powinna być tam natrętnym gościem.

— Prosić będę Boga, żebyś była dobrze przyjęta!

— Nadużywasz mego położenia! — odpowiedziała z gniewem hrabina.

— Niestety! — zawołała smutnie dziewczyna. — Czyś zapomniała, pani, że hrabia, bojąc się wypaść z łask dworu, przykazał jak najsurowiej ukrywać swoje małżeństwo? Skąd masz tę pewność, że twoje nagłe przybycie do jego zamku w takich okolicznościach i pośród takich osób będzie mu przyjemne?

— Więc sądzisz, że go zhańbi moje przybycie? Puść mię, puść! Mogę iść bez twojej pomocy, działać bez twojej rady.

— Nie gniewaj się, pani — odpowiedziała Joasia łagodnym głosem — i pozwól się prowadzić, droga jest nierówna, a tyś nie zwykła chodzić po ciemku.

— Jeżeli sądzisz, że mogę być powodem wstydu dla mego męża — mówiła dalej hrabina gniewnym głosem — to musisz mniemać, że hrabia Leicester pobłażał twemu ojcu i Varneyowi, a może nawet namawiał ich do podłych i niegodziwych zamysłów. Już ja powiem hrabiemu, co ci ichmościowie wyrabiali ze mną!

— Na miłość Boga, pani, nie oskarżaj mego ojca! Niech usługi moje, aczkolwiek liche, zasłonią jego przewinienia.

— Byłabym najniesprawiedliwsza, kochana Joasiu, gdybym inaczej postąpiła! — rzekła hrabina wracając od razu do dobroci i poufałego tonu, jakim zawsze rozmawiała ze swoją wierną służącą — Tak jest, Joasiu! Nie powiem nigdy złego słowa na twego ojca, ale jesteś świadkiem, moje dziecko, że niczego innego nie pragnę, tylko oddać się pod opiekę mego męża. Z powodu złośliwości otaczających mnie osób opuściłam bez jego wiedzy mieszkanie, które mi przeznaczył; ale poza tym dopełnię święcie wszystkiego, co mi tylko rozkaże. Jego tylko jednego błagać będę o sprawiedliwość, u niego szukać ratunku. Nikomu nie odkryłam ani odkryję bez jego woli tajemnych związków łączących nasze serca i przeznaczenia. Chcę się z nim widzieć i słyszeć z jego własnych ust, jak się mam nadal zachowywać. Nie zbijaj, Joasiu, mego postanowienia, bo sprzeciwem twoim bardziej mię jeszcze w nim umocnisz. Powiem ci otwarcie, umyśliłam dowiedzieć się o moim przyszłym losie z ust mego męża, a w Kenilworth potrafię najłatwiej przeprowadzić ten zamiar.

Joasia, rozważywszy śpiesznie wszelkie trudności i niebezpieczeństwa, w jakich się znajdowała jej nieszczęśliwa pani, odstąpiła powoli od swego zdania i nabrała przekonania, że ponieważ hrabina opuściła mieszkanie wyznaczone jej przez męża, było przeto pierwszym jej obowiązkiem stanąć przed nim i wyłożyć mu powody tego kroku. Znając wagę, jaką hrabia przywiązywał do utajenia tego związku, wiedziała dobrze, że hrabina ściągęłaby na siebie gniew dostojnego małżonka, gdyby bez jego wiedzy chwyciła się środka mogącego wydać na jaw, co dotychczas było tajone z taką troskliwością. Nic bardziej nie podałoby w podejrzenie jej dobrej sławy nad powrót do rodzicielskiego domu; a szczere wyznanie wszystkiego byłoby niezawodnie przyczyną wiecznego zerwania z Leicesterem. W Kenilworth hrabina mogła wytłumaczyć się



przed mężem; a choć Joasia nie ufała mu tak jak jej pani, nie sądziła jednak, by mógł wpływać na zbrodnicze zamiary swych zauszników, którzy gotowi byli chwycić się wszelkich środków, byle tylko zmusić nieszczęśliwą ofiarę do zatajenia doznanych od nich przykrości. A, przypuszczając w ostatecznym razie, że hrabia nie chciałby przyznać jej tego, co się słusznie należy, wówczas znalazłaby obronę u Tressiliana, a sędziego w królowej. Joasia dowiedziała się o tym wszystkim w krótkiej rozmowie z Waylandem. Z tych powodów pochwałała zamiar udania się do Kenilworth, zalecała jednak jak największą ostrożność w uwiadomieniu hrabiego o przybyciu.

— Ale czyś ty sama, Joasiu, była dosyć ostrożna? — zapytała hrabina. — Nie wyjawiałaś przewodnikowi, któremu mam się powierzyć, tajemnicy mego stanu?

— Nic nie usłyszał ode mnie i wątpię, by wiedział więcej nad to, co powszechnie mówią o tobie.

— Cóż mówią? — zapytała Amelia.

— Żeś wykradła się z domu swego ojca; ale może gniewać się będziesz, gdy zechcę dokończyć?

— Nie będę! — odpowiedziała hrabina. — Mów, coś miała mówić, trzeba mi przyzwyczać się do słuchania niemiłych wieści, na jakie naraziła mię moja własna lekkomyślność. Mówią zapewne, żem opuściła dom rodzicielski dla zawarcia z kimś nieprawych związków. Błąd ten naprawię wkrótce. Tak jest! Naprawię go wkrótce, bo celem mym jest żyć bez zwały lub nie żyć wcale. Mają mię tedy za kochankę Leicestera?

— Wielu mówi o Varneyu — odpowiedziała Joanna. — Inni znowu utrzymują, że on jest tylko płaszczykiem na pokrycie miłostek swego pana. Rozeszła się bowiem wieść o ogromnych kosztach, wyłożonych na przyozdobienie naszego pałacu, a te wielkie nakłady przenoszą znacznie majątek Varneya. Ale to ostatnie mniemanie nie jest jeszcze rozpowszechnione, bo gdy w tę sprawę zamieszana jest osoba tak wielkiego imienia, ludzie nie śmią wyjawiać swych domysłów lękając się kary Trybunału za oczernienie szlachcica.

— Dobrze robią, że się tym nie chwalać ci, co sądzą, że dostojny Dudley jest współnikiem nikczemnego Varneya. Otóż i furtka... Ach! Joasiu, musimy się ze sobą pożegnać! Nie płacz, kochane dziecko — rzekła hrabina usiłując pokryć udaną

wesołością żalność, jaką czuła rozstając się ze swą wierną towarzyszką. — Zobaczymy się znowu, Joasiu! Ale zapamiętaj sobie, zamiast tej grubej szlarki masz wziąć haftowaną koronkę, przez którą widać będzie, że masz piękną szyję; a zamiast tego wełnianego gorsecika, jaki noszą tylko proste dziewczęta, włożysz aksamitny kabacik, lamowany złotogłowie. Znajdziesz w moim pokoju mnóstwo materii, które weź ode mnie w upominku. Musisz mi się wystroić, moja Joasiu, bo choć teraz jesteś towarzyszką nieszczęśliwej kobiety, pozbawionej sławy i dobrego imienia, sądzę, że gdy się zobaczymy znowu, ubierać się będziesz, jak przystoi na przyjaciółkę i powiernicę najpierwszej w Anglii hrabiny.

— Daj Boże, najdroższa pani! — odpowiedziała Joasia. — Nie po to, bym się strojniej miała ubierać, lecz byśmy obie nasze szaty w weselszych nosiły okolicznościach.

Tymczasem Joasia po długich wysiłkach odkręciła rygiel, a hrabina, nie bez wewnętrznego drżenia, ujrzała się poza obrębem murów wyznaczonych jej przez męża za granicę przechadzki.

Wayland Smith ukrywszy się za płotem przy samym trakcie wyglądał ich przybycia z wielką niecierpliwością.

— Czy wszystko w porządku? — zapytała Joasia troskliwie zbliżającego się przewodnika.

— Wszystko — odpowiedział Wayland — ale nie mogłem dostać konia dla pani. Giles Gosling obawiając się zapewne jakiego nieszczęścia nie chciał żadną miarą dać mi swojej szkapy, ale to nic nie szkodzi. Pani siądzie na mego kłusaka, a ja będę szedł pieszo koło niej, póki nie wystaram się o drugiego konia. Wiem, że gonić mię nie będą, jeżeli tylko, piękna Joasiu, nie zapomnisz mojej przestrogi!

— Pamiętać ją będę, jak Tekoa pamiętała słowa Joaba. Jutro powiem, że moja pani przez cały dzień będzie w łóżku dla słabości zdrowia.

— Tak jest! Powiesz, że ma ból głowy, ociążałość, bicie serca i życzy sobie spocząć w swoim pokoju. Nie bój się, zrozumieją cię od razu i nie będą cię o nic więcej pytać, znają oni tę chorobę.

— Ale dowiedzą się wkrótce o mojej ucieczce — rzekła hrabina — i mszcząc się zabiją Joasię. Wolę wrócić, niżeli narazić ją na tak wielkie niebezpieczeństwo.

— Nie lękaj się o mnie! Daj Panie Boże, abym tak niezawodnie wiedziała, że cię łaskawie przyjmą ci, których będziesz błagać o pomoc, jak jestem pewna, że mój ojciec, choć zacięty w gniewie, nie dozwoli, by mi się miało stać co złego.

Tymczasem Wayland posadził hrabinę na konia, podesławszy wprzód płaszcz tak złożony, że mógł służyć za wygodne siedzenie.

— Bywaj zdrowa, najdroższa pani! Oby błogosławieństwo boże towarzyszyło ci nieodstępnie! — rzekła Joasia całując rękę hrabiny, która zegnała ją nawzajem nie słowami, ale spojrzeniem pełnym żalu i bóleści. Na koniec oderwały się od siebie, a Joasia rzekła, obracając się do Waylanda:

— Niech ci Niebo nagrodzi, jeżeli będziesz wierny, lub ukarze, jeżeli zdradzisz tę nieszczęśliwą, prześladowaną kobietę nie mającą nikąd pomocy!

— Amen, piękna Joasiu! — odpowiedział Wayland. — Wierzaj mi, że nie zawiodę zaufania i tego dokażę, że gdy się zobaczymy, twoje piękne oczęta, pomimo swej świętobliwości, nie tak szydersko spozierać na mnie będą.

Te ostatnie słowa były ciszej wymówione i Joasia nic nie odpowiedziała, ale jej spojrzenia, którymi chciała zapewne wzmocnić w Waylandzie chęć pomocy swej pani, nie odbierały mu tej nadziei. Wróciła tymi samymi drzwiami zamykając je za sobą.

Tymczasem Wayland, wzięwszy lejce do rąk, stanął przy głowie końskiej i rozpoczął z hrabiną podróż przy świetle księżyca. Choć Wayland Smith pośpieszał, ile mu sił stało, jednak ten sposób odbywania podróży tak był powolny, że gdy świtać zaczęło, nie więcej niż trzy mile angielskie ujechali od Cumnor.

— Niech pomsta ciężka ogarnie wszystkich karczmarzy z ich pięknymi słówkami! — rzekł Wayland nie mogąc dłużej ukryć swego gniewu i zmartwienia. — Gdyby ten Gosling, skórka na buty, powiedział mi otwarcie przed dwoma dniami, że nie ma co spuszczać się na niego, to bym zdobył sobie konia gdzie indziej, ale tym ludziom już tak weszło w obyczaj obiecywać wszystko, czego tylko się od nich zażąda, że wtenczas dopiero, kiedy przyjdzie kuć konia, powiedzą ci, że nie mają żelaza. Gdybym to był przewidział, zaradziłbym sobie dwudziestu innymi sposobami, bo nawet w tej gwałtownej potrzebie i w tak dobrej sprawie nie miałbym sobie za wielki grzech ukraść lada szkapę w pobliskiej wiosce, a później odesłałbym ją wójtowi gminy. Żeby wyzdychały wszystkie konie w stajni „Czarnego Niedźwiedzia”!

Hrabina starała się pocieszyć swego przewodnika czyniąc uwagę, że we dnie można będzie pośpieszyć.

— To prawda, ale we dnie więcej zobaczy nas osób, a to może pomieszać nam wszystkie szyki. Mało bym zważał na to w dalszej podróży, ale niby to ja nie wiem, że w hrabstwie Berks jest wielu złośliwych ludzi, co późno kładą się spać, wstają wczesnie dla śledzenia innych, mówię to z doświadczenia, bom z tej przyczyny nieraz tu bywałem w kłopotach. Ale nie lękaj się, dobra pani, w przypadku rozsądek zawsze mi poda zbawienną radę.

Obawy Waylanda większe na hrabinie wywarły wrażenie aniżeli czynione jej nadzieje. Rozglądała się dokoła lęklwym wzrokiem, a gdy znikwały powoli nocne cienie i łuna świtu rannego zwiastowała rychły wschód słońca, zdawało się jej, że gdy się lepiej rozwidni, ujrzy ją ścigająca pogoń albo zjawi się jaka niepokonana przeszkoda, kładąca kres dalszej podróży. Wayland Smith spostrzegłszy niepokój hrabiny gniewał się sam na siebie, że ją zatrwożył, a chcąc ukoić rozbudzone obawy zaczął udawać wesołego. To przemawiał do konia stajennym językiem, to świstał lub nucił z cicha wyjątki z gminnych piosenek, to znowu zapewniał hrabinę, że nie było żadnego niebezpieczeństwa, ale w tejże samej chwili oglądał się za siebie — w obawie, by nie spostrzec czegoś, co by zadawało fałsz jego słowom. W ten sposób posuwali się coraz dalej, gdy niespodziewany przypadek dał im sposobność zakończenia podróży z większym pośpiechem i wygodniej.

## ROZDZIAŁ, VI

RYSZARD Konia! Dajcie mi konia!

Królestwo oddam za konia!

Szekspir Ryszard III

Nasi podróżni mijając niewielkie zarośla przy gościńcu spostrzegli pierwszą żyjącą istotę od chwili swego wyjazdu z Cumnor Place. Był to młody wieśniak z pobliskiej wioski. Z gołą głową, w szarym kubraku, pończochach, które mu się osunęły na pięty, i ogromnych trzewikach, trzymał za uzdę to, czego wówczas najbardziej potrzebowali: konia z damskim siodłem i całym strojem dla podróżującej kobiety. Zbliżywszy się do Waylanda powitał go tymi słowy:

— Państwo zapewne jesteście tą parą?

— Tak jest, kochanku, to my jesteśmy tą parą — odpowiedział Wayland nie wahając się ani chwili, a trzeba przyznać, że sumienie wyćwiczone w surowszej nawet moralności zachwiało by się przy tak szczęśliwym zbiegu wydarzeń. Mówiąc te słowa wziął cugle z rąk wieśniaka i dopomógł hrabinie przesiąść się na konia, którego los jej nadarzał.

Wszystko odbyło się tak naturalnie, iż zdawało się hrabinie, że jej przezorny przewodnik umyślnie w tym miejscu postawił chłopaka z koniem.

Chłopak atoli spoglądał na nich drapiąc się w głowę, jakby żałował, że oddał konia po tak krótkiej rozmowie.

— Ani wątpić, że to oni być muszą! — mruczał do siebie po cichu. — Ale powinieneś był powiedzieć „bób”, jak ci wiadomo.

— Tak jest! — odpowiedział Wayland. — A ty „słonina”, jak ci wiadomo.

— Nie, nie „słonina”, ale „groch” powinienem był powiedzieć.

— Niech będzie i groch, jeżeli ci się tak podoba — odpowiedział Wayland — chociaż słonina byłaby stosowniejszym hasłem.

Odebrawszy cugle z rąk wahającego się wieśniaka wsiadł na swego konia, rzucił srebrny pieniądz i puszczając się klusem, starał się nagrodzić czas stracony na rozmowie. Wayland widział jeszcze z pagórka, że chłopak stał nieruchomy jak słup

milowy drapiąc się w głowę i ciągle patrząc za nimi, a gdy już byli na samym wierzchołku spostrzegł, że chłopak schylił się, by podjąć pieniądz.

— Oto nam prawdziwie Pan Bóg poszczęścił! — rzekł Wayland. — Szkapa ta dobrze bieży i będzie mogła służyć pani, póki nie wynajdziemy innej równie dobrej, a wtenczas odeślemy ją właścicielowi, żeby nie zrobiono o nią hałasu.

Ale Wayland mylił się w swych nadziejach, gdyż przypadek wydający się zrazu tak pomyślnym, o mało nie stał się przyczyną ich zguby. Ledwie ujechali milę od tego miejsca, gdzie spotkali chłopaka z koniem, usłyszeli, że ktoś krzyczy za nimi:

— Złodziej! Złodziej! Łapajcie złodzieja!

Wayland domyślił się od razu, że to musi mieć związek z poprzednim wypadkiem.

— Gonia nas, jestem stracony! — mówił do siebie w duchu. — O Waylandzie! Waylandzie! Bodajbyś całe życie chodził piechotą, wszak ojciec ostrzegał cię nieraz, żebyś nie zadawał się z końmi, bo te będą przyczyną twojej śmierci. Gdybym jeszcze kiedyś miał się znaleźć między rostrucharzami (\* / Wyraz, którego używano dawniej na oznaczenie handlarza koni.), — w Smithfield albo Turnbatt Street pozwoliłbym im, żeby mię powiesili na tak wysokiej szubienicy jak wieża świętego Pawła, gdyby mi dowiódł który, że się wtrąciłem drugi raz w sprawy panów, rycerzy lub szlachty.

Pośród tych smutnych rozmyślań oglądał się ustawicznie, chcąc wiedzieć, przez kogo byli ścigani i odetchnął trochę, gdy zobaczył jednego tylko jeźdźca, który jednak tak pędził za nimi, że niepodobna było uciec, choćby nawet hrabina zdołała puścić się cwałem.

„Nie ma się tu jeszcze czego obawiać — pomyślał sobie Wayland — kiedy po jednemu z każdej strony, a do tego jeszcze tamten jegomość siedzi na koniu jak pies na płocie. Jeżeli przyjdzie do czego, nie trudno mi będzie wysadzić go z siodła. Ale co widzę? Jego własny koń uczyni mu tę przysługę, bo już wziął na kiel i szkaradnie go zaczyna ponosić. I czego tu się lękać? Przecież to abingdoński kramarz!”

Nie omyliło się wprawne oko Waylanda pomimo znacznej odległości; koń wojowniczego kramarza podcięty kilka razy tak się rozbrykał, tak szybkim pomknął cwałem ujrawszy dwa inne konie o kilka staj przed sobą, że jeździec stracił zupełnie nad nim panowanie i ciągnąc go za cugle, ile miał sił, nie tylko dogonił, ale nawet przegonił tych, których ścigał. Ujechawszy tym sposobem blisko dwie wiorsty,

zawrócił na koniec i zbliżając się do naszych podróżnych począł zapinać i poprawiać swe ubranie starając się nadrobić miną, i groźną postawą pokryć przestach, jakiego doświadczył w tej mimowolnej gonitwie.

Wayland tymczasem dodawał odwagi przełęcznionej hrabinie.

— Znam tego jeźdźca — mówił do niej — jest to tchórz, jakich mało na świecie; już ja go przepłoszę.

Kramarz odetchnąwszy trochę i nabrawszy nieco śmiałości rozkazał Waylandowi, by mu oddał konia.

— Cóż to znowu takiego? — zawołał Wayland. — Kto nas śmie zatrzymywać na królewskim gościńcu i wydzierać naszą własność? Wychodź z pochwy mój pałasz i naucz tego szubrawca, jak napastować niewinnych ludzi po drogach!

— Gwałtu! Gwałtu! — wrzeszczał kramarz z całej siły, spodziewając się, że ktoś usłyszy wołanie i przybędzie mu na pomoc.

— Choćbyś i na górę wylazł i krzyczał, to nic nie pomoże — odpowiedział Wayland — muszę bowiem wykonać mój zamiar, gdybym nawet był pewny, że tu trupem legnę. Wiedz tymczasem, że jestem ten sam kramarz, którego chciałeś obedrzyć na równinie Maiden Castle. Dlatego gotuj się do boju.

— Ja to tylko mówiłem żartem! — rzekł Goldthred. — Jestem kupcem, uczciwym człowiekiem i nie należę wcale do tych, którzy na podróżnych wyskakują zza płotu.

— O, jeżeli tak, potężny kramarzu, to, na uczciwość, mocno tego żałuję, że odebrałem ci konia i oddałem go mojej żonie. Ale nie ma na to rady; muszę dokonać, com zamierzył i tylko tę jedną grzeczność mogę ci wyświadczyć, że zostawię twego źrebca w Donnington w pierwszym zajeździe.

— Przecież mówię ci, mój przyjacielu, że na tym źrebcu miała dziś jechać do ślubu moja narzeczona, panna Teukham Shottesbrot, przyszła pani Goldthred. Wykradłszy się z domu swego ojca — przy drodze, gdzie miała zastać konia, czeka teraz w podróżnym ubraniu i z biczkiem w rękę, oprawnym w kość słoniową, podobna do żony Lota. Proszę cię, kochany panie, oddaj mi po dobrej woli mego kłusaka.

— Żal mi twojej panny młodej i ciebie, czcigodny bławatniku, ale nie umiem cofać danego sobie słowa. Znajdziesz, mówię ci, swoją szkapę w Donnington pod „Złotym Aniołem" i to jest wszystko, co dla ciebie uczynić mogę bez wyrzutów sumienia.

— Do licha ciężkiego z twoim sumieniem!—odpowiedział zmieszany kramarz. — Chcesz, żeby moja narzeczona szła pieszo do kościoła?

— Posadzisz ją za sobą na koniu, panie Goldthred, a wtenczas może i twój wierzchowiec nie będzie tak brykał.

— A co będzie, jeżeli zapomnisz, jak obiecujesz, zostawić go w karczmie? — rzekł Goldthred nie bez strachu.

— Mój kramik, złożony w komorze u Goslinga, służyć będzie na zastaw: znajduje się w nim atlas, kitajka, perkal, aksamit, adamaszek i inne materie.

— I na co tak wiele! — zawołał kramarz. — Byłoby dobrze, żeby tam znalazła się choć połowa tego, coś tu wyliczył. Nie bój się, już drugi raz nie postawię parobka z koniem.

— Jak ci się podoba, panie Goldthred, a teraz bywaj mi zdrów, życzę ci wszelkiej pomyślności — rzekł ruszając z hrabiną, gdy tymczasem rozgniewany kramarz odjeżdżał wolniejszym niż pierwiej krokiem, rozmyślając o tym, co miał powiedzieć swej oblubienicy, która czekała pana młodego na środku publicznego gościńca.

— Zdaje mi się — rzekła hrabina do swego przewodnika — że tamten głupiec wpatrywał się we mnie, jak gdyby mnie sobie przypominał, ale zakrywałam się, jak mogłam.

— Gdybym to spostrzegł — odpowiedział Wayland — to bym zajechał z tyłu i strącił z karku jego pustą głowę. Trzeba nam jednak pośpieszyć. W Donnington zostawimy konia, żeby ten bałwan nie miał przyczyny pędzić za nami i tak się przebierzemy, że nic nie wskóra, choćby nawet ścigać nas przyszło mu do głowy.

Wkrótce po tej rozmowie nasi podróżni nie doznawszy już żadnych przeszkód stanęli w Donnington, gdzie musiała hrabina koniecznie odpocząć kilka godzin. Wayland tymczasem korzystając ze sposobnej chwili zawinął się równie sprawnie jak i szybko około przygotowań i zachowania pewnych środków, od których zdawało się zależeć bezpieczeństwo dalszej podróży.

Zmieniwszy kramarski kubrak na podróżną kurtę zaprowadził Goldthredowego konia do karczmy pod „Złotym Aniołem” na drugi koniec wioski. Około południa, gdy chodził załatwiając różne sprawy, spostrzegł, że wyprowadzono konia z karczmy i oddano go kramarzowi, który na czele licznej drużyny przybył z orężem w rękę



domagać się konia. Oddano mu go za kilka kwart wódki, które musiał postawić dla uczęstowania spragnionej pogoni. Nie tak łatwo mu było dojść do porozumienia z wójtem gminy, musiał bowiem porządnie się z nim wyklócić, nim się ugodzili o zapłatę za to, że mu dopomógł ścigać złodzieja.

Dopełniwszy tego roztropnego a zarazem sprawiedliwego czynu Wayland postarał się o takie suknie dla siebie i hrabiny, jakich zwykli byli podówczas używać ludzie średniego stanu, po czym umówił się z nią, aby dla uniknięcia podejrzeń uchodziła w czasie podróży za siostrę swego przewodnika. Żwawy konik, powolny dla kobiety, nie bardzo wprawdzie okazały, ale tak rączy, że mógł nadażyć za jego kłusakiem, dopełnił reszty przygotowań, na które Tressilian dał mu dostateczną ilość pieniędzy. W ten sposób, gdy już hrabina dobrze wypoczęła, puścili się po południu w dalszą podróż zmierzając do Kenilworth, przez Coventry i Warwick, ale niedaleko ujechali, gdy znalazła się nowa przyczyna do obawy.

Wypada nadmienić, iż karczmarz, u którego stanęli gospodą, powiedział im, że kilka osób, mających, jak się dorozumiewał, brać udział w maskowych widowiskach, jakie zazwyczaj dawano na przyjęcie królowej w czasie jej podróży po kraju, wyjechało godzinę lub dwie przedtem z wioski Donnington do Kenilworth. Przyszło więc na myśl Waylandowi, że przyłączywszy się do tej gromady łatwiej im będzie uniknąć ciekawych badań, niż gdyby mieli jechać osobno. Podzielił się tą myślą z hrabiną, która pragnąc dostać się jak najprędzej do Kenilworth, pozostawiła mu wolny wybór środków, byle tylko przez ich użycie stanąć najrychlej u celu podróży.

Chcąc przeto dopędzić towarzystwo mniemanych aktorów i dalszą podróż łącznie z nimi odbywać, zacięli konie i po niedługiej chwili ujrzeli gromadkę ludzi częściowo jezdnych, częściowo pieszych, którzy wjechawszy na wierzchołek niewielkiego pagórka, zniknęli za nim niebawem.

Gdy to się działo, Wayland, rozglądając się bacznie na wszystkie strony, spostrzegł za sobą jakiegoś jeźdźca na dzielnym koniu, w towarzystwie masztalerza, którego szkapa, pomimo największych wysiłków, nie mogła żadną miarą dotrzymać kroku pańskiemu rumakowi. Wayland przełęczniony obejrzał się na tych jeźdźców, zmieszał się okropnie, znowu się obejrzał i zbladł, mówiąc do hrabiny:

— To koń Ryszarda Varneya, poznałbym go między tysiącami, gorsza z nim będzie sprawa niżeli z kramarzem!

— Dobądź oręza — rzekła hrabina — i przebij mi piersi, a nie dopuść, bym miała dostać się w ręce tego złoczyńcy.

— Prędzej bym go utopił w sercu tego łotra albo w moim własnym, niżeli was odstąpił. Ale mówiąc prawdę, nie bardzo jestem mocny na pałasze, chociaż w razie potrzeby nie złękę się gołego żelaza. A co się tyczy mego pałasza (proszę cię, pani, pośpieszaj jak możesz), wyznać muszę, że to jest tylko zardzewiała karabela, a zaręczam, że on ma prawdziwe Toledo. Nadto ma on przy sobie służącego i zdaje mi się, że to będzie ten opój Lamburn (proszę cię, pani, i zaklinam, pomykaj żwawiej). Nie dlatego to mówię, żebym miał lękać się Varneya albo Lamburna w dobrej sprawie (pani konik może prędzej jeszcze pobiegnąć). Lecz chociaż... (ruszaj, ruszaj, tylko nie dawaj mu cwałować, żeby nie pomyśleli, że złękliśmy się i uciekamy przed nimi, klusem, klusem, a dalej). Chociaż ich się nie boję, rad bym jednak, żeby się od nas odczepili co rychlej grzecznym raczej niż gwałtownym sposobem.

To mówiąc, tak kierował swym koniem, starając się miarkować jego bieg, iżby zdawało się, że jadą za pilnym interesem, a zarazem uniknąć zbytniego pośpiechu, mogącego wzbudzić w patrzących podejrzenie ucieczki.

Tym sposobem wjechali na pagórek, o którym już wspominaliśmy wyżej, i ucieszyli się niezmiernie ujrawszy owych podróżnych, którzy wyjechali przed nimi z Donnington, spuszczających się w dolinę, przez którą, przecinając gościniec, przepływał niewielki strumień, nad którym stało kilka nędznych chatek. Wayland spostrzegłszy, że zatrzymali się w tym miejscu, spodziewał się połączyć z nimi, zanim Varney mógł ich dopędzić; pragnął tego tym bardziej mocno, ponieważ jego towarzyszka tak okropnie pobladła, iż lękać się zaczął, by nie spadła z konia. Pomimo jednak tego objawu widocznego osłabienia, tak podcięła swego wierzchowca, że się połączyli z owymi podróżnymi nad brzegiem strumienia, nim Varney wjechał na pagórek.

Towarzystwo, do którego się przyłączyli, zastali w największym nieporządku. Kobiety z potarganymi włosami wybiegały i wbiegały do jednej z chatek, a mężczyźni stali

dokoła trzymając konie i gapiąc się, jak to zazwyczaj bywa z tymi, którzy się cisną tam, gdzie nie potrzebują ich pomocy.

Wayland i hrabina zatrzymali się niby przez ciekawość; po czym nie pytając nikogo ani będąc przez nikogo zapytywani, powoli i nieznacznie wmieszali się między nich, jakby od dawna z nimi jechali.

Ledwie zabawili z pięć minut w dolinie, starając się o ile możliwości zająć takie miejsce, aby inni podróżni zasłonili ich przed nadjeżdżającym Varneyem, gdy koniuszy lorda Leicestera zjechał z pagórka ze swoim masztalerzem Lamburnem. Spienione konie i krwią zbryzgane ostrogi przekonywały widzów o ich śpiesznej podróży. Powierzchowność ludzi stojących naokoło chatek, płócienne chałaty, pod którymi mieli dziwaczne rupiecie, które trzymali w rękę, żeby się nie poniszczyły w drodze, dały poznać nowoprzybyłym jeźdźcom, jaki był stan i powołanie tych podróżnych.

— Jesteście komedianci — rzekł Varney — i wleczenie się zapewne do Kenilworth?

— Recte quidem, domine spectatissime — ozwał się jeden z grona.

— A po jakiegoż diabła zatrzymujecie się tutaj, skoro przy największym pośpiechu zaledwie zdołacie dojechać na czas naznaczony? Królowa będzie jutro na obiedzie w Warwick, a wy, szubrawcy, rozłożyliście się tutaj taborem.

— Dobrześ powiedział, że nas tu diabeł zatrzymał — rzekł niewielki chłopak, zakryty maską z czerwonymi rogami, w szarym kubraku, podpasany sznurkiem, w czerwonych pończochach i rosochatych trzewikach, podobnych do czartowskiego obuwia. — Dobrześ powiedział, mój panie! Mój to ojciec, diabeł, zaskoczony został w tym miejscu bólami porodowymi i opóźnił naszą drogę przez wydanie na świat młodego diabełka, co powiększy liczbę naszych towarzyszy podróży.

— Jak to? Diabeł w połogu?—rzekł Varney, który nawet wesołość wyrażał szyderskim uśmiechem.

— Nie inaczej! — odezwała się pierwsza maska. — Ten młodzieniaszek powiedział szczerą prawdę. W tym oto tugurium nasz naczelny diabeł woła w tej chwili: Lucina fert opem.

— Na świętego Jerzego! — rzekł Varney. — To prawdziwie komiczne zdarzenie! Co mówisz o tym, Lamburnie? Nie chciałbyś tym razem zostać ojcem chrzestnym?

Gdyby diabeł potrzebował kumów, nie znam nikogo, kto by godniejszy był od ciebie tego zaszczytu.

— Wyjąwszy tylko ten przypadek, kiedy moi panowie mogą mię wyręczyć! — odpowiedział Lamburn z zuchwałością właściwą sługom, którzy wiedząc, że ich panowie nie potrafią obejść się bez nich, pozwalają sobie czasem na zbyt śmiałe żarty, przekonani, że ujdą im bezkarnie.

— Jakże się nazywa ten diabeł, albo raczej ta diablica, co tak zły czas wybrała na połów? — zapytał Varney.

— Gaudet nomine Sybillae — odpowiedziała pierwsza maska. — Nazywa się Sybilla Laneham, żona pana Ryszarda Laneham.

— Czy być może? Żona Ryszarda Laneham, ministra obrzędów? A to rzecz nie darowana! Nauczona tylokrotnym doświadczeniem, nie powinna była wyjeżdżać z domu będąc przy nadziei. A któż jest znowu ten mężczyzna i ta kobieta, jak mi się zdawało, którzy przed chwilą tak prędko wjechali na pagórek? Czy i oni także do was należą?

Wayland chciał już coś odpowiedzieć na to niebezpieczne pytanie, ale go uprzedził młody diabełek.

— Za wielkim pozwoleniem waszmości — rzekł zbliżając się do Varneya — mężczyzna jest naszym starszym diabłem, co tyle umie rozmaitych sztuczek, że zapchałby w kąć sto takich komediantek, jak pani Laneham, a zaś niewiasta jest to, oszczędzając uszu, osoba biegła w sztuce akuszerskiej, której pomoc jest nieodzownie potrzebna naszej nieszczęśliwej towarzysze.

— Więc tedy sprowadziliście akuszerkę? — rzekł Varney. — Ależ leciała jak opętana, aż się za nią kurzyło. Musieliście nagle ją wezwać. A na miejsce pani Laneham wybraliście już jakiego Belzebuba?

— Nie tak trudno o nich na świecie, jak się zdaje waszej miłości! — odpowiedział chłopak. — Ten arcyszatan, jeżeli zechce, wyrzuci z siebie krocie iskier i buchnie kłębamii czarnego dymu. Rzeklibyście, że ma Etnę w żołądku.

— Nie mam czasu patrzeć na te kuglarstwa, prześwietny synu piekła, oto macie na piwo, napijcie się za pomyślny skutek i bywajcie zdrowi, szczęść wam Boże!

To mówiąc ścisnął konia ostrogami i puścił się w dalszą drogę.

Lamburn zatrzymał się jeszcze kilka chwil, obmacał wszystkie kieszenie i wyjąwszy srebrny pieniądz, rzucił go rozmownemu diabełkowi. Czynił to dlatego, jak powiadał, aby diabełek zachęcony tym upominkiem nie ustawał w drodze do piekielnych krain, których płomienie błyskały już w jego figlarnym oku. Odebrawszy dziękczynienia za tę szczodroliwość, spiał także konia ostrogami i pośpieszył za swoim panem, jak iskra spadająca z krzemienia uderzonego stalą.

— A teraz — rzekł chytry diabełek zbliżając się do Waylanda i podskakując w powietrzu tak wysoko, że można było powiedzieć, iż nie darmo rościł sobie prawo do pokrewieństwa z mocarzem tego żywiołu — powiedziałem tym ichmościom, coś ty za jeden. Powiedzże mi nawzajem, kto ja jestem?

— Albo Flibbertigibbet, albo prawdziwy potomek szatańskiego plemienia — odpowiedział Wayland.

— Zgadłeś, człeczce. Widzisz przed sobą twego Flibbertigibbeta, co potargał więzy, którymi go krępował jego bakałarz i jak ci zapowiedział kiedyś, że się z nim rozstanie po dobrej lub złej woli, tak teraz dotrzymał ci słowa. Ale jakaż to znowu kobieta przywlokła się z tobą? Widziałem, żeś się zaciął chcąc odpowiedzieć na to pytanie i dlatego przybyłem ci na pomoc. Ale ja muszę wiedzieć o wszystkim, kochany Waylandku!

— Dowiesz się później wielu ciekawych rzeczy, tylko nie męcz mię teraz tymi pytaniami. Ale ponieważ wybrałeś się do Kenilworth, to ja z tobą pojedę tak dla miłości twojej przyjemnej twarzy jak i dowcipnej rozmowy.

— Lepiej byś powiedział: dla miłości przyjemnej rozmowy, a dowcipnej twarzy; ale jakże chcesz jechać z nami? W jakim charakterze?

— W charakterze, jakiś mi sam nazaczył — w charakterze sztukmistrza, wszak wiesz, że nieźle znam się na tym rzemiośle.

— To dobrze! Ale kobieta? O, widzę ją z twojej niecierpliwości i pomieszania, że ci ona musiała diabelnie zajechać w głowę?

— Ta kobieta? To moja siostra! Umie śpiewać i tak przyjemnie gra na lutni, że na jej granie wyszłyby wszystkie ryby z wody.

— Każ jej zagrać natychmiast. Lubię niezmiernie ten instrument; nic mi się bardziej w świecie nie podoba nad lutnię, chociaż jak żyję, nigdy jej nie słyszałem.

— Jakże możesz ją lubić?

— Lubię z opowiadania, podobnie jak w dawnych romansach rycerze kochali piękne panienki, których nigdy nie widzieli.

— Nie przestawaj jej lubić z opowiadania, póki moja siostra nie odpocznie po trudach podróży — rzekł Wayland dodając w duchu: „Co za przekłeta ciekawość! Ale na to nie ma sposobu! Trzeba żyć z nim w zgodzie, bo źle byśmy na tym wyszli, gdybyśmy się z nim poróżnili.”

Po tej rozmowie zaofiarował panu Holiday swoje kuglarskie talenta i muzyczne zdolności siostry. Gdy zażądano dowodu, nie dał się długo prosić i tak się pięknie popisał, że komedianci przyjęli z radością do swego grona tak doskonałego sztukmistrza i poprzestali na jego zapewnieniach o talencie siostry, który chciano także wypróbować.

Zebrani podzielili się posiadaną żywnością z nowoprzybyłymi artystami; podczas jedzenia Wayland Smith zaledwie upatrzył stosowną porę do pomówienia na osobności ze swą mniemaną siostrą. Prosił ją i zaklinał, aby zapomniawszy na chwilę o swoich nieszczęściach i swym pochodzeniu, raczyła zaprzyjaźnić się z towarzyszami podróży, bo tym sposobem jedynie mogła ukryć swe nazwisko i nie poznana stanąć u zamierzonego celu.

Hrabina uznała tę radę za słuszną i gdy wyruszyli w dalszą drogę, zaczęła rozmawiać z komediantką jadącą obok niej, użalając się nad losem kobiety, którą musiano zostawić w chacie.

— Nie turbuj się, pani, nic się jej złego nie stanie! — odpowiedziała komediantka. — Moja kuma tak obojętnie przyjmuje te rzeczy, jak tylko można. Dziewiątego dnia, jeżeli tak długo potrwać zabawy, przywlecze się ona do Kenilworth, choćby miała przynieść na plecach swego dzieciaka.

Było w tej odpowiedzi coś tak niemiłego, że hrabinie odeszła zupełnie ochota dalszej rozmowy, ale komediantka, która między scenami miała grać rolę Gilliana Croydon, ośmielona szczęśliwym początkiem postarała się o to, aby nie zapadło milczenie między podróżnymi. Opowiadała swojej towarzyszce tysiące anegdot o uroczystościach i widowiskach od czasów króla Henryka; mówiła jej, jak ją

przyjmowali wielcy panowie, wyliczała, że to wszystko niczym jest w porównaniu do przepychu i wspaniałości, z jakimi odbędą się zabawy w Kenilworth.

— A kiedy staniemy w Kenilworth? — zapytała hrabina z niepokojem, który nadaremnie starała się ukryć.

— My, na koniach, możemy zajechać na noc do Warwick, a stamtąd jest tylko cztery czy pięć mil do Kenilworth, ale musielibyśmy tam poczekać, póki piesi nie nadciągną. Wszelako należy się spodziewać, że hrabia Leicester wyśle nam naprzeciwko konie albo lekkie wózki, żeby niebożęta nie pomęczyli się pieszą podróżą, która, jak wam wiadomo, nie jest jednym z najlepszych przygotowań do tańców i skoków mających się odbyć wobec pań i panów z dworu królowej. Kiedyś, przy pomocy Boga, mogłam zrobić z rana pięć ogromnych mil, a wieczorem wykrecać się na palcach jak cynowy półmisek na ostrzu igielki w ręku kuglarza. Z wiekiem ostygł mój zapał, gdy jednak zagra mi muzyka i dziarski chłopiec stanie do tańca, to jeszcze i zaśpiewam wesoło, i żwawo sobie podskoczę.

Jeżeli z jednej strony gadatliwość starej sekutnicy nudziła hrabinę, z drugiej Wayland musiał wytrzymać i odpierać nieustannie szturmy, jakie przypuszczała do niego niezmordowana ciekawość jego dawnego znajomego, Ryszarda.

Natura dała temu chłopakowi dwa szczęśliwe przymioty, połączone w jednej osobie: chęć wglądania w cudze sprawy i bystry dowcip. Pierwszy prowadził go do śledzenia i szpiegowania cudzych czynności, drugi póty mu nie dawał spokoju, póki nie wtrącił się do tego, co doń nie należało. Teraz, na przykład, zaglądał cały czas pod zasłonę hrabiny a to, co spostrzegł, zaostrzyło jeszcze bardziej jego ciekawość.

— Ta twoja siostra — rzekł do Waylanda — ma taką białą szyję, że wątpię, aby wychowała się w kuźni i tak delikatną rączkę, iż plunąłbym temu w oczy, kto by mi powiedział, że obracała kiedy wrzeciono. Daję ci na to słowo, że ona nie jest twoją siostrą, i wtenczas dopiero uwierzę w wasze pokrewieństwo, kiedy wrona urodzi łabędzia.

— Aleś się rozgadał! Warteś dostać różgą za tę ciekawość.

— Pamiętaj sobie! To tylko ci powiem, że ukrywasz przede mną jakąś tajemnicę. Nie jestem Ryszardem Sludge, jeżeli ci się za to nie odwdzięczę!

Zatrwożyła Waylanda ta groźba, a bardziej jeszcze ta okoliczność, że diabełek stronił od niego przez całą drogę. Namówił przeto swoją mniemaną siostrę, aby pod pozorem znużenia prosiła towarzyszków podróży o pozwolenie przenocowania o kilka wiorstw od Warwick, obiecując połączyć się z nimi nazajutrz. Gdy się na to zgodzono, zatrzymali się w małej karczmie i Wayland widział z radością oddalające się po czułych pożegnaniach całe grono komediantów nie wyłączając Ryszarda Sludge.

— Jutro, jeżeli się pani podoba — rzekł Wayland do swej towarzyszki — wyjedziemy stąd za dnia, aby uprzedzić te tłumy, które ze wszech stron ściągają do Kenilworth.

Hrabina przystała na wniosek wiernego przewodnika, ale mu nie dała żadnych poleceń, co niezmiernie zmartwiło Waylanda; nie mogąc bowiem przewidzieć, czy hrabina ułożyła jaki plan postępowania, czy też zdała się we wszystkim na ślepe przeznaczenie, nie wiedział, co miał dalej począć, nie znając wszystkich okoliczności jej obecnego położenia. Wnosząc, że musiała mieć przyjaciół w zamku, którzy zajmą się jej losem i zasłonią przed prześladowaniami, sądził, że dopełni swego obowiązku, jeżeli ją odprowadzi szczęśliwie na miejsce przeznaczenia.



## ROZDZIAŁ VII

Słyszysz dźwięk dzwonów, słyszysz trąb wołanie?  
Lecz najpiękniejsza nie odpowie na nie,  
W zamku jej goście godują po salach;  
Ona samotna w gorzkich tonie żalach.  
O, dumny książę! Gdzie twe oczy były?  
Gdzie zdrowe zmysły? gdy ci pozwoliły  
Przenieść nad gwiazdę — blask ziemskich robaków;  
Nad wstyd dziewiczy — bezczelność dworaków.

Szklany trzewiczek

Nieszczęśliwa hrabina Leicester wzrastała od dzieciństwa wśród osób, które nie śmiejąc w niczym się sprzeciwić, pobożały jej przywarom. Wrodzona dobroć nie dopuściła wprawdzie do jej serca dumy ani złości, ale kaprys, dla którego przeniosła urodziwego i czarującego Leicestera nad czułego i cnotliwego Tressiliana, ten kaprys, źródło jej cierpienia i wszystkich nieszczęść, miał początek w tym, że osoby czuwające nad jej wychowaniem, zaślepione złe zrozumianą miłością, nie przyuczyły jej zawczasu do posłuszeństwa i panowania nad sobą. Z tego pobożania i to także wynikło, że nauczyła się tylko wyrażać żądania, zostawiając innym wykonanie tego, co sobie zamyśliła; tak przez to w najważniejszym okresie życia straciła zupełnie przytomność umysłu nie potrafiąc ułożyć rozsądnego planu postępowania.

Trudności te przytłoczyły nieszczęśliwą Amelię całym swoim ciężarem z nadejściem dnia, w którym jej los miał się rozstrzygnąć. Przedtem, pomijając nieważne okoliczności, o niczym innym nie myślała, tylko o tym, by dostać się czym prędzej do Kenilworth i znaleźć się przy swoim małżonku. Teraz, gdy już tak blisko była celu swych pragnień, trwożyło ją tysiąc niebezpieczeństw, z których jedne były rzeczywiste, inne urojone, a wszystkie zwiększone okropnością położenia i brakiem zbawiennej rady.

Po bezsennej nocy hrabina uczuła takie osłabienie, że nie mogła podnieść głowy, gdy o świcie Wayland przyszedł ją obudzić. Wierny przewodnik lękając się o nią i o siebie chciał już jechać sam jeden do Kenilworth, w tej nadziei, że zastanie tam Tressiliana i

zawiadomi go o jej obecności, gdy hrabina o dziewiątej z rana przysłała po niego. Zastał ją już ubraną i gotową do podróży, ale tak blada, że zaczął lękać się o jej zdrowie. Kazała mu siodłać konie i pomimo usilnych próśb swego przewodnika nie chciała przyjąć żadnego posiłku.

— Wypiłam szklanekę wody! — rzekła do niego. — Nieszczęśliwy, wleczony na stracenie, nie potrzebuje innego pokrzepienia, a co jego posila, to i mnie ulgę przyniesie.

Gdy Wayland wahał się z odpowiedzią, dodała mocniejszym głosem: — Dlaczego się jeszcze ociągasz? Czy moje rozkazy nie są dość jasne dla ciebie?

— Są one wystarczająco wyraźne, ale wolno zapytać, pani, jakie są jej dalsze zamiary? Chcę to wiedzieć dlatego, by się do nich zastosować. Wszystkie drogi do Kenilworth roją się tłumami ludu. Musielibyśmy pokonać niemało trudności w dostaniu się na zamek, choćbyśmy nawet mieli kartkę wolnego przejazdu. Jesteśmy narażeni na duże niebezpieczeństwa, ponieważ nikt nas nie zna i znikąd nie możemy oczekiwać przyjacielskiej pomocy. Raczy mi pani darować, że ośmielam się podać jej moją radę. Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy połączyli się znów z naszymi komediantami?

Hrabina potrząsnęła głową, na co przewodnik odezwał się.

— Więc zdaniem moim jeden tylko pozostaje nam środek.

— Mów, co myślisz — rzekła hrabina ciesząc się w sercu, że Wayland sam nasunie jej pewno myśl, której wstydziła się wyjawic. — Sądzę, że jesteś wierny; cóż mi poradzisz dobrego?

— Moja rada — uwiadomić pana Tressiliana, że pani przybyła w te strony. Jestem więcej niż pewny, że przybiegnie tutaj z towarzyszami lorda Sussexa i zapewni nam osobiste bezpieczeństwo.

— I mnie śmiesz to radzić, żebym szukała opieki u Sussexa, niegodnego współzawodnika Leicestera? — odrzekła.

Ale widząc zdziwienie Waylanda i pomiarkowawszy, że zbyt wyraźnie zdradziła się przed nim ze swoim przywiązaniem do Leicestera, dodała:

— Co się tyczy Tressiliana, to projekt twój jest nie do przyjęcia, nie wspominaj mu o mnie, nakazuję ci! To by zwiększyło tylko moje cierpienie i uwikłało go w tysiączne niebezpieczeństwa.

Na tym stanęło, ale czytając w troskliwym spojrzeniu Waylanda, że lękał się o jej stan umysłu, dodała przybierając spokojną i poważną postawę:

— Odprowadź mię tylko do Kenilworth, a uczynisz, co ci nakazuje twoja powinność. Tam dopiero zobaczę, co mi nadal czynić z sobą wypadnie. Byłeś mi wierny — oto masz nagrodę.

Ofiarowała artyście pierścień z kosztownym diamentem.

Wayland spojrział nań, wahał się nieco, na koniec rzekł zwracając go:

— Nie przyjmuję tego daru; nie dlatego, pani, żebym miał odrzucać twoją łaskę, bo jestem chudy pacholek i nieraz zmuszony byłem, tak mi Boże dopomóż, łowić zyski, które mnie więcej upokarzały aniżeli szczodroblivość pani. Ale mój dawny nauczyciel zwykł był mawiać do swych pacjentów: jak wyzdrowiejesz, to zapłacisz. Tak i my nie jesteśmy jeszcze w Kenilworth, a już chcecie nagradzać swego przewodnika. Dostyc będzie na to czasu, gdy staniemy na miejscu. Mam nadzieję w Bogu, że pani tak jest pewna miłego przyjęcia w zamku, iż nie wątpi bynajmniej, bym nie chciał dołożyć wszelkich starań, byle tylko doprowadzić ją bez przygody do kresu podróży. Idę po konie — ale pierwej pozwól, pani, abym jako lekarz i jako przewodnik nakłonił cię do posilenia się czymkolwiek.

— Posilę się, posilę! — rzekła z pośpiechem hrabina. — Ty tymczasem przyprowadź konie.

— Na próżno usiłuję okazać się mężną! — rzekła po odejściu Waylanda. — Nawet ten biedny pacholek zdaje się czytać w moim niespokojnym sercu prawdziwe powody mej bojaźni.

Po czym chciała się posilić stosownie do rady swego przewodnika, ale musiała zaniechać tego, nie mogąc przełknąć najmniejszego kęsa. Po chwili podano konie. Hrabina siadła i na świeżym powietrzu poczuła się lepiej. Nieraz tak bywa z ludźmi w podobnych okolicznościach.

Szczęśliwym trafem dla hrabiny Wayland, wędrując dawniej po całej Anglii, znał równie dobrze boczne ścieżki i drożyny jak publiczne gościńce pięknego i bogatego hrabstwa Warwick. Taki był bowiem natłok ludzi ciągnących ze wszech stron do Kenilworth, by widzieć wjazd Elżbiety do zamku jej pierwszego ulubieńca, że główne

trakty były zupełnie zawałone i tylko bocznymi drogami można było śpiesznie dalej jechać.

Zwyczajem tamtego wieku komornicy koronni objeżdżali wioski i folwarki biorąc żywność, jaką dawano w czasie przejazdu panującego, a za którą potem właściciele odbierali należność ze skarbu królewskiego.

W tym celu Leicester rozesłał także swoich dworskich, a przyjaciele i krewni hrabiego, korzystając z tej okoliczności, starali się mu przypodobać dosyłając wszelką żywność, rozmaite przysmaki, mnóstwo zwierzyny i trunków tak krajowych jak zagranicznych. Z tego powodu publiczne gościńce były zapelnione trzodami bydła, owiec, cieląt i zapchane ładownymi wozami, których osie skrzypiały pod ciężarem ogromnych kuf z wódką, beczek wina, zabitej zwierzyny i solonego mięsiwa. Zatrzymywano się raz po raz, w miarę gdy wozy zahaczały się o siebie. Wtenczas rozgniewani woźnice, łajac się i przeklinając, biczami i kijami rozstrzygali prawo pierwszeństwa, póki nie nawinął się jaki urzędnik lub dozorca i nie pogodził obu stron grzmocąc je pałką po łbie.

Oprócz tego grupy skoczków, komediantów, sztukmistrzów, kuglarzy wszelkiego rodzaju ciągnęły różnymi drogami do „pałacu królewskiej rozkoszy”. Tak bowiem koczujący minstrelowie nazywali Kenilworth w swych pieśniach, poświęconych opisaniu zabaw i bankietów, które wyprawiał Leicester na przybycie Elżbiety, a układanych, nim jeszcze królowa przybyła na zamek. Pośród tej różnobarwnej tłuszczy żebracy ze swym rzeczywistym albo udawanym ubóstwem stanowili dziwny, ale zwykły kontrast między próżnością a nędzą ludzkiego życia. Wszyscy dążyli w jedną stronę, pomieszani z tłumami mnogiego ludu, zebranego dla zaspokojenia ciekawości, W ciżbie tej niejedyn rzemieślnik w skórzanym fartuchu szturchnął w bok wymuskaną i delikatną damę; ówdzie wieśniacy w butach podbitych gwoździemi deptali po nogach otyłych mieszczan i szlachty; gdzie indziej rubaszna mleczarka z pucołowatą twarzą i czerwonymi rękami torowała sobie drogę posuwistym krokiem pośród grona pięknych pań, rycerzy i ziemian.

Mimo to jednak cała ta rzesza była usposobiona wesoło i żartobliwie. Wszystkich tu sprowadziła ciekawość, wszyscy śmieli się z różnych drobiazgów i nieprzyzwoitości, które w innym czasie mogłyby zapalić gniewem oburzone umysły. Oprócz

przypadkowych kłótni między woźnicami, znanymi z opryskliwości, rozlegały się na ogół pośród zebranej cizby śmiechy i radosne okrzyki. Muzycy pobrzękiwali na swych instrumentach; minstrelowie nucili piosenki, błazen wrzeszczał przeraźliwym głosem, skoczkowie potrząsali dzwonkami, wieśniacy hałasowali lub świstali, mężczyźni śmieli się na całe gardło, dziewczęta szczebiotały piskliwym głosem, niejeden tłusty żart przelatywał jak piłka z jednego końca na drugi, odparowany w locie przez tego, przeciw komu był wymierzony.

Dla człowieka pogrążonego w smutku nie ma nic bardziej przykrego niż hałaśliwość i wesołość otoczenia. W tym jednak przypadku wrzawa i śmieszna rozmaitość zbiorowiska, tak nie dopasowanego do nastroju hrabiny, przerwały posępny tok jej myśli i uczyniły tę żalosaną przysługę, że nie mogła się zastanawiać nad swym nieszczęściem ani snuć przygnębiających myśli na temat przyszłych losów. Trzymając się Waylanda postępowała za nim jak osoba, która kroczy we śnie, a jej przewodnik przeciskał się przez tłumy podróżnych, to znowu objeżdżał manowcami publiczny gościniec i powracał nań, ujechawszy znaczny kawał drogi wygodniej i szybciej.

Tym sposobem ominął Warwick, gdzie Elżbieta nocowała w zamku, wspaniałym zabytku dawnych rycerskich czasów, i skąd nazajutrz w południe, w obiadowej podówczas porze całej Anglii, miała się udać do Kenilwirth. Tymczasem każde grono podróżnych miało coś do powiedzenia na pochwałę królowej, nie bez dodania uszczypliwych uwag, które cechują zazwyczaj nasze sądy o bliźnich, zwłaszcza wyżej od nas postawionych.

— Słyszeliście — rzekł któryś z podróżnych — jak wdzięcznie przemawiała do wójta, sądowego pisarza i Griffina kaznodziei, gdy klęczeli przed jej kolaską. A co powiedziała małemu Aglimby: — Panie pisarzu, chciano mnie przekonać, że się mnie lękasz, ale tak dokładnie wyliczyłeś obowiązki panującego, że ja mam większą przyczynę lękać się ciebie. — A potem z jaką gracją wzięła worek z pieniędzmi! Zdawało się, że się go nie tknie, gdy tymczasem dotknęła i wzięła.

— Oj, to prawda! — rzekł drugi. — Znać było, że bardzo ochoczo sięgnęła ręką po worek i zdawało mi się, że go ważyła przez chwilę, jakby chciała powiedzieć: dosyć ciężki.

— Wiedziała dobrze, że będzie ciężki! — ozwał się trzeci.— A nam, biednym rzemieślnikom, kiedy przyjdzie rachować się ze skarbem, to najczęściej na tym się kończy, że nam obcinają rachunki. Niech i tak będzie! Do Pana Boga na skargę. Ale zobaczycie, jak odtąd pójdzie w górę nasz pan.

— Dajże pokój, sąsiedzie! — rzekł pierwszy. — Nie godzi się obmawiać ludzi. Nasza królowa jest dobrą i wspaniałą panią.

— Nikogo tu nie obmawiam, mówię tylko, że ona wszystko niezadługo odda hrabiemu Leicester.

— Pani rozchoruje się, widzę! — rzekł Wayland do hrabiny i prosił ją, aby zjechała z drogi i zatrzymała się nieco, póki nie przyjdzie do siebie. Ale Amelia, tłumiąc uczucia, jakie w niej budziły te i tym podobne rozmowy, objijające się o jej uszy w czasie podróży, kazała swemu przewodnikowi prowadzić się do Kenilworth tak śpiesznie, jak tylko pozwalały na to liczne przeszkody spotykane na drodze. Tymczasem powiększały się co chwila obawy Waylanda z powodu kilkakrotnych ataków słabości hrabiny i widocznej nieprzytomności umysłu. Pragnął doprowadzić ją jak najprędzej do tego zamku, gdzie miała doznać dwornego przyjęcia, choć jak się zdawało, nie chciała mu wyjawić, na kim opierała swoje nadzieje.

„Jeżeli wywinę się szczęśliwie z tego niebezpieczeństwa — pomyślał sobie — a dowiedzie mi kto, żem przystał drugi raz za koniuszego do słabej niewiasty, temu pozwolę rozwalić sobie łeb moim kowalskim młotem.”

Na koniec ukazał się wspaniały zamek Kenilworth, na którego przyozdobienie i uświetnienie okolicznych włości hrabia Leicester wydał, jak mówią, sześćdziesiąt tysięcy funtów szterlingów.

Mury wokoło tego pysznego i olbrzymiego gmachu obejmowały siedem morgów ziemi. Część tej przestrzeni zajmowały obszerne stajnie, ogród do przechadzki, gaje i ukwiecone łąki, reszta przeznaczona była na dziedziniec. Sam zamek wznoszący się w środku tego obszaru zawierał ogromne i wspaniałe budowle z rozmaitych wieków, otaczające wewnętrzny dziedziniec. Nazwiska i herby na każdym gmachu przypominały możnych panów zeszyłych od dawna z tego świata. Historia ich mogłaby dać dumnemu ulubieńcowi, który nabył i rozszerzył ich posiadłości, zbawienne nauki, gdyby tylko jego ambicja chciała z nich korzystać. Obszerne i warowne więzienie,

stanowiące część twierdzy zamkowej, sięgało czasów bardzo odległej przeszłości, choć nie podobna było oznaczyć dokładnie daty jego założenia. Nazywano je Cezar, może dla podobieństwa do więzienia tej samej nazwy, londyńskiego Tower. Utrzymują niektórzy uczeni, biegli w dziejach kraju, że zbudował je Kenelph, saksoński król Mercji, od którego imienia i zamek wziął nazwę, inni powiadają, że zostało założone wkrótce po najeździe Normanów. Na murach, wzniesionych przez Clintonów za panowania Henryka I, widać było ich herby, zarówno jak godło bardziej jeszcze groźnego Szymona de Montfort, który w czasie wojny baronów bronił długo Kenilworthu przeciwko Henrykowi III. Tu Mortimer, hrabia Marchii, równie sławny ze swej wielkości jak i z upadku, wyprawiał niegdyś huczne bankiety, podczas gdy król jego Edward II, zrzucony z tronu, jęczał w więzieniu zamkowym... Przed laty Jan z Gaunt rozszerzył ten gmach dodając wyniosłe, potężne skrzydła, które i teraz jeszcze nazywają budowlą Lancastra, ale Leicester przewyższył swych poprzedników możliwych i bogatych wznosząc inną budowę, która dziś leży w gruzach — pomnik godnymi ambicjami swego założyciela! — Na jeziorze, otaczającym zamek od południa i zachodu, Leicester kazał zbudować wspaniały most, aby Elżbieta mogła wjechać do niego drogą nie deptaną dotąd ludzką stopą. Od dawnego zaś wjazdu z północnej strony wystawił wysoką wieżę, która i dotąd jeszcze jest zachowana, a swą wielkością i architekturą przewyższa niejednen zamek północnych baronów.

Poza jeziorem rozciągał się obszerny zwierzyńiec, pełen danieli, saren, jeleni i zwierząt rozmaitych gatunków, a pośród jego wysokich i rozłożystych drzew wysmukłe wieże zamkowe wylaniały się w całej swojej okazałości. Dodać musimy, że ten wspaniały zamek, gdzie niegdyś biesiadowali książęta, a rycerze staczali boje w krwawych walkach w czasie szturmów i oblężenia czy w rycerskich szrankach, gdzie piękność rozdawała nagrody za męstwo, leży teraz w gruzach. Z pięknego jeziora zostały tylko moczary zarosłe szuwarem, a z ruin zamku wywnioskować można, jak musiał wyglądać w okresie dawnej świetności. Myślący wędrowiec będzie mógł tutaj zastanowić się nad zmiennością ludzkich dóbr i szczęściem tych, którzy umieją poprzestać na możliwym umiarze.

Ale nie takie uczucia napełniały serce nieszczęśliwej hrabiny Leicester, gdy ujrzała po raz pierwszy ogromne i patyną wieków pokryte wieże, wznoszące się wśród cienistego

lasu, nad którym zdawały się panować. Ślubna żona ulubieńca Elżbiety, potężnego bożyszca Anglii, zbliżała się do swego małżonka i swojej królowej w towarzystwie biednego kuglarza, który nie tyle był jej sługą, co opiekunem i dobroczyńcą. Choć była niewątpliwą panią tego pysznego zamku, którego ciężkie bramy winny były opaść z wrzeczadźwów na jej najmniejsze skinienie, nie mogła zataić przed sobą trudności i niebezpieczeństw, jakich miała doświadczyć, by dostać się do swoich własnych komnat.

Te trudności i niebezpieczeństwa zdawały się powiększać z każdą chwilą. W końcu nasi podróżni lękać się zaczęli, aby nie zostali zatrzymani przy wielkiej bramie, którą wjeżdżano na piękną i szeroką drogę, prowadzącą środkiem zwierzyńca, skąd widać było z dala baszty zamkowe i szeroko rozlane wody jeziora. Droga ta, długa na milę, prowadziła do nowo postawionego mostu, którym miała wjechać królowa.

Przy owej bramie hrabina i Wayland natknęli się na stojących na straży kilkunastu konnych szlachciców, którzy wszędzie odbywali służbę, gdzie tylko znajdowała się królowa. Mieli oni na sobie złoczone pancerze, szyszaki zamiast czapek i rusznice na plecach. Dowódca ich miał na ramieniu blaszkę z niedźwiedziem, symbol przynależności do dworu Leicesterera. Urzędnik ten nie puszczał nikogo oprócz osób zaproszonych na ucztę i tych, co śpiewem, skokami i innymi fraszkami miały przyczynić się do rozweselenia gości.

Zrozumiałe jest, że natłok koło bramy był ogromny. Każdy tam przytaczał powody, dla których żądał, by go wpuszczono; ale nieubłagani strażnicy nie dając się poruszyć ani pokornymi prośbami, ani pięknymi darami, zasłaniali się surowością rozkazów, tym ściślejszych, że królowa nie lubiła wielkiego napływu pospólstwa. Ostrzej obchodzono się z tymi, co nie chcieli na tym poprzestać. Rozgniewani żołnierze albo rozpędzali takich końmi, albo odpychali kolbami. Te ostatnie sposoby wywołały w tłumie pewne zamieszanie i z tej przyczyny Wayland lękać się począł, aby gdzie w ciżbie nie odłączyć się od swej towarzyszki. Gdy nie wiedząc, jaką miał podać przyczynę, aby go przepuszczono, zastanawiał się z wielkim niepokojem nad tym, co miał powiedzieć, dowódca straży krzyknął niespodzianie ku jego niemałemu zdziwieniu:



— Żołnierze! Puścić tego w żółtym płaszczu. Hej! Panie szubrawcze, czego tam czekasz, u kroćset diabłów! Ruszaj ze swoją babą!

Po tym nagłym, ale trochę niegrzecznym zaproszeniu, żołnierze zrobili prędko przejście. Wayland ostrzegłszy hrabinę, aby się dobrze zakryła, wszedł w bramę prowadząc jej konia, a choć nadrabiał miną, tak jednak zdawał się być zbity z tropu, tak zatrwożony i zmieszany, że całe pospólstwo podniosło szyderskie śmiechy, wytykając go palcami.

Wayland i jego towarzyszka wpuszczeni tym sposobem do parku, przy wtórce niezbyt pochlebnych oznak szacunku jechali dalej myśląc o przeszkodach, jakie mieli napotkać na drodze strzeżonej przez szeregi zbrojnych żołnierzy, którzy rozstawieni po obu stronach, o trzy kroki jeden od drugiego, zajmowali całą przestrzeń między pierwszą bramą a mostem. Wszyscy ubrani byli w bogate barwy Leicestera z jego herbami, mieli przy boku długie pałasze, w rękę zaś berdysze lub halabardy. Gdy po raz pierwszy ukazał się oczom hrabiny wspaniały widok zamku, z wieżami strzelającymi z długiego szeregu zewnętrznych wałów, gdy ujrzała mnogie baszty, wieżyczki i strzelnice wznoszące się na każdym warownym punkcie, szanice obronne, a na nich powiewające różnobarwne chorągwie, gdy zajaśniała przed nią wspaniałość tego widoku, hrabina, nie przyzwyczajona do takiego przepychu, uczuła jakiś ciężar na sercu i pytała samej siebie, czym mogła tak dalece zasłużyć się hrabiemu Leicesterowi, że uznał ją godną tak wielkiego zaszczytu? Ale jej dumne serce nie dało górować uczuciu, które by ją przywiodło do rozpacz.

„Dałam mu wszystko — pomyślała sobie — co tylko jest najdroższe u kobiety. U podnóżka ołtarza oddałam panu tego pysznego zamku imię, serce i rękę. Królowa Anglii nic więcej nad to dać by mu nie mogła. Jest moim mężem — jam jest jego żoną. Co Bóg połączył, nikt w świecie rozłączyć nie zdoła. Śmiało dopominać się będę o swe prawa, tym śmielej, że przychodzę nie oczekiwana i pozbawiona pomocy. Znam przecież dobrze mego szlachetnego Dudleya! Pogniewa się trochę za to, że mu nie była posłuszna, ale Amelia zapłacze i Dudley jej przebaczy.”

Te uwagi przerwał krzyk zdumienia Waylanda, który poczuł, że ktoś zeskoczywszy z dębu na jego konia, wśród głośnego śmiechu żołnierzy stojących na straży, schwycił go mocno z tyłu cienkimi czarnymi rękami.

— To musi być diabeł albo Flibbertigibbet — rzekł Wayland usiłując nadaremnie zrzucić z konia karła, który się mocno przyczepił do niego. — Czy dęby Kenilworthu takie rodzą żołędzie?—zawołał.

— Jakbyś zgadł, panie Waylandzie — ozwał się z tyłu niespodziewany przyjaciel — i tak twarde rodzą żołędzie, że aczkolwiek nie jesteś stary, nie mógłbyś ich zgryźć, gdybym ci na to nie podał sposobu. Czy myślisz, żeby cię puszczono przez pierwszą bramę, gdybym nie powiedział dowódcy straży, że jedzie za nami nasz starszy kuglarz? Tu czekałem na ciebie wdrapawszy się z wozu między gałęzie, ale muszę śpieszyć, bo oni tam poszaleją beze mnie.

— Niechże cię licha weźmie! — rzekł Wayland.—Widzę, że jesteś prawdziwym potomkiem diabła. Ulegam twojej przewadze, opiekuńczy szatanie i proszę cię, byś mi okazywał tyle dobroci, ile masz władzy nade mną.

Wśród takiej rozmowy przybyli do ogromnej wieży stojącej na początku mostu i broniącej przystępu do zamku.

W tak nadzwyczajnych okolicznościach i w tak osobliwym towarzystwie nieszczęśliwa hrabina Leicester wjechała pierwszy raz do wspaniałej siedziby swego małżonka, którego znaczenie równało się już niemal królewskiej władzy.

## R O Z D Z I A Ł VIII

RYJEK; Napisałeś rolę lwa? Jeżeliś już napisał,  
daj mi ją, gdyż do wyuczenia się potrzebuję  
długiego czasu.

PIGWA: Możesz ją odegrać bez przygotowania, dosyć będzie zaryczeć.

Szekspir Sen nocy letniej

Hrabina Leicester zbliżywszy się do mostu spostrzegła, że jacyś dziwni ludzie strzegli wieży, pod którą otwierała się brania w kształcie arkady. Na gankach i galeriach stali strażnicy olbrzymiego wzrostu, zbrojni w maczugi, topory i inny starodawny oręż, przedstawiając żołnierzy króla Artura, Bretonów dawnych wieków, którzy wedle gminnego podania pierwsi założyli ten zamek (co prawda historia podaje, że został założony w czasach siedmiu królestw). Wśród tych strasznych dziwotworów kilku było prawdziwych ludzi, którzy za pomocą szczudeł i wysokich kołpaków dodali sobie drugie tyle wzrostu; reszta — same bałwany zrobione z papieru i obleczone w płócienne chałaty, co z dołu dawało zupełne złudzenie żywych ludzi. Ale odźwierny, stojący na warcie, nie sztucznymi środkami wzbudzał strach w patrzących. Ten wielkolud taki miał wzrost kolosalny, tak ogromne wymiary członków i stosowną ku temu objętość, że mógłby wyśmienicie występować jako Kolbrand Askapart lub inny olbrzym z gminnych powieści, nie potrzebując ani na cal jeden dodawać sobie wzrostu. Nagie były uda i kolana tego Anakowego syna, równie jak ręce i łokcie, ale na nogach miał przestronne obuwie, obwiązane na krzyż czerwonymi rzemykami i spięte brązową klamrą. Kurtka ze szkarłatnego aksamitu i spodni ubiór tegoż samego koloru okrywały część jego ciała, z ramion zaś zamiast płaszcza spadała mu niedźwiedzia skóra. Czarne kudłate włosy osłaniały czoło i spływały na barki tego straszego człowieka. W jego twarzy, ruchach i spojrzeniu widać było jakąś zajadłość i przytępienie umysłowych zdolności. Prawdopodobnie stąd utarło się mniemanie, że ludzie niepospolitego wzrostu, bywają zazwyczaj złośliwi i tępi. Ciężka maczuga nabita stalowymi gwoździami dopełniała innych części rynsztunku tego okropnego dziwotworu. Słowem, wyobrażał on doskonale jednego z tych olbrzymów, co to występują w ludowych opowieściach i legendach błędnego rycerstwa.

Gdy Wayland zwrócił nań uwagę, postawa tego nowożytnego Tytana wyrażała jakieś zakłopotanie i wewnętrzny niepokój, raz bowiem siadał na ogromnej ławie, postawionej, jak się zdawało, umyślnie dla jego wygody, to znowu zrywał się, drapał w potworną głowę i przechadzał parę kroków, jakby się lękał lub niecierpliwie czegoś oczekiwał. Wtenczas właśnie, kiedy tak miotał się na wszystkie strony, Wayland niby nie zważając na niego miał już go minąć i wjechać w bramę. Ale odźwierny zatrzymał go głosem podobnym do grzmotu.

— Stój! Dokąd to?

I podnosząc ogromną maczugę dla nadania większej mocy swym rozkazom, tak silnie grzmotnął nią o ziemię, prawie pod nogi Waylandowego konia, że aż iskry posypały się z kamienia i łoskot rozszedł się po łamanych sklepieniach bramy.

Wayland korzystając z przestrogi Ryszarda zaczął tłumaczyć się, że należy do grona komediantów, że bez niego nie obejdą się na zamku, że tylko przypadkiem pozostał w tyle.

Ale odźwierny nie dał się podejść. Mruczał coś pod nosem, z czego Wayland to tylko mógł zrozumieć, że go nie puści do zamku. Taka mogła być treść ciągle rwącej się mowy (do siebie):—Hola, panowie! Co znaczy?... (Do Waylanda): — Ty jesteś włóczęgą! Nie doczekasz się, wejść! (Znowu do siebie):—Przecież odźwiernym... aż w głowę zachodzę! (Do Waylanda): — Precz stąd, albo ci łeb rozwalę! (Do siebie): — Precz stąd! bo laską... nie, nic z tego nie będzie!

— Czekaj no — szepnął Flibbertigibbet do Waylanda wiem ja, jak go przekonać, wkrótce go udobrucham.

To mówiąc zeskoczył z konia i podszedłszy do odźwiernego, pociągnął za ogon niedźwiedziej skóry, a gdy ten się obrócił, powiedział mu coś po cichu. Skoro wielkolud to usłyszał, prędzej ułagodził surowość spojrzenia, niż Afrykanin wypogadza posępne czoło i przybiera pokorną postawę na widok wschodniego talizmanu. Rzucił natychmiast maczugę, wziął na ręce Ryszarda Sludge i podniósł go na taką wysokość, że kto wie, czyby się nie zabił, gdyby go przypadkiem upuścił.

— Ha! to co innego — rzekł grubym głosem. — To co innego, mój malcze! Ale kto u licha mógł cię tego nauczyć?

— Co ci do tego — odparł Flibbertigibbet; po czym powiedział mu coś po cichu, nie mając potrzeby gadać głośno, bo wielkolud podniósł go dla swej wygody aż pod samo ucho. Po czym uściskawszy czule małego Ryszarda spuścił go na ziemię z taką troskliwością, z jaką roztropna gospodyni stawia na przymurku nadtluczoną filiżankę z chińskiej porcelany. Krzyknął nareszcie do Waylanda i hrabiny:

— Ruszajcie, ruszajcie! A pamiętajcie na drugi raz, żebyście nie spóźnili się, kiedy będę stać na warcie przy bramie.

— Ruszajcie! Ruszajcie! — powtórzył Flibbertigibbet. — Ja tu zostanę jakiś czas z moim poczciwym Filistyńczykiem, z moim kochanym Goliatem, wkrótce połączę się z wami i odkryję waszą tajemnicę, choćby była tak ciemna i głęboka jak lochy tego zamku.

„Wierzę temu, że chciałbyś ją odkryć — pomyślał Wayland — ale zdaje mi się, że ta tajemnica wkrótce nie będzie tajemnicą, a wtenczas wszystko mi jedno, czy ty ją odkryjesz, czy kto inny.”

Hrabina i jej przewodnik wjechali do zamku przez pierwszą wieżę, zwaną Galerią. Most łączący się z drugą na przeciwnym brzegu jeziora, nazwany Mortimer, długi na sto trzydzieści a szeroki na dziesięć sążni, wysypany drobnym piaskiem i obwarowany po bokach mocnymi poręczami, służył zarazem za szranki, na których odbywały się rycerskie igrzyska. Do wieży wystawionej od wjazdu przebudowano piękną i starą galerię, gdzie zajmowały miejsca kobiety, chcąc przypatrzeć się rycerskim ćwiczeniom i od niej cała wieża została nazwana Galerią. Tym mostem jechali zwolna nasi podróżni do wieży Mortimer, którą wjeżdżano na pierwszy dziedziniec zamkowy. Na przedniej ścianie tej budowy widać było herby hrabiego Marchii, którego zuchwała ambicja obaliwszy tron Edwarda II dobijała się o podzielenie najwyższej władzy z Wilczycą, królową Francji, żoną nieszczęsnego monarchy. Przy bramie mającej nad sobą te złowieszcze godła stali liczni strażnicy w bogatej liberii, ale nie czynili żadnych trudności podróżnym; nie wypadało bowiem tego zatrzymywać, kogo przepuścił starszy odźwierny. Wjechali więc na obszerny dziedziniec, skąd mogli widzieć w całej okazałości wspaniały zamek z niebotycznymi wieżami. Na znak gościnności odemknięte były wszystkie podwoje, we wszystkich komnatach pełno było gości rozmaitego stanu nie licząc w tym dworzan, sług, pachółków różnego

rodzaju i wielkiej zgrai śmieszków, skoczków, kuglarzy, sprowadzonych z całego kraju dla rozweselenia licznie zgromadzonych gości.

Pośród tego zgietku i przepychu Wayland zatrzymał konia i spojrzął na hrabinę pytając się niby, co dalej mają począć. Nie odbierając żadnej odpowiedzi zapytał wprost, jakie były jej dalsze rozkazy. Hrabina oparła rękę na czole, jakby chciała zebrać myśli i coś stanowczego przedsięwziąć, odpowiedziała na koniec stłumionym głosem:

— Rozkazy? Tak jest, mam prawo rozkazywać, ale któż mnie usłucha?

Po czym nagle podniosła głowę, jak ten, co zrobił stanowcze i niezmiennie postanowienie, a obracając się do pachołka bieżącego przez dziedziniec za jakimś, jak się zdawało, pilnym interesem, rzekła:

— Stój! — Chcę mówić z hrabią Leicester.

— Z kim chcesz mówić? — odpowiedział zdziwiony tymi słowami, a potem spoglądając na liche odzienie tej, co przemówiła do niego rozkazującym głosem, dodał zuchwale:

— Patrz ją, co mi za wielka pani, żeby z nią hrabia rozmawiał w takim czasie i w takich okolicznościach.

— Nie bądź tak zuchwały, przyjacielu; mam pilny bardzo interes do hrabiego.

— Nie pójdę z nim, choćby był sto razy pilniejszy, pošlij sobie kogo innego, moja dobrodziejko. Ja bym miał dla twojej przyjemności naprzykrzać się memu panu i to wtenczas jeszcze, kiedy on wygląda co chwila przybycia królowej. Pięknie bym wyszedł na tym: nic więcej tylko na podziękowanie kazałby mi wyliczyć kilkadziesiąt bizunów. Ale nie wiem, co się stało naszemu odźwiernemu, że wpuścił do zamku takiego koczodona, nieborakowi musiało się przewrócić w głowie od uczenia się wierszy na pamięć.

Żarty pachołka sprowadziły kilku innych z zamkowej hałastry, a gdy się ich coraz więcej poczęło zbierać, Wayland lękając się o siebie i o hrabinę wziął na stronę jednego z nich, który zdawał się nieco grzeczniejszy i wsunąwszy mu w rękę kilka sztuk złota prosił go o osobną izdebkę, w której by jego towarzyska mogła przenocować.

Ten ostatni, snadź starszy dworzanin, zgromił zamkową czeladź za nieobyczajne obejście, kazał wziąć do stajni konie nieznanomych i ofiarował im swoje usługi.

Amelia tyle miała przytomności umysłu, że zaniechała zamiaru widzenia się z hrabią i zostawiwszy służących, którzy dogadywali jej nieobyczajnie od ładnych panien, włóczących się po kraju, udała się wraz z Waylandem za starszym dworzaninem, który podjął się być ich przewodnikiem.

Wszedłszy na wewnętrzny dziedziniec bramą wystawioną między głównym więzieniem, zwanym „Wieżą Cezara”. a wspaniałą budową, znaną pod nazwą „Apartamenta króla Henryka”, znaleźli się w środku obszernego gmachu, który w rozmaitych swych częściach dawał wzory wszystkich rodzajów gotyckiej architektury z właściwymi jej ozdobami, poczynając od wielkiego podboju aż do panowania Elżbiety.

Idąc tym wewnętrznym dziedzińcem za swoim przewodnikiem, doszli do warownej wieży, łączącej się z wielką salą i oddzielającej ją od obszernego zabudowania przeznaczonego na kuchnię. Na dole mieszkała czeladź dworska, na górnym piętrze, dokąd wchodziło po kręconych schodach, znajdowała się mała izdebka, którą w wypadku wielkiego braku mieszkań sprzątało dla gości. Podania głosiły, że przed laty był więziony i zamordowany w tej izbie niejaki Mervyn i od tego czasu cała wieża nazwana została jego imieniem. I możliwe, że była niegdyś więzieniem, dowodem czego są sklezione podłogi, ściany nadzwyczajnej grubości i szczupłość samej izdebki, nie mającej więcej nad piętnaście stóp kwadratowych. Małe zaś okienko wychodziło na obszerną równinę, gdzie stały triumfalne łuki, posągi i inne architektoniczne pomniki, między którymi wiodła droga do zamkowego ogrodu. W izdebce znajdowało się łóżko i inne sprzęty przygotowane dla wygody gościa, ale hrabina zwróciła szczególną uwagę na pióro, kałamarz i papier pozostawiony na stoliku i postanowiła natychmiast napisać list do Leicestera i nigdzie nie wychodzić, póki nie odbierze od niego odpowiedzi.

Grzeczny przewodnik pokazawszy gościom to wygodne mieszkanie, zapytał Waylanda, którego szczodrobliwosć już poznał, czy nie potrzebuje jeszcze jego usług. Gdy mu dano do zrozumienia, że nie byłoby od rzeczy posilić się czymkolwiek po długiej podróży, zaprosił sztukmistrza do bliskiej oficyny, gdzie z gościnną hojnością

rozdawano rozmaite potrawy. Wayland wybrał natychmiast kilka lekkich potraw, mogących przypaść do smaku hrabinie i sam przy tej okazji nie omieszkał pożywić się naprędce pożywniejszym pokarmem; po czym wrócił śpiesznie do wieży, gdzie zastał hrabinę kończącą list do Leicesterera. Ponieważ nie było w pogotowiu pieczętarki ani jedwabiu, hrabina obwiązała go sznurkiem splecionym ze swych pięknych włosów.

— Wierny przyjacielu! — rzekła do niego. — Ty, którego Bóg mi zesłał w mojej niedoli, proszę cię, oddaj ten list hrabiemu Leicester a będzie to ostatnia przysługa, jaką wyświadczysz nieszczęśliwej kobiecie. Jakikolwiek skutek sprawi to moje pisanie — rzekła wahając się między nadzieją a bojaźnią — nie będę już więcej naprzykrzać się, abyś dalej zajmował się mym losem, ale spodziewam się, że wszystko pójdzie pomyślnie; a jeżeli powrócą dawne dni mego szczęścia, odbierzesz nagrodę, jakiej stałeś się godny przez swoje usług i poświęcenie się dla mnie. Oddaj to pismo do rąk samego Leicesterera i przypatrz się dobrze, jakie sprawi na nim wrażenie.

Waylan chętnie podjął się tego zlecenia, ale prosił ją usilnie, aby spożyła posiłek, co też hrabina uczyniła nie tyle dla zadośćuczynienia naleganiom swego przewodnika, ale po to, by czym prędzej zaniósł list do hrabiego. Po czym zostawił ją radząc, aby zamknęła się od środka i nie wychodziła nigdzie ze swego mieszkania; sam zaś poszedł upatrywać sposobnej pory wywiązania się ze swego poselstwa, zarówno jak przeprowadzenia pomysłu, jakim go natchnęły obecne okoliczności.

W istocie, postępowanie hrabiny w ciągu całej podróży, jej długie i głębokie milczenie, widoczne wahanie się i niepewność cechująca każdy jej krok, zupełna nareszcie niezdolność myślenia i działania o własnych siłach naprowadziły Waylanda na myśl bardzo prawdopodobną, że okropność jej położenia dotknęła ją lekkim pomieszaniem umysłu.

Zdawało się, że hrabina wymknąwszy się z Cumnor Place powinna była, jak jej radziła roztropność, szukać przytułku u ojca albo udać się tam, dokąd nie rozciągała się władza tych, co byli sprawcami jej cierpień. Ale gdy kazała prowadzić się do Kenilworth, Wayland nie mógł wytłumaczyć sobie inaczej tego kroku, jak tylko przypuszczając, że zamyśla poruczyć się opiece Tresailiana albo odwołać się do królowej. A teraz znowu zaniechawszy tej naturalnej drogi dała mu list do Leicesterera, pana i dobroczyńcy Varnera, za którego wpływem przynajmniej, jeżeli nie wyraźną



wolą, spadły na nią wszelkie nieszczęścia, jakich doznała w życiu. Taki postępek wydawał mu się niebezpieczny, jako powzięty w ostatecznej rozpacz i zupełnym zwątpieniu. Lękając się przeto, by nie zdarzyło się stąd co złego tak dla niego jak i dla hrabiny, Wayland postanowił przed oddaniem listu Leicesterowi wyszukać Tressiliana i powiadomić go o przybyciu umiłowanej, przez co tuszył sobie uwolnić się od dalszej odpowiedzialności i opiekę nad nieszczęśliwą kobietą zdać na tego, który pierwszy użył go do tej służby.

„On lepiej osądzi ode mnie — pomyślał sobie — czy należy uczynić zadość temu, co sobie ta kobieta umyśliła i ułatwić jej widzenie się z Leicesterem, co zdaje mi się największym szaleństwem. Oddam mu to pismo i tym sposobem złożę w jego ręce całą tę sprawę; potem odbiorę nagrodę, jaką mi przeznaczyć raczą i drapnę z Kenilworth, aż się za mną zakurzy; bo odkąd wdałem się w te dworskie matactwa, wątpię, aby to miejsce mogło być dla mnie zdrowym albo wygodnym mieszkaniem; wolę kuć konie w najnędrniejszej wioszczynie, niżeli biesiadować z nimi tu w tym pięknym zamku.”

## ROZDZIAŁ IX

Widziałem cuda za moich czasów. Robin, mój kum, miał syna, co tak był sprawny, że przełaził przez kocie dziury.

Filut

Wśród niezmiernych tłumów zalegających wszystkie dziedzińce i pobliskie okolice zamkowe nie było rzeczą łatwą znaleźć tego, kogo się szukało. Wayland na tym większe napotykał trudności w wynalezieniu Tressiliana, że lękając się zwrócić na siebie uwagę, nie śmiał wypytywać się o niego między dworskimi hrabiego Leicestera. Wdawszy się jednak z nimi w rozmowę dowiedział się przez ostrożne pytania, że Tressilian musi znajdować się w orszaku przyjaciół i dworzan hrabiego Sussexu, który przybywszy dziś rano do Kenilworth przyjęci zostali przez Leicestera z oznakami wysokiego szacunku. Dowiedział się także, że obaj hrabiowie z orszakami swych dworzan, panów, rycerzy i licznej szlachty wyjechali przed kilku godzinami ku Warwick w celu towarzyszenia królowej do Kenilworth.

Z godziny na godzinę wyglądzano przybycia królowej z niecierpliwością, z jaką zazwyczaj ludzie oczekują każdego wielkiego wydarzenia. Wreszcie zadyszany goniec oznajmił, że Jej Królewska Mość wyraziwszy chęć odebrania hołdu od swych poddanych, zgromadzonych w Warwick, wieczorem dopiero przybędzie do zamku. Ta wiadomość pozwoliła odetchnąć na chwilę komediantom gotującym się nieustannie do odegrania ról, jakie im były rozdane w widowiskach mających uświetnić wjazd królowej.

Wayland widząc, że wielu jezdnych zbliżyło się do zamku, spodziewał się odnaleźć między nimi Tressiliana. W tym celu udał się do wieży Mortimer i tam przypatrywał się pilnie wszystkim wyjeżdżającym i powracającym, szczególnie zaś zwracał uwagę na ubiór i postawę każdego, co wymknąwszy się spod wieży, zwanej Galerią, harcował po moście obróconym na szranki albo zbliżał się wolnym krokiem do zamkowego dziedzińca.

Gdy tak Wayland przypatrywał się wszystkim w poszukiwaniu tego, z kim się chciał widzieć, porwał go za rękaw ten, przez którego nie chciał być widzianym.

Był to Ryszardek albo Flibbertigibbet, co na podobieństwo diabła, którego nosił nazwisko i za którego był przebrany, zdawał się ustawicznie ukazywać przy tych, którzy najmniej pragnęli jego widoku. Jakiegokolwiek mogły być prawdziwe uczucia Waylanda, uważał jednak za konieczne, okazywać udaną radość z tego niespodziewanego spotkania.

— Ach, to ty, mój pieszczoszku! mój króliczku! moja myszko!

— A tak — odpowiedział mu Ryszard — ta sama myszka, która przegryzła sieci wtenczas, kiedy lew, który się w nie złowił, opuścił uszy jako osioł.

— Coś ty, widzę, mój człeczku, zrobiłeś się bardzo uszczypliwy tego popołudnia, ale powiedz mi, jak skończyłeś z tym wielkoludem? Powiem ci prawdę, że bałem się, aby cię nie połknął jak pieczony kasztan.

— Gdyby to uczynił, ręczę, że miałby więcej rozumu w brzuchu niżeli w swoim ogromnym czerepie; ale ten wielkolud jest zupełnie grzecznym potworem i potrafi być wdzięczniejszym od tych, których ratowałem nieraz, gdy było kuso koło nich, panie Smith.

— Niech cię nie znam, Flibbertigibbet, ostrzej docinasz niż sheffieldzką stalą. Rad bym jednak wiedzieć, jakimi czarami ugłaskałeś tego starego niedźwiedzia?

— Bo wy zawsze swoje! Wam się zdaje, że piękne słówka stać mogą za dobre chęci. Co się zaś tyczy tego pocziwego odźwiernego, wiedzieć winieneś, że gdyśmy wjeżdżali w bramę, znęcał się nieborak nielitościwie nad wierszami, których nauczenie się przechodziło jego olbrzymie zdolności. Tę wymowną przemowę, równie jak wiele innych, napisał mój uczonec bakałarz Erazmus Holiday i tak mi nabił nią głowę, że jedno słowo nie wyszło mi z pamięci. Skorom spostrzegł, że się zacinał za każdym słowem i rzucał się okropnie jak ryba wyniesiona z wody na ziemię, podpowiedziałem mu kilka początkowych wyrazów i wtenczas to, jakoście widzieli, podniósł mię z radości do swego ucha. Poprosiłem go więc, aby was przepuścił i za tę uczynność obiecałem zaszyć się w jego wilczurę i podpowiadać mu trudniejsze miejsca, kiedy będzie witał królowę. Chodziłem teraz do zamku, żeby się czym pożywić i znowu wracam do niego.

— Dobrze robisz, bardzo dobrzej — odpowiedział Wayland. — Śpiesz się, na miłość Boga, biedny olbrzym musi już tęsknić za tobą. Bywaj zdrów, Ryszardku!

— Ha! „Bywaj zdrów, Ryszardku” — chciałbyś się go pozbyć, kiedy go już nie potrzebujesz. No cóż, powiesz mi, co to za kobieta, która z tobą jechała, a która tak jest twoją siostrą, jak ja jej bratem?

— Cóż ci z tego przyjdzie, ciekawy diabełku?

— Czy taka powinna być odpowiedź? Dobrze! Nie dbam o ciebie; to tylko ci powiem, że jeżeli przeważam cokolwiek, póty się nie uspokoję, póki nie dowiem się o wszystkim.

— Nie odchodź jeszcze. Ryszardku! — rzekł Wayland, który znając niezmordowaną żywość chłopaka lękał się jego nieprzyjaźni. — Zatrzymaj się, moje dziecko. Czy tak rozłączają się starzy przyjaciele? Dowiesz się kiedyś o tej kobiecie wszystkiego, co tylko o niej wiedzieć będę.

— O, wierzę temu i mam nadzieję, że to kiedyś może jeszcze dzisiaj nastąpi. Bądź mi zdrów, Waylandzie. pójdę do mego sążnistego przyjaciela, który jeżeli nie ma jak inni zbyt bystrego dowcipu, umie przynajmniej być wdzięczniejszy za czynioną sobie przysługę; teraz bądź mi zdrów, powtarzam ci raz jeszcze.

To mówiąc podskoczył w górę, wbiegł na most i zniknął w jednej chwili.

„O, gdyby wyrwać się czym prędzej z tego przekłętego zamku! — pomyślał Wayland.

— Nie spodziewam się niczego dobrego, odkąd ten złośnik nie proszony zainteresował się naszą tajemnicą. Gdybym przynajmniej zobaczył pana Tressiliana!”

Tymczasem Tressilian, którego Wayland wyglądał z taką niecierpliwością, inną drogą przybył do Kenilworth. Wyjeżdżał on, jak dobrze powiedziano Waylandowi, w towarzystwie obu hrabiów na spotkanie królowej do Warwick, nie bez nadziei zasięgnięcia tam języka o swoim wysłańcu. Zawiedziony w tej nadziei i dostrzegłszy, że Varney, znajdujący się w orszaku Leicestera, miał chętkę zbliżyć się i przemówić do niego, osądził za właściwą rzecz uniknąć widzenia się z nim w obecnych okolicznościach. Wyszedł przeto z sali audiencjonalnej w chwili, kiedy wielki szeryf przemawiał do królowej, siadł na koń i powróciwszy do Kenilworth boczną drogą wjechał do zamku tajemną furtką, którą mu otworzono bez żadnej trudności jako należącemu do orszaku hrabiego Sussexa, Leicester bowiem najsurowiej przykazał, aby okazywano wielką cześć i uszanowanie dworzanom i przyjaciołom jego

współzawodnika. Tym tedy sposobem stało się, że nie spotkał Waylanda, który go tak niecierpliwie wyglądał i którego on sam równie usilnie zobaczyć pragnął.

Oddawszy konia stajennemu poszedł na przechadzkę do ogrodu nie tyle dla oglądania piękności natury i arcydzieł sztuki, zgromadzonych w tym miejscu, jak raczej by móc bez przeszkody zatopić się w odmęcie smutnych myśli.

Większa część dostojnych osób wyjechała z hrabiami naprzeciwko królowej, pozostali goście zajęli miejsca na gankach, wieżach i zewnętrznych wałach, aby przypatrzeć się jej wspaniałemu wjazdowi. Gdy więc w każdej części zamku rozlegały się hałasy, gdy brzmiała wszędzie wesoła wrzawa, w jednym tylko ogrodzie panował spokój. Nic tam nie przerwało głębokiej ciszy, chyba tylko szelest liści i gwar ptaków więzionych w klatkach, które zdawały się walczyć o pierwszeństwo w śpiewie ze szczęśliwszymi od siebie, bo wolnymi mieszkańcami powietrza, albo wreszcie plusk wody tryskającej z posągów dziwacznej kształtu i spadającej nieustannie do marmurowych basenów.

Posepna imaginacja Tressiliana okrywała kirem otaczający go krajobraz. Porównywał on wesołe gaje i rozłożyste pola, ciągnące się za nimi w bezgraniczną dal, do czarnych borów i dzikich trzęsawisk otaczających Lidcote Hall; a postać Amelii Robsart snuła się jak widmo we wszystkich obrazach, jakie fantazja tworzyła. Nie ma może nic straszniejszego dla człowieka lubiącego samotność i dumanie, nad wczesną, wytrwałą, ale nieszczęśliwą miłość. Często tak gwałtownie sercem i duszą owładnie, że ludzie nią nawiedzeni o niej tylko myślą we dnie, o niej marzą w nocy, zatruwa ona wszystkie źródła uciech i rozkoszy, a gdy zwiędnie i uschnie, rażona żarem rozpaczy, zdaje się, jakby razem z nią krynica uczuć została wysuszona. To cierpienie serca, ta tęsknota za cieniem, co od dawna stracił już swe barwy i kształty, to nieustanne przypominanie tego słodkiego snu, z którego nas okropnie przebudzono, jest słabością czulego i szlachetnego serca; a takim właśnie było serce Tressiliana.

Poczuł on na koniec potrzebę rozerwania się innymi myślami i dlatego wyszedł z ogrodu chcąc zmieszać się z hucznym tłumem zgromadzonym na wałach, który przypatrywał się przygotowaniom do wjazdu królowej. Ale gdy usłyszał wrzawę, gdy wesołe odgłosy rozlegające się dokoła obity się o jego uszy, poczuł w sobie niepokonany wstręt do połączenia się z ludźmi, których radość tak była niezgodna ze

stanem jego duszy. Umyślił przeto schronić się do swego mieszkania i czekać, póki wielki dzwon zamkowy nie ogłosi przybycia Elżbiety.

Minąwszy dziedziniec wszedł na trzecie piętro wieży Mervyna i zdziwił się niezmiernie, gdy chcąc otworzyć drzwi do swego pokoju zastał je zamknięte. Przypomnił sobie, że margrabia dał mu klucz radząc, aby zamykał dobrze swój pokój w czasie zamieszania i zgiełku panującego w zamku. Wsadził klucz we drzwi, rygle odskoczyły — wszedł i ujrzał jakąś kobietę, istny obraz Amelii Robsart. Zdawało mu się najpierw, że bujna wyobraźnia takie mu płata figle; potem przyszło mu na myśl jakieś nadnaturalne zjawisko, na koniec przekonał się, że widzi przed sobą Amelię, wprawdzie bledszą niż w owych dniach szczęścia wolnych od troski, kiedy z pięknnością bogini łączyła lekkość powietrznej nimfy. Ale była to ta sama Amelia, której wdzięki przechodziły wszelkie porównanie.

Zdziwienie hrabiny, choć nie trwające tak długo, niewiele było mniejsze od zdumienia Tressiliana. Ujrawszy go wchodzącego powstała z miejsca i żywy rumieniec okraślił jej bladą twarz.

— Tressilianie! — rzekła wreszcie. — Po co przychodzisz tutaj?

— Ty raczej, Amelio, powiedz, co tu robisz? Czy przychodzisz żądać pomocy, która ci nie będzie odmówiona, jeżeli tylko serce i ręka moja dopomóc ci zdołają?

Amelia po chwili milczenia odpowiedziała bardziej z boleścią niżeli gniewem:

— Tressilianie! Nie potrzebuję, twojej pomocy, bo ofiarując mi swoją przysługę bardziej byś mi zaszkodził, niżeli dopomógł. Wierzaj mi, niedaleko jest ten, któremu nakazują prawa i zaprzysiężona miłość wspierać mię w nieszczęściu.

— Więc ten niegodziwiec wrócił ci na koniec wydartą sławę? Więc widzę przed sobą żonę Varneya?

— Żonę Varneya? — zawołała Amelia z szyderstwem. — Jakimże czołem śmiesz znieważać tym podłym nazwiskiem tę, która jest...

Zająknęła się, spuściła oczy i zmieszana nie dokończyła zaczętego zdania myśląc, że okropne skutki mogłyby dla niej wyniknąć, gdyby dodała: „Hrabinią Leicester.” Uczynić to wyznanie byłoby wydać tajemnicę przed Tressilianem, Sussexem, królową i całym zgromadzonym dworem; tajemnicę, od której zależał los jej małżonka, jak to jej tyle razy powtarzał.

„Nigdy! Nigdy — myślała sobie — nie złamię przyrzeczenia. Wolę raczej, aby o mnie najgorzej myślano i mówiono, niżbym go miała narazić na najmniejsze niebezpieczeństwo.”

Oczy hrabiny napęły się łzami. Tressilian patrząc na nią z żalem i litością rzekł po krótkim milczeniu:

— Niestety, Amelio! Twoje oczy zadają fałsz twoim ustom: mówisz o jakimś obrońcy, który zechce i będzie mógł ująć się za tobą! Ale te łzy każą mi mniemać, że cię zdradził i opuścił; ten nikczemnik, któremu oddałaś swe serce.

Na te słowa błysnął gniew w zalanych łzami oczach hrabiny. Tłumiąc w sobie oburzenie powtórzyła tylko z pogardą:

— Nikczemnik?

— Tak jest, nikczemnik! Bo gdyby wart był lepszego miana, czy mógłby znieść, abyś sama jedna znajdowała się w moim mieszkaniu? Czemu nie wyszedł naprzeciw ciębie? Czemu na przyjęcie twoje nie poczynił stosownych przygotowań?

—W twoim mieszkaniu? — powtórzyła Amelia. — Wnet uwolnię cię od mej obecności.

To mówiąc pośpieszyła ku drzwiom, ale uderzona nagle smutnym przypomnieniem swojej niedoli, zatrzymała się na progu i rzekła głosem rozdzierającym serce:

— Zapomniałam, niestety! Nie wiem, dokąd się udać!

— Widzę, rozumiem wszystko! — rzekł Tressilian biegnąc do niej i odprowadzając ją na krzesło, na które upadła bezsilnie. — Potrzebujesz pomocy! Potrzebujesz obrońcy, tylko nie chcesz przyznać się do tego; mimo wszystko stanę w twojej obronie. Wsparta na ramieniu tego, na którego twój strapiony ojciec przelał całą swą władzę, wyjdiesz na spotkanie Elżbiety w progi tego zamku. Pierwszym jej czynem na wstępie do tych gmachów będzie wymierzenie sprawiedliwości swojej płci i swoim poddanym. Ufny w dobro sprawy i bezstronność królowej, nie zleknię się niczego. Potęga jej ulubieńca nie zachwieje mego postanowienia. Idę natychmiast do Sussexa.

— Nie czyn tego! Zaklinam cię na wszystko, co mi jest najświętsze! — zawołała przelekniona hrabina. — Tressilianie! Umiałeś być wspaniałomyślny! Jeżeli chcesz zachować mię od zguby, jeżeli nie chcesz, abym wpadła w szaleństwo, uczyn mi jedną

łaskę i wierzaj, że tym samym więcej mi dopomożesz niżeli Elżbieta z całą swoją potęgą.

— Każ mi wypełnić wszystko, co zgadzać się będzie z rozsądkiem, ale nie wymagaj ode mnie...

— Nie ograniczaj swej łaski, kochany Edmundzie! Wszak chciałeś kiedyś, żebym cię tak nazywała. Nie ograniczaj swej łaski zasadami rozsądku! W moim położeniu wszystko jest szaleństwem i tylko szaleństwo podać mi może zbawienną radę.

— Jeżeli tak mówisz od rzeczy — rzekł Tressilian, w którym zdumienie zaczęło brać górę nad boleścią serca i osłabiać powzięte postanowienie — wnosić stąd muszę, żeś nie jest zdolna myśleć i działać o własnych siłach.

— Och, nie! — zawołała zginając przed nim kolano. — Nie jestem obłąkana, jestem tylko najniezwyklejszą istotą, którą zawiesił nad przepaścią zbieg dziwnych okoliczności i wtrącić w nią może ręka tego, który pragnie zasłonić ją od zguby... Ręka twoja, Tressilianie, którego czciłam i szanowałam, dla którego wszystkie miałam uczucia oprócz miłości, którego nawet Kocham, choć nie tak może, jak sobie życzyłeś. Tyle było godności, tyle tkliwej a nie wymuszonej prostoty w jej głosie i całej postawie, tak zupełne zdanie się na wspaniałomyślność Tressiliana, że wyrazy te poruszyły go do żywego. Podniósł ją i błagał rwącym się głosem, aby starała się ukoić strapioną myśl.

— Nie mogę i nie chcę pocieszyć się w moim cierpieniu, póki nie uczynisz mi tego, o co cię prosić będę. Otworzę ci skrytości mego serca na tyle przynajmniej, ile mi jest wolno. Czekam teraz na rozkazy tego, który ma prawo mi rozkazywać. Wdanie się trzeciej osoby, twoje szczególnie wstawienie się, Tressilianie, mogłoby mię zgubić na zawsze. Poczekaj tylko dwadzieścia cztery godziny, a po upływie tego czasu nieszczęśliwa Amelia będzie może miała sposobność przekonać cię, że umiała cenić i potrafi nagrodzić twoją bezinteresowną przyjaźń, że jest szczęśliwa i że będzie mogła uszczęśliwić ciebie. Wszak wszystko zasługuje bez wątpienia na to, abyś był cierpliwy przez tak krótki przeciąg czasu!

Tressilian nic nie odpowiadając przywodził na pamięć rozmaite okoliczności, dla których jego wstawienie się mogłoby raczej być szkodliwe aniżeli pomocne dla szczęścia i sławy Amelii. Mając na uwadze, że Amelia znajdowała się w murach



Kenilworthu, że żadna krzywda stać się jej nie mogła na zamku zaszczyconym obecnością królowej, gdzie tylu było panów i przedniejszej szlachty, zaczął się przekonywać, że nieproszonym odwołaniem się do Elżbiety prędzej by może jej zaszkodził, aniżeli dopomógł. Nie będąc jednak pewnym, czy Amelia miała dość mocne postanowienie wydobyć się z tego stanu poniżenia i czy potrafi opanować ślepe przywiązanie do Varneya, którego uważał zawsze za jej uwodziciela, wyjawiał jej swoje zezwolenie ostrożnie i w ogólnych wyrazach.

— Amelio! — rzekł spoglądając na nią smutnym, ale wiele mówiącym wzrokiem. — Kiedy inni nazywali cię płochą i dziecinną, uważałem zawsze, że pośród uniesień młodocianego wieku ukrywało się w tobie tkliwe uczucie i zdrowy rozsądek. W tym przekonaniu poruczam ci staranie o własny los przez dwadzieścia cztery godziny i przyrzekam nie wstawiać się za tobą mową ani uczynkiem.

— Przyrzekasz mi, Tressilianie? Czy może być, abyś mi jeszcze tak dalece zaufał? Dajesz mi słowo szlachcica i uczciwego człowieka, że nie wdasz się w moją sprawę mową ani uczynkiem, choćby ci się zdarzyło widzieć lub słyszeć coś, co by usprawiedliwiało na pozór twe wstawienie się? Zaufasz mi aż do tego stopnia?

— Daję ci na to słowo honoru — odpowiedział Tressilian — ale po upływie tego czasu...

— Wolno ci będzie czynić, co ci twój rozum nakáže!

— Czy mogę jeszcze, Amelio, uczynić coś dla ciebie?

— Nic oprócz tego, żebyś mnie samą zostawił i... wstydzę się odkryć ci tą prośbą nędzę, do jakiej jestem doprowadzona, ażebyś mi ustąpił swego mieszkania na te dwadzieścia cztery godziny,

— Rzecz trudna do uwierzenia! Jakaż możesz mieć nadzieję, jakiej spodziewać się pomocy w zamku, gdzie tułać się musisz po cudzych kątach?

— Co tu po twoim rozumowaniu? Zostaw mnie samą, wszakżem cię o to prosiła! — rzekła, gdy Tressilian oddalał się zwolna i niechętnie. — Wspaniałomyślny Edmundzie! Przyjdzie może ten czas, kiedy nieszczęśliwa Amelia przekona cię, że zasługiwała na twoje szlachetne przywiązanie..

## ROZDZIAŁ X

No, no... pij, kumie! Cóż czekasz u licha?  
Czy się obawiasz pełnego kielicha,  
Abyś nie stracił władzy nad językiem?  
Nie bój się, słów twych nie zdradzę przed nikim.  
I jam nie święty mówiąc między nami,  
Rad bym świat widzieć do góry nogami

Pandemonium

Zaledwie Tressilian wzruszony do żywego wszedł na schody, gdy Michał Lamburn zastąpił mu drogę. Ten godny służalec Varneya miał w twarzy zuchwałą poufałość, za którą Tressilian chciał go zrzucić ze schodów i kto wie, czyby coś podobnego nie nastąpiło, gdyby nie przypomniał sobie, jak bardzo mógłby zaszkodzić Amelii, najważniejszej dlań osoby, przez popełnienie najmniejszego gwałtu w takim miejscu i czasie.

Rzucił tylko na niego wzgardliwe spojrzenie, jak na człowieka, na którego spojrzeć nie warto i chciał już go minąć udając, że go nie poznał. Ale Lamburn, podpiwszy sobie dobrze w tym dniu powszechniej zabawy, co prawda nie tak jeszcze, aby się z nóg miał walić, nie był w nastroju do korzenia się przed kimkolwiek bądź. Bez żadnej ceremonii zatrzymał Tressiliana na środku schodów, zwracając się do niego z taką poufałością, jakby żył z nim w najlepszej komitywie.

— Cóż to, panie Tressilianie! — zawołał. — Zdaje mi się, że się nie gniewamy za nasze dawne niesnaski? Jestem z tych ludzi, mospanie, co prędzej zapominają świeżą urazę aniżeli dawną zażyłość i przekonam cię, że miałem ku tobie najlepsze chęci, że nawet byłem ci życzliwy.

— Uwalniam cię — odpowiedział Tressilian — od tych przyjacielskich wynurzeń, zachowaj je dla równych sobie.

— Patrz, jaka z niego gorączka! — rzekł Lamburn. — Jak to ta szlachta, która się uważa za ulepioną z lepszej od nas gliny, traktuje z góry biednego Michała Lamburna! Ale myślałby kto, że ten pan Tressilian jest w istocie tak skromny, tak bojaźliwy, jak się z wierzchu wydaje i że tylko umie wzdychać i płakać przy swych ukochanych.

Porzuć to, panie Tressilianie! Na co ci się zdało udawać świętoszka, a zapominać o tym, że i teraz nawet masz tam kogoś na górze dla swej wygody, co jest prawdziwą zniewagą dla domu mego pana. A co? Ha! Ha! ha! Złapałem cię, ptaszku!

— Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć — rzekł Tressilian wnosząc z jego słów, że ten opój musiał wiedzieć o tym, iż Amelia znajduje się w jego pokoju — ale jeżeli masz dozór nad mieszkaniami, a chcesz kolędy, oto masz za to, żebyś nie wchodził do mego pokoju.

Lamburn spojrział na sztukę złota i rzekł chowając ją do kieszeni:

— Powiem ci jednak, że więcej zyskałbyś ze mną dobrym słowem niżeli tą monetą; przy tym wszystkim dobrze ten płaci, kto płaci złotem, a Michał Lamburn nigdy nie był odludkiem, a tym mniej świętoszkiem. Żyjmy sami i pozwólmy innym użyć żywota — oto jest moja maksyma. Powiem ci tylko, że nie lubię tych ludzi, co by mną poniewierać i pomiatać chcieli, jakby oni byli ze złota, a ja z cyny albo podlejszego kruszcu. Jeżeli nie zdradzę twego sekretu, panie Tressilianie, spodziewam się, że grzeczniej cokolwiek ze mną obchodzić się będziesz, a jeżeli i mnie wydarzy się coś podobnego, jeżeli równie potrzebować będę pobłażania, jak to się zdarza najmędrszym z nas, mam nadzieję, że będziesz na to patrzył przez palce. Tymczasem trzymaj sobie tę czeczotkę, nic do tego Michałowi Lamburn.

— Puść mnie! — rzekł Tressilian nie mogąc powściągnąć się w gniewie. — Wziąłeś w łapę, czegoż chcesz jeszcze?

— Hm! — rzekł Lamburn cofając się z niechęcią i powtarzając pod nosem ostatnie wyrazy Tressiliana: Puść mnie, wzięłeś w łapę, czegoż chcesz jeszcze?" — Mniejsza o to! Nie będę przeszkadzać nikomu, jakom już powiedział, ale też nie jestem stajennym kundlem, rozumiesz mnie!

Mówił coraz głośniejszym głosem, w miarę jak Tressilian, dla którego mimo całej swej bezczelności czuł jakiś szacunek, coraz bardziej się oddalał.

— Nie jestem kundlem stajennym, nie myślę lizać ci ręki, rozumiesz! Poczekaj; będę ja miał na oku tę ichmościankę, którąś tu zamknął dlatego zapewne, że lękając się upiorów boisz się spać sam jeden. Gdybym to ja uczynił coś podobnego, wiesz, co by na to powiedziano? Wypędzić tego łajdaka, dać mu sto bizunów, zrzucić go na łeb ze schodów, ale tej cnotliwej szlachcie wszystko uchodzi. Nam tylko, niewolnikom

zmysłów, nie wolno użyć najmniejszej przyjemności. Niechże sobie i tak będzie, wiem tylko, że przez to szczęśliwe odkrycie trzymam za kołnierz pana Tressiliana — to jedno, a drugie: że będę miał na oku tę jego Lindabrydę!

## ROZDZIAŁ XI

Bądźże mi zdrów, mój panie, żegnam cię na zawsze;

Jeżeli taka nagroda za moje wierne usługi, rozłączmy nasze statki w różne udając się strony po bezdrożnych falach.

### Rozbicie okrętu

Tressilian wyszedł na zamkowy dziedziniec nie wiedząc sam, co miał myśleć o niespodziewanym widzeniu się z Amelią Robsart i nie będąc pewnym, czy było roztropne z jego strony, po wzięciu władzy od ojca, dozwalać córce rządzić sobą przez tak długi przeciąg czasu i to zezwolenie potwierdzać uroczystym słowem. Ale jakże mógł odmówić jej prośbie, gdy, jak się zdawało, losy jej związane były z Varneyem. Jeżeli ten ostatni uznał ją za swoją żonę, jakież miał wówczas prawo Tressilian niszczyć nadzieję szczęścia, jaka jej jeszcze zostawała, przez sianie między nimi niezgody? Te i tym podobne myśli skłoniły go do dotrzymania Amelii uczynionego przyrzeczenia: najpierw dlatego, że nie podobna było cofnąć danego słowa, a następnie również dlatego, że po dokładnym rozważeniu wszystkich okoliczności doszedł do przekonania, że honor równie jak sprawiedliwość nie pozwalały mu odmówić, czego odeń żądała.

Tressilian tym się także pocieszał, że w obecnym stanie rzeczy łatwiej mu było czuwać nad bezpieczeństwem nieszczęśliwej, a zawsze zachwycająco pięknej kobiety, będącej niegdyś przedmiotem jego najtkliwszych zapałów. Amelia nie była już zamknięta w odległym i odludnym ustroniu i nie zostawała pod dozorem osób wątpliwego charakteru. Znajdowała się w zamku Kenilworth, w miejscu uświęconym obecnością królowej i jej dworu, gdzie zasłonięta od napaści i wszelkiego gwałtu stanąć mogła przed Elżbietą na każde zawołanie. Takie były okoliczności, które utwierdziły go w tym wszystkim, co dla niej uczynić postanowił.

Gdy tak z jednej strony ważył korzyści, z drugiej niebezpieczeństwa mogące wyniknąć z niespodziewanego przybycia Amelii do Kenilworth, Wayland nagle zbliżywszy się do niego zawołał z radością:

— Bogu Najwyższemu dzięki! Znalazłem na koniec pana! — Potem odprawiwszy go na stronę powiedział mu, że młoda niewiasta uciekła z Cumnor Place.

— I znajduje się teraz w tym zamku — rzekł Tressilian. — Wiem o tym, widziałem ją. Czy to ona sama kazała zaprowadzić się do mego mieszkania?

— Nie, panie! — odparł Wayland. — Nie widząc bezpieczniejszego dla niej schronienia zaprowadziłem ją tam, spotkawszy szczęściem jednego z dworskich, który pokazał mi pana mieszkanie. Piękne to miejsce skądinąd, nie ma co mówić, z jednej strony wielka sala, z drugiej kuchni i spiżarnie.

— Milcz, hultaju! Nie czas tu żartować!

— Wiem ja o tym bardzo dobrze — odpowiedział kuglarz — bo od trzech dni tak mi ciężko na sercu, jakbym miał powróż na szyi. Ta młoda kobieta sama nie wie, co robi. Nie chce słyszeć o waszej pomocy, zakazała mi nawet wspominać sobie o was i już zabierała się błagać o litość i wsparcie u hrabiego Leicestera. Nigdy bym nie nakłonił jej do wstąpienia na próg waszego mieszkania, gdyby wiedziała, przez kogo jest zajęte.

— Czy podobna? Ale może ma nadzieję, że hrabia rozciągnie władzę nad swoim podłym zausznikiem i okaże jej sprawiedliwość?

— Nic nie wiem o tym — odpowiedział Wayland — ale jeżeli jest możliwe, że pogodzi się z Leicesterem lub Varneyem, zdaje mi się, że nam wypadaloby wynieść się za mury Kenilworthu, skąd najłatwiej moglibyśmy ratować się ucieczką. Co do mnie, nie myślę tu bawić i jednej minuty, skoro wręcę list Leicesterowi, z oddaniem którego czekałem tylko na wasze rozkazy. Otóż go macie!... Co to, do licha? Musiałem go zostawić w szopie, gdzie mam nocować.

— Żebyś przepadł, gawronie! — zawołał Tressilian, uniesiony gniewem poza granice zwykłej sobie cierpliwości. — Możesz zgubił to pismo, od którego zależy wypadek ważniejszy od bycia tysiąca takich jak ty!

— Gdzie tam zgubił, dobrze ten list schowałem między moje rupiecie; migiem go przyniosę.

— Ruszaj co tchu i przynieś go natychmiast! Bądź wierny, a odbierzesz sowitą nagrodę, ale jeżeli okaże się, że coś złego knujesz, jeżeli mi się sprzeniewierzysz, zginiesz marnie jak pies.

Wayland pobiegł do szopy ze skwapliwym pośpiechem i udaną wesołością na twarzy, ale wewnątrz zmieszany i niespokojny.

Był pewien, że list gdzieś zagubił, pomimo tego że nadal nadrabiał miną przed Tressilianem i nie przyznawał się do zguby. Listu rzeczywiście nie było: mógł wpaść w ręce złośliwych ludzi i tym sposobem stać się powodem do wydania całej intrygi, która, zdaniem Waylanda, prędzej czy później wykryć się musiała; a w pierwszym wypadku więcej jeszcze niż w drugim zagrażała mu niechybną zgubą. Oprócz tej słusznej obawy gniew Tressiliana niemało także przyczynił się do jego zmartwienia.

— Tak jest! — mówił do siebie. — Jeżeli tak płacić mi będą za usługi, w których życie moje wisi na włosku, to czas pomyśleć o sobie! Tu, jeżeli się nie mylę, obrażę śmiertelnie pana tego zamku, który jednym słowem tak łatwo mógłby mi odebrać życie, jak ja jednym dmuchnięciem zgasić groszową świeczkę, a wszystko to dla jednej obłąkanej kobiety i wdychającego kochanka, który za to, że zgubił jakiś świstek złożony na kształt listu, sady zaraz diabłami i rwie się do korda. Tam znowu lękać się należy doktora i Varneya. To nie żarty! Trzeba tu, widzę, czym prędzej zwinąć chorągiewkę. Życie więcej warte od złota. Uciekam natychmiast i wyrzekam się nagrody!

Te uwagi musiały koniecznie przyjść do głowy takiemu jak Wayland człowiekowi, który posunął się dalej, niż zamierzał, w labiryncie ciemnych i poplątanych intryg, gdzie sami nawet aktorzy nie wiedzieli dobrze, jaką grali rolę. Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość, że jego osobiste obawy równoważyły się do pewnego stopnia z litością nad stanem nieszczęśliwej niewiasty.

„Nie chcę od ciebie złamanego szeląga, panie Tressilianie! — pomyślał Wayland. — Nic sobie nie jesteśmy winni. Sprowadziłem do tego zamku twoją pomyloną kochankę, teraz, rób sobie z nią, co sam chcesz; ale lękam się, aby ta nieboga nie popadła w jakie nieszczęście w tym zgiełku i zamieszaniu. Pójdę do niej, powiem, co się stało z listem. Niech napisze drugi, jeżeli jej się spodoba, a spodziewam się, że nie trudno będzie o posłańca w tym zamku, gdzie tylu jest pachółków. Powiem jej także, że nie chcę tu siedzieć, że szukam dla siebie przytułku polecając ją Boskiej Opatrzności, własnemu rozsądkowi i staraniom pana Tressiliana. Może też przypomni sobie pierścień, który mi kiedyś dawała, zarobiłem go, na honor, ale doprawdy jest ona bardzo miłą istotą!... I niech diabli wezmą pierścień, obejdę się bez niego. Nie chcę

kłaniać się za lada fraszkę. Jeżeli w tym życiu nieraz może oszukano moje dobre serce, będę w przyszłym szczęśliwszy. Zatem najprzód do niej, a potem w nogi!"

Jak kot, który cichym krokiem i z bacznym okiem skrada się do swojej zdobyczy, tak Wayland szedł do mieszkania hrabiny przemykając się przez liczne dziedzińce i rozmaite przejścia, baczny na wszystkich, którzy go mijali i dbały, aby nikt go nie spostrzegł. Przeszedłszy tym sposobem dwa dziedzińce i sklepiony korytarz, między kuchniami a wielką salą, dostał się na koniec do wieży Mervyna.

Już sobie wieszował, że uniknął szczęśliwie rozmaitych niebezpieczeństw tego dnia i szedł na schody, przeskakując na raz dwa stopnie, gdy spostrzegł na ścianie cień rzucony przez człowieka stojącego we drzwiach na pół otwartych. Wayland usunął się nieznacznie, wyszedł na dziedziniec, przeszedł się po nim kilka razy wzdłuż i wszerz i wrócił znowu do wieży w nadziei, że tamten jegomość nie pokaże się więcej. Nie było cienia na ścianie, przestąpił kilka schodów i dostrzegł drzwi na pół odemknięte, a gdy się wahał, czy iść dalej, czy też cofnąć się z powrotem, wyskoczył Michał Lamburn z wielkim krzykiem i hałasem:

— Coś ty za diabeł i czego szukasz w tej części zamku? Chodź tu do izby, niech się z tobą rozmówię!

— Nie jestem psem, mospanie, co biegnie do każdego, kto nań gwizdnie! — odpowiedział Wayland udając pewność siebie, której brak zdradzał drżący głos.

— I do mnie tak śmiesz mówić? Hej, Staples, chodź no tu!

We drzwiach stanął niezgrabny drab na sześć stóp wysoki, o odrażającej powierzchowności. Lamburn ciągnął dalej:

— Jeżeli tak bardzo podobała ci się ta wieża, możesz odwiedzić jej fundamenta na dwanaście dobrych stóp pod dnem jeziora i zamieszkać tam w towarzystwie węzów, ropuch, jaszczurek i innych gadów. Raz jeszcze pytam po dobroci, kto jesteś i czego tu szukasz?

„Skoro tylko zamkną się za mną drzwi więzienia — pomyślał Wayland — jestem zgubiony na wieki." Opowiedział przeto pokornym głosem i z uniżoną postawą, że był sztukmistrzem, którego jego godność widziała wczoraj w dolinie Waetherly.

— Jakież to będziesz pokazywał sztuki w tej wieży? Twoi koledzy są w gmachu Clinton.



— Przyszedłem odwiedzić moją siostrę, która tu mieszka na górze z panem Tressilianem!

— Aha! — zawołał Lamburn, śmiejąc się na całe gardło. — Złapałem cię, ptaszku! Ale jak na gościa, to ten pan Tressilian, na honor, wiele sobie pozwala; bo tak się u nas rozgospodarował jak we własnym domu. Słuchaj, bałwanie! Będzie to pocieszna wiadomość o tym świętoszku panu Tressilianie, sprawi ona pewnym osobom więcej radości aniżeli mnie worek złotem napchany. Słuchaj, szubrawcze! Pamiętaj, żebyś nam nie płoszył tego zajączka! Schwytamy go jak swego. Precz stąd, obszarpańcze, ze swoją kuglarską miną, albo cię wyrzucę przez okno dla doświadczenia, czy twoja kuglarska umiejętność potrafi cię uchronić od połamania kości...

— Nie możesz mieć waćpan tak okrutnej duszy! — odparł Wayland. — Co ci stąd przyjdzie, że przyprawisz o śmierć chudego pacholka. Spodziewam się, owszem, że mi pozwolisz widzieć się z moją siostrą?

— Z twoją siostrą? Od Adama zapewne, nieprawda? Ale czy to siostra, czy nie siostra, ubiję cię jak lisa, jeżeli wałęsać się będziesz koło tej wieży. Do wszystkich diabłów! Wynoś się z zamku, bo na tym więcej mi zależy, niż na wszystkich twoich kuglarskich sztuczkach!

— Ale pozwólże sobie powiedzieć, że mam udawać Oriona w widowisku mającym nastąpić tego wieczora.

— Jakiego Oriona? Na świętego Krzysztofa! Ja mam wyznaczoną rolę Oriona, ja udawać go będę; mam już pas, siedem gwiazd i cały ubiór. Precz mi stąd! Nuże! Ruszaj się albo nie... Staples! Pomóż mi wyprowadzić tego natręta!

Staples wziął za kołnierz nie opierającego się sztukmistrza, a Lamburn idąc przodem pokazywał drogę do sekretnych drzwiczek, niezbyt odległych od wieży Mervyna, kędy Tressilian wjechał do zamku.

Wayland przebywając śpiesznym krokiem przestrzeń dzielącą wieżę od tajemnej furtki łamał sobie głowę nad wynalezieniem sposobu przyjścia z pomocą nieszczęśliwej towarzysze podróży, dla której, pomimo grożącego mu niebezpieczeństwa, czuł jakiś rodzaj przywiązania. Ale gdy go wyprowadzono na zewnętrzne okopy i gdy mu oświadczył Lamburn pośród tysięcznych przekleństw i pogrózek, że go śmierć nie minie, jeżeli powróci na zamek, wznosił oczy i ręce ku niebu, jakby wzywał Boga na

świadka, że aż do ostatniego momentu nie opuszczał prześladowanej. Po czym odwróciwszy się od pysznych gmachów Kenilworthu poszedł szukać bezpieczniejszego, choć nie tak wspaniałego przytułku.

Lamburn i jego towarzysz, przeprowadziwszy go wzrokiem, powrócili do wieży. Idąc dziedzińcem, Staples odezwał się tymi słowy:

— Nie pojmuję, na uczciwość, panie Lamburnie, dlaczego wypędziłeś z zamku tego biedaka, teraz zwłaszcza, kiedy miał odegrać swą rolę podczas wjazdu królowej, i to z przyczyny jednej kobiety

— Ach, głupcze!—odpowiedział Lamburn.—Litujesz się, widzę, nad ludzkimi słabościami. Ale nie możesz o tym rozprawiać, przemożny władco więzień, bo jesteś w tych sprawach tak ciemny, jak ciemne jest twoje państwo podziemne. Nie wiesz jeszcze dotąd, czcigodny mocarzu dolnych krain Kenilworthu, że nasz szanowny pan, Ryszard Varney, gotów jest tyle dać nam pieniędzy za przypięcie jednej łątki temu samemu Tressilianowi, że mielibyśmy za co hulać przez pięćdziesiąt dni i nocy, że nawet pozwoliliby wyrzucić za drzwi dozorcę gmachów, gdyby chciał wcześniej wypędzić nas z bankietu!

— Skoro tak, to rzecz inna — odpowiedział nadzorca więzienia — ale jak tu zrobić, żeby i wilk był syty i owca cała?... Chcę powiedzieć, jak to pogodzić, żebyś mógł dopilnować tej panienki, a zarazem być przy swoim panu w czasie wjazdu królowej, bo zapewne będziesz musiał mu towarzyszyć.

— Spodziewam się, że nie zechcesz mi odmówić swej pomocy w czasie mojej nieobecności. Będziesz tu stał na warcie i nie puścisz żywej duszy oprócz jednego Tressiliana. Jeżeli zaś ta panienka chciała się wymknąć, odstraszysz ją grubymi słowy; wszak to tylko siostra obszarpanego kuglarza.

— Jeżeli o to tylko idzie, zamknę ją na klucz!—odpowiedział Staples. — A tak, chcąc nie chcąc, będzie musiała nieboga czekać swego przeznaczenia.

— W takim razie Tressilian nie będzie mógł wejść do swego mieszkania — rzekł Lamburn po chwili zastanowienia — ale mniejsza o to! Wystarczy, że ją przytrzymamy i dopiero wtedy pokażemy ludziom, kiedy będzie czas po temu. Ale przyznaj się lepiej, że boisz się stać sam jeden na straży w wieży Mervyna!

— Czegóż bym miał się obawiać? Prawda, że dziwne rzeczy widziano i słyszano w tej wieży, ale ja tak się tego lękam jak brzęku kajdan moich więźniów. Choć niedawno przybyłeś do Kenilworth, musiałeś jednak słyszeć, że ukazuje się tu duch Artura Mervyna, okrutnego wodza, którego lord Mortimer pojmał w niewolę na granicy Walii i, jak mówią, osadził i zamordował w tej wieży.

— O, słyszałem o tym więcej niż sto razy! — odparł Lamburn. — Słyszałem i to także, że ten duch tak tu piszczy i skwirczy, jak kiedy smażą sery albo przypiekają słoninę w kuchni. Co ty też pleciesz, człowiecze!

— Nie będziesz udawał zucha, jak zobaczysz tego upiora, choć chcesz uchodzić za bardzo mądrego. Myślisz, że to mała rzecz zabić więźnia? U ciebie to nic nie znaczy, boś niejednego zapewne w ciasnej uliczce poczęstował sztyletem pod serce. Uderzyć w łeb pękiem kluczków niespokojnego więźnia nazywa się u mnie utrzymaniem porządku w więzieniu, ale zabić go, jak to uczynił lord Walii, to nie są żarty! To zgroza, mospanie! Bo rzecz dowiedziona, że po dopełnieniu takiego czynu duch zabitego wychodzi z grobu i straszy mieszkańców przez jakie kilkaset lat. Co do mnie, to tak dbam o spokój moich kochanych więźniów, że tych ichmościów, co przechadzają się nocą po publicznych gościńcach albo uszczypliwymi słowy szarpia sławę lorda Leicestera, wolę pakować na sam spód podziemnych lochów niżeli osadzać w pokoju, gdzie przed laty popełnione zostało morderstwo Na świętego Piotra w okowach, nie mogę nadziwić się memu panu i Varneyowi, że kazali wyporządzić dla gości tę izdebkę i, na uczciwość, ten pan Tressilian bardzo dobrze zrobił, że sobie znalazł towarzysza, a do tego jeszcze ładną kobietkę!

— Powiadam ci, mój przyjacielu — rzekł Lamburn przechadzając się po pokoju dozorczy więźniów — że jesteś osioł, jakich mało. Zamknij drzwi i wybij sobie z głowy te strachy. Daj wina tymczasem, bom się zmęczył trochę szamocąc się z tym obszarpańcem; trzeba się pokrzepić.

Gdy Lamburn ciągnął trunek z butelki, dozorca więzień starał się postawić na swoim i dowieść mu, że nic to dziwnego wierzyć w nadnaturalne zjawiska.

— Kilka dopiero godzin bawisz w tym zamku—rzekł do niego — a już tak się spiłeś, że nie słyszysz ni możesz obrócić językiem, ani trzymać się na nogach. Ale byłbyś trochę skromniejszy, mospanie, gdybyś przepędził z nami jedną noc, zwłaszcza kiedy

księżyc stoi w pełni, kiedy wiatr wieje z północy, deszcz zacznie padać i gdy piorun uderzy, wtenczas właśnie duch najwięcej dokazuje. Mój Boże! Jaki stuk, jaki łoskot, jakie jęki i wycia słycać wówczas w wieży Meryyna, rzekłbyś, że cały świat wali się na głowę. W takich to chwilach mnie i mojej czeladzi potrzeba najmniej cztery kwarty mocnej szumówki, żebyśmy nie pomarli ze strachu.

— Wstydz się, tchórze! — zawołał Lamburn, któremu ostatni łyk dodany do dawnych zawrócił w głowie do reszty. — Sam nie wiesz, co pleciesz. Nikt nie zna, nikt nie widział w życiu tych strachów i ten, zdaniem moim, najmędrszy, kto najmniej o nich rozprawia. Jedni wierzą w to, drudzy w owo, ale to wszystko głupstwo! Płonne urojenia! Znałem wielu ludzi, wielu zacnych ludzi, panie Staples. Pewien wielki pan, niech zamilczę jego nazwisko, wierzy na przykład w gwiazdy, księżyc, planety i sądzi, że te świecą tylko dla niego, ja znowu utrzymuję, że te niebieskie pochodnie dlatego jaśnieją, żeby poczciwy człowiek, taki dajmy na to jak ja, nie wpadł w jamę i nogi sobie nie złamał. Cóż ty na to? Każdy ma swój sposób myślenia. Znam znowu innego człowieka bardzo uczonego, za to ręczę, bo tak doskonale mówi po grecku i po hebrajsku jak ja po łacinie. Owóż ten uczonego człowiek wierzy w jakieś sympatie i antypatie, przetapia ołów na złoto i tym podobne dziwy wyrabia. Niech sobie wyrabia! Co nam to szkodzi? Niech przetapia, niech puszcza w obieg przetopione pieniądze, jeżeli znajdą się tacy głupcy, co je przyjmą za dobrą monetę. To mamy dwóch: teraz na ciebie kolej, wielki człowieku! Nie jesteś uczonego ani wielkim panem, ty wierzysz w duchy, czary, upiory i inne gusła i dobrze ci z tym. Poczekaj! Znam jeszcze jednego wielkiego człowieka, nazywa się na V... w cóż on znowu wierzy? W nic zgoła, kochany przyjacielu! Ni w niebo, ni w ziemię, ni w piekło. Co zaś do mnie, jeżeli wierzę w diabła, to dlatego tylko, że mi się zdaje, iż musi być coś takiego, co porwie naszą duszę po rozłączeniu się z ciałem, jak opiewa dawna ballada; bo to, co poprzedza, musi mieć swoje następstwa, raro antecedentem, jak mawiał kaznodzieja Bricham; ale co ci o tym gadać po próżnicy! Kiedy jesteś ciemny jak tabaka w rogu. Zresztą diabła warta każda nauka! Daj mi drugą butelkę.

— Nie pij więcej, Michałku, radzę ci po przyjacielsku — rzekł dozorca — bo jak się spijesz, trudno ci będzie towarzyszyć swemu panu, trudniej jeszcze udawać Oriona na

wodzie, a zdaje mi się co chwila, że już rozlega się odgłos wielkiego dzwonu zwołujący nas wszystkich dworzan do wieży Mortimer na przyjazd królowej.

Gdy Staples czynił tę uwagę, Lamburn dolewał miary. Potem postawił na stole próżną niemal butelkę, westchnął głęboko i zaczął mówić zrazu cicho, stopniowo podnosząc głos.

— Nie troszcz się o to, Staples. Jeżeli się upiję, Varney potrafi mnie wytrzeźwić. Wątpię jednak, abym mógł przebrać miarę, bo potrafię zawsze utrzymać się w granicach wstrzemięźliwości. Wreszcie, kiedy mam pławić się w wodzie jako Orion, muszę posilić się czymś rozgrzewającym, żeby mi wilgoć nie zaszkodziła. Ale powiedziałaś podobno, że trudno mi będzie udawać Oriona. Śmieję się z tego. Zobaczysz, jak pięknie odegram moją rolę, chociażem sobie trochę podochocił. Jest tu kto, co by był trzeźwy tej nocy ? Odpowiedz mi na to! Wesołość jest znakiem wierności. Powiadam ci, przyjacielu, w tym zamku znajduje się wielu takich, nie wymieniam nikogo, co jeżeli nie rozweselają się po pijanemu, mała nadzieja, aby wytrzeźwiwszy się byli weseli. Ale twoje wino diabelnie idzie do głowy i rozgrzewa wszystkie żyły. Zdrowie królowej Elżbiety! Zdrowie szlachetnego Leicestera! Zdrowie zacnego pana Varneya! Zdrowie na koniec Michała Lamburna, co ich wszystkich przewróciłby jednym palcem!

To powiedziawszy zwałił się ze schodów i potoczył na wewnętrzny dziedziniec.

Dozorca więźniów popatrzył za nim, potrząsnął głową i zamykając drzwi mówił do siebie:

— Dobra to rzecz być faworytem! Niedawno o mały włos nie straciłem miejsca za to, że przywidziało się panu Varneyowi, iż ode mnie czuć było gorzałkę; ten zaś urwis może stanąć przed nim spity jak bela a pan Varney złego mu słowa za to nie powie. A jednak przyznać należy, że człowiek to nie lada i tęgą ma głowę! Jak mówi, to połowę tylko można zrozumieć i

## ROZDZIAŁ XII

Niech ją dzwon głośny i huczne moździerze  
Witają za nas! Pamiętaj nie szczędzić  
Siły, dzwonniku! Ognia, kanonierze!  
Jakbyś chciał Turków od szturmu odpędzić!

Królowa dziewica

Po odejściu Waylanda Tressilian nie wiedział sam, co miał począć dalej, gdy Raleigh z Blountem trzymając się pod ręce i kłócąc się gwałtownie, swoim zwyczajem, zbliżyli się do niego. Nie bardzo życzył sobie wdać się z nimi w rozmowę, ale też z drugiej strony niepodobna mu było unikać ich towarzystwa, Zdawało się Tressilianowi, że uczyniwszy uroczyste przyrzeczenie Amelii nic nie przedsiębrać dla jej obrony ani się z nią widywać, najroztropniej postąpi, jeżeli przyłączy się do dworzan i tak uczucia swoje miarkować będzie, iżby najmniej znać było po nim smutek i strapienie. Skorzystał przeto ze sposobności i tak pozdrowił swoich przyjaciół:

— Czy wesoło bieżą wam chwile? Skąd was Pan Bóg prowadzi ?

— Skądże, jeżeli nie z Warwick — odparł Blount. — Idziemy teraz zmienić suknie jak aktorzy, co przebierają się kilka razy występując na scenie w kilku odmiennych rolach. Radziłbym i tobie, panie Tressilianie; uczynić to samo.

— Dobrze ci radzi — rzekł Raleigh. — Królowa lubi wystawność i uważa to za ubliżenie sobie, jeżeli kto stanie przed nią w zaniedbanym ubiorze. Ale spojrzij na Blounta, Tressilianie, jeżeli chcesz naśmiać się do woli; patrz no, jak go krawiec paradnie wystroił, jak piękne dobrał mu kolory: zielony, błękitny, karmazynowy, pomarańczowy... niech mu Pan Bóg nie pamięta! A w dodatku przyczepił mu jeszcze żółte kokardy do trzewików.

— A może nie są piękne? — odpowiedział Blount. — Przykazałem memu krawcowi, żeby się popisał robotą i nie żałował mojej kieszeni, i zdaje mi się, że moje suknie piękniejsze są od twoich. Niech nas sędzi Tressilian.

— Zgoda! zgoda! — zawołał Raleigh. — Sądź nas, Tressilianie, z ochotą na to przystając.

Tressilian, wezwany na sędziego, spojrział na nich obojgu i poznał jednym rzutem oka, że poczciwy Blount spuścił się na słowo krawieckie, że tak mu było niezręcznie w tym różnobarwnym ubiorze, jak wieśniakowi w świątecznej sukni. Przeciwnie zaś, bogaty i gustowny strój Raleigha tak dobrze uwydatniał się przy jego słusznym wzroście i wdzięcznej urodzie, że mógł ściągnąć nań powszechną uwagę. Dlatego też Tressilian odpowiedział, że ubiór Blounta jest piękniejszy, ale Raleigha gustowniej zrobiony.

Wyrok ten uspokoił zupełnie Blounta.

— Wiedziałem dobrze — rzekł — że mój piękniejszy. Gdyby ten krawiec przyniósł mi taką kapotę, jaką ma Raleigh, to bym mu rozwalił łeb jego własnym żelazkiem. Kiedy już mamy być głupcami, budźmy przynajmniej głupcami pierwszego rzędu, taka jest moja maksyma. Ale na cóż czekasz, Tressilianie? Czemu się nie przebrałeś do tego czasu?

— Umieszczono kogo innego w moim pokoju, nie mogę dlatego dobrać się do moich rzeczy. Miałem cię prosić, Raleighu, żebyś mnie przyjął do swego pokoju.

— Z duszy! Z serca! — rzekł Raleigh. — Mam wygodne mieszkanie. Milord Leicester przyjmuje nas po królewsku. Jeżeli jego grzeczność jest wymuszona, nie ogranicza się przynajmniej do małych rzeczy. Ale radziłbym ci, abyś udał się do szambelana, a on natychmiast temu zaradzi.

— Nie warto chodzić z taką fraszką — odpowiedział Tressilian — zwłaszcza że obiecałeś przyjąć mię do siebie, wszak ci to nie zrobi wielkiej przykrości. Czyście tu sami przybyli?

— Gdzie tam sami! — rzekł Blount. — Przyjechał z nami Varney i cała gromada Leicesterowskich, a oprócz tego kilkudziesięciu stronników Sussexa. Na to się podobno zanosi, że wszyscy, jak tu jesteśmy, przyjmować będziemy królowę w tym budynku, który oni nazywają Galerią, a potem odprowadzimy ją do wielkiej sali i zostaniemy z nią, póki nie przebiorą się ci, co jej towarzyszą. Jeżeli Jej Królewska Mość zagada co do mnie, dalibóg nie wiem, czy potrafię jej odpowiedzieć.

— Cóż was tak długo zatrzymywało w Warwick? — zapytał Tressilian lękając się, aby sam nie stał się przedmiotem uwagi.

— Tysiące głupstw — odparł Blount — jakich nawet nie zdarza się widzieć na jarmarku świętego Bartłomieja. Były tam mowy, oracje, psy, niedźwiedzie, ludzie przebrani za małpy, kobiety za diabłów i tym podobne dziwotwory. Dziwię się królowej, jak mogła znieść to wszystko, a jednak spostrzegłem, że się uśmiechała kilka razy; musiały jej podobać się te szkaradzieństwa. To tylko próżność! Robi ona głupimi najmędrzych. Chodźmy do Galerii, ale nie wiem, Tressilianie, co ty będziesz tam robił w swych butach i podróznym ubiorze.

— Schowam się za ciebie! — odpowiedział Tressilian widząc, że wykwinny strój zawrócił Blountowi w głowie. — Twoja szlachetna postawa i piękne szaty zasłonią mój nędzny ubiór.

— .Jakoś to będzie, Edmundzie! — rzekł Blount. — Cieszę się niewypowiedzianie, że podobało ci się moje ubranie. Znam ja się trochę na tych rzeczach i do tego zawsze zmierzam, że jeżeli mamy zostać fircykami, to się tak strójmy, aby nie można było nic dodać ani ująć.

To mówiąc poprawił kapelusz, wyrzucił nogę jak na paradzie i ruszył naprzód z buńczuczną miną, posuwistym krokiem, jakby postępował na czele zbrojnych szeregów spozierając od czasu do czasu na swe żółte kokardy, co jak rozkwitłe róże jaśniały na jego trzewikach. Tressilian przybity swymi myślami postępował za nim smutny i zamyślony i nie zważał na uszczypliwe żarciki Raleigha, którego żywa wyobraźnia wzięła sobie za przedmiot wesołości niezdarną wytworność jego przyjaciela.

W ten sposób przeszedłszy długi most zajęli miejsce między inną szlachtą przed bramą Galerii, czyli wieży wjazdowej. Cały orszak uszykowany z obu stron drogi składał się z czterdziestu przeszło osób wybranych spośród szlachty nie zaszczyconej godnością rycerską. Za nimi stanęli w ścieśnionych szeregach nadworni żołnierze Leicester'a, strojnie ubrani i uzbrojeni w berdysze i długie halabardy. Szlachta nie miała innego oręża prócz pałasza i puginału za pasem, ale za to przepych w jej ubiorze przechodził wszelkie wyobrażenie. Wszystko tam kapało od srebra i złota. Na każdym jaśniały aksamity, adamaszki i drogie kamienie, bo zbytek i okazałość były główną cechą obyczajów tamtego wieku. Pomimo smutku pomiarkował Tressilian, że jego podróznym ubiór, aczkolwiek przyzwoity, nędznie bardzo wyglądał w całym przepychu,



niestosowność ta tym bardziej go ubodła, gdy spostrzegł, że jego zaniedbanie było przedmiotem zdziwienia przyjaciół a pośmiewiskiem dla stronników Leicestera.

Wieczorem po zachodzie słońca (dnia 9 lipca 1575 r.) oczekiwano z niecierpliwością przybycia królowej. Do tłumów zebranych od kilku godzin dołączały się co chwila nowe gromady. Stoły zastawione obficie pieczonym i gotowanym mięsiwem, równie jak beczki z piwem wytoczone na drogę, utrzymywały wesoły nastrój wśród pospólstwa, a zarazem ożywiały miłość ku królowej i jej ulubieńcowi, które by zapewne znacznie ostygły, gdyby chciano czczość w żołądku połączyć z długim czekaniem. Przy jedzeniu i picciu prędzej zbiegały leniwe godziny. Śmiano się, hałasowano, płatano sobie rubaszne figle, jak to się zazwyczaj dzieje tam, gdzie jest wielki napływ ludu. Cały ten tłum falował wypełniając równiny przyległe do zamku. Za bramą prowadzącą do zwierzyńca, gdzie się zgromadziło więcej ludzi, nagle wyleciała w powietrze wystrzelona raca i po polach rozszedł się głos wielkiego dzwonu.

Nastąpiła chwila głuchego milczenia, przerywana szmerem głosów kilku tysięcy ludzi, albo raczej, krótko mówiąc dało się słyszeć szeptanie wielkiego tłumu, które wzrastając stopniowo zamieniało się w huczne wiwatowanie i rzęsiste oklaski odbite przez góry odległe o kilka mil.

Powtórzyły ten okrzyk wojska rozstawione na drodze, któredy miała przejeżdżać królowa i udzieliły wiadomości osobom znajdującym się w zamku, że już wjechała do zwierzyńca. Wnet zabrzmiała cała orkiestra zamkowa, dano ognia z dział zatoczonych na okopy i z ręcznej broni, ale pomieszane odgłosy trąb, bębnow i armat zaledwie można było dosłyszeć wśród wzmagających się okrzyków licznie zgromadzonego ludu.

Z ustaniem wrzawy odbił się o bramę, jakiś blask z dała, który, zbliżając się do wieży drogą otoczoną z obu stron przez żołnierzy hrabiego Leicestera, nabierał więcej jasności i zajmował coraz większą przestrzeń. Wkrótce zbrojne szeregi zawołały :

— Królowa! Królowa!... Bacność!

Przodem postępowało dwustu jezdnych z pochodniami, które rozlewały dokoła potoki światła, podobne do dziennej jasności. Za nimi dopiero postępowała sama Elżbieta w gronie panów i przedniejszej szlachty, w bogatych szatach, jaśniejąca cała od złota i

drogich kamieni. Jechała na białym koniu, którego prowadziła z właściwym sobie wdziękiem i godnością.

Dworskie panie tworzące orszak królowej postarały się o to, aby ich ubiory ani nie były zbyt skromne na tak wielką uroczystość, ani też odznaczały się nadzwyczajnym przepychem, a to w tym celu, aby podrzędne konstelacje nie zaćmiły swym blaskiem najwspanialszej gwiazdy. Ale ich wdzięki, nie przygaszone zewnętrzną okazałością, tym bardziej promieniały. Grono tych niewiast sprawiedliwie można było nazwać kwiatem królestwa słynącego na cały świat z pięknych kobiet. Za to panowie i dworzanie nie oglądając się na prawidła skromności, od których kobiety nie są wolne, rozwinęli przepych bez granic.

Leicester, cały w złocie i drogich kamieniach, jechał po prawej stronie królowej, jako jej gospodarz i koniuszy. Jego kary koń, nie mający jednego białego włoska, wybrany był umyślnie na tę uroczystość spośród najdzielniejszych podówczas rumaków w całej Europie. Zniecierpliwiony powolnym krokiem, jakim postępował cały orszak, zaginął w kabląk wspaniałą szyję i gryząc srebrne wędzidła hamujące jego zapał, toczył z pyska śnieżną pianę na nogi i kształtnie toczono piersi. Godzien był jeździec tego rumaka, godzien wysokiego stopnia, jaki zajmował. Nie było nikogo w Anglii, a może nawet w całej Europie, kto mógłby równać się z Dudleyem w sztuce jazdy na koniu i innych ćwiczeniach rycerskiego rzemiosła. Jechał z odkrytą głową równie jak inni dworzanie będący w orszaku królowej. Gorejące pochodnie oświetlały czerwonym płomieniem jego długie włosy, spadające na ramiona w ciemnych puklach i piękną twarz, której tylko najsurowszy krytyk zarzucić mógł zbyt wysoką wysokość czoła. Z jego spojrzeń i całej postaci biła duma i przejęcie z tak wysokiego zaszczytu, jakim w tym dniu uroczystym królowa obdarzała jednego ze swych poddanych. Choć radość jaśniała na jego twarzy, zdawało się jednak kilku osobom z orszaku hrabiego, że nigdy nie był tak blady. Zaczęto nawet lękać się, aby trudy ponad siły nie zaszkodziły jego zdrowiu.

Varney, jako pierwszy koniuszy, jechał tuż za swym panem, w czarnym kapeluszu spiętym diamentową klamrą, zza której spływało białe, długie pióro. Oczy miał ciągle obrócone na swego pana, gdyż dla przyczyn wiadomych już czytelnikowi, żaden z licznych sług i domowników Leicesterera nie pragnął więcej od niego, aby hrabia

przeszedł szczęśliwie przez wszystkie trudy nierozzerwalnie związane z tym pamiętnym dniem. Bo choć Varney należał do tej małej liczby potworów w ludzkim ciele, które uspokoiwszy wewnętrzne wyrzuty przechodzą stopniowo od bezbożności do odrętwienia i zupełnej moralnej nieczułości; jak nieszczęśliwcy, którzy po zażyciu opium usypiają mimo cierpień, wiedział jednak, że w sercu jego pana palił się ten ogień, który nigdy nie gaśnie i że go toczy robak sumienia, co nigdy nie umiera. Nie było powodu obawiać się — myślał sobie chytry doradca — by jego pan, w którym duma brała górę nad innymi uczuciami, dowiedziawszy się z ust jego o chorobie żony, z powodu której nie mogła przybyć do Kenilworth, zdradził sam siebie przez zmieszanie lub brak przytomności umysłu.

Orszak postępujący za królową, złożony z mężczyzn i kobiet, składał się z najznamienitszych osób królestwa zarówno co do męstwa jak i piękności. Można tam było widzieć przedniejszych panów i mądrych ministrów, których wyliczenie nazwisk zmęczyłoby pamięć czytelnika. Za nimi dopiero ciągnął długi szereg rycerzy i szlachty, których urodzenie i urzędy, choć znamienite, zaćmione były blaskiem i wspaniałością jaśniejącą na czele orszaku.

W tym porządku cały orszak zbliżał się do wieży nazwanej Galerią, która, jak już tyle razy wspominaliśmy, była pierwszą bramą zamkową.

Dopiero teraz miał wystąpić odźwierny ze swoją rolą, ale ten wielkolud tak się załękł, a gąsior wina, który wypróżnił dla odświeżenia pamięci, tak przeciwny sprawił skutek, że nieborak sapał tylko okropnym obyczajem na swej kamiennej ławie i ze strachu nie mógł słowa przemówić. I już królowa przejechałaby bez żadnego powitania, gdyby jego ukryty sprzymierzeniec Flibbertigibbet zalazłszy pod niedźwiedzią skórę nie ukłuł go długą igłą, która mu doszła aż do samej kości.

Odźwierny poczuwszy takiego bodźca zawył przeraźliwym głosem, co już było niezłym początkiem jego roli. Po czym wyskoczył z maczugą, wywinął nią kilka razy w prawo i w lewo, jak koń spięty ostrogą pomknął naprzód i przy pomocy swego sprzymierzeńca wypowiedział grubym głosem następujące wiersze:

Hola, panowie, co znaczy ta wrzawa!

Przecież odźwiernym jestem nie dla kształtu?

Precz stąd, bo laską wesprę moje prawa,

Precz stąd, panowie, bo narobię gwałtu!  
Ale nie! Stójcie! Cóż to za zjawienie?  
Jaki tłum panów, giermków, jakie godła!  
Jak dzielne konie, jakie drogie siodła!  
Jak pyszne pióra, jaki blask pancerzy!  
Znieść go nie może olśniona żrenica.  
Ale dla Boga! Powiedzcie mi, kto to  
Ta najpiękniejsza pośród nich dziewczica,  
Jak brylant w czyste oprawiony złoto?  
Niech co chce będzie! Widzicie taką damę  
Trudna jest dla mnie strażnika powinność!  
Uchylam laskę i otwieram bramę:  
Niech dla niej miła będzie tu gościnność.

Elżbieta przyjąwszy uprzejmie hołd od tego nowożytnego Herkulesa i skinąwszy głową na znak podziękowania wjechała w bramę, gdzie zabrzmiała muzyka, której dźwięki mieszały się z odgłosem instrumentów dających się słyszeć z różnych stron zwierzyńca i wałów zamkowych.

Przy odgłosie tej czarującej muzyki Elżbieta wjechała na most łączący Galerię z wieżą Mortimera, oświetlony tysiącem gorejących pochodni po obu stronach. Tu niektórzy panowie posiadali z koni i odesławszy swe rumaki do pobliskiej wioski, złączyli się z tymi, co przyjmowali królowę pod wieżą opasaną galerią.

Raleigh chciał wdać się w rozmowę z Tressilianem, lecz niemało się zadziwił, gdy jego przyjaciel dawał mu tylko niedorzeczne albo niewłaściwe odpowiedzi. Ta okoliczność równie jak to, że opuścił swoje mieszkanie bez żadnej słusznej przyczyny, zaniedbany ubiór mogący obrazić królowę i inne znamiona niezwyčajnego stanu naprowadziły go na myśl, czy jego przyjaciel nie dostał lekkiego pomieszania zmysłów.

Zaledwie królowa stanęła na moście, a już nowy widok przedstawił się jej oczom. Na dany przez muzykę znak zjawiała się na jeziorze tratwa, zrobiona na wzór pływającej wyspy, oświetlona mnóstwem pochodni i mająca po bokach maszyny w kształcie

morskich koni, na których siedziały trytony, nereidy i inne morskie i rzeczne bóstwa. Wyspa podpłynęła zwolna pod sam most.

Znajdowała się na niej niewiasta cudnej urody, a z jej ramion spływał płaszcz błękitnego koloru, spięty przepaską, na której wypisane były rozmaite symboliczne znaki. Nogi i ręce były nagie, a na przegubach połyskiwały złote obręcze nadzwyczajnej wielkości. W długie i czarne włosy miała wpleciony wieniec z kwiatów wodnych, w ręku zaś trzymała hebanową laskę. Dwie nimfy siedzące przy niej miały na sobie podobnie niezwykle ubiory.

Całe to widowisko było tak dobrze pomyślane, że pani pływającej wyspy odbywszy czarującą podróż wzdłuż całego mostu wylądowała razem z królową przy wieży Mortimera. Tam dopiero nieznajoma oświadczyła, że jest Panią Jeziora, sławną z historii króla Artura, że jest tą samą, co wykarmiła okrutnego Lancelota i której piękność stała się straszną dla mądrości i czarodziejskich mocy potężnego Merlina. Że od tych dawnych czasów przez cały przeciąg wieków nie wychodziła nigdy ze swych kryształowych pałaców, mimo iż tak znamienite i dostojne osoby mieszkały w zamku, jak Saksonowie, Duńczycy, Normanowie, Saintlowowie, Clintonowie, Montfortowie, Mortimerowie i Plantageneci, aczkolwiek wielka była ich potęga i sława, nie mogli nigdy przywieść jej do tego, aby wychyliła głowę z wód oblewających jej kryształowe państwo. Ale skoro doszła ją wieść, że ma przybyć w te strony sławniejsza od nich wszystkich niewiasta, pośpiesza natychmiast ze złożeniem jej hołdu i prosi, aby raczyła zażyć rozrywek i wszelkich rozkoszy, jakie tylko w tym zamku i jego okolicach na wodzie lub na ziemi znaleźć może dla siebie.

Królowa przyjęła z radością to powitanie i odpowiedziała z uśmiechem:

— Rozumieliśmy dotąd, że to jezioro należało do naszych posiadłości, ale skoro tak piękna i sławna pani przywłaszcza je sobie, miło nam będzie pomówić z nią obszerniej innym razem i wejść w układy co do pogodzenia naszych wspólnych interesów.

Po tej ujmującej odpowiedzi znikła Pani Jeziora, a Orion znajdujący się między morskimi bóstwami wyjechał na swoim delfinie. Ale Lamburn, który wziął na siebie tę rolę z powodu nieobecności Waylanda, dostawszy dreszczy od długiego przebywania w żywiole, którego nie był wielkim przyjacielem, a do tego nie wyuczywszy się na pamięć swej roli i nie mając przy sobie podpowiadacza, jakiego miał odźwierny,

zrzucił bezczelnie maskę i oświadczył donośnym głosem, że nie jest ani Orionem, ani Arionem, tylko poczciwym Michałem Lamburnem, że od świtu wyjechał na tym morskim straszycdle, aby jej powiedzieć, że jest miłym i pożądanym gościem.

Ten żart sprawił może lepszy skutek, aniżeli sprawić mogła mowa ułożona podług wszelkich prawideł retoryki. Królowa śmiała się serdecznie i oświadczyła nawzajem, że to było najlepsze powitanie, jakie dzisiaj słyszała. Lamburn spostrzegłszy natychmiast, że mu się udał figiel, wyskoczył zgrabnie na brzeg jeziora, odepchnął nogą delfina i zaklął się, że nie będzie miał nigdy do czynienia z rybami, chyba tylko na dobrym stole.

Gdy już królowa miała wjechać do samego zamku, wystrzelono wówczas owe pamiętne ognie sztuczne, które pan Laneham, wyżej przez nas wspomniany, starał się opisać z całą wymową, na jaką tylko mógł się zdobyć.

„Taka była — powiada on — jasność zapalonych pochodni i strzał ognistych latających w powietrzu, taki blask rzucony przez migotliwe gwiazdy, takie potoki światła rozlane po całej okolicy, taki grzmot i łoskot wystrzałów z moździerzy, że aż się ziemia zatrzęsła, wody wezbrały i niebiosa odpowiedziały długim grzmiotem; a co się mnie tyczy, choć jestem dosyć odważny, nigdy jeszcze w życiu nie drżał tak mocno ze strachu.”

## ROZDZIAŁ XIII

Albo mów, co prawdą, panując zimnym dowodem nad popędem wrzącej namiętności, albo cię nie będę słuchać.

Beaumont i Fletcher

Nie mamy zupełnie zamiaru opisywać szczegółowo wszystkich widowisk i wspaniałych uczt danych w Kenilworth w czasie bytności królowej, w sposób Roberta Lanehama, którego dzieło przytoczyliśmy na końcu poprzedzającego rozdziału. Powiemy tylko, że pośród wypuszczonych rac i zapalonych ogni sztucznych, których opis wyjęliśmy z pism wymownego Lanehama, królowa wjechała na dziedziniec zamkowy bramą Mortimera i przeszedłszy szeregi bogów pogańskich i bohaterów starożytności, oddających jej hołd na kolanach i składających bogate dary, weszła do sali zamkowej, gdzie na przyjęcie jej poczynione były wspaniałe przygotowania. Na ścianach wisiały jedwabne kobierce, jaśniały rześiste światła; zapalone kadzidła wydawały przyjemny zapach i dawały się słyszeć słodkie melodyjne głosy. W głębi wznosił się tron, a nad nim rozpięty był baldachim, z tyłu zaś były podwoje prowadzące do długiego szeregu pysnie przyozdobionych pokojów, przeznaczonych dla królowej i niewiast z jej orszaku.

Hrabia Leicester, wprowadziwszy na tron królowę, ukląkł przed nią i całując jej rękę z kawalerską zalotnością, połączoną szczęśliwie z głębokim uszanowaniem, dziękował jej w wyrazach najczulszej wdzięczności za znamienitą łaskę, wyższą nad wszystkie zaszczyty, jakie kiedykolwiek panujący mógł okazać swemu poddanemu. Gdy klęczał przed nią, miał coś tak zachwycającego w całej postawie, że Elżbieta rada by była zatrzymać go w tym położeniu kilka chwil dłużej, niżeli prawdę mówiąc, wymagała konieczna potrzeba i cofając swą rękę przesunęła ją tak blisko głowy, że dotknęła niemal jego długich włosów, czyniąc to z taką przyjemnością, iż obecnym zdawało się, że chciałaby, gdyby można, popieścić trochę swego ulubieńca.

Podniósł się wreszcie i stojąc obok tronu tłumaczył jej rozmaite przygotowania, poczynione na jej przyjęcie i dla jej rozrywki. Wszystkiego słuchała i pochwalała ze zwykłą sobie uprzejmością. Potem prosił ją, aby jemu i innym panom, którzy

towarzyszyli jej w podróży, pozwoliła oddalić się na kilka chwil i przebrać się stosownie do tak wspaniałej uczty.

— Tymczasem ci dostojni dworzanie — rzekł pokazując na Varneya, Blounta i Raleigha, którzy już zmienili suknie — będą mieli zaszczyt pozostać z Waszą Królewską Mością.

— Chętnie zgadzam się na to — odpowiedziała królowa — ale nadawałbyś się, milordzie, na zarządcę teatru, skoro możesz wprowadzać na scenę coraz nowych aktorów. Co do nas, darujesz nam, że tego wieczora przyjmować będziemy twoje grzeczności w podróznym ubraniu. Nie myślimy dziś zmieniać sukien, ponieważ nieco strudzeni jesteśmy podróżą, którą przedłużył napływ naszych wiernych poddanych, a zarazem uprzyjemniły niewątpliwe oznaki ich przywiązania i miłości ku nam.

Leicester otrzymawszy pozwolenie oddalił się natychmiast, a za nim wyszli panowie, którzy z królową przyjechali do Kenilworth, ci zaś, co pierwsi przybyli i już mieli czas zmienić suknie, zostali w pokoju, lecz nie zaliczając się do przedniejszej szlachty nie śmieli zbliżyć się do tronu. Wnet bystre oko Elżbiety spostrzegło między nimi Raleigha i kilku innych, znanych jej osobiście. Kazała im bliżej przystąpić i poczęła rozmawiać uprzejmie, szczególnie z Raleighem, którego płaszcz rzucony jej pod nogi, równie jak wiersze, wspólnie układane, nie wyszły jej z pamięci. Do niego najczęściej zwracała się, od niego zasięgała wiadomości o nazwiskach i stanie osób znajdujących się w jej towarzystwie. On zaś odpowiadał na czynione pytania łącząc zwięzłość z dowcipnym żartem i złośliwą ironią, co zdawało się sprawiać przyjemność królowej.

— A któż to znowu ten prostak? — zapytała spozierając na Tressiliana, którego codzienne suknie źle odbijały przy okazałej postawie.

— Poeta, Najjaśniejsza Pani! — odpowiedział Raleigh.

— Spodziewałam się tego po jego zaniedbaniu w ubiorze — rzekła Elżbieta. — Znałam poetów tak roztargnionych, że czasem rzucali płaszcze w błoto.

— To zapewne wtenczas, kiedy słońce zaślepiło ich oczy i rozum — odpowiedział Raleigh.

Elżbieta uśmiechnęła się i mówiła dalej:

— Pytam się o nazwisko tego jegomościa i proszę, abyś mi powiedział, jakie jego powołanie.



— Nazywa się Tressilian — rzekł Raleigh z ociąganiem, ponieważ nie przewidywał nic pomyselnego dla swego przyjaciela ze sposobu, jakim zwrócił na siebie uwagę królowej.

— Tressilian! — odpowiedziała Elżbieta. — Menelaus naszego romansu! Ależ przyznać trzeba, że jego niewyszukany ubiór mógłby nastreczyć wymówkę pięknej i niewiernej Helenie. Gdzież jest Farnham czy jak mu tam na imię — dworzanin, jak mi się zdaje, Leicester — Parys devonshirskiej przygody?

Z większą jeszcze niechęcią Raleigh wymówił nazwisko i pokazał Varneya, którego krawiec wysilił wszystkie swoje zdolności, aby jego powierzchowność kształtną i powabną uczynić, a który, jeżeli nie miał wdzięków, posiadał z drugiej strony pewien spokój w sposobie bycia i głęboką znajomość świata.

Królowa spoglądała kolejno to na jednego, to na drugiego.

— Zdaje mi się — rzekła — że ten poeta Tressilian, który będąc głęboko uczonym wiedział zapewne, przed kim miał stanąć, jest z liczby tych, o których Chaucer dowcipnie powiada, że będąc najuczestniejszymi nie są częstokroć najmędrszymi z ludzi. Przypominam sobie, że Varney ma wprawny język i słodziuchne słówka i dlatego wątpię, aby niewierna kochanka nie miała dość słusznych powodów do uciezki.

Raleigh nie śmiał nic na to odpowiedzieć lękając się pogorszyć sprawę swego przyjaciela sprzeciwieniem się królowej i myśląc, czyby nie było najlepiej dla niego, aby królowa raz już rozstrzygnęła tę sprawę, na którą wszystkie myśli Tressiliana zdawały się być z największą zaciętością i rozpaczą zwrócone. Kiedy te myśli przebiegały przez jego ruchliwy mózg, otworzyły się drzwi i Leicester wszedł do sali w licznym orszaku krewnych i możniejszych panów, którzy wahając się w wyborze partii przeszli na jego stronę.

Hrabia cały był ubrany w biel. Miał białe jedwabne pończochy, spodnią suknię z białego aksamitu lamowaną srebrnym galonem, białą aksamitną czamare haftowaną srebrem i sznurkami najprzedniejszych pereł, pas złotolity, pochwę z białego aksamitu ze złotymi chwastami, sztylet i pałasz oprawione w złoto i drogie kamienie, a na tym wszystkim luźną szatę z białego atłasu, wyszywaną obficie złotem. Wstęga orderu Podwiązki i sam order błękitnego koloru, zawieszony zgrabnie koło kolana, stanowiły dopełnienie ubioru, co tak dobrze pasował do wspaniałej postawy Leicester a i tak był

stosowny do jego miłej i ujmującej powierzchowności, że wszyscy, którzy nań obrócili oczy, wyznać musieli w duszy, że nigdy jeszcze nie zdarzyło się im widzieć tak pięknego i wytwornego mężczyzny. Sussex i inni panowie byli równie bogato ubrani, lecz Leicester zaćmił ich wszystkich przepychem i wdziękiem.

Elżbieta przyjęła faworyta z widoczną radością.

— Mamy tu rozsądzać sprawę — rzekła do niego — przypadającą pod rozpatrzenie sądów królewskich, a która nas podwójnie interesuje jako kobietę i matkę naszych wiernych poddanych.

Mimowolny dreszcz przeszedł hrabiego, gdy kłaniając się nisko wyrażał swoją gotowość w dopełnieniu rozkazów królowej. Równie zimny dreszcz ściał Varneya, który przez cały wieczór nie spuszczał oka ze swego pana domyślił się od razu ze zmiany w jego twarzy, o czym mówiła do niego Elżbieta. Lecz Leicester pozbywszy się chwilowej trwogi wkrótce przybrał postawę niezachwianej pewności siebie, jakiej wymagała jego przewrotna polityka i gdy Elżbieta dodała:—Mówimy o sprawie Varneya z Tressilianem. Czy jest tu ta kobieta, milordzie? — odpowiedział bez namysłu:—Nie ma jej tu, Najjaśniejsza Pani.

Elżbieta spuściła w dół oczy i zacisnęła usta.

— A nasze rozkazy były wyraźne i stanowcze, milordzie! — rzekła.

— I byłyby jak najściślej dopełnione — rzekł Leicester — chociażby tylko były prostym życzeniem. Lecz... zbliż się, Varneyu. Ten mój dworzanin najlepiej wyłoży przyczyny, dla których ta kobieta (niepodobna mu było przymusić usta do wymówienia jego żona) nie mogła stanąć osobiście przed Waszą Królewską Mością.

Varney wystąpił na środek i z wielką przytomnością umysłu wyłożył powody, dla których wezwana strona (w obecności Leicesterera nie śmiał jej nazywać swą żoną) nie mogła stawić się przed królową.

— Oto są — rzekł — dwa świadectwa: jedno uczonego lekarza, którego biegłość i prawość znane są memu panu, drugie poczciwego protestanta, Antoniego Fostera, człowieka godnego wiary, w którego domu teraz mieszka. Z obu tych dowodów okazuje się zarówno, że będąc niebezpiecznie chora nie mogła żadną miarą przedsiębrać tak długiej podróży.

— Jeżeli tak, to rzecz inna — rzekła królowa przebiegając podane sobie pisma nieuważnym wzrokiem. — Zawołajcie Tressiliana! Panie Tressilianie! Litujemy się nad twoim losem i tym bardziej użalamy się nad tobą, że tak mocno zaprzątnąłeś sobie głowę tą Amelią Robsart, czyli raczej Amelią Varney. Nasza władza, dzięki Bogu i chętnemu posłuszeństwu ukochanego narodu, ma pewne znaczenie, ale nie może rozciągać się poza pewne granice. Nie możemy na przykład rozkazywać uczuciom płochy dziewczyny ani przymusić jej, aby dała pierwszeństwo rozsądkowi i nauce nad wykwinłą czamarę wymuszanego dworaka. Nie możemy także nic poradzić na chorobę, która, jak się okazuje, nawiedziła tę kobietę i stanąć jej tu przed nami nie pozwoliła, jak było naszym życzeniem. Oto są na to świadectwa: jedno lekarza, drugie gospodarza.

— Z przeproszeniem Waszej Królewskiej Mości — odpowiedział Tressilian, który lękając się skutków tak niebezpiecznego dla siebie podejścia zapomniał o tym, co przyobiecwał Amelii — te świadectwa nie są prawdziwe!

— Jak to, mój panie? — zawołała królowa. — Śmiesz w żywe oczy zadawać fałsz hrabiemu Leicesterowi? Lecz wysłucham twoich dowodów w całej rozciągłości, bo i ostatni z naszych poddanych ma wolność mówienia przeciw pierwszemu, najmniej znany przeciw temu, na którego spłynęły wszystkie nasze zaszczyty. Dlatego wysłuchany będziesz do końca. Lecz broń cię Boże, jeżeli na to, co powiesz, nie masz pewnych dowodów. Przeczytaj te zaświadczenia i powiedz nam otwarcie, jaką masz wątpliwość o ich wiarygodności i na jakich zasadach.

Gdy królowa to mówiła, obietnica i wszystkie skutki wyniknąć mogące z niedotrzymania danego słowa stanęły w umyśle nieszczęśliwego Tressiliana i przytłumiły w nim żywą chęć dkrycia prawdy i przekonania strony przeciwnej o fałszywości złożonych przez nią dowodów. Ta walka wewnętrzna uczyniła go nieśmiałym i bojaźliwym, a bojaźń i nieśmiałość odmalowane w jego wzroku i całej postawie uprzedziły przeciw niemu królowę, równie jak tych wszystkich, którzy na niego patrzyli. Obracał w rękę papiery, jak gdyby był nieukiem niezdolnym zrozumieć, co się w nich mieści. Królowa, poczęła okazywać zniecierpliwienie.

— Jesteś, mój panie — rzekła do niego — uczonym człowiekiem, jak mi mówiono, a jednak z taką trudnością przychodzi ci przeczytać tych kilka wyrazów. Cóż mówisz o tych dowodach? Czy są prawdziwe, czy zmyślone?

— Najjaśniejsza Pani — odpowiedział Tressilian z widocznym zakłopotaniem, nie chcąc uznawać za prawdziwe fałszywych dowodów, a zarazem pragnąc dotrzymać słowa danego Amelii i dać jej, jak obiecał, wolne pole bronienia własnej sprawy w sposób, jaki jej najlepszym zdawać się będzie:— Wasza Królewska Mość rozkazałaś mi sprawdzić świadectwa, których wiarygodność wprzód dowiedziona być powinna przez tych, którzy na niej opierają swoją obronę.

— Panie Tressilianie! Łączysz, widzę, uszczypliwość z talentem wierszoklety! — rzekła królowa spozierając na niego z niechęcią. — Gdy te pisma podane są z wiedzą i w obecności dostojnego hrabiego, pana tego zamku, gdy on nadto słowem swoim ręczy za ich wiarygodność, zdaje się, że nie powinienes mieć z tego względu najmniejszej wątpliwości. Varneyu albo raczej Leicesterze, ponieważ ta sprawa stała się teraz twoją — (struchlał hrabia na te ostatnie wyrazy, chociaż wyrzeczone przypadkiem) — jakież macie dowody, że te świadectwa są godne wiary?

Varney uprzedzając Leicesterera pośpieszył z odpowiedzią:

— Młody hrabia Oksfordu, Najjaśniejsza Pani, tu obecny, zna pismo Antoniego Fostera.

Na to wezwanie hrabia Oksfordu, marnotrawny i rozpustny panicz, któremu Foster dawał nieraz pieniądze na lichwę, wystąpiwszy na środek, krzyknął, że Foster jest majątnym gospodarzem i że świadectwo pisane jest jego własną ręką.

— A któż ręczy za świadectwo doktora ? — zapytała królowa. — Alasco podobno jego nazwisko.

Masters, nadworny doktor Jej Królewskiej Mości, który nie zapomniał o obelżywym przyjęciu, jakie go spotkało w Say's Court, a zarazem spodziewał się, że świadectwem swoim dopomoże Leicesterowi a zaszkodzi Sussexowi i jego stronnikom, oświadczył, że nieraz wzywany bywał do chorego wraz z doktorem Alasco, że go zna osobiście jako człowieka posiadającego wiele rozległych i tajemniczych umiejętności, choć trzymającego się w leczeniu nienajlepszej metody. Hrabia Huntingdon, szwagier Leicesterera i stara hrabina Rutland odezwali się także z pochwałami dla niego, a nawet

przypomnieli sobie cienki włoski charakter, jakim zwykł był pisywać recepty, a który zgadzał się co do joty z pismem na wydanym przez niego zaświadczeniu.

— Panie Tressilianie — rzekła królowa — spodziewam się, że sprawa skończona. Nim jeszcze zmierzchnie, dołożymy starań, aby pojednać starego Hugona Robsart z jego zięciem. Dopełniłeś swojej powinności może zbyt śmiałym sposobem, lecz nie bylibyśmy kobietą, gdybyśmy nie litowali się nad ranami, które prawdziwa miłość zadaje. Dlatego przebaczymy ci tę śmiałość równie jak przykrość, jakąś nam wyrządził swymi nieczystymi butami, których nieprzyjemny zapach mało co nie przytłumił wszystkich wonności lorda Leicestera.

Tak mówiła Elżbieta, której delikatność zmysłu powonienia była jedną z charakterystycznych cech organizmu, jak tego dowiodła w późniejszym czasie wypędzając od siebie Sussexa za to, że równie jak Tressilian wszedł w butach do jej pokoju.

Tymczasem Tressilian przyszedł do siebie po wstrząsie, jaki w nim wywołał fałsz podany za prawdę, popierany z taką bezczelnością na dowiedzenie tego, co sprzeciwiało się wszystkiemu, o czym przekonał się na własne oczy. Rzucił się do nóg królowej, ukląkł przed nią i chwycił za poję płaszcza.

— Najjaśniejsza Pani! — zawołał. — Jeżeli jesteś chrześcijanką, jeżeli jesteś na to koronowaną królową, abyś wymierzyła sprawiedliwość wszystkim bez różnicy poddanym i ich próśb słuchała, tak jak masz nadzieję, że twoje wysłuchane będą na sądzie ostatecznym, gdzie wszyscy bez wyjątku zdawać będziemy sprawę z naszych czynności, uczyn mi jedną małą łaskę! Nie chciej tak prędko stanowić w tej sprawie. Daj mi tylko dwadzieścia cztery godziny, a po upływie tego krótkiego czasu przedstawię dowód, który okaże ci, że wszystkie świadectwa utrzymujące, że ta kobieta choruje teraz w hrabstwie Oksford, są fałszywe.

— Daj mi pokój, mój panie! — rzekła Elżbieta nieco przerażona jego gwałtownością, choć obdarzona męskim hartem duszy była nieprzystępna uczuciom bojaźni. — Ten człowiek musi mieć pomieszane zmysły! Dowcipny Harrington, mój syn chrzestny, mógłby go umieścić w swoim „Orlandzie szalonym”, a jednak, na honor, jest coś osobliwego w jego gwałtownym żądaniu. Mów, Tressilianie, co będzie, jeżeli po

upływie tych dwudziestu czterech godzin nie dowiedziesz, że słabość tej kobiety, tak uroczyście przyznana i zaświadczona, jest tylko zmyśleniem?

— Wtenczas głowę moją z ochotą nachylę pod katowski topór!

— Przebóg! — zawołała Elżbieta. — Mówisz jakbyś rozum postradał. Czy może czyjaś głowa spaść w Anglii bez wyroku i wyraźnej woli praw angielskich? Zapytuję cię, skoro masz tyle rozumu, abyś mógł pojąć moje żądanie, pytam, jeżeli ci się nie uda ten nedorzeczny zamysł, czy zechcesz mi powiedzieć otwarcie, dlaczegoś go przedsięwziął?

Tressilian zamilkł i przez kilka chwil wahał się z odpowiedzią, wiedział bowiem, że jeżeli Amelia pogodzi się z mężem w żądanym przeciągu czasu, nie bardzo miłą uczyniłby jej przysługę, gdyby wyjawiał całą tajemnicę przed Elżbietą i pokazał, jak ta mądra i zawistna królowa była oszukana przez fałszywe świadectwa. Ta wątpliwość wywołała nowe zakłopotanie w jego wzroku, głosie i całej postawie, a gdy królowa spojrzała na niego zagniewanym okiem i ponowiła surowym głosem swoje pytanie, odpowiedział, że może będzie mógł, lecz sam nie wie z pewnością, czy przedstawić jej pod pewnym warunkiem powody skłaniające go do takiego postępowania.

— To już nie do zniesienia! — zawołała Elżbieta. — Albo to jest zupełne szaleństwo, albo pod zmyślonym pomieszaniem ukrywa się jakiś niegodziwy zamiar. Widzisz, Raleighu, twój przyjaciel jest poetą nieodpowiedzialnym za swe czyny i dlatego nie może znajdować się w naszym towarzystwie. Wyprowadź go i uwolnij nas odeń, żeby z nim nie stało się co złego, bo latając zbyt górnio albo będzie musiał usiąść na Parnasie, albo w szpitalu Świętego Łukasza; sam zaś przychodź natychmiast, skoro go odprowadzisz. Chcielibyśmy widzieć tę kobietę, która sprawiła takie zaburzenie w głowie rozumnego człowieka.

Tressilian chciał jeszcze coś mówić, ale Raleigh, posłuszny rozkazom królowej, nie dał mu zacząć. Z pomocą Blounta, po części siłą, po części po dobrej woli, wyprowadzili go z sali, gdzie jego obecność, jak się sam przekonał, więcej mu zaszkodziła, niż pomogła.

Gdy weszli do przedpokojów, Raleigh prosił Blounta, aby zaprowadził Tressiliana do pokojów przeznaczonych dla dworzan hrabiego Sussexu i kazał postawić straż u drzwi, jeżeli potrzeba tego wymagać będzie.

— Zdaje się — rzekł do niego — że wiadomość o słabości tej, która jest przedmiotem wszystkich jego myśli i uczuć, pomieszała zupełnie jego rozum. To na pewno przeminie, jeżeli czas jakiś posiedzi w spokojnym miejscu. Pamiętaj tylko, aby mu nie pozwolono wymknąć się. Już i tak rozgniewał królowę, a jeżeli jej jeszcze naprzykrzać się będzie, potrafi go osadzić w ciemniejszym ustroniu i znaleźć dla niego groźniejszych dozorców.

— Od razu mówiłem, że musiał dostać pomieszania zmysłów — odpowiedział Blount, spoglądając na swe karmazynowe pończochy i żółte kokardy — skoro zobaczyłem te przeklęte buty, które obraziły jej delikatne powonienie. Jak tylko zapakuję go do osobnego pokoju, natychmiast powrócę. Lecz powiedz mi, mój Walterze, czy królowa nie pytała cię czasem, jak się nazywam, bo zdaje mi się, że parę razy spojrzała na mnie.

— Gdzie tam parę razy, dwadzieścia razy spojrzała na ciebie; a ja jej mówiłem, żeś tęgi żołnierz i żeś... lecz, na miłość Boga, odprowadź Tressiliana.

— Zaraz go odprowadzę, ale zaczynam się przekonywać, że niezłe całkiem to dworskie życie. Pójdziemy w górę, Walterze, nieprawda? Więc tedy powiedziałaś, żeś tęgi żołnierz i że... cóżeś jej jeszcze powiedział, mój kochany Walterze?

— Żeś niewypowiedzianie dobry, ze wszech miar nieoszacowany, ale śpiesz, jak ci Bóg miły!

Tressilian szedł za Blountem bez żadnego oporu albo raczej pozwolił mu się prowadzić do pokoju Raleigha, gdzie położono go na łóżku służącego. Wiedział dobrze, że żadne prośby nie zdołają zmiękczyć jego przyjaciół ani skłonić ich do wspierania go radą albo pomocą w obecnych okolicznościach, aż do upływu czasu, przez który zobowiązał się nic nie przedsiębrać ze swojej strony i że po upływie tych dwudziestu czterech godzin albo będzie mógł wyjawić im całą tajemnicę, albo uwolniony zostanie od dalszego zajmowania się losem Amelii, jeżeli w tym czasie sama wynajdzie środki pojednania się z mężem.

Z wielką trudnością i tylko przez łagodne i cierpliwe tłumaczenie potrafił wyprosić u Blounta, żeby mu nie postawiono przy drzwiach dwóch hajduków Sussexa. Na koniec Blount przekonawszy się, że jego przyjaciel spokojnie leży na łóżku, począł deptać i

przeklinać te buty, które w jego mniemaniu były niewątpliwym symptomem, jeżeli nie przyczyną jego słabości, a łagodząc surowość więzienia zamknął je tylko na rygiel.

Takim sposobem piękne i szlachetne usiłowania nieszczęśliwego Tressiliana, mające na celu oswobodzenie kobiety z niedoli, od której w nagrodę za podjęte trudy i niebezpieczeństwa doznał tylko niewdzięczności, taki tylko w tym dniu miały skutek, że ściągnęły na niego niełaskę królowej i utwierdziły jego przyjaciół w przekonaniu, że jest wariatem.



## ROZDZIAŁ xiv

Najmędrszy z królów, jak każdy z ludzi,  
Często się myli lub pozorem ludzi;  
Często tych blaskiem i chwilą okryje,  
Co raczej warci powroza na szyję.  
Cóż stąd? Nie winien, jeśli nie chcąc błądzi,  
Z chęci, nie z skutków o człeku się sądzi.

Dawna komedia

— Smutna to nader rzecz — rzekła królowa po odejściu Tressiliana — widzieć rozumnego i uczonego człowieka cierpiącego na zupełne obłąkanie umysłu. Ten publiczny dowód rozstrojonego rozumu jawnie okazuje, że jego zażalenie jest niesłuszne. Ale przypominamy sobie, milordzie Leicester, żeś nas prosił kiedyś o jedną łaskę dla swego Varneya, którego wierność i piękne przymioty, jako użyteczne tobie, powinny być nagrodzone przez nas, wiemy bowiem, że jak ty sam, tak i wszyscy twoi domownicy i przyjaciele są na nasze usługi... Tym milej jest dla nas wypełnić, czego żądasz od nas dla Varneya, że zażywamy w twym domu miłej gościnności, że to sprawić może jaką taką pociechę staremu rycerzowi z Devon, którego córkę pojął za żonę, że na koniec, jak się spodziewam, ten dowód znamienitej naszej łaski, jakim teraz zaszczycić mamy jego zięcia, pojedna go z nim na zawsze. Daj mi swój miecz, milordzie! — Hrabia odpassał miecz i podał go na kolanach Elżbiecie.

Królowa wzięła go do rąk i wyciągnęła z pochwy, a gdy niewiasty otaczające tron dokoła odwracały twarz z prawdziwym albo udanym przestraczem, ona przypatrywała się ciekawym okiem świetnemu wykonaniu i bogatej oprawie.

— Gdybym była mężczyzną — rzekła — zdaje mi się, że tak bym kochała dobry pałasz, jak żaden z moich przodków. Lubię pieścić oręż jak owa dobra wróżka, o której przygodach czytałam w jakiejś książce włoskiej. Gdyby tu był Harrington, mój syn chrzestny, zaraz by przypomniał mi to miejsce. Patrzcie, jak pięknie wygładzony jest ten pałasz, można w nim przejrzeć się jak w zwierciadle, poprawić włosy i upięcia na głowie. Ryszardzie Varney, zbliż się i uklęknij! — W imię Boga i świętego Jerzego

pasuję cię rycerzem! Bądź wierny, waleczny i szczęśliwy! Powstań i odejdz. Varney podniósł się i oddał głęboki ukłon królowej. — Przypięcie ostróg i reszta obrzędów może się odbyć jutro w kaplicy — mówiła dalej Elżbieta — zamyślamy bowiem dodać Varneyowi towarzysza w rycerskim zawodzie, ponieważ jednak sprawiedliwość przewodniczyć powinna w rozdawaniu tak znamienitych nagród, chcemy wprzód pomówić o tym z hrabią Sussexem.

Ten dostojny hrabia, którego Leicester zaćmił zupełnie swoją świetnością od czasu przybycia do Kenilworth, stał opodal tronu z posepnym czołem. Nie uszło to uwagi królowej, która spodziewała się ukoić smutek oraz zadośćuczynić swojej polityce równoważącej przeciwne stronnictwa przez okazanie mu swej przychylności tym znamienitszej, że to nastąpić miało w chwili, kiedy triumf jego współzawodnika zdawał się być zupełny.

Sussex zbliżył się na zawołanie królowej, a zapytany przez nią, którego by z dworzan, człowieka zacnego urodzenia, zasłużonego krajowi, życzył sobie mieć pasowanego na rycerza, odpowiedział z większą szczerością niż polityką, że chciałby, aby mu wolno było przemówić za Tressilianem, który będąc walecznym żołnierzem jest oprócz tego uczonym człowiekiem i ma szereg uczciwych przodków. — Tylko — rzekł — lękam się aby wypadki tej nocy... — i na tym przestał.

— Miło nam, milordzie, że zwracasz na wszystko uwagę — odpowiedziała Elżbieta — lecz z tego, co już nastąpiło i co jeszcze tej nocy nastąpić może, wnieść by mogli nasi poddani, że nam tak przewróciło się w głowie jak temu biednemu, który dostał pomieszania zmysłów. Nie spodziewamy się, aby w jego postępowaniu mógł się ukrywać jaki zły zamiar, jednakże nieodpowiednia to chwila do zaszczycenia go naszą łaską.

— W tym przypadku — rzekł hrabia Sussex nieco zmieszany — Wasza Królewska Mość pozwolisz mi zalecić sobie mego koniuszego, Mikołaja Blounta, człowieka zacnego rodu, który służąc Waszej Królewskiej Mości w Szkocji wyniósł z boju nie splamione imię, okrył się chlubnymi bliznami.

Nawet na ten drugi wybór królowa nie mogła powstrzymać się od lekkiego wzruszenia ramion, a hrabina Rutland czytając z jej oczu, że spodziewała się, iż Sussex do godności rycerskiej wysunie Raleigha i że tym sposobem dogodzi jej żądaniu i

otrzyma łaskawe jej zezwolenie, czekała tylko, póki królowa nie przystanie na jego wniosek. Potem powiedziała, że ponieważ ci dwaj dostojni panowie podawali już po jednym kandydacie na godność rycerską, ośmiela się przeto prosić w imieniu wszystkich dam o takie samo pozwolenie.

— Nie byłabym kobietą, gdybym odmówiła ci tej łaski! — rzekła królowa z uśmiechem.

— Upraszam przeto Waszą Królewską Mość w imieniu wszystkich dam tu zebranych, abyś raczyła zaszczyścić stopniem rycerza Waltera Raleigha, którego czyny wojenne, równie jak gotowość służenia płci naszej orężem i piórem, godne są tej nagrody.

— Dziękuję wam, piękne damy — rzekła Elżbieta z uśmiechem — i zaspokoję wasze życzenia. Grzeczny kawaler Bez Płaszczka zostanie rycerzem Bez Płaszczka, jeżeli tego żądacie. Niech się zbliżą obaj.

Blount jeszcze nie powrócił. Sam Raleigh zbliżył się do tronu, uklęknął przed królową i odebrał z rąk jej godła rycerstwa, jakie nigdy jeszcze nie zdobyły dostojniejszego i szlachetniejszego męża.

Wkrótce potem przybył Mikołaj Blount. Dowiedział się z ust Sussexa, który go spotkał we drzwiach, o życzliwych zamiarach królowej ku niemu i że ma rozkaz stawić się przed tronem.

Nierzadki to przykład, ale zarazem śmieszny i wzbudzający litość, widzieć człowieka nie mającego żadnych innych przymiotów, prócz pospolitego zdrowego rozsądku, zmienionego w fircyka przez zalotność pięknej kobiety lub z innej jakiejś przyczyny uwikłanego w te dziwactwa i płochą lekkomyślność, jakie przystoją tylko młodemu wiekowi albo tym, dla których przez długie nawyknięcie stały się drugą naturą. Zawróciło mu już głowę to przekonanie, że się bardzo pięknie przystroił i że, jak mu się zdawało, potrzeba było koniecznie przybrać inny chód, odmienić głos i wszystkie ruchy ciała zastosować do tego ładnego ubioru. Gdy się dowiedział niespodziewanie o zaszczycie, jaki go czekał, wtenczas nabyta od niedawnego czasu płochy młodego wiercipięty odniosła zupełny triumf nad jego naturalnym charakterem i z prostego, niezgrabnego, ale uczciwego człowieka zrobiła śmieszne, nie oglądane dotychczas dziwadło.

Kandydat do rycerskiej godności wszedł na salę, którą na nieszczęście trzeba było przejść wzdłuż od początku do końca. Gdy puścił się w tę daleką i niebezpieczną drogę, wysoko i z dużą przesadą podnosił nogi. Reszta poruszeń ciała odpowiadała jego niezgrabnemu stapaniu, a wrodzona nieśmiałość połączona z uczuciem zadowolonej miłości własnej tak niewypowiedzianie czyniła go śmiesznym, że przyjaciele Leicestera nie mogli wstrzymać się od złośliwego śmiechu. Uśmiechali się także stronnicy Sussexa i zagryzali wargi ze złości. Sam nawet Sussex stracił cierpliwość i szepnął do ucha jednemu ze swych przyjaciół:

— Żebyś przepadł z twoim chodem! Nie możesz to chodzić po prostu jak człowiek?

Nie wiadomo, czy do uszu Blounta doszły słowa Sussexa, dość że zatrzymał się w połowie drogi, ale spojrzawszy na żółte kokardy i czerwone pończochy nabrał znowu odwagi i krokiem, jakim zaczął, takim dokończył ten ucieszny przemarsz. Królowa z widoczną niechęcią przystąpiła do trzeciego obrzędu wynoszącego biednego Blounta do godności rycerza. Wiedziała dobrze ta mądra pani, z jakim umiarkowaniem i oszczędnością rozdawać należy te zaszczytne nagrody, którymi później jej następcy Stuartowie hojnie, ale nierozsądnie szafując, przyczynili się znacznie do ujęcia im wewnętrznej wartości.

Gdy Blount powstał i odszedł na swoje miejsce, królowa obróciła się do hrabiny Rutland i rzekła:

— My, kobiety, podobno trafniej sądzimy o ludziach niż mężczyźni. Z tych trzech rycerzy tylko twój jeden godzien był tego zaszczytu.

— I sir Ryszard Varney, przyjaciel lorda Leicestera, ma bez wątpienia swoje zasługi  
— odpowiedziała hrabina.

— Varney umie się przypochlebić, ma słodziutkie słówka — rzekła królowa — boję się, aby czym nie splamił tego zaszczytu, lecz obiecawszy od dawna, musiałam dotrzymać słowa. Nie wiem, skąd znowu przyszło Sussexowi zalecać nam najprzód człowieka szalonego, a potem tego nieociosanego drağa. Przyznam ci się, moja Rutland, że gdy ten niezgrabny rycerz zżymał się i krztusił klęcząc przed nami, jak gdyby oparzył sobie gębę gorącą polewką, miałam chętkę uderzyć go raczej w kark niż po ramieniu.

— Widziałam, że Wasza Królewska Mość nie pożałowałaś jego ramienia. Stojąc za nim słyszałyśmy, jak miecz szczęknął po kości, aż się podrapał nieborak.

— Cóż miałam robić z takim prostakiem. Postaramy się jednak o to, aby wysłać tego rycerza do Szkocji, Irlandii albo w inne miejsce, żeby taki staroświecki rycerz nie zawadzał na naszym dworze.

Po czym rozmowa stała się powszechna. Wkrótce poproszono gości do stołu.

Trzeba było przejść wewnętrzne dziedzińce zamkowe, aby dostać się do nowo wzniesionego gmachu, gdzie była obszerna sala jadalna, a w niej poczynione do wieczery wspaniałe przygotowania, odpowiadające przepychowi tego dnia.

Gdy cały orszak wysypał się na dziedziniec, heroldowie i minstrelowie obkoczyli nowopasowanych rycerzów krzyżąc jak zazwyczaj w podobnych okolicznościach: — *Largesse! Largesse! chevaliers tres hardis!* — Było to starożytne wezwanie mające na celu pobudzenie nowopasowanych rycerzy do szczodroblewości dla tych, których zatrudnieniem było przechowywać ich herby i sławić piękne czyny. Na to wołanie godnie odpowiedzieli ci, do których się ono stosowało. Varney rozdelał dary przymilnie i z udaną skromnością. Raieigh z wdziękiem właściwym tylko temu, kto się dostał na właściwe sobie miejsce i obeznał z prawdziwą godnością. Poczciwy Blount dawał, co mu zostało po zapłaceniu krawca z półrocznego żołdu, ale w pośpiechu wypuszczał pieniądze na ziemię, więc schylał się po nie i znowu je rozdawał, a w całej tej czynności podobny był bardziej do szarego parafianina dzielącego jałmużnę między ubogich niż do hojnego pana.

Te upominki przyjmowano z głośnymi okrzykami i oklaskami, ponieważ jednak ci, co korzystali z tych darów, byli po większej części ludźmi lorda Leicestera, nazwisko przeto Varneya częściej dawało się słyszeć i głośniej było powtarzane. Lamburn wśród nich wyróżniał się najgłośniejszym wołaniem:

— Niech żyje sir Ryszard Varney! Niech będzie zdrow i szczęśliwy sir Ryszard Varney! Nigdy nie pasowano zacniejszego rycerza! — tak przeraźliwie krzyczał, że ci, którzy bliżej niego stali, musieli śmiać się do rozpuku.

Nie jest rzeczą konieczną opowiadać więcej o ucztach i wspaniałych biesiadach tego wieczora, tak świetnych, tak mile przyjętych przez królowę, że Leicester odszedł do

swego pokoju, odurzony chwilowym szczęściem. Varney zmieniawszy wspaniałe szaty na prosty i skromny ubiór czekał na hrabiego, aby go rozebrać.

— Cóż, sir Ryszardzie? — rzekł Leicester z uśmiechem. — Nowo dostąpiona godność nie godzi się z tym poniżającym obowiązkiem.

— Wyrzekłbym się jej, gdybym wiedział, że na jedną chwilę oddali mię od twojej osoby, milordzie.

— Jesteś wdzięcznym sługą, lecz nie pozwolę ci, abyś czynił, co by cię mogło poniżyć w mniemaniu innych.

Varney tymczasem rozbierał hrabiego z taką ochotą i skwapliwością, jak gdyby w pełnieniu tej powinności czuł w rzeczy samej tę rozkosz, jaką wyrażał słowy.

— Nie lękam się złośliwych języków — odpowiedział na uwagę swego pana — ponieważ nie ma nikogo w zamku (pozwól mi odpiąć łańcuch), nie ma, mówię, nikogo, kto by nie był przekonany, aby osoby, których dostojęństwo wyższe jest od stopnia, na który mnie wzniosła twoja łaska, milordzie, nie podjęły się z ochotą pełnić obowiązków twego pokojowego i nie miały sobie tego za honor i szczęście.

— Wszystko być może! — rzekł hrabia z mimowolnym westchnieniem. — Daj mi nocną suknię, Varneyu, spojrzę trochę na niebo, wszak to podobno mamy dziś pełnię.

— Zdaje mi się, że dzisiaj, tak przynajmniej pisze kalendarz.

W pokoju było okno wychodzące na wielki ganek kamienny, a nad nim znajdowała się kopuła, jak zazwyczaj w gotyckich zamkach. Hrabia otworzył okno i wyszedł na otwarte powietrze. Z ganku widać było rozległą przestrzeń jeziora, a za nim lasy, gdzie jasne promienie księżyca spoczywały na niebieskich wodach i odległej masie dębów i wiązów. Księżyc jaśniał wysoko w przestworzu nieba, obsypany dokoła tysiącami drobniejszych światła. Wszystko na ziemi zdawało się zażywać słodkiego spoczynku i nic nie przerywało głębokiej ciszy, chyba czasem wołanie żołnierzy stojących na straży i odległe szczekanie psów obudzonych przygotowaniem czynionymi przez łowczych i dojeżdźczaków do polowania na dzień jutrzejszy. Leicester spojrział na sklepienie niebieskie. Jego postawa i ruchy wyrażały w tej chwili dziwny niepokój, a Varney zostawszy w drugim pokoju widział i cieszył się złośliwie, nie będąc sam, widzianym, że jego pan wyciągał ręce do ciał niebieskich.

— Wy, odległe kręgi żyjącego ognia — mówił przytłumionym głosem Leicester — odbywacie w ciszy wasze tajemnicze obroty, ale mądrość obdarzyła was mową. Powiedzcie mi, jakie przeznaczenie zachowane jest dla mnie? Czy ta wielkość, do której wzdychałem, będzie tak świetna, wyniosła i trwała, jak wy jesteście? Albo czy nie jestem na to przeznaczony, aby błysnąć tylko krótkim i mdłym światełkiem pośród ciemności nocnych i upaść na ziemię jak te ognie sztuczne, którymi ludzie chcieliby naśladować wasze promienie?

Po czym zatopiony w głębokim zamyśleniu objął spojrzeniem sklepienie niebieskie i wszedł do pokoju, gdzie Varney udawał, że jest zajęty układaniem klejnotów.

— Co mówi Alasco o moim horoskopie? — zapytał Leicester. — Już mi raz powiedział, ale mi to wyleciało z głowy, ponieważ nie bardzo wierzę w tę sztukę.

— Inaczej myślało wielu uczonych i wielkich ludzi — odpowiedział Varney — i aby wyznać szczerą prawdę, powiem otwarcie, że jestem ich zdania.

— Tak jak Saul między prorokami? Wiedziałem zawsze, że jesteś sceptykiem we wszystkim, czego widzieć, słyszeć, dotykać, wąchać i kosztować nie możesz, słowem, że cała twoja wiara polega na świadectwie zmysłów.

— Może stałem się łatwowierniejszy w tym wypadku pałając gorącą chęcią, aby przepowiednie astrologa się sprawdziły. Alasco powiada, milordzie, że twoja opiekuńcza planeta doszła do najwyższego punktu wyniesienia, że wrogie wpływy (nie chciał tłumaczyć się jaśniej), chociaż niezupełnie pokonane, jednak znacznie osłabione, ustąpiły przeważającej sile.

— Tak jest! Tak, niezawodnie! — rzekł Leicester spoglądając na astrologiczne zapiski, które trzymał w ręku. — Przemogą mocniejsze wpływy i, jak mi się zdaje, przeminie zła godzina. Pomóż mi zdjąć suknie i zostań, póki spać nie pójdę, jeżeli to nie będzie przykre dla jego rycerskiej mości. Zdaje mi się, że dostałem gorączki z całodziennych trudów, bo krew tak mi pali żyły, jak roztopiony ołów. Zostań na chwilę, proszę cię, mój Varneyu, chciałbym znużyć się, nim zamknę powieki.

Varney pomógł swemu panu rozebrać się i na marmurowym stoliku, stojącym w głowach, postawił srebrną lampę i położył krótki pałasz.

Leicester, czy to chcąc zasłonić się przed światłem lampy, czy też zakryć się przed Varneyem, zasunął firankę tak, że nie było widać jego twarzy. Varney usiadł przy

łóżku, ale odwrócił się od swego pana, jak gdyby chciał mu dać do zrozumienia, że nie miał zamiaru przypatrywać się poruszeniom jego twarzy i czekał spokojnie, póki sam Leicester nie zacznie rozmowy o przedmiocie, który go wyłącznie zajmował.

— Więc, Varneyu — rzekł hrabia po daremnym oczekiwaniu, aby jego dworzanie zaczął pierwszy — ludzie mówią o przychylności królowej ku mnie?

— Jakże, milordzie, o tym nie mówić, co jest potwierdzone tak oczywistym dowodem?

— Doprawdy, dosyć łaskawa jest dla mnie! — rzekł Leicester po pewnej chwili. — Ale napisane jest: nie ufaj panom!

— Dobrze to i prawdziwe zdanie — odpowiedział Varney — ale dla tych tylko, którzy nie umieją połączyć ich interesów ze swymi tak ściśle i nierozdzielnie, jak zakapturzony sokół jest połączony z myśliwcem, u którego siedzi na dłoni;

— Wiem, co chcesz przez to powiedzieć — rzekł Leicester z niecierpliwością — chociaż uważam od kilku już dni, że obwijasz troskliwie każde słówko i wikłasz się mówiąc ze mną, chcesz we mnie wmówić, że gdybym chciał, mógłbym ożenić się z królową.

— To nie ja mówię, ale ty, milordzie, lecz ktokolwiek z nas mówi, to tylko jest rzeczą pewną, że w całej Anglii dziewięćdziesięciu dziewięciu na stu myśli, i mówi o tym.

— Otóż ten setny — rzekł Leicester obracając się na łóżku — lepiej sądzi o rzeczach! Ty na przykład wiesz dobrze o przeszkodzie, której pokonać nie można.

— A którą koniecznie pokonać trzeba, jeżeli gwiazdom wierzyć można — odpowiedział Varney spokojnym głosem.

— Co, ty mówisz o gwiazdach, ty, który ani w gwiazdy, ani w nic na świecie nie wierzysz?

— Mylisz się, milordzie, jeżeli godzi się powiedzieć, wierzę ja niektórym wróżbom przyszłości. Wierzę na przykład, że jeżeli w kwietniu padają deszcze, będziemy mieli kwiaty w maju; jeżeli sprzyja pogoda, zboże prędko dojrzeje, wierzę także w wiele podobnych skutków, które gdyby były przepowiedziane przez gwiazdy, to by mię nakłoniły do zawierzenia gwiazdom. Zgodnie z tą zasadą nie miałbym powodu nie dowierzać temu, co jest przedmiotem życzeń i oczekiwań na ziemi dlatego tylko, że astrologowie wyczytali to w gwiazdach.



— Słusznie mówisz! — rzekł Leicester przewracając się znowu na łożku. — Na ziemi pragną powszechnie tego małżeństwa. Radzą mi i zachęcają do tego reformowane kościoły w Niemczech, Niderlandy, Szwajcaria. Utrzymują nawet, że od tego małżeństwa zależy całość i bezpieczeństwo Europy. Francja sprzeciwić się nie będzie. Przeważająca partia w Szkocji widzi w nim rękojmię swej trwałości. Hiszpania lęka się, ale nie będzie mogła zapobiec. A jednak ty wiesz dobrze, że to rzecz niepodobna.

— Może i nie wiem! — odpowiedział Varney — wszak hrabina chora.

— Nikczemniku! — zawołał Leicester porywając się z łożka i chwytając pałasz ze stołu. — Już o tym zamyślasz! Może chcesz ją zgładzić!

— Czy tak o mnie sądzisz, milordzie! — rzekł Varney przybierając postawę niewinnego człowieka, na którego padło niesłuszne podejrzenie. — Nie powiedziałem nic takiego, z czego by można posądzić mię o tak okropne zamiary. Powiedziałem tylko, że hrabina chora; a hrabina, chociaż tak piękna i godna kochania, nie uniknie pewnie powszechnego prawa, któremu podlegają wszyscy śmiertelni — może umrzeć, a ty milordzie znowu wolny zostaniesz.

— Precz! Precz! — zawołał Leicester. — Nie mów mi o tym!

— Dobranoc, milordzie! — rzekł Varney udając, że brał te słowa za rozkaz odejścia, lecz Leicester go zatrzymał.

— Nie wymkniesz mi się tak prędko, panie rycerzu! — rzekł do niego. — Zdaje mi się, że to rycerstwo zawróciło ci w głowie. Przyznaj, że mówiłeś o niepodobieństwach jak o rzeczach, które mogłyby się ziścić?

— Milordzie, niech hrabina żyje jak najdłużej, lecz ani twoja miłość ku niej, ani moje życzenie nie mogą uczynić jej nieśmiertelną. Niech jej Bóg da jak najdłuższe życie, aby i ciebie uszczęśliwić, i sama mogła zostać szczęśliwa. Nie widzę jednak, dlaczegobyś mimo to wszystko nie mógł zostać królem angielskim.

— Tyś oszalał, Varneyu, to widoczne!

— Niczego bym sobie nie życzył, jak tylko tego, abym tak był pewny obszernego lenna, jak ty, milordzie, korony angielskiej. Czy nie mamy na to licznych przykładów w obcych krajach, że małżeństwo z lewej ręki łączyć może osoby różnego stanu? I nie jest ono żadną przeszkodą mężowi do zawarcia stosowniejszych dla siebie związków.

— Słyszałem o takich małżeństwach w Niemczech!

— A ja słyszałem, że w zagranicznych uniwersytetach najuczeńsi filozofowie usprawiedliwiają takie małżeństwa. A poza tym cóż w tym złego? Piękna towarzyszka, którą sobie wybrałeś z prawdziwej miłości, będzie miała twoje chwile wypoczynku i tkliwego rozczulenia. Jej sława na niczym nie ucierpi; jej sumienie może zasypiać spokojnie; zostawisz dzieciom ogromne bogactwa, jeżeli cię Pan Bóg pobłogosławi potomstwem. Tymczasem będziesz mógł przebywać z Elżbietą dziesięć razy dłużej i okazywać jej dziesięć razy więcej miłości, niżeli don Filip hiszpański okazywał jej siostrze Marii, a wiesz, jak go kochała, chociaż był dla niej oziębły. Potrzeba tylko mieć zamknięte usta i otwarte czoło, a możesz posiadać razem i Eleonorę, i piękną Rozamundę\*/. (\*/ Henryk II, król angielski, oprócz ślubnej żony miał kochankę imieniem Rozamunda.) Ja zaś wynajdę dla niej tak tajemne ustronie, że go nie potrafi odkryć zazdrosne oko królowej.

Leicester zamilkł na kilka chwil, potem westchnął i rzekł:

— To niepodobna! Dobranoc, Varneyu! Lecz zaczekaj! Nie domyślasz się czasem, jaki miał w tym zamiar Tressilian, że stanął przed królową w zaniedbanym ubiorze? Czy nie chciał może rozczulić jej tkliwego serca i wzbudzić w nim litości nad stanem kochanka, który z rozpaczyny dostał pomieszania zmysłów?

Varney tłumiąc w sobie uszczypliwy uśmiech odpowiedział, iż nie spodziewa się, aby coś podobnego przyjść mogło Tressilianowi do głowy.

— Co ty sobie myślisz? Co przez to rozumiesz? — zapytał hrabia z gniewem. — W twoim uśmiechu przebija się zawsze jakaś szyderska uszczypliwość.

— Rozumiem przez to, że Tressilian dobrze sobie poradził, żeby nie umrzeć z żalu. Ma on ze sobą jakąś towarzyszkę, jakąś kobietę, córkę zapewne albo żonę jakiegoś komedianta, która mieszka z nim w wieży Mervyna, gdzie go umieścił dla pewnych wiadomych mi przyczyn.

— Ma ze sobą kobietę? Co ty mówisz? Czy to pewne?

— Tak pewne, jak to, że teraz mamy noc.

— Na honor — odezwał się Leicester — rozpowiem to wszystkim i teraz właśnie jest czas po temu. Nigdy ja nie dowierzałem tym mędrkom ze skrzywioną twarzą i miną obłudną. Dobrze, panie Tressilianie! Rozgość się w moim domu. Jeżeli patrzeć będę

przez palce na te zdrożności, podziękuj za to niektórym wspomnieniom. Jednak, Varneyu, miej pilne oko na niego.

— Dlatego właśnie zostawiłem go w wieży Mervyna, gdzie zostaje pod okiem mego wiernego sługi. Sprawny to człowiek do takiej usługi, szkoda tylko, że się często upija. Jest to ten sam Michał Lamburn, o którym mówiłem kilka razy Waszej Królewskiej Mości.

— Cóż to znowu? Co znaczy ten dodatek?

— Ten dodatek mimowolnie wymyka się przez usta, a brzmienie jego tak wydaje się naturalne, że go cofnąć nie mogę.

— Twoja to godność rycerska tak cię pozbawiła rozumu — rzekł Leicester z uśmiechem — nowe zaszczyty biją do głowy jak młode wino.

— O, gdybyś, milordzie, mógł jak najprędzej powiedzieć to z własnego doświadczenia! — rzekł Varney i życząc swemu panu dobrej nocy wyszedł z pokoju.

## ROZDZIAŁ XV

Oto twa ofiara, dumny zwodzicielu! Jak łania, co gdy ją zewsząd zajadła psiarnia obskoczy, pada pod nogi myśliwca, ten skarbiąc sobie względy pani wysokiego rodu, Diany łowów, podaje jej uprzejmie ostre żelazo, by nim przebiła jej pierś dyszącą.

Leśniczy

Należy nam powrócić teraz do wieży Mervyna, do mieszkania albo raczej więzienia nieszczęśliwej hrabiny Leicester, która przez niejaki czas starała się przytłumić niecierpliwosć i ukoić głęboką żalosć. Wiedziała, że w zgiełku tego dnia wiele musiało upłynąć czasu, nim list jej dostał się do rąk Leicesterera i że niepodobna mu było oderwać się natychmiast od obowiązku służenia Elżbiecie i odwiedzić ją w tajemnym schronieniu.

„Nie powinnam spodziewać się jego przybycia, aż chyba wieczorem — myślała sobie. — Nie będzie on mógł zostawić swego gościa, nawet dlatego, żeby mnie zobaczyć. Wiem, że najpierw do mnie pośpieszy, gdy znajdzie czas po temu, lecz przed wieczorem wyglądać go nie będę.”

A jednak wyglądała co chwila i gdy chciała przekonać się o niepodobieństwie tak wczesnego przybycia, zdawało się jej, że w każdym szeleście, w każdym szmerze, słyszy szybki krok hrabiego, śpieszącego w jej objęcia.

Trudy i niewygody długiej i niebezpiecznej podróży, mocne wzruszenie i stan okropnej niepewności tak ją z sił wyzuły, że zaczęła lękać się, czy będzie miała dosyć mocy do wytrzymania tych cierpień, które na nią jeszcze czekały. Lecz choć pieszczona w dzieciństwie, miała jednak mocną duszę i ciało zahartowane w łowieckich ćwiczeniach, gdyż ojciec często brał ją z sobą na polowanie. Wiedząc dobrze, że jej przyszły los zależał całkowicie od przytomności umysłu i panowania nad sobą, zebrała resztę wycieńczonych sił i prosiła Boga, aby jej dał potrzebną moc ciała i umysłu, czyniąc zarazem mocne postanowienie nieulegania żadnemu wzruszeniu.

A jednak, kiedy wielki dzwon zamkowy, zawieszony na wieży Cezara, niedaleko od Mervyna, zaczął rozsyłać dokoła rozgłosne dźwięki na znak przybycia królowej, każde uderzenie tak było przerażające dla uszu rozdrażnionych długim niepokojem, że

mimowolnie wydała jęk żalony w odpowiedzi na przewlekłe dźwięki bicia dzwonów. Wkrótce potem, gdy małe jej mieszkanie oświetliły płomienie sztucznych ogni, które z nagłą rozbiegły się po niebie, krzyżując się na kształt ognistych, duchów albo salamander, które tańczą w krainie sylfów, zdawało się hrabinie, jakby każda rasa przelatująca przed jej oczyma, pękając, obsypywała ją iskrami i gorącymi żużlami, Ale pokonała te urojone strachy, przymusiła się, by stanąć w oknie i wyrzeć na to świetne widowisko, które w każdej innej okoliczności wydawałoby się straszne i zachwycające. Wspaniałe gmachy zamkowe okryte były wieńcami sztucznych ogni, a powierzchnia jeziora skrzyła się jak roztopione żelazo, gdy tymczasem ognie fajerwerków, wciąż odbijające się w przeciwnym żywiole, wlatywały w górę i z wielkim trzaskiem pękały w powietrzu, wyrzucając z siebie potoki ognia, jak zaczarowane smoki igrające na płonącym jeziorze.

Amelia przypatrywała się kilka chwil z upodobaniem temu widowisku, które było dla niej zupełnie nowe.

— Myślałabym — rzekła do siebie — że to wszystko jest skutkiem czarodziejskiej sztuki, gdyby Tressilian nie nauczył mnie sądzić o rzeczach tak, jakimi one są w istocie. Wielki Boże! Czyż nie są podobne te czcze świetności do moich nadziei? A moje spodziewane szczęście czy nie jest tą iskierką, którą pochłaniają natychmiast otaczające ciemności? I tym płomieniem, który dlatego wyleciał w górę, aby z większej wysokości upaść na ziemię? O! Leicesterze! Po tym wszystkim, coś mi zaprzysiągł, jakże być może, abyś ty był czarnoksiężnikiem, na którego skinienie powstają te cuda, a ta, która była twoją miłością, twoim życiem, patrzyła na nie z więzienia, jakby popełniła jakie przestępstwo?

Tymczasem brzmiała nieprzerwanie muzyka z różnych miejsc i rozmaitych odległości, jakby nie sam zamek Kenilworth, ale i pobliskie okolice obchodziły narodowe święto, a każdy ton wzbudzał w hrabinie równie bolesne uczucia i zdawał się litować nad jej smutkiem. Inne huczniejsze i przeraźliwsze tak tłumnie wpadały w ucho, jakby naśmiewały się z jej niedoli, urągając nieposkromioną wesołością.

„Ta muzyka jest moja — pomyślała sobie — ponieważ on jest jej panem, a jednak nie mogę rozkazać, aby ucichła, ponieważ mi się nie podoba, a przecież najuboższy

kmiotek, zapłaciwszy za taniec, więcej ma władzy nad przygrywającą mu muzyką aniżeli ja, która jestem tu panią wszystkiego."

Na koniec wrzawa umilkła, ucichły wesołe okrzyki i hrabina odeszła od okna, przy którym siedziała przysłuchując się temu wszystkiemu, co się działo w zamku. Była noc, ale księżyc tak jasno oświetlał jej pokój, że mogła poruszać się w nim jak za dnia. Spodziewała się, że Leicester pośpieszy do niej, skoro w zamku ucichną zabawy, a zarazem lękała się, ażeby zamiast niego nie nadszedł kto inny. Nie widząc dla siebie żadnego bezpieczeństwa w zamknięciu się na klucz, ponieważ Tressilian wszedł z taką łatwością, chociaż drzwi były zamknięte ze środka, postawiła stół w progu, aby ją uwiadomił łoskot, gdyby kto próbował wejść. Nieszczęśliwa Amelia obwarowawszy się tym sposobem rzuciła się na łóżko i marząc w niecierpliwym oczekiwaniu nie spała aż do drugiej po północy. Na koniec natura wzięła górę nad miłością, smutkiem i bojaźnią, i Amelia usnęła. Indianin śpi także pośród przerw w okropnych męczarniach, w podobny sposób umysłowe udęczenia przytępiają czucie cierpiącego, a po chwili letargicznego wypocznienia większej jeszcze nabierają mocy.

Hrabina spała przez kilka godzin i śniło jej się, jakoby znajdowała się w Cumnor Place i słyszała cichy gwizd, którym Leicester oznajmiał swoje tajemne przybycie. Lecz zamiast umówionego znaku posłyszała żalony głos trąbki, którym jej ojciec ogłaszał upadek jelenia. Zdawało się jej, że pobiegła do okna wychodzącego na dziedziniec, gdzie ujrzała mnóstwo ludzi w czarnym odzieniu. Stary pleban odprawiał żałobne nabożeństwo, Mumblazen, ubrany jak starodawni heroldowie, niósł tarczę ze zwyczajnymi godłami, kośćmi na krzyż powiązаныmi, trupimi główkami i herbem, nad którym widać było koronę hrabiowską. Starzec spojrział na nią z okropnym uśmiechem i rzekł:

— Amelio! Jakże ci się podobają te godła?

Gdy to mówił, myśliwskie trąbki zagrały znowu pieśń żałobną i wtem ocknęła się.

Usłyszała naprawdę odgłos trąbek, które nie grały pieśni żałobnej, ale wesołą pobudkę, aby dać znać gościom Kenilworthu, że zabawy tego dnia poprzedzi polowanie na jelenie w pobliskiej kniei. Amelia zerwała się z łóżka nadstawiając ucha na przelotne dźwięki, widziała pierwsze promienie letniego słońca zagładające do jej

więzienia i pośród odradzających się udręczeń przypomniała sobie, gdzie była i w jakich znajdowała się okolicznościach.

— Nie myśli o mnie — rzekła do siebie. — Nie przyjdzie mnie odwiedzić. U niego gości królowa, cóż by go obchodzić miało, że jakaś nędzna istota omdlewa w kącie jego ogromnego zamku i wkrótce załamie się pod ciężarem rozpacz?

Wtem dał się słyszeć szelest za drzwiami, jakby ktoś chciał je otworzyć i wejść po cichu. Na ten głos Amelia, przejęta radością połączoną z bojaźnią, odsunęła czym prędzej stół; lecz nim odemknęła, zapytała przez ostrożność:

— Czy to ty, moje życie?

— Tak jest, moja hrabino! — mruknął ktoś za drzwiami. Wtenczas odemknęła drzwi i wołając: „Leicester!” chciała rzucić się na szyję nieznanego.

— Niezupełnie Leicester! — odpowiedział Michał Lamburn, bo on to odwiedził tak rano hrabinę. — Niezupełnie Leicester, moja kochana, droższa nad życie księżniczko, ale równie dobry i uczciwy człowiek.

Natychmiast hrabina wyteżywszy całą siłę, na jaką nigdy zdobyć by się nie mogła w innych okolicznościach, odepchnęła od siebie plugawego opoja i wyrwawszy się z jego rąk cofnęła się w głąb pokoju.

Gdy Lamburn zbliżywszy się do niej spuścił z twarzy połę od płaszcza, poznała w nim niegodziwego sługę Varneya, którego najwięcej się lękała. Widziała nieraz tego niecnotę w Cumnor Place; pokazywała go jej Joasia, gdy przechodził przez dziedziniec i opowiadała straszne rzeczy o jego niegodziwościach. Lecz ponieważ Lamburn widział ją tylko raz jeden, spodziewała się przeto, że jej nie pozna tak łatwo, zwłaszcza że była ubrana po podróżnemu. Mogłaby była z większą ufnością spuścić się na to przebranie, gdyby umiała poznać, że się spił porządnie, lecz to odkrycie nie oddaliłoby od niej obawy niebezpieczeństwa, na jakie narazić ją mogło znajdowanie się sam na sam z takim człowiekiem, w takim miejscu i czasie.

Lamburn zamknął drzwi za sobą i wyciągając do niej ręce, jakby szydził z tej postawy, w jakiej przez roztargnienie wybiegła do niego, tak mówić począł:

— Słuchaj, piękna Kallipolis, księżniczko ciemnych kątów! Jeżeli tak mi pokazywać będziesz pazurki i dziobek otwierać jak ptak drapieżny, ułowiony w sidło, aby większą mi sprawić przyjemność w złowieniu ciebie, pamiętaj, że to się na nic nie przyda.

Obejm mię lepiej za szyję, jakieś pierwej zrobiła; to mi się bardziej podoba, a tej twojej skromniutkiej minki tak nie lubię jak przeklętej podłogi, po której człowiek, żeby sobie karku nie skręcić, tak prosto chodzić musi, jak skoczek po wyciągniętej linie.

— Precz ode mnie! Nie zbliżaj się! — zawołała hrabina — Jeżeli ci życie miłe!

— Patrzaj! I grozić umie! Potrafiłażbyś, moja panienko, znaleźć dla siebie lepsze towarzystwo niż Michała Lamburna? Ja byłem w Ameryce, moja dziewczeczko, gdzie złoto rośnie jak trawa i przywiozłem z sobą ot! tak wielką sztukę złota!

— Proszę cię, mój przyjacielu, daj mi pokój i idź sobie z Bogiem! — rzekła hrabina wystraszona śmiałością tego hultaja.

— I tak myślę zrobić — odpowiedział Lamburn — skoro sprzykrzemy się sobie, ale nie wprzód, za to ci ręczę!

I porwał ją za rękę, podczas gdy Amelia, niezdolna już bronić się, krzyczała tylko przeraźliwym głosem.

— Wrzeszcz sobie, jak ci się podoba — rzekł Lamburn trzymając ją mocno. — Słyszałem ja głośniejszą burzę na morzu i tyle mnie obchodzi krzyk kobiety co miauczenie kota. Niech mię diabli porwą, jeżeli nie słyszałem stu kobiet wyjących razem, kiedy braliśmy miasto szturmem.

Tymczasem dozorca Staples posłyszawszy krzyk na górze przybiegł z niespodziewaną pomocą, a przybycie jego to sprawiło, że hrabina nie została poznana, a może nawet wybawiło ją od haniebnej sromoty. I on także był pijany po całonocnej hulance, ale na szczęście jego pijaństwo odmienny miało charakter od bezczelnej natrętności Lamburna.

— Co znaczy ten hałas w moim więzieniu? — rzekł dozorca. — Kobieta z mężczyzną w jednym pokoju? O tej porze? To przeciwko obyczajności! Na świętego Piotra w okowach, nie ścierpię tego zgorszenia!

— Idź sobie, skądś przyszedł, bezczelny opoju! — rzekł Lamburn. — Nie widzisz, że ja i ta kobieta chcemy być sam na sam?

— Łaskawy panie! Zacny panie! — rzekła hrabina do dozorca więzienia. — Wybaw mię od tego człowieka, wybaw przez litość!

— Dobrze mówi — rzekł dozorca — ujmę się za nią, bo kocham moich więźniów, a miałem pod moim kluczem równie dobrych, a może i lepszych jeszcze od tych, którzy



siedzą w Newgate albo innych londyńskich więzieniach. A tak, ponieważ ona jest moim jagnięciem, jak mam zwyczaj mówić, ujmę się za nią i nie pozwolę, żeby ją kto krzywdził w mojej owczarni. Proszę cię, Michałku, daj jej pokój, albo ci łeb rozwalę moimi kluczami!

— Prędeż ja rozplątam cię na dwoje: — zawołał Lamburn, sięgając lewą ręką do pałasza, a prawą trzymając hrabinę. — Wara, ty stary strusiu, co karmisz się tylko żelaznymi kluczami!

Staples zatrzymał rękę Michała i nie pozwolił mu dobyć pałasza, a gdy Lamburn wstrząsnął się i chciał go odepchnąć, hrabina tymczasem wyteżyła ostatnie siły i wyrwawszy rękę z rękawiczki, która została u Lamburna, wybiegła z pokoju i zbiegając na dół po schodach usłyszała, że dwaj zapaśnicy zwalili się na podłogę, co jeszcze podwoiło jej przestrasz. Nie spotykając żadnej przeszkody w ucieczce przemknęła się śpiesznie przez dziedziniec, zmierzając do ogrodu, gdzie spodziewała się znaleźć dla siebie bezpieczniejsze schronienie.

Tymczasem Staples i Lamburn tarzali się po podłodze. Szczęściem dla nich żaden nie zdołał dobyć sztyletu, lecz dozorca zamachnąwszy się raptownie uderzył w łeb kluczami swego nieprzyjaciela, a Michał ze swojej strony tak mocno zdusił za gardło dozorcę, że mu krew puściła się ustami i nosem. Gdy tak obaj pasowali się i złorzeczyli sobie nawzajem, nadbiegł na ten hałas jeden z urzędników dworu, zastał ich obu pokrwawionych i z niemałą trudnością rozbroił walczących.

— Żeby was piorun trzasł! — rzekł litościwy pośrednik. — A osobliwie ciebie, panie Michale! — O co to wam poszło? Czego gryziecie się tutaj jak psy w jatkach?

Lamburn powstał i zawstydzony nieco tym pośrednictwem spojrział na niego bez zwyczajnej sobie beczelności.

— Bijemy się o kobietę, kiedy chcesz wiedzieć! — brzmiała jego odpowiedź.

— O kobietę? A gdzież ta kobieta?

— Gdzie? Uciekła zapewne, jeżeli jej nie zjadł Staples, bo on już pożarł tyle biednych panierek i opuszczonych sierot, ile może żaden olbrzym za czasów króla Artura. Lubi on takie przysmaczki i pochłania je żywcem z duszą i z ciałem.

— Nie o to idzie! — rzekł dozorca podnosząc się. — Miałem ja pod moim kluczem nie takich już ludzi, panie Michale i przysięgam, że i ciebie jeszcze mieć będę. Nie

zawsze to uda się twojej bezczelności wybawić się od żelaznych kajdanek i konopnego postronka.

Zaledwie to wyrzekł, Lamburn znowu chciał się porwać na niego.

— Dajcież pokój — rzekł pośrednik — bo zawołam tego, który was obu uspokoi. Poproszę pana Ryszarda Varneya. Już on wstał. Widziałem go na dziedzińcu.

— Czy widziałeś go doprawdy? — zapytał Lamburn biorąc miednicę z kubkiem. — Kiedy tak, trzeba się umyć. Do stu diabłów! Myślałem, że już nie będę miał nigdy do czynienia z tym żywołem po wczorajszej żegludze, kiedy udawałem Oriona i pływałem po jeziorze jak korek na beczce.

Po czym zaczął ocierać z twarzy świeże ślady gwałtownej utarczki i poprawiać rozczochrane włosy. — Cóżes mu zrobić? — rzekł po cichu pośrednik do dozorca więźniów. — Jego twarz okropnie nabrzękła.

— Ja go tylko dotknąłem kluczami — i tak dosyć zaszczytu dla twarzy tego niegodziwca. Nie pozwolę ja nikomu krzywdzić moich więźniów. Są to moje klejnoty i dlatego zamykam je w bezpiecznej skrzynce. Ująłem się za toba, moja panienko, przestań już wrzeszczeć. — Ale gdzież ona? Tu była jakaś kobieta, gdzie się ona podziała?

— Zdaje mi się, żeście obaj od rozumu odeszli, moi panowie. Nie widziałem tu żadnej kobiety, żadnego człowieka, mówiąc ściśle, ale tylko dwie bezrozumne bestie, tarzające się po podłodze.

— Kiedy tak, jestem zgubiony! Na wieki zgubiony! — zawołał dozorca. — Odbite więzienie! Więzienie Kenilworthu odbite! Najpewniejsze w całym kraju więzienie, w którym hrabiowie, książęta i królowie nawet zasypiali tak spokojnie jak w wieży londyńskiej! Wysadzono drzwi, rozkuto kajdany, puciekali więźniowie, a dozorca ich pewno już pójdzie na szubienicę! Przepadłem na wieki!

To powiedziawszy poszedł do swej izby dokończyć lamentów albo wytrzeźwieć we śnie. Lamburn i pośrednik szli za nim krok w krok i dobrze zrobili, ponieważ dozorca więźniów miał już zamknąć drzwi za sobą z prostego przyzwyczajenia i gdyby nie pośpieszyli za nim albo nie potrafili mu się oprzeć, musieliby siedzieć w pokoju, z którego uciekła hrabina.

Nieszczęsna Amelia schroniła się do ogrodu. Widziała z okna to rozkoszne miejsce i uciekając myślała sobie, że pośród gajów, grot i pomników znajdzie schronienie, gdzie będzie mogła ukrywać się, póki przypadkiem nie zjawi się obrońca, któremu by mogła powierzyć się i który by dopomógł jej pomówić z mężem.

„Gdybym mogła zobaczyć mego przewodnika — myślała sobie — wiedziałabym, czy oddał mój list, czy też go zatrzymał przy sobie. Gdybym nawet mogła zobaczyć Tressiliana, wolałabym narazić się na gniew Dudleya powierzając całe moje położenie człowiekowi pełnemu honoru aniżeli czekać, rychło mnie znowu napadną zuchwali służalcy tego okropnego zamku. Nie odważę się już teraz powrócić do mego mieszkania! Wolę tu czekać, tu wyglądać będę, czy pośród tylu istot ludzkich nie znajdzie się jaka dusza miłosierna, która by ulitowała się nad moją niedolą.”

Wiele osób wchodziło i przechadzało się po ogrodzie, ale żadna z nich nie szła pojedynczo. Podzielone na nieliczne grupki, albo się bawiły śpieszną przechadzką, albo opowiadaniem wesołych zdarzeń dnia wczorajszego.

Ustronie, w którym hrabina obrała sobie schronienie, mogło ją zasłonić przed wzrokiem przechodzących osób. Łatwo jej było skryć się w głębi grotu, przedzielonej strumieniem, albo też ukazać się samotnemu wędrowcy, którego ciekawość mogła sprowadzić do tego romantycznego miejsca. Przewidując ten ostatni przypadek przejrzała się w jasnym zwierciadle cichego strumienia i przerażona własnym obrazem zaczęła lękać się, aby która kobieta (gdyż tylko od płci swojej spodziewała się litości), zaczęła lękać się, aby która kobieta, powtarzam, chciała wdać się w rozmowę z tak dziwną i podejrzaną istotą. Zastanawiając się nad tym wszystkim jak kobieta, dla której własna powierzchowność nigdy prawie nie jest przedmiotem nie zasługującym na uwagę, i jako piękność ufna w swe wdzięki zdjęła podróżną suknię i szeroki kapelusz i położyła na boku, tak jednak, że je znowu nałożyć mogła, gdyby kto zbliżył się do grotu. Ubiór, jaki miała pod spodem, był nieco teatralny, właściwy komediantkom, które miały występować na scenie w czasie pobytu królowej w Kenilworth. Wayland wystarał się dla niej o te suknie w drugim dniu podróży przekonawszy się zaraz po wyjeździe z Cumnor Place, że przebrana za komediantkę będzie mogła bez żadnego niebezpieczeństwa dostać się na przeznaczone miejsce. Strumień służył jej za zwierciadło i naczynie do umycia. Amelia szybko zrobiła

poranną toaletę i wzięwszy w rękę pudełko z klejnotami, które teraz mogły jej być użyteczne jako środki wykupienia się od napaści łotrów, usunęła się w najciemniejszy kącik swego ustronia, usiadła na kamieniu porośłym mchem i postanowiła czekać, póki los nie nadarzy jej sposobności ratowania się albo nie sprowadzi jakiego obrońcy.

## ROZDZIAŁ XVI

Czyście widzieli trwożnego gołębia.  
Co czując blisko szelest piór jastrzębia  
Bronić się słaby, uciekać nieśmiały,  
Ku ziemi tylko tuli się struchlały?

Prior

Zdarzyło się tego pamiętnego poranku, że z całego myśliwskiego orszaku królowa dziewczica, dla której wynajdywano te rozmaite rozrywki, najwcześniej wstała i wyszła w łowieckim ubraniu. Ledwo przestąpiła próg swego pokoju, a już Leicester, nie wiadomo, czy przypadkiem, czy też skutkiem dworności i chęci służenia nieodstępnie swej pani, zabiegł jej drogę i zapytał, czyby nie raczyła przejść się po ogrodzie, nim zostaną poczynione wszystkie przygotowania do łowów?

Królowa na to zezwoliła chętnie i wsparłszy się na ramieniu Leicestera udała się do ogrodu. Niewiasty z jej orszaku, wszystko osoby roztropne albo raczej tak działające, jak chciały, by z nimi postępowano, nie uważały za powinność iść w ślad za królową. Mając ją tylko na oku szły opodal, tak iż nie mogły ani słyszeć, ani przerywać jej rozmowy z ulubionym hrabią, który był nie tylko gospodarzem, ale oprócz tego miał u niej wielkie zaufanie, szacunek i łaskę. Podziwiała wdzięki i wspaniałą postawę tej dostojnej pary w myśliwskim ubiorze, który co do bogactwa i przepychu nie ustępował w niczym wczorajszym pokojowym szatom.

Myśliwski ubiór Elżbiety z błękitnej jedwabnej materii, obsyty srebrnym galonem, podobny był w kroju do ubioru starożytnych amazonek i dlatego pasował dobrze do jej słusznego wzrostu i okazałej postawy, które zmęźniało przez dumę i nałóg panowania nie mogły wydać się korzystnie w niewieścim ubraniu.

Leicester miał myśliwski ubiór z zielonego sukna przetykany złotem i bogaty pas, na którym wisiała trąbka i kordelas zamiast pałasza. Ten strój tak zdobił Leicestera jak te, w których wstępował na pokoje królewskie albo wojskowe popisy, bo tak kształtną miał powierzchowność, że cokolwiek wziął na siebie, zawsze wydawał się najpiękniejszy.

Rozmowa Elżbiety z ulubionym hrabią nie zachowała się do naszych czasów w całości. Lecz te, które szły za nią (a oczy dworaków i dworek są bardzo bystre i przenikliwe), utrzymywały później, że nigdy jeszcze okazała i wyniosła postawa Elżbiety ani tak prędko, ani tak łatwo nie rozplynęła się w tkliwych oznakach przywiązania i miłości. Jej krok nie tylko był powolny, ale nawet nierówny i przerywany, czego nigdy nie widziano w jej zwyczajnym chodzie. Wzrok miała zwrócony na ziemię i znać było z zewnętrznych poruszeń, że chciała oddalić się od swego towarzysza; ale te zewnętrzne poruszenia często oznaczają u kobiety chęć przeciwną życzeniu ukrytemu w najgłębszych tajnikach serca. Hrabina Rutland, która ośmieliła się przystąpić bliżej, mówiła potem, że spostrzegła nawet łzę w oku i rumieniec na twarzy Elżbiety. — Jej Królewska Mość spuściła oczy dla uniknięcia moich — dodawała hrabina — ta, której wzrok zazwyczaj mógłby lwa przestraszyć. — Łatwo każdy domyśli się, do jakich wniosków prowadziły te objawy i może nawet czyniono je nie bez pewnego uzasadnienia

Tajemna rozmowa między dwiema osobami różnej płci nieraz stanowi o ich losie i dalej częstokroć prowadzi, niżeli sobie życzyły albo spodziewać się mogły. Zrazu zalotność miesza się do rozmowy, później tkliwe uczucia, na koniec miłość łączy się z zalotnością. W takich chwilach próby i doświadczenia wielcy panowie równie jak pasterze mówią więcej niż sobie postanowili, a królowe, jak wiejskie dziewczęta, dłużej słuchają niż powinny.

Tymczasem na dziedzińcu rżały konie i gryzły z niecierpliwością wędzidła, czekały psy, a łowczy i dojeżdżacze narzekali, że opadnie rosa, nim wybiorą się na polowanie, w obawie, że psy bałamucić się będą po dawnych tropach.

Ale Leicester miał inne polowanie w głowie albo raczej dał się wyciągnąć na nie jak zagorzały myśliwiec, co śpieszy za głosem psów, które przypadkiem przebiegły mu przez drogę. Królowa, kobieta obdarzona najpiękniejszymi przymiotami ciała i umysłu, chluba i ozdoba Anglii, nadzieja Francji i Holandii, postrach Hiszpanii — słuchała zapewne z większym niż zazwyczaj upodobaniem tych wyrazów i romantycznej zalotności, a hrabia czy to przez próżność, czy też powodowany dumą albo tymi obydwojema uczuciami, musiał dobierać zapewne coraz słodszych słów, aż w końcu jego rozmowa stała się natrętnym wyznaniem miłości.

— Nie! Dudleyu! — rzekła Elżbieta przerywanym głosem. — Nie! Ja muszę zostać matką mojego ludu. Związki uszczęśliwiające młodą dziewczynę zrodzoną w niższym stanie są wzbronione dla królowej. Nie, Leicesterze, nie nastawaj więcej na mnie. Gdybym mogła tak jak inne szukać mego szczęścia, wtenczas niezawodnie!... Ale to być... nie może! Odłóż polowanie, przynajmniej na pół godziny i zostaw mnie samą.

— Zostawić cię, pani? Miałażby cię moja śmiałość obrazić?

— Nie, Leicesterze, wcale nie! Lecz to są szalone zamiary, nie wspominaj mi o nich. Zostaw mnie, lecz nie odchodź daleko i nie pozwalaj nikomu przerywać mojej samotności.

Dudley skłonił się nisko; odszedł smutny i zamyślony. Królowa spoglądając za nim rzekła do siebie:

— Gdyby to było możliwe... gdyby tylko było możliwe! Lecz nie, Elżbieta nie powinna być żoną; może być tylko matką narodu angielskiego.

To mówiąc do siebie i chcąc uniknąć spotkania z osobami przechadzającymi się po ogrodzie, zawróciła ku grocie, gdzie ukrywała się jej nieszczęśliwa rywalka.

Choć nieco wzruszona przerwana rozmową, miała Elżbieta mocny charakter, który wzruszony jakąś gwałtowną namiętnością wkrótce odzyskuje naturalną dzielność. Palec Kupida mógł poruszyć jej uczucia, ale siła Herkulesa nie zdołała zerwać równowagi. Gdy szła wolnym krokiem, zanim stanęła w środku groty, wzrok jej odzyskał już dawną wspaniałość, jej postawa wyniosłą powagę.

Nagle królowa spostrzegła jakąś niewiastę stojącą obok alabastrowej kolumny, przy której płynął przejrzysty strumień, oświetlany mdłym światelkiem, rozlanym po całej grocie. Klasyczna imaginacja Elżbiety nasunęła jej historię Egerii i Numy, i zdawało się, że jakiś włoski snycerz umieścił tu statuę nimfy, której natchnienia nadały prawa Rzymowi, lecz w miarę jak się zbliżała, zaczęła wątpić, czy to był martwy posąg, czy też żywa niewiasta.

Nieszczęśliwa Amelia stała jak wryta, wahając się między chęcią odkrycia swego położenia przed osobą swojej płci a bojaźnią, jaką była przejęta na widok wspaniałej niewiasty zbliżającej się do niej, bo chociaż nigdy w życiu nie widziała królowej, zaczęła jednak domyślać się, że to ona być musiała.'

Powstawszy z kamienia zrobiła kilka kroków w celu przemówienia do nieznanym, ale gdy sobie przypomniała, że Leicester lękał się tyle razy, aby królowa nie dowiedziała się o ich tajemnym związku i coraz mocniej przekonywać się zaczęła, że osobą, która stała przed nią, była sama Elżbieta, zatrzymała się znowu blada jak alabaster, na którym była oparta. Jej suknia ciemnozielonego koloru, zaledwie widoczna przy bladym świetle, podobna była do ubioru greckiej nimfy, gdyż Wayland sądził, że w takim ubraniu najłatwiej będzie mogła zmieszać się z tłumem licznie zgromadzonych kuglarzy, aktorów i komediantek, i że przez nikogo nie zostanie poznana. Ta okoliczność, a nade wszystko blade lica i niepewne spojrzenie zbliżającej się istoty utwierdziły królowę w powziętym o niej sądzie.

Zatrzymała się przeto i spojrzała na mniemaną Najadę tak przenikliwym wzrokiem, że zdziwienie, w jakim dotąd trwała Amelia, ustąpiło uszanowaniu połączonemu z bojaźnią. Spuściła oczy i schyliła głowę nie mogąc znieść nakazującego spojrzenia królowej.

Z ubioru i skrzyneczki w ręku wносиła Elżbieta, że ta niema piękność była jedną z aktorek, rozstawionych po różnych miejscach dla złożenia jej niespodziewanego hołdu i że biedna komediantka zastraszona jej obecnością albo zapomniała swej roli, albo do wypowiedzenia jej nie miała dosyć odwagi. Chcąc ją przeto ośmielić, rzekła do niej łagodnym głosem.

— Dlaczegoż, piękna nimfo, dajesz się pokonać tej czarownicy, którą ludzie nazywają bojaźnią? Jesteśmy jej głównymi nieprzyjaciółmi i chcemy zniweczyć jej uroki. Mów, rozkazujemy ci!

Hrabina zamiast odpowiedzi upadła na kolana wyciągając złożone ręce i podnosząc oczy, które tak okropną wyrażały rozpacz, tak tkliwie błagały o litość, że Elżbieta nie mogła opanować mimowolnego wzruszenia.

— Co to znaczy? — rzekła do niej. — Zdaje mi się, że jesteś bardziej przerażona aniżeli zmieszana naszą obecnością. Wstań i powiedz, czego potrzebujesz?

— Twojej opieki, pani! — wyjąkała nieszczęśliwa Amelia.

— Każda córka Anglii może być jej pewna, skoro zasługuje na nią, lecz twoje nieszczęście zdaje się mieć ważniejszą przyczynę od zapomnienia naznaczonej ci roli. Dlaczego i w czym żądasz naszej opieki?



Amelia starała się śpiesznie przypomnieć sobie, co należało odpowiedzieć, aby i siebie ocalić, i męża nie narazić na niebezpieczeństwo, a przechodząc od jednej myśli do drugiej wśród tłumu powikłanych wyobrażeń, to tylko zdołała odpowiedzieć zająkłym i przerywanym głosem na powtórzone pytanie:

— Nie wiem, niestety!

— Tyś oszalała, dziewczyno! — rzekła z niecierpliwością Elżbieta, gdyż wielkie pomieszanie błagającej o pomoc zaostrzyło jej ciekawość i wzbudziło przychylnie ku niej uczucia.— Chory winien powiedzieć doktorowi, co go boli, jeżeli chce wyzdrowieć. Wreszcie nie lubimy powtarzać kilka razy naszych pytań i nie odbierać na nie żadnej odpowiedzi.

— Proszę! Błagam! — rzekła nieszczęśliwa hrabina lęklwym i rozżalonym głosem.

— Błagam o wsparcie i pomoc przeciwko... przeciwko Varneyowi! — I tu umilkła, wymówiwszy owo fatalne nazwisko, królowa jednak natychmiast zapytała :

— Co? Varney! Sir Ryszard Varney, dworzanin lorda Leicestera? Cóż zaszło między wami, dziewczyno?

— Byłam jego niewolnicą... on nastawał na moje życie, jam się wymknęła i przyszła...

— I przyszłaś szukać mej opieki. Będiesz ją miała, jeżeli tylko jesteś jej godna. Rozpoznajmy tę sprawę w najdrobniejszych szczegółach. Ale już domyślam się — rzekła spoglądając na hrabinę tym wzrokiem, co zdawał się wciskać w najskrytsze tajniki serca — ty jesteś Amelia, córka Hugona Robsart z Lidcote Hall!

— Przebacz mi, ach, przebacz, miłościwa pani! — zawołała hrabina padając znowu na kolana.

— Cóż ci mam przebaczyć, opętana dziewczyno? Że jesteś córką swego ojca? Musisz cierpieć na obłąkanie umysłu, nie inaczej. Czy mam wydobywać z ciebie stopniowo twoje skargi? Tyś oszukała swego starego ojca, twój wzrok dowodzi tego, tyś zrobiła sobie igraszkę z pana Tressiliana, twój rumieniec przekonywa mię o tym, i oddała rękę Varneyowi!

Amelia zerwała się na nogi i zawołała mocniejszym głosem:

— Nie, pani! Nie! Boga biorę za świadka, że nie jestem tak podłą istotą, nie jestem żoną tego ohydneho służalca, tego rozmyślnego zbrodniarza — nie jestem żoną Varneya! Prędzej bym została oblubienicą szatana!

Królowa zmieszana gwałtownością hrabiny zamilkła na chwilę, potem rzekła:

— Pan Bóg z tobą, kobieto! Widzę, że umiesz żywo i dobitnie tłumaczyć się, gdy trafisz na zajmujący cię przedmiot. Powiedz mi — dodała nakazującym tonem, bo jakieś uczucie zazdrości i podejrzania, że ją oszukać chciano, podwoiły jej ciekawość — powiedz mi, na miłość Boga, kto jest twoim mężem albo kochankiem? Ja muszę to wiedzieć. Wyznaj mi szczerze prawdę, bo lepiej ci lwa rozdrażnić niż żartować z Elżbiety.

Przywiedziona do tej ostateczności, doprowadzona jakąś niepokonaną siłą na brzeg przepaści, którą widziała a której uniknąć nie mogła, zatrwożona usilnym naleganiem i groźną postawą obrażonej monarchini, Amelia rzekła na koniec z rozpaczą :

— Hrabia Leicester wie o tym wszystkim!

— Hrabia Leicester? — zawołała królowa z wielkim zdumieniem. — Hrabia Leicester? — powtórzyła wybuchając gniewem. — Kobieto! Tyś tu umyślnie wysłana! Ty go oczerniasz! On nie wdaje się z podobnymi tobie. Zapłacono ci zapewne dla rzucenia potwarzy na szlachetnego lorda, najdostojniejszego w całej Anglii. Lecz choćby był naszą prawą ręką, a nawet czymś droższym dla nas, wysłucham cię i to w jego obecności. Chodź ze mną... chodź ze mną natychmiast!

Amelia wzdrygnęła się z przestachu i cofnęła w tył. Królowa biorąc to za jawny dowód wykroczenia zbliżyła się śpiesznie, wzięła ją za rękę i opuściwszy grootę szła żywym krokiem przez aleje parku, prowadząc przełęczoną hrabinę, która trzymana za rękę zaledwie mogła za nią nadążyć.

Otaczało podówczas Leicestera świetne grono panów i liczny orszak niewiast, czekających pod arkadą na rozkazy królowej w sprawie zbliżającego się polowania. Można łatwo wyobrazić sobie, jakie było ich zdziwienie, gdy zamiast wspaniałej postawy i miarowego kroku, właściwego Elżbiecie, spostrzegli ją tak śpiesznie idącą, że zaledwie ją ujrzeli, już była między nimi.

Ujrzeli oni z niemałym przestachem, że jej twarz pałała gniewem i pomieszaniem, że się rozpuściły jej włosy od śpiesznego chodu, że się iskrzyły jej oczy jak w owych chwilach, kiedy wstępował w córkę duch Henryka VIII. Jakież było ich zdziwienie, gdy spostrzegli bladą, bezsilną i na pół martwą, ale zawsze piękną kobietę, którą królowa trzymała jedną ręką, oddalając drugą panie i panów cisnących się do niej.

— Gdzie jest lord Leicester? — zapytała tonem, który przejął mimowolnym strachem dworzan. — Proszę tutaj, milordzie!

Gdyby w południe pięknego pogodnego dnia letniego, kiedy wszystko tonie w ciszy i spokoju, spadł piorun z błękitu nieba i rozpruł ziemię pod nogami wędrowca, nie spoglądałby on z większym zadziwieniem na dymiącą przed sobą rozpadlinę niż Leicester na ten niespodziewany widok.

W tej właśnie chwili, z udaną skromnością i zdziwieniem, że nie rozumie, o co chodzi, przyjmował od dworaków na pół wymówione, na pół ukryte powinszowania najwyższych względów królowej, doznanych tego poranku, dając mu do zrozumienia, że wkrótce z równego im wyniesie się nad nich i zostanie ich panem. A gdy jeszcze drżał na jego ustach tłumiony uśmiech, którym chciał okazać, że wmawiano w niego to, do czego się bynajmniej nie poczuwał, nagle królowa wpadła w sam środek licznego orszaku i trzymając jedną ręką bladą i prawie konającą jego żonę, drugą pokazując ją mężowi, rzekła tonem, który odbił się o jego uszy jak odgłos trąby mającej wezwać żywych i umarłych na sąd ostateczny:

— Znasz tę kobietę, hrabio?

Jak na głos ostatecznej trąby potępiony błagać będzie górę, aby zwała się na jego głowę, tak Leicester pragnął w duszy, aby wspaniała arkada, którą wybudował, runęła w mocnych wiązaniach i zagrzebała go w swych gruzach. Lecz kamień był głuchy na jego prośby i sam dumny założyciel budowy, jakby, tłoczony do ziemi jakąś nieodpartą siłą, upadł na kolana i uderzył czołem o marmur, na którym stała królowa.

— Leicesterze! — rzekła Elżbieta głosem drżącym od gniewu. — Czy mogłam się kiedy spodziewać, że mnie chcesz podejść tak podłym podstępem?... że mnie oszukujesz... mnie, twoją panią i zbyt ufną przyjaciółkę? Nie potrzeba tu żadnego dowodu, twoje pomieszenie jest najlepszym świadectwem. Drzyj, podły i fałszywy człowieku, bo przysięgam na wszystko, co najświętsze, że wisi nad tobą ta sama kara, jaka spadła na głowę twojego ojca!

Leicester nie miał tej mocy, jaką daje niewinność, ale jego duma dodała mu odwagi. Podniósł oczy, w których malowała się walka rozmaitych namiętności i to tylko odpowiedział:

— Moja głowa nie może spaść, chyba za wyrokiem równych mi ludzi! Przez nich chcę być sądzony, nie zaś przez królowę, która tak nagradza wierne usługi.

— Milordowie! — rzekła Elżbieta spozierając dokoła. — Szydzą z nas! Uragają w tym samym zamku, który nadaliśmy temu dumnemu człowiekowi! Milordzie Shrewsbury! Jesteś marszałkiem Anglii, każ go wtrącić do więzienia jako oskarżonego o zbrodnię obrazy majestatu.

— O kim to mówi Najjaśniejsza Pani? — rzekł Shrewsbury nadchodząc na tę scenę.

— O kimże innym, jak nie o tym zdrajcy Dudleyu! Kuzynie Hunsdon, każ tu stanąć naszej nadwornej straży, niech go natychmiast odprowadzi do więzienia. Idź, rozkazuję ci!

Hunsdon, stary żołnierz, który pokrewieństwu z domem Boleynów zawdzięczał swobodę mówienia czasem prawdy królowej, rzekł ze śmiałą otwartością:

— Tak jest, pani! A jutro Wasza Królewska Mość odeślesz mnie do wieży londyńskiej za to, że się pośpieszyłem z wykonaniem tego wyroku. Proszę o chwilę cierpliwości.

— Cierpliwości? — zawołała królowa. — Słowo to nie ma u mnie znaczenia. Czy wiesz, jaką on zbrodnię popełnił?

Tymczasem Amelia przyszedłszy cokolwiek do przytomności, widząc, że na jej męża spadnie cały ciężar gniewu królowej, z obawy o niego darowała mu swe krzywdy i cierpienia, O! Ileż to kobiet uczyniło już to samo? — I rzucając się do nóg Elżbiety, i podejmując jej kolana zawołała słabym głosem:

— Miłościwa Pani! On nic nie winien, nikt nie obwinia hrabiego Leicestera!

— Jak to? Czyż nie mówiłaś mi sama, że hrabia Leicester wie o wszystkim?

— Ja to powiedziałam? — rzekła nieszczęśliwa Amelia nie pomnąc na to, co wprzód powiedziała i o własne nie dbając bezpieczeństwo. — O, jeżelim to powiedziała, tom czarną potwarz rzuciła na niego! Świadczę się Bogiem, że Leicester nie wpływał w niczym na wyrządzoną mi krzywdę!

— Kobieto! — rzekła Elżbieta. — Dowiem się ja, kto cię namówił do tego, albo mój gniew pochłonie cię jak płomień słomkę w rozpalonym piecu.

W chwili tej pogroźki opiekuńczy geniusz Leicestera przywołał dumę na pomoc i wytknął mu w oczy tę podłość, jaką by się okrył w oczach całego świata, gdyby dla ocalenia siebie chciał korzystać z heroicznego poświęcenia swej żony i w nagrodę za

jej dobroć wystawił ją na niechybną zemstę królowej. Podniósł już głowę i chciał, jak przystało na uczciwego człowieka, odkryć swoje tajemne małżeństwo i ogłosić się w obliczu wszystkich obrońcą hrabiny; wtem Varney, jakby przydany swemu panu za złego ducha, przybiegł skądś zasapany, rozczochrany i ubrany nieporządnie.

— Czegóż chce ten człowiek? — zapytała Elżbieta.

Varney udając wstyd i żal głęboki rzucił się do nóg królowej. — Przebacz! Przebacz mi, Najjaśniejsza Pani — zawołał — albo niech twój gniew na mnie tylko spadnie, ale nie potępiaj mego niewinnego, szlachetnego, dostojnego pana!

Skoro Amelia klęcząc jeszcze ujrzała obok siebie człowieka, który w jej pojęciu był najgorszym z ludzi, zerwała się natychmiast i chciała podbiec do Leicestera, ale ją zatrzymało pomieszanie i bojaźliwe spojrzenie hrabiego, przerażonego nagłym przybyciem Varneya, który zaczął nową scenę. Cofnęła się, jęknęła słabym głosem i prosiła królowej, aby ją kazała wtrącić do najgłębszego więzienia i postąpić jak z największym zbrodniarzem... — Tylko — dodała — oddal mię od tego człowieka, którego obecność wtrąci mię w zupełny obłęd! Każ mi oddalić się, niech nie patrzę na tego bezbożnika, niech głosu jego nie słyszę!

— Powiedz, moje serce — rzekła królowa tknięta na nowo uczuciem litości — powiedz, cóż ci zrobił złego ten rycerz?

— O, wszystko złe on mi zrobił; zrobił to, czego żadnym językiem wypowiedzieć nie można! On zasiał niezgodę tam, gdzie powinien był panować wieczny spokój. Oszaleję, powiadam, jeżeli mi przyjdzie dłużej patrzeć na niego!

— Zdaje się, jak gdybyś i bez tego cierpiała na obłąkanie — rzekła królowa. — Milordzie Hunsdon, weź tę kobietę pod swoją opiekę i osadź w bezpiecznym i porządnym miejscu, niech tam czeka, póki nie każemy jej stanąć przed nami.

Kilka niewiast z orszaku królowej, czy to litując się nad opłakanym stanem tej nieszczęśliwej istoty, czy też z innej jakiejś przyczyny, ofiarowało się ją doglądać, ale królowa odpowiedziała im w krótkich słowach.

— Wybaczcie mi, moje panie! Macie wy wszystkie, Bogu dzięki, delikatny słuch i niespokojne języki. Nasz Hunsdon ma tępy słuch i język trochę cierpki, ale nie szczebiotliwy. Hunsdonie! Pamiętaj, żeby nikt z nią nie mówił!

— Najświętsza Panno — rzekł Hunsdon biorąc w mocne i kościste ręce omdlewającą hrabinę — jakie to miłe dziecko! A chociaż mamka wybrana dla niego przez Waszą Królewską Mość jest trochę za sroga, nie będzie ono płakało na nią, jak się spodziewam. Nic się jej złego nie stanie. Będzie bezpieczna ze mną, jak gdyby była moją córką.

To mówiąc wziął z sobą nieszczęśliwą hrabinę odchodzącą prawie od zmysłów. Gdy szli przez ogród, jej czarne warkocze mieszały się z siwym włosiem i białą brodą starca, a jej omdlała głowa wspierała się na jego silnym ramieniu.

Królowa odprowadziła ich wzrokiem.

Elżbieta posiadała w wysokim stopniu przymiot koniecznie potrzebny panującym, gdyż umiała panować nad sobą i to właśnie panowanie zatarło w obecnej okoliczności ślady niedawnego wzruszenia. Zdawało się nawet, iż chciała, aby otaczający ją dworzanie zapomnieli na zawsze o tym gwałtownym wybuchu namiętności, którego byli świadkami.

— Milord Hunsdon — rzekła — jest zbyt rubaszną mamką dla tak delikatnego dziecka.

— Lord Hunsdon — odparł dziekan St. Asaph — nie mówię dlatego, abym miał uwłaczać jego szlachetnym przymiotom, nie zna częstokroć żadnej powściągliwości w mówieniu i używa tych zabobonnych zaklęć, które trącą zarazem bałwochwalstwem i papizmem.

— Jest to wina jego krwi — odpowiedziała królowa obracając się do niego raptownie.

— Jeżeli tak, to i mnie o tę samą porywczosć można obwiniać. Boleynowie byli zawsze żywi i otwarci, więcej im chodziło o wynurzenie myśli niż o wybór słów i, na honor, spodziewam się, że to twierdzenie nie jest grzechem i wątpię, aby ich krew ostygła, nieco zmieszana z krwią Tudorów.

Pomawiając tych słów uśmiechnęła się wdzięcznie i jakby mimowolnie spojrzała dokoła dla spotkania wzroku Leicestera. Ochłonawszy z gniewu zaczęła przypominać sobie, iż się obeszła z nim zbyt cierpko i okrutnie, nie mając zwłaszcza żadnych innych dowodów przestępstwa oprócz kilku chwilowych podejrzeń.

Wzrok królowej nie znalazł hrabiego w usposobieniu do przyjęcia tych niemych znaków pojednania. Przeprowadził on okiem skropionym łzą niewczesnego żalu tę

nieszczęśliwą istotę, którą Hunsdon powłókł do więzienia, potem smutnie schylił głowę ku ziemi i zdawało się królowej, że z jego oczu bardziej przemawiała niewinność niesłusznie oskarżonego człowieka niż przekonanie o popełnionej zbrodni. Z gniewem odwróciła twarz od niego i rzekła do Varneya.

— Mów, sir Ryszardzie, wytłumacz nam tę zagadkę, masz przecie rozum i wymowność, czego na próżno szukamy gdzie indziej.

To mówiąc rzuciła drugi raz zagniewany wzrok na Leicestera, a tymczasem chytry Varney tak mówić zaczął:

— Przenikliwy wzrok Waszej Królewskiej Mości odkrył już przyczynę słabości mojej żony. Chciałem ja, Miłościwa Pani, aby nie było o niej najmniejszej wzmianki w zaświadczeniu doktora i dobieierałem wszelkich sposobów dla ukrycia tego, co mogło wywołać tak wielkie zgorszenie.

— Więc ona istotnie obłąkana? — zapytała królowa. — Widać to z jej mowy i całego zachowania. Znalazłam ją w tamtej grocie; każde wymówione słowo, które musiałam wrywać z niej jakby na torturze, odwoływała i zaprzysięgała natychmiast. Lecz skąd się ona tu wzięła? Czemu nie zamknąłeś jej w jakim bezpiecznym miejscu?

— Miłościwa Pani! — rzekł Varney. — Zaczny szlachcic, pan Antoni Foster, któremu ją powierzyłem, przybył tu niedawno z doniesieniem o jej ucieczce i powiedział mi, że mu się wymknęła tak zgrabnie, jak zazwyczaj osoby dotknięte taką chorobą. Można go wypytać o wszystko.

— Innym razem — odpowiedziała królowa — ale, panie Varneyu, nie zazdrościmy ci domowego szczęścia. Twoja żona czyni ci gorzkie wyrzuty i zdawało się, że zemdleje, gdy zobaczyła ciebie.

— Wynika to z natury jej słabości — rzekł Varney. — Osoby nawiedzone tym nieszczęściem czują zawsze jakiś wstręt i nienawiść ku tym, których najwięcej kochają w chwilach wolnych od obłąkania.

— Słyszeliśmy o tym i dajemy wiarę twemu twierdzeniu.

— Prosić będę Waszą Królewską Mość, abys kazała oddać moją nieszczęśliwą żonę pod straż i opiekę jej przyjaciół.

Na te słowa struchlał Leicester, lecz przymuszając się do spokoju pokonał swoje wzruszenie, a tymczasem królowa odezwała się do Varneya:

— Nie bądź tak prędkim, panie Varneyu, zasięgnijmy wprzód rady naszego doktora Mastersa, a potem zobaczymy, co czynić wypadnie. Będiesz mógł jednak widywać ją i pogodzić się z nią, jeżeli są między wami jakie zajścia małżeńskie, a słyszeliśmy, że te trafiają się w najlepiej nawet dobranym i kochającym się małżeństwie. Pojednaj się z żoną, żebyś nie dawał publicznego zgorszenia naszemu dworowi i nam samym nie przyczyniał trudu i zachodów.

Varney skłonił się nisko i nic nie odpowiedział.

Elżbieta spojrzała na Leicestera i rzekła z uczuciem i uprzejmością, które zdawały się pochodzić z głębi jej serca.

— Niezgoda, jak mówi włoski poeta, wkrada się do klasztornej zaciszy równie jak na łono domowej szczęśliwości; lękamy się nawet, aby nasze straże i warty nie wpuściły jej na dworskie pokoje. Milordzie Leicester, gniewasz się, widzę, na nas, ale i my mamy słuszną przyczynę gniewać się na ciebie, boś nas obraził swoim postępowaniem. Ale w tym przypadku poczniemy sobie na wzór lwa wspaniałomyślnego i pierwsi przebaczymy ci naszą urazę.

Leicester starał się wygładzić zmarszczone czoło, ale żal i boleść zbyt głęboko na nim były wyryte, by od razu wypogodzić się dało. Odpowiedział wszelako, że nie może kosztować słodczy przebaczenia, ponieważ ta, co go o nie prosi, tak jest dobrą i łaskawą panią, że go niczym obrazić nie mogła.

Elżbieta zdawała się być uspokojona tą odpowiedzią. Wyraziła życzenie, aby polowanie zaczęło się swoim trybem. Ozwały się trąbki, zaszczekały psy, zarżały konie, ale panowie i panie wyjechali na łowy w innym zupełnie usposobieniu od tego swobodnego nastroju, z jakim ocknęli się na odgłos rannej pobudki. Bojaźń, wątpliwość i oczekiwanie malowały się na każdym czole, z ust do ust biegały tajemnicze poszepty.

Blount znalazł sposobną porę, aby szepnąć w ucho Raleighowi.

— Ta burza nie wiecieć skąd się wyrwała jak nawałnica na Śródziemnym Morzu.

— *Varium et mutabile* — odpowiedział Raleigh tym samym głosem.

— Nie rozumiem twojej łaciny, ale dzięki Bogu nie pozwoliłem Tressilianowi wsiąść na okręt w czasie tej nawałnicy, rozbiłby się niezawodnie, bo nie umie nastawiać żagli na podmuchy dworskiego wiatru.



— Ty byś go nauczył! — rzekł Raleigh.

— A czemu nie? Cóż to sobie myślisz? Jestem rycerz tak jak ty i na tym koniec.

— Żebyś tylko miał więcej oleju w głowie — odpowiedział Raleigh — ale co się tyczy Tressiliana, dalibóg nie wiem, co on sobie myśli. Mówił mi dziś rano, że nie wyjdzie na krok ze swego pokoju przez dwanaście godzin lub więcej i że na to zobowiązał się słowem honoru. Wątpię, aby wiadomość o szaleństwie tej kobiety przyspieszyła jego uzdrowienie. Księżyc jest teraz w pełni i wywiera rozmaity wpływ na ludzi. Lecz słyszysz! Trąbią na koń! Siadajmy! Siadajmy! My młodzi rycerze powinniśmy dowieść, że warci jesteśmy naszych ostróg.

## ROZDZIAŁ. XVII

Prawdo, najświętsza cnoto! Spraw to, aby ludzie,  
Chociażby świat miał zginać, szli twą prostą drogą.  
Niechaj to widząc piekło z wściekłością i trwogą  
Otworzy bramę z ziemi wygnanej obłudzie.

Douglas

Po długim i pomyślnym polowaniu królowa powróciła do zamku na wspaniałą ucztę, która przeciągnęła się do późnej nocy i dopiero po tym wszystkim Leicester mógł na koniec pomówić na osobności z Varneyem. Wierny koniuszy opowiedział mu wszystkie szczegóły ucieczki hrabiny, jak je słyszał od Fostera, który lękając się skutków tego wypadku przyniósł sam tę wiadomość do Kenilworth.

Ponieważ Varney nic nie wspomniał o tym, że nastawał na zdrowie hrabiny, co właśnie przynagliło ją do tego kroku, Leicester rozumiejąc, że uczyniła to jedynie z niecierpliwości długiego oczekiwania i żądzy dostąpienia należnych jej zaszczytów wobec zgromadzonego dworu, oburzał się na nią, że lekceważąc jego najwyższe rozkazy naraziła go na gniew Elżbiety.

— Z mojej łaski — rzekł — ta córka prostego szlachcica z Devonshire chlubi się najpiękniejszym nazwiskiem w Anglii. Podzieliłem z nią majątek, przypuściłem do moich przywilejów. Błagam tylko o chwilę cierpliwości, proszę, aby poczekała cokolwiek, nim się puści na wezbrany potok zaszczytów, a ta dumna kobieta woli sama rozbić się i mnie w przepaść pociągnąć, woli zmuszać mnie do użycia sposobów, które mnie upodlają w mych oczach, niż pozostać czas pewien w tej ciemności, dla której była zrodzona. Ona tak słodka, tak wierna, tak uległa losowi, wtenczas właśnie uniosła się niecierpliwością, kiedy od szalonego nawet można by spodziewać się umiarkowania. To jest nad moje pojęcie.

— Możemy jeszcze poprawić nasze interesa — rzekł Varner — jeżeli tylko hrabina da się nam powodować i przyjąć zechce miejsce, jakie jej wyznaczą okoliczności.

— Bez wątpienia! — odpowiedział Leicester. — Nie ma innego sposobu. Słyszałem, jak królowa nazywała ją twoją żoną i nikt jej z tego błędu nie wywiódł. Potrzeba tedy, aby tak nazywała się dalej, póki przynajmniej nie wyślemy jej z Kenilworth.

— I dłużej nawet, jak mi się zdaje, wątpię bowiem, aby zaraz po wyjeździe z zamku mogła przyjąć tytuł hrabiny Leicester. Gdyby go przybrała za życia królowej, lękałbym się wtenczas o ciebie i o nią. Lecz wasza dostojność lepszym jest sędzią w tych rzeczach, gdyż sam wiesz tylko, co zaszło dziś rano między tobą a królową.

— Dobrze mówisz, Varneyu, gdyby królowa dowiedziała się o moim tajemnym małżeństwie, uważałaby ten mój postępek za rozmyślną wzgardę, której kobieta nigdy nie przebacza. Dziś już mieliśmy doświadczyć jej zemsty; przeminęła wprawdzie zła chwila, ale lękam się, aby nie wróciła znowu.

— Więc jej gniew jest nieprześlągany?

— Nie sądzę, gdyż tak była dziś pobłażliwa dla mnie, że sama nawet nastęczała mi sposobność oczyszczenia się z winy, która w jej mniemaniu pochodzi z mego porywczego charakteru.

— Ach, dobrze mówią Włosi: w nieporozumieniach miłosnych ten największą część winy przyjmuje na siebie, kto kocha najmocniej. Jeżeli tedy, milordzie, potrafimy utaić to małżeństwo, twoje stosunki z Elżbietą zostaną bez zmiany.

Leicester westchnął i zamyślił się, potem odpowiedział:

— Varneyu! Sądzę, że jesteś mi wierny, powiem ci przeto o wszystkim. Odmieniły się nasze dawne stosunki. Pociągnięty, nie wiem, jakimś szalonym pędem, mówiłem dziś z Elżbietą... mówiłem z nią o tym właśnie, o czym zacząć a nie dokończyć byłoby urazić do żywego miłość własną kobiety, a jednak nie śmiem wzmiankować jej więcej o tym przedmiocie. Nie przebaczy mi ona, nigdy mi nie przebaczy, zem ją przywiódł do tego, iż w oczach moich uległa potędze ludzkiej namiętności.

— A przecież — rzekł Varney — trzeba coś przedsięwziąć, trzeba chwycić się czegoś i to jak najprędzej.

— Nic mi już nie pozostaje... zważyłem o wszystkim. Podobny czasem jestem do tego, co idąc długo na wysoką górę wspinał się ponad niebezpieczne przepaści, a gdy już tylko miał jeden krok do wierzchołka, spostrzegł nagle, że został zatrzymany i że powrót ma odcięty. Widzę nad sobą wierzchołek, którego dosięgnąć nie mogę — pod sobą przepaść, w którą upaść muszę, skoro tylko dłoń omdlała i zawrót głowy nie pozwoli dłużej trzymać się na tym śliskim stanowisku.

— Sądź lepiej, milordzie, o swym położeniu i zechciej wprzód doświadczyć sposobu, na który zgodziłeś się niedawno. Wszystko pójdzie najlepiej, jeżeli tylko małżeństwo twoje potrafimy utaić przed Elżbietą. Idę natychmiast do hrabiny. Ona mię nienawidzi, bo domyślać się musi, że zawsze sprzeciwiałem się waszej dostojności, ile razy była mowa o tym, co nazywa swoim prawem. Lecz nie idzie tu w tej chwili o uprzedzenia lub nienawiści, potrzeba koniecznie, żeby mnie posłuchała, a ja już tak przekonam ją o konieczności poddania się okolicznościom, iż nie wątpię, że przystanie na to wszystko, czego od niej twój interes i jej własne dobro wymaga.

— Nie, Varneyu! Namyśliłem się, co czynić należy, sam pomówię z hrabiną.

Przyszła teraz kolej na Varneya lękać się o siebie, gdyż dotychczas udawał tylko, że się lęka o swego pana.

— Ale wasza dostojność nie będziesz sam mówił z hrabiną?

— Jest to moje nieodmienne postanowienie. Daj mi płaszcz lokajski, tobie wolno widywać się z nią — łatwo więc mi będzie przebranemu za twego sługę przemknąć się przez strażę i wejść za tobą do jej pokoju.

— Ale, milordzie...

— Bez żadnych ale! Tak postanowiłem i tak być musi.

Hunsdon śpi już zapewne w wieży Saint-Lowe. Możemy wejść przez te pokoje, które nikt nie chodzi — nie spotkamy nikogo, a choćbyśmy nawet spotkali Hunsdona... On jest raczej moim przyjacielem niż wrogiem, a nie będąc bardzo domyślny, uwierzy ślepo we wszystko, co mu powiem. Przynieś mi płaszcz!

W kilka chwil Leicester owinął się płaszczem, nasunął czapkę na czoło i udał się za Varneyem do pokojów Hunsdona przez tajemne korytarze, nie uczęszczane i tak ciemne, że zaledwie można było rozeznaczyć przedmioty. Przybyli na koniec do drzwi, przy których lord Hunsdon postawił wartę zachowując przepisy wojskowej ostrożności. Żołnierz stojący na straży wpuścił bez żadnej trudności Varneya i jego towarzysza, to tylko mówiąc do pierwszego:

— Żebyś tam uspokoił jakimś sposobem tę obłąkaną kobietę, jej wrzaski i szlochy tak mię wiercą, że wolałbym stać na straży przy kupie śniegu w pustyni Catlowdie niż przy tych drzwiach przeklętych.

Weszli śpiesznie i zamknęli drzwi za sobą.

„Niech teraz zły duch opiekuńczy, jeżeli tylko znajdzie się na świecie — pomyślał Varney — wysłucha swego wiernego sługę w tej ostatniej godzinie, bo mojej łódce grozi straszne niebezpieczeństwo”.

Hrabina Amelia z rozpuszczonymi włosami, w poszarpanej sukni siedziała na łóżku w postawie głębokiej rozpacz. Zerwała się z nagłą usłyszawszy, że ktoś odmyka drzwi i obrócona do wchodzących rzekła wlepiając oczy w Varneya:

— Bezbożniku! Przychodzisz tu znów, by wykonać nową jakąś niegodziwość?

Leicester, występując naprzód i opuszczając płaszcz, powstrzymał jej wyrzuty i rzekł głosem nie tyle tkliwym co rozkazującym :

— Ze mną to, pani, masz się rozprawić, nie z Ryszardem Varneyem.

Na te słowa, jakby skutkiem czarodziejskiej mocy, rozjaśniło się wesołością posępne oblicze hrabiny.

Dudleyu! — zawołała. — Dudleyu! Więc na koniec przybywasz!.

Jak strzała podbiegła do swego męża, rzuciła mu się na szyję i nie zważając na Varneya, okrywała go tysiącem pieszo, twarz jego rosząc rzewnymi łzami i wymawiając przerywanym głosem jakieś wyrazy, które miłość wlewa w duszę zakochanych.

Leicester miał, jak mu się zdawało, słuszną przyczynę gniewać się na swoją żonę za to, że nie słuchając jego rozkazów naraziła go na niebezpieczeństwo, w jakim się dziś rano znajdował, lecz któż by był tak zacięty w gniewie, aby się nie rozczulił na te tkliwe oznaki miłości, na to rozrzewnienie istoty, którą zaniedbany ubiór, żal i bojaźń mogące zgasić inną piękność, piękniejszą jeszcze czyniły. Leicester przyjmował i oddawał jej pieczyoty z czułością pomieszana z smutkiem. Spozregła to Amelia zaraz po pierwszych uniesieniach miłości i zapytała, czy nie jest chory.

— Chory? Może, ale nie na ciele — odpowiedział hrabia.

— To i ja będę zdrowa. O Dudleyu! Byłam słaba! Byłam bardzo słaba po ostatnim z tobą widzeniu się, bo nie nazywam widzeniem okropnego spotkania dzisiejszego poranku. Doznałam wielu srogich udężeń, wielu zgryzot i niebezpieczeństw, lecz gdy ujrzałam cię, znikły wszystkie moje obawy; wszystko jest dla mnie zdrowiem, radością i bezpieczeństwem.

— Niestety, Amelio! Tyś mię zgubiła!

— Ja, milordzie? — rzekła Amelia i zgasł zaraz promień radości, co na chwilę zajaśniał w jej oczach. — Jak mogłam zaszkodzić temu, kogo kocham nad życie?

— Nie będę ci czynił wyrzutów, lecz czyż nie jesteś tutaj wbrew moim wyraźnym rozkazom? Cóż naraziło na niebezpieczeństwo i mnie, i ciebie, jeżeli nie przybycie twoje do tego zamku?

— Ach! Dlaczegoż tak długo zostaję jeszcze w tym miejscu? O! Gdybyś wiedział, jakie obawy wyгнаły mnie z Cumnor Place!... Ale nie będę mówiła o sobie, to tylko powiem, że nie chciałabym tam powracać, jeżeli co innego przedsięwziąć można. Lecz jeżeli twoje bezpieczeństwo wymaga...

— Wynajdziemy dla ciebie inne schronienie — przerwał Leicester. — Wyślemy cię do jednego z naszych północnych zamków. O to cię tylko proszę i zaklinam, abyś nazywała się przez kilka dni żoną Varneya.

— Milordzie! — zawołała hrabina starając się uchylić od jego uścisków. — Jakim prawem śmiesz podawać swej żonie haniebną myśl uchodzenia za żonę drugiego, a do tego jeszcze Varneya?

— Pani, ja nie żartuję — odpowiedział hrabia. — Varney jest moim wiernym sługą, przypuszczonym do najskrytszych tajemnic... Wolałbym stracić prawą rękę niż jego pomoc w obecnych okolicznościach. Nie masz żadnego powodu pogardzać nim, jak czynisz dotąd.

— Kto wie, milordzie? Może bym mogła coś powiedzieć... Widzę, że się miesza ten twój wierny sługa, chociaż jest tak pewny siebie i ufny. Lecz kto jest twoją prawą ręką, wolny będzie od moich oskarżeń. Niech będzie tobie wierny, strzeż się jednak, abyś mu nadto nie ufała. To tylko powiadam, że go nie uznaję za męża i nie pojedę z nim, gdzie mnie wysłać zamysłasz, chyba użylibyście przemocy.

— Ale to uznanie będzie tylko chwilowe — rzekł Leicester rozgniewany jej uporem.

— Stało się ono koniecznie potrzebne dla ocalenia nas obojga, bo nam zagroziły niechybną zgubą twoje kobiece kaprysy, twoje za wczesne żądze posiadania zaszczytów, do których nadałem ci prawo pod tym jedynie warunkiem, aby nasze małżeństwo było przez czas niejaki niedocieczoną tajemnicą. Jeżeli ci się nie podoba moje życzenie, wiedz o tym, że sama jesteś jego pierwszym powodem, ale nie ma

innego sposobu. Musisz zgodzić się na to, co twój nierozsądny pośpiech uczynił nieodzownym. Rozkazuję ci!

— Nie słucham twoich rozkazów, kiedy moje sumienie i honor co innego czynić mi każą. Nie, milordzie! Nie będę ci posłuszna w tym wypadku. Wolno ci zhańbić się tą przewrotną polityką, ale nie zdołasz nakłonić mię do tego, co by okryło mnie wieczną niesławą. Czy mógłbyś, milordzie, uznać we mnie twoją dostojną małżonkę godną twego nazwiska, gdybym teraz włączyła się po kraju, uważana przez wszystkich za żonę tego niegodziwego człowieka?

— Milordzie — rzekł Varney — hrabina na nieszczęście zanadto uprzedzona przeciwko mnie, nie zechce zapewne posłuchać mej rady, chociaż przyjemniejszej może od tego wszystkiego, czego sobie sama życzy. Ma ona wielką władzę nad panem Edmundem Tressilianem i łatwo uprosi go, żeby jej towarzyszył do Lidcote Hall, gdzie bezpiecznie przebywać może, póki czas nie pozwoli odsłonić tej tajemnicy.

Leicester zamilkł i wpatrywał się w żonę oczyma, które zasepiły się z nagłą podejrzliwością i zazdrością.

— O, dałby Bóg, żebym dostała się do domu mego ojca! Nie sądziłam nigdy opuszczając rodzinne progi, abym stracić mogła honor i spokojność duszy.

Varney mówił dalej, doradzając:

— Z drugiej strony rzecz tę rozważając, można by zarzucić, że za takim krokiem musi koniecznie nastąpić odkrycie tajemnicy przed wielu obcymi osobami, ale hrabina ręczy zapewne za honor Tressiliana i całej swej rodziny?

— Milcz, Varneyu — zawołał hrabia — bo to żelazo utopię ci w piersiach, jeżeli mi wspomnisz jeszcze o przypuszczeniu Tressiliana do mojej tajemnicy!

— Czemuż byś go przypuścić nie miał? — rzekła Amelia. — Nie mówię jeszcze, gdyby szło o tajemnicę, którą łatwiej powierzyć człowiekowi takiemu jak Varney niż mężowi nie splamionego honoru i niczym nie skażonej prawości. Milordzie, milordzie! Nie spozieraj na mnie zagniewanym wzrokiem — jest to szczerą prawdą i ja ci to mówię. Zdradziłam raz Tressiliana, nie będę drugi raz tak niesprawiedliwa, bym miała milczeć wtenczas, gdy ktoś wątpi o jego honorze. Mogę bez gniewu patrzeć na zbrodnię pod maską hipokryzji — rzekła spozierając na Varneya — ale nie ścierpię tego, by miano oczerniać przy mnie cnotę.

Nastąpiło głucho milczenie. Leicester przekonany o niesłuszności swej sprawy nie wiedział sam, co począć. Varney zaś, obłudnie udając smutek i wielką pokorę, stał ze spuszczonej oczyma.

Wtenczas hrabina rozwinęła całą moc charakteru mogącą uczynić ją ozdobą słusznie należnej jej godności, gdyby losy nie zrzędziły inaczej. Zbliżyła się do Leicestera wolnym krokiem i ze wspianą powagą i spojrzeniem, w którym mocne wzruszenia nadaremnie usiłowały zachwiać tę pewność, jaką nadają prawość serca i czyste sumienie, rzekła:

— Oświadczyłeś, milordzie, swoje życzenie, na które na nieszczęście nie mogę się zgodzić. Ten jegomość wyraził inne zdanie, któremu nic zarzucić nie zdołam, tylko to, że nie podoba się tobie. Czy raczysz wysłuchać, co ci poradzi młoda i bojaźliwa kobieta w tych trudnych okolicznościach?

Leicester milczał, ale skinął głową jakby na znak, że jej pozwala mówić.

— Jedną tylko jest przyczyną, milordzie, tych wszystkich nieszczęść — wywodziła dalej hrabina. — Wypływają one z tej tajemniczej obłudy, jakąś się otoczył za cudzą namową. Porzuć na koniec te haniebne knowania, te pokątne intrygi. Bądź takim, jakim być powinien prawdziwy szlachcic angielski, rycerz i hrabia, u którego prawda jest podstawą honoru, a honor droższy nad powietrze, którym oddycha. Weź za rękę swą nieszczęśliwą żonę i zaprowadź do stóp tronu Elżbiety. Powiedz, że w chwili zaślepienia, uwiedziony przelotną pięknnością, której teraz i ślad nie został, oddałeś rękę tej Amelii Robsart. A tak dopełnisz, czego po tobie sprawiedliwość ku mnie i twój własny honor wymaga, a jeżeli prawo albo wola królowej rozkażą ci rozwieść się ze mną, nie będę się temu sprzeciwiała, bo będę mogła z ocalonym honorem zagrzebać swój żal i boleść w cieniach, skąd mię wydożyła twoja miłość.

Tyle było godności w tym przemówieniu hrabiny, że jej wyrazy obudziły to wszystko, co było wielkie i szlachetne w duszy jej małżonka. Zdawała się spadać mu z oczu zasłona, a przewrotność i tajemne knowania, do których się poczuwał, ubodły go całą siłą wstydu i zgryzoty.

— Nie jestem godzien ciebie Amelio — zawołał — ponieważ mogłem wahać się w wyborze między tym, co mi nakazywała ambicja, a sercem takim jak twoje. Jakaż będzie gorycz mego upokorzenia, gdy mi przyjdzie odkryć przed uśmiechającymi się



wrogami i zdziwionymi przyjaciółmi wszystkie kręte ścieżki mojej przewrotnej polityki! A królowa niech mi weźmie głowę, jak już raz zagroziła.

— Twoją głowę, milordzie — rzekła hrabina — za to, żeś użył wolności służącej każdemu Anglikowi w wybraniu sobie żony? O hańbo! Ta nieufność w sprawiedliwość królowej, te płonne obawy na kształt urojonych strachów sprowadziły cię z prostej drogi zawsze najkrótszej i najbezpieczniejszej.

O Amelio — rzekł Dudlmy — jak mało ją znasz! — Lecz wkrótce poprawiając się dodał: — Jednak nie znajdzie ona we mnie łatwej ofiary swojej samowładnej zemsty! Mam ja przyjaciół, mam krewnych i stronników, nie pozwolę tak jak Norfolk zawlec się na rusztowanie podobny do niewinnej ofiary, zaciągniętej na stopnie ołtarza. Nie bój się, Amelio, Dudley nie splami swego imienia. Muszę się porozumieć natychmiast z przyjaciółmi, którym mogę zaufać, bo na to się zanosi, że zostanę uwięziony w moim własnym zamku.

— O, milordzie, nie wszczynaj buntów w spokojnym kraju! Żaden przyjaciel nie może nam tyle dopomóc, ile nasza szczerłość połączona z honorem. W nią tylko się uzbrój, a będziesz bezpieczny pośród całego wojska nieprzyjaciół zazdroszczących ci sławy, żaden inny oręż na nic się nie przyda. Nie darmo, milordzie, malują Prawdę bezbronną.

— Ale Mądrość, Amelio, malują w pełnej zbroi, wytrzymałej na wszystkie pociski. Nie spieraj się ze mną w wyborze środków, których muszę użyć, aby z mego wyznania (bo tak je nazywać muszę) nie wyniknęło dla nas co złego, gdyż cokolwiek pocniemy, dosyć będzie niebezpieczeństw i przeszkód do pokonania. Czas już wyjść stąd, Varneyu. Bądź zdrowa, Amelio, ogłoszę cię moją żoną z narażeniem się na niebezpieczeństwo, którego ty tylko jesteś godna. Bywaj zdrowa, wkrótce usłyszysz o mnie!

Uściskał ją czule, zawinął się w płaszcz i wyszedł z Varneyem. Ostatni skłonił się nisko i podnosząc głowę popatrzył się na hrabinę właściwym sobie spojrzeniem, jakby chciał się dowiedzieć, jak dalece sięgnęło przebaczenie dla niego, zawarte w pojednaniu się między nią a mężem. Hrabina wlepiła weń oczy, ale go nie spostrzegła nawet i zdawało się jej, że tam, gdzie stał Varney, było próżne miejsce.

— Ona sama przywiodła mię do tej ostateczności — mruczał pod nosem — jedno z nas zginąć musi. Zawsze coś, nie wiem, czy bojaźń, czy litość, szeptało mi, abym unikał tego okropnego przesilenia. Już się stało. Jedno z nas zginąć musi koniecznie!

Kończąc te słowa spostrzegł, że jakiś chłopak odepchnięty przez straż zbliżył się do Leicestera i zaczął z nim rozmawiać. Varney był z liczby tych polityków, dla których nic nie jest obojętne. Żołnierz zapytany przez niego, odpowiedział, że ten chłopak chciał mu zostawić jakiś pakiecik i prosił, by go oddał w ręce szalonej, lecz że nie przyjął tego zlecenia jako przeciwnego danym mu rozkazom. Varney zaspokoiwszy w tym względzie swoją ciekawość zbliżył się do swego pana i posłyszał go mówiącego:

— Dobrze, moje dziecko, ten pakiecik będzie jej oddany.

— Będę waszmości bardzo wdzięczny — rzekł chłopak i znikł w mgnieniu oka.

Leicester i Varney powrócili śpiesznym krokiem do pokojów hrabiego tymi samymi korytarzami, którymi szli do wieży Saint-Lowe.

## ROZDZIAŁ XVIII

Niesłusznież ją przed tobą o niewierność winię?

Sam wiesz, że ciebie zdradza, że cię nienawidzi.

Wiesz, kto jej zwodzicielem: on dotąd jedynie

Wie to, o czym się ona sama wiedzieć wstydzi.

Szekspir Opowieść zimowa

Hrabia wszedł do swego gabinetu, wziął w rękę papiery i rzekł częściowo do siebie, częściowo do Varneya:

— Jest wielu ludzi związanych ze mną węzłami przyjaźni, wdzięczności albo pokrewieństwa, zwłaszcza wśród tych, co zajmują wysokie stanowiska, jest też wielu, którzy jeżeli przypomną sobie moje dobrodziejstwa albo pomyślą o niebezpieczeństwach mogących ich spotkać, nie zechcą zapewne zostać obojętnymi świadkami mego upadku. Zobaczmy: Knollis jest pewny, a przez niego Gevernsey i Jersey. Horsey jest rządcą wyspy Wight, mój szwagier Huntingdon i Pembroke mają dowództwa w Walii, za pośrednictwem Bedforda mam powolnych sobie purytanów, tyle znaczących we wszystkich domowych zaburzeniach, mój brat Warwick, równy mi niemal w bogactwach, ma wielu stronników i przyjaciół; sir Owen Hapton zupełnie mi oddany jest dowódcą wieży londyńskiej, gdzie są złożone skarby koronne. Mój dziad i ojciec nigdy by nie zginęli na rusztowaniu, gdyby podobnie umacniali swoje układy... Cóż znaczy ta posepna mina, Varneyu? Powiadam ci, że nie tak łatwo wichur wywraca drzewo głęboko zakorzenione.

— Niestety, milordzie! — rzekł Varney z dobrze udanym bólem i znowu pogрузzył się w smutku.

— Niestety! — powtórzył hrabia. — A dlaczegoż to n i e s t e t y, sir Ryszardzie? Twoja godność rycerska nie zdoła cię natchnąć energiczniejszym okrzykiem przed zbliżającą się tak szlachetną walką? Albo jeżeli to Niestety takie ma znaczenie, że chcesz uniknąć boju, możesz bezpiecznie opuścić ten zamek, a nawet złączyć się z moimi nieprzyjaciółmi, jeżeli ci to lepiej będzie odpowiadać.

— Nie, milordzie — odpowiedział powiernik. — Varney potrafi walczyć i umrzeć przy tobie. Przebacz mi, jeżeli zajęty zupełnie twoim dobrem lepiej widzę od ciebie

wszystkie trudności, którymi jesteśmy otoczeni. Jesteś możny, milordzie, jesteś potężny, to prawda, lecz niech mi wolno będzie powiedzieć, że ta potęga wynika tylko z łaski królowej. Dopóki jesteś ulubieńcom Elżbiety, masz całą władzę króla z wyłączeniem nazwiska; lecz niechże usunie tylko tę łaskę, a wtenczas cała twa wielkość zniknie natychmiast. Oświadczyć się przeciwko królowej, a zobaczysz, że w kraju, że w tejże prowincji zostaniesz przez wszystkich opuszczony; więcej powiem, że w tym nawet zamku, pośród swoich wasalów, krewnych i przyjaciół wtrącony będziesz do więzienia i skazany na śmierć, skoro królowa słowo jedno wyrzeknie. Przypomnij sobie Norfolk, potężnego Northumberland, okazałego Westmoreland; przypomnij wszystkich, co podnieśli głowę przeciw tej mądrej pani. Cóż się z nimi stało? Wszyscy albo potraceni, albo wygnani z kraju, albo dotychczas gniją w więzieniu. Jej tron nie jest tak jak inne trony, które może wywrócić zmowa przedniejszych panów. Podstawami jego są: miłość i przywiązanie narodu. Możesz go dzielić z Elżbietą, jeżeli zechcesz, lecz ani twoja, ani czyjakolwiek potęga domowa czy zagraniczna nie obali go, ani nawet nie zdoła wzruszyć.

Zamilkł, a Leicester rzucił papiery z gniewem i niesmakiem.

— Wiem o tym wszystkim — rzekł do niego — i mało dbam o to, czy prawda, czy też bojaźń natchnęła cię tą przepowiednią; ale nie powiedzą o mnie, że zostałem pokonany bez oporu. Dasz rozkazy moim wasalom, którzy służyli pode mną w Irlandii, aby udali się po jednemu do głównej wieży; powiesz naszym przyjaciołom i sługom, aby się uzbroili i mieli w gotowości lękając się niby napaści ze strony Sussexu. Puść trwożące wieści między ludem wiejskim, niech wezmą oręż i gotowi będą uderzyć na straż królowej na dany znak.

— Pozwól sobie przypomnieć — rzekł Varney z tym samym udanym uczuciem głębokiego smutku — żeś mi kazał poczynić przygotowania do rozbrojenia królewskiej straży. Jest to obraza majestatu, mimo to jednak dopełnię rozkazów.

— Nie dbam o to! — rzekł Leicester głosem zrozpaczonym. — Nie dbam o to! Hańba jest za mną, zguba przede mną, trzeba coś przedsięwziąć.

Nastąpiła chwila milczenia, którą Varney przerwał tymi słowami:

— Doszło na koniec do położenia, którego od dawna lękałem się. Widzę się zmuszonym albo być podłym świadkiem upadku najlepszego z panów, albo odkryć, co

pragnąłem, aby było zagrzebane w wiecznym zapomnieniu lub wyjawione nie przez moje usta.

— Co rozumiesz przez to? Mów, nie mamy czasu do tracenia na czcze rozmowy; tu trzeba działać.

— Co mam powiedzieć, nie jest długie. Dałby Bóg, żeby i twoja odpowiedź równie krótka była. Twoje małżeństwo jest jedyną przyczyną poróżnienia się z królową, nieprawda?

— Wiem o tym bardzo dobrze. Co znaczy to pytanie bez celu?

— Przebac, milordzie! Zaraz ci się wytłumaczę: są ludzie, co życiem i majątkiem gotowi bronić posiadanego klejnotu; nie byłoby roztropniej z ich strony przypatrzeć się pierwej, czy nie ma w nim jakiej skazy?

— Nie pojmuję — rzekł Leicester wlepiając oczy w swego koniuszego — o kim to śmiesz tak mówić?

— Zmuszony jestem, na nieszczęście, mówić o hrabinie. O niej mówić będę, choćbyś miał mię zabić za moją gorliwość.

— Może przyjdzie do tego! Ale mów... słucham!

— Będę śmiały, staję tu bowiem w obronie mojego życia równie jak twego, milordzie. Nie lubię tych tajemnych porozumień hrabiny z Edmundem Tressilianem. Znasz go, milordzie. Wiesz i to, że potrafił on wzbudzić w niej rodzaj przywiązania, którego przytłumienie kosztowało cię nieco pracy; wiesz i to także, z jakim zapałem bronił jej praw, co wszystko taki tylko ma cel, by nakłonić waszą dostojność do uznania tego, w mniemaniu moim, nieszczęśliwego małżeństwa, co także jest przedmiotem wszystkich zabiegów hrabiny.

Leicester uśmiechnął się z przymusem.

— Zamiarem twoim, mój dobry Ryszardzie — rzekł hrabia — jest poświęcić mój honor i czyjś jeszcze, aby powstrzymać mnie od tego kroku, który tak straszonym nazywasz; lecz przypomnij sobie, że mówisz o hrabinie Leicester.

— Wiem o tym, ale mówię dla dobra hrabiego Leicestera. Dopiero zacząłem. Jestem mocno o tym przekonany, że Tressilian od pierwszego wmieszania się w tę sprawę był w porozumieniu i działał z hrabiną.

— Mówisz jak przez sen, Varneyu, gdzie i jakim sposobem mogli się porozumieć?

— Milordzie, jak na nieszczęście aż nadto mogę cię o tym objaśnić. Na kilka lub kilkanaście dni przed podaniem prośby do królowej, spotkałem Tressiliana ku mojemu wielkiemu zdumieniu w parku Cumnor Place.

— Tyś go spotkał, nędzniku! Czemużeś go trupem nie położył?

— Jużeśmy się zwarli i gdyby mi się noga nie pośliznęła, nie byłby on dotychczas kamieniem leżącym na ścieżce mojego pana.

Leicester zdawało się oniemiać z wielkiego zdziwienia. Wreszcie odpowiedział:

— Jaki masz inny dowód oprócz własnego świadectwa? Bo ponieważ sroga będzie kara, należy wprzód roztrząsnąć tę rzecz z zimną i gruntowną rozważą. Sprawiedliwe nieba! Lecz nie!... Roztrząsnę wszystko z zimną i gruntowną rozważą.

Powtórzył kilka razy te słowa, jak gdyby w samym ich brzmieniu znajdował zupełne zaspokojenie; potem zaciskając usta, jakby lękał się, aby mu nie wymknęło się jakie gwałtowne słowo, zapytał Varneya:

— Jakie masz dowody?

— Dostyc ich mam, aż nadto może. Czegóż bym nie dał za to, aby rzecz ta mnie tylko jednemu była wiadoma, ponieważ zostałyby zagrzebana w wiecznym zapomnieniu. Ale mój sługa, Michał Lamburn, był świadkiem wszystkiego i on to właśnie przyprowadził Tressiliana do Cumnor Place; dlatego przyjąłem go na służbę i zatrzymałem dotąd, aby mu gębę zawiązać.

Powiedział potem, że łatwo jest sprawdzić jego twierdzenie świadectwem Antoniego Fostera i kilku innych osób, które słyszały, jak stanął zakład i widziały jak Tressilian wraz z Lamburnem wychodził z karczmy do Cumnor Place. W całym tym opowiadaniu Varney nic by fałszywego nie dodał, gdyby nie wmówił w swego pana przez pośrednie wnioski, że widzenie się i rozmowa Amelii z Tressilianem dłużej daleko trwały, aniżeli było w istocie.

— Czemużeś mi natychmiast tego nie powiedział? — zapytał hrabia z gniewem. — Dlaczego wy wszyscy, a szczególnie ty, Varneyu, taileś przede mną tę ważną wiadomość?

— Ponieważ hrabina tłumaczyła się przed Fosterem, że Tressilian zaszedł ją z nienacka i mimo jej woli stąd wnosilem, że w ich widzeniu się nie było nic nieprzystojnego i że z czasem sama uwiadomi cię o wszystkim. Nie tajno ci,

milordzie, jak niechętnym uchem słuchamy złych poszeptów i obmowy, wymierzonej przeciwko osobom, które kochamy z całego serca. A ja, dzięki Bogu, nie jestem oszczercą ani donosicielem, bym je miał pierwszy rozsiewać.

— Ale pierwszy dajesz im wiarę, Ryszardzie! Skąd to podejrzenie, że w czasie ich spotkania mogło zajść coś nieprzyzwoitego? Mnie się zdaje, że żona hrabiego Leicestera może pomówić kilka chwil z takim człowiekiem jak Tressilian i że przez to ani męża nie zhańbi, ani siebie nie poda w podejrzenie.

— I ja tak rozumiem, bo gdybym inaczej sądził, nie ukrywałbym przed waszą miłością tej tajemnicy. Lecz z tego, co powiem, przekonasz się, iż rzecz ma się przeciwnie. Tressilian wchodzi w układy i tajemnie porozumiewa się z cumnorskim karczmarzem dla ułatwienia ucieczki hrabinie, wysłał jednego ze swoich szpiegów, którego wkrótce spodziewam się osadzić w Mervynie, gdyż Killigrew i Lambsbey szukają go już wszędzie. Karczmarz odbiera pierścień w nagrodę za wyświadczoną usługę. Musiałeś go, milordzie, widzieć na palcu u Tressiliana, oto jest. Ten szpieg przebiera się za kramarza, przychodzi do Cumnor Place, naradza się z hrabiną i uprowadza ją nocą. W drodze kradną konia u biednego kmiotka: tak wielki był ich zbrodniczy pośpiech! Na koniec przybywają do zamku i hrabina znajduje przytułek, nie śmiem powiedzieć, w jakim miejscu!

— Mów, rozkazuję ci, mów, póki słuchać cię mam jeszcze cierpliwość.

— Ponieważ rozkazujesz mi, milordzie, powiem przeto, że hrabina udała się natychmiast do mieszkania Tressiliana, gdzie aż do dzisiejszego poranku, raz z nim, raz sama pozostawała. Mówiłem ci, panie, że Tressilian miał ze sobą jakąś dziewczkę, czyż mogłem spodziewać się, aby to była...

— Amelia, chcesz powiedzieć, ale to potwarz, czarna potwarz jak piekielne otchłanie. Może być dumna, płocha i niecierpliwa, jest to wada wszystkich kobiet. Lecz żeby mię zdradzić miała, nigdy, nigdy! Dowód! Dowód, mospanie! — zawołał z uniesieniem.

— Carrol zaprowadził ją tam wczoraj po południu. Lamburn i dozorca więzienia dziś ją tam rano widzieli.

— Czy był z nią Tressilian? — zapytał Leicester z pośpiechem.

— Nie, milordzie! Wszak musisz przypominać sobie, że go wzięto pod straż wczorajszej nocy.

— Czy zna ją Carrol i inni słudzy?

— Nie, milordzie. Carrol i dozorca Staples nie widzieli nigdy hrabiny, a Lamburn nie poznał jej, bo była przebrana, lecz nie chcąc wypuścić jej z pokoju ściągnął rękawiczkę, którą znasz zapewne?

I oddał mu rękawiczkę, na której był wyszyty perłami herb hrabiego.

— Poznając ją, poznając — rzekł Leicester — sam posłałem jej te rękawiczki. Druga z tej pary była na ręce, którą mi dziś jeszcze podawała. — Wymówił te słowa z gwałtownym poruszeniem.

— Wasza dostojność może sprawdzić to wszystko, com powiedział, u samej hrabiny.

— Nie potrzeba, nie potrzeba! — rzekł hrabia miotany okropnymi uczuciami. — Ta prawda wypisana jest jasnym płomieniem, wypalającym moje źrenice! Widzę jej upodlenie i czego innego widzieć nie mogę. Wielki Boże! Dla tej podłej kobiety miałem narazić na niebezpieczeństwo tylu szlachetnych przyjaciół, wzruszyć podstawy prawowitego tronu, miecz i ogień rzucić na łono spokojnego narodu, podnieść buntowniczą chorągiew przeciw tej, co mię uczyniła tym, kim jestem i gdyby nie to piekielne małżeństwo, wyniosłaby na najwyższy stopień godności, jaką tylko śmiertelny osiągnąć może. I to wszystko dla jednej kobiety, która frymarczy i knuje zdrady z moimi najgorszymi nieprzyjaciółmi! A ty, przewrotny człowieku, czemużeś mi pierwej tego nie powiedział?

— Milordzie! Jedna łza hrabiny zatarłaby wszystkie moje doniesienia. Wreszcie dziś dopiero otrzymałem te dowody, kiedy Antoni Foster nagle przyleciawszy do mnie, opowiedział mi, jakim sposobem zmusił karczmarza do wyznania tego wszystkiego i udzielił szczegółowych wiadomości o jej ucieczce z Cumnor Place; moje zaś własne odkrycia uzupełniły obraz jej pięknych postępów w tym zamku.

— Bogu niech będzie chwała — rzekł Leicester — że zesłał na mnie promień światłości i mnie ciemnemu dozwolił przejrzeć. Tak jasne, tak oczywiste są dowody, że nie masz nikogo w Anglii, kto by mnie posądził o porywczosć albo moją zemstę nazwał niesprawiedliwą. A jednak, Varneyu, tak młoda, tak piękna, tak zachwycająca i tak przewrotna! Stąd pochodzi ta jej nienawiść ku tobie, mój wierny i kochany sługo. Brzydzi się tym, który zniweczył jej zdraдлиwe knowania i mało nie zgładził jej podłego uwodziciela.



— Nigdy nie dałem jej, milordzie, innego powodu do gniewu; ona mię nienawidzi, ponieważ wie, że moje rady zmierzały zawsze do zmniejszenia wpływu, jaki miała nad tobą i że zawsze gotów byłem i jestem nieść życie moje przeciw twym nieprzyjaciółom.

— Rzecz aż nadto jasna — rzekł Leicester — a jednak z jaką wspaniałomyślnością zaklinała mnie, abym zdał raczej moją głowę na wolę królowej, aniżeli okrywał się dłużej zasłoną fałszu! Zdaje mi się, że sam anioł prawdy nie zdobyłby się na słodsza, na bardziej zniewalającą wymowę. Możeż to być, Varneyu? Czy mogło oszustwo przemawiać tak śmiało językiem prawdy? Czy mogła zbrodnia tak się ustroić we wszystkie ozdoby cnoty? Varneyu, służyłeś mi wiernie od dziecka, zaszedłeś dzięki mnie wysoko, pójdiesz jeszcze wyżej; myśl tylko, myśl o mnie! Zawsze byłeś przebiegły i przenikliwy; czy nie może być ona niewinną? Dowiedz mi tego, a wszystko, com dla ciebie dotychczas uczynił, będzie niczym w porównaniu do mojej przyszłej nagrody!

Boleść rozdzierająca serce, z jaką Leicester wymówił te wyrazy, zmiękczyła nieco twardą duszę Varneya, który mimo dumnych i niegodziwych zamysłów kochał swego pana tyle przynajmniej, ile tak podła istota kochać była zdolna. Lecz wkrótce uspokoił się i stłumił odzywający się głos sumienia tym przekonaniem, że jeżeli zadawał swemu panu przemijającą boleść, to nie dla czego innego, tylko dlatego, aby mu usłać drogę do tronu. Rozumiał bowiem, że Elżbieta chętnie podzieli swą władzę z jego dobroczyńcą, jeżeli rozwiąże się jego tajemne małżeństwo przez śmierć lub innym sposobem. Wytrwał przeto w swej szatańskiej polityce i po chwili namysłu odpowiedział smutnym spojrzeniem na niespokojne pytanie swego pana, jakby chciał mu dać poznać, że nie znajduje żadnego sposobu uniewinnienia hrabiny. Potem z nagłą podnosząc głowę rzekł z wyrazem nadziei, która wkrótce przeszła do duszy jego pana.

— Ale gdyby była winna, nie odważyłaby się szukać tu schronienia, prędzej by uciekła do swego ojca albo gdzie indziej. Lecz ten krok daje się łatwo wytłumaczyć tym, że chciała być uznana hrabiną Leicester.

— Pojmuję, pojmuję wszystko! — zawołał hrabia i zaraz uśmiech nadziei zasepiły czarne uczucia i gorycz serca napełniła jego słowa.

— Nie czytasz jeszcze tak dobrze jak ja w krętych tajnikach serca kobiety, Varneyu, zgaduję wszystko! Zachciało się jej koniecznie mienia i zaszczytów nieszczęśliwego jej małżonka. Gdybym w zapamiętałości podniósł buntowniczą chorągiew przeciw królowej albo gdyby gniew Elżbiety strącił moją głowę, jak zagroziła dzisiejszego poranku, wtenczas z bogatej spuścizny, jaką by prawo wyznaczyło wdowie Leicester, okroiliby się coś niezawodnie temu hołyszowi Tressilianowi. I tak pobudza i namawia mnie do niebezpieczeństwa, z którego później spodziewa się odnieść obfitą korzyść. Ach! Nie uniewinniaj jej, Varneyu! Krwi jej pragnę!

— Twoja boleść, milordzie — rzekł Yarney — zapala cię dzikim gniewem.

— Mówię ci: ani słowa na jej obronę; ona mnie zhańbiła, ona mnie zamordować chciała, zrywają się odtąd wszystkie związki między nami. Musi umrzeć śmiercią zdrajczyni i cudzołożnicy, na jaką zasługuje według praw boskich i ludzkich. Co to znowu za pudełko, które mi wetknął w ręce jakiś chłopak? Prosił, abym ja oddał Tressilianowi, ponieważ nie mógł go wręczyć hrabinie. Wielki Boże! Zaraz mię uderzyły te słowa. To jej pudełko z klejnotami! Otwórz je, Varneyu! Przetnij zawiaski sztyletem.

„Był czas, kiedy nie chciała go użyć do rozcięcia sznurka, którym list był związany — pomyślał sobie Varney — teraz to żelazo sprawi większą zmianę w jej położeniu”.

Tak myśląc, podważył sztyletem wieczko. Gdy tylko hrabia ujrzał, że puściły srebrne zawiaski, wyrwał pudełko z rąk Ryszarda i zażarty w gniewie wyrzucił na podłogę kosztowne klejnoty, szukając chciwymi oczyma listu albo biletu, który by potwierdził urojona zbrodnię niewinnej hrabiny. Potem depcząc w szaleństwie wyrzucone klejnoty zawołał:

— Tak niszczyć te liche cacka, za któreś się zaprzedała duszą i ciałem, dla których siebie skazałaś na przedwczesne śmierć, a mnie na rozpacz i wieczną zgryzotę! Nie mów mi o przebaczeniu, Varneyu — wydałem wyrok!

To powiedziawszy wpadł do przyległego gabinetu i zamknął się na klucz.

Varney patrzył za nim i jakieś bardziej ludzkie uczucie zdawało się łagodzić jego zwykły uśmiech.

— Lituję się — rzekł — nad jego słabością, lecz miłość zrobiła go dzieckiem. Ciska, tłucze te drogie klejnoty.. Stłucze on niezadługo z taką samą złością delikatniejsze

cacko, którym się nie mógł nacieszyć. Lecz uśmierzy się jego wściekłość, gdy nie będzie przedmiotu, który ją podnieca. Nie ma on daru oceniania rzeczy podług ich rzeczywistej wartości; ten przymiot zachowała natura samemu tylko Varneyowi. Gdy zostanie królem, zapomni o tych burzach namiętności, przez które dostał tronu, jak majtek zawinąwszy do portu zapomina o niebezpieczeństwach żeglugi. Lecz te okruszyny nie zostaną tutaj, są one zbyt drogie dla służby, która zamiata pokoje.

Varney zbierając potłuczone klejnoty ujrzał twarz hrabiego, który uchylił drzwi gabinetu i wyjrzał, a takie było osłupienie w jego oczach, taka bladeńca rozlana na ustach i licach, że Varney aż wzdrygnął się na tak nagłą zmianę. Skoro wzrok jego spotkał się ze wzrokiem Leicestera, natychmiast ten ostatni schował głowę i trzasnął drzwiami.

Hrabia dwa razy ukazywał się w ten sposób, nie mówiąc słowa. Varney zaczął się lękać, aby pan jego nie dostał pomieszania zmysłów. Za trzecim razem dał znak i Varner zbliżył się do niego. Z kilku słów poznał zaraz, że pomieszanie jego pana nie było skutkiem obłąkania rozumu, ale wynikało z okropnego zamysłu, który układał, i walki gwałtownych namiętności. Przepędzili całą noc na rozmowie i dalszych naradach. Po czym hrabia ubrał się pośpiesznie i poszedł do królowej.

## ROZDZIAŁ XIX

Wszystko na ucztę szło dobrze z początku,  
Tyś jest przyczyną zmieszania porządku

Szekspir Makbet

Przypomniano sobie później, że w czasie biesiad i wesołych rozrywek tego pamiętnego dnia postępowanie Leicestera i jego koniuszego różniło się bardzo od zwyczajnego. Znano powszechnie Ryszarda Varneya jako mądrego doradcę roztropnego człowieka. Działanie zdawało się być jego żywiołem. Choć umiał nadać ton towarzystwu, był jednak zwykłym widzkiem pośród zabaw i powszechnej wesołości. Jeżeli zaczął popisywać się dowcipem, to bardziej dla wyśmiania biesiady i biesiadników, niż podzielenia ich uciech.

Lecz dnia tego Varney zdradzał usposobienie zupełnie odmienne. Mieszał się między młodych dworaków i dworki i zdawał się oddychać z tą swobodą, która wśród wesołych czyniła go najweselszym.

Ci, którzy widzieli w nim człowieka oddanego ważniejszym sprawom i nieraz słyszeli, jak żartował i wyśmiewał tych, którzy używając życia korzystają z każdej okazji rozweselenia się, ujrzeli z niemałym zdziwieniem, że jego dowcip był równie ostry jak subtelny, jego uśmiech wesoły, jego czoło pogodne. Jakimże sposobem jego czartowska hipokryzja mogła pokryć zasłoną swobodnej wesołości najczarniejsze zamysły, jakie kiedykolwiek powstały w głowie człowieka? To zagadnienie ci tylko potrafią rozwiązać, którzy są jemu podobni. Varney posiadał wielkie zdolności, ale na nieszczęście obracał je zawsze na najgorsze cele.

Całkiem inaczej rzecz się miała z Leicesterem. Choć umiał doskonale grać rolę biegłego dworaka, żal i smutek serca zdradzała u niego twarz. Choć umiał stroić się w pozory beztroski, uprzyjemniać zabawę i ożywiać towarzystwo wtenczas nawet, kiedy wewnątrz trapiły go uczucia zawiedzionej ambicji, zazdrości i nienawiści — tym razem można było wyczytać w jego osłupiałym oku i posępnym czole, że jego myśli dalekie były od teatru, w którym musiał występować. Mówił, chodził i patrzył, jak gdyby pchany jakąś tajemniczą siłą. Zdawało się, że zapomniał rozkazywać bystremu dowcipowi i pięknej postaci, które go odróżniały od innych. Jego ruchy i gesty nie

będąc wynikiem woli były automatyczne, podobne do kółek w maszynie, które dopiero za poruszeniem wewnętrznej sprężyny zaczynają się obracać. Wymykały mu się z ust nie powiązane słowa, jak gdyby namyślał się, co i jak miał powiedzieć, a zdarzało się, że nie dokończywszy zaczętego zdania zapominał o tym, co poprzednio powiedział.

To osobliwe roztargnienie w zachowaniu i mowie najbieglejszego z dworaków całej Anglii, spostrzeżone przez wszystkich, którzy go znali, nie uszło także przenikliwego oka mądrej monarchini. Takie zachowanie wzbudziłoby zapewne nowe podejrzenie Elżbiety, gdyby nie przyszło jej na myśl, że jej ulubieniec lękał się może skutków gniewu, który dała mu odczuć dziś rano w tak gorzkich wyrazach i że ta obawa, mimo przymuszania się do wesołości i panowania, była przyczyną tego roztargnienia i gasiła urok jego rozmowy. W mniemaniu tak pochlebnym dla próżności kobiecej kryło się przebaczenie licznych błędów i uchybień popełnionych przez Leicestera w obecności królowej. Zdziwili się baczni na wszystko dworacy, gdy ujrzeli, że królowa nie tylko nie gniewała się za to nieustanne roztargnienie, lecz że go samą nawet starała się z tego pomieszczenia i niespokojności wyprowadzić z pobłażaniem niezgodnym z jej charakterem. Ale ta pobłażliwość z jej strony nie mogła trwać długo i Elżbieta zaczęła już inaczej tłumaczyć sobie niegrzeczne postępowanie Leicestera, gdy Varney poprosił go na naradę do osobnego pokoju.

Po dwukrotnych wezwaniach posłańców wstał na koniec i miał już odejść, lecz zatrzymał się nagle i prosił królowę o pozwolenie oddalenia się na kilka chwil w ważnym bardzo interesie.

— Idź, milordzie! — rzekła królowa. — Wiemy, że nasza bytność w twoim zamku przyczynia ci wiele kłopotów. Jeżeli jednak chcesz nas przekonać, że jesteśmy u ciebie miłym i pożądanym gościem, prosimy cię, abyś mniej myślał o naszych wygodach, a natomiast zaszczycić nas raczył weselszą twarzą; bo czy to mamy w gościnie króla, czy wieśniaka, zawsze uprzejmość gospodarza będzie najlepszą częścią przyjęcia. Idź, milordzie, spodziewamy się, że powrócisz do nas z pogodniejszym czołem i weselszą myślą, jaką zawsze miewałeś dla swych przyjaciół.

Zamiast odpowiedzi na ten przycinek, Leicester skłonił się nisko. We drzwiach spotkał go Varney, odprowadził na stronę i rzekł do ucha:

— Wszystko idzie dobrze.

— Widział ją Masters?—zapytał hrabia.

— Widział, milordzie, ale ponieważ nie chciała odpowiadać na jego pytania ani wyznać przyczyny milczenia, Masters obiecał zaświadczyć, że cierpi na obłąkanie rozumu i że wypadałoby poruczyć ją staraniu jej przyjaciół. W ten sposób zdarza się dobra sposobność wywiezienia jej z Kenilworth, jak już ułożyliśmy.

— Lecz Tressilian?

— Wywieziemy ją dziś wieczorem, a on jutro dopiero zaledwie zdoła dowiedzieć się, że jej nie ma już w zamku, ale wnet i koło niego zawiniemy się.

— Nie, na honor! — zawołał Leicester. — Ja moją własną ręką zemścić się muszę na Tressilianie.

— Ty, milordzie? Nad tak nędzną istotą? Nie, to by było za wiele, mam na niego lepsze lekarstwo. Życzył on sobie od dawna zwiedzić obce kraje. Pozwól mi zająć się jego losem, ja go tak pięknie wyprawię, że nie powróci tu nigdy odnawiać zapomnianych spraw.

— Jak możesz, Varneyu, nazywać nędzną istotą nieprzyjaciela, który zdołał mi zadać tak głęboką ranę, że całe moje dalsze życie będzie tylko ciągłym pasmem zgrzyot i niedoli. Nie, Varneyu, prędzej bym wolał odkryć prawdę Elżbiecie u stóp tronu i ściągnąć jej zemstę na siebie i na nich wszystkich, niż zaniechać prawa pomszczenia się nad tym niegodziwym człowiekiem.

Przeląkł się Varney, gdy ujrzał, że jego pan był tak gwałtownie wzburzony, iż gdyby go nie uspokoił, mógłby chwycić się tego kroku rozpacz, grożącego nieuchronną zgubą wszystkim planom ambicji, które ułożył dla jego dobra i swej własnej korzyści. Lecz hrabia zdawał się być zaciekle w gniewie i nieugięty w postanowieniu. Iskrzyły mu się oczy, nie domawiał zaczętych wyrazów i piana wystąpiła mu na usta; ale nawet w tej chwili namiętności jego zaufany przywiódł go do opamiętania się.

— Milordzie — rzekł prowadząc go przed zwierciadło — spojrzysz w to szkło. Czy ujrzysz w nim obraz człowieka zdolnego poradzić sobie w tak ważnych i nadzwyczajnych okolicznościach?

— Cóż chcesz ode mnie? — zapytał Leicester uderzony zmianą swej twarzy i obrażony śmiałością Varneya. — Cóż to? Czy jestem twoim poddanym? Twoim wasalem? Sługą mego sługi?

— Nie, milordzie — rzekł Varney dobitnie — ale bądź panem siebie samego, bądź panem własnych namiętności. Wstyd, milordzie, twemu wiernemu słudze, że musi patrzeć na to twoje postępowanie w tej okropnej burzy. Upadnij lepiej do nóg Elżbiecie, odkryj jej swoje małżeństwo, oskarż żonę i jej gacha o cudzołóstwo, wyznaj na koniec w obecności całego dworu, że twoja żona, prosta wieśniaczka, spotkawszy się ze owym uczonym i pobożnym kochankiem przyprawiła ci rogi. Idź, milordzie, ale pożegnaj się najpierw z Ryszardem Varneyem, który zrzeka się wszystkich dobrodziejstw, jakie zlałeś na niego. Służył on wspaniałemu, dumnemu, wielkiemu Leicesterowi i więcej chlubił się tym, że mu służył, niż gdyby rozkazywał tysiącom. Lecz niedołącznemu panu, którego zraza każda przeciwność, którego najrozsądniejsze plany rozwiewa lada wietrzyk namiętności, takiemu panu Ryszard Varney służyć nie myśli, bo on o tyle przewyższa go w rozwadze umysłu, o ile jest niższy od niego w bogactwach i godnościach.

Varney mówił to bez obłudy, bo choć właściwą cechą jego charakteru było okrucieństwo połączone z głęboką skrytością, czuł istotnie tę wyższość, którą się tak chełpił; a uczucie przywiązania, jakim był przejęty mówiąc o Leicesterze, natchnęło go niezwykajnym zapałem, który malował się w jego mowie i ożywił całą powierzchowność.

Leicester, pokonany wyższością Varneya, sądząc, że go opuści jego przyjaciel, wyciągnął ręce ku niemu i rzekł drżącym głosem:

— Nie opuszczaj mię! Czego żądasz ode mnie?

— Żebyś był sobą samym, moim szlachetnym panem — odpowiedział Varney przyciskając do ust rękę hrabiego. — Żebyś był sobą samym, wyższym nad te burze namiętności, które łamią pospolitego człowieka. Czyż ciebie pierwszego oszukano w miłości? Czyż ciebie pierwszego próżna i rozwiązała kobieta zwiodła udaną miłością, z której potem uczyniła sobie igraszkę? I chcesz oddawać się szalonej rozpaczycy dlatego, że nie byłeś mędrszym od najmędrszego z ludzi? Postępuj tak, jakby jej nigdy nie było, a wspomnienie o niej wymaż na zawsze z pamięci, jako że jest niegodne zajmować w niej miejsce. Niech to mocne postanowienie uczynione dziś rano, a które gorliwie i śmiało postaram się doprowadzić do skutku, będzie wyrokiem wyższej

istoty, czynem sprawiedliwości nieprzystępnej uczuciom politowania. Zasłużyła na śmierć — niech zginie.

Pod koniec tej rozmowy hrabia chwycił za rękę Varneya, zacisnął usta i zmarszczył brwi, jakby chciał nabrać od niego tej zimnej, barbarzyńskiej niezłomności, jaką mu zalecał jego powiernik. Gdy przestał mówić, hrabia trzymał go jeszcze za rękę, aż na koniec zawołał z udanym spokojem:

— Zgoda! Niech zginie! Lecz niech mi wolno będzie uronić jedną łzę.

— Nie, milordzie! — przerwał Varney, który widząc już łzę drżącą w oku swego pana lękał się, aby jego zawziętość nie rozplynęła się w tkliwych uczuciach. — Nie, milordzie!. Ani jednej łzy. Co tu po płaczu? Trzeba myśleć o Tressilianie.

— Dosyć, Varneyu! To jedno nazwisko może zmienić łyzy najrzewniejsze w potoki krwi. Roztrząsałem, postanowiłem i nic mnie od tego postanowienia odwrócić nie zdoła. Tressilian będzie moją ofiarą.

— Szaleństwo, milordzie! — rzekł Varney. — Lecz jesteś potężny, jesteś panem swojej woli. Nie śmiem zagradzać ci drogi do zemsty. Upatruj tylko sposobne miejsce i czas, i nic nie czyń, póki wszystko należycie nie będzie przygotowane.

— Uczynię wszystko, czego zażadasz ode mnie, tylko nie odradzaj mi tego, co sobie zamierzyłem.

— A zatem, milordzie, upraszam cię przede wszystkim, abyś rozjaśnił ten dziki i obłąkany wzrok, przyszedł do siebie z tego roztargnienia, które zwróciło uwagę całego dworu, mogło podać cię w podejrzenie i nigdy by ci nie uszło bezkarnie, gdyby nie to pobleżanie, jakie królowa nad miarę i zwyczaj swój rozciąga na ciebie.

— Czy tak bardzo byłem roztargniony? — zapytał Leicester. — Zdawało mi się, że zachowałem wszystkie pozory. Lecz nie lękaj się, odzyskałem już dawny spokój, już mnie nie dręczą okropne przecucia. Spełnią się przepowiednie mego horoskopu i aby dopomóc przeznaczeniu, wyteżę wszystkie władze umysłu. Nie lękaj się o mnie, raz ci jeszcze powtarzam. Idę natychmiast do królowej i tak się przed nią zachowam, że ty sam nawet nie zdołałbyś lepiej udaną wesołością pokryć wewnętrzne cierpienia. Czy masz mi co więcej jeszcze do powiedzenia?

— Chcę jeszcze prosić cię, panie, o pierścień na znak dla sług, których będzie mi nieodzownie potrzeba. To będzie dowodem, że z polecenia twego mogę im wszystko



rozkazać. Leicester zdjął z palca pierścień i oddał go Varneywi spozierając nań smutnym i zmieszanym wzrokiem; dodał nareszcie cichym, ale dobitnym głosem:

— Co masz czynić, czyń prędko.

Tymczasem długa nieobecność gospodarza napełniała niepokojem i zdziwieniem dworzan znajdujących się z królową na zamkowych pokojach i nie miała była radość jego przyjaciół, gdy go ujrzeli na koniec wracającego i tak odmienionego, jakby zrzucił z serca ogromny ciężar. Leicester dotrzymał w całej rozciągłości słowa danego Varneyowi, który ze swojej strony, nie widząc już potrzeby przybierania na siebie postaci różnej od swego naturalnego charakteru, zaczął wpadać znowu w ton lekki i uszczypliwy, jakim zwykł był popisywać się zawsze w świetniejszych towarzystwach.

Postępowanie Leicesterera z Elżbietą oznaczało teraz człowieka znającego doskonale wielkość duszy i słabostki swojej monarchini. Nie zmieniając od razu roli, odegranej przed odejściem do Varneya, umiał wpadać, nieznacznie z dawnej posepności w słodką melancholię, która rozżarzała się stopniowo płomieniem namiętnej zalotności, w miarę jak Elżbieta, litując się nad nim i pocieszając go w smutku, okazywała mu niewątpliwe dowody swej łaski. W każdym wymówionym słowie, w każdym jego spojrzeniu malowała się delikatność i zniewalające serce przywiązanie połączone z uszanowaniem, jakie poddany winien królowej. Elżbieta słuchała go z pewnego rodzaju zachwytem, miłość ukoiła w niej dbałość o władzę, zachwiało się postanowienie unikania związków tak społecznych jak rodzinnych dla wyłącznego poświęcenia się uszczęśliwieniu swego narodu, i gwiazda Dudleya zajaśniała raz jeszcze na dworskim horyzoncie.

Ale triumf odniesiony przez Leicesterera nad naturą i sumieniem nie zagłuszył wewnętrznych uczuć, budzących się przeciw czynionemu im gwałtowi. Oprócz tego trwały go do reszty inne jeszcze okoliczności, które w czasie uczt i pośród wieczornych zabaw poruszały ten nerw, którego najmniejsze drgnienie było dla niego śmiertelną męczarnią.

Wszyscy dworzanie i dworki, zgromadziwszy się po wieczery w obszernym krużganku, czekali na maskaradę mającą stanowić zabawę tego wieczora, gdy królowa przerwała tymi słowy żartobliwe przycinki Leicesterera, wymierzone przeciw lordowi Willoughby, Raleighowi i innym dworzanom:

— Każemy cię potępić, milordzie, za przestępstwo obrazy majestatu, jeżeli tak dalej zabijać nas będziesz śmiechem. Otóż i ten, co umie podług swej woli uczynić nas poważnymi — nasz uczony Masters, który zapewne przynosi nam wiadomość o biednej lady Varney. Spodziewam się, milordzie, że nas nie opuścisz w tej chwili, bo gdy rzecz idzie o nieporozumienia między małżeństwem, nie czujemy w sobie tyle doświadczenia, abyśmy mogli złagodzić tę kłótnię bez zasięgnięcia rady. Cóż myślisz, Mastersie, o zbiegłej małżonce?

Leicester miał usta ułożone do śmiechu, gdy królowa przerwała jego dowcipne żarty. Skoro zaś nadmieniła o jego nieszczęśliwej żonie, ten sam uśmiech pozostał mu na twarzy, jakby wyżłobiony dłutem Michała Anioła. Z tym samym wyrazem słuchał opowiadania doktora.

— Lady Varney, Najjaśniejsza Pani — rzekł Masters — ma początki obłąkania. Nie chciała mi odkryć stanu swego zdrowia, mówiła tylko, że wkrótce stanąć ma przed Waszą Królewską Mością i sama bronić będzie swej sprawy, a przed nikim innym tłumaczyć się nie myśli.

— Uchowaj nas, Panie! — rzekła królowa. Dostyc już ucierpieliśmy przez nieporozumienia i niezgodę, towarzyszące nieodstępnie tej nieszczęśliwej kobiecie. Nieprawdaż, milordzie? — dodała spozierając na Leicestera wzrokiem wyrażającym tkliwy żal za ranne wypadki. Leicester skłonił się, ale mimo największego przymusu nie mógł powiedzieć, że się zgadza z królową.

— Jesteś, widzę, mściwy, potrafimy ukarać cię za to w swoim czasie i miejscu. Lecz wróćmy jeszcze do tej lady Varney, tej burzycielki uciech i wszelkiej wesołości. W jakim ona stanie, Masters?

— Ma początki pomieszania, jak już powiedziałem, nie chce odpowiadać na stawiane jej pytania ani słuchać rady lekarza.

Co zaś do rodzaju tej choroby, sędzę, że to jest delirium, które jednak prędzej bym nazwał hipochondrią niż phrenesis. Zdaniem moim najlepiej byłoby odesłać ją do domu, bo w tym zgiełku dostaje zawrotu głowy i wpada w dziwaczne urojenia. I tak na przykład przywidziało jej się, że jest jakąś możną osobą: hrabiną czy księżną, i często napomyka o tym w rozmowie. Takie są marzenia tej obłąkanej kobiety.

— Tak jest — odpowiedziała królowa — niech ją stąd natychmiast wywożą. Niech Varney weźmie ją pod swoją opiekę i po ludzku z nią się obejdzie. Gdyby tu dłużej była, zobaczylibyście, że uznałaby się panią wszystkiego. Nieszczęście! Tak piękna kobieta dostała pomieszania zmysłów. Cóż myślisz o tym, hrabio?

— Nieszczęście bez wątpienia — rzekł Leicester powtarzając mimowolnie słowa królowej.

— Ale może, milordzie, nie dzielisz naszego zdania względem jej piękności? Zналиśmy wielu mężczyzn, którzy przenosili wspaniały wzrost Junony nad tę słabą omdlewającą piękność, co schyla głowę jak podcięta kosą lilia. Bo mężczyźni są tyranami, którzy znajdują więcej przyjemności w walce niż w zwycięstwie i lubią bardziej takie kobiety, które im opierać się mogą. Jestem twego zdania, hrabino Rutland i sądzę, że gdyby dano Leicesterowi za żonę taką woskową figurkę, kto wie, czyby nie życzył sobie jej śmierci zaraz po miodowym miesiącu.

To mówiąc rzuciła na Leicesterera tak tkliwe spojrzenie, że choć jego serce oburzyło się przeciw niegodziwej przewrotności, tyle jednak zadał sobie przymusu, iż szepnął do ucha Elżbiecie, że miłość jego niższą daleko była, niż zdawało się Jej Królewskiej Mości, ponieważ sięgała przedmiotu, któremu nigdy rozkazywać, ale zawsze posłuszny być musi.

Królowa zapłonęła rumieńcem i kazała mu przestać mówić, lecz znać było z jej oczu, iż spodziewała się, że nie usłucha rozkazu. Tymczasem odgłos trąb i kotłów rozlegający się z wysokiego ganku oznajmił przybycie masek i uwolnił Leicesterera od przymusu udawania, do którego przywiodła go jego własna przewrotność.

Wszystkie maski podzielone były na cztery orszaki, z których każdy składał się z sześciu osób i tyluż pachołków, niosących w ręku pochodnie. Wyobrażały one różne narody, które w różnych czasach zajmowały Anglię.

Weszli najprzód Brytanowie, a na ich czele postępowało z gałązkami w ręku dwóch druidów, których białe włosy uwieńczone były dębowym liściem.

Za nimi szły maski w towarzystwie dwóch bardów, ubranych w biel i niosących harfy, na których przygrywali czasem, śpiewając dawne pieśni, ułożone na cześć Belusa lub Słońca. Na pierwotnych Brytanów wybrano największych i najbardziej krzepkich mężczyzn spośród licznej młodzieży, przebywającej na dworze Leicesterera. Do ich

masek przyprawiono długie brody i wąsy, odziani do połowy w skóry wilków i niedźwiedzi mieli ręce i całą wierzchnią część ciała okrytą jedwabną materią cielistego koloru, na której porysowane były w dziwacznych kształtach figury ciał niebieskich, rozmaite zwierzęta i inne przedmioty; to wszystko nadawało im wielkie podobieństwo do naszych przodków, których niepodległość zniszczyli Rzymianie. Za nimi weszli synowie Rzymu, którzy zdobywszy Anglię przynieśli ze sobą początki cywilizacji. Bardzo trafnie naśladowano wysokie szyszaki, wojskowy ubiór tego sławnego narodu, lekkie, ale mocne puklerze i te obosieczne miecze, którymi podbili świat. Niesiono przodem rzymskie orły i śpiewano hymn na cześć Marsa. Z tyłu postępowali wspaniałym i poważnym krokiem antyczni wojownicy, dążący na podbój.

Trzeci orszak wyobrażał Saksonów, odzianych w niedźwiedzie skóry, które przynieśli ze sobą z lasów germańskich. Trzymali oni te straszne topory, którymi tyle klęsk sprawili, tyle rozlali krwi mieszkańców Brytanii. Przed nimi szło dwóch skaldów, śpiewając pieśni na cześć Odyna.

Wystąpili na koniec rycerze normandzcy w pancerzach i stalowych przyłbicach, z całym rynsztunkiem rycerskich czasów. Na ich czele dwaj minstrele śpiewali pieśni o wojnie i miłości.

Te cztery orszaki wchodzące w największym porządku do obszernego krążanka zatrzymały się przy drzwiach, aby widzowie mogli się im lepiej przypatrzeć, a przeszedłszy się kilka razy wokoło dla zupełnego rozwinięcia przepychu jaśniejącego w ich ubiorach uszykowały się przy przeciwnych ścianach, tak iż Rzymianie stanęli naprzeciw Brytanów, a Normanowie naprzeciw Saksonów. Rycerze ci zdawali się spoglądać na siebie zdziwionym okiem; po zdziwieniu nastąpił gniew, po gniewie pogroźki. Gdy zabrzmiała muzyka z wysokiego ganku, wszystkie narody dobyły oręż i zbliżywszy się ku sobie mierzonym krokiem wojennego tańca zmieszały się jedne z drugimi. Ocierając się o siebie wśród wyskoków zastosowanych do muzyki, sprawiały szcęk i hałas niezmierny, uderzając żelazem o brzęczące puklerze swoich nieprzyjaciół. Zabawnie było patrzeć, jak te rozmaite gromady, zachowując porządek wśród nieregularnych obrotów mieszały się z sobą i odłączywszy się znowu stawały na swoich miejscach, stosownie do tego, jak zmieniała się muzyka.

Te symboliczne tańce wyobrażały napływ i starcie się rozmaitych narodów, które w dawnych wiekach opanowały kolejno Wielką Brytanię.

Dał się nareszcie słyszeć przytłumiony głos trąby na znak rozpocząć się mającej walki albo odniesionego zwycięstwa. Ustały natychmiast tańce i udane boje, a maski, ustawione znowu w szeregi przez swych dowódców, zdawały się równie jak widzowie oczekiwać niecierpliwie na to, co miało nastąpić po odgłosie trąby.

Odemknęły się podwoje i wystąpił na scenę sławny czarnoksiężnik Merlin w dziwnym i tajemniczym ubiorze, który przypominał jego wątpliwe urodzenie i czarodziejską potęgę. Za nim i przed nim płały dziwaczne postacie, wyobrażające duchy gotowe na jego rozkazy, a ta część maskarady tak podobała się sługom i zamkowym pacholkom, że wielu z nich wtoczyło się we drzwi zapominając o uszanowaniu dla królowej.

Hrabia Leicester, widząc, że jego urzędnicy nie będą mogli powstrzymać dalszego napływu tłumu bez sprawienia hałasu, powstał z miejsca i udał się w głąb krużganku. Ale Elżbieta prosiła go ze zwykłą sobie dobrocią i przywiązaniem do ludu, aby pozwolił mu patrzeć na widowisko. Leicester oddalił się pod tym pozorem, naprawdę chciał choć na jedną chwilę sprawić sobie ulgę po trudnej pracy ukrywania wstydu, gniewu, wyrzutów sumienia i żądzy zemsty, pod zasłoną swobodnej myśli i zalotnych grzeczności. Wzrokiem i gestem nakazał spokój drużynie stojącej przy drzwiach, lecz zamiast powrócić natychmiast do królowej zmieszał się z tłumem, owinał się płaszczem i przez kilka chwil był niepostrzeżonym widzem dalszego ciągu maskarady. Merlin wyszedłszy na środek krużganku dał znak swoją czarodziejską czapką, aby naczelnicy nieprzyjaznych orszaków zgromadzili się koło niego. Po czym oświadczył im wiązaną mową, że na Wyspie Brytyjskiej panuje teraz królowa dziewica, że wołą przeznaczenia jest, aby oni wszyscy złożyli jej hołd.

Hufce, posłuszne temu rozkazowi, wyruszyły z miejsca przy odgłosie muzyki, a przychodząc kolejno do Elżbiety kłaniały się jej i oddawały hołd obyczajem dawnych narodów. Królowa przyjmowała to wszystko z ujmującą uprzejmością, która towarzyszyła jej nieodstępnie od czasu przybycia do Kenilworth.

Po przemówieniu Merlina zabrzmiała znowu muzyka i poprzebierane orszaki zaczęły wychodzić z ludnego krużganku wraz z Merlinem i innymi osobami wchodzącymi w

skład tego widowiska. Wśród tego zamieszania jakaś maska zbliżyła się do Leicestera stojącego w cizbie, pociągnęła go za suknię i szepnęła do ucha:

— Pragnę rozmówić się z tobą natychmiast.

## ROZDZIAŁ XX

Ach! cóż się ze mną dzieje, że lada szelest przeraża mnie trwogą.

Szekspir Makbet

„Pragnę rozmówić się z tobą natychmiast”. Te wyrazy nie miały w sobie nic strasznego, ale Leicester, dręczony okropnymi przecuciami, lękał się najpospolitszych zdarzeń. Niepewny, co mogą znaczyć takie słowa, obrócił się szybko dla przypatrzenia się osobie, która z nim pomówić chciała. Nie było nic znaczącego w jej powierzchowności; miała na sobie czarny krótki płaszczyk i czarną maskę na twarzy i zdawało się, że należała do mnogiego orszaku masek, które wysypały się za Merlinem po krążganku, choć nie widać na niej było żadnych śmiesznych dodatków, jakimi tamte były upstrzone.

— Kto jesteś i czego potrzebujesz ode mnie?—rzekł Leicester zdradzając głosem wewnętrzne poruszenie.

— Nic złego, milordzie — odpowiedziała maska — przekonasz się, owszem, że dobrze ci życzę, jeżeli tylko wysłuchać mię zechcesz, ale muszę mówić z tobą na osobności.

— Nie mogę mówić z nieznaną osobą, która nie zdradza nazwiska, ci zaś, co mi są znani, a życzą sobie ze mną mówić, powinni wybierać stosowniejszy czas ku temu.

I chciał już odejść, lecz maska go zatrzymała.

— Ci, którzy chcą mówić z waszą dostojnością o tym, co obchodzi jego honor, mają prawo do jego czasu, chociażbyś nawet dla wysłuchania ich miał zaniechać najważniejszych zatrudnień.

— Jak to! Mój honor? Kto śmie wątpić o nim?

— Twoje postępowanie, milordzie, podaje go w wątpliwość i to jest właśnie, o czym chciałbym z tobą pomówić.

— Zuchwalcze! Nadużywasz mej gościny wiedząc, że nie mogę cię ukarać, jak zasługujesz. Twoje nazwisko?

— Edmund Tressilian, z Kornwalii—odpowiedziała maska. — Usta moje związane były przez dwadzieścia cztery godziny uczynionym przyrzeczeniem; już upłynął ten

czas, mogę już mówić teraz i przez wzgląd na waszą dostojność, do niego najpierw mowę moją kieruję.

Leicester osłupiał ze zdziwienia słysząc nazwisko człowieka, którego nienawidził i który, jak mu się zdawało, wyrządził mu śmiertelną obelgę, lecz wkrótce poczuł w sobie żądzę zemsty tak mocną i gwałtowną, jak pragnienie dręczące podróżnego pośród skwarnej pustyni. Tyle jednak miał mocy nad sobą, że nie utopił żelaza w sercu zuchwałego nieprzyjaciela, który przywiódłszy go do rozpaczy, śmiał z taką bezczelnością próbować jeszcze, jak daleko sięgała jego cierpliwość. Umyśliwszy przytłumić na chwilę swoje wzruszenie, aby tym lepiej mógł wyrozumieć zamiysł Tressiliana i zapewnić sobie zemstę, zapytał głosem trudnym niemal do zrozumienia od tłumionej wściekłości:

— Czegóż chce ode mnie pan Tressilian?

— Sprawiedliwości, milordzie — odpowiedział Tressilian spokojnie ale dobitnie.

— Sprawiedliwości! Każdy człowiek ma prawo domagać się jej, osobliwie ty, panie Tressilianie, i bądź pewny, że ci będzie wymierzona.

— I któż by, znając szlachetną duszę milorda, mógł sądzić inaczej? Ale rzecz nie cierpi zwłoki. Muszę z wami pomówić tej jeszcze nocy. Mogę przyjść do waszego pokoju?

— Nie — odpowiedział Leicester oburzony tymi ostatnimi słowami — nie w żadnym domu, nie w moim domu, ale pod niebieskim sklepieniem zejdziemy się z sobą.

— Milord gniewa się, widzę, chociaż nie dałem mu żadnego powodu do gniewu. Mniejsza o miejsce naszego widzenia się, jeżeli tylko dasz mi pół godziny.

— Nie potrzeba ci będzie tak długiego czasu — odpowiedział Leicester — zobaczymy się w ogrodzie, skoro królowa oddali się do swych pokojów.

— Dosyc mi na tym — rzekł Tressilian i wyszedł zostawiając Leicesterera w jakimś odurzeniu, które przez kilka chwil opanowało jego duszę.

— Niebo na koniec — rzekł do siebie — wysłuchało próśb moich; sam się nawija ten nikczemnik, który mię okrył hańbą i zadał tyle bolesnych udrczeń. Nie będę uskarżał się teraz na przeznaczenie, ponieważ podało mi środki odkrycia chytrych jego podstępów, którymi i teraz jeszcze chce mię uwieść; potrafię zawstydzić i ukarać



zbrodnię. A teraz chodźmy do królowej, najdalej o północy wybije godzina mojej zemsty!

Gdy te myśli snuły mu się po głowie, wszedł znowu między rozstępujące się przed nim tłumne orszaki i zajął zwyczajne miejsce obok królowej. Lecz gdyby serce tego, któremu wszyscy zazdrościli, można było otworzyć przed dworzanami i przedniejszą szlachtą licznie napełniającą zamkowe pokoje, gdyby można było wydać na jaw czarne uczucia niegodnej ambicji, zdradzonej miłości, okrutnej zemsty i rozmyślnej zbrodni, które szalały w jego sercu jak widma piekielne w zaczarowanym kole, któż by poczynając od najdumniejszego dworaka do najlichszego służalca, któż by, pytam, chciał zamienić się swoim miejscem z ulubieńcom Elżbiety, panem Kenilworthu?"

W towarzystwie królowej czekały na niego nowe udręczenia.

— W sam czas przybywasz, milordzie — rzekła do niego — dla rozstrzygnięcia sporu między naszymi damami. — Sir Ryszard Varney prosi nas o pozwolenie wyjechania z zamku ze swoją żoną i ty zapewne zgodzisz się na to, jeżeli przystaniemy na jego żądanie. Nie jest zaiste zamiarem naszym odwozić go od tych świętych obowiązków ani przytłumiać w nim politowania nad stanem nieszczęśliwej, ale też z drugiej strony masz wiedzieć, że dnia dzisiejszego sir Ryszard zajął się mocno wdziękami naszych dam dworskich i w całej rozciągłości rozwinął swoją zalotność. Z tego powodu utrzymuje hrabina Rutland, że nie dalej odwiezie swoją żonę jak do jeziora, że ją wtrąci w bezdenną przepaść, aby znalazła mieszkanie w tych kryształowych pałacach, o których wspominała nam zaczarowana nimfa i że sam powróci wesołym wdowcem, by otrzeć łzy i nagrodzić stratę między naszymi damami. Cóż na to mówisz, milordzie? Widzieliśmy Varneya w kilku odmiennych postaciach, lecz ty, który lepiej znasz jego charakter, czy sądzisz, aby był zdolny wypłatać takiego figla swej żonie?

Zmieszał się Leicester, lecz niebezpieczeństwo było groźne, odpowiedź konieczna.

— Te damy — rzekł — zbyt lekkomyślnie sądzą o swej płci, jeżeli przypuszczają, aby kobieta zasłużyć mogła na los tak okrutny, a niesprawiedliwie o naszej, jeżeli twierdzą, że mężczyzna potrafiłby wykonać tak okropną zbrodnię.

— Słyszycie, moje panie, hrabia, obrońca mężczyzn, chciałby uniewinnić ich okrucieństwo względem kobiet przypisując nam niestałość.

— Nie mów nam, Najjaśniejsza Pani — odpowiedział Leicester. — Mówimy tylko, że pospolite kobiety, jak mniejsze światło na niebie, mają swoje obroty zmienne, ale ktoś by obwinał słońce o zmienność albo Elżbietę o niestałość?

Wkrótce potem skierowała się rozmowa na mniej niebezpieczne tematy. Utrzymawał ją i ożywiał Leicester pomimo srogich udręczeń trapiących jego serce, a Elżbieta tak ją sobie upodobała, że chociaż już wybiła dwunasta na zamkowym zegarze, ona znajdowała się jeszcze na bawialnych pokojach, co rzadko kiedy bywało. Na koniec udała się na spoczynek, a za nią rozeszli się wszyscy po obszernych komnatach pałacu, gdzie każdy marzył o zabawach i rozkoszach dnia minionego i uprzedzał myślą jutrzejsze rozrywki.

Tylko nieszczęśliwy pan Kenilworthu, sprawca tych wspaniałych uroczystości, inne miał myśli, różne zajęcia. Skoro wszedł do swego pokoju, wysłał zaraz służącego po Ryszarda Varneya; ale posłaniec powróciwszy w kilka chwil oświadczył, że sir Ryszard przed godziną wyjechał z zamku tylną bramą z trzema osobami, z których jedna zamknięta była w konnej lektyce.

— Jak mógł wyjechać po rozstawieniu warty? —apytał Leicester. — Sądziłem, że dopiero za dnia wyjedzie!

— Podał strażnikowi ważne przyczyny — odpowiedział pokojowy — i jak słyszałem, pokazał mu sygnet waszej dostojności.

— Tak jest... tak jest — rzekł hrabia — lecz się trochę pośpieszył. Czy został tu kto z jego ludzi?

— Michał Lamburn, którego nie można było znaleźć, gdy odjeżdżał sir Ryszard. Jego pan gniewał się mocno, że go nie było. Widziałem go niedawno, jak siodłał konia. Podąży za nim zapewne.

— Każ mu tu przyjść natychmiast. Wszedł pokojowy, a Leicester zaczął przechadzać się zatopiony w głębokim zamyśleniu.

— Varney — rzekł do siebie — jest nadto gorliwy, nadto prędki; zdaje mi się, że jest do mnie przywiązany, lecz ma on także swoje zamysły i w wykonaniu ich jest nieubłagany. Za moją wielkością idzie i jego wyniesienie, i dlatego pragnął od dawna i teraz pokwapił się uprzętnąć tę przeszkodę do osiągnięcia królewskiej godności! Nie! Nie chcę być narzędziem jego dumnych zamiarów. Wymierzmy jej zawsze zasłużoną

karę, ale z większą rozwagą. Przeczuwam już, że te przyśpieszone środki rozniecą w moim sercu piekielne płomienie. Nie! Dosyć będzie na raz jednej ofiary, a ta ofiara czeka już na mnie.

Wziął pióro i napisał śpiesznie następujący list:

„Sir Ryszard Varney!"

„Postanowiliśmy odłożyć wykonanie danego Ci polecenia i rozkazujemy najsurowiej nic nie przedsięwziąć względem naszej hrabiny bez dalszych rozkazów. Rozkazujemy Ci także powrócić natychmiast do Kenilworth, skoro zabezpieczysz skarb powierzony twoim staraniom. Gdyby zaś to dłużej zatrzymać Cię miało, w tym przypadku przyślesz nam pierścień przez pewnego i zaufanego człowieka, w tych bowiem czasach nie możemy obejść się bez niego. Oczekując ścisłego dopełnienia naszych rozkazów i polecając Cię łasce Boga, zostajemy twoim dobrym przyjacielem i przywiązanym panem.

R. Leicester.

Dan w zamku naszym Kenilworth, 10 lipca, roku Pańskiego 1575."

Gdy Leicester kończył i pieczętował list, pokój owy tymczasem przyprowadził Michała Lamburna, który wszedł w butach po same biodra, przepasany szerokim rzemieniem i w czapce pilśniowej.

— Kim ty jesteś? — zapytał go hrabia.

— Koniuszym u wielkiego koniuszego waszej dostojności — odpowiedział Lamburn ze zwyczajną sobie rubasnością.

— Schowaj te żarty — rzekł Leicester. — Co uchodzi z Varneyem, nie uchodzi ze mną. Jak prędko spodziewasz się dopędzić swego pana?

— Za godzinę, milordzie, jeżeli koń i jeździec wytrzyma — odpowiedział Lamburn, zmieniając z nagłą zamaszystość zbliżającą się do poufałości na postawę głębokiego szacunku.

Hrabia zmierzył go okiem od stóp do głów:

— Słyszałem o tobie — rzekł do niego — żeś sprawny do posługi, ale że często lubisz zapijać się i wdajesz się w burdy, dlatego trudno użyć cię w ważnym interesie.

— Byłem żołnierzem, majtkiem i awanturnikiem, a to są rzemiosła, w których człek tak rozrządza czasem, by użyć wszystkiego dzisiaj, ponieważ nigdy nie jest pewny

jutra. Lecz chociaż mogłem użyć na złe moich wolnych chwil, nigdy jednak nie zapomniałem o tym, com winen memu panu.

— Pamiętaj, żeby to, co mówisz, sprawdziło się w tej okoliczności, a nie pożałujesz. Oddaj ten list jak najprędzej do rąk Ryszarda Varneya.

— I nic więcej? — zapytał Lamburn.

— Nic — odpowiedział hrabia — ale mi wiele na tym zależy, aby to polecenie prędko i gorliwie wykonane było.

— Nie będę oszczędzał ani siebie, ani konia — rzekł Lamburn i wyszedł z pokoju.

— Otóż czym się skończyła ta tajemna audiencja, po której obiecywałem sobie złote góry — mrucał sam do siebie idąc długą galerią i schodząc na dół. — Do krośset diabłów! Sądziłem, że hrabia użyje mię w jakiejś tajemnej intrydze, a on mię posyła z listem! Wykonam jednak, co mi rozkazał, bo to może przydać mi się na potem, jak dobrze powiedział milord. Dziecko, nim zacznie chodzić, musi wprzód raczkować, podobnie czynić winien nowicjusz na dworze. Lecz zajrzyjmy do listu.

Przyłożywszy go do oka, spojrzał we środek i zawołał z uniesieniem:

— Nasza hrabina... nasza hrabina, wybornie! Mam go już, mam; odkryłem sekret, co mnie albo zgubi, albo panem uczyni. Wychodź, Bayardzie! — dodał wyprowadzając konia ze stajni — Wychodź, bo moje ostrogi odnowią niezadługo dawną znajomość z twymi bokami.

To mówiąc dosiadł konia i wyjechał tylną bramą. Gdy Lamburn i służący wyszli z pokoju, Leicester zmienił wspaniałe szaty na powszedni ubiór, owinął się płaszczem i wzięwszy w rękę lampę zszedł po tajemnych schodach do furtki wychodzącej na dziedziniec nie opodal ogrodowej bramy. Nigdy jeszcze w ostatnich czasach nie był tak spokojny ani tak niezachwiany w postanowieniu, starał się nawet dla uniewinnienia swoich czynów przybrać we własnych oczach charakter bardziej ukrzywdzonego niż krzywdzącego człowieka.

„Wyrządzono mi śmiertelną obelgę — taka była osnowa jego rozmyślań — a jednak powstrzymałem się od zemsty, na tym tylko przestając, co jest szlachetne i wspaniałe. Ale ten związek, zhańbiony w jednym dniu przez tę fałszywą kobietę, miałby mię krępować i wstrzymywać w zamiarze, do którego mię powołują moje przeznaczenia? Nie, ale są inne sposoby na rozerwanie tych węzłów, bez przecięcia

pasma żywota. W oczach Boga nie może mię obowiązywać związek, który ona sama stargała. Królestwa dzielić nas będą, morza rozleją się między nami, a ich otchłanie pochłoną na zawsze tę okropną tajemnicę".

Podobnym rozumowaniem starał się pogodzić swoje sumienie z planami zemsty i widokami ambicji, które tak ściśle splątały się ze sprawami jego życia, że nie mógł nawet pomyśleć o tym, aby kiedykolwiek przyszło mu się z nimi rozłączyć, i dopóty nie przestał przekonywać się, dopóki jego zemsta nie wystąpiła przed nim w barwie sprawiedliwości a nawet szlachetnego umiaru.

W takim usposobieniu dumny i mściwy hrabia wszedł do ogrodu, nad którym świecił właśnie księżyc w całej pełni. Posadzki, balustrady i architektoniczne ozdoby z białego ciosanego kamienia odbijały ze wszystkich stron szeroko rozlane żółtawe światło i nie było widać ani jednej chmurki na niebieskim sklepieniu, a cała okolica w tak żywych jaśniała kolorach, jak gdyby przed chwilą zaszło słońce. Liczne posągi z marmuru bieleły w tym świetle jak cienie umarłych, które niedawno powychodziły z grobów osłonięte śmiertelnym całunem. Liczne fontanny wyrzucały w górę swe wody, by je osrebrzył promień księżycy, nim spadając na dół rozsypią się w krople błyszczącego metalu. Dzień był parny i miły wietrzyk nocny nie wiał mocniejszym tchnieniem niż powiew wachlarza młodej damy. Ptaki, zwabione miłym ustroniem, wiosną jeszcze usłały sobie gniazda w przyległych gajach, a teraz, nagradzając dzienne milczenie, napępiały powietrze śpiewem, nucąc głośno lub kwiląc żałobnie, to znowu łącząc wspólne głosy w jedną pieśń wesołą, która zdawała się być wyrażeniem ich zachwyty nad pięknem i ciszą natury, ożywionej ich melodyjnym śpiewem.

Rozmyślając o innych rzeczach niż fontanny, światło księżycy czy śpiew słowików, Leicester owinięty płaszczem i z pałaszem pod ręką przechadzał się po alei powolnym krokiem, nie widząc żadnej ludzkiej istoty.

— Byłoby to winą mojej własnej wspaniałomyślności — mówił do siebie — gdyby mi się wymknął ten złoczyńca, a może nawet odbił swoją kochankę, nie bardzo mocno strzeżoną.

Ale to podejrzenie usunął wkrótce widok człowieka wchodzącego do ogrodu.

„Czy mam go uderzyć przed usłyszeniem jego przekłętogo głosu? — pomyślał Leicester porywając za rękojeść. — Nie, zobaczymy wprzód, dokąd zmierzają jego

niegodziwe zamiary. Muszę przypatrzeć się, choć z odrazą, wszystkim podstępom tej plugawej gadziny, nim ją rozgniotę moim ciężarem".

Opuściwszy rękę zbliżył się do Tressiliana, przymuszając się do obojętności i panowania nad sobą. Stanęli na koniec jeden przed drugim.

Tressilian skłonił się z głębokim uszanowaniem, na co hrabia odpowiedział nieznacznym skinieniem głowy.

— Chciałeś pomówić ze mną na osobności — rzekł do niego. — Jestem i słucham.

— Milordzie — odpowiedział Tressilian — to, co ci mam powiedzieć, tak mię żywo obchodzi i tak gorąco pragnę, byś cierpliwie i łaskawie wysłuchać raczył, że zacznę od usprawiedliwienia się z tego wszystkiego, co by cię przeciwko mnie uprzedzić mogło. Uważasz mię podobno za swego nieprzyjaciela ?

— Czy nie mam do tego pewnych powodów?—odparł Leicester widząc, że Tressilian oczekiwał odpowiedzi.

— Krzywdzisz mię, milordzie. Jestem przyjacielem hrabiego Sussexa, którego na dworze nazywają twoim rywalem, ale nie jestem jego zausznikiem, wreszcie od dawna już spostrzegłem, że dwór i jego intrygi nie zgadzają się z moim charakterem ani sposobem myślenia.

— Wierzę temu — odpowiedział Leicester. — Są inne zatrudnienia, godniejsze uczonego człowieka, za jakiego powszechnie ciebie mają, panie Tressilianie, wszak miłość równie jak ambicja ma swoje intrygi,

— Przywiązujesz widzę, milordzie, wielką wagę do moich dawniejszych związków z nieszczęśliwą kobietą, o której mam ci mówić teraz i może sądzisz, że przychodzę bronić jej spraw, bardziej w duchu niezgody niż sprawiedliwości?

— Nie wchodzę w powody waćpana; mów, co masz mówić. Dotąd mówiłeś mi tylko o sobie, ważny to zaiste przedmiot, ale nie dla mnie ciekawy, bym miał przychodzić tu wśród nocy i rozprawiać o nim z waćpanem. Przystąp wprost do rzeczy, jeżeli tylko to, co masz mi powiedzieć, mnie tyczy. Gdy skończysz, będę miał także z mojej strony cokolwiek do powiedzenia.

— Jeżeli mam mówić bez żadnej obsłony, jak sam tego żądasz, wzywam cię najprzód, milordzie, abyś mi zdał sprawę z tego wszystkiego, co się stało z nieszczęśliwą Amelią Robsart, której historia aż nadto jest ci znajoma. Żałuję mocno, że od razu

nie udał się do ciebie i nie uczynił cię sędzią między mną a jej niegodnym mężem, który wyrządził jej tak ciężką krzywdę. Wymknęła się ona z okropnego więzienia, gdzie jej życie było w niebezpieczeństwie, a spodziewając się zmiękczyć swymi prośbami okrutnego małżonka wymogła na mnie, żem jej przyrzekł nic nie przedsięwziąć na jej obronę, póki sama nie użyje wszystkich środków mogących skłonić jej niegodziwego męża do uznania praw...

— Mospanie! — przerwał Leicester. — Zapominasz, z kim mówisz!

— Mówię o jej niegodnym małżonku — powtórzył Tressilian — nie myślę nazywać go inaczej. Ale gdzie się podziała ta nieszczęśliwa istota? Może ją wtrącono do więzienia, może zawieziono tam, gdzie łącniej wykonać zbrodnicze zamiary. Trzeba temu zaradzić, milordzie — mam prawo wymagać tego, bo mię upoważnił jej ojciec. Żądam nadto, aby to nieszczęśliwe małżeństwo zostało uznane w obecności królowej, a Amelia była oswobodzona z niewoli, w jakiej ją dotąd nielitościwie trzymają. Pozwól sobie powiedzieć, że nikogo więcej obchodzić nie powinno nad waszą dostojność, aby zadość się stało tym moim słusznym żądaniom.

Hrabia osłupiał na tę zimną krew, z jaką człowiek, który w jego mniemaniu obraził go śmiertelnie, bronił sprawy swej kochanki, jak gdyby ona była niewinną kobietą, a on bezinteresownym obrońcą. Nie mniejsze było jego zdziwienie, gdy usłyszał, z jakim zapalem Tressilian obstawał przy nadanych jej zaszczytach i korzyściach, których część, jak się zdawało hrabiemu, przeznaczał dla siebie za to, że z taką bezczelnością popierał jej sprawę.

Tressilian milczał kilka chwil, nim Leicester zdołał przyjść do siebie. Wiedząc jak hrabia był doń uprzedzony, dziwić się nie będziemy, dlaczego tak łatwo uniósł się gniewem zapomniawszy o wszystkich innych względach.

— Słuchałem cię cierpliwie — rzekł do niego — dziękuję Bogu, że mnie zachował do tej godziny od usłyszenia głosu tak bezczelnego zbrodniarza. Przystoi bardziej, żeby miecz katowski ukarał takiego złoczyńcę aniżeli pałasz uczciwego człowieka... Broń się, nędzniku!

Domawiając tych słów zrzucił płaszcz na ziemię, uderzył mocno Tressiliana nie dobytym jeszcze pałaszem i stanął w postawie nacierającego. Gwałtowny wybuch gniewu, obelżywe wyrazy napełniły Tressiliana takim zdziwieniem, jakim był

przejęty, gdy słuchał jego przemowy. Ale to zdumienie przytłumiła śmiertelna nienawiść, gdy po nie zasłużonych obelgach hrabia targnął się na jego osobę prawie podstępem.

Tressilian dobył także pałasza, a choć mniej biegły od swego przeciwnika w sztuce władania orężem, potrafił dotrzymać mu placu, gdyż był silny, zręczny i miał więcej zimnej krwi od Leicestera, nie mógł bowiem przypisać czemu innemu jego postępowania jak zupełnemu szaleństwu.

Walka trwała już od kilku minut, a żaden jeszcze z potykających się nie odniósł rany, gdy nagle dały się słyszeć głosy i stapania kilku ludzi śpiesznie dążących ku nim.

— Mamy przeszkodę — rzekł Leicester — chodź ze mną. W tej samej chwili jeden z nadchodzących rzekł donośnym głosem:

— Prawdę mówisz, tu się ktoś rąbie. Tymczasem Leicester zaprowadził Tressiliana w głąb lasu, gdzie przez nikogo nie postrzeżeni ujrzeli sześciu lub siedmiu ludzi ze straży; słyszeli nawet, jak jeden z nich mówił do swych towarzyszy:

— Znajdźże tu kogo, bądź mądry, pośród tylu kryjówek, a do tego jeszcze w nocy. Jeżeli ich nie połapiemy doszedłszy do końca tej alei, moja rada wrócić z powrotem i postawić wartę przy bramie. Tym sposobem jutro rano złapiemy ich jak swoich.

— Piękne rzeczy, nie ma co mówić — rzekł drugi. — Rąbią się tuż pod bokiem królowej i w jej nawet pałacu, można powiedzieć. Dałbym gardło, że to muszą być jacyś ichmościowie, co się wczoraj porządnie popili, a teraz hałasują po nocy. Żal by mi było spotkać tych panów, wszak niechybne ucięcie ręki za dobyte pałasza w bliskości królowej, nieprawda? Przykra to rzecz stracić rękę za to, że się ktoś porwie do korda w obronie życia albo honoru.

— A i tobie trafia się czasem zrobić burdę — rzekł inny. — Strzeż się, jak ci Bóg miły, bo prawo takie jest właśnie, jak powiedziałeś.

— Co też ty pleciesz — rzekł pierwszy — to prawo nie stosuje się do tego miejsca, bo to nie jest pałac królowej, ale hrabiego Leicestera.

— To nic nie znaczy; kara byłaby zawsze karą. Wiem, że nasza pani jest królową, niech ją Bóg błogosławi, ale też i hrabia Leicester jest już jakby królem.

— Dajże spokój — rzekł trzeci. — Skąd wiesz, że tu nas nikt nie podsłucha?



Przeszli się raz jeszcze po ogrodzie, zajęci bardziej własną rozmową niż odszukaniem osób, które zakłóciły spokój nocy. Skoro wyszli za bramę, Leicester dawszy znak Tressilianowi, aby udał się za nim, przekradł się na przeciwną stronę przez nikogo nie postrzeżony. Zaprowadził go potem do wieży Mervyna i przed rozłączeniem się z nim rzekł mu te słowa:

— Jeżeli masz odwagę dokończyć to, czego nam dokończyć nie dano, pozostań tu, póki goście się nie rozjadą. Znajdziemy czas, a ja cię uwiadomię, kiedy będzie najsposobniejsza pora.

— Milordzie — odpowiedział Tressilian — w innych okolicznościach pytałbym cię o przyczynę tego wściekłego gniewu, ale obelga, jakąś mi wyrządził, krwią tylko jedną zmyta być może. Choćbyś nawet wyniósł się na najwyższy stopień, do którego nigdy wzdychać nie przestajesz, musiałbyś uczynić zadość memu obrażonemu honorowi.

Na tym się rozeszli, ale przygody nocne nie skończyły się jeszcze dla Leicesterera. Nie mógł wejść do tajemnego korytarza prowadzącego do jego pokoju jak tylko przez wieżę Saint-Lowe, gdzie w samych drzwiach spotkał lorda Hunsdon, na półubranego, z gołym pałaszem pod pachą.

— I ciebie także, milordzie, obudził nocny hałas? — rzekł stary żołnierz. — Ależ, do kroćset diabłów, w tym twoim zamku i w nocy tak tłumno, tak huczno jak we dnie. Przed dwiema może godzinami wybiły mię ze snu jęki tej nieszczęśliwej lady Varney, którą mąż wywoził stąd gwałtem. Gdyby mię nie wstrzymywała wola królowej, powiadam ci otwarcie, że rozwaliłbym łeb twemu ulubieńcowi. Zaledwie tanto ucichło, a już słyszę znowu jakieś krzyki w ogrodzie.

Pierwsza część przemówienia lorda Hunsdon przeszła jak nożem serce hrabiego, na drugą odpowiedział, że i on także słyszał szcęk broni i wyszedł umyślnie, aby złapano tych zuchwalców, którzy śmieli bić się tak blisko królowej.

— Kiedy tak — odpowiedział Hunsdon — spodziewam się, że mi wasza dostojność towarzyszyć raczysz.

Leicester chcąc nie chcąc musiał powrócić do ogrodu, gdzie Hunsdon dowiedział się od Yeomenów ( straż szlachecka) zostających pod jego bezpośrednimi rozkazami, że niepodobna było odnaleźć sprawców nocnej burdy. Za ich trudy poczęstował ich dziesiątkiem dosadnych przekleństw, nazywając śpiochami i darmożjadami. Leicester

gniewał się niby, że nikogo nie pojmano, lecz w końcu dał do zrozumienia lordowi Hunsdon, że to być musieli jacyś z dworskiej hałustry, co sobie wczoraj podpili i którym dostateczną karą będzie przestach, jakiego musieli doświadczyć słysząc, że ich szukano.

Hunsdon, niezbyt zaciekły wróg butelki, przyznał, że wino może uniewinnić wielką liczbę głupstw, których bywa powodem.

— A jednak — dodał — jeżeli wasza dostojność będzie tak hojny w swoim domu, jeżeli tak bez pomiarkowania szafować będzie winem, piwem i rozmaitymi trunkami, przewiduję, że będę musiał brać do kozy podobnych ichmościów i kazać im trzepać skórę. Tymczasem życzę wam dobrej nocy.

Leicester pożegnawszy się z nim we drzwiach wieży Saint-Lowe, tam właśnie, gdzie go był spotkał, wyszedł na tajemny korytarz i wzięwszy lampę, którą zostawił na schodach, powrócił do siebie przy jej dogorywającym świetle.

## ROZDZIAŁ XXI

Precz! Precz mi z drogi! Ostrzegam, wołam,  
Bo skoro ujrzy zamek książęcy,  
Koń się mój wspina, leci — i więcej  
Wstrzymać, skierować już go nie zdołam,  
Albowiem, mówiąc wam prawdę, dla jego zalety,  
On się rodził za czasów królowej Elżbiety,  
Gdy jej Leicesler świetne wyprawiał bankiety.

Beniamin Jonson

Zabawa przygotowywana na dzień jutrzejszy dla królowej i jej dworu miała być przedstawieniem utarczki Anglików z Duńczykami. Wykonawcami byli wierni i waleczni mieszkańcy Coventry, stosownie do dawnego zwyczaju zachowanego w ich miasteczku, o którym nawet czytać można w księgach starych dziejopisów i kronikarzy.

W widowisku tym mieszkańcy podzieleni na dwie grupy, Duńczyków i Saksonów, przypominali w twardych wierszach i twardszymi jeszcze razami zajścia i kłótnie między tymi dzielnymi narodami; sławili też odwagę angielskich amazonek, które, jak mówi historia, najwięcej się przyczyniły do zupełnego wytepienia Duńczyków w Hocktide roku Pańskiego 1012. Igrzyska te, stanowiąc od dawna ulubioną rozrywkę mieszkańców Coventry, bywały zakazane przez gorliwych kapłanów surowego obrządku, którzy mieli wpływ na władzę krajową. Lecz wszyscy prawie mieszkańcy zanieśli prośbę do królowej, aby im wróciła narodowe zwyczaje i zaszczycić raczyła ich zabawy swoją królewską osobą. A gdy roztrząsano tę prośbę w mniejszej radzie, która zawsze towarzyszyła Elżbiecie dla załatwienia bieżących spraw, wielu członków opierało się wniesionemu podaniu, ale sama królowa przyjęła je łaskawie.

Mówiła ona, że takie niewinne zabawki mogą zająć niejednego, który by bez nich szukał sposobności przepędzenia wolnych chwil na szkodliwych uciechach. Pasterze ludu, choć zasłaniający się światłem i bogobożnością, zbyt surowo powstawali jej zdaniem przeciwko rozrywkom swej trzody.

Po wczesnym śniadaniu, które pan Laneham nazywał śniadaniem tchnącym ambrosją, przedniejsi panowie w towarzystwie królowej zebrali się na wieży opasanej Galerią, oczekując zbliżenia się dwóch nieprzyjaznych narodów. Na dany znak otworzyła się brama prowadząca do zwierzyńca i wysypała się na dziedziniec cała czereda pieszych i jezdnych wojowników. Byli to bogatsi mieszczenie i rolnicy poubierani w dziwaczne stroje dla wyobrażenia szlachty i rycerzy dwóch rozmaitych narodów. Dla zapobieżenia jednak wypadkom nie wolno im było wjeżdżać na prawdziwych koniach, ale tylko na drewnianych, które w dawniejszych czasach stanowiły ozdobę mauretańskiego tańca. Potem szła piechota w równie dziwacznych ubiorach. Całe to przedstawienie, wznowione na pamiątkę sławnej rzezi Hocktide, w którym obok szlachty brali udział mieszczenie i chłopci, można było uważać za rodzaj parodii poważniejszego i wspanialszego widowiska, aktorzy bowiem byli ludźmi niższego stanu, a ich ubiory tym stosowniejsze do okoliczności, im bardziej pobudzały do śmiechu. Nie wdając się w opisywanie całego ich rynsztunku i stroju, powiemy tylko, że byli uzbrojeni w oręż, mogący od razu zwalić z nóg najsilniejszego nieprzyjaciela. Każdy z nich zamiast dzidy trzymał w ręku długą tyczkę, a zamiast pałasza miał pałkę u boku. Co się zaś tyczy zbroi, piechota równie jak konnica zaopatrzona była w tegie przyłbice i puklerze z grubej skóry.

Kapitan Coxe, znany pisarz humorystyczny z Coventry, którego zbiór ballad, almanachów i drobnych opowieści teraz jeszcze chciwie bywa poszukiwany przez antykwariuszy, ten autor płodny w pomysły przy uroczystościach podobnego rodzaju, sam prowadził teraz całe widowisko. Dumny swoją wielkością, jak powiada Laneham, jechał odważnie na drewnianym koniu prowadząc za sobą liczne zastępy Anglików i wywijał długim orężem, jak przystało na męża doświadczonego w boju, który walczył pod ojcem królowej w czasie oblężenia Boulogne.

Ten wódz znamienity wjechał pierwszy w szranki, jak tego wymagał obyczaj, i przeprowadził raz i drugi swoje hufce naokoło Galerii, a składając hołd królowej pocałowaniem rękoięści pałasza, takiego dał susa, jakiego może nikt dotąd nie wykonał na drewnianym rumaku. Potem ściągawszy w jedno miejsce wszystkie swoje wojska, konne i piesze, ustawił je do boju na końcu mostu, czekając póki nieprzyjaciel nie uporządkuje swych szeregów.

Czekał niedługo: wojska duńskie, złożone równie z jazdy i piechoty, nie ustępując angielskim w liczbie, odwadze i wojennym rynsztunku, przybyły wśród odgłosu północnych instrumentów, grających narodowe pieśni, prowadzone przez wodza jeżeli nie równego kapitanowi Coxe, to na pewno niewiele ustępującego mu w wojennym rzemiośle. Duńczycy, jako strona napastnicza, uszykowali się pod Galerią naprzeciwko wieży Mortimera, a gdy już wszystko było gotowe, dano znak do boju.

W pierwszym spotkaniu obie strony okazały dosyć umiarkowania, bo tak jedni jak i drudzy lękali się, aby nie wpaść w jezioro. Lecz gdy im przybyły posiłki, wówczas z utarczki urosła walna i krwawa bitwa. Rzucali się na siebie, świadczy pan Laneham, jak barany rozpalone zawiścią i tak się starli zapalczywie, że gdy jeden drugiemu nie ustępował z placu, często obydwaj walczący padali na ziemię, a ich dębowe pałki uderzając o puklerze wydawały okropny łoskot. Przytrafiło się wreszcie to, czego się lękali doświadczęsi wodzowie. Poręcze po bokach mostu, które może umyślnie tak słabo były umocowane, nie mogąc wytrzymać stale wzrastającego natłoku, zwały się w jezioro, a za nimi wielu rycerzy znalazło się w kąpielu. Ten wypadek mógłby sprawić większą szkodę, niż przystało w bitwie tego rodzaju, wielu bowiem, którym przypadł on w udziale, nie umiało pływać, a ci co umieli, nie mogliby się ratować skrzepowani skórzaną i papierową zbroją. Przewidziano jednak wszystko i przygotowano kilka łodzi dla zabrania nieszczęśliwych wojowników i przewiezienia na stały ląd, gdzie przemokli znajdowali pociechę i pokrzepienie w grzanym winie i mocnych trunkach, którymi ich hojnie częstowano. Nie okazywali oni już wielkiej ochoty do rozpoczynania dalszej walki.

Sam tylko kapitan Coxe zleciawszy dwa razy z koniem w jezioro, ciągle chciwy przygód, jakich doświadczali nieraz sławni bohaterowie czasów rycerskich: Amadis, Belianis, Bevis i sam Guy de Warwick, których czyny naśladować pragnął, powtarzamy raz jeszcze, sam tylko kapitan Coxe, dwakroć doznawszy podobnego przypadku, rzucał się znowu w sam wir bitwy i dwakroć głosem i przykładem podniósł i ożywił upadającą odwagę Anglików, tak że na koniec odnieśli nad napastnikami zupełne zwycięstwo, co było rzeczą słuszną i godziwą. Zasłużył on zaiste, aby go unieśmiertelniło pióro Beniamina Jonsona, który pięćdziesiąt lat później sądził, że maskarada dana w Kenilworth nie mogła być przez nikogo lepiej

zorganizowana, jak przez szanownego kapitana Coxe na dzielnym drewnianym rumaku.

Te proste, ale zbyt gminne zabawy nie zgadzają się może z wyobrażeniem, jakie sobie wyrobił czytelnik o wspaniałości widowisk danych dla królowej, za której panowania odrodzone nauki zajaśniały pełnym blaskiem, dla Elżbiety, która i sama czuła, i umiała ocenić to wszystko, co było piękne i wspaniałe, i miała na dworze swoim ludzi słynących po dziś dzień z wielkiej wiedzy i wykształconego smaku. Czy jednak Elżbieta chciała tylko okazać, że ją bawią te proste zabawy ludu, czy też naprawdę znajdowała w nich upodobanie odziedziczone po ojcu Henryku, rzecz trudna do odgadnięcia; to tylko pewne, że się śmiała szczerze ze sposobu, jakim mieszkańcy Coventry naśladowali albo raczej parodiowali obyczaje rycerskich wieków. Przywołała do siebie hrabiego Sussexa i lorda Hunsdon, a chcąc zapewne nagrodzić pierwszemu długie i nudne dlań chwile, które spędził z Leicesterem, zaczęła z nim rozmawiać o zabawach, jakie przekładała nad te pocieszne igrzyska, wygrzebane ze zbutwiałych zabytków odległej przeszłości. Leicester widząc, że królowa była w dobrym usposobieniu do śmiechu i żartowania ze swymi wodzami, oddalił się z grona otaczających ją osób i to w samą porę, by zdawało się wszystkim, jakby przez grzeczność otwierał swemu współzawodnikowi wolny dostęp do królowej i mimo że był gospodarzem domu, nie chciał jednak stawać zawsze między nią a swymi nieprzyjaciółmi.

Tymczasem Leicester, nie myśląc bynajmniej o prawidłach pospolitej grzeczności, miał czym innym zajętą głowę; skoro bowiem spostrzegł, że królowa rozmawiała z Sussexem i lordem Hunsdon, za którymi Mikołaj Blount śmiał się z każdego wymówionego przez nich słowa otwierając usta od ucha do ucha, kiwnął na Tressiliana śledzącego z bliska jego najmniejsze poruszenie. Potem udając się w stronę zwierzyńca przeciskał się przez tłumy widzów przypatrujących się bitwie Anglików z Duńczykami. Wydobywszy się na wolne miejsce, co nie było rzeczą łatwą, obejrzał się, czyli Tressilian był równie szczęśliwy, a widząc go tuż za sobą, zawrócił do niewielkiego lasku, gdzie masztalerz trzymał dwa osiodłane konie. Skoczył na jednego i dał znak Tressilianowi, by siadł na drugiego, co ten uczynił nie mówiąc słowa.

Leicester ścisnął konia ostrogami; ruszył cwałem nie zatrzymując się, aż na odludnym miejscu, otoczonym dokoła wysokimi dębami, położonym o milę blisko od zamku, z dala od ciekawości ludzkiej.

Tam dopiero zsiadł z konia, przywiązał go do drzewa i mówiąc tylko: — Tu zapewne nikt nam nie przeszkodzi — powiesił płaszcz na siodle i dobył pałasza.

Tressilian uczynił to samo, ale nie mógł powstrzymać się od wymówienia tych wyrazów:

— Milordzie, wszyscy, którzy mnie znają, wiedzą, że nie lękam się śmierci, gdy idzie o honor. Zdaje mi się przeto, że się nie upodłę, gdy zapytam, dlaczego śmiałeś mi wyrządzić obelgę, która nas teraz w to miejsce sprowadza?

— Jeżeli nie lubisz podobnych znaków pogardy — odpowiedział Leicester — bierz się co żywo do oręża, żebym nie powtórzył tego, na co się użalasz.

— Nie będziesz miał potrzeby powtarzać. Bóg jest sędzią między nami. Jeżeli polegniesz, niech krew twoja spadnie na twoją głowę.

Zaledwie skończył te słowa, a już pojedynek się zaczął. Leicester, który między innymi przymiotami posiadał w wysokim stopniu sztukę szermierską, przekonawszy się o sile i zręczności Tressiliana postanowił walczyć roztropnie i szukać raczej pewnej niż przyśpieszonej zemsty. Potykali się już przez kilka chwil z równym prawie szczęściem, gdy wreszcie Tressilian wymierzając straszne uderzenie, które Leicester szczęśliwie odbił, chcąc się poprawić odsłonił się zupełnie, a hrabia wytrącił mu oręż z ręki i obalił go na ziemię. Z okropnym uśmiechem przymierzył szablę do gardła swego wroga, a następując mu nogą na piersi kazał wyznać ohydny zbrodnię i gotować się na śmierć.

— Nie mam sobie do wyrzucenia żadnej zbrodni — odpowiedział Tressilian — i lepiej od ciebie przygotowany jestem na śmierć. Korzystaj ze zwycięstwa, jak ci się tylko podoba. Niech ci Bóg przebaczy! Nie dałem żadnego powodu do tej nienawiści, jaką powziąłeś ku mnie!

— Żadnego powodu? — zawołał hrabia. — Żadnego powodu? Lecz po co rozprawiać długo z tak podłą istotą. Jak żyłeś, tak umieraj, bezczelny kłamco!

Już podniósł rękę dla zadania śmiertelnego ciosu, gdy ktoś niespodziewanie przytrzymał go z tyłu. Hrabia obrócił się ze złością dla usunięcia nieprzewidzianej

przeszkody i zdziwił się niezmiernie, gdy ujrzał jakiegoś śmiesznego chłopaka, który uwiesił mu się na prawej ręce i tak ją mocno ujął, że go nie mógł strząsnąć bez pasowania się; w tym czasie Tressilian porwał się z ziemi i podniósł wytrącony oręż. Leicester rzucił się znowu z tą samą wściekłością i walka rozpoczęłaby się na nowo z większą jeszcze zaciekłością, gdyby chłopak nie upadł do nóg hrabiego i nie zaklął go chrapliwym głosem, aby go wysłuchał.

— Wstań, wstań i puść mię — zawołał Leicester — albo przez Boga żywego, przesyję cię tym żelazem! Cóż masz z tym wspólnego, dlaczego mi zagradzasz drogę do zemsty?

— Wiele! Wiele — odpowiedział niewylękniony karzeł — ponieważ moja głupota jest przyczyną tych krwawych zająć między wami, a może jeszcze i czegoś gorszego. Och! Jeżeli chcesz mieć czyste i spokojne sumienie, jeżeli chcesz zasypiać spokojnie, wolny od zgryzot, przeczytaj ten list, a potem czyń, co ci się podoba.

To mówiąc oddał Leicesterowi list związany długą plecionką kobiecych włosów ciemnego koloru. Choć Leicester wściekał się ze złości, że go zawiodła nadzieja zemsty, nie mógł oprzeć się żądaniu tego dziwnego stworzenia. Wyrwał mu list z ręki, zbladł spozierając na podpis, rozplatał włosy, którymi był związany i przebiegając treść jednym rzutem oka, zatoczył się i byłby upadł na wznak, gdyby się nie oparł o drzewo. W takim położeniu pozostał przez kilka chwil z przymkniętymi oczyma, ze spuszczonego pałaszem i zdawał się zapominać o swym nieprzyjacielu, który teraz, mając sposobność po temu, mógłby powetować swą krzywdę.

Ale szlachetna dusza Tressiliana brzydziła się podobną zemstą. I on także stał w zadumie czekając końca tej dziwnej sceny, zawsze jednak gotów do obrony przeciwko niespodziewanemu natarciu ze strony Leicesterza, o którym sądził, że był szalony. Poznał wprawdzie w chłopaku dawnego znajomego Ryszarda Sludge, którego twarz, raz widziana, nieprędko wychodziła z pamięci. Ale jakim sposobem przybył tu w tak decydującej chwili? I dlaczego tak usilnie narzucał się ze swym pośrednictwem? A nade wszystko, dlaczego jeden list mógł sprawić takie wrażenie na Leicesterze? Były to pytania, których nie umiał rozwiązać.

Lecz sam list tyle miał mocy, że mógł sprawić cudowniejsze jeszcze skutki. Był to ten sam, w którym nieszczęśliwa Amelia wyłuszczała swemu mężowi powody, które ją



skłoniły do opuszczenia Cumnor Place i sposoby, jakimi tego dokazała. W nim to donosiła mu, że przybyła do Kenilworth szukać jego opieki, wspominała o okolicznościach, które ją zmusiły wstąpić do pokoju Tressiliana, w nim prosiła nareszcie, aby bez najmniejszej zwłoki raczył jej wyznaczyć przyzwoitsze schronienie. Kończyła najuroczystszym zapewnieniem swej miłości i bezwarunkowego poddania się jego woli w tym, co się tyczy jej obecnego położenia, wreszcie zażądała tylko, aby jej nie oddawał pod dozór Varneya.

List wypadł z rąk Leicestera.

— Weź mój miecz, Tressilianie — rzekł z rozpaczą — i przesyj mi serce, tak jak niedawno chciałem twoje przebić.

— Milordzie — rzekł Tressilian — wyrządziłeś mi wielką krzywdę, ale głos tajemny szeptał mi zawsze, że cię zaślepią jakiś niepojęty błąd.

— Tak jest, błąd fatalny!—odpowiedział Leicester dając mu list. — Człowieka cnotliwego miałem za największego zbrodniarza, a sługę niewiernego, rozpasanego do ostatnich granic, za najlepszego z ludzi! Nędzniku! Czemu teraz dopiero oddajesz mi to pismo? Gdzież podział się ten, który miał mi je wręczyć?

— Nie śmiem tego powiedzieć — rzekł karzeł dając w bok susa, jak gdyby lękał się, aby go nie pojmano — lecz oto posłaniec.

Wayland zbliżył się po niedługiej chwili i zapytany przez Leicestera opowiedział o swej podróży z hrabiną, o zamachu na jej życie, który zmusił ją do ucieczki, oraz o tym, jak pragnęła zdać się na wolę swego męża i szukać u niego przytułku. Wzywał na koniec na świadectwo sługi zamkowe, u których przybywszy do zamku dopytywał się o hrabiego.

— Ha, łajdaki — zawołał Leicester — a najgorszy z nich ten Varney! A ona i teraz jeszcze jest w jego mocy!

— Ale ufam w Boga — rzekł Tressilian — że nie odebrał poleceń mogących jej zaszkodzić.

— Nie, nie... powiedziałem coś wprawdzie w przystępie szaleństwa, ale to zostało odwołane przez śpiesznie wysłanego gońca i mam nadzieję, że się jej nic złego nie stało, tak jest... jej nic złego stać się nie może.

— Jej nic złego stać się nie powinno! — zawołał Tressilian. — Ale pewny być muszę jej bezpieczeństwa. Już się skończyła, milordzie, moja kłótnia z tobą, teraz mam rozstrzygnąć drugi spór z uwodzicielem Amelii Robsart, który pokrył swą zbrodnię niegodziwością Varneya.

— Z uwodzicielem Amelii? — powtórzył hrabia. — Powiedz raczej z jej mężem, z jej oszukanym, zaślepionym, jej niegodnym mężem. Jest ona tak niezawodnie hrabiną, jak ja pasowanym rycerzem. Nie masz, mój panie, tak świętych obowiązków sprawiedliwości, żebym ich dla niej z własnej woli nie był gotów dopełnić; ani nie mam potrzeby powtarzać ci, że nie lękam się bynajmniej twych przynaglających środków.

Wspaniałomyślny Tressilian wnet zaniechał wszelkich osobistych względów i o niczym więcej nie myślał, tylko o bezpieczeństwie nieszczęśliwej Amelii. Nie ufał zupełnie zmiennym postanowieniom Leicester'a, którego wzburzone namiętności zdawały się słuchać głosu zimnego rozsądku, i nie mógł sądzić, pomimo najświętszych zapewnień, by Amelia mogła być bezpieczna, póki znajdować się będzie w ręku jego sług.

— Milordzie — rzekł bez gniewu — nie myślę cię obrażać, jestem daleki od szukania przyczyny kłótni, ale obowiązki, jakie mam wobec Hugona Robsart, każą mi natychmiast powiadomić o wszystkim królowę i błagać ją, aby Amelia została twoją ślubną żoną.

— Nie, mój panie — odpowiedział hrabia głosem wyniosłym — nie będziesz tak śmiałym, abys miał wtrącać się do tego, co mnie jedynie tyczy. Sam tylko Dudley ogłosi światu haniebny Dudley'a postępek. Sam opowiem wszystko Elżbiecie, a potem do Cumnor Place lotem błyskawicy.

To powiedziawszy odwiązał konia, skoczył na siodło i puścił się cwałem do zamku.

— Weź mnie z sobą, panie Tressilianie — rzekł chłopak widząc, że Tressilian równie śpiesznie siadał na konia. — Jeszcze ci nie opowiedziałem wszystkiego i potrzebuję twej pomocy.

Tressilian posadził go przed sobą i udał się za hrabią wolnym truchtem. W drodze wyznał mu Ryszard, jak mu przykro było, że Wayland, którego zaufania zdawał się być godzien, zbywał go byle czym albo unikał jego pytań co do towarzyszki podróży,

że przez zemstę wykradł mu list pisany przez nią do Leicesterera, z zamiarem oddania mu go w czasie wjazdu królowej do zamku, kiedy najłatwiej mu było spotkać się z Waylandem, który miał wystąpić w roli Oriona. Ale Wayland wypędzony z zamku przez Lamburna nie zjawiał się w czasie widowiska, a chłopak, nie mogąc go znaleźć, ani dopytać się o Tressiliana, zaczął lękać się skutków swego żartu. Ostrożne albo raczej bojaźliwe postępowanie Waylanda i Lamburna kazało mu sądzić, że potrzeba było oddać list w ręce samego hrabiego, że zaszkodziłby mniemanej siostrze swego przyjaciela, gdyby go był posłał przez którego ze sług zamkowych. Próbował kilka razy wejść do pokoju Leicesterera, ale go nie puścili zuchwali służący z powodu jego dziwacznej postaci i lichego odzienia. Pewnego razu szperając po kątach swoim zwyczajem znalazł w grocie pudełko i domyślił się natychmiast, że musiało należeć do hrabiny, ponieważ w czasie podróży widział je w jej ręku, nic bowiem nie mogło ukryć się przed jego ciekawym i przenikliwym okiem. Chciał oddać to pudełko hrabinie albo Tressilianowi, a gdy mu się to nie udało, wręczył je jak to widzieliśmy samemu Leicesterowi, którego na nieszczęście nie mógł poznać, gdyż był przebrany za lokaja.

Na koniec Ryszard Sludge miał już dopiąć swego zamiaru, gdy hrabia w czasie maskarady przeszedł na drugi koniec krużganku, ale gdy już zbliżał się do niego, został uprzedzony przez Tressiliana. Obdarzony delikatnym słuchem równie jak byстрыm dowcipem, posłyszał, że ułożyli między sobą spotkać się o północy w ogrodzie i postanowił śledzić ich kroki w tej nadziei, że upatrzy sposobną porę do oddania listu Leicesterowi, zaczęły bowiem biegać dziwne wieści między dworską czeladzią o losie biednej kobiety, którą Wayland przyprowadził do Kenilworth. Nieprzewidziany przypadek nie pozwolił mu iść krok w krok za Leicesterem i gdy wszedł pod arkady, zastał już obu przeciwników rozprawiających się orężem. Obudził natychmiast warte, lękając się, aby skutkiem jego pustoty nie nastąpił rozlew krwi. Ukrywszy się pod arkadami usłyszał, że Leicester obiecał widzieć się drugi raz z Tressilianem w celu dokończenia przerwane go pojedynku i dlatego nie spuszczał ich z oka przez cały ciąg widowiska mieszkańców Coventry, wśród których spostrzegł z wielkim zdziwieniem Waylanda przebranego od stóp do głów, ale nie tak, aby ujść przed ciekawym wzrokiem dawnego towarzysza. Ryszard wyznał Waylandowi to

wszystko, co opisywaliśmy tu, a Wayland nawzajem opowiedział mu, że troska o los nieszczęśliwej kobiety sprowadziła go znowu w okolice Kenilworth i że przybył tu dziś o świcie, dowiedziawszy się w jednej z pobliskich wiosek, że Varney i Lamburn, których lękał się najwięcej, wyjechali z zamku tej nocy.

Tak rozmawiając z sobą, ujrzeli Leicesterą i Tressiliana przedzierających się przez tłumy zgromadzonego ludu i szli za nimi, póki tamci nie powiadali na konie. Wtedy Ryszard, którego lotność jest już znana naszym czytelnikom, puścił się w ich tropy z szybkością wiatru, a choć nie zdołał zdążyć za nimi, przybył w sam czas dla ocalenia życia Tressilianowi. Chłopiec skończył właśnie swoje opowiadanie, gdy stanęli pod Galerią.

## ROZDZIAŁ XXII

Gore na wschodzie promieniste słońce.

Pierzchają cienie i mary łudzące,

Tak nikną fałszy przed prawdy obliczem.

Dawna komedia

Tressilian jadąc przez most, gdzie niedawno z wielkim zgiełkiem i hałasem ścierały się nieprzyjacielskie szyki, spostrzegł na twarzach tłumnie zebranego ludu dziwną zmianę, która nastąpiła w krótkiej chwili jego nieobecności. Ustały pocieszne potyczki, ale rycerze w swych uroczystych ubiorach stali jeszcze grupami, jak zazwyczaj skupiają się mieszkańcy miasta, kiedy gruchną niespodzianie groźne wieści. Dziedziniec zamkowy przedstawiał ten sam widok. Zgromadzeni tam słudzy i niżsi urzędnicy hrabiego szeptali między sobą i spoglądali na okna wielkiego krużganku niespokojnym i tajemniczym wzrokiem.

Tressilian wjeżdżając na dziedziniec spotkał pierwszego ze swych znajomych Mikołaja Blounta, który uprzedzając jego pytania powitał go tymi słowy:

— Cóż czynisz najlepszego, Tressilianie! Tobie, widzę, siał hreczkę na wsi, nie uwijać się po dworach. Nie umiesz znaleźć się jak przystoi na dworaka przyjętego do orszaku królowej. Ciebie tu szukają, za tobą rozbiegli się posłańcy na wszystkie strony, twego miejsca nikt nie może zastąpić, a ty wozisz na koniu jakiegoś koczkodana. Czyś przystał za niańkę do tego szatana, czy co u licha?

— Co to ma znaczyć, mój przyjacielu? — zapytał Tressilian zsiadając z konia i puszczając chłopaka, który skoczył na ziemię lekko jak piórko.

— Nikt nie wie, co się stało, ja sam nie mogę nie przewąchać, choć węch mam tak dobry jak inni dworacy. Wiem tylko, że hrabia Leicester przeleciał przez most, jak gdyby chciał stratować wszystkich na drodze, prosił królowę o audiencję i dotychczas jest z nią zamknięty wraz z Burleighem i Wolsinghamem. Tymczasem kazano cię wszędzie szukać. Czy to jest zdrada, czy coś gorszego, nikt nie wie.

— Przez Boga żywego, Tressilianie, co też najlepszego wyrabiasz? — rzekł Raleigh nadchodząc na tę rozmowę. — Zmiłuj się, idź czym prędzej do królowej, bo to wszystko prawda, co Blount powiedział.

— Nie bądź tak prędko — rzekł Blount — czy już zapomniałeś o jego butach? Jeżeli mi dobrze zyczysz, Tressilianie, idź do mego pokoju i włóż moje różowe pończochy, miałem je tylko dwa razy.

— Dziękuję ci za tę życzliwość, kochany Blouncie, i proszę cię, pamiętaj o tym chłopaku, obchodź się z nim po ludzku i pilnuj, żeby ci się nie wymknął, bardzo zależy mi na nim.

Po czym udał się śpiesznie za Raleighem. Tymczasem poczciwy Blount, trzymając jedną ręką konia, drugą poruczonego sobie chłopca, długo spoglądał za nimi.

— Nikt mnie — rzekł — nie woła do tych tajemnic, a Tressilian każe mi pilnować konia i niańczyć dzieci. Jeszcze z pierwszym pół biedy, bo lubię z natury dobrego konia, ale doglądać tego mazgaja, dalibóg, na to się nie zgodzę. Skądżeś tu przyszedł, kochanku?

— Z błot — odpowiedział chłopak.

— Czegożeś tam się nauczył?

— Łapać gęsi na długich czerwonych nogach.

— Niechże cię piekło porwie! — rzekł Blount spojierając na swe różowe pończochy.

— Diabli by cię chyba więcej pytali!

Tymczasem Tressilian przechodził wzdłuż obszerny krużganek, gdzie zdumieni dworzanie szepcząc między sobą tajemniczym głosem spojierali ciekawie na wejście prowadzące do pokojów królowej. Tressilian zapukał do drzwi i został natychmiast wpuszczony. Niejeden wyciągał szyję, chcąc dojrzeć, co się działo w pokoju, ale zasłona spadająca prędko ze środka nie pozwoliła zaspokoić wyteżonej ciekawości. Tressilian ujrzał z niemałym drżeniem serca, że znalazł się w obecności Elżbiety, która w największym wzburzeniu przechadzała się wzdłuż i wszerz nie dbając o tłumienie ani ukrywanie rozbudzonej wściekłości. Przy drzwiach stało dwóch lub trzech najzaufańszych dworzan, powierników jej najskrytszych tajemnic, nie śmiejąc nic przemówić, nim królowa nie ochłonie z gniewu.

Przed próżnym krzesłem, poruszonym z miejsca gwałtownym powstaniem Elżbiety, klęczał Leicester z założonymi rękami, ze spuszczonej oczyma, oniemiały i nieruchomy jak posąg nad grobowym kamieniem. Odpasany pałasz hrabiego leżał przed nim na posadzce.

— Ach, mój panie! — rzekła królowa zbliżając się do Tressiliana i tupiąc nogą ruchem Henryka VIII. — Wiedziałaś o tej pięknej sprawie, wpływałaś nawet na szalbierstwo, którego zostaliśmy igraszką; byłaś główną przyczyną popełnionej przez nas niesprawiedliwości!

Tressilian upadł na kolana i ani słowa nie wyrzekł, bo jego zdrowy rozsądek ostrzegał go, na jakie naraziłby się niebezpieczeństwo.

— Czyś oniemiał — mówiła dalej królowa — wszakżeś wiedział o tym wszystkim?

— Nie wiedziałem, miłościwa pani, że ta nieszczęśliwa kobieta była hrabiną Leicester.

— I nikt o tym wiedzieć nie będzie! — rzekła Elżbieta. — Przez rany żywego Boga! Hrabina Leicester! Tak jest, Amelia Dudley! Szczęśliwa, jeżeli nie będzie musiała pisać się wdową po zdrajcy Robercie Dudleyu!

— Pani — rzekł Leicester — czyń ze mną, co ci się podoba, ale nie potępiaj tego niewinnego człowieka!

— Cóż mu po twym wstawieniu się? — rzekła Elżbieta odchodząc od Tressiliana, który podniósł się z wolna, i idąc do klęczącego ciągle Leicesterera. — Na co mu się przyda twoje wstawiennictwo? O ty, fałszywy człowieku! Ty krzywoprzysięzco! Wstawiennictwo tego, który mię wydał na pośmiewisko w oczach całego narodu i sobie samej uczynił obmierzłą! Wydrę sobie te oczy za to, że się dały oślepić!

Burleigh ośmielił się przemówić.

— Pamiętaj, pani, że jesteś królową, królową angielską, matką poddanych. Nie pozwól brać mocy nad sobą temu popędliwemu gniewowi.

Elżbieta obróciła się do niego i łza błysnęła w jej dumnym i gniewnym oku.

— Burleighu — rzekła do niego — jesteś mężem stanu, nie pojmujesz zapewne i nie możesz pojąć, jaką ten człowiek okrył mię hańbą, ile przyczynił mi boleści.

Z największą ostrożnością, z najgłębszym uszanowaniem Burleigh wziął ją za rękę i drżącą z uniesienia odprowadził do okna w głębi pokoju.

— Pani — rzekł do niej — jestem ministrem, ale dlatego nie przestałem być człowiekiem. Osiwiałem na służbie dla ciebie i ojczyzny, i niczego nie pragnę na tej ziemi, tylko twej sławy i szczęścia. Proszę cię, zaklinam cię, pani, uspokój się.

— Ach, Burleighu, jak mało wiesz — rzekła królowa i łzy mimowolnie spłynęły jej z oczu.

— Wiem ja, wiem, Najjaśniejsza Pani. Strzeż się tylko, abyś innym osobom nie dała do poznania, czego jeszcze nie wiedzą.

— Ha! — rzekła Elżbieta zastanawiając się chwilę, jakby ją uderzył nowy napływ myśli — wszystko prócz niesławy, wszystko prócz wyznania słabości, wszystko prócz wyjawienia, że została oszukana, wzgardzona! Co za okropne wyznanie! Sama myśl o nim przywodzi mię do szaleństwa!

— Bądź tym, królowo, czym byłaś zawsze; dźwignij się ponad tę słabość, bo nie uwierzy żaden Anglik, aby ta powstała w sercu Elżbiety, jeżeli gwałtowność twego żalu nie wzbudzi w nim tego smutnego przekonania.

— Jaka słabość, milordzie? — rzekła Elżbieta wyniosłym tonem. — Czy i ty chciałbyś wmówić we mnie, że względy okazywane temu dumnemu zdrajcy miały źródło...

Lecz nie mogąc utrzymać dłużej wyniosłego tonu dodała łagodniejszym głosem:

— Ale po cóż oszukiwać i ciebie nawet, mój wierny i mądry doradco?

Burleigh nachylił się, by ucałować rękę Elżbiety i co rzadko się zdarza na dworze, łąza prawdziwego wzruszenia spadła z oka ministra na rękę królowej.

Przekonanie o wzbudzonym współczuciu mogło pomóc królowej do zniesienia jej cierpienia i przytłumienia gniewu, ale daleko więcej tu znaczyła bojaźń wyjawienia obelgi, której doznała jako kobieta i jako królowa. Odwróciła się od Burleigha i przeszła kilka razy po pokoju, póki zwykła pogoda nie zajaśniała na jej czole, a ruchy nie nabrały godności.

— Nasza pani stała się znowu mądrą Elżbietą — rzekł Burleigh po cichu do Walsinghama. — Uważaj, co teraz poczniesz i nie sprzeciwiaj się jej w niczym.

Zbliżyła się potem do Leicestera i rzekła spokojnym głosem:

— Milordzie Shrewsbury, zdejmujemy z ciebie obowiązek strzeżenia tego więźnia. Milordzie Leicester, wstań i weź swój pałasz. Kilka chwil przepędzonych pod strażą naszego marszałka nie jest, jak mi się zdaje, zbyt surową karą za przestępstwo oszustwa, któreś tak długo przeciw nam popełniał. Wysłuchamy teraz dalszego ciągu tej sprawy.

Po czym usiadła na krześle i rzekła:

— Zbliż się, Tressilianie i powiedz nam, co wiesz.



Tressilian opowiedział swoją historię, pomijając ze zwyczajną sobie wspaniałomyślnością to wszystko, co mogło zaszkodzić Leicesterowi i pokrywając milczeniem dwa odbyte z nim pojedynki. Ważna to była przysługa dla hrabiego. Bo kto wie, jak okropny czekałby go los, gdyby królowa dowiedziała się w tej chwili o jakimkolwiek przewinieniu, mogącym dać pochop do zwalenia na niego całego ciężaru gniewu bez wyjawienia uczuć, których się wstydziła. Gdy Tressilian skończył opowiadanie, zastanowiła się nieco, a potem rzekła;

— Przyjmiemy tego Waylanda na służbę, a chłopaka umieścimy w naszej kancelarii, aby nauczył się na przyszłość obchodzić z listami. Co się zaś tyczy ciebie, panie Tressilianie, źleś zrobił, żeś nam nie odkrył całej tajemnicy. Twoje przyrzeczenie, które ci nie pozwalało tego uczynić, było równie nieroztropne jak ubliżające temu wszystkiemu, co królowa może wymagać od swego poddanego. Lecz dawszy raz słowo tej nieszczęśliwej kobiecie było powinnością człowieka i szlachcica dotrzymać go święcie. W ogóle zjednałeś sobie nasz szacunek przez szlachetne uczucia, jakie okazałeś w całej tej sprawie. Teraz na ciebie kolej, milordzie, powiedzieć nam prawdę, co jak się zdaje, od dawna wyszło ci z pamięci.

I zadając mu pytanie po pytaniu wyrывała z głębi jego perca całą historię pierwszego poznania się z Amelią Robsart. Kazała mu opowiedzieć, kiedy zawarte zostało małżeństwo, dlaczego powziął ku niej nieufność, co go skłoniło nareszcie ukrywać się przed nią. Wyznanie Leicesterera, wydobyte częściami, było zupełne i prawdziwe, z tym tylko wyjątkiem, że nic nie wspomniał o zezwoleniu danym Varneyowi co do wykonania zamysłów mających zgładzić hrabinę. To jednak przekonanie najwięcej ciążyło mu na sercu i choć polegał na przeciwnych rozkazach, posłanych przez Lamburna i odwołujących zupełnie i bezwarunkowo tanto zezwolenie, postanowił udać się do Cumnor Place zaraz po pożegnaniu się z królową, która, jak wnosił, miała natychmiast wyjechać z Kenilworth.

Ale hrabia pomylił się w rachubie. Prawda, że jego obecność i wyznanie były złością i piołunem dla kobiety, która go niegdyś tak czule kochała, lecz królowa nie widząc innego rodzaju zemsty spostrzegła wkrótce, że jej pytania były męczarnią dla niewiernego kochanka i dlatego nie przestała wypytywać go o najdrobniejsze szczegóły długo ukrywanej przed nią tajemnicy, mało przejmując się własnym

cierpieniem, jak dziki człowiek, który szarpiąc rozpalonymi kleszczami ciało pojmanego nieprzyjaciela, nie dba o to, że rozżarzone żelazo przypieka mu dłonie.

Na koniec dumny hrabia, jak jeleń przez psy obskoczony, dał do zrozumienia, że mu zabrakło cierpliwości.

— Ciężko przewiniłem, Najjaśniejsza Pani, ciężiej nierównie, niż się wyraziłaś w swoim słusznym gniewie. Ale pozwól sobie powiedzieć, że jeżeli moje przestępstwo tak jest ogromne, iż mu niepodobna przebaczyć, trudno powiedzieć, aby ono było popełnione bez pewnej przyczyny; bo jeżeli piękność i ujmująca godność mogą uwieść ułomne serce człowieka, mógłbym jedno i drugie położyć za przyczynę, dla której ukrywałem tę tajemnicę przed Waszą Królewską Mością.

Królowa zdjęta podziwem na te wyrazy, które Leicester tak wymówił, aby przez nią tylko były słyszane, nie wiedziała przez chwilę, co odpowiedzieć, a hrabia, ośmielony szczęśliwym początkiem, odważył się ciągnąć dalej.

— Kiedy już tak wiele raczyłaś mi przebaczyć, Miłościwa Pani, pozwólże prosić o łaskawe przebaczenie dla tych wyrażań, które wczoraj jeszcze nie były uważane za zbyt wielką obrazę.

— Dla Boga, milordzie — rzekła królowa patrząc mu prosto w oczy — twoja bezczelność przechodzi wszelkie granice cierpliwości! Ale na nic ci się to nie zda. Chodźcie, mości panowie, powiem wam ciekawe rzeczy: tajemne małżeństwo lorda Leicestera odebrało mi męża, a Anglii króla. Jego dostojność chciałby, widzę, wrócić czasy patriarchalne; nie dosyć mu było jednej żony, chciał nas jeszcze zaszczyścić oddaniem lewej ręki. Nie byłoż to przebraniem miary w zuchwałych życzeniach sądzić, że będzie mógł podług upodobania rozporządzać naszą koroną, dlatego że czasem odbierał od nas dowody przychylności i oznaki dworskich względów? Lecz wy, milordowie, lepsze o mnie macie pojęcie — lituję się nad tym dumnym człowiekiem, któremu pęka mydlana bańka. Wróćmy na krużganek. Milordzie Leicester, rozkazujemy udać się za nami i na krok nas nie odstępować.

Cały krużganek napełniło niecierpliwe oczekiwanie i jakie było powszechne zadziwienie, gdy królowa rzekła do otaczających ją dworzan:

— Jeszcze nie skończyły się wszystkie zabawy w Kenilworth, mamy bowiem obchodzić wesele dostojnego gospodarza.

Rozległ się po sali szmer powszechnego zdumienia.

— Nic pewniejszego — mówiła dalej królowa — dajemy wam na to nasze słowo królewskie. Milord taił przed nami tę okoliczność chcąc nam sprawić tym przyjemniejsze zdziwienie. Ale może ciekawi jesteście wiedzieć, kto jest szczęśliwą małżonką? Jest to ta sama Amelia Robsart, która dla dopełnienia widowiska występowała w maskaradzie pod nazwiskiem pani Varney, żony jego koniuszego.

— Przez litość, pani! — rzekł hrabia zbliżając się do niej z pokorą, wstydem i pomieszaniami. — Weź moją głowę, jak już zagroziłaś w swym gniewie, ale nie czyn mi tej hańby, nie popychaj upadającego człowieka, nie depcz rozgniecionego robaka.

— Robaka — rzekła królowa tym samym tonem — powiedz raczej: węża. Ten szlachetny płaz dostarczy ci trafniejszego porównania, znałeś węża zdrętwiałego od zimna, którego ktoś ogrzał i wypiastował na swym łonie?

— Przez wzgląd na ciebie, pani, przez litość dla mnie, gdym jeszcze nie wpadł w zupełne szaleństwo...

— Mów głośniej, milordzie. Czegóż chcesz od nas?

— Abyś mi pozwoliła jechać do Cumnor Place.

— Chcesz zapewne sprowadzić tu żonę. Nie ma co mówić, bardzo słuszne żądanie, bo słyszeliśmy, że jej tam nie najlepiej ma się powodzić. Ale, milordzie, umyśliliśmy zabawić jeszcze kilka dni w twoim zamku, a zdaje nam się, że byłoby trochę niegrzecznie ze strony gospodarza, gdyby zostawiał nas samych przez dalszy ciąg naszego pobytu. Spodziewamy się, że nie zrobisz nam tej niegrzeczności w oczach naszych poddanych. Na twoje miejsce Tressilian pojedzie do Cumnor, a z nim jeden z naszych dworzan, aby w lordzie Leicesterze nie ocknęła się dawna zawiść przeciw jego rywalowi. Kogóż chciałbyś mieć za towarzysza podróży, Tressilianie?

Tressilian oświadczył z wielką uniżonością i głębokim uszanowaniem, że życzyłby sobie jechać z Raleighem.

— Czy tak? Niezły zrobiłeś wybór. Raleigh jest młodym rycerzem, a uwolnić kobietę z więzienia będzie najwłaściwszą na początek przygodą: bo powinniście wiedzieć, moi panowie i panie, że Cumnor niewiele lepsze od więzienia. Są tam wreszcie rycerze oskarżeni o zbrodnię, których chcielibyśmy pod dobrą osadzić strażą. Panie sekretarzu, wydaj tym ichmościom kartę uwięzienia na osobę Varneya i cudzoziemca

Alasco, dla pojmania ich i dostawienia tu żywcem lub po śmierci. Weźcie ze sobą dostateczną siłę zbrojną — przyprowadźcie tę kobietę z wszelkimi względami, nie traćcie czasu, Bogu was oddaję.

Raleigh i Tressilian skłonili się i wyszli z pokoju.

Któż zdoła opisać, na czym zeszła reszta dnia w Kenilworth?

Królowa, która, jak się zdawało, dlatego tylko pozostała w zamku, aby pognać do reszty hrabiego i urągać jego nieszczęściu, dowiodła wówczas, że była równie zręczna i wyrachowana w użyciu niewieściej zemsty, jak obdarzona wielkimi przymiotami do rządzenia. Wkrótce dworzanie zrozumieli wolę królowej i pan Kenilworthu we własnym zamku i pośród wspaniałych uroczystości doświadczył losu dworaka, który, wypadłszy z łaski, musi znosić oziębłość odstępujących go przyjaciół i źle ukryty triumf jawnych i dozgonnych wrogów. Tylko Sussex przez żołnierską uczciwość charakteru, Burleigh i Walsingham dla wyższych politycznych względów i kilka kobiet tkniętych politowaniem ich płci właściwym, były jedynymi osobami z licznego orszaku dworzan, które nie zmieniły wobec Leicesterera swego postępowania.

Leicester tak przywykł uważać łaskę dworską za główny cel życia, że wszystkie inne uczucia zostały przez jakiś czas jakby zatopione w tej otchłani udręczeń, jakich doznało jego harde serce przez ciągłe doświadczanie małych upokorzeń i wyrachowanej pogardy. Ale gdy powrócił na noc do swego pokoju, wpadł mu w oczy długi i piękny splot włosów, którym Amelia związała list pisany do niego. Ucałował go tysiąc razy i w sercu jego ocknęły się tkliwe i szlachetne uczucia. Było jeszcze w jego mocy uniknąć na przyszłość doznanych tego dnia umartwień przez zupełne oddalenie się od dworu, a gdy się nad tym zastanawiał, uczuł w sobie odwagę potrzebną do wyniesienia się nad zemstę Elżbiety.

Nazajutrz hrabia tyle rozwinął wspaniałej spokojności umysłu, tak zdawał się być troskliwy w przyjmowaniu gości i wynajdywaniu dla nich coraz nowych rozrywek, tak obojętny na ich oziębłość, tak pełny poszanowania dla królowej, tak cierpliwie znosił jej gniew i kaprysy, że Elżbieta przestała natrząsać się z niego i zaniechała swych uszczypliwych przycinków. Dała nawet do zrozumienia dworzanom, że póki znajdują się w Kenilworth, nie powinni uchybiać grzeczności ani uszanowaniu, należnych od gości gospodarzowi domu. Słowem, tak zupełnie odmieniły się rzeczy w przeciągu

dwudziestu czterech godzin, że niektórzy doświadczeni i przebieglejsi dworacy wnosząc z wielkim prawdopodobieństwem, że Leicester powróci jeszcze do łask, zaczęli wyopadzać czoła i zbliżać się do niego, by móc się kiedyś pochłubić, że go nie odstawili w nieszczęściu. Czas jednak porzucić te dworskie intrygi, udać się za Tressilianem i Raleighem, którzy już wybrali się w drogę.

Cały orszak składał się z sześciu osób, bo oprócz Waylanda mieli jeszcze dodanych do pomocy urzędnika koronnego i dwóch silnych pachołków. Wszyscy byli dobrze uzbrojeni i jechali tak prędko, jak tylko można było bez pomęczenia koni, które miały przed sobą długą podróż. W drodze starali się zasięgnąć języka o Varneyu i jego bandzie, ale nie mogli nic dowiedzieć się, ponieważ tamci jechali tylko nocami. W małej wiosce o kilka mil od Kenilworth, gdzie stanęli na popas, przyszedł do nich pleban miejscowy i prosił, jeżeli który z nich zna się na leczeniu, by raczył opatrzeć umierającego człowieka.

Wayland, lekarz z doświadczenia, podjął się uczynić, co będzie w jego mocy, i idąc na plebanie, dowiedział się, że wieśniacy wyszedłszy rankiem w pole znaleźli tego człowieka na gościńcu i że pleban dał mu schronienie w swym domu. Powiedziano mu także, że ten nieszczęśliwy dostał śmiertelny postrzał. Nie można jednak było się dowiedzieć, czy rana została zadana w kłótni, czy przez rabusiów, ponieważ ranny wpadł w gorączkę. Wayland wszedł do niskiej i ciemnej izby, a za ledwie pleban odsłonił firankę, poznał natychmiast po twarzy umierającego, wykrzywionej śmiertelnymi bólami, Michała Lamburna. Pod pozorem, że czegoś zapomniał, wyszedł śpiesznie i uwiadomił towarzyszy podróży o tej nadzwyczajnej okoliczności. Tressilian i Raleigh pełni złych przeczuć udali się śpiesznie na plebanie.

Tymczasem nieszczęśliwy Michał dogorywał już i lepszy nawet cyrulik od Waylanda nie mógłby go wybawić od bliskiej śmierci, ponieważ kula przeszła mu piersi na wylot. Miał jeszcze jednak przytomność, gdyż poznał Tressiliana i dał znak ręką, aby się zbliżył do łóżka. Gdy to Tressilian uczynił, Lamburn wyrzekłszy jakieś słowa bez związku, w których często powtarzał nazwisko Varneya i lady Leicester, kazał mu pośpieszać, bo inaczej będzie za późno. Nadaremnie Tressilian usiłował zasięgnąć od chorego obszerniejszych informacji. Michał wpadł przed śmiercią w malignę, a

przywoławszy drugi raz Tressiliana prosił go tylko, aby oświadczył jego wujowi Goslingowi spod „Czarnego Niedźwiedzia”, że jego siostrzeniec nie umarł w butach. W kilka chwil śmiertelne konwulsje spełniły tę przepowiednię, a nasi podróżni nie odnieśli żadnej innej korzyści i tego spotkania, prócz głuchej obawy o los hrabiny. Przerażeni ostatnimi słowy konającego Lamburna z większym jeszcze pośpiechem puścili się w dalszą podróż, zabierając w imieniu królowej świeże konie po wsiach, gdy jedne ustawały na siłach.

## ROZDZIAŁ XXIII

Trzykroć pogrzebany dzwon brzmi żałością,  
Trzykroć powietrzny głos słyhać z dala,  
Trzykroć kruk czarny wrzeszcząc radośnie  
Obleciał szczyty wież Cumnor Halla.

Juliusz Mickle

Varney, wsparty pozwoleniem królowej i całą władzą hrabiego, zapragnął zabezpieczyć się wcześniej przeciwko odkryciu uknowanej zdrady. Umyślił najprzód wyjechać dopiero nazajutrz rano, ale gdy mu przyszło na myśl, że hrabia tymczasem mógł ochłonać z gniewu i widzieć się powtórnie z żoną, postanowił uprzedzić śpiesznym odjazdem wszelkie wydarzenia, mogące zniweczyć jego niegodziwe zamysły i zgotować mu niechybną zgubę. W tym celu kazał zawołać Lamburna i gniewał się niezmiernie, gdy się dowiedział, że wierny sługa wyszedł z zamku zapewne na nową hulanke do którejś z pobliskich wiosek. Ale ponieważ miał niedługo powrócić, sir Ryszard Varney powiedział stajennym, aby mu kazali gotować się w drogę albo wyprawili natychmiast, gdyby powrócił po jego wyjeździe.

Tymczasem użył do posługi innego pachołka, nazwiskiem Robin Tider, który towarzysząc nieraz hrabiemu w jego tajemnych podróżach znał po części tajemnice cumnorskie. Temu to człowiekowi, który z charakteru podobny był do Lamburna, choć nie tak sprawny ani tak rozwiązły, kazał osiodłać trzy konie, przygotować lektykę i z tym wszystkim czekać za tylną bramą. Obląkanie jego żony, któremu wówczas powszechnie dawano wiarę, usprawiedliwiało te tajemne przygotowania, a zarazem było dostatecznym powodem dla męża do wywiezienia jej po kryjomu z zamku. Varner miał nawet w pogotowiu to tłumaczenie na wypadek, gdyby opór i krzyk nieszczęśliwej Amelii zmusiły go do wyjaśnień swego postępowania.

Foster z natury cierpki i nietowarzyski, znużony nieco podróżą, jaką musiał odbyć z Cumnor do Kenilworth dla zawiadomienia Varneya o ucieczce hrabiny, za dnia jeszcze wysunął się spośród wesołego grona biesiadników i spał jak zabity, gdy Varney, ubrany zupełnie do podróży, wszedł z latarnią w rękę do jego mieszkania. Zatrzymał się chwilę dla wysłuchania, co gadał przez sen jego przyjaciel i mógł

zrozumieć doskonale te wyrazy: Ave Maria, ora pro nobis... Nie, nie tak, i wybaw nas ode złego, tak dopiero dobrze.

— Modli się przez sen — rzekł Varney — będzie on więcej jeszcze potrzebował pacierzy przed rozstaniem się ze mną. Hej! Wstawaj, świątobliwy mężu! Wstawaj, pokutujący pustelniku!

To mówiąc potrząsnął śpiącego za rękę, co przerwało pasmo jego marzeń. Foster zaczął krzyczeć:

— Złodziej! Złodziej! Łapaj złodzieja! Umrę w obronie mego złota. Gdzież Joanna? Czy jej się nic złego nie stało?

— Cóż by jej stać się miało? Nie wstyd ci, bałwanie, tak hałasować po nocy?

Tymczasem Foster przebudził się zupełnie i usiadłszy na łóżku zapytał Varneya o przyczynę odwiedzin o tej niezwykłej porze.

— Coś to niedobrego znaczy — dodał na końcu.

— Fałszywe twoje prorocstwo, mój najświętszy Antoni. To wszystko zapowiada, że się zbliża godzina przeniesienia twojej dzierżawy na wieczyste dziedzictwo. Cóż ty na to?

— Gdybyś mi to powiedział za białego dnia, cieszyłbym się z tej nowiny, ale ta okropna godzina, to ponure światło, ta bladeść twarzy, co zadaje fałsz twoim lekkomyślnym wyrazom, to wszystko, mój panie, każe mi się spodziewać, że mnie raczej czeka nowa jakaś praca niż dawno zasłużona nagroda.

— Nie lękaj się, stary głupcze, masz tylko odprowadzić swoją niewolnicę na powrót do Cumnor Place.

— I nic więcej? Oj, nie wierzę ja temu. Coś ty bardzo blady, nie darmo to, łaskawco! Coś tu się złego święci, bo lada przyczyna nie zwykła sprawiać na tobie takiego wrażenia. Ale czy doprawdy o to tylko rzecz idzie?

— O to tylko... a może jeszcze o jaką fraszkę.

— O jaką fraszkę? Ach, ty coraz bardziej bledniesz!

— Co ci tam do mojej twarzy? Błada zwyczajnie, jak przy świetle. Wstawaj i bierz się do dzieła. Pomnij na to, że Cumnor Place będzie twoją własnością. Mospanie, będziesz mógł pozakładać sklepy, wynająć domy, a twojej Joasi złożyć posag, jakiego by nie powstydziała się nawet córka barona. Siedemdziesiąt z górą funtów szterlingów! To nie są żarty!



— Siedemdziesiąt dziewięć funtów, pięć szylingów, pięć pensów i pół, oprócz dochodu z lasów — rzekł Foster — i to wszystko będę miał na dziedzictwo?

— Wszystko bez wyjątku. Cygan nie zetnie gałęzi, dziecię nie wydrze gniazda w twoich lasach bez naznaczonej opłaty. A co? Prawda, że smaczny kąsek? No, chodźże teraz za mną. Pozbieraj śpiesznie swoje manatki, bo już wszystko gotowe i konie czekają, tylko ten przekłety Lamburn, diabeł wie, gdzie się podział.

— Nie mówiłem, że tak będzie? A nie chciałeś mi wierzyć. Nieraz przestrzegałem, że ten pijaczysko jak w wodę wpadnie, kiedy go najbardziej będziesz potrzebował. Chciałbym na jego miejsce nastęrczyć ci trzeźwiejszego, porządnego chłopaka.

— Może jakiego hipokrytę z waszego bractwa? Ale kto wie? Wszak nie brakuje u nas zatrudnienia i dla takiego człowieka. Będziemy, dzięki Bogu, potrzebowali sprawnych ludzi każdego rodzaju; to wszystko dobrze, nie zapomnij pistoletów. Czas wyruszyć, chodź za mną.

— Dokąd?

— Do hrabiny. Pamiętaj, że ona musi pojechać z nami. Wszak nie złękiesz się jej wrzasków?

— Nie złękę się — odpowiedział Foster — jeżeli tylko będę mógł zastawić się jakim cytatem z Pisma świętego, a jest napisano: „Żony, bądźcie posłuszne mężom”. Ale czy zasłonią nas rozkazy naszego pana, jeżeli będziemy musieli użyć przemocy?

— Patrz, oto masz jego pierścień!

Usunąwszy w ten sposób zarzuty swego towarzysza udał się z nim do mieszkania lorda Hunsdon, a opowiedziawszy swój plan potwierdzony przez królowę i Leicestera wszedł do pokoju nieszczęśliwej hrabiny.

Można sobie wyobrazić, jaki był przestach Amelii, gdy zrywając się ze snu, ujrzała przy łóżku Varneya, którego najwięcej z ludzi lękała się i nienawidziła. Było to jeszcze dla niej pociechą, że nie wszedł sam jeden, chociaż równie wiele miała przyczyn obawiać się jego posepnego towarzysza.

— Pani — rzekł Varney — hrabia Leicester, rozważywszy gruntownie chwilowe okoliczności, poleca ci przez nas, abyś natychmiast udała się z nami do Cumnor Place. Nie pomogą tu żadne wymówki. Oto jest pierścień na znak jego wyraźnych i niezmiennych rozkazów.

— Fałsz! — zawołała hrabina. — Tyś skradł mu ten pierścień, ty, coś jest gotów do wszelkiej zbrodni!

— To szczerą prawdą — odpowiedział Varney — tak dalece nie podlegająca wątpliwości, że jeżeli nie wstaniesz natychmiast i nie wybierzesz się z nami w drogę, będziemy zmuszeni użyć przemocy dla dopełnienia naszych rozkazów.

— Przemocy! Ty nie odważysz się tego uczynić, jakkolwiek jesteś podły i niegodziwy!

— Zobaczmy, czy się nie odważę — rzekł Varney uważając zastraszenie jako jedyny środek poniżenia tej wyniosłej duszy. — Jeżeli upór zmusi mnie do ostateczności, znajdziesz we mnie nieubłaganego siepacza.

Na tę pogroźkę Amelia krzyknęła tak okropnym głosem, że gdyby mniemanie o jej obłąkaniu nie było tak powszechne, pewnie lord Hunsdon i inni przybyliby jej na pomoc. Ale widząc, że jej krzyki są daremne, zwróciła się do Fostera, prosząc go w najtkliwszych wyrazach i zaklinając na czystość i niewinność jego córki, aby nie pozwolił obchodzić się z nią tak niegodziwym sposobem.

— Cóż czynić, pani — rzekł Foster — żony winny posłuszeństwo swym mężom — tak stoi w Piśmie świętym. Jeżeli bez krzyku, bez hałasu zabierzesz się natychmiast i wyjedziesz z nami, nikt cię potem palcem nie trąci, póki potrafię wystrzelić z pistoletu. Nie widząc znikąd żadnej pomocy, hrabina, pocieszona nieco słowami Fostera, przyrzekła wstać i ubrać się, jeżeli tylko raczą wyjść do drugiego pokoju. Varney zapewnił ją, że jej się nic złego nie stanie, póki tylko zostawać będzie pod jego dozorem; obiecał nawet nie zbliżać się do niej, ponieważ jak zauważył, jego osoba nie była dla niej bardzo przyjemna. Jej mąż, dodał w końcu, zjawi się w Cumnor Place w dwadzieścia cztery godziny po jej przybyciu.

Pocieszona nieco tym wątpliwym zapewnieniem, poczęła ubierać się przy świetle lampy, którą jej zostawił Varney wychodząc z pokoju.

Drżąc, modląc się i zalewając rzewnymi łzami, nieszczęśliwa hrabina ubierała się w podróżne odzienie. Jakże jej uczucia były nie podobne do tych, jakich doświadczała wówczas, kiedy zwykła była stroić się w ozdobne szaty, chlubiąc się swą urodą? Starła się ile możności przedłużyć ubieranie, aż na koniec przerażona niecierpliwością Varneya musiała oświadczyć, że jest gotowa.

Gdy już mieli wyruszać, hrabina tuliła się do Fostera z takim przestraczem na sam widok Varneya, że ten ostatni musiał jej zaprzysiąc, że nie ma nawet najmniejszej chęci zbliżyć się do niej.

— Jeżeli tylko posłuszna będziesz woli swego męża, to zrobię dla ciebie, że nie często nawet widywać się z sobą będziemy, poruczę cię bowiem staraniom przewodnika, którego sama sobie wybierzesz.

— Woli mego męża! Lecz to jest wola Boga i dosyć mi na tym. Pójdę bez oporu za panem Fosterem, jak ofiara ciągniona do ołtarza. Foster jest ojcem, jeżeli nie po ludzku, przynajmniej uczciwie obchodzić się ze mną będzie. Ty zaś, Varneyu, powiem ci to po prostu, choćby to miały być ostatnie słowa, nie znasz obu tych uczuć.

Varney odpowiedział tylko, że miała wolność w wyborze i poszedł naprzód pokazywać drogę. Hrabina tymczasem na pół wsparta na Fosterze, na pół wleczone przez niego, prowadzona była z wieży Saint-Lowe do bramy, gdzie Tider czekał z końmi i lektyką.

Pozwoliła wsadzić się do lektyki bez najmniejszego oporu. Było to dla niej niejaką ulgą w cierpieniu, że gdy Foster z Tiderem jechali obok lektyki, Varney pozostawał z tyłu i wkrótce znikł w ciemnościach nocnych. Droga szła krętym brzegiem jeziora. Amelia rzuciła ostatnie spojrzenie na te wspaniałe wieże, w których gdzieś tliły się jeszcze dogasające światła przedłużającej się biesiady. Gdy jednak droga wzięła inny kierunek i już ich więcej dojrzeć nie można było, schyliła głowę na piersi i wciskając się w głąb lektyki poleciła się Opatrzności.

Oprócz chęci uspokojenia hrabiny Varney dlatego jeszcze pozostał, że chciał pomówić bez świadków z Lamburnem, który, jak się spodziewał, miał go niezadługo dopędzić. Znał on charakter tego chciwego i okrutnego człowieka i uważał go za najzdolniejszego do wykonania swych dalszych zamiarów. Lecz dopiero po przejechaniu kilku mil usłyszał za sobą tętent konia. W kilka chwil złączył się z nim Michał Lamburn.

Zniecierpliwiony jego nieobecnością przyjął go z niezwykle wzburzeniem i począł łajać obraźliwymi słowami:

— Obmierzły opoju — rzekł do niego — pamiętaj, że cię czeka stryczek za tę opieszałość w służbie i pijacką rozpustę; jutro jeszcze pójdziesz na szubienicę.

To łajanie nie do smaku przypadło Lamburnowi, który mając głowę zawróconą pucharem wina nadzwyczajnej wielkości, a nade wszystko prawie poufałą rozmową z hrabią i odkryciem tajemnicy, zapomniał o pokorze, z jaką zwykł był przyjmować wszystkie obelgi od przełożonych.

— Nie ścierpiałbym od najślawniejszego rycerza, tych słów hańbiących! — odpowiedział Michał. — Hrabia Leicester zatrzymał mnie w ważnej sprawie i na tym powinien poprzestać Varney, taki sam jak ja sługa.

Niemąło zadziwiła Varneya ta zuchwała odpowiedź, ale biorąc ją za skutek napoju udał, jakby na nią nie zważał i zaczął badać Lamburna, czy zechce dopomóc mu w usunięciu przeszkody nie pozwalającej hrabiemu podnieść się do szczytu wielkości. Dodał i to także, że gdy jego zamysły pomyślny uwieńczy skutek, wówczas ich pan przeznaczy nagrody dla swych wiernych sług, jakie sami życzyć sobie będą. A gdy Michał Lamburn takie dawał mu odpowiedzi, jakby nie domyślał się, o co idzie, Varney oświadczył mu po prostu, że kobieta, więziona w lektyce, była ową przeszkodą, którą należy uprzątnąć.

— Znam ja — odpowiedział Lamburn — lepiej od ciebie zamiary milorda, bo on mi powiedział całą tajemnicę. W tym oto liście są jego rozkazy; a wiesz, co mi powiedział na odjeźdnym? „Michale Lamburn — rzekł do mnie (bo jego dostojność mówił ze mną jak z człowiekiem i nie nazywał mię pijakiem ani łajdakiem, jak niektóre osoby napuszone nowo dostąpionymi zaszczytami), dopilnujesz, mój kochanku — rzekł do mnie — żeby Varney grzecznie obchodził się z moją hrabiną i w niczym jej nie uchybił. Po czym, panie, Lamburn, odbierzesz mój pierścień od Varneya i przywieziesz mi go jak najspieszniej.

— Czy w rzeczy samej tak ci mówił? Więc wiesz o wszystkim?

— O wszystkim, o wszystkim i życzę ci zaprzyjaźnić się ze mną i nie zadzierać nigdy, póki oddychać będziemy jednym powietrzem.

— Czy nikt nie był obecny, gdy milord to mówił? — zapytał Varney.

— Żywej duszy nie było — odpowiedział Lamburn. — Sądzisz, że milord powierzyłby komu innemu swoje tajemnice, jak tylko człowiekowi zaufanemu i gotowemu na wszystko, słowem, takiemu jak ja?

— Nie ma co na to mówić — rzekł Varney i zatrzymując się przy tych słowach powiódł okiem po gościńcu oświetlonym blaskiem księżyca. Jechali przez rozległe wrzosowisko. Lektyka oddaliła się o ćwierć mili. Nie można było dojrzeć ani dosłyszeć głosu jej przewodników. Spojrzał za siebie, a za nim rozciągała się obszerna płaszczyna, gdzie nie było ludzkiej istoty. Po czym znowu zaczął rozmowę z Lamburnem:

— Tedy chcesz powstać przeciw swemu panu, który cię wprowadził na pole dworskiego faworu, któregoś ty był uczniem, Michale, który, krótko mówiąc, wskazał ci wszystkie głębie i mielizny dworskiej intrygi?

— Proszę cię bardzo, nie nazywaj mnie Michałem. Mam ja nazwisko, przed którym tak dobrze położyć można pan, jak przed każdym innym. Wreszcie, jeżeli byłem uczniem, chciałbym już wyzwolić się i sam zarabiać na siebie.

— Odbierz pierwej, co ci się należy — rzekł Varney i strzelił do Lamburna z pistoletu przygotowanego od kilku chwil.

Lamburn spadł z konia nie wydawszy ani jednego westchnienia. Varney obszukał go i powywracał mu kieszenie, aby zdawało się, że został zabity przez zbójców. Porwał list hrabiego, o który najczęściej mu chodziło, wziął także worek Lamburna zawierający jeszcze kilka sztuk złota, pozostałych po wczorajszej hulance, ale dojechawszy do rzeki, przecinającej gościńiec, cisnął go w wodę. Tak to dziwnie kojarzą się uczucia jakiejś uczciwości z wykonaniem najczarniejszej zbrodni, tak odzywa się głos sumienia wtenczas nawet, kiedy go przytłumiła pamięć zupełnie świeżej zbrodni i okropne zamysły na przyszłość. Ten okrutny człowiek, nie znający w życiu swoim, co to wyrzut sumienia, sądził, że się przez to upodli, gdy zatrzyma kilka sztuk złota należących do człowieka, którego tak okropnie zamordował.

Morderca nabił powtórnie pistolet wyczyściwszy kurek i panewkę, aby nie było śladu świeżego wystrzału, i spokojnie udał się za lektyką, ciesząc się niezmiernie, że mu tak zgrabnie udało się wyprawić na tamten świat natrętnego świadka tylu intryg i zamachów uknutych na życie hrabiny, przynoszącego rozkazy, których nie myślał nigdy wykonać, a zwłaszcza teraz, gdy mógł tłumaczyć się, że go nie doszły.

Reszta podróży odbyła się z pośpiechem wskazującym, jak mało dbano o zdrowie nieszczęśliwej Amelii. Zatrzymywali się tylko w takich miejscach, gdzie wszystko

było gotowe na rozkazy Varneya i gdzie bajeczka o szaleństwie hrabiny łatwo mogła znaleźć wiarę u osób, u których błagałaby litości. Ale Amelia żadnej z tej strony nie widząc nadziei, oprócz tego przełęczona obecnością Varneya, nie śmiała przekroczyć warunków, pod którymi ten ostatni zgodził się jechać za nią z dala. Varney znany na wszystkich pocztach mógł łatwo i prędko dostać konie, ile razy tylko zażądał. Ta okoliczność łącznie z pośpiechem w podróży sprawiła, że zbliżyli się do Cumnor drugiej nocy po wyruszeniu z Kenilworth.

Wówczas Varney zbliżył się do lektyki, czego nie czynił w czasie podróży i zapytał:

— A co robi?

— Śpi—odpowiedział Foster. — Chciałbym prędzej stanąć w domu, bo zupełnie opadła na siłach.

— Spocznie sobie niezadługo — rzekł Varney — i naśpi się do woli, ale gdzieby to ją umieścić przyjechawszy, żeby było bezpiecznie.

— Dlaczego nie można by tego zrobić w jej własnym pokoju? Wszak tam bezpiecznie. Odesłałem Joannę do ciotki i dobrze natarłem jej uszu. Możemy spuścić się na nasze stare sługi, bo one nienawidzą jej z całego serca.

— Nie zaufamy im jednak, mój Antoni, zamkniemy je w tej komorze, gdzie chowasz pieniądze.

— Pieniądze! — zawołał przestraszony Antoni. — Jakie pieniądze! Tak mi Boże daj zdrowie, że nie mam żadnych pieniędzy, chciałbym je mieć dopiero.

— Żebyś pękł, sknero przeklęty! Kto myśli, o twoich pieniądzech? Gdybym chciał, znalazłbym tysiąc lepszych sposobów zabrania ci ich co do grosza. Krótko mówiąc, zapakujemy hrabinę do twojej komory, gdzie zwykleś sypiać, a ty prostaku wylegiwać się będziesz w jej puchu. Mogę ci śmiało zaręczyć, że hrabia nie spyta się nigdy o bogate sprzęty tych czterech pokojów.

Zachęcony tym ostatnim zapewnieniem Foster dał się namówić na wszystko. Prosił tylko Varneya, aby mu pozwolił wyruszyć naprzód dla uporządkowania pokoju i ścisnąwszy konia ostrogami odsadził się na znaczną odległość.. Przy lektyce pozostał Tider, bo Varney zatrzymał się znowu z tyłu na jakie sześćdziesiąt kroków.

Przybywszy do Cumnor Place, hrabina pytała z niecierpliwością o Joasię i mocno się przełękła, gdy jej powiedziano, że ta kochana przez nią dziewczyna już nie będzie jej usługiwała.

— Drogie jest dla mnie moje dziecko — rzekł Foster z przekąsem — co mi po tym, że się nauczy kłamać i układać plany ucieczki. Już ona i tak wyuczyła się przy was tego wszystkiego, niech mi się to godzi powiedzieć.

Hrabina, osłabiona i wylękła okolicznościami podróży, słowa na to nie odpowiedziała, tylko łagodnym i cichym głosem wyraziła chęć udania się na spoczynek do swego pokoju.

— Dobrze, dobrze — mruczał Foster pod nosem — ale pozwolisz sobie pani powiedzieć, że nie pójdziesz do swego pokoju zapełnionego światowymi cackami. Prześpisz tę noc w bezpieczniejszym miejscu.

— Dałby Bóg, żebym na wieki usnęła — rzekła hrabina — ale jakiś dreszcz mimowolny przejmuje człowieka na samą myśl rozłączenia się duszy od ciała.

— Mnie się zdaje, że pani nie masz żadnego powodu lękać się tej myśli. Wszak milord jutro przybędzie i spodziewam się, że znowu pogodzicie się z sobą.

— Ale czy przybędzie? Czy pewnie przybędzie, dobry Fosterze?

— A widzisz, dziś dobry Foster, a jutro nie wiem, czy będzie dobry, kiedy o nim mówić ci przyjdzie z milordem? Chociaż wszystko, co czyniłem, było tylko wykonywaniem jego rozkazów.

— Będiesz moim obrońcą — surowym wprowadzie, ale zawsze moim obrońcą. O, gdyby tu była Joasia!

— Lepiej jej tam, gdzie jest teraz; taka jak wy kobieta może łatwo zawrócić głowę prostej dziewczynie. Czy nie chcesz się czym posilić?

— Nie chcę, nie chcę. Mój pokój! Mój pokój! Spodziewam się przynajmniej, że będę mogła zamknąć się od środka.

— Czemu nie? Byle mi tylko wolno było zamknąć cię z zewnątrz — odpowiedział Foster i wzięwszy świecę prowadził hrabinę po wysokich schodach na najwyższe piętro, gdzie nigdy jeszcze nie była. Stara służąca szła przed nimi z lampą. Przebywszy wysokie schody szli ciasną galerią z czarnego dębu i stanęli u drzwi

prowadzących do mieszkania tego sknery, które ogołoczone ze wszystkiego, co mogło służyć ku wygodzie lub ozdobie, nazwą tylko różniło się od więzienia.

Foster zatrzymał się przy drzwiach, oddał lampę hrabinie i nie pozwolił nawet staruszce wejść za nią do izby.

Amelia zamknęła śpiesznie drzwi za sobą i zasunęła rygle i zapory.

Varney tymczasem czekał na dole, lecz posłyszawszy stuknięcie drzwi, przyszedł na palcach. Foster mrugnął na niego pokazując mu z wewnętrzną rozkoszą ukrytą w ścianie maszynę, za pomocą której można było bez najmniejszego łoskotu spuścić drewnianą galerię na kształt zwodzonego mostu i tym sposobem przeciąć wszelkie połączenie między jego mieszkaniem a schodami prowadzącymi na to najwyższe piętro. Zazwyczaj w swojej komorze chował sznur poruszający całą tę maszynę dla zabezpieczenia się od zewnętrznego napadu, ale teraz, kiedy szło o umieszczenie więźnia, wyniósł sznur za drzwi i przyczepiwszy do pała, spuścił ruchomy pomost.

Varney przypatrywał się z wielką ciekawością całej tej maszynie i spozierał kilka razy w okropną przepaść otwartą po spuszczeniu tej pułapki. Ciemna to była otchłań i zdawała się być niezgłębiona, sięgała bowiem najgłębszych lochów zamkowych. Tak przynajmniej Foster szepnął do ucha swemu sprzymierzeńcowi. Varney spojrział raz jeszcze i długo się wpatrywał w tę bezdenną przepaść, po czym wrócił z Fosterem do zamku.

Przyszedłszy do sali, o której mówiliśmy już wyżej, powiedział Fosforowi, aby kazał przynieść wieczerzę i najlepszego wina.

— Ja tymczasem — dodał — pójdę do Alasca, damy mu pewną robotę. Trzeba go pierwszej udobruchać.

Foster domyślił się, o co chodzi, lecz nic nie odpowiedziawszy wyszedł po wieczerzę. Staruszka powiedziała Varneyowi, że Alasco nic prawie nie jadł i nie pił, odkąd jego pan odjechał, że ciągle siedział zamknięty w swoim laboratorium i twierdził, że los świata zależy od tego, co tam robi.

— Nauczę ja jego — rzekł Varney — że świat czego innego od niego wymaga — i wzięwszy świecę poszedł szukać alchemika. Powrócił nareszcie po dość długiej nieobecności blady bardzo, lecz zawsze ze zwykłym uśmiechem na twarzy. — Nasz przyjaciel ulotnił się! — rzekł do Foster.



— Jak to? Co to znaczy? Uciekł z mymi czterdziestoma funtami szterlingów, które miały tysiącokroć razy pomnożyć się. Pozwę go do sądu!

— Nauczę cię lepszego sposobu odzyskania straty.

— No, jakiego sposobu? — zapytał Foster. — Ja muszę koniecznie odzyskać moje pieniądze. Myślałem, że je odbiorę pomnożone tysiącokroć razy, teraz niech mi przynajmniej wrócą się wkłady.

— Pozwij więc Alasca przed trybunał czarta, bo on tam zaniósł twoją sprawę — rzekł Varney.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Czy umarł?

— Umarł i już nabrzękł cały od stóp do głów. Przyprawiał zapewne piekielne leki, bo szklana maska, którą zazwyczaj zakrywał sobie twarz, pękła na dwoje, musiał zalecieć mu do mózgu jakiś jad i trucizna wywołała swój skutek.

— Sancta Maria! — zawołał Foster. — Chciałem powiedzieć: Boże, uchowaj nas od chciwości i śmiertelnego grzechu! Lecz sądzisz, że nastąpiło przemienienie? Czy widziałeś sztaby złota w tyglach?

— Nie — odpowiedział Varney — widziałem tylko trupa, obrzydły widok! Alasca nabrzękł jak umrzyk naciągnięty od trzech dni na kole. Brzydzą się, daj mi wina.

— Pójdę sam, zobaczę, co się z nim stało. Wziął lampę w rękę i szedł ku drzwiom, lecz zatrzymał się w progu nie wiedząc, czy iść, czy nie iść.

— Nie pójdziesz ze mną? — zapytał Varneya.

— Po jakiego diabła? Napatrzyłem się już i nawąchałem dosyć, tak że teraz nie będę mógł wziąć do ust łyżki stawy. Otworzyłem okno i napuściłem świeżego powietrza, kłębami buchał dym siarki i innych odurzających substancji, jak gdyby tam sam diabeł założył sobie mieszkanie.

— Czy nie jest to czasem szatańska sztuka? — rzekł Foster wahając się w postanowieniu. — Słyszałem, że diabeł dziwy wyrabia o takim czasie i z takimi ludźmi.

— Jeżeli to w rzeczy samej ten diabeł, którego się lękasz, możesz być spokojny o siebie; nie porwie on cię, kiedy ma na jeden raz dwie porządne stawy.

— Dwie stawy? Co to znaczy? Co znaczy ta mowa?

— Dowiesz się swego czasu — odpowiedział Varney — a potem i trzecia ucztą nie lada jaka, lecz ty może uważasz ją za zbyt delikatną dla czartowskiego gardła?

Na te słowa Antoni Foster zbliżył się powoli do stołu.

— Mój Boże — rzekł z cicha — więc nie obejdzie się bez tego?

— Nie obejdzie się, mój Antoni, jeżeli tylko życzysz sobie dziedzictwa.

— Przewidywałem zawsze, że to wszystko skończy się na tym; lecz jakże sobie poczniemy w tym wypadku, panie Ryszardzie? Bo za skarby całego świata nie podniosę na nią ręki.

— Nie ganię cię za to — odpowiedział Varner — ja sam miałbym wstręt do tego; żałować teraz powinniśmy, że nas osierocił Alasco i zabrał z sobą swoją mannę, a i ten Lamburn opuścił nas.

— Gdzie jest Lamburn?

— Nie pytaj o to. Zobaczysz go kiedyś, jeżeli twoja wiara jest prawdziwa. Lecz wróćmy do ważniejszego przedmiotu. Nauczę cię, Antośku, zastawiać pułapki na łasicę. Ten most zwodzony, ta machina twego wynalazku, będzie mogła utrzymać się w powietrzu, gdy zostaną wysunięte podpory?

— Póki kto nogą nie stąpi — odpowiedział Foster.

— Ale czy wali się, gdyby chciała uciekać?

— Dosyć, żeby myszka przebiegła po niej.

— Wyśmienicie!... Więc znajdzie śmierć chcąc ratować się ucieczką. Cóż nam, do tego, mój Antoni? Nie będziemy winni, bo nie zdołamy temu zapobiec. A teraz chodźmy spać, jutro dokończymy resztę.

Nazajutrz, gdy się zmierzchno, Varney wezwał Fostera do wykonania ułożonego planu. Tider i stary sługa Fostera wysłani zostali na wieś pod zmyślnym pozorem, a sam Antoni, troskliwy niby o zdrowie hrabiny i o to, aby jej na niczym nie zbywało, odwiedził ją w więzieniu. Tak go poruszyła jej słodycz i cierpliwość, z jaką znosiła swoją niedolę, że jej usilnie zalecił, aby na krok nie wychodziła z izby aż do przyjazdu Leicesterera. — A spodziewam się — dodał Antoni — że on niechybnie przyjedzie.

Amelia przyrzekła mu polecić Niebu swoje troski i zmartwienia i czekać cierpliwie swego losu. Po czym Foster powrócił do swego współwinowajcy ulżywszy na pół sumieniu.

— Przestrzegałem ją — mówił do siebie — wszak żaden ptaszek nie złapie się w sidło zastawione w jego oczach.

Zostawił drzwi hrabiny nie zamknięte z zewnątrz i w obecności Varneya wysunął dyle podpierające podłogę, która teraz zawieszona w powietrzu utrzymywała się tylko przez swą spoistość i przystawienie do bocznych ścian korytarza.

Zeszli na dół i czekali, czy też hrabina wyjdzie z pokoju, ale żaden szelest nie przerywał głuchego milczenia. Varney zakrywszy się płaszczem przeszedł się kilka razy wzdłuż i wszerz.

Na koniec zniecierpliwiony długim czekaniem odsłonił się i rzekł niespokojnym głosem:

— W istocie, nigdy kobieta nie ociągała się tak długo, by korzystać ze sposobnej pory do ucieczki.

— Może umyśliła czekać na przybycie męża—odpowiedział Foster.

— Wszystko być może, nie przyszło mi to do głowy. W kilka chwil dał się słyszeć tętent konia na dziedzińcu i gwizd podobny do znaku, jakim hrabia zwykł był oznajmiać swoje przybycie. Niedługo potem odemknęły się drzwi z pokoju hrabiny i podłoga natychmiast runęła w przepaść. Rozległ się przewlekły łoskot, po nim słaby jęk i już było po wszystkim.

Varney wyjrzał oknem i zapytał głosem wyrażającym okropne połączenie zgrozy i szyderskiej wesołości:

— Złapany ptaszek? Dokonane dzieło?

— O Boże! Przebacz nam! — odpowiedział Foster.

— Głupcze! Głupcze! — rzekł Varney. — O co ci chodzi? Skończyła się twoja praca i masz zapłatę w kieszeni. Spójrz w jamę. Cóż tam widzisz?

— Widzę tylko coś białego jak kupę śniegu. O Boże! Rusza się jeszcze!

— Rzuć co na nią. Twój kufer, Antośku, dosyć ciężki.

— Varneyu, ty jesteś wcielonym czartem! Nic już nie potrzeba, już po niej.

— Zakończyły się nasze kłopoty — rzekł Varney wchodząc do pokoju — nie spodziewałem się nigdy, że wypełnię tak dobrze wolę hrabiego.

— O! Jeżeli jest zemsta na tym świecie, zasłużyłeś na nią i doznasz jej niechybnie!

— Ciągłe, widzę, jesteś zabobonnym fanatykiem — odpowiedział Varney. — Pomyślmy teraz, jak wszcząć alarm. Ciało zostawmy na miejscu.

Ale ich zbrodnia nie była długo bezkarną, bo gdy zasiedli do narady, Tressilian i Raleigh wpadli na nich wszedłszy do domu za przewodnictwem Tidera i służących Fostera, których spotkali we wsi.

Foster uciekł natychmiast, a znając doskonale wszystkie przesmyki i kryjówki starego zamczyska tak się ukrył, że niepodobna było go odnaleźć. Varney został schwytany i zamiast okazania żalu, albo najmniejszych wyrzutów sumienia, zdawał się kosztować piekielnej rozkoszy pokazując im miejsce, w którym leżało ciało zgładzonej hrabiny i wyzywał ich jeszcze, aby mu dowiedli, że on był przyczyną jej śmierci.

Na widok martwych zwłok tej, która przed chwilą jeszcze była tak piękna i godna kochania, taka rozpacz ogarnęła Tressilianą, że Raleigh musiał przemocą oderwać go od tego miejsca i sam tylko zajął się rozporządzeniem tego wszystkiego, co było potrzebne w tym okropnym wypadku.

Varney wzięty powtórnie na spytki nie zapierał się ani zbrodni, ani jej pobudek, kładąc swą szczerłość na karb tej okoliczności, że choć jego wyznanie oparte jest na samych tylko domysłach i dlatego obecny czyn nie może mu być przypisywany, same domysły wystarczą już, by pozbawić go zaufania Leicestera i zniweczyć wszystkie jego zamiary i górne plany ambicji.

— Nie jestem na to stworzony — rzekł w końcu — abym miał pędzić na wygnaniu resztę dni albo ze śmierci mojej czynić widowisko dla pospólstwa.

Po tych słowach lękano się, aby nie odebrał sobie życia i dlatego usunięto wszystkie środki ułatwiające wykonanie tego zamysłu. Lecz Varney na wzór niektórych bohaterów starożytności nosił przy sobie mocną truciznę, przygotowaną zapewne przez Demetriusza Alasco. Połknął ją w nocy i nazajutrz rano znaleziono go nieżywego. Zdawało się, że nie cierpiał długich boleści, gdyż twarz jego nawet po śmierci wyrażała ten sam szyderski uśmiech, który za życia wszystkie inne przytłumiał uczucia. Śmierć, mówi Pismo święte, nie jest hamulcem dla niegodziwego.

Nie wiadomo długo, jaki los spotkał jego współwinowajcę. Wszyscy opuścili Cumnor Place zaraz po dopełnieniu zbrodni, bo słudzy utrzymywali, że w bliskości pokoju, nazwanego „Komnatą lady Dudley” słyszeli jęki, wzdychania i inne niezwykłe głosy.

Po kilku latach Joanna, nie mogąc powziąć żadnej wiadomości o ojcu, została panią jego bogactw i oddała je wraz ze swoją ręką Waylandowi, który zupełnie ustatkował się i żył na dworze Elżbiety. Dopiero po ich śmierci starszy ich syn i dziedzic majątku odkrył tajemne przejście obwarowane żelaznymi drzwiami, prowadzącymi z „Komnaty lady Dudley” do ciemnej komórki. W niej to znaleziono kufer obity żelaznymi sztabami, a na nim ludzkiego kościotrupa. Od tego czasu zgon Antoniego Fostera nie podlegał już żadnej wątpliwości. Sknera ten skrył się w ciemnicy i zapomniał wyjąć klucza z zamku. Tym sposobem stał się ofiarą środków, jakich sam używał do zabezpieczenia swego złota, za które zaprzedał zbawienie swej duszy.

Wiadomość o okropnym zgonie hrabiny przerwała z nagłą zabawy w Kenilworth. Leicester opuścił dwór i długi czas, dręczony wyrzutami sumienia, oddawał się żalowi i rozpaczce. Ponieważ jednak Varney w ostatnim wyznaniu oszczędził swego pana, hrabia był raczej przedmiotem politowania, aniżeli gniewu królowej. Na koniec Elżbieta zaprosiła go znowu na swój dwór, gdzie na nowo pozyskał jej względy. Reszta jego życia dobrze jest znana z historii, a w jego śmierci objawiła się sprawiedliwość niebieska, jeżeli, jak powszechne niesie mniemanie, połknął truciznę, którą przygotował dla kogo innego.

Hugo Robsart umarł niedługo po swojej córce zapisawszy majątek Tressilianowi. Ale ani nadzieja swobodnego życia na wsi, ani obietnice łask i zaszczytów, którymi Elżbieta chciała go ściągnąć do dworu, nie mogły rozpędzić jego głębokiej melancholii. W jakąkolwiek obrócił się stronę, zawsze mu się zdawało, że widzi przed sobą skrwawione zwłoki kobiety, która była przedmiotem jego najczystszej miłości. Na koniec zabezpieczywszy los starych domowników i uboższych przyjaciół Hugona udał się z Raleighem na wyprawę do Wirginii i młody latami, ale postarzały długim pasmem nieszczęść, umarł na obcej ziemi.

O innych osobach dosyć nadmienić, że dowcip Blouata rozwijał się w miarę, jak się starzały żółte kokardy i że okrył się sławą na polu bitwy, które było dla niego naturalniejszym żywiołem nad wszystkie dwory. Bystry dowcip Ryszarda Flibbertigibbeta podniósł go do zaszczytów i zjednał mu łaskę u Burleigha.

KONIEC